

0

Tessa Barclay Blask miłości

1

1

Pomimo iż Gwen była bardzo zajęta, usłyszała, że ktoś ją woła. Postanowiła jednak nie zwracać na to uwagi. Liczył się dla niej tylko nóż

ciesielski, ośnik, oraz drewno, które pieściła tym narzędziem tak łagodnie.

– Panno Gwen, panno Gwen!

Wraz z wołaniem pojawił się przy niej Harold, kierownik warsztatu.

– Panno Gwen, ojciec czegoś chce od pani.

On nie jest moim ojcem – pomyślała natychmiast – ale nie wypowiedziała tych słów na głos. To dziecinne ciągle powtarzać, że Wally jest

jej ojczymem. Poza tym w wieku osiemnastu lat była dostatecznie dorosła, by

pogodzić się z faktem, iż jej matka ponownie wyszła za mąż.

Harold Akers obserwował, jak wygładzała pieścotliwym ruchem słupek z palisandru.

– Wygląda fantastycznie, panno Gwen – zauważył. – Ile ma pani jeszcze do zrobienia?

– Jedenaście. Po dwanaście do każdego wezłowania.

– Boże, jak pani je skończy, to będzie prawdziwe arcydzieło! –

Przejechał

palcem po wygiętej powierzchni drewnianego słupka w imadle.

– Tak czy owak, panno Gwen, za to podwójne łoże nigdy nie dostanie pani sumy, która by wynagrodziła nakład pracy.

Roześmiała się, wkładając ośnik do futerału na ławie.

– Oczywiście, że dostanę. To samo mówiłeś o szafie na książki i zestawie

stolików, z których jeden wchodził w drugi. Ale sprzedaliśmy je za dobrą cenę

i teraz, gdy już wdrożyliśmy je do masowej produkcji, zarobimy na nich dużo

pieniędzy.

RS

2

Harold chrząknął potakująco. Nie dało się zaprzeczyć, że mimo osobliwych poglądów na produkcję mebli artystycznych ta dziewczyna miała

głowę na karku. Trochę szkoda, że pan Baynes wydarł jej firmę z rąk.

No, ale z

drugiej strony, skoro wojna się skończyła, nie bardzo wypadało, żeby warsztatem stolarskim zarządzała jakaś dzierlatka...

Projekt wezłowania był przypięty do tablicy wspartej o ścianę w pobliżu

ławy. Harold przyglądał mu się przez chwilę. Niezły. Któż wpadłby na pomysł

zrobienia wezłowania z szeregu palisandrowych szczebli? I ładny.

Rysunek pokazywał ramę, w którą miały wejść słupki: rozszerzała się ona w górze, toteż wyglądała nieco orientalnie, niczym dach pagody. O tak

panna Gwen gustowała w orientalnych przedmiotach. Z kolei pan Baynes

traktował je po macoszemu, aczkolwiek musiał przyznać, że w ostatecznym

rozrachunku przynosiły one zysk.

– A niech to! – zawołał Harold, przypominając sobie, po co przyszedł. – Szefer chce czegoś od pani. W salonie jest jakiś zagranicznik.

Gwen otrzepała swój płócienny fartuch z trocin. Kątem oka dostrzegła, że

w pasmo włosów opadających na policzek wplątał się wiórek.

Odgarnęła je

kwadratową, wprawną dłonią. W warsztacie nie było lustra. Czy powinna pójść

do garderoby, by się upewnić, że wygląda przyzwoicie?

– Czy to ktoś ważny, Haroldzie?

– Nie, myślę, że wpadł tu, ot tak. Pewnie jest przejazdem, wie pani, jakiś zagraniczny turysta...

Nie zaczesła więc swoich miękkich brązoworudych włosów i nawet nie zadała sobie trudu, żeby zdjąć fartuch. Szybko weszła do saloniku wystawowego, gdyż turysta mógł łatwo się znudzić i pojechać dalej. Ale samochód... to oznaczało, że miał pieniądze. Wprawdzie wskutek wojny ludzie

przywykli do tego rodzaju transportu, samochody jednak były drogie, a

RS

3

wszyscy dookoła byli tacy biedni. Zerknęła na auto, przechodząc przez dziedziniec między warsztatem a salonem wystawowym. Bentley!

Poczuła

przyływ nadziei. Może zauważył jej klonowe biurko. Pragnęła, by ktoś je

kupił, a wtedy przekonałaby ojczyma, że godziny spędzone nad wykonaniem

tego sprzętu nie poszły na marne.

– To się nie zda na nic – narzekał patrząc, jak inkrustowała przednią część mebla macicą perłową. – Kto zechce mieć na biurku takie cudactwa?

– Ktoś na pewno zechce – odparła.

Wchodząc do salonu, spostrzegła, że w drzwiach czeka ojczym.

– Nie za bardzo się śpieszyłaś! – mruknął. – Zostawiłaś mnie z tym gościem, a ja prawie wcale nie rozumiem, co on mówi.

Gwen zobaczyła, że za jej biurkiem, które wzbudzało tyle kontrowersji, stoi wysoki, szczupły mężczyzna w bardzo dobrze skrojonym szarym garniturze. Odwrócił się, słysząc jej kroki. Na jego pociągłej twarzy widać było

zdziwienie.

– *Mon dieu, c'est une jeune fille* – wysapał.

To Francuz – pomyślała Gwen. – I to bardzo zamożny Francuz, sądząc po garniturze i bentleyu. Wygląda na bardzo zaskoczonego.

Gwen przywykła do takich reakcji. Wydawało się, że ludzie nie potrafią

pojąć, iż dziewczyna może się zajmować produkcją mebli, a cóż dopiero, że je projektuje.

– *Bonjour, monsieur* – powiedziała, przywołując znajomość francuskiego ze szkoły.

Zaskoczenie przerodziło się u Francuza w uczucie rozkoszy.

Charmante!

Mała, o zaokrąglonych kształtach i włosach barwy jesiennych liści buku.

Miała

szarozielone oczy i twarz o cerze delikatnej niczym płatki róży, usianą

RS

4

złocistymi piegami. Jakaż z niej *jeune filie*. Śliczne usta, pełne i szerokie,

zdradzały zmysłową naturę!

Ale ubranie! Dobry Boże, cóż to za strój! Coś musiało być nie w porządku z Brytyjczykami, skoro pozwalali, żeby ich piękne młode dziewczyny pokazywały się światu w tych workowatych wełnianych spódnicach i zwykłych bluzkach. Albo te wełniane pończochy robione na

drutach – a przecież smukłe nogi powinno się oblekać w cielisty jedwab.

– *Bonjour, mademoiselle* – powiedział, skłaniając nieco głowę. – *C'est vous, qui avez dessiné les chaises de monsieur Groves?*

– Słucham? – odrzekła Gwen, zaskoczona tym potokiem francuszczyzny.

W szkole panna Collins zawsze mówiła dość wolno, a jej uczniowie jeszcze wolniej. Gwen nie miała pojęcia, co powiedział przed chwilą ten cudzoziemiec.

– Ach, proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był wyciągać wniosku, że potrafi pani mówić o interesach w moim języku. Pozwoli pani, że się przedstawię.

Wyjął z kieszeni na piersi futerał z połączanymi brzegami i wyciągnął z niego wizytówkę. Kiedy wzięła ją do ręki, ukłonił się ponownie, jakby chciał

dać jej do zrozumienia, że tym gestem wyświadczyła mu wielką przysługę. Na

wizytówce wytłoczono mały herb, pod którym widniało nazwisko i tytuł:

Jerome, comte de Labasse. Adresu nie było – prawdopodobnie hrabia uważał,

że wszyscy znają jego miejsce zamieszkania.

– Miło mi pana poznać – powiedziała Gwen, wręczając wizytówkę ojczymowi. Zmarszczyła lekko brwi, co miało oznaczać: to ktoś ważny, potraktujmy go wyjątkowo.

RS

5

– Aha, hmm, rozumiem – odparł Wally, czytając wizytówkę i patrząc na nią z zakłopotaniem. Francuski hrabia! Cóż, do diabła, robił ten francuski pan w salonie wystawowym drobnego wytwórcy mebli w St Albans?!

Francuski pan natychmiast zaczął się tłumaczyć.

– Przybyłem z Londynu wraz z moim przyjacielem, panem Grovesem, żeby spędzić kilka dni w High Hall. Pan Groves miał w swoim apartamencie w

Mayfair... zdaje się, że nazywacie to zestawem obiadowym, stół jadalny i sześć

krzesel do kompletu.

– Ach, tak, proszę pana, no, jeśli o to chodzi – zaczął mówić Wally, a na jego mięsistej twarzy malowały się jednocześnie służalczość z uczuciem triumfu. – Obawiam się, że nie możemy zrobić panu tej uprzejmości.

Pan

Groves zawarł z nami umowę, byśmy przez dwa lata nie produkowali takich

mebli. Nazwał to prawem wyłączności.

I zapłacił niezłą sumkę za ten przywilej – dodał w duchu. Ale Francuzik tylko machnął starannie wypielegnowaną ręką.

– Nie, nie, *ca ne m'interesse pas*. Nie przyszedłem tu po to, żeby mieć takie same krzesła i stół. Pragnąłem poznać projektanta, zobaczyć, co jeszcze

mógłby – przerwał, ukłonił się z wdziękiem Gwen i ciągnął dalej – co mogłaby

mi pokazać. *Voyez*, przemeblowuję mój apartament w Paryżu. Jest bardzo

duży, bardzo wytworny, ale meble wybrał mój dziadek i moja babka.

Empire...

znacie empire? Styl Napoleona?

Wally nie znał, ale Gwen domyśliła się, o co chodzi.

– Naturalnie, monsieur. Dużo złocień i czerwony plusz. Jeśli chodzi o egipskie motywy, są dosyć przyjemne.

– Och, z pewnością, ale po pewnym czasie zaczynają nużyć, no i są takie

ociężałe, pojmuje pani? Pani krzesła, które widziałem w jadalni pana Grovesa... są takie lekkie, takie eleganckie...

RS

6

Gwen miała na ten temat podobnie zdanie. Pokochała te krzesła i wręcz nie chciała się z nimi rozstawać, kiedy skończyła je robić dla pana Grovesa.

Oparcie składało się z rzeźbionych w drewnie łodyg stylizowanych irysów,

które pięły się do góry w taki sposób, że płatki kwiatów tworzyły wieńczącą

krzesło poręcz. Gwen wyłożyła meble lakierowaną tłoczoną skórą oraz (po

konsultacjach z panem Grovesem, który zaakceptował ten wydatek) ozdobiła je

srebrnym filigranem, by lśniły w blasku świec pokoju jadalnego.

Natomiast

stół nie był jej zdaniem tak udany. Palisander stanowił piękny budulec, ale jego

duża ilość nużyła oko, a motyw z irysami w rogach również nie dał interesującego efektu.

– Miło mi, że się panu podobały – stwierdził Wally tonem serdecznego gospodarza. – Projektowała je moja córka.

Hrabia dostrzegł w oczach córki błysk, który szybko przygasł. O co chodziło? Czyżby w rzeczywistości nie była projektantką?

– Może mogłaby mi pani pokazać kilka swoich rysunków, panno Baynes? – zagadnął.

– Nazywam się Whitchurch, a nie Baynes – natychmiast go poprawiła.

Aha. Zatem ten mężczyzna powinien powiedzieć „pasierbica”, a nie „córka”. A więc zaprzeczyła, że był jej ojcem.

– W takim razie, panno Whitchurch, czy wolno mi obejrzyć pani projekty?

– Ma pan te rzeczy tutaj – wtrącił się Wally. Mimo okazałej tuszy poruszał się zadziwiająco żwawo i rozkładał ramiona, by pokazać ofertę salonu

wystawowego. – Widzi pan ten parawan ze wstawkami ze skór rekinów?

To

jest pojedynczy egzemplarz, zupełnie niepowtarzalny.

W duchu dodał: jego wykonanie kosztowało majątek. Może uda się go wcisnąć temu głupiemu Francuzikowi.

RS

7

– Dziękuję, tak. Już go podziwiałem, kiedy czekałem, aż ktoś przyjdzie. Podoba mi się również sekretarzyk, ten z *marqueterie* z kości słoniowej.

Jak to

nazywacie w języku angielskim?

– Intarsja. Tak, monsieur, sekretarzyk jest niezły, chociaż według mnie za

niski. Gdybym robiła go ponownie, dodałabym mu jeszcze z sześć cali.

– Pani go zrobiła? To znaczy, mademoiselle, pani dosłownie go zrobiła?

– Tak, sir.

– Ale... to coś niezwykłego! Dziewczyna posługująca się narzędziami stolarskimi?

Gwen uśmiechnęła się, a jej blade rysy ożywiły się pod wpływem

przyjemnych wspomnień.

– Uczył mnie tego ojciec – wyjaśniła. – Wie pan, często bawiłam się w warsztacie jako mała dziewczynka i uwielbiałam zapach drewna. Po zapachu

można poznać, jakie drewno w danym momencie podlega obróbce... A potem

zaczęłam prosić go o to, żeby mi pomagał. Pokazał mi, jak posługiwać się dłutem, pod jakim kątem ustawiać piłę... I tak to się

wszystko

zaczęło.

– Jakie to wspaniałe! Ojciec dostrzegł pani talent. O ile dobrze zrozumiałem, pani ojciec, niestety, nie żyje?

Skinęła głową, a jej ocienione ciemnymi rzęsami oczy utraciły blask.

– Zginął we Flandrii – odparła cicho.

– Ach, z powodu tak wielu... Proszę mi wybaczyć, mademoiselle.

Zerknął na Wally'ego Baynesa, który krążył wokół nich i wydawał się poirytowany tym, że go wykluczono z rozmowy. – Podoba mi się także biurko

i inne rzeczy, które tu widzę, ale nic nie pasuje do moich paryskich pokoi.

Pozwoli pan, że obejrzę rysunki panny Whitchurch?

RS

8

– Och, oczywiście, monsieur, z wielką przyjemnością. No i widzisz, dziewczyno, jaką masz okazję, żeby pokazać swoją kolekcję! Ruszaj się

i

przynieś to, co trzeba.

Gwen pobiegła do drzwi prowadzących do części mieszkalnej. Słyszając jej pośpieszne kroki, kucharz wytknął głowę z kuchni i powiedział:

– Jeżeli przyszedłeś na drugie śniadanie, to jesteś za wcześnie...

– Nie, nie, to specjalny klient... – Wpadła do głównego korytarza i była już w połowie schodów, kiedy zatrzymał ją głos matki.

– Powiedziałaś, że to specjalny klient, Gwen?

– Tak, mam, dżentelmen z Francji, przyjaciel pana Grovesa. Właśnie biegnę po szkicowniki.

Matka zaczęła iść za nią po schodach, cały czas udzielając rad swojej córce.

– Kochanie, wyglądasz okropnie! Kiedy będziesz na górze, uczesz włosy

i zdejmij ten fartuch.

Gwen przyjrzała się sobie.

– Za późno. Już mnie widział i wie, że wyglądam okropnie. Nie mogę się

guzdrać, mam, on czeka.

Rhoda Baynes westchnęła. Jeżeli ten klient zamierzał kupić część ekskluzywnych projektów Gwen, warto było zaofiarować mu filiżankę kawy i

trochę ciasteczek domowego wypieku. Zdaniem Rhody, jedną z głównych

przyczyn, dla których Bóg stworzył kobietę z żebra Adama, było zapewnienie

mężczyznom kogoś, kto by podawał herbatę i kawę.

Jeśli chodzi o córkę, która okazała się bardzo nietypową kobietą, Rhoda przestała się już dziwić czemukolwiek. Winę przypisywała po części swemu

pierwszemu mężowi, Edwardowi. Drogi Edward był wzorem uprzejmości i

dobrych manier, ale co go opętało, żeby uczyć swoją córkę stolarki?

RS

9

Co do Wally'ego... Wally był inny. Należał do mężczyzn z krwi i kości...
A jaka wygoda w prowadzeniu interesu! Zawsze podejmował decyzje z
taką

pewnością, pozwalając Rhodzie zrzucić na siebie brzemie
 odpowiedzialności.

Zresztą nie tylko jej. Także Gwen, chociaż ona bynajmniej nie uchylała
 się od

roboty przez ostatnie trzy lata. Kiedy Edward zaciągnął się do wojska w
 1916

roku, Rhoda próbowała utrzymać firmę z pomocą kierownika
 warsztatu,

Wally'ego Baynesa, a korzystanie z porad czternastoletniej Gwen nie
 wydawało się niczym niewłaściwym. Wytwarzali wtedy dość proste
 rzeczy. W

każdym razie nie było wówczas zapotrzebowania na wyrafinowane
 meble, co

najwyżej na zwykłe biurka dla urzędów i stoły dla wojskowych kantyn.

Jednakże Edward zginął na wojnie, a kiedy nastął pokój, trzeba było
 powrócić

do normalnej działalności. Gwen porzuciła szkołę, żeby całkowicie
 poświęcić

się stolarstwu i projektowaniu pięknych pojedynczych wzorów mebli,
 dzięki

którym firma „St Alban Cabinetwork” zyskała rozgłos.

W drodze do kuchni po tacę z kawą Rhoda dumiała nad tym, co się stanie z jej córką. Była taka niedostosowana, biegła po warsztacie w stolarskim fartuchu, z podwiniętymi rękawami. Doprawdy lepiej, że Rhoda wyszła za Wally'ego i pozwoliła mu przejąć kontrolę. Ludzie mogli sobie gadać o kierowniku, który bierze narzędzia nieboszczyka, ale Wally przynajmniej znał się na interesie i potrafił wyrabiać proste sprzęty. A poza tym, poza tym... wdowieństwo wiązało się z samotnością, a ona potrzebowała trochę pociechy, jak każda ludzka istota... Nawet, jeśli Gwen nie umiała się z tym pogodzić. To dziecko ubóstwiała swego ojca... – Cóż – westchnęła Rhoda. – Nic mnie to nie obchodzi. Kocham Wally'ego, i na tym koniec! Pomimo słów wypowiedzianych do matki, Gwen Whitchurch przystanęła na chwilę przed toaletką po zabraniu teczki ze stołu kreślarskiego. Nie dało się

RS

10

zaprzeczyć, że istotnie wyglądała okropnie. Wykrzywiła się do lustra. Pieguska! Włosy rozstrzepane! Położyła teczkę, opuściła rękawy i zapięła mankiety. Zdjęła płócienny

fartuch. No cóż, efekt był niewiele lepszy – matowa bawełniana bluzka z pogniecionymi rękawami. A może przebrać się w sukienkę? Nie, to absurd.

Przecież pan de Labasse widział ją w stroju roboczym. Ale z drugiej strony...

Tuż pod ręką, na poręczy krzesła, wisiała ciemnoniebieska sukienka z koronkowym kołnierzykiem. Gwen zostawiła ją tutaj po wszyciu zamka.

A w

szufladzie toaletki znajdowały się jedwabne pończochy.

Czując niemal złość na samą siebie, uczesała włosy, zwalczyła pokusę nałożenia koronkowego kołnierzyka i jedwabnych pończoch i zbiegła ponownie na dół. W końcu hrabia przyszedł do sklepu po to, żeby popatrzeć na

meble, a nie do Gwendolen Whitchurch.

A jednak Jerome de Labasse od razu spostrzegł, że Gwen przygotowała się na kolejne spotkanie. Jej włosy lśniły dzięki pociągnięciom grzebienia.

Były takie delikatne, zupełnie jak ruda nić na kołowrotku. Stał i podziwiał je,

podczas gdy ona pochylała głowę nad otwartą teczką.

Pan Baynes odebrał po cichu przyniesioną przez kogoś kawę i postawił ją

przed gościem. Osobiście Jerome uznał, że jest wstrętna. Dlaczego ci Anglicy

nie mają pojęcia o parzeniu kawy? Ale przez grzeczność sączył napój, a ponieważ pikantne ciasteczka były zdumiewająco dobre, mógł nawet powiedzieć komplement. Spotkała go za to nagroda. Pan Baynes musiał dokądś

wyjsc i Jerome został sam na sam ze swą uroczą angielską różą. Czyż mogło

być coś przyjemniejszego od siedzenia obok tej urodziwej osiemnastolatki,

oglądania ładnych i oryginalnych projektów mebli i rozważania, czy zachwyciłyby one jego paryskich przyjaciół, gdyby je zakupił?

RS

11

– To mi się podoba! W tym pomysle jest coś intrygującego, egzotycznego.

Szczerze mówiąc myślałem o jakimś wschodnim motywie w jednym z głównych pokoi, może w pokoju, gdzie będzie się muzykowało – stwierdził,

wskazując jedną z wersji wezgłowia w kształcie pagody.

– Och, ale to przecież wzór do sypialni.

Czuła, że się rumieni, wypowiadając to słowo w obecności mężczyzny, i to na dodatek cudzoziemca.

– *Bien entendu*. Ja jednak jeszcze nie zdecydowałem, które pokoje powinny się odznaczać czymś egzotycznym. Niewykluczone, że będzie to

jedna z sypialni. Ha! – zakończył ze śmiechem. – A może styl paszy: atłasowe

poduszki i kotary?

Wiedziała, że to był żart z jego strony, sprowokowany tym, że się zaczerwieniła, używając słowa „sypialnia”. Przybrała więc surowy wyraz

twarzy.

– Tę sprawę omówi pan ze swoim dekoratorem wnętrz – oświadczyła. –

Czy już umówiliście się co do koncepcji ogólnej mieszkania, a także materiałów obiciowych i zasłon?

– Neeee. Nie, ja sam jestem dekoratorem wnętrz. W końcu to przecież mój apartament i wystrojem chciałbym podkreślić własną osobowość.

Widzi

pani, moja droga, młoda damo, oczywiście odziedziczyłem ten dom po rodzicach, i to niedawno. Wróciłem z zagranicy pod koniec wojny.

– Ach, służył pan za oceanem?

Gwen zawsze interesowały wojenne opowieści. Wysłuchiwanie ich w jakiś sposób zbliżało ją do nieżyjącego ojca.

– Owszem, służyłem, ale w Corps Diplomatique. Pracowałem w ambasadzie w Tokio.

– W Tokio!

RS

12

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Żadna ze znanych jej osób nie odbyła tak dalekiej podróży. Japonia znajdowała się właściwie na drugim

końcu świata. I wiedziała, że jest to kraj zadziwiający. W poszukiwaniu inspiracji do projektów mebli oglądała wiele albumów poświęconych sztuce

chińskiej i japońskiej. Ich mgliste krajobrazy, rysowane subtelną kreską kwitnące drzewa, żurawie pochylające się nad stawami pełnymi ryb...

Jerome przypatrywał się rozpalonej twarzy dziewczyny. Był rozbawiony jej naiwnością, ale odczuwał także przyjemność. Cóż to za czarująca istota –

taka nie zepsuta i taka utalentowana! Tak, te rysunki dowodziły, iż jej umysł

chłonny był na nowe idee, choć gust artystyczny dziewczyny wciąż jeszcze

podlegał w pewnym stopniu Williamowi Morrisowi i Renniemu Mackintoshowi, których epoka właśnie się kończyła. Gwen również zmieniła swoje zdanie na temat Jerome'a. Do tej chwili był bogatym cudzoziemcem, zadbanym i dobrze ubranym. Nic nie uszło jego bystrym niebieskim oczom, a wąskie wargi naigrywały się z jej prostoty. Ale pomyśleć, że był w Japonii... Marzyła jej się długa rozmowa o wszystkich cudownościach, które tam widział. Naturalnie, zdawała sobie sprawę z tego, że powinna mu sprzedać swoje projekty mebli, ale miała teraz szansę dowiedzieć się niemal z pierwszej ręki czegoś o świątyniach, ogrodach, o kwiatkach, które odgrywały tak ważną rolę w japońskiej sztuce. A on, jakby czytając w jej myślach, powiedział:
– Czy moglibyśmy porozmawiać o tym w dogodniejszych okolicznościach? Zaprezentowała mi pani pomysły i ogólne szkice. To pozwala mi sądzić, że pojmie pani, co próbuję osiągnąć w moich wnętrzach. A to miejsce nie jest najodpowiedniejsze...
– Och, przepraszam, zazwyczaj nie rozmawiamy tu na siedząco. Wiem, że te krzesła są dosyć twarde...

RS

– Ależ nie, wcale nie, to uroczy salon, lecz zapewne będziemy mieli wiele spraw do ustalenia. A gdybyśmy tak zjedli dziś razem lunch?

Otworzyła usta ze zdziwienia.

– Lunch?

– Tak. Chyba jada pani lunch?

Znowu zerknął na nią rozbawionymi ciemnoniebieskimi oczami.

– Och, oczywiście. Tylko że...

– Co?

– Nikt jeszcze...

– Rozumiem. Jestem obcy. Rzeczywiście... Ale mam trochę własnych rysuneków w walizeczce w High Hall. Zaznaczyłem na nich wymiary pokoi

i rozmieszczenie okien... Może pójdę je zabrać i spotkamy się... gdzie?

Czy jest

jakiś dobry hotel w St Albans?

– Naturalnie, „Biały Jeleń”, zapewne przejeżdżał pan obok niego...

– Przypominam sobie. Tak, z bardzo eleganckim frontem, niedaleko katedry. Czy jedzenie tam jest dobre?

Gwen nie wiedziała, co odrzec. Dobre? Co Francuz uważa za dobre jedzenie?

– Cieszy się doskonałą renomą – oznajmiła. – Ale ja byłam tam tylko na herbacie.

– Cóż, zaufajmy opinii i wyobraźmy sobie, że na lunch podadzą nam przynajmniej niezły rostbef. Powiedzmy, że spotkamy się o pierwszej.

– Ja... powinnam zapytać matkę.

– Oczywiście. – Po raz kolejny lekko się uklonił. – Jeżeli sobie pani życzy, to również papę.

Wzruszyła nieznacznie ramionami, co miało oznaczać: „Och, jego. Jego nie miałabym ochoty o nic pytać”.

RS

14

– W takim razie zaczekam tutaj, kiedy będzie pani pytała mamę o zgodę, i obejrzę pozostałe projekty.

Brzmiało to mniej więcej jak rozkaz, którego zresztą usłuchała. Matka siedziała w bawialni i wypisywała zamówienie dla rzeźnika.

– No i co, moja droga, sprzedałaś coś?–zagadnęła, odkładając notes.

– Mamo, on mnie zaprosił na lunch!

Wypadło to bardziej dramatycznie, niżby sobie życzyła. W końcu chodziło o lunch w interesach. Jej ojczym umawiał się na takie spotkania

często i przeważnie ich skutkiem były intratne zlecenia. Gwen natychmiast

naprawiła swój błąd.

– On chce mi pokazać rysunki swojego domu w Paryżu, bo ma zamiar zamówić meble do apartamentu. Nie możemy uporać się z tym problemem,

ponieważ nie wiem, jakie wymiary mają poszczególne pokoje.

Mówiła to wszystko niemal bez tchu i zadawała sobie pytanie, dlaczego jest taka podniecona. Wszak ten lunch miał czysto zawodowy charakter.

Ale

reakcja pani Baynes dowiodła, iż wyłowiła sedno sprawy.

– Czy to prawda, że jest francuskim hrabią? Twój ojciec powiedział...

– Tak. To hrabia de Labasse z Paryża. Zobaczył część moich prac w mieszkaniu pana Grovesa w dzielnicy Mayfair.

Gdyby Jerome był francuskim kupcem zbóż albo handlował gwoździemi

i śrubkami, Rhoda Baynes zapewne nie wyraziłaby zgody. Ale
widocznie

uznała sprawę za załatwioną, skoro zapytała:

– Gdzie się wybieracie na lunch?

– Do „Białego Jelenia”, mamó.

W takim razie wszystko w porządku. W „Białym Jeleniu” córce nie
mogło się przytrafić nic złego. Poza tym Rhoda odczuwała nieodpartą
chęć

RS

15

pochwalenia się swoim przyjaciółkom, że jej córkę zaprosił hrabia.
Romantyczne walijskie serce Rhody reagowało żywo na myśl o
arystokratach.

– Bardzo dobrze, kochanie, jeżeli to „Biały Jeleń”. Oczywiście, nie
zabawisz tam długo, prawda? Wrócisz na trzecią, na popołudniową
herbatę.

– Tak, mamó. On czeka na odpowiedź...

– Zaraz pójdę i porozmawiam z nim.

Jerome spodziewał się nadejścia matki. Powitał ją najbardziej
czarującym

uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć, i ukłonił się lekko. Na dodatek
pocałował ją w rękę, kiedy Gwen dokonywała prezentacji.

– *Enchante* – wymruczał.

„Oczarowany”. Właściwie to Rhoda była oczarowana.

Jakiż to uroczy człowiek – pomyślała, starając się zachować w pamięci
wszystkie szczegóły, by zrelacjonować je później pani Hutchings i Mary

Dwyer.

Jerome pokazał projekty, które wzbudziły jego zainteresowanie, i gawędził trochę o mieszkaniu w Paryżu oraz problemach związanych ze zmianą mebli.

– Pańska żona daje panu całkowicie wolną rękę? – zagadnęła Rhoda.

– Moja żona zmarła wskutek epidemii grypy, madame.

– O Boże, tak mi przykro. To paskudna choroba.

Czuła, że nie powinna dalej pytać o jego sprawy osobiste, a poza tym ta znajomość miała być krótka. Gwen omówi z nim swoje pomysły, on zamówi

parę sprzętów i wyjedzie. W stosownym terminie prześle mu się stół, kanapę

czy coś innego, a jej pozostanie tylko historyjka, którą opowie potem przyjacielom: „Moja Gwen dostała wielkie zamówienie od francuskiego arystokraty, który, wyobraźcie sobie tylko, pocałował mnie w rękę, kiedy mi

się przedstawiał.... ”

RS

16

Już i tak była przychylna ich spotkaniu, a teraz Jerome kompletnie podbił

jej serce, co zresztą było jego zamiarem. Zawsze potrafił okręcić sobie kobietę

wokół palca, zwłaszcza na początku. Potem niektóre z nich stawały się krnąbrne –jednakże w tym wypadku nie zanosilo się na żadne potem. On również sądził, że zamówi kilka rzeczy i wyjedzie. Na razie miał

wszelako

przebywać w towarzystwie ładnej i młodej przedstawicielki stolarskiego fachu.

– Wobec tego oczekuje pani o godzinie pierwszej – powiedział oficjalnie,

jeszcze raz się uklonił i wyszedł.

– No, no, któż by pomyślał! – westchnęła Rhoda w obecności córki. – Francuski arystokrata! A twój ojciec zawsze powtarza, że nie powinnaś marnować czasu na wymyślne meble...

Gwen powstrzymała się od stwierdzenia, że ojczym często nie ma racji. Matka stawiała swego nowego męża na piedestale, ale rok jego rządów utwierdził Gwen w przekonaniu, że jedynie produkcja zwykłych mebli może

przynieść mu sukces. Nie miał wyczucia, prawdziwej smykałki, zdolności

przewidywania, co będzie modne. Wbrew pozornej władczości i sile, nie nadawał się do tego, żeby przewodzić. Ale właśnie skłonność do dyrygowania

zaskarbiła sobie przychylność Rhody, która potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się oprzeć. Prowadzenie interesu przerażało ją, podczas gdy Wally

był chyba stworzony do pokonywania trudności. Wywierał przy tym silne

wrażenie swoją powierzchownością. Wydzielał coś w rodzaju zwierzęcego

ciepła, które wywoływało obrzydzenie u Gwen, chociaż jej matka nim się

rozkoszowała.

Jednakże teraz, kiedy wbiegała na górę, żeby przygotować się na spotkanie, postanowiła nie myśleć o tym wszystkim. Prawdę mówiąc, ona

również była podekscytowana perspektywą zjedzenia lunchu z francuskim arystokratą.

RS

17

Wzięła kąpiel, żeby zmyć z siebie kurz trocin, który podczas pracy w warsztacie wciskał się wszędzie. Wyszczotkowała długie włosy i upięła je w podwójny kok, który według matki stanowił najodpowiedniejszą dla niej fryzurę. Następnie włożyła sukienkę z miękkiej ciemnoniebieskiej wełny, dopasowała koronkowy kołnierzyk i ozdobiła go broszką z kamienia księżycowego, która kiedyś należała do matki ojca. Z bibułkowego opakowania w szufladzie wyjęła cenne jedwabne pończochy. Niestety, nie miała ciemnoniebieskich bucików, ale ponieważ pogoda była ładna, mogła włożyć delikatne czarne pantofle z koziej skóry. Jej zimowy płaszcz w kratkę był zrobiony z solidnego tweedu. Jakże pragnęła mieć coś bardziej eleganckiego! Ale jedyne okrycie stosowne do tej pory roku (był luty) – aksamitna wieczorowa peleryna – zupełnie nie nadawało się na tę okazję. Wyczyściwszy więc tweedowy płaszcz, włożyła go, dodając kobiecości swemu surowemu wyglądowi jedwabnym miękkim szalikiem przerzuconym przez ramię. Ostrożnie nałożyła nowy filcowy kapelusz, kupiony na styczniowej wyprzedaży u Harrodsa.

Jak wyglądała?

Dokładnie przyjrzała się sobie w lustrze. Wyglądała stosownie do tego, czym była: jak wiejska prostytutka odziana w swoje najlepsze ubranie.

Cóż,

Jerome de Labasse nie żądał modnych ubrań, lecz talentu w projektowaniu

mebli. Oświadczyła swemu odbiciu w lustrze, że przynajmniej to mogła mu

zapewnić.

Zeszła na dół ze spuszczoną głową, nachmurzona, zła na samą siebie. W holu kręciła się matka.

– Ależ ty ładnie wyglądasz! – powiedziała, kiwając parokrotnie głową dla

podkreślenia swoich słów. W jej walijskich, przypominających brązowe

14

The image shows the letters 'RS' in a large, bold, dark red serif font. The 'R' and 'S' are connected at the top, with the 'R' having a thick vertical stem and a curved top, and the 'S' having a thick, rounded top and a curved bottom.

18

guziczki oczach jaśniała aprobata. Zaraz jednak dodała: – Ale psujesz wszystko, niosąc tę dużą teczkę i torebkę z łańcuszkiem.

– Tam są moje rysunki...

– Na miłość boską, nie spotykasz się chyba z hrabią w „Białym Jeleniu”, żeby spędzić czas na rysowaniu?

– Właśnie to zamierzam robić, o ile sobie przypominasz, mamó.

– Myślałam, że to on ma przynieść rysunki.

– Nieważne, nieważne. Lepiej już pójdę.

Czasu było jeszcze sporo, ale obie wiedziały, że trzeba iść, zanim Wally

dowie się o tym spotkaniu. Wprawdzie nie mógł zabronić Gwen pójść na

lunch, gdyż chodziło wyłącznie o interesy, lecz kłótnie i spory wydawały się nieuniknione.

– No, baw się dobrze, Gwennie – powiedziała matka, całując ją na pożegnanie. – A kiedy zaczniecie jeść pudding, nie zapomnij spróbować puddingu Sussex Pond: to nowość w karcie dań i chcę wiedzieć, co to za specjał.

Gwen śmiała się otwierając drzwi. W tym zdaniu była cała matka – nieuleczalna romantyczka, w której tkwiły pokłady przedziwnej praktyczności.

Udała się niespiesznie w kierunku centrum miasteczka. Była środa, a więc dzień targowy. Minał zimny i śnieżny styczeń, i ludzie korzystali ze

wspaniałej pogody, by zaopatrzyć się w wiejskie masło i świeże warzywa.

Do „Białego Jelenia” przyszła za wcześnie, ale to umożliwiło jej przestudiowanie menu, wywieszone przed wejściem do restauracji.

Znajdował

się tam, zgodnie z przewidywaniami pana de Labasse, rostbef, a także wspomniany przez matkę pudding. Ale Gwen miała wrażenie, że nie zdoła

przełknąć nawet kęsa. Była zbyt podniecona.

RS

Żar bijący z jej twarzy oczarował Jerome'a de Labasse, kiedy przybył na spotkanie. Zarezerwował stolik telefonicznie – natychmiast zaprowadzono ich na właściwe miejsce. Kiedy zamówili jedzenie i wino, wyciągnął plany najważniejszych pokoi swojego domu w Paryżu. Gwen przekonała się, że są bardzo duże, a w każdym z nich znajduje się po kilka wysokich, wąskich okien. Ołówkiem wpisano dane dotyczące wymiarów, ale podano je w metrach i centymetrach. Musiała dokonywać przeliczeń w pamięci, żeby wyrazić wartości w znanych sobie stopach i calach. Przez cały czas prowadzili dyskusję i robili porównania, odsuwając talerze, by rysować schematy lub szkicować pomysły.

– Nie, nie, nie kwiaty, moja droga panno Whitchurch. Szkoda, że nie może pani obejrzeć tych pomieszczeń osobiście. Znacznie łatwiej byłoby się zorientować, co pasuje, a co nie.

W końcu rozstali się, przy czym Gwen obiecała popracować nad paroma pomysłami, które częściowo zaakceptował. Jeden dotyczył kredensu, a drugi szezlongu.

– Ale powinno być tego znacznie więcej. Czy możemy spotkać się ponownie?

– Oczywiście. Jak długo zamierza pan zostać w High Hall, monsieur?

– Aż do niedzieli. Wiem, co powinniśmy zrobić! Popracujecie pani nad tymi

rysunkami jutro, a ja nakłonię Martina, żeby zaprosił panią na kolację. Mogłaby pani przyjść na kolację jutro?

Kolacja w High Hall! Dla Gwen High Hall oznaczało „szlachtę”, a ona była przecież córką rzemieślnika.

– Nie wiem, czy...

– Czy mama wyrazi zgodę? Och, powiem siostrze Martina, żeby przysłała zaproszenie. To na pewno rozproszy jej wątpliwości.

RS

20

Gwen chodziło o to, że Martin Groves mógłby nie mieć ochoty na towarzystwo córki producenta mebli. I w gruncie rzeczy spodziewała się listu z

przeprosinami: „Bardzo nam przykro, ale termin okazał się nieodpowiedni”,

lub coś w tym rodzaju.

Ale tak się wcale nie stało. Tego wieczoru o wpół do siódmej jakiś chłopiec dostarczył liścik adresowany do pani Baynes, w którym zapytywano,

czy zechciałaby zezwolić swojej córce Gwen na udział w kolacji następnego

wieczoru o ósmej.

– Och, to jest absolutnie oszałamiające! – zawołała Rhoda. – Kolacja z Grovesami! Cóż powie na to Mary Dwyer!

– Prawdopodobnie będą patrzeć na ciebie z góry, dziewczyno – mruknął Wally. Nie usiłował jednak przeszkodzić Gwen.

Kolacja była dla Gwen prawdziwym dopustem bożym. Panna Groves próbowała wszystkich sposobów, by Gwen się rozluźniła i czuła się swobodniej, ale obfity zestaw noży i widelców, wytworna porcelana, zapach

cieplarnianych goździków na stole – wszystkie te rzeczy świadczyły o stylu

życia, którego nigdy nie zaznała, więc czuła się przerażona. Znowu prawie nic

nie przełknęła, aczkolwiek starała się zapamiętać wszystkie dania, żeby zdać

relację matce.

– Wiem, że pani i Jerome chcecie porozmawiać o meblach –

powiedziała

panna Groves i spojrzała groźnie na brata, by ten nie próbował zajmować

Jerome'a kolejną porcją portwajnu. – W pracowni zapalono już w kominku; za

chwilę każę podać tam kawę. Czy godzina rozmowy wystarczy?

– Być może nie. Ale przecież do wyjazdu zostały mi jeszcze dwa dni.

Miejmy nadzieję, że do tego czasu uda nam się ustalić parę rzeczy.

Gwen, nieco oszołomiona perspektywą spędzenia jeszcze prawie całych dwóch dni na pracy dla pana de Labasse, podążyła za nim do gabinetu.

Był to

RS

21

typowo męski, wypełniony książkami pokój, ze zniszczonymi skórzanymi

fotelami i starym tureckim dywanem. Na palenisku buzował przyjazny ogień.

Jerome wykonał kolejne rysunki, ale nie zadowalały one jego wysokich wymagań. Gwen głowiła się nad nimi, podczas gdy do pokoju wnoszono kawę.

Z przerażeniem myślała o jej nalaniu, ale jakoś się z tym uporała.

– A zatem będzie pani mogła poświęcić się pracy nad moimi meblami,

kiedy dokonamy już wyboru? – zapytał, mieszając cukier w malutkiej filiżance.

– Och, oczywiście, dlaczegóż by nie?

– Pan Baynes nie będzie się sprzeciwiał?

Prawdę mówiąc, istniała taka możliwość, chyba żeby to on zajął się ustaleniem zapłaty. Zawahała się.

– Pokażę mu rysunki jutro rano i wyjaśnię, co już uzgodniliśmy.

– Czy on je zrozumie?

– Dlaczego pan to mówi? – zapytała ze zdumieniem w głosie.

– Sądzę, że nie ma duszy artysty.

– Cóż, to prawda.

– I nie jest *sympathique*.

– W gruncie rzeczy jest aż za bardzo *sympathique* – wypaliła Gwen.

Kolacja, przytulny gabinet i ciepło ognia rozwiązały jej język.

– *Comment?* Odniosłem wrażenie, że zachowuje się w stosunku do pani dość krytycznie.

– Robi to na pokaz. Prywatnie jest zupełnie inny – odparła i zaraz pożałowała swoich słów.

– Jest pani bardzo atrakcyjną dziewczyną. – Jerome roześmiał się. – Trudno go za to winić.

– To nie jest śmieszne!

RS

22

Jerome nie należał do ludzi obdarzonych szczególną wyobraźnią, ale nuta

rozpaczy w tym okrzyku pozwoliła mu wszystko zrozumieć.

Rzeczywiście,

odpieranie zalotów męża własnej matki nie było zabawne.

– Powiedziała pani matce?

– Oczywiście, że nie! Pan nie rozumie... Ona go ubóstwia! Gdyby mi uwierzyła, złamałoby to jej serce. On mógłby temu zaprzeczyć, a wówczas

mama być może wolałaby uwierzyć jemu.

– Och, z pewnością nie.

– Mogłaby pomyśleć, że to tylko intryga z mojej strony. Wie, że nie chciałam, by za niego wychodziła. I nie pojmuję, jak mogła to uczynić!

–

wykrzyknęła Gwen. – Po małżeństwie z moim ojcem, który tak bardzo się od

niego różnił...

Jerome nie pałał sympatią do Wally'ego Baynesa, ale dostrzegął w nim swoisty, prymitywny urok, który mógł działać na niektóre kobiety.

– Rozumiem, że nie może pani z nią o tym rozmawiać – zgodził się. –

To

wielki problem, prawda?

– Czasami wydaje mi się, że zwariuję – odparła z drzeniem.

Któregoś wieczoru siedziała rozmarzona przy wygasającym kominku w swojej sypialni, gdy nagle usłyszała jakieś szuranie i zobaczyła, że ktoś po

cichu przekręca gałkę u drzwi.

– Kto tam? – zawołała.

– To tylko ja, Gwennie – dobiegł ją głos ojczyma. – Po prostu sprawdzam.

Sprawdza? Co sprawdza? Jak tylko sobie poszedł, rzuciła się do drzwi i zamknęła je na klucz. Od tamtego wieczoru zawsze się zamykała, ale wiedziała, że któregoś razu zapomni o tym, gdy będzie zmęczona lub senna, a

wtedy on może spróbować ponownie i wówczas zdarzy się coś okropnego,

RS

23

niewypowiedzianie ohydny. Nie bardzo umiała tego sobie wyobrazić, ale na samą myśl o tym odczuwała strach i obrzydzenie. Nie znosiła sposobu, w jaki się o nią ocierał w korytarzu albo otaczał ją ramieniem, kiedy dyskutowali nad czymś w warsztacie. W miarę możliwości starała się, by towarzyszył im jakiś inny pracownik. Jednakże ten stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. O dziwo, mogła o tym rozmawiać z Jerome'em, zapewne dlatego, że był cudzoziemcem i nie wygadałby się z niczym przed jej zaślepioną z miłości matką. Odstawił filiżankę, a łyżeczka głośno zabrzęczała na spodeczku.

– Powinna pani opuścić dom – oświadczył.

– Myśli pan, że tego nie rozważałam? Ale musiałabym jakoś to wytłumaczyć mamie i jestem pewna, że w trakcie sprzeczki wszystko wyszłoby na jaw. A zresztą dokąd miałabym się udać?

– Do Paryża.

– Do Paryża?

– To najlepsze rozwiązanie. Ma pani powód, żeby pojechać: musi pani obejrzeć moje mieszkanie, a poza tym najlepiej będzie pracować na miejscu.

To jest absolutnie zrozumiałe. Potrwałoby to, no, z sześć miesięcy, a zatem

skończylibyśmy w sierpniu. Po swoim powrocie nie będzie pani musiała mieszkać z matką i ojczymem, skoro pani z nimi zerwie. Może mogłaby pani

wynająć mieszkanie z jakąś przyjaciółką w Londynie... Zdaje mi się, że w

dzisiejszych czasach to nic gorszego.

– Ale... ale...

– Powinna pani przedsięwziąć stanowcze kroki – przekonywał. – Co pani

woli? Zostać w domu i czekać, aż wydarzy się katastrofa? Czy opuścić dom i

pojechać do Paryża?

– Ale matka nigdy na to nie pozwoli.

– No, tak.

RS

24

Faktycznie. Matki młodych dziewcząt przeważnie nie zgadzały się na tego rodzaju eskapady.

– W takim razie proszę nic jej nie mówić – poradził. – Mogłaby pani opuścić dom, zostawić list, tak się chyba robi, i wyjawić w nim swoje zamiary.

Do chwili kiedy ona go przeczyta, pani będzie już na promie do Calais.

– Och, nie mogłabym! Naprawdę, nie mogłabym tego zrobić! Jednak już czuła, że mogłaby tak postąpić, a na dwa dni przed planowanym wyjazdem Jerome'a z High Hall takie rozwiązanie wydawało się nie tylko możliwe, ale wręcz idealne. Wszystko było

lepsze od
pozostawania pod jednym dachem z ojczymem. A jeżeli jechać, to gdzie
indziej, niż do światowego centrum sztuki i wzornictwa, tej pochodni
cywilizacji i sztuki zdobniczej, Paryża?

RS

25

2

Już pierwsze zetknięcie z Paryżem wystarczyło, by Gwen zapomniała o wyrzutach sumienia z powodu swojego postępu. Ból sprawiony matce, skandal wiążący się z ucieczką—wszystko to było niczym wobec uczucia, że

wraca do ojczyzny, kiedy wieziono ją do *La Ville Lumiere*.

Jej ucieczki nie zakłóciły właściwie żadne wypadki. Kiedy rodzina poszła

wcześnie spać, wykradła się z domu o wpół do jedenastej wieczorem. O północy wsiadła już do pociągu w Londynie na stacji Victoria. Czekał tam na

nią Jerome, który znalazł się w Londynie wcześniej, żeby poczynić przygotowania.

Wyczerpana czterema dniami pełnymi napięcia, Gwen spała smacznie w swojej luksusowej kajucie, pomimo iż morze było wzburzone. Koło doków

Calais czekał na nich szofer w charron—renault. Do Paryża przyjechali późnym

rankiem w zimny, słoneczny dzień lutowy. Na tle matowobłękitnego

nieba

odcinały się nagie konary drzew.

– Jak tu ślicznie! – westchnęła Gwen, kiedy jechali wzdłuż avenue de Neuilly w kierunku placu Gwiazdy.

Jerome uśmiechnął się.

– *C'est mon village* – mruknął pieszczotliwie i chociaż Gwen słabo znała francuski, zrozumiała, że powiedział: „To moje miasto rodzinne”.

Zabrał ją do spokojnego, zwyczajnego hotelu w Dzielnicy Łacińskiej, o nazwie Hotel des Saints-Peres. Najwyraźniej spodziewano się ich przybycia,

gdyż natychmiast zaopiekowano się ich bagażem, choć składał się on jedynie z

małej torby i walizeczki, a powitała ich sama właścicielka hotelu, która po

dłuższej rozmowie z Jerome'em zwróciła się go Gwen.

RS

26

– Dzień topry, pani. Jestem madame Garzier, ja mieć ten hotel.

Monsieur

de Labasse proponuje, żeby pani tu... zaczynała? Zaczynała się u nas.

A

potem pójdziemy do miasto, kupić ubrań.

Gwen momentalnie zaniepokoiła się.

– Ale ja mam tylko angielskie pieniądze, monsieur de Labasse.

I to nie za wiele – pomyślała, przypominając sobie, że ma niecałe dziesięć funtów.

– To można załatwić. Madame zapłaci za ubranie, a ja oddam jej pieniądze.

– Ale to oznacza... to oznacza...

Gwen wpojono zasadę, że dama nie przyjmuje prezentów w postaci pieniędzy czy ubrań od mężczyzny, który nie jest jej mężem albo bratem.

– Proszę się tym nie przejmować – powiedział Jerome uśmiechając się, jak gdyby po części aprobował jej naiwność. – Bez wątpienia potrzebuje pani

odzieży, więc będziemy notować wszystkie wydatki, a ja potrączę je potem przy

rozliczeniu. Zgoda?

– Och, tak. Dziękuję.

Madame Garzier, która nie rozumiała ich rozmowy, była pewna, że pan de Labasse zapłaci za wszystko jak dotychczas, a Angielka to nowa jego towarzyszka. A jednak coś tu nie grało. Dziewczyna nie miała stylu, prezencji.

Chociaż była całkiem ładna i miała wspaniałe włosy oraz piękne szarozielone

oczy, nie próbowała wykorzystać tych atutów. Francuzka dobrałaby ubiór tak,

aby podkreślić rumieńce, trochę przyciemniłaby rzęsy, z pewnością nałożyłaby

modniejsze buty i pończochy, chociaż angielski płaszcz z tweedu miał coś z *le*

gout sportif.

RS

27

– Teraz zostawiam panią w rękach madame Garzier – powiedział Jerome.

– Muszę wrócić do domu i dopilnować paru rzeczy. Później do pani przedzwonię, powiedzmy, o piątej?

Wziął dłoń Gwen i ucałował ją na pożegnanie, ale raczej z galanterią niż z demonstracyjnym uczuciem. Dziewczyna pomyślała, że przez cały czas

zachowywał się bardzo poprawnie – był opiekuńczy, przyjacielski i pełen

szacunku. Jej matka określała takich ludzi mianem uroczych mężczyzn.

Madame zaprowadziła ją na górę, by pokazać jej pokój i rozmaite udogodnienia. Główne wyposażenie pokoju stanowiły ciężkie mahoniowe

meble, ale było tam również duże łóżko z piernatem i wieloma poduszkami. Na

marmurowej umywalce stała miednica i dzbanek.

Kilka drzwi dalej znajdowała się łazienka. Później Gwen miała się przekonać, że rezerwuar szumiał przy pociągnięciu za sznurek, a ilekroć ktoś

brał kąpiel, w rurach całymi godzinami słychać było bulgotanie wody.

Ale na

razie zachwycała się roślinnymi ornamentami na glazurze i ozdobnymi kranami z mosiądzu.

– Jak już pani rozpakuje, to ja podam kawę na dole. A potem wyjdziemy

do *grands magasins* po ubrania. Może by pani srobiła lista, co chce kupić?

– *Merci infiniment* – odparła Gwen, uznając, że przyszła pora, by wypróbować szkolną znajomość francuskiego.

Zdaje się, że popełniła błąd. Madame Garzier rozpromieniła się i zaczęła mówić, jakby odtąd zakładała, że Gwen rozumie potok jej słów i potrafi udzielać odpowiedzi. Ale być może miało to i swoje dobre strony: Gwen będzie zmuszona do mówienia w obcym języku.

Po zjedzeniu ciasteczek i wypiciu kawy w saloniku madame Garzier, obie

panie wyszły na zakupy – Gwen w angielskim tweedzie, a madame w futrze z

bobrów, które spowijało jej potężną sylwetkę. Jej siwe, wymyślnie ułożone

RS

28

włosy przykrywał toczek z brązowego aksamitu. Nie była ładną kobietą, ale

ascetyczna elegancja dodawała jej urody, a małe stopy – tęższa figura często

idzie w parze z małymi stopami i szczupłymi kostkami rozkosznie migały w

czasie spaceru na stację metra.

Dla Gwen wszystko było nowe i wspaniałe. Ogromnie spodobało jej się metro z zielonymi bramkami oraz groźnymi paniami, które kasowały bilety.

Wysiadła z madame na stacji Chaussee d'Antan i znalazła się w otoczeniu dużych sklepów.

– *Alors!* – wykrzyknęła madame i rzuciła się do najbliższego domu towarowego. Kupiły spódnice i bluzki z pięknych materiałów o nienagannym

kroju, wiele par pończoch z jedwabiu i merceryzowanej bawełny, a także trzy

pary butów – chociaż Gwen protestowała twierdząc, że jedna w zupełności

wystarczy – oraz płaszcz z ciemnozielonej ratyny.

– Ten kolor pasuje do pani włosów – pouczała ją madame. – Powinna pani często nosić zielone rzeczy, a także niebieskie i szare. Sądzę jednak, że

należałoby unikać brązu, beżu i bursztynu, a już na pewno różu i czerwieni.

Zważywszy na barwę włosów, wyglądałaby pani, jakby ciągle miała gorączkę.

No dobrze, teraz pójdziemy do działu z bielizną.

– Nie, nie, przywiozłam bieliznę...

– Ach, angielska bielizna! Pójdziemy do działu z bielizną.

– Nie, madame, zdecydowanie nie!

Madame Garzier nie mogło się to pomieścić w głowie. Na początku romansu powinno się kupować jak najwięcej na koszt kochanka.

Wiadomo, że

mężczyzna wkrótce zaczyna się skarżyć na rozrzutność i potrzebę oszczędnego

trybu życia. Zdaniem madame, kochankowie zrywali ze sobą przede wszystkim z przyczyn finansowych, aczkolwiek ważnym powodem mogła być

także zazdrość.

RS

29

W sklepach obiecano dostarczyć zakupione towary jeszcze tego wieczoru.

Następnie obie kobiety udały się na lunch do restauracji przy avenue de l'Opera, gdzie madame zamawiała jedzenie i wino z taką władczością, że kelnerzy kłaniali jej się w pas.

Taki sposób poznawania Paryża był chyba najlepszy. Gwen weszła w codzienny rytm życia. Nigdy nie obserwowała Paryża z pozycji turystki – od

samego początku miasto stanowiło część jej życia.

Lunch pochłonął tak dużo czasu, że ledwo zdążyły wrócić do domu, by odebrać telefon od Jerome'a.

– Jak się udały zakupy? Dostała pani wszystko, czego pani potrzebowała?

– zagadnął.

– Mam znacznie więcej rzeczy, niż mi potrzeba! Madame Garzier myślała chyba, że mamy zamiar kupić całą garderobę.

A nie zrobiłyście tego? – zapytał w duchu Jerome. Przynajmniej powinny

rozpocząć kompletowanie nowej garderoby. Na razie jednak nie Poruszał tego tematu.

– Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, pomyślałem, że zabiorę panią na kolację, a później udamy się do nocnego lokalu...

– Do nocnego lokalu? Ale ja nie mam żadnej sukni wieczorowej,

monsieur de Labasse.

– Nie kupiłyście żadnej sukni?

– Nie było takiej potrzeby, monsieur. Mam jedną w domu. Właśnie dzisiaj zamierzam napisać do matki i poprosić ją o przysłanie paru rzeczy.

– Poda pani matce swój adres? – Oniemiał ze zdumienia, był bowiem pewien, że dziewczyna nie wyjawi, gdzie mieszka, przynajmniej w ciągu kilku najbliższych tygodni.

– Oczywiście. W przeciwnym razie okropnie by się martwiła.

RS

30

– Ale... ale, jeśli dowie się, gdzie pani jest, z pewnością tu przyjedzie i zabierze panią do domu.

– Moja matka?

Gwen wiedziała, jak absurdalna była taka obawa. Od chwili zamążpójścia

przed dwudziestu laty jej matka nie ruszyła się z domu dalej niż Burnham-on-

Crouch na letnie wakacje. Nawet wizytę u dziadków w Machynlleth traktowała

jak wielką wyprawę.

– Ale może pani ojczym... ?

– Wally nie zostawiłby interesu. Naprawdę, nikt tu nie przyjedzie, żeby mnie szukać. A ja, niezależnie od wszystkiego, nie mogę pozwolić na to, żeby

moja matka się niepokoiła.

– Czy ona jednak będzie wiedziała, jak przesłać pani ubrania do innego kraju? – odważył się zapytać, wciąż mając nadzieję, że już nigdy nie ujrzy tej okropnej różowej sukni z ałasu, którą Gwen miała na sobie podczas kolacji w High Hall.

– Naturalnie, że tak. My często wysyłamy meble za granicę. Czy Gwen lubiła te okropne ubrania? Czyżby nie wiedziała, jak bardzo psują jej śliczne kształty i nie pasują do jej bladej cery i olśniewających włosów? Przecież miała tu zostać przynajmniej pół roku. Będzie czas, żeby oddać ją w ręce którejś z jego dojrzałych przyjaciółek. Nie miał zamiaru pokazywać się w Paryżu ze źle ubraną kobietą.

– Rozumiem... Jednakże madame Garzier kupiła pani trochę ładnych rzeczy?

– O, tak, prześliczny płaszcz; właśnie taki, o jakim marzyłam. I cudowną bluzkę...

Urwała, zastanawiając się, czy wypada rozmawiać z mężczyzną o ubraniach.

Nie wiedziała jeszcze, że mężczyźni w Paryżu naprawdę interesowali się

RS

31

garderobą swoich wybranek, a także nie miała pojęcia, że Jerome uważa ją za jedną ze swoich kobiet.

Jerome poczuł ulgę słysząc, że Gwen kupiła jednak jakieś przyzwoite ubrania. Zrezygnował z myśli o nocnych lokalach, ale wyobraził sobie, że siedzi z Gwen w restauracji przy świecach i patrzy na jej lśniące rdzawe loki...

– Cóż, wybierzmy się zatem na spokojny *diner-a-deux* – zaproponował.

– Powiedzmy, że przyjadę po panią około ósmej...

– To niezwykle uprzejme z pana strony, ale proszę nie myśleć, że ma pan

obowiązek troszczyć się o mnie czy też zapewniać mi rozrywki. Poza tym,

szczerze mówiąc, padam ze zmęczenia. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pójdę

spać wcześniej.

Kiedy mówiła te słowa, wyobrażała sobie talerz gorącej zupy i szkicownik leżący na stole. Potem długa gorąca kąpiel i łóżko...

Jerome de Labasse poczuł się zbity z tropu. Wiedział, że go lubiła.

Wyczytał to z jej twarzy, kiedy poprosiła go o jakąś wskazówkę w trakcie

podróży. Dlaczego nie miała ochoty pójść z nim na kolację? Była zmęczona,

oczywiście, on również odczuwał znużenie, tym bardziej więc powinni zjeść

razem kolację, odprężyć się przy posiłku i winie. Potem ona rzuci mu się w

ramiona i pójdzie z nim do łóżka.

Wydawało się jednak, że jeszcze nie przyszła na to odpowiednia pora.

Po

raz kolejny powtórzył sobie, że ma dużo czasu. Westchnął i musiał się przyznać do chwilowej porażki.

– Rozumiem – powiedział. – No cóż, wobec tego zobaczymy się jutro.

Mam nadzieję, że zechce pani obejrzeć moje pokoje. Musimy w końcu zdecydować, które z nich będzie pani urzędowała, prawda? Czy możemy się

umówić na dziesiątą?

– Dobrze. Ale nie podał mi pan adresu ani wskazówek, jak tam dotrzeć.

RS

32

– Naturalnie, przyślę po panią samochód.

– Och, rozumiem. Dziękuję.

– *A demain, alors.* Dobranoc, mademoiselle, przyjemnych snów.

Okazało

się, że talerz zupy trzeba zamówić w pobliskiej restauracji, ponieważ w hotelu des Saints-Peres nie było ani restauracji, ani kuchni. Madame podawała swoim gościom jedynie śniadanie, które, jak się przekonała

Gwen, składało się ze świeżej, choć zbyt przesyconej cykorią kawy, ciepłych rogalików, masła i miodu.

Kiedy przyjechał samochód, była już gotowa. Włożyła nową bluzkę, spódnicę i buty, a przez ramię przewiesiła płaszcz kupiony wczoraj.

Madame i

stary portier stali i podziwiali zarówno Gwen, jak i limuzynę. Drżąc z podniecenia, wsiadła do samochodu, który pomknął zatłoczonymi uliczkami

Dzielnicy Łacińskiej, by przejechać na prawy brzeg i dotrzeć szerokimi ulicami, wysadzanymi drzewami, do avenue Foch. Próbowwała zanotować

nazwy stacji metra, żeby móc trafić do domu hrabiego, korzystając z miejskiej

komunikacji. Nie wiedziała, że de Labasse miał nadzieję, iż wkrótce nie

będzie
jej potrzebny żaden środek komunikacji, gdyż zamierzał ulokować ją w
swoim
apartamencie.

Mieszkanie Jerome'a stanowiło jedno skrzydło ogromnej rezydencji i
znajdowało się w pełnym pięknych drzew ogrodzie, otoczonym murem.

Do
bramy wejściowej prowadził podjazd. Szofer przekazał dziewczynę
mężczyźnie, który miał na sobie coś w rodzaju liberii – delikatnie
pikowaną
czarną kamizelkę z guzikami z masy perłowej i satynową koszulę.

Powitał ją z
poważną miną. Dowiedziała się później, że był to służący hrabiego.

Wziął od
niej płaszcz i kapelusz i próbował zrobić to samo z jej teczką. Ale Gwen
nie
chciała wypuścić jej z rąk.

– Dziękuję, będzie mi potrzebna.

RS

33

Służący uparł się jednak, żeby ponieść teczkę i wyręczyć gościa.

– Tędy, mademoiselle.

Szła za nim wzdłuż korytarza, a później kręconymi schodami na górę,
by

znaleźć się w dużym, pięknie umeblowanym pokoju. Następny pokój, z
empirowymi meblami i ścianami obitymi szkarłatnym jedwabiem, był

Jeszcze

piękniejszy. Za ozdobnym biurkiem, na którym leżały zwoje sukna, czekał na nią Jerome.

– Dzień dobry, mademoiselle, jak się pani dzisiaj czuje? Czy dobrze Pani spała?

– Tak, dziękuję. I dziękuję również za wysłanie samochodu.

– To będzie wszystko, Tibau – powiedział Jerome i odprawił służącego.

–
Proszę usiąść i popatrzeć. Kazałem Tibau przynieść próbki materiałów, które dotychczas wybrałem. Być może one dadzą pani jakieś wyobrażenie o moich gustach.

Wśród materiałów dominował gruby błyszczący jedwab. Kolory były stonowane – beżowy, jasnozielony, kość słoniowa, perłowy.

– Chciałby mieć pan o wiele jaśniejsze wnętrza niż do tej pory?

Przynajmniej w pokojach, które zobaczyłam.

– Dokładnie tak. Pozostałe są równie mroczne. Jest ich jedenaście, nie licząc pomieszczeń dla służby. Za chwilę oprowadzę panią po nich, ale najpierw pokażę pani kilka czasopism.

Odsunął zwój materiału, pod którym leżały dwa lub trzy egzemplarze *L'Illustration*.

– To jest francuski magazyn, który współpracuje z bardzo dobrymi projektantami...

– A tak, widziałam go...

– Zna pani *L'Illustration*? – zapytał ze zdumieniem.

RS

34

– Ależ oczywiście! Można go kupić w Londynie przy Charing Cross Road. Ilekroć tam byłam, udawało mi się go dostać. Widzi pan...

– Chwileczkę.

Podniósł palec niemal w ostrzegawczym geście i Gwen przerwała, nawet

nie zamykając ust. Od razu pomyślał, że są to bardzo kuszące usta.

– Czy możemy od dzisiaj zgodzić się na to, że będzie mi pani mówiła po imieniu? Po prostu Jerome. Będziemy pracowali razem przez kilka miesięcy.

Sądzę, że zostaniemy przyjaciółmi, nieprawdaż?

– O tak, pa... to znaczy Jerome. Mam wrażenie, że już jesteśmy przyjaciółmi.

Czy mam ją teraz pocałować? – zastanawiał się Jerome. – Może jednak nie. Jest rano, dopiero kwadrans po dziesiątej. Pomyśli, że to trochę za wczesna

pora na zaloty.

– A czy ja mogę mówić do pani Gwen? – zaproponował.

– Tak, bardzo proszę.

Wymówił jej imię w uroczy sposób, zmiękczając pierwszą spółgłoskę, co

wydawało się typową francuską naleciałością. Usiedli obok siebie za biurkiem

i przewracali stronicie magazynów, zwracając uwagę na oryginalność artykułu

wstępnego i części poświęconej reklamom.

– Widzisz, kiedy wróciłem z Japonii, odkryłem, że projektowaniem zaczynają się interesować najwięksi artyści – wyjaśnił Jerome. –

Zapewne

zaczęło się to już jakiś czas temu: Toulouse–Lautrec rysował plakaty dla

„La

Revue Blanche", a Bakst projektował kostiumy dla rosyjskiego baletu.

Po

powrocie z zagranicy uderzyło mnie to, jak wiele nowatorskich pomysłów

pojawiło się w biżuterii, wyrobach meblarskich i ceramice.

Interesowałem się

tym, ponieważ w Japonii, no, wiesz, nawet najmniejszy drobiazg

odznacza się

pięknym wykonaniem: chochelki do zupy, szczeble koła wodnego,

nakrycia

RS

35

noszone na głowach przez wieśniaków, wszystkie te przedmioty są na swój

sposób małymi dziełami sztuki.

– Jakie to wspaniałe i brzmi tak pięknie!

– Bo jest piękne. Japonia to raj. Ale moja żona miała na ten temat inne zdanie; nie odpowiadał jej klimat i wróciła do kraju. A później wybuchła wojna, więc próba powrotu byłaby z jej strony nierozsądna. No, a potem zaczęła się epidemia grypy. To właśnie z powodu śmierci żony

powróciłem do
ojczyzny i ostatecznie zdecydowałem, że nie odpowiada mi życie
dyplomaty.

– Co więc zamierzasz robić? – zapytała współczująco.

– Robić?

Prawdę powiedziawszy, nie musiał robić nic. Ale wyczuł, że tego
rodzaju

wyjaśnienie by ją rozczarowało.

– Zaczynam się interesować nowymi talentami w sztukach zdobniczych.
Wiesz, że mamy szkołę, L'Ecole des Arts Decoratifs, którą od niedawna
określa się slangowym wyrażeniem *Art Deco*.

Kiwnęła potakująco głową. Sama odczuwała coraz większą fascynację
obecnym stylem. Był nowoczesny, płynny, pełen ruchu, który kojarzył
się z

tanecznymi rytmami.

Oprowadzenie po domu trwało aż do lunchu. Wówczas pojawił się
Tibau,

by obwieścić, że podano do stołu. Pokój jadalny, którego okna
wychodziły na

wschód, wypełniało chłodne, południowe światło zimy. W jego blasku
złocenia

i śliwkowy welur nabierały zgoła żalobnego charakteru.

– W t y m pokoju potrzebne jest azjatyckie ciepło! – wykrzyknęła Gwen.

– Trochę tego przymglonego jedwabiu na ścianach, jak poranek na
brzegu

Oceanu Indyjskiego. I egzotyczne rośliny, jak nad tropikalną sadzawką
lotosy.

– Wykonane z masy perłowej, z dużymi żółtymi środkami...

RS

36

– I meble z jakiegoś jasnego drewna, żeby przywodziły ci na pamięć
pnie
palm...

– Tak, z akcentami spokojnej zieleni, jak liście palm...

– Z zamszu...

– ... do krzeseł w pokoju jadalnym. I zasłony z żółtego i bladozielonego
materiału: widziałem taki w warsztatach Paula Dumasa, ale nie przyszło
mi do

głowy, żeby wziąć próbkę...

– Czy mogłabym to obejrzeć? – zapytała ochoczo Gwen.

– Oczywiście. Pójdziemy tam dziś po południu. Tibau, zadzwoń do pana
Dumasa i powiedz, że będziemy w jego warsztacie około trzeciej.

– Dobrze, monsieur.

– I sprowadź samochód.

– Tak, monsieur.

Gwen zrobiła miejsce obok talerza, by położyć tam kartkę ze swojego
szkicownika.

– Drzewo afrozji – mruzczała do siebie. – Końce stołów wygięte niczym
liście palmy, ale nie za bardzo, bo wyglądałoby to zbyt ozdobnie... Nie,
to

powinien być okrągły stół – stwierdziła, rozglądając się po pokoju. Nie,
okrągły stół tutaj nie pasuje. W takim razie owalny... Jerome, co o tym
sądzisz?

– Dlaczegoż by nie.

Właściwie wydłużony owal, jak w liściu palmy... – mówiąc to, rysowała bez przerwy. – I jeszcze krzesła, widzisz, ich oparcia będą również w kształcie

wydłużonego owalu... coś w tym rodzaju.

Podowała mu szkic, na którym narysowała stół w kształcie podłużnego liścia, widziany z góry i z boku, a obok uproszczoną wersję krzesła. Jego oparcie składało się z cienkiej pionowej deseczki, z której odchodziły inne

listewki, co przypominało żyłki liścia.

The image shows the letters 'R' and 'S' in a large, bold, dark red serif font. The 'R' is on the left and the 'S' is on the right, both rendered in a classic, slightly stylized typeface.

37

– Ależ to wygląda niesamowicie! – zawołał Jerome. – Nikt w Paryżu nie ma takich mebli!

– Nogi stołu... Nie wiem, jakie mają być nogi stołu...

– W jadalni potrzebny byłby kredens, żeby służba mogła wystawiać jedzenie...

– Jeszcze nie potrafię sobie tego wyobrazić – mówiła gorączkowo. – Wciąż myślę o nogach od stołu. Muszę zrobić kilka szkiców. Zajmę się tym

dzisiejszego wieczoru. Problem polega na tym, że po opracowaniu projektu

powinnam rozrysować plan całej roboty, a w moim pokoju w hotelu nie ma

wystarczająco dużo miejsca.

– Och, musisz pracować tutaj – oświadczył natychmiast Jerome. – Tu jest

mnóstwo pokojów.

– Ale są pełne mebli, Jerome...

– Jeden da się z łatwością uprzątnąć. A poza tym jest strych... Nie, tam byłoby za zimno. – Nagle klepnął się ręką w czoło, uderzony jakąś myślą. –

Wiem! Ciepłarnia! Jest cała ze szkła, więc światło...

– Ale rośliny przesłaniałyby...

– Nie, nie, tam jest winorośl, która jeszcze nie wypuszcza nowych pnączy. Na razie byłoby to idealne wyjście: jest tam trochę krzeseł ogrodowych i innych takich sprzętów, ale każę to wszystko usunąć. Stół do

rysowania! Potrzebujesz takiego stołu? Zaraz powiem Tibau, żeby go zamówił!

Była zbyt pochłonięta projektami, żeby uświadomić sobie, iż wszystko tu

się załatwia bez liczenia się z kosztami. Dopiero później, po powrocie do

hotelu, odtworzyła wydarzenia całego dnia i pojęła, że Jerome musi być nieprawdopodobnie bogaty. Gotów jest także wydawać pieniądze na swoje

artystyczne pasje.

RS

projektowała. Wcześniej usłyszała coś podobnego od Martina Grovesa i niektórych klientów przychodzących do warsztatu w St Albans. Ruch nazywany przez Jerome'a *art deco* zyskiwał nowych zwolenników; byli tacy,

którzy pragnęli go propagować, przeciwstawiając się konwencjom i tradycji, a także popierając nowe talenty.

Kiedy u Dumasa wybrali już materiał na zasłony, Jerome uparł się, żeby wykupić wszystkie jego próbki, i zapłacił słoną cenę, byleby tylko nikt inny nie

mógł nabyć tej samej tkaniny. Gwen wydawało się to trochę śmieszne, nawet

wręcz dziecinne. Jakie znaczenie miało to, że inni ludzie mogliby wykorzystać

ten sam wzór? Skoro wzór jest dobry, to chyba lepiej, że częściej się go stosuje? Ale nie, Jerome pragnął mieć żółte i zielone sukno od Dumasa na

wyłącznie. Podobnie jak krzesła do jadalni i stoły, których kształt inspirowany był liśćmi palmy. Jerome de Labasse zawiózł Gwen do prawnika i podyktował tekst nader hojnego kontraktu, na mocy którego 26

przez dwa lata miał prawo wyłączności do wszelkich projektów opracowanych

przez Gwen Whitchurch w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.

– Potem możesz oczywiście wykonać dowolną liczbę kopii, Gwen.

Twierdzą, że jeśli zostaniesz w Paryżu, nie zabraknie ci klientów. Kiedy przyjaciele zobaczą moje pokoje, urządzone przez ciebie, pozazdroszczą mi

tego, a twoje wyroby zaczną się cieszyć wzięciem.

– Skąd ta pewność, że będą ci zazdrościć? – zagadnęła, kręcąc głową. – To, co robię, może im się nie podobać.

– Nie bądź głupia! Paryżanie umieją się poznać na talencie i oryginalności.

Poza tym jestem znany z tego, że lubię nadawać ton. To właśnie ja zapoczątkowałem szal na japoński lakier. Zobaczysz, że kiedy

skończysz pracę

RS

39

u mnie, będziesz rozchwytywana. Może nawet zaproponują ci pracę u Ruhlmana.

- Praca w jego pracowni? Nie rozumiem, o co chodzi.
- Otóż ma on duże pomieszczenie, gdzie ekipa projektantów...
- Chcesz powiedzieć, że inni ludzie robią dla niego projekty?
- Tak. Należy do nich między innymi Chanaux.
- Nigdy nie słyszałam o Chanaux.
- Nie, bo ich prace powstają pod szyldem pracowni Ruhlmana.
- To mi się nie podoba – powiedziała stanowczo Gwen. – To, co tworzę, sygnuję własnym nazwiskiem, niczym innym.
- Ale pracować w dużej pracowni w Paryżu...
- O, nie, dziękuję. Albo odniosę sukces samodzielnie, albo wrócę do St Albans i tam zapracuję na swoje nazwisko.

Kiedy mówiła te słowa, uświadomiła sobie, że tego dnia skryształizowały się jej ambicje. Gdyby przedtem ktoś zapytał ją, czego pragnie w życiu, odpowiedziałaby, że do szczęścia wystarczy jej robienie kanap i sekretarzyków. Teraz Jerome mimowolnie otworzył jej oczy. Przekonała się,

że kariera stoi przed nią otworem – projektowanie i wyrób mebli dla ludzi

obdarzonych nie tylko dobrym smakiem, ale i majątkiem, umożliwiającym spełnianie zachcianek.

Paryż był z pewnością stosowniejszym miejscem do zyskania rozgłosu niż St Albans w Hertfordshire. Tam знаła ją mała grupa klientów. Po jakimś czasie byłaby prawdopodobnie sławna. Zawsze jednak krępowały ją specyficzny stosunek Brytyjczyków do młodych twórców. Ciągle musiałaby wyjaśniać, że pracuje w warsztacie stolarskim od dziesiątego roku życia, więc pomimo młodego wieku ma za sobą lata praktyki. Natomiast w Paryżu młodość jest atutem. Ludzie prawdopodobnie mówiliby o niej, że jest

RS

40

samorodnym talentem i nie byłoby istotne, że nie ma żadnego wykształcenia artystycznego.

Tej nocy poszła spać bardzo późno, spędziwszy wiele godzin na projektowaniu. Nie mogła się doczekać następnego dnia, żeby wrócić do wielkiej rezydencji przy avenue Foch i ustalić skalę, w jakiej powinny być wykonane meble.

Zgodnie z obietnicą Jerome przygotował cieplarnię. Czekał w holu, żeby zaprowadzić ją tam osobiście. Na jednej z pobielonych ścian pięły się wielkie pnącza starej winorośli. Poza tym usunięto z pomieszczenia wszystko, z wyjątkiem piecyka w rogu. Posadzka była wyłożona kafelkami, a szklane tafle

opierały się na konstrukcji z kutego żelaza – gdyby nie ogrzewanie, winorośl

nie mogłaby się rozwijać.

Pośrodku znajdował się stół kreślarski, do którego przymocowano lampę oraz wyściełane krzeselko. Na biurku leżała walizeczka z przyborami: węgielnicą, kątomierzem, stalową linijką.

– Nie byłem pewien, czy zabrałaś swoje przybory...

– Dziękuję, rzeczywiście, mam przy sobie wszystko oprócz węgielnicy, której po prostu nie mogłam zapakować.

– No tak, trudno byłoby wcisnąć coś takiego do torby – roześmiał się Jerome. – Jeżeli tylko będziesz czegoś potrzebowała, po prostu daj znać Tibau.

– Dziękuję.

– A teraz chodźmy na kawę, a przy okazji pokażesz mi swoje rysunki.

Udali się do saloniku na pierwszym piętrze. Kiedy usiedli przy kawie, Jerome wziął do ręki szkice stołu i krzesel.

– Są wspaniałe! Właśnie takich projektów oczekiwałem! Co do pączków lotosu, nie musimy ich ujmować... – powiedział po chwili namysłu.

– Ale pomyślałam sobie zeszłej nocy, że mogłyby być lampami.

RS

41

– Lampami!

– Tak, lampami ściennymi, których abażury będą w kształcie płatków lotosu.

– Dobrze, dobrze...

– I wiesz, pomyślałam jeszcze... Skoro chcemy osiągnąć azjatycki

wygląd wnętrza, to może byśmy umieścili żaluzje na trzcinach, podobnie jak zasłony z materiału Dumasa? Co prawda, nigdy jeszcze nie stosowałam trzciny, ale moglibyśmy poprzetykać trzcinę przez rolety i powiązać ją sznurkami.

Gwen wyjęła kolejny rysunek, na którym naszkicowała rolety i paski trzciny widoczne po ich wewnętrznej stronie, co dawało efekt płynięcia egzotycznego statku. Jerome tylko kiwał głową.

W ten sposób Gwen stała się niepostrzeżenie odpowiedzialna nie tylko za

meble, ale także za całkowity wystrój pokoju. Z początku Jerome zamierzał

decydować o wszystkim samodzielnie, lecz należał do ludzi, którzy muszą

najpierw zobaczyć, by dokonać wyboru.

Po wypiciu kawy do pokoju przyszedł Tibau, by pomóc Gwen dokładnie wymierzyć pomieszczenie. Jerome przyglądał się ich pracy aż do południa, po

czym powiedział, że jest umówiony z kimś na lunch.

– Ale Tibau poda ci lunch i wszystko, czego sobie zażyczysz, w twojej pracowni. Obok drzwi jest dzwonek, wystarczy go przycisnąć, a zaraz pojawi

się służba. Rzecz jasna, że skoro będziesz tu pracowała całym tygodniami,

musisz czuć się absolutnie swobodna. Możesz przychodzić i wychodzić, kiedy

zechcesz. Służba wpuści cię o każdej porze.

– Dziękuję, Jerome.

Na pożegnanie pocałował ją w rękę.

RS

42

– Ta sprawa przybiera dla mnie zupełnie nieoczekiwany obrót – powiedział, wpatrując się w nią z podziwem. – Ale jestem taki zadowolony, że się poznaliśmy!

Uznała tę uwagę za dość osobliwą. Zupełnie nieoczekiwany? Przecież sprowadził ją tu po to, żeby zaprojektowała mu meble do apartamentu, i właśnie tym się zajmowała, czyż nie?

Zagadka wyjaśniła się w dwa tygodnie później. Była mniej więcej piąta po południu, a ponieważ dzień był pochmurny, Gwen pracowała przy lampce,

co trochę ją męczyło; postanowiła więc dać sobie spokój z rysowaniem. Ale

perspektywa powrotu do hotelu des Saints–Peres jakoś jej nie pociągała. Na ogół jadła kolację w którejś z kafejek przy pobliskiej ulicy. Były niedrogie i oferowały smaczne dania oraz pogodną atmosferę, ale chociaż

Gwen robiła wielkie postępy w nauce francuskiego, wciąż nie miała odwagi

przyłączyć się do ożywionej rozmowy, która toczyła się ustawicznie przy stolikach.

Czuła się w Paryżu osamotniona. Parę razy płakała przed zaśnięciem po prostu z tęsknoty za domem. Zauważyła, że czasami w kawiarniach uśmiechają

się do niej młodzi mężczyźni. Zrozumiała, że wystarczyłoby tylko odwzajemnić im uśmiech, by mieć przyjaciela, *un ami*, ale to słowo w Paryżu

wydawało się oznaczać coś innego. Kobiety z reguły ignorowały obecność

Gwen. Zapewne nie wyglądała dość szykownie, by je zainteresować.

Uznały ją

za bezguście, gdyż ubierała się przeważnie w angielskie rzeczy domowego

wyrobu, nadesłane przez matkę.

Szła głównym korytarzem, żeby zabrać płaszcz, kiedy zjawił się przed nią Tibau.

– Mademoiselle, czy skończyła już pani pracę?

– Tak.

RS

43

– Monsieur de Labasse prosił mnie o przekazanie pani wiadomości, że bardzo by się ucieszył, gdyby weszła pani na górę. Jest u niego kilku przyjaciół, którzy wpadli na *le five o'clock*. Chciałby, żeby pani ich poznała.

Le five o'clock stanowił paryski odpowiednik popołudniowej herbaty.

Jedną z rzeczy, której brakowało Gwen najbardziej, była filiżanka dobrej angielskiej herbaty, poza tym miała szansę poznania paru artystów francuskich.

Przyjęła zaproszenie z radością i poszła za Tibau do saloniku, skąd dobiegała

ją wesoła paplanina.

– Przyprowadziłem mademoiselle, monsieur.

– Ach, Gwen, wspaniale. Chodź, chcę cię przedstawić kilku przyjaciółom

projektantom. Oto moja mała protegowana, Gwen Whitchurch – zwrócił się do

nich, prezentując Gwen.

– Viicza? A cóż to za nazwisko? – zagadnął pulchny młodzieniec, machając rękami ze zdumienia.

– Ten człowiek, który nie potrafi wymówić twojego nazwiska, to Gaston Arriac: robi srebro stołowe. Towarzysząca mu dziewczyna, Sybille Lespancon,

projektuje materiały na suknie dla Poireta. Ta blondynka obok niej to Valerie,

zajmuje się ceramiką i rzeźbą ogrodową. Erik jest grafikiem, a to Jean-Luc...

Jerome wyliczył osiem nazwisk, prawie za każdym razem wymieniając nazwę zawodu związanego ze sztuką dekoracyjną. Gwen witała się z kolejnymi

osobami, a następnie usiłowała odpowiedzieć na liczne pytania, które jej zadawali świeżo poznani przyjaciele Jerome'a. Czy proponowała wynajęcie

Dauma do wykonania lotosowych lamp? Co do zamszu na obiciach krzeseł:

czy nie sądzi, że jego mechata powierzchnia jest niepraktyczna? I czy nie

uważa, że trudno będzie podnosić i opuszczać projektowane przez nią rolety?

Próbowała dać sobie radę z odpowiedziami za pomocą łamanej francuszczyzny. Tibau przyniósł jej filiżankę herbaty i talerz małych

RS

44

kanapeczek *a l'anglaise*. Natychmiast się nimi zajęła, by uciec przed tą onieśmielającą grupą krzykliwych, pewnych siebie, wścibskich osób.

Nie

przywykła do dyskusowania o zaletach swoich prac. Albo podobały się klientowi, albo nie, a jeżeli trudno było sprzedać jakiś mebel, Wally niezwłocznie nakazywał go zdjąć z wystawy warsztatu w St Albans.

Wprawdzie nadal miała problemy z doбором słów francuskich, ale już rozumiała wszystko, co się do niej mówiło w tym języku. To, że odpowiadała z

takim wahaniem, przekonało gości Jerome'a, iż opanowała francuski w minimalnym stopniu. Bez wątplenia z tego właśnie powodu dwie dziewczyny,

chyba Sybille i Toinette, zaczęły rozmowę na temat Gwen, nie krępując się jej

obecnością.

– Ta *Anglaise* jest ładniejsza, niż się spodziewałam. Ktoś mi mówił, że ma dość pospolitą urodę, ale nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Jerome zadawał się z taką dziewczyną. Tobie też trudno by było w to uwierzyć, prawda?

– Słyszałam, że podziwia jej talent, a nie urodę.

– O tak, równie dobrze mogłabyś uwierzyć w to, że księżyc jest pleśniowym serem. Ale jeśli chodzi o talent, ona rzeczywiście go ma.

Rysunki,

które Jerome nam pokazywał, są nadzwyczajne.

- Zawsze udaje mu się wrócić z zagranicy z jakimś wartym zachodu suwenirem, Toinette.
 - Tym razem jest inaczej. Sama widzisz, jak ogromnie mu na niej zależy.
 - A jej na nim? Mam na ten temat inne zdanie. Chociaż z Angielkami nigdy nic nie wiadomo. Są takie oziębłe.
 - Może tylko z pozoru. Pomyśl o Romeo i Julii: tę sztukę napisał Anglik.
- Mam nadzieję, że ten romans nie zakończy się jak sztuka, gdzie kochankowie

RS

45

leżą martwi w grobowcu. Byłaby to dość wysoka cena za kilkumiesięczną przyjemność i trochę ładnych mebli.

– Och, Toinette, jesteś taka cyniczna. Jeśli o mnie chodzi, życzę powodzenia temu małemu biedactwu. Wydaje mi się, że ona nie ma pojęcia,

kto jej się trafia. Czy powinniśmy jej to powiedzieć?

– Co powiedzieć? Że Jerome jest bogaty? Że tytuł jego rodziny pochodzi zaledwie z czasów Napoleona, a zatem nie należy do prawdziwych arystokratów? Że jest od niej prawie dwa razy starszy?

– Że jest hojny, wielkoduszny, że żadna z jego przyjaciółek nie żałuje, iż kiedyś była w nim zakochana.

– Z wyjątkiem Estelle.

Och, poślubił ją wyłącznie przez wzgląd na rodzinę. Poza tym, jeśli

chcesz znać moje zdanie, ona nie potrafiła kochać nikogo. Nie, nie, wszystkie kobiety, jak mi wiadomo, zachowały o nim miłe wspomnienia, nie licząc jego żony.

– Ty też.

– No, no, Toinette, nie rozmawiajmy o mojej przeszłości. Zjemy jeszcze jedno z tych rozkosznych ciastek Jerome'a?

Kiedy powstała, żeby rzucić się na talerz z ciastkami, rozmowa dobiegła końca. Czując wyrzuty sumienia z powodu podsłuchiwania, Gwen ukryła

twarz za porcelanową filiżanką.

To, co usłyszała, pozwoliło jej nagle zrozumieć kilka zagadkowych spraw. Przede wszystkim uwagę Jerome'a, że sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Faktycznie, skoro liczył na romans! A ona podchodziła

do wszystkiego w taki rzeczowy sposób, nie chcąc być dla Jerome'a de Labasse ciężarem.

RS

46

Jednakże powód był prosty. Aczkolwiek uważała go za niesłuchanie atrakcyjnego, przystojnego, wrażliwego, wykształconego mężczyznę, nigdy nie

przyszło jej do głowy, że mogłoby go w niej interesować coś więcej niż projektowanie mebli. Miała o sobie niskie mniemanie: była ruda,

piegowata,
niezręczna w kontaktach z ludźmi... Dlaczego tacy mężczyźni jak
Jerome de
Labasse mieliby jej pragnąć?
Z drugiej jednak strony, te przemyślane, dobrze poinformowane osoby
na przyjęciu mówiły, że „ogromnie mu na niej zależy”. A jeśli przez
cały ten
czas pragnął, żeby okazała mu więcej serdeczności? Jeśli czekał na jakiś
znak
świadczący, że jej się podoba? Gdyby tylko wcześniej wiedziała, jakże
chętnie
zdobyłaby się na coś takiego. Nie cofałaby tak szybko dłoni, kiedy
próbował
jej dotknąć, usiadłaby bliżej niego w samochodzie...
Nie potrafiła dać mężczyźnie do zrozumienia, że jest nim
zainteresowana.
Przede wszystkim dlatego, że w jej środowisku było to absolutnie
niestosowne,
a ponadto brakowało jej umiejętności odczytywania subtelnych gestów
mężczyzn. Nigdy nie była w tym dobra. Między innymi dlatego
pozwoliła na
to, by matka poślubiła Wally'ego Baynesa – nie dostrzegła oznak, które
powinny ją ostrzec, że coś takiego wchodzi w grę.
Westchnęła w duchu. Toinette i Valerie powiedziały, że małżeństwo
Jerome'a było pozbawione miłości. Sugerowały też, że miał w swoim
życiu
wiele kobiet... No cóż, należało się tego spodziewać. Dlaczego nie
miałby
szukać pocieszenia? Ale nie istniał żaden, absolutnie żaden powód, dla
którego
musiałby przeżyć rozczarowanie związkiem z Gwen. Zawdzięczała mu
tak
dużo, a poza tym wykazał tyle cierpliwości i... wielkoduszności, kiedy
nie
reagowała na delikatne prowokacje. Postara się jak najszybciej dać mu

do
zrozumienia...

RS

47

Nie potrafiła tylko wyobrazić sobie, w jaki sposób. Nie miała doświadczenia w tych sprawach.

Picie herbaty przedłużało się, by przerodzić się w zaimprovizowaną kolację w pokoju jadalnym. Gwen nie miała ochoty iść już do hotelu. Przebywanie z tymi wesołymi ludźmi było takie interesujące, a ciepła, ożywiona atmosfera kontrastowała z hotelową nudą i posepnością.

Okolo dziesiątej wśród gości dało się zauważyć poruszenie.

– Dziękujemy ci, Jerome, za cudowny wieczór – przemówił w ich imieniu Gaston Arriac – ale czujemy, że nadeszła pora, by zostawić was samych, gołąbki.

Pogroził im żartobliwie palcem, przepuścił resztę gości i po chwili wszyscy zeszli na dół, żeby wziąć okrycia od Tibau. Jerome spojrzął ze skruchą na Gwen.

– Przepraszam – powiedział, wzruszając ramionami.– Oni uznają pewne rzeczy za oczywiste.

Wpatrywała się uporczywie w jego twarz.

– Byłam bardzo tępa, prawda? – spytała.

– Nie mów tak. Nie wolno ci myśleć, że...

– Jak długo byś się jeszcze ze mną cackał, Jerome?

– Tak długo, jak by było trzeba – odparł powoli.

Stali blisko siebie. Gwen podniosła głowę w taki sposób, że widziała jego

twarz. Jerome ujął jej brodę i delikatnie pocałował w usta. Przez jej ciało przeszedł rozkoszny dreszcz. Miała wrażenie, że unosi ją naprzód jakaś fala. Jerome otoczył ją ramionami. Szeptał czułe słówka, wtulając twarz w jej piękne włosy, które od tak dawna pragnął rozpuścić.

– Jerome, przykro mi, że tyle czasu zajęło mi przebudzenie się – szepnęła, przyciskając wargi do jego ramienia.

RS

48

– Nie budź się, kochanie. To jest sen, cieszymy się nim razem. Kiedy wrócił Tibau, żeby zapytać, czy ma odwieźć mademoiselle Whitchurch do domu, nie zastał w pokoju jadalnym nikogo. Usłyszał jednak jakieś kroki w sypialni pana na górze. Były to kroki hrabiego, które zawsze rozpoznawał, oraz kroki jeszcze jednej osoby – tej małej Angielki. Tibau uśmiechnął się do siebie. Pogasił światła w jadalni, a później po cichu wycofał się do pomieszczeń dla służby, gdzie zapowiedział kucharzowi, że nazajutrz ma przygotować śniadanie dla dwóch osób.

RS

49

3

Obudziwszy się następnego ranka, Gwen odczuwała przez chwilę kompletne oszołomienie. Ponieważ była jedynaczką, zawsze sypiała sama.

Teraz jednak leżała na wpół rozbudzona i rozgrzana w czyichś ramionach.

Przypomniała sobie wszystko. Jej serce przepełniło szczęście i wdzięczność.

Słyszała równomierny oddech Jerome'a, czuła jego falującą pierś. I pomyślała:

To jest mój kochanek.

Zrozumiała, że ostatnia noc była jej inicjacją. Zaczęła pobierać lekcje sztuki miłości, a jej nauczyciel okazał się mistrzem. Z jaką

cierpliwością i

zrozumieniem potraktował ją – nieśmiałą nowicjuszkę.
– Nie bój się, po prostu mi się oddaj – szeptał. – Moja angielska różyczko...

Delikatnie pomógł się jej rozebrać. Zaniósł ją do łóżka. Całował jej nagie

ciało, otulając je kołdrą, a po chwili położył się obok niej. Po raz pierwszy

dotykała ciała mężczyzny, czuła jego skórę i całowała jego usta.

Stopniowo rozluźniała się pod wpływem pieszczot Jerome'a. Zaczęła na

nie reagować i uprzedzać jego pragnienia.

– Ach – mruzczał – szybko się uczysz, najdroższa.

Lecz po jakimś czasie nie padały już żadne słowa. Było tylko przyspieszone bicie serc i moment, którego nie dało się uniknąć. Poznała ból i

oszołomienie, a potem wezbrała w niej żądza, która miała nieodwracalnie

zmienić jej życie. Należała do niego, a on należał do niej i nic więcej się nie

liczyło.

Zasnęli, a po przebudzeniu znowu zaczęli się kochać i zatracać w swoich

objęciach. Przez żaluzje sączyło się blade poranne światło. Gwen podciągnęła

RS

50

się na łokciu, by spojrzeć na swojego kochanka, na tę drugą połowę swojej

osobowości, tego nauczyciela cudownych rzeczy.

Zawdzięczała mu wszystko. Dzięki niemu zupełnie zmienił się jej świat.

Dopóki nie wkroczył w jej życie, była tylko nieświadomioną dziewczyną.

Dotychczas nawet nie miała chłopca. Chodziła wszak do szkoły żeńskiej, a

dziewczęta, które mogłyby ją poznać ze swoimi braćmi, uważały ją za inną,

toteż na szkolnych zabawach zawsze podpieraała ściany... Nawet jeżeli czasami tęskniła za romanssem, to uczucia te tłumił widok matki ślepo zakochanej w ojczymie.

Uważaała się za osobę bardzo zwyczajną, raczej nieciekawą. Dlaczego Jerome zwrócił na nią uwagę? Och, była taką szczęściarą! Nawet jeśli nie kochała go do szaleństwa – a odnosiła wrażenie, że jej uczucie nie może się równać z prawdziwie namiętną miłością – to przynajmniej odczuwała wdzięczność, przyjaźń i przywiązanie. Uznała, że wypada jej zostać kochanką

Jerome'a, a tego rodzaju zobowiązanie było ogromnie przyjemne. W ten wielki sekret mógł ją przecież wtajemniczyć ktoś zupełnie inny: niezręczny egoista, lecz niebiosa na szczęście zesłały jej Jerome'a i był to najcenniejszy dar w jej życiu. Nigdy nie zdoła mu się odwdziżyć.

Musi zatem robić wszystko, by go zadowolić i spełnić jego oczekiwania. Nachyliła się, by złożyć delikatny pocałunek na skroni kochanka, który poruszył się, westchnął, po czym otworzył oczy, rozjaśnione uśmiechem.

– *Bonjour, mon amour.*

Pocałowała go na powitanie. Przyciągnął ją do siebie.

– No i cóż, angielska różo, dobrze się czujesz? Czy jesteś szczęśliwa?

– Jestem taka szczęśliwa, kochanie.

– Nie żałujesz?

– Jak mogłabym żałować czegoś tak cudownego?

RS

51

– No, wiesz, my Francuzi mawiamy, że kobieta nigdy nie zapomina swojego pierwszego kochanka i nigdy mu nie wybacza.

– Ujmę to trochę inaczej. Powiem, że nigdy nie zapomina i zawsze okazuje mu wdzięczność.

Roześmiał się.

– Jesteś taka... Nie wiem, jak to określić... Gwen, jest w tobie tyle niewinności i bezpośredniości.

– Dotychczas byłam w tych sprawach zupełną ignorantką.

– Tak sądzisz? – zagadnął, nadal się śmiejąc. – Hm, są jeszcze rzeczy, których trzeba się nauczyć, *ma chérie!*

I znowu zaczął miłosną grę, tym razem w przekorny i wesoły sposób, jak

gdyby chciał uświadomić Gwen, że chociaż jest to najważniejsza rzecz na

świecie, nie trzeba się jej obawiać. Niewysłowiona rozkosz

towarzyszyła im aż

do końca.

Obudziwszy się ponownie, usłyszała, jak zegar na zewnątrz wybija godzinę ósmą. Zasnęła i wiedziała, że powinna wstać, lecz gdy tylko odkryła

kołdrę, Jerome chwycił ją w ramiona.

– Nie, nie, ja zadzwonię, Tibau przyniesie kawę.

– Ależ, Jerome! Tibau mnie zobaczy!

– Ach, *chut!*, dlaczego miałabyś się tym przejmować?

Mimo wszystko podszedł do drzwi, otworzył szafę, wyjął z niej dwa okrycia i jedno z nich rzucił Gwen. Było to długie i miękkie kimono z wyhaftowaną gałązką, na której siedział ptak o jasnym upierzeniu.

– Jest śliczne, Jerome – powiedziała, nakładając je pieszczotliwym ruchem. – Przywiozłeś z Japonii?

– Prawda, że ładne? W Japonii jest mnóstwo takich rzeczy. Usiadł na skraju łóżka i przyglądał się fałdom jedwabiu na jej piersiach.

RS

52

– Jeżeli będziesz je nosić, tutejsze otoczenie okaże się jeszcze i piękniejsze.

Pochylił się nad nią, by wycisnąć pocałunek na zielono–żółtej ziębie, i

– Mam powiedzieć Tibau, żeby wrócił z kawą za jakąś godzinę?

– Nie, Jerome, naprawdę powinniśmy wstać. Muszę wrócić do hotelu, żeby się przebrać. Madame Garzier będzie się zastanawiała, gdzie jestem.

– Ależ nie będzie! – odparł z uśmiechem.

– Nie? – zapytała, patrząc mu w oczy. – To znaczy, że domyśli się, iż...

–

wskazała ręką cały pokój – to się stało?

– Moja droga, ona sądziła, że to się stało wiele tygodni temu.

– Nie rozumiem.

– Wszyscy, którzy nas znają, byli pewni, że jesteśmy kochankami.

– To okropne, Jerome!

– Wcale nie. To zupełnie normalne. Jesteś bardzo ładną i czarującą dziewczyną, a ja drapieżnym samcem. W jakim innym celu

sprowadzałbym cię
do Paryża?

– To nie było tak, Jerome.

– Rzeczywiście. Ale muszę się przyznać, moja biedna dziewczeczko, że
zawsze chciałem złapać cię w sidła. No i co, czy teraz mnie
nienawidzisz?

Rzuciła się w jego ramiona ze śmiechem.

– O tak, strasznie cię nienawidzę!

Tibau wybrał właśnie ten moment, żeby wnieść na srebrnej tacy kawę.
Taktownie odwracając wzrok, postawił kawę, podszedł do okna i
rozsunął

zasłony, żeby wpuścić światło dzienne. Ukłonił się, nie patrząc nikomu
w oczy

i wyszedł. W korytarzu uśmiechnął się do siebie. Doprawdy, monsieur
zawsze

postępował słusznie. Dziewczyna była ładna, naprawdę ładna – dorodna,
radosna i pozbawiona oporów. Będzie co opowiadać w kuchni.

RS

53

– Po śniadaniu pojedziemy do hotelu – oznajmił Jerome, siedząc ze
skrzyżowanymi nogami i pijąc kawę. – Spakujemy twoje rzeczy.

Możesz je

umieścić w niebieskiej sypialni, choć oczywiście...

– Nie, Jerome – Gwen pokręciła głową. – Nie sędzę, żeby to był dobry
pomysł.

– *Comment?* Dlaczego nie?

– Uważam, że nie powinnam się do ciebie wprowadzać.
– Ależ, dziewczyno najdroższa, to jedyne rozsądne wyjście!
– Posłuchaj, kochany, mimo wszystko jestem tu na dobrą sprawę po to, żeby wykonać zlecenie. Zawarliśmy umowę.
– Och, *ca alors!*
– Mówię poważnie. Muszę mieć trochę niezależności. Sądzę, że nie powinnam rezygnować z pokoju w hotelu.
– Gwen!
Położyła mu palec na ustach, żeby uciszyć protesty.
– Nie twierdzę, że zamierzam często tam sypiać – uspokajała. – Ale czuję, że muszę mieć własny kąt.
Nie przyszło jej do głowy, że kiedy z początku przyrzekała sobie zrobić wszystko, by go zadowolić, odzywała się w niej jej własna natura. Była nie tylko kochanką Jerome'a: szczęśliwą, kochaną dziewczyną, ale także sobą,
Gwen Whitchurch, utalentowaną projektantką mebli. Miała robotę do wykonania i potrzebowała jakiegoś kąca, gdzie mogłaby w spokoju obmyślać projekty.
– Ostatecznie jestem dyplomatą – w niebieskich oczach Jerome'a pojawiły się iskierki rozbawienia – będziemy zatem pertraktować. Ja mówię,
że musisz przywieźć swoje rzeczy, a ty odpowiadasz, że nie, bo chcesz je zostawić w Saints–Peres. Teraz kolej na moje argumenty. W porządku, skoro

RS

54

nalegasz, zgadzam się, żebyś mieszkała w hotelu. Ale przywieź tutaj choć

trochę rzeczy, żebyś nie musiała wracać w pośpiechu nad ranem.

– No cóż – odparła, włączając się do gry. – To duże ustępstwo...

– Dyplomaci zawsze znajdują wyjście. Proponuję, żebyśmy, zamiast przywozić twoje rzeczy z hotelu, poszli do miasta i kupili trochę ładnych ubrań...

– *Monsieur le diplomate* zrywam negocjacje! Pan wie, że w moim kraju taka propozycja uznawana jest za coś bardzo niestosownego. Jak pan śmie?

Wkrótce rozpoczną się działania zbrojne...

– Nie mogę prowadzić negocjacji, kiedy mnie rozśmieszasz. AU poważnie, *mon amour*, musimy kupić dla ciebie trochę odzieży. Po tym, cc

między nami zaszło, będziesz mi wszędzie towarzyszyć, a twoja garderoba...

Uśmiechnęła się.

– Czy jest aż tak okropna?

– Nic na tobie nie jest okropne. Ale muszę przyznać, w bardzo dyplomatyczny sposób, że twoim ubraniem czegoś brakuje.

Po śniadaniu udali się więc na zakupy i tym razem Gwen pozwoliła, by wydawano na nią pieniądze, nie przejmując się, iż ten fakt czyni z niej utrzymankę. Co do Jerome'a, czuł się z tego powodu zadowolony. Nie groziło

mu już to, że ktoś zobaczy go wraz z Gwen, kiedy będzie miała na sobie tę

okropną sukienkę z różowego atłasu.

Mijały tygodnie. Szczęście zdawało się spowijać Gwen niczym kokon.,

Chodziła z Jerome'em niemal na wszystkie spotkania towarzyskie i wszędzie!

przyjmowano to jako coś naturalnego. Jej świat uległ cudownemu powiększeniu – poznała Deraina, Cocteau, Strawińskiego, a nawet kilku polityków. Zaczęła czuć się w Paryżu bardzo swojsko, poruszała się po mieście

RS

55

bez trudu, umawiała się z grupą przyjaciół w kawiarniach Dzielnicy Łacińskiej: „La Coupole”, „Le Pre aux Clercs”, „Le Dome”.

Matka zauważyła w jej listach pewną zmianę. Zamiast „pana de Labasse”

czy „hrabiego” pojawiała się tam teraz imię „Jerome”.

Rhoda Baynes wiedziała, że powinna przestrzec córkę przed zgubnymi skutkami jej postępowania, ale górę wzięło u matki romantyczne walijskie

serce, które podpowiadało: „Zostaw ją w spokoju, jest szczęśliwa, dojrzeje...”

Teraz, gdy Rhoda otrząsnęła się z szoku po ucieczce Gwen, odnosiła się z

czułym zrozumieniem do romansu swojej córki z arystokratą.

Nadszedł dzień, w którym można było pokazać światu jadalnię w

apartamencie przy avenue Foch. Jerome zaprosił duże grono przyjaciół na koktajl, a nieliczni wybrani mieli jeszcze zostać na kolację. Pokój wyglądał niesamowicie. Lotosowe lampy rzucały perliste światło na pokryte gładkim jedwabiem ściany. Wzór na zrobionym na specjalne zamówienie miękkim dywanie układał się w szare, złote i białe pasy. Barwy zasłon i rolet były stonowane. Uwagę widza przyciągały jednak przede wszystkim meble. Wykonał je według wskazówek Gwen pewien rzemieślnik pracujący przy ulicy Notre-Dame-des-Champs. Ku zdumieniu *le patron* Gwen uparła się, że sama zrobi niektóre detale. Stół i krzesła wypadły zgodnie z jej oczekiwaniami – były eleganckie, nieco orientalne, lecz nie ciężkie w formie ani dziwaczne. Sporo kłopotu sprawiał kredens, dopóki nie przyszło jej do głowy, żeby zrobić dwuczęściowy przód, przy czym przegrody różniły się wielkością. Całość kojarzyła się z falą, która delikatnie podmywa brzeg. W celu podkreślenia tego efektu Gwen wyłożyła przednie płyty macicą perłową i zielonym zamszem, co dawało wrażenie spiralnego ruchu. Górna powierzchnia, na której miały stać

RS

56

naczynia, została pokryta mocnym szagrynem (Francuzi nazywali tę skórę *galuchat*) koloru ciemnej zieleni i błękitu.

Gwen wykonała również stoliki na lampy, słodczyce i papierośnice. Dwa z

nich były przeznaczone wyłącznie na kwiaty. Tego wieczoru stały tam duże,

rozwinęte, żółte tulipany, które podkreślały ogólną tonację wnętrza. Na dwóch

ścianach wisiały długie wąskie lustra poprzedzielane zielonym, niebieskim i żółtym szkłem.

Kiedy Tibau otworzył drzwi, żeby goście mogli po raz pierwszy obejrzeć

pokój, rozległ się spontaniczny okrzyk podziwu. Ludzie wykrzykiwali: „Projektantka, projektantka!”, jakby znajdowali się w teatrze, i Jerome popchnął Gwen do przodu. Przyjmowała gratulacje z rumieńcem na twarzy.

– Dziękuję, cieszę się, że to się wam podoba...

– Podoba? Ależ to jest zachwycające!

– Co do mnie, z zadowoleniem oglądam wnętrza urządzone kobiecą ręką.

Mężczyźni lubią ryzyko, ale wiecie, czasami...

– Tak, tak, trudno się z nimi żyje...

– Powiedz mi, *ma chérie*, kiedy będziesz miała czas, żeby zrobić coś dla mnie?

– Nie, nie – wtrącił się Jerome. – Na razie Gwen pracuje wyłącznie dla mnie. Musicie cierpliwie poczekać aż do września.

– Dobrze, wobec tego składam zamówienie na wrzesień. Mademoiselle Viicza, mam dom w pobliżu Haussmanna... Czy zechciałaby pani...

– Nie, nie, najpierw ja! Gwen, potrzebuję kilku mebli do mojego domu w

Juan-les-Pins, coś *sportif*...

Stało się jasne, że Gwen nie będzie miała kłopotu z zamówieniami przez wiele miesięcy. Od tego entuzjazmu kręciło się jej w głowie. Była zadowolona,

RS

57

kiedy skończył się koktajl i mogli wreszcie zasiąść do kolacji z ośmiorgiem przyjaciół.

. Dla Gwen posiłek stanowił ostateczny sprawdzian. Gdyby meble były niewygodne i nie sprawdziły się w codziennym użytkowaniu, oznaczałoby to

klęskę. Ale nikt się na nic nie skarżył, a służba swobodnie korzystała z długiego kredensu. Kobiety (a także niektórzy mężczyźni) z przyjemnością

zerkały na swoje odbicia w wąskich lustrach.

Nieco później, kiedy już wszyscy wreszcie sobie poszli, Jerome wziął Gwen w ramiona i pocałował w policzek.

– Moja najdroższa dziewczynko, chcę ci podziękować za to, co zrobiłaś. Podarowałaś mi naprawdę zachwycający pokój. Co więcej, spełniłaś nadzieje, które w tobie pokładałem.

Gwen przepełniało uczucie rozkoszy. Poprzedniego dnia, kiedy udostępniła jadalnię służącym, by nakryli stoły i postawili kwiaty, przeżyła chwilę zupełnej paniki, że wszystko wypadło okropnie, a ona sama stanie się pośmiewiskiem. Co gorsza, bała się, że również będą się śmiać z Jerome'a za to, że zawierzył nieznannej projektantce.

Tego wieczoru postanowili, że Gwen zajmie się dwoma innymi pokojami. Jerome chciał, żeby to były bardziej kameralne pomieszczenia: mały salonik, w którym przebywali najczęściej, oraz jego sypialnia. Zgodziła się na salonik, ale zlekła się projektowania wnętrza sypialni. Po prostu nie mogła znieść myśli, że któregoś dnia Jerome znajdzie się tam z inną kobietą. W głębi duszy czuła, że jej romans z Jerome'em nie będzie trwał wiecznie.

Podśluchana przez nią rozmowa Sybille i Toinette była poważnym ostrzeżeniem. A poza tym wiedziała, że Jerome nie jest w niej za bardzo zakochany. Owszem, darzył ją ogromnym przywiązaniem, podniecała go fizycznie, zachwycał go jej talent,

RS

58

mieli podobne poczucie humoru. Jednakże o jego całkowitym oddaniu się nie było mowy.

Ona natomiast najchętniej zostałaby z nim do końca życia, nie myśląc o żadnym innym mężczyźnie. Nie była pewna, czy jej uczucie jest bardziej

szczerze niż uczucie Jerome'a. Niewykluczone, że w grę wchodziła tradycja –

wychowano ją w przeświadczeniu, że kiedyś się zakocha, wyjdzie za mąż i

ustatkuje się. Jerome wydawał się mężczyzną zesłanym przez los, tyle że nie

należał do tych, którzy się pragną ustatkować. Nie myślał o małżeństwie. Nie

zamierzał nawet angażować się w dłuższy związek. Gwen nie potrafiła wytłumaczyć, skąd to wie, była jednak pewna, że któregoś dnia jej miejsce

zajmie jakaś inna kobieta.

Dlatego nie zgodziła się na projektowanie wystroju sypialni. Nie mogła znieść myśli, że inna kobieta wyciągnie się znużona na łóżku stworzonym

przez jej wyobraźnię.

Ustalili, że zaprojektuje wnętrze saloniku oraz dużego pokoju gościnnego. Cocteau zgodził się pomyśleć o bibliotece, a Clement

Rousseau

miał się zająć sypialnią. Całość kosztowała zapewne zawrotną sumę. Szkicownik Gwen zapełnił się pomysłami. Kiedy Jerome miał jakieś spotkanie, ona odwiedzała muzea, galerie sztuki, sklepy, parki.

Całkowicie

owładnął nią duch Paryża lat dwudziestych. Ogromnie spodobała jej się powaga, ale i inteligentne rozbawienie, z jakim traktowali każdą formę sztuki

paryżanie. Prąd *art deco* miał w sobie coś szczególnie paryskiego. Była to

sztuka miast – nie mogła jej sobie wyobrazić w wiejskim otoczeniu:

żywa,

hałaśliwa, dziwaczna, a czasami romantyczna. Gwen odczuwała dumę, wnosząc wkład w powstawanie tego artystycznego nurtu.

Moda na *art deco* przejawiała się wszędzie: w kinach, sklepach i kawiarniach. Meble stały się lżejsze i o wiele mniej posępne.

Wypróbowywano

RS

59

wszelkie nowe odmiany drewna, między innymi heban. Gwen była jedną z

pierwszych osób, które wystarały się o budulec niedawno odkryty i sprowadzany z Dalekiego Wschodu, Australii i Nowej Gwinei. W warsztacie

przy ulicy Notre-Dame-des-Champs przeznaczono dla niej specjalny kącik.

Mężczyźni, którzy tam pracowali, traktowali ją teraz jako *copain*, kolegę po fachu, nie należała bowiem do tych bogatych młodych dam, które bawią się w pracownice, a naprawdę znała się na robieniu mebli. Jej ręce poznaczone były bliznami pochodzącymi od ostrych drzazg lub dłuta, które się ześlizgnęło.

A zatem pracowała i marzyła, koncentrując się na robieniu mebli do apartamentu Jerome'a, aczkolwiek stało się jasne, że nie skończy zamówienia

w terminie określonym umową. Właściwie nie była z Jerome'em związana

żadnym świstkiem papieru, pracowała dla niego, ponieważ go kochała. Tymczasem w lipcu, kiedy akurat pochłonięta była jakąś precyzyjną stolarką w

warsztacie, Jerome oświadczył, że chyba wybierze się do Juan-les-Pins. – Zawsze to robię, no, wiesz – tłumaczył. – W lipcu Paryż się wyludnia, tak już jest.

– Naprawdę nie mogę jechać z tobą, kochanie.

W rzeczywistości chciała powiedzieć: „Proszę, zostań ze mną”.

– Cóż, szkoda. Laurent i Cecile zaprosili do swojej willi pięć, sześć osób.

Będziemy trochę żeglowali, może nawet do Livorno. Na pewno się nie wybierzesz?

– Nie mogę, Jerome. Edgar Brandt robi dla mnie kilka elementów z kutego żelaza, które trzeba będzie natychmiast osadzić w drewnie...

Nie dokończyła zdania, gdyż zorientowała się, że Jerome jej nie słucha.

Gwen odprowadziła go do pociągu. Jerome pocałował ją czule na pożegnanie i prosił, żeby do niego dołączyła, jeżeli ukończy pracę wcześniej.

RS

60

Ale po wyjściu ze stacji Gwen pomyślała trzeźwo, że kiedy ona będzie mogła

przyjechać do Juan-les-Pins, on w tym czasie będzie już na jachcie.

W jaki sposób miałabym do ciebie dołączyć? – spytała w duchu.

Kilka dni później natknęła się w „La Coupole” na Toinette Montanard, która sączyła pernod. Ich znajomość przerodziła się w przyjaźń, może dlatego,

że pozornie tak bardzo się różniły. Toinette była stanowcza, odporna na życiowe klęski, dość okrutna, a zarazem uczciwa. – Ha, *Anglaise*, myślałam, że

wyruszyłaś w rejs po Morzu Śródziemnym.

– Niestety, nie mogłam się tam wybrać. – Gwen napomknęła o żelaznych

konstrukcjach w pracowni Brandta.

Zamówiła kieliszek wina. Toinette opowiadała jej o kłopotach z wykonaniem

biżuterii dla jakiejś gwiazdy Comedie Francaise.

– Nie uważasz? – zakończyła głośniej.

– Co takiego? – Gwen aż podskoczyła. – Przepraszam cię, Toinette, zamyśliłam się.

– To było widoczne. A więc, *mon amie*, na horyzoncie pojawiają się małe

chmury, co?

– Wcale nie.

Kelner przyniósł Gwen wino. Sączyła je teraz z przyjemnością. Wieczór był bardzo gorący, parny, w powietrzu wyczuwało się nadchodzącą burzę.

– Żadnych chmur. Nawet na trasie do Livorno?

Gwen zdobyła się na półśmiech. Po chwili odrzekła z wahaniem:

– Jakie to ma znaczenie, Toinette? Nigdy nie myślałam że pojedzie beze mnie.

– Kochanie, taki mężczyzna jak Jerome prędzej by umarł, niż został w Paryżu w lipcu. To jest zupełnie oczywiste. Na uwagę jedynie zasługuje fakt,
że nie zabrał cię ze sobą.

RS

61

– Prosił, żebym się do niego przyłączyła, kiedy już będę wolna.

– O tak, tak! A w jaki sposób do niego dotrzesz, skoro on przebywa w odległości dwudziestu mil od brzegu?

– No, cóż... To chyba oznacza, że nie dba o to, czy przyjadę – stwierdziła po prostu Gwen.

Toinette obracała bez końca swój kieliszek na korkowej podstawie.

– Przyjmujesz to lepiej, niż się spodziewałam – zauważyła, – Co takiego?

– To... rozstanie, a także fakt, że coś się między wami zmienia, że Jerome się oddala. Nie robisz z siebie idiotki, czepiając się niego i płacząc. W głębi duszy płacę – pomyślała Gwen, sącząc wino do końca.

– Sądziłam, że kiedy nadejdzie ten moment, pęknie mi serce –
powiedziała po chwili.
– No i co, pękło?
– Czy pękło? – zastanawiała się przez chwilę. – To, że jestem w stanie
udzielić odpowiedzi, oznacza, że nie.
– To dobrze, Gwen.
– Co powinnam zrobić, Toinette?
Toinette zmarszczyła brwi, ale nic nie odrzekła.
– Proszę, powiedz mi. Myślę, że byłaś już świadkiem takich sytuacji.
– No cóż... Tak.
– Może nawet zdarzyło się to również i tobie?
– Nie z Jerome'em. Miałam złamane serce kilka razy. Zachowuję się
wówczas dość gwałtownie. Wielkie kłótnie, sceny, podczas których
rzucamy w
siebie przedmiotami. Ale Jerome uznałby takie zachowanie za przejaw
nieokrzesania.

RS

62

– Jerome po prostu by odszedł – zgodziła się Gwen. – Poza tym ja nie
należę do osób, które gustują w awanturach.

Toinette oparła się o krzesło i wachlowała kartą dań.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię – powiedziała. – Jerome jest
kolekcjonerem.

Kolekcjonuje utalentowanych ludzi i piękne kobiety. Ty akurat masz i
talent, i

urodę, więc bardzo cię ceni. Ale jeżeli nie odczuwa równie silnego

pociągu

fizycznego, co wydaje się prawdopodobne, nic nie można tu zdziałać.

Daje ci

do zrozumienia, że ten romans dobiega końca, i ma nadzieję, że to pojmiesz.

Gwen skinęła głową. Chociaż zazwyczaj reagowała wolno na tego rodzaju sugestie, zrozumiała, co chciała powiedzieć Toinette.

– Wobec tego, co powinnam zrobić?

– To zależy, czy chcesz nadal pozostawać z nim w przyjaznych stosunkach.

– O, tak. Nie zniosłabym całkowitego zerwania z Jerome'em

– W takim razie sprawa jest prosta. Wciąż masz ten pokój w Saints–Peres?

– Tak. Sypiam tam od czasu, gdy on pojechał do Juan–les–Pins. Nie mogę znieść przebywania w tej wielkiej sypialni bez niego.

– Doskonale. Rób tak dalej. Prawdopodobnie nie wróci wcześniej niż we wrześniu, a wtedy możesz zaplanować jakiś wyjazd...

– Mogłabym obejrzeć dom pana Guinchy. Jest pierwszy w kolejce, gdy tylko uporam się z mieszkaniem przy avenue Foch.

– No, właśnie. A kiedy wrócisz, możesz powiedzieć Jerome'owi, że teraz

będzie ci wygodniej pracować u siebie. To byłby nawet niezły pomysł: urządzić własną pracownię. Na Montparnasse jest mnóstwo miejsc do wynajęcia.

RS

– Mogłabym pracować w stolarni przy Notre–Dame–des–Champs. Jest tam stryżek, na którym wala się tylko trochę rupieci.

W pewnym sensie cieszyła się możliwością podjęcia tego rodzaju kroków. Czuła, że w ten sposób odzyskuje godność. Nie była już kochanką,

którą właśnie porzucono, lecz kobietą interesu dbającą o swoją karierę. Rachunki w hotelu zawsze pokrywał dyskretnie Jerome. Teraz Gwen odbyła krótką rozmowę z madame Garzier.

– Myślę, że powinnam opłacać pokój sama, madame – zaproponowała w sobotę, kiedy zwykle regulowano należności.

– Doprawdy? – odparła madame, a jej okrągła, różowiotka twarz wyrażała zmartwienie. – Skończyliście już ze sobą?

– Niezupełnie. Ale rzeczywiście zaszły pewne zmiany. Czuję, że powinnam sama płacić swoje rachunki.

Madame nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Pokłóciliście się?

– Oczywiście, że nie.

– Ach, w takim razie... myślę, że byłoby... niegrzecznością zmieniać umowę. Monsieur czułby się urażony wiedząc, że odrzuciła pani to małe...

wynagrodzenie.

Pomimo iż Gwen była ostatnimi czasy bardzo nieszczęśliwa, nie mogła jednak powstrzymać się od uśmiechu, słysząc te słowa. Ale madame Garzier

miała wielkie doświadczenie w tych sprawach i być może udzielała jej słusznych rad.

– Wszystko jedno, wolałabym czuć się niezależna – upierała się Gwen.

– Ach, ta pogoń za niezależnością! – biadała madame. – Cóż, przypuszczam, że taka już pani angielska natura. Ja jednak wybrałabym lepszy

moment. Gdyby miała się pani stąd wyprowadzić, to w nowym hotelu mogłaby

RS

64

pani powiadomić pana de Labasse, że sama chce pani regulować swoje rachunki. Ale skoro pani nadal przebywa w hotelu Saints–Peres, na pani miejscu... naprawdę pozwoliłabym, żeby wszystko zostało po starymu... Gwen pochyliła głowę przed jej bogatym doświadczeniem, ale przyrzekła

sobie, że wkrótce znajdzie jakiś pokój albo mieszkanie. Hotel Saints–Peres był

dobry, a jego nazwa „Święci Ojcowie” naturalnie bardzo uspokajała matkę.

Zawsze jednak przypominałby jej Jerome'a.

Jerome wrócił z nastaniem września. Utrzymał z Gwen kontakt za pośrednictwem pocztówek i liścików oraz bukietu róż od Grasse'a.

Gwen

pojechała do Rambouillet, żeby obejrzeć dom pana Guinchy. Po powrocie do

Paryża znalazła w hoteli liścik, w którym Jerome wyrażał wielkie zadowolenie

z dwóch ukończonych pokoi i zapytywał, kiedy będzie się mógł z nią zobaczyć.

Skontaktowała się z nim telefonicznie.

– Przepraszam, że mnie nie było, kiedy wróciłeś – powiedziała. –

Wyjechałam na wieś. Dobrze się bawiłeś?

W skrytości ducha zaklinała go, żeby odparł: „Brakowało mi ciebie”.

– Było bardzo przyjemnie. Pamiętasz, że Robert chciał, abyś

zaprojektowała kilka mebli do jego willi w Juan? Obejrzałem to miejsce.
Takie

zadanie mogłoby ci się spodobać.

– Jest następny po Georges'u Guinchy. Georges'owi projektuję
pracownię

i biuro, z którego mógłby kontaktować się z Paryżem i prowadzić
interesy.

Zajmie mi to parę miesięcy. Czy teraz pobędziesz w Paryżu dłużej?

– Aż do sezonu zimowego w St Moritz. Chociaż w tym roku mogę się
tam nie wybrać: śnieg staje się dość nudny po paru dniach, a poza tym
niezbyt

dobrze jeżdżę na nartach.

RS

65

Czekała. Zastanawiała się, czy zaproponuje jej wyjazd do St Moritz.

Gdyby to uczynił, odłożyłaby wszystkie zajęcia i wyruszyła wraz z nim.

Ale on

stwierdził tylko:

– Widzę, że zabrałaś z mieszkania prawie wszystkie swoje rzeczy.

– Hm, to było logiczne, Jerome. Skoro skończyłam zamówienie i
pracuję

gdzie indziej, pomyślałam, że powinnam mieć własną pracownię.

Dlatego

wynajęłam kącik w warsztacie przy ulicy Notre Dame.

– Tak, oczywiście, ale... wzięłaś także większość rzeczy osobistych.

– W każdej chwili mogę je przywieźć z powrotem – dobierała słowa

starannie.

Właściwie już pod koniec tego zdania wiedziała, że Jerome nie podchwyci tego wątku. W jego głosie wyczuwało się coś w rodzaju ulgi.

– Być może tak jest lepiej...

– Chodzi ci o zostawienie tylko paru rzeczy?

– Mogą ci się przydać, jeżeli kiedyś zostaniesz na noc.

– Tak...

A więc któregoś wieczoru mogli znowu zacząć się kochać. Ale nie będą już takimi kochankami jak dawniej, a o to właśnie chodziło jej najbardziej.

– No, a co porabiasz w wolnym czasie? – zagadnął, zmieniając temat. –

We wtorek wydaję małe przyjęcie: najpierw kolację, a potem wybieramy się do

teatru, żeby obejrzeć próbę kostiumową nowego baletu Diagilewa. Czy chciałabyś pójść?

– Żeby poznać Diagilewa?

– Naturalnie.

Siergiej Diagilew sprowadził balet rosyjski do Europy przed wojną. Do wybuchu rewolucji w Rosji stałą siedzibą artystów był Paryż. Diagilew stał się

duszą życia artystycznego w Paryżu, wynajmował wielkich mistrzów, by

RS

poznaniu tego człowieka Gwen pozbyła się obaw związanych z ponownym

zobaczeniem Jerome'a. 42

– Bardzo bym chciała pójść – odparła.

– Włóż zwyczajną sukienkę, bo za kulisami teatru nie będziesz się dobrze

czuła w sukni wieczorowej. W takim razie do ósmej.

Zauważyła, że nie zaofiarował się, iż przyśle po nią samochód. Dawne czasy się nie powtórzą. Nie była już jego protegowaną. Ale przynajmniej

zaliczała się nadal do jego przyjaciółek.

W grupie, która udała się do teatru Champs Elysees, były same znane Gwen osoby. Żadna z nich nie okazała się na tyle nietaktowna, by zauważyć,

że Gwen nie jest już traktowana jak towarzyszka Jerome'a. Rozmowa dotyczyła głównie sztuki.

– Mam problem z zamówieniem Georges'a Guinchy – wyznała. –

Podobają mu się niektóre moje pomysły dotyczące prostych czarnych mebli:

sądzę, że są odpowiednie do prywatnego biura. Ale należy je jakoś rozjaśnić.

Zachodzę w głowę, jak to zrobić.

– Może obciosać drewno? Albo zastosować intarsję? – zaproponował ktoś.

– On uważa, że wyglądałoby to zbyt ozdobnie. No, cóż, przypuszczam, że w końcu jakoś z tego wybrnę.

Siedzieli w fotelach na parterze. Wszystkie osoby uczestniczące w próbie

były w roboczych ubraniach – muzycy w koszulach, malarze w fartuchach i

czapkach, a sam Diagilew w jedwabnej koszuli i grubej wełnianej kamizelce.

Klął po rosyjsku na człowieka od oświetlenia.

Tylko tancerze nosili kostiumy. Mieli na sobie przejrzyste, luźne szaty z namalowanym kwiecistym deseniem.

RS

67

- One wyglądają jak... no, wiesz, Jerome, wyglądają jak kimona!
- Jesteś bardzo spostrzegawcza, moja droga. To właśnie są kimona. To jest japoński balet, a kostiumy i dekoracje przygotował Tamaki Hayakawa, japoński lakiernik, którego sprowadziłem tutaj, kiedy wracałem z Tokio.
- Japońskie!
- Pomysł był nadal na tyle egzotyczny, że wzbudził szmer zdumienia pośród jego przyjaciół.
- Te kostiumy są wspaniałe – powiedziała Yvonne Desarpes – ale zbyt stonowane jak na balet Diagilewa, prawda? Po nim spodziewamy się czegoś bardziej wyrazistego.
- Chciał zrobić japoński balet, więc Tama zaoferował mu japońską sztukę – zawyrokował Jerome.
- Próbie ciągle przerywano. Tancerze czuli się dobrze w swoich kostiumach, ale Diagilew nie mógł zaakceptować oświetlenia. Podszedł wolnym krokiem do Jerome'a i jego przyjaciół. Wszyscy powstali, jakby był kimś z królewskiej rodziny.
- Przekłete kostiumy... Wszystko jest takie przyćmione. Mimo iż gorąco go zapewniali, że scena wygląda wspaniale, Diagilew nie był przekonany. Ich opinie chyba nie rozwiały jego wątpliwości.

Diagilewowi

zależało na efekcie teatralnym, a nie na nastroju. Przywołał człowieka, który

siedział samotnie kilka rzędów dalej.

– Tama, nie możesz ożywić kolorów?

– Nie w przypadku gazy. Jeżeli chce pan mieć bardziej zdecydowane kolory, musi pan wybrać grubszy materiał.

Odpowiadał poprawną francuszczyzną, ale z akcentem, jakiego Gwen nigdy dotąd nie słyszała. Wydawało się, że nie jest w stanie wymówić głoski

„I”. Był mężczyzną silnie zbudowanym i dość niskim, choć i tak przewyższaj

RS

68

Gwen niemal o głowę. Miał na sobie dobry europejski garnitur i białą koszulę,

która w osobliwy sposób podkreślała jego oliwkową cerę i ciemne skośne

oczy.

– Proszę wszystkich o uwagę. Chcę wam przedstawić Tamę – powiedział

Jerome. – Pokrywa sprzęty lakierem, jego rodzina słynie z tego w Japonii.

Byłem bardzo zadowolony, kiedy dwa lata temu zgodził się przyjechać ze mną

do Paryża.

Dokonano wzajemnej prezentacji. Kiedy przedstawiano mu kolejną osobę, Tama za każdym razem pochylał głowę. Gwen zauważyła, że przyglądał się niemal w osłupieniu jej włosom.

– Przepraszam – powiedział, uświadomiwszy sobie, że dostrzegła jego spojrzenie – ale w moim kraju nikt nie ma włosów takiej barwy. Jest bardzo piękna.

– W moim kraju nazywa się ten kolor imbirem – odparła ze śmiechem. Nie miała pojęcia, że właśnie poznała człowieka, który pomoże jej rozwiązać problem związany z meblami pana Guinchy. Mężczyznę, który miał odmienić jej życie.

RS

69

4

Po o jakimś kwadransie Jerome uznał, że najlepiej będzie *zabrać* przyjaciół z teatru. Diagilew był najwyraźniej w podłym nastroju, a oni z pewnością nie przyczyniali się do jego poprawy, oglądając porażkę mistrza.

Razem z grupą do foyer udał się Tamaki Hayakawa.

– Chodź z nami, Tama – zaproponował Jerome. – Wybieramy się do „Chat Blanc”. Przecież tak lubisz tańczyć fokstrota.

– To bardzo miło z twojej strony, Jerome, ale muszę zostać tutaj z Diagilewem, dopóki nie zaakceptuje kostiumów i dekoracji.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem, Tama. Ale jeżeli on chciał ubrać

swój balet w kolorową japońszczyznę, to nie powinien zwracać się z tym do

prawdziwego artysty japońskiego.

– Zgadza się. Osoby z zewnątrz widzą najlepiej, co decyduje o japońskości. Kiedy prosi się japońskiego artystę o namalowanie Japonii, polega on raczej na swojej pamięci, a nie na wyobraźni.

– Sądzę, że te kostiumy są prześliczne – upierała się Gwen.

– To prawda, są prześliczne. Ale nie nadają się do teatru. Moja wina.

Nie

przewidziałem, że w europejskim teatrze wszystko musi być dwa razy większe

i bardziej jaskrawe. To wynika z zawodu, jaki wykonuję. Lakiernik bowiem

nie pracuje na dużą skalę.

Ktoś nieśmiało zaproponował, że dobrze byłoby obejrzeć jego wyroby.

– Proszę, przyjdźcie... Jerome zna moją pracownię... Zawsze się cieszę, mogąc przyjmować gości, którzy są przyjaciółmi monsieur de Labasse.

Umówili się na następny dzień po południu. Tama skłonił głowę, a potem

ich opuścił, żeby znowu znosić gniew Diagilewa.

RS

70

– Cóż to za historia? – zapytał Robert Marouis, kiedy wcisnęli się do taksówek, które miały ich zawieźć do „Chat Blanc”.

– Z Tokio do Paryża wiedzie daleka droga. Co go skłoniło do Przyjazdu?

– Och, zwyczajne dzieje – odrzekł Jerome. – Miał nowe pomysły, które pragnął wykorzystać w tradycyjnych wyrobach. Jego ojciec, zagorzały orędownik tradycji, nie pozwolił mu na to. Wtedy ja zaproponowałem Tamie,

że zabiorę go do Paryża i wprowadzę do wpływowych kręgów. Nie wahał się ani chwili.

– Jego sztuka musi być interesująca, skoro zatrudnił go Diagilew.

– Poczekaj, dopóki nie zobaczysz. Diagilew oszalał, kiedy mu pokazywałem wyroby Tamy. Zawsze bowiem marzył o wystawieniu japońskiego baletu i nareszcie znalazł młodego choreografa, który miał opracować układy taneczne.

– Ach – wtrącił się z przekąsem Robert – znamy Diagilewa i jego młodych choreografów.

Jerome zbył tę uwagę machnięciem ręki.

– Diagilew był zanadto pewny siebie, kiedy zlecał Tamie wykonanie kostiumów. Tama może sprawiać wrażenie całkiem zeuropeizowanego artysty,

ale o europejskim teatrze nie wie prawie nic. W Japonii publiczność znajduje

się znacznie bliżej sceny, a poza tym prawie nie używa się tam reflektorów.

Tama po prostu nie zdążył się zorientować, w jakiej skali należało zrobić

projekty.

– Myślę, że to jest okropnie niesprawiedliwe – stwierdziła Gwen.

– Prawda, prawda. Ale dla Diagilewa jest to również coś katastrofalnego.

Przedstawienie ma się odbyć w sobotni wieczór. Po obejrzeniu tych kostiumów

dochodzę do wniosku, że nie wywołują one pożądanego efektu.

Słyszałem też,

że układy taneczne są dość nudne. Ta premiera może wypaść bardzo źle.

RS

71

Wszyscy wyrażali trochę współczucia dla Diagilewa, ale nie płynęło ono z głębi serca. Sprawa została zupełnie zapomniana w „Chat Blanc”.

Kiedy jednak rozstawali się we wczesnych godzinach rannych, Gwen przypomniała Jerome'owi o spotkaniu w pracowni Tamy.

– Naprawdę chcesz tam iść? – zapytał ze zdumieniem.

– Naprawdę. Przyszło mi do głowy, że do gabinetu Georges'a Guinchy będą pasowały właśnie sprzęty lakierowane.

– Jakież to świetny pomysł! Dobrze, w takim razie pójdziemy razem. Kto jeszcze chce się wybrać z nami?

Zainteresowanie wyraziła tylko Yvonne Desarpes. Jerome zapisał adres dla każdej z pań. Ustalili, że się spotkają o trzeciej po południu.

Pracownia mieściła się w małym zaułku przy placu Vendôme. Pierwsza pojawiła się Gwen. Była z tego zadowolona, bo mogła spokojnie obejrzeć

prace zgromadzone na wystawie. Podszedł do niej jakiś młody Francuz, właściwie jeszcze chłopak.

– Czy życzy sobie pani obejrzeć któryś z tych przedmiotów, mademoiselle? – zagadnął.

– Czekam na paru przyjaciół – odparła. – Chcę się tylko rozejrzeć, jeśli można.

– Naturalnie.

Wycofał się na tyły małego saloniku. Gwen zaczęła obchodzić stoły.

Oczywiście, widziała już przedtem lakierowane przedmioty. W jej domu używano tac, które były pokryte połyskliwą czernią i ozdobione złotym

lub
czerwonym wzorem. Zawsze żywiła przekonanie, że wyprodukowano je
w
jakiejś fabryce, na przykład w Birmingham, co zresztą nie musiało
odbiegać od
prawdy. Tace stanowiły jednak kopię czegoś cenniejszego.

RS

72

Lakier stosowano również w dawnych meblach. Meble Buhla –
przeładowane ozdobami, z drewna fornirowanego lub pokrytego czarną
emalią

– często upiększono lakierem, a także mozaikami z kości słoniowej,
pancerzy
żółwi i mosiądzu.

W muzeach oglądała misy, stoliki i sekretarzyki. W Luwrze
eksponowano

chińską szafkę z dwunastego wieku, ze wspaniałymi ornamentami ze
złotego i srebrnego lakieru na czarnym tle. Gwen miała za sobą skromne
doświadczenia z ozdabianiem drewna i wiedziała, jak trudna jest ta
sztuka.

Przedmioty wystawiane w salonie Tamaki Hayakawy były olśniewające.
Ich staranne wykończenie świadczyło o wielogodzinnej żmudnej pracy.

Wzór,

który pokryto lakierem, zdecydowanie wyróżniał te dzieła. Każdy miał
w sobie

coś niepowtarzalnego: mistrzowskie rysunki przedstawiały czapkę,

chryzantemę, rybę przemykającą pod wodą, chmury i księżycową poświatę,

małe postacie na tle górskiego pejzażu, a także, inspirowany europejskimi

pomysłami, pociąg, który zniknął w tunelu.

Nagle usłyszała za sobą czyjś głos.

– Proszę mi wybaczyć. Mój uczeń powiedział mi dopiero przed chwilą, że pani tu jest.

– Nic nie szkodzi, panie Hayakawa – odparła, odwracając się do niego. – Spędziłam cudowne chwile, podziwiając pańską wystawę.

Wyglądał teraz młodziej niż w skąpym oświetleniu sali teatralnej – mógł mieć dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć lat. Jego proste czarne włosy były

dość krótkie i zaczesane do tyłu. Tego dnia miał na sobie jasny garnitur

– Francuz uznałby taki ubiór za zbyt jasny na jesienny sezon.

Skłonił głowę.

RS

73

– Zna się pani na lakierze? – zapytał. – To bardzo stara sztuka. Zapewne wie pani, że używamy soku *rhus vernicifera*, który przypomina krzew sumakowy w Europie.

Zaczął wygłaszać mały wykład na temat wielokrotnego pokrywania wzorów lakierem. Opowiadał, zapewne nie po raz pierwszy, że nakłada się

trzydzieści warstw czystego lakieru, a każda musi dobrze wyschnąć i być

idealnie gładka, by można było położyć następną.

– To długi proces – zauważył, wręczając Gwen filiżankę. – Taki wyrób jest bardzo trwały, nie pęka pod wpływem gorącej herbaty czy gotującej się

wody. Wydawałoby się, że tak duża liczba warstw lakieru zwiększy ciężar

filiżanki. Ale nie, proszę zobaczyć, że jest bardzo lekka.

– Jest piękna – odrzekła Gwen i obróciła ją ku słońcu. Mówiła z taką szczerością, że surowe rysy Tamaki Hayakawy rozpogodziły się. W ciemnych

oczach pojawił się błysk uznania.

– Ogata Korin, bardzo sławny *makie-shi*, wymyślił takie powiedzenie: sztuka lakiernika polega na chwytaniu słońca w taki sposób, żeby mogło się

ono stać złotą iskrą w ręku kobiety.

– Rzeczywiście – zgodziła się. – Wygląda jak złota iskra.

Ich *tete-a-tete* zakończyło się, ponieważ nadszedł Jerome, a w chwilę później także Yvonne, która narobiła trochę zamieszania, głośno podziwiając

wszystkie przedmioty, biorąc je do ręki i gładząc ich powierzchnię.

– Koniecznie muszę coś kupić – zachwyciła się. – Wezmę tę saszetkę, na

której śliczny mały pociąg wpada do tunelu. Ile to kosztuje?

Kiedy usłyszała cenę, otworzyła usta ze zdumienia.

– Słowo daję, to już przesada! – stwierdziła. – A ile kosztują te klamerki do butów?

Jerome nalegał, żeby Gwen coś wybrała.

RS

74

– Wezmę tę małą filiżankę – powiedziała, unosząc w górę to samo naczynie, które podziwiała w chwili nadejścia Yvonne.

– Proszę przyjąć ją w podarunku – odparł Tama i uklonił się.

Gwen wiedziała, że zaproponowano jej bardzo drogi przedmiot. Każda rzecz na tej wystawie była oryginalnym dziełem sztuki. Każdej trzeba było

poświęcić wiele dni, a ostatnią warstwę połyskliwego złota nakładał sam Tamaki Hayakawa, mistrz w swoim fachu.

– Nonsens – przerwał Jerome i machnął ręką. – Musisz zarobić na życie. Nie możesz sobie pozwolić na rozdawanie rzeczy. Zapłacę za tę czarę do

sake, którą wybrała Gwen.

Yvonne krążyła po pokoju z nadąsaną miną.

– Dlaczego płacisz za Gwen, a za mnie nie?

– Och, kochana, biedna Yvonne... W porządku, zapłacę za obydwie rzeczy. Tama, prześlij mi rachunek.

Gwen wyczuwała za pomocą jakiegoś szóstego zmysłu, że Tama jest urażony. Nie bardzo rozumiała dlaczego – przecież jego praca polegała na

wyrobie i sprzedaży lakierowanych przedmiotów i właśnie udało mu się sprzedać dwie drogie rzeczy. Dopiero później dowiedziała się, że dawanie

prezentów jest dla Japończyka czymś niemal świętym i nie należy mu w tym

przeszkadzać.

Tymczasem Yvonne oglądała kompozycję z kwiatów, która stała na podwyższeniu w pobliżu biurka.

Rozumiem, że kwiaty są drogie – mruknęła, wpatrując się w trzy małe dalie w otoczeniu jesiennej gałązki jakiegoś drzewa.

– Nie, nie – roześmiał się hrabia. – To jest jeden z japońskich sposobów układania kwiatów. Tama, przypomnij mi jego nazwę.

– *Ikebana*.

RS

75

– No właśnie, *ikebana*. Jest w każdym japońskim domu. Uważają, że duże bukiety kwiatów, jakie my lubimy, są zbyt wystawne.

– Wystawne? – powtórzył Tama, zmagając się z wymową tego słowa. – Co to znaczy?

– Na pokaz... raczej wulgarne... – podsunęła Gwen.

– Aha. Nie, nie o to chodzi, Jerome. Używamy niewielu kwiatów, ponieważ nasze pokoje są małe. Poza tym, łatwiej osiągnąć harmonię, mając do dyspozycji niedużo roślin.

– Och, harmonia! – zgodził się Jerome. – Wszyscy Japończycy ciągle mówią o harmonii.

– To prawda. Tu w Paryżu nie przykładają się do tego takiej wagi. – Tama uśmiechał się, a na jego twarzy nie było już widać zbolalej miny. – Tutaj modne są spory. Kiedy przyjechałem do Paryża po raz pierwszy i zobaczyłem

w kawiarni dyskutujących ludzi, myślałem, że zaraz zaczną się bić, ale

oni

tylko spierali się o Picassa. Pozwólcie, że zaproponuję wam herbatę – powiedział po chwili.

Jerome zaczął iść w kierunku drzwi.

– Nie, Tama, wybacz, to bardzo miło z twojej strony, ale czekają na nas gdzie indziej.

Położył rękę na łokciu Gwen i prowadził ją do wyjścia.

– Madame Colbert zaprosiła nas na *le five o'clock*, żebyśmy poznali Sachę Guitry. Ogromnie dziękujemy za pokazanie nam prac.

Powodzenia z

Diagilewem!

– Och, przypomniałeś mi o balecie – odparł Tama, wzruszając ramionami. – Balet skazany jest na porażkę.

– Nie mów tak! Na próbie wszystko wydaje się trudne, ale przekonasz się, że premiera będzie wielkim sukcesem.

RS

76

– Mam nadzieję – odrzekł Tama bez entuzjazmu i skłonił głowę na pożegnanie.

– Nie byłam zaproszona do madame Colbert – protestowała Gwen, kiedy

wyszli z zaułka, by znaleźć się na pięknym placu Vendome, gdzie kamienna

statua Napoleona przyglądała się wrześnieowemu słońcu.

– Ja też nie, ale wszystko jest lepsze niż herbata po japońsku – odpowiedział ze śmiechem Jerome. – Nie masz pojęcia, jaka jest

okropna:

gorzka, przeważnie letnia i podawana bez mleka czy cukru...

– Dobry Boże – wtrąciła się Yvonne – herbata z mlekiem i z cukrem jest równie kiepska!

Jerome udał się pośpiesznie na róg ulicy de Castiglione i przywołał taksówkę, która zatrzymała się przed nim z piskiem opon. Kazał szoferowi

jechać do „Crillon” i wepchnął dziewczęta do wozu.

– Dlaczego jedziemy do „Crillon”? – zapytała Yvonne, kiedy przemknęli

obok pomnika Joanny d'Arc przy rue des Pyramides.

– A dlaczego nie?

– Doszlibyśmy tam na piechotę w pięć minut – buntowała się Gwen.

– Nie mogliśmy tam zostać! – odparł Jerome, unosząc ostrzegawczo palec. – Jeszcze by nas zaprosił na premierę baletu.

– Chcesz powiedzieć, że się na nią nie wybierasz?

– Oczywiście, że nie! Wiadomo przecież, że balet padnie!

– Myślę, że to świństwo – stwierdziła Gwen.

Jerome spojrział na nią niewinnymi, ciemnoniebieskimi oczami.

– *Ma chérie*, po pierwsze, wiesz, że nie lubię baletu i wolę komedię satyryczną. Po drugie, kiedy coś się nie udaje, Siergiej Diagilew przestaje być

uprzejmy. A po trzecie, nie wiedziałbym, co powiedzieć Tamie, gdyby publiczność paryska go wygwizdała.

RS

- No cóż, ja pójdę – oświadczyła Gwen.
- Ale dlaczego? – wykrzyknęła Yvonne. – Bo chciał ci podarować tę śliczną filiżaneczkę?
- Moja droga dziewczyno! – strofował ją Jerome. – Jeżeli będziemy spędzać czas na wspomaganiu artystów nieudaczników...
- Ależ te kostiumy są piękne!
- Hm, to prawda, ale brakuje im widowiskowości...
- Chciałeś powiedzieć, że są zbyt harmonijne – przerwała Gwen ze śmiechem.
- Właśnie! Och, biedny staruszek Tama. Może powinniśmy iść, co? I klaskać, kiedy inni będą gwizdali?

I tak wskutek interwencji Gwen udali się w następną sobotę z grupą, przyjaciół do loży Jerome'a w teatrze Champs–Elysees.

Gwen nie miała zbyt dobrego pojęcia o balecie. Kiedy w zeszłym miesiącu Jerome zabrał ją do teatru, obejrzała sztukę, której zresztą nie mogła należycie

docenić, gdyż nie rozumiała francuskich dowcipów politycznych.

Przedstawienie baletowe stanowiło dla niej rewelację. Program rozpoczął się

romantycznym baletem *Les Sylphides*, przedstawiającym nimfy na oświetlonej

księżycem polanie. Gwen była urzeczona długimi muślinowymi spódnicami,

muzyką Szopena, wybitnym poziomem artystów.

Prawdziwie klasyczne tańce baletowe z *Dziadka do orzechów* Czajkowskiego

zafascynowały ją w inny sposób – były olśniewające, precyzyjne, pełne słodkiego wdzięku. Pojęła, że balet w stylu japońskim wywoła kontrowersje –

zakończy program, całkowicie zmieniając nastrój. *Chryzantema* opowiadała o

gejszy, którą kochało dwóch samurajów. Kiedy podniosła się kurtyna, widzowie ujrzeli na tle zamglonej sceny herbaciarnię w ogrodzie.

Wszystkie

kolory były przytłumione, tancerze poruszali się bardzo łagodnie, a

muzyka

RS

78

(skomponowana przez jednego z młodych faworytów Diagilewa)
zawierała
wschodnie akcenty.

Chryzantema pojawiła się w kimonie z gazy. Stąpała na palcach, ale wykonywała jedynie drobne kroczki zwane *pas de bouree*. Jerome szepnął, że

jest w tym sporo autentyzmu, ponieważ japońskie kobiety poruszają się w taki

właśnie sposób. Jednakże publiczność, która przywykła do skaczących w górę

balerin i unoszących je w locie silnych młodzieńców, poczuła się zawiedziona.

Kiedy na scenę wkroczyło dwóch samurajów, akcja bardzo się ożywiła. Nastąpił pojedynek na miecze z dużą liczbą akrobatycznych elementów.

Broń

błyskała, a zakochani wojownicy padali, by powstać po chwili. Jednakże obaj

tancerze wyraźnie obawiali się zadania sobie ran mieczami, które wprawdzie

nie były prawdziwe, ale świstały w powietrzu z taką szybkością, że mogły

spowodować poważne obrażenia. Wbrew intencjom choreografa walka na

miecze nie stała się kulminacyjnym punktem przedstawienia. Jakiś żartowniś

posunął się nawet do tego, że przekrzykiwał łoskot czyneli i bębnów:

„Boisz

się, że utniesz sobie palec, Dymitrze?" Publiczność zareagowała

śmiechem i

aplauzem.

Na końcu Chryzantema oplakiwała kochanka, który przegrał walkę.

Przeszła się po scenie, ale bardzo powoli. Akompaniował jej jedynie

nieśpieszny rytm perkusji. Ktoś – być może ten sam dowcipniś, który

krzyczał

w trakcie pojedynku – zaczął nucić *Marsz żałobny* Szopena, którego

rytm

niestety idealnie pasował do uderzeń bębna. Ten pomysł podchwyciła

publiczność na galerii. W momencie kiedy Chryzantema dotarła do

grobu, by

przykryć kochanka swoim ciałem, przedstawienie zaczęło przypominać

farsę.

Wreszcie kurtyna opadła, by znowu się podnieść i ukazać Chryzantemę

wyciągniętą na mogile. Znajomy głos wykrzyknął.

– Wstawaj, Ludmiła, no, wstawaj, wszyscy chcemy już iść do domu

RS

79

Kurtyna opadła gwałtownie. Po króciutkiej przerwie poszła w górę żeby

artyści mogli się uklonić. Dyrygent, który dołączył do nich na scenie

wyglądał

na zmartwionego. Balerina, której wręczono obowiązkowy premierowy bukiet,

wydawała się bliska łez. Ukłon choreografa powitały drwiące okrzyki i gwizdy. Z podobną reakcją spotkał się kompozytor. Tych dwóch młodzieńców

sprawiało wrażenie bliźniaków.

– No cóż, jutro pokaże im się drzwi – mruknął Tomasz Leclerc, jeden z przyjaciół Jerome'a.

– Tylko autorowi muzyki. Przekonasz się, że temu drugiemu włos z głowy nie spadnie – odparł Jerome.

– Och, jest obecnym faworytem, tak?

– Tsss! – syknęła Gwen, gdyż na scenę wszedł autor kostiumów i dekoracji.

Tamaki Hayakawa nie zdradzał się z żadnymi uczuciami. Po prostu wystąpił, uklonił się i czekał. Gwen poczuła ogromną ulgę, kiedy powitał go

umiarkowany aplauz. W gruncie rzeczy kostiumy i dekoracje stanowiły najsilniejszy atut przedstawienia. Klaskała więc z wielkim zapalem, a wkrótce

przyłączyli się do niej przyjaciele z łoży Jerome'a, choć nie obyło się bez

zdziwionych spojrzeń, skierowanych ku nim.

Tama podniósł wzrok ku łoży, a po jego twarzy przebiegło coś, co można

było uznać za uśmiech wdzięczności. Po chwili jednak jego rysy znowu skamieniały. Skłonił głowę z powagą i czekał na moment, kiedy będzie mógł

zejść ze sceny. Kurtyna opadła, a publiczność przestała klaskać i wkrótce

zaczęła opuszczać teatr.

– Na tym koniec – stwierdził Jerome. – Co teraz zrobimy? Czy ktoś chciałby pojechać ze mną na kolację do Bristolu?

– Nie pójdziemy za kulisy, żeby porozmawiać z Tamą?

RS

80

– Tama nie życzy sobie rozmów – odparł Jerome. – Poza tym dziś wieczorem ambasada Japonii urządza bankiet. Przypuszczam, że został tam zaproszony.

– Mimo wszystko uważam, że powinniśmy...

– Nie, nie, Gwen – protestowała Sybille. – Dość się już namęczyliśmy. Chodźmy na kolację.

– W porządku, idźcie. Ja dołączę do was później.

Jerome znajdował się już w przejściu za swoją lożą, ale obrócił się i spojrzał na nią przez ramię.

– Naprawdę zamierzasz wrócić?

Skinęła głową i wzięła torebkę z wykładanego aksamitem oparcia.

– Do zobaczenia.

– O Boże! – jęknął hrabia. – Dobrze, wszyscy tam pójdziemy. Ale tylko na chwilę!

W korytarzu prowadzącym za kulisy nie wyczuwało się typowej dla premier atmosfery gorączkowego pośpiechu. Tancerze prawdopodobnie płakali

w swoich garderobach, a Diagilew stał nad kompozytorem niczym chmura

gradowa. Nieco na uboczu znajdowała się mała grupa Japończyków. Do Tamy

przemawiał jakiś starszy człowiek w wieczorowym stroju z czerwoną wstęgą

Legii Honorowej. Był to japoński ambasador. Tama nisko się kłaniał i nic nie mówił.

– Co się dzieje? – zagadnęła Jerome'a Gwen.

– Moja znajomość japońskiego jest ograniczona. Zapomniałem prawie wszystko, czego się nauczyłem, ale myślę, że ambasador strofuje Tamę za to,

iż pozwolił samurajowi stać się obiektem drwin.

– Ależ to nie była wina Tamy! – wykrzyknęła Gwen.

– Powiedz to ambasadorowi.

RS

81

– Właśnie że powiem! – odcięła się Gwen.

Bez żadnych ceregieli przedarła się do grupy Japończyków i przerwała starszemu panu w pół słowa.

– Tama, chciałam tylko, żebyś wiedział, iż moim zdaniem twoje kostiumy są przepiękne – oświadczyła. – To wstyd, że inne osoby zaangażowane w przedstawienie wykonały taką złą robotę.

Ambasador zapytał o coś Tamę ostrym tonem. Tama powiedział po francusku:

– Mademoiselle, pozwoli pani, że przedstawię panią Jego Ekscelencji, monsieur Kegara, ambasadorowi Jego Cesarskiej Mości we Francji.

Zgodnie z przyjętym ceremoniałem Gwen pochyliła głowę. Ale nie czekając na słowa Jego Ekscelencji, ciągnęła pośpiesznie:

– Panie ambasadorze, z jakimż zadowoleniem musiał pan oglądać te autentyczne kostiumy. To, niestety, jedyna część baletu, która

zadowolila
publiczność. Mam wrażenie, że monsieur Hayakawa zasługuje na
gratulacje.
Kegara spiorunował ją spojrzeniem, lecz po chwili jego rysy
złagodniały.
Powiedział coś po japońsku do Tamy, a on uśmiechnął się i skinął głową
na
znak zgody.
– Mówiłem mojemu rodakowi, że miło jest poznać kogoś, kto potrafi
docenić takie rzeczy. Dziękuję pani za wyrażenie tych poglądów –
przetłumaczył Tama słowa ambasadora.
Kegara zerknął przez ramię na swoją świtę. Było w niej dwóch
młodszych od niego mężczyzn w strojach wieczorowych oraz dwie
japońskie
damy w cudownych, bogato haftowanych kimonach. Bez słów dał im do
zrozumienia, że pragnie wyjść. Wszyscy odwrócili się, by pójść w ślad
za nim,
choć ambasador Kegara przeszedł obok nich w taki sposób, jakby byli

RS

82

powietrzem. Gwen zauważyła, że kobiety posuwały się do przodu takimi
samymi drobnymi kroczkami, jakie wykonywała balerina.
Jerome odetchnął.
– Gwen, mogłaś wywołać incydent dyplomatyczny! Jak można
przerywać ambasadorowi w pół słowa!
– Och, bzdura! – odparła Gwen, aczkolwiek i ona była trochę

zdeenerwowana. Monsieur Kegara nie należał bowiem do ludzi, których można traktować beztrosko.

– Chodź z nami do Bristolu utopić smutki – zapraszał Tame Robert Soulent.

– Nie, muszę zostać. Diagilew mówi coś o przeróbkach w następnym przedstawieniu.

Yvonne poklepała go po ramieniu.

Tego nie uratują żadne przeróbki. Balet zejdzie po pięciu przedstawieniach,

mon ami.

– Mam nadzieję, że dostałeś swoją gażę – wtrąciła się Toinette.

– Na pewno nie przyłączysz się do nas? No to chodźmy!

Gwen poszła wraz z nimi. Ale w trakcie kolacji ciągle miała przed oczami Tame, który czeka w samotności na wielkiego Diagilewa.

Jerome

wyczuł, o czym myślała. Próbował ze wszystkich sił poprawić jej nastrój,

tańczył z nią, a pod koniec wieczoru, kiedy się rozstawali, otoczył ją ramieniem.

– Chodź ze mną do domu, kochanie – powiedział cicho.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Czy to oznacza to, co myślę, że oznacza? – odrzekła po chwili.

– Oczywiście. Przecież zawsze mówiliśmy, że dobrze byłoby zostawić trochę twoich rzeczy na wypadek, gdybyś zechciała czasem przenocować.

RS

83

Pochylił głowę, żeby ją pocałować, a ona zaczęła się poddawać temu cudownemu nastrojowi.

Poszli zatem do domu, a potem do łóżka i było niemal tak jak dawniej – czule, namiętnie, radośnie, satysfakcjonująco. Oddawała się całkowicie, ulegając bez reszty dawnej namiętności. Ale nawet w momencie, gdy odwzajemniała pocałunki Jerome'a, i rozkoszne pieszczoty, wiedziała, że coś

się zmieniło. Powiedział: „czasem przenocować”. Chodziło mu tylko o ten

wieczór. Nie wiązali się ze sobą na nowo.

Gwen wiedziała, że stała się jedną z wielu kobiet, które kochały Jerome'a;

wiedziała także, że i on kocha ją na swój sposób. Nie mogło być tak jak dawniej, ale przynajmniej coś między nimi było i Gwen miała ochotę

zaakceptować taki układ.

RS

5

Czy masz numer telefonu do Tamy Hayakawy? – zapytała nazajutrz, po śniadaniu.

Jerome, który miał jeszcze na sobie jedwabny szlafrok, zerknął zza gazety.

– Dobry Boże, zeszłego wieczoru spełniliśmy nasz obowiązek! Dziś rano

nie ma potrzeby lamentować razem z nim nad recenzjami.

– Nie o to chodzi. Pragnę tylko z nim porozmawiać.

– O czym?

– Chcę, żeby pracował ze mną nad meblami dla Georges'a Guinchy.

– Ach, więc to interesy! – powiedział Jerome z widoczną ulgą.

– Tak, oczywiście, a cóż by innego?

– Ach... No cóż, widzisz... On ma powodzenie u kobiet. Myślę, że działa na nie tajemniczy urok Wschodu.

Gwen obserwowała go uważnie.

– Jerome, ty jesteś zazdrosny! To z tego powodu przywiozłeś mnie tu wczoraj, prawda?

– Wcale nie! Cóż to za pomysł! Wiesz, że zawsze uważałem cię za atrakcyjną i wspaniałą kobietę.

– Ale doszedłeś do wniosku, że za dużo myślę o Tamie i chciałeś odwrócić od niego moją uwagę.

– Nie zrobiłbym czegoś podobnego! Wiesz, że nie zajmuję się takimi drobnostkami.

Ale śmiał się i czuła, że jej przypuszczenia były słuszne.

RS

85

– Jerome, nie wolno ci postępować tak, jakbym była twoją własnością – skarciła go. – Gdybym chciała widywać się z kimś innym, nie powinno cię to

interesować, prawda?

– Oczywiście. Żadnego stawiania sobie warunków. Czy naprawdę uważasz, że Tama jest atrakcyjny?

– Hm, jest bardzo przystojny...

– Ma typową urodę Japończyka.

– Tak, te czarne oczy i gładka oliwkowa skóra... A poza tym jest genialny! Jego lakierowane wyroby są znakomite.

Jerome zgodził się, że Tama jest mistrzem w swoim zawodzie – właśnie dlatego sprowadził go do Paryża.

– I odniósł wielki sukces, aczkolwiek lakierowane wyroby nie cieszą się takim popytem jak, powiedzmy, malarstwo – dodał po chwili.

– Mówiłeś, że pokłócił się ze swoim ojcem...

– O, tak, to całkiem niezwykle, zważywszy, że japońscy synowie nie spierają się ze swoimi ojcami, szczególnie wtedy, gdy ojciec jest mistrzem w

jakiejś dziedzinie. Tama wyczytał, że europejscy lakiernicy znaleźli sposób na

użycie bieli w swoich pracach... Zdaje się, że jeszcze nie wiesz zbyt dużo na

ten temat. Chociaż... – dodał, a w jego oczach pojawiły się iskierki złości

– mam przeczucie, iż w ciągu najbliższych paru dni wiele się nauczysz.

W

każdym razie na chińskich i japońskich wyrobach lakierowanych nigdy nie

widzi się białego koloru.

– Ależ tak, robią to za pomocą macicy perłowej...

– Właśnie to mam na myśli. Macica perłowa jest srebrzysta, ale nie biała.

Tu w Paryżu Jean Dunand wynalazł nową metodę. To jakiś długi proces;

w

każdym bądź razie do ostatniej warstwy dodaje się pokruszone skorupki jaj.

RS

86

Tama chciał ten sposób wypróbować, ale ojciec wpadł w furję, bo to oznaczało

sprzeniewierzenie się tradycji i uleganie obcym wpływom...

– Konflikt powstał tylko dlatego, że Tama chciał, aby jego wyroby zawierały biały kolor?

– Dokładnie tak. Pojawiłem się tam mniej więcej w tym czasie.

Chciałem

kupić kilka prac wystawianych w rodzinnej pracowni i poznałem Tamę.

Kiedy

zapropoNOWAŁEM mu wyjazd do Paryża i nauczenie się metody u samego Dunanda, aż podskoczył z radości. A stary Hayakawa dostał szału i zapowiedział mu, żeby nigdy nie wracał do domu.

– Jakież to okropne!

– Nie pojmuję, o co ci chodzi. Poczyna sobie całkiem nieźle, urządził się w Paryżu.

– Ale przebywa z dala od domu, Jerome. A w Paryżu jest tak niewiele osób, z którymi może porozmawiać w ojczystym języku.

– Nie rozumiem...

– Ze mną to zupełnie inna sprawa – ciągnęła dalej Gwen, przypominając sobie swoje życie od przyjazdu do Francji. – Jest tu duża społeczność mówiąca po angielsku, a jeżeli strasznie mi się zachce staroświeckiej angielskiej herbaty, zawsze mogę pobiec do księgarni przy rue de l'Odeon. A iluż może być w Paryżu Japończyków?

– Ha... Oprócz pracowników ambasady... No cóż, jest Foujita. Foujita należał do artystów, którzy pragnęli wyprzeć się wszystkiego, co japońskie, i stali się bardziej francuscy niż Francuzi. Mimo usilnych prób Jerome był w stanie wyliczyć zaledwie cztery nazwiska.

– Sam widzisz.

– Co widzisz? Co próbujesz udowodnić? Że Tama przebywa z dala od domu? Owszem, zgoda. Ale że jest osamotniony? Nie sędzę. Proszę cię, moja

RS

droga, nie bądź taka sentymentalna, jeżeli mowa o Tamie. On potrafi zadbać o siebie.

– I bardzo dobrze – odparła. – W takim razie łatwo się będzie z nim pracowało dla Guinchy'ego. A teraz, skoro już się tyle nasłuchałam, czy możesz mi dać jego numer telefonu?

– W książce na biurku, w mojej pracowni – odrzekł ze śmiechem Jerome.

Telefon odebrał francuski uczeń. Niestety, pan Hayakawa właśnie wyszedł do teatru Champs–Elysees i wróci nieprędko. Oczywiście, można zostawić wiadomość.

– Proszę mu powiedzieć, że Gwen Whitchurch chciałaby z nim porozmawiać w sprawach zawodowych – oświadczyła i zostawiła numer telefonu do warsztatu meblarskiego.

Jerome nie chciał jej wypuścić, ale Gwen upierała się, że ma dużo pracy. Udała się na ulicę Notre–Dame–des–Champs, gdzie szklany dach stryszku

dawał dobre oświetlenie. Zasiadła do pracy nad szkicem pracowni pana Guinchy i zaczęła rozrysowywać w skali meble, które miała zrobić.

Kiedy w końcu pracownicy warsztatu poszli do domu, Gwen pomyślała, że jest zmęczona. Już miała wyjść, gdy na dole zadzwonił telefon.

Zeszła po drewnianych schodkach, żeby go odebrać.

– Mademoiselle Viicza?

Wybuchnęła śmiechem.

– Pan Hayakawa!

– Oczywiście – odparł, nieco speszony.

– Nazywam się Whitchurch, a nie Viicza. I mam nadzieję, że będzie pan mi mówił po imieniu, Gwen.

Do tego momentu Tamaki Hayakawa miał zupełnie okropny dzień.

Poprzedniego wieczoru poszedł do łóżka bardzo późno i spał fatalnie.

Obudził

RS

88

się z bólem głowy i uczuciem, że ktoś uwiesił u jego powiek ołowiane ciężarki.

Zgodnie z poleceniem, zjawił się na próbie w teatrze o godzinie dziesiątej. Nie

było tam jeszcze Siergieja Diagilewa ani młodego choreografa.

Kompozytor i

parę innych osób pracujących nad tą inscenizacją czekali godzinę.

Kompozytor

spędził ten czas na przekonywaniu wszystkich, że jego muzyka jest znakomita,

bardzo autentyczna, prawdziwie japońska. Tama doskonale wiedział, że to

nieprawda, ale trzymał język za zębami.

Wreszcie pojawił się Diagilew wraz z Jurijem. Dla wszystkich stało się jasne, że młody choreograf nie poniesie żadnych konsekwencji za

porażkę z

ubiegłego wieczoru. Nastąpiła długa sprzeczka. Diagilew upierał się, że trzeba

będzie dużo popracować nad *Chryzantemą*. Zespół nie mógł bowiem pozwolić

sobie na utratę już zainwestowanych pieniędzy. Dyrygent skarżył się, że partytura jest niemal niemożliwa do zagrania. Autor muzyki, Lenia, gorączkowo się bronił. Oświetleniowiec, Francuz, który był raczej pracownikiem

teatru niż członkiem trupy Diagilewa, nie chciał się zgodzić z zarzutami i na koniec wykrzyknął, że wie lepiej od jakiegoś zarozumiałego rosyjskiego

emigranta, co daje dobre efekty w jego teatrze.

Kiedy Diagilew zażądał, by ożywić kostiumy, Tama odparł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, ale trzeba będzie poprosić garderobianą o zakup

nowych materiałów, skoro miał użyć intensywniejszych farb. 56

Kierownik grupy baletowej przerwał mu mówiąc, że dziewczyny nie będą w stanie się ruszać, jeżeli zmusi się je do noszenia długich kimon z cięższego materiału.

– To prawdziwe szczęście, że dotychczas nie mieliśmy żadnych upadków. Czy nie można by było użyć krótkich kimon?

RS

89

Nieprzenikniona twarz Tamy nadal wyrażała uprzejmość. Choreograf odpowiedział za niego, że krótkie kimona nie przystoją gejszom i zepsułyby

nastrój autentyzmu...

I tak dalej, i tak dalej.

Około czwartej udali się do restauracji „Ledoyen”, która znajdowała się na Polach Elizejskich. O jesieni przypominały piękne drzewa rosnące po obu

stronach ulicy. Chociaż Diagilew dopiero co podkreślał potrzebę oszczędzania,

w „Ledoyen” wydał cały majątek, fundując wszystkim lunch. Właściciel

restauracji był z początku poirytowany koniecznością podania posiłku o czwartej, ale rozpromienił się, kiedy zamówiono kawior. Tama nie mógł nic

przełknąć. Ponure myśli o tym, co stanie się z jego kreacjami, oraz konieczność bycia układnym wobec tych dziwnych ludzi, całkowicie odbierały mu apetyt.

Wszystko skończyło się zgodnie z jego przewidywaniami, wszak wywodził

się z narodu, który umiał po mistrzowsku zachowywać pozory. Następne przedstawienie *Chryzantemy* odłożono na bliżej nie określony termin. W tym

czasie kompozytor miał przemyśleć partyturę, a choreografowi polecono zająć

się librettem i uczynić je bardziej pogodnym. Projektant miał się zastanowić

nad nowymi kostiumami. Kurtynę uznano za idealną, nie wymagającą przeróbek. Tama był przekonany, że zawędruje prosto do magazynu i już nigdy

nie ujrzy światła dziennego.

Jak wcześniej sugerowała Yvonne Desarpes, Tama miał szczęście, gdyż otrzymał zapłatę za swoją pracę. Ale nie przyjmował tego zamówienia dla

pieniędzy. Pragnął, by kojarzono jego nazwisko z wielkim Diagilewem i udanym przedstawieniem baletowym. Tama uwielbiał balet. Wpadł w zachwyty

już od pierwszego kontaktu z tancerzami Diagilewa – w Japonii nie było czegoś takiego. Ale może to i lepiej, że odłożono występy baletu. Jego

RS

90

Ekscelecja nie był zadowolony. I chociaż Tama wierzył w to, że uwolnił się z krępującej go tradycji, czuł się okropnie, kiedy beształ go stary japoński dyplomata.

Po powrocie do pracowni przy placu Vendome znalazł liścik od swojego ucznia, skreślony dziwnym, europejskim charakterem pisma, który Tamie wydawał się brzydki i mało czytelny.

„Proszę zadzwonić do pannyWhitchurch... ”

To była pierwsza dobra rzecz, jaka mu się tego dnia przydarzyła. A do tego zaproponowała mu teraz, żeby mówił do niej po imieniu: Gwen. Gwen Whitchurch. Czuł, że poprawne wymówienie tego nazwiska daje mu jakieś prawo do niej.

– A zatem, Gwen Whitchurch, zostawiłaś wiadomość, żeby do ciebie zadzwonić.

– Byłeś w teatrze z maestro? Jak poszło?

– Nie mówmy o tym.

– Biedak! Czy będziesz zmuszony do dokonania dużych zmian?

– Przedstawienie schodzi z afisza.

W słuchawce zapadła cisza.

– No cóż, nie mogę powiedzieć, że czuję się zaskoczona – odparła po chwili Gwen. – Balet nie jest zbyt dobry. Z wyjątkiem twoich projektów oczywiście.

- Dziękuję.
- Wydajesz się bardzo przygnębiony.
- Nie promienieję szczęściem.
- Tak mi przykro. Ale może to, co za chwilę ci powiem, trochę cię podniesie na duchu. Chciałam zapytać, czy zgodziłbyś się wspólnie ze mną wykonać meble dla jednego z moich klientów.

RS

91

- Przepraszam, co powiedziałaś? – odparł, nie mając pewności, czy dobrze ją rozumiał.
Po dwóch latach pobytu w Paryżu mówił całkiem niezłą francuszczyzną, ale w głosie Gwen pobrzmiwał obcy akcent, a ponadto w telefonie słychać było trzaski i szумы.
- Chodzi o meble, które wyrabiam. Georges Guinchy, znasz go?
Zajmuje się tym nowym interesem: radiodbiornikami. Ma w fabryce biuro, ale chce pracować także w domu, toteż...
- Przepraszam. Powiedziałaś, że robisz meble?
- Tak.
- Robisz meble?! – powtórzył zdumionym głosem.
- Tak. Nie wiedziałaś? Właśnie dlatego przyjechałam do Paryża. Żeby zrobić meble do apartamentu Jerome'a.
- Nic o tym nie słyszałem.

- Czy moglibyśmy się spotkać i obgadać mój pomysł?
- Wybacz, o jaki pomysł chodzi?
- Żebyśmy ze sobą współpracowali.
- A co mamy robić?
- Meble. Ja zaprojektuję meble i razem zdecydujemy, jak je wykonać i ozdobić.

Wyczuł, że zapragnęła wycofać się z tej propozycji.

- Przepraszam. Może zdobienie mebli jest poniżej twojej godności?
- Naturalnie, że nie. W Japonii i w Chinach zawsze stosowano lakier do zdobienia mebli. Jestem tylko zaskoczony. Nie wiedziałem, że jesteś projektantką. Poza tym nie oczekiwałem, że ktoś zaproponuje mi pracę w meblarstwie. Tu, we Francji, zdarza mi się to pierwszy raz.
- Ten pomysł nie jest ci niemiły?

RS

92

- Oczywiście, że nie.
- Moglibyśmy się spotkać i omówić tę sprawę? Pokazałabym ci parę rysunków...
- Gwen, czy jadłaś kolację?
- Nie...
- Ja też nie. Może porozmawialibyśmy o tym przy posiłku?
- To byłoby miłe...
- Za godzinę?
- Dobrze, za godzinę. Gdzie?
- Czy moglibyśmy się umówić w „Cafe de la Paix”?

– Och, tam jest za...

Urwała. Chciała powiedzieć „za drogo”. Ale domyśliła się, że poczułyby się urażony.

– ... za dużo hałasu – oznajmiła. – Pójdźmy do jakiegoś spokojniejszego lokalu, Tama.

– Znasz „La Deesse” przy ulicy Soufflot?

– Niedaleko Panteonu? Tak, wiem, gdzie to jest.

– Przyjdź tam o ósmej.

– Będę.

Pobiegła do hotelu, żeby się przebrać. Z mieszkania Jerome'a przywiozła

suknię wieczorową, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru, ale po chwili

namysłu powiesiła ją w szafie. Zbyt elegancka, a poza tym mogłoby mu być

przykro, gdyby sobie przypomniał, że nosiła ją zeszłego wieczoru i widziała

jego porażkę w teatrze.

Miała jeszcze bladoniebieską sukienkę kupioną na przecenie u Chanel.

Była prosta, z długimi rękawami i jedwabną narzutką, o przedłużonej talii.

Sięgała mniej więcej do połowy łydki. Projektant oświadczył, że ta sukienka

RS

wcięcie

w talii przestanie się liczyć – wszystko będzie bardziej miękkie i swobodniejsze, a kobiety pozbędą się gorsetów"! Wprawdzie Gwen nie potrafiła w to całkowicie uwierzyć, ale nowe tendencje bardzo ją pociągały.

Pomyślała, że ten wieczór daje jej szansę włożenia tej sukienki po raz pierwszy. Będzie miała także okazję przekonać się, jakie wrażenie zrobi w tym

stroju na Tamie.

Ułożyła swoje długie kasztanowe włosy w precelki przy uszach. Trochę przyciemniła brwi i rzęsy. Wybrała pończochy z najlepszego jedwabiu, a dla

uzyskania efektownej całości założyła długi sznur sztucznych pereł.

Dopiero

podczas szybkiego marszu na stację metra zapytała siebie w duchu, dlaczego

zadaje sobie tyle trudu, by olśnić Tamę Hayakawę.

Czekał już na nią. Powstał od stolika, żeby się jej pokazać. Kelner pośpiesznie zaprowadził ją na miejsce. Gwen podała mu krótką, aksamitną

marynarkę i wzięła do ręki kartę dań.

– Czego się napijesz? – zagadnął Tama.

– Poproszę o słodkie martini. Kelner przyjął zamówienie.

– Jak ja to kocham we Francji: duży wybór małych drinków – uśmiechnął

się Tama. – Zawsze można wziąć to, na co się w danym momencie ma ochotę.

– A w waszym kraju tak nie ma?

– Nie. Mamy sake, która jest dość mocna. Podaje się ją w malutkich czareczkach: kupiłaś taką w mojej pracowni. Po wypiciu wielu czarek można

się bardzo upić. Przyjaciołom serwujemy herbatę.

– Och, tak – odrzekła Gwen, przypominając sobie uwagi Jerome'a na temat japońskiej herbaty. Ku jej zdumieniu Tama wybuchnął donośnym śmiechem.

RS

94

– Wiem, co Europejczycy sądzą o japońskiej herbacie. Gorzka, niedobra w smaku, bez mleka, bez cytryny, bez cukru. Podanie japońskiej herbaty Europejczykowi to ciężka próba przyjaźni.

Śmiech ożywił jego twarz. W czarnych oczach pojawiały się ogniki rozbawienia, a białe zęby błyszczały w uśmiechu.

– Jeżeli poczęstujesz mnie herbatą, wypiję ją bez skargi – odpowiedziała.

– Zobaczymy. Nie należę do wielkich tradycjonalistów. Wolę francuskie wino. I francuskie jedzenie – dorzucił, wskazując na kartę dań.

– Zamówmy więc coś, bo przez cały dzień nie miałem nic w ustach. Kiedy dokonali wyboru potraw, Gwen wzięła swoją torebkę, z której wyciągnęła kilka kartek z rysunkami. Podała je Tamie przez stół bez żadnego

komentarza; najpierw przejrzał je szybko, a potem jeszcze raz oglądał uważnie

każdą kartkę.

– Przepraszam. Nie znam się na wszystkich meblach. Co to za pokój?

– Pracownia. Pokój do prowadzenia interesów. Pan Guinchy pragnie załatwiać część spraw poza miastem, za pośrednictwem telefonu. Chce się

pokazać, jaki jest nowoczesny. Produkuje radia, więc musi prowadzić interesy

w nowy sposób.

– Co się znajduje w tym pokoju? Biurko, krzesła... A te wysokie sprzęty,

co to takiego?

– Kartoteki. W szufladach trzyma się dokumenty, papiery dotyczące firmy, foldery z informacjami.

– Rozumiem. To dlatego jest ich tak wiele i są takie głębokie. No i szafki...

– Tak, zwyczajne szafki. Monsieur Guinchy chciałby mieć barek na napoje dla gości oraz półki na książki i tym podobne rzeczy. A to... – pochyliła

się, żeby pokazać mu, co ma na myśli – to jest sejf.

RS

95

– Sejf?

– Można w nim zamknąć ważne dokumenty i pieniądze.

– Ach, tak, my nazywamy to mocną skrzynką – powiedział ze śmiechem.

– Możesz robić meble z żelaza?

– Nie, nie, tylko pokrywę do sejfu. Wiesz, sejfy są bardzo brzydkie. Ten będzie się znajdował między szafkami i półkami, a jego drzwiczki nie będą się

różniły wyglądem od reszty.

– Dobrze. A jeśli chodzi o kolorystykę?

– Monsieur Guinchy życzyłby sobie czerń i biel. Chce, żeby pokój wyglądał bardzo elegancko, bardzo nowocześnie, nie jak tradycyjne, ponure i

zagracone biura. Zamierzam go namówić do użycia złotego koloru.

– Aha – odarł Tama.

- Chodzi o to, że on, Georges Guinchy, nie chciałby tradycyjnych japońskich ozdób z kwiatami czy ptakami. Nie życzy sobie niczego... niczego „ładnego”, jak się wyraził.
- Czekała z niepokojem na to, że zaprotestuje, jakoby jego prace były ładne. Ale on kiwnął głową.
- Pojmuję. I właściwie to... Wiesz, co przypominają te sprzęty?
- No?
- Drapacze chmur, które stoją w Nowym Jorku. Oparła się o krzesło z rozchyłonymi ustami.
- Tak. Tak, wyglądają właśnie w ten sposób! Zwłaszcza te wysokie szafki na kartoteki.
- A jeśli chodzi o dekorację... Czy może być coś lepszego niż sceny z nowoczesnego miasta: sylweta drapacza chmur, samochody, samoloty...
- Radio, wieża radiowa...
- Motywy błyskawicy, żeby pokazać, iż nadaje się program.

RS

96

- Może wschód i zachód słońca, dla zaakcentowania, że towary pana Guinchy są używane zawsze...
- Pojawił się kelner z potrawami. Niechętnie odsunęli papiery, by zrobić miejsce na talerze. Przepraszając Gwen wzrokiem, Tama zaczął jeść zamówioną przez siebie rybę, aczkolwiek nadal nie odrywał wzroku od rysunku.
- Powiedz mi, na jaką stronę wychodzą okna tego pokoju?
- Na południowy zachód. Myślałam o tym, wiem, że sprzęty pokryte

lakierem nie powinny świecić w oczy w ciągu dnia, ale, widzisz, słońce jest tu

dopiero późnym popołudniem.

– Wspaniale! Spójrz – powiedział i wyciągnął z kieszeni na piersi ołówek, by naszkicować coś na skraju kartki. – Mógłbym zrobić płytciny w

drzwiach szafek, prawie kwadratowe. Niech po jednej stronie szafek będzie

wschód słońca, a po drugiej zachód, co symbolizowałoby budzenie się miasta i

jego zasypianie. Widzisz, chmury się cofają, na prostokąty wieżowców padają

promienie słońca...

Wręczył jej rysunek – kilka żywych kresek, pomysł w postaci miniaturowego

szkicu. Gwen kiwała głową potakująco.

Kelner nie był zachwycony. Nie zwracali uwagi na jedzenie i siedzieli zbyt długo. Na szczęście zamawiali coraz więcej wina i kawy, a do tego na

koniec japoński dżentelmen dał mu okazały napiwek, więc poczuł się usatysfakcjonowany.

– Myślę, że musisz jak najszybciej zobaczyć ten pokój – powiedziała Gwen po wyjściu z restauracji. – Jutro z samego rana zadzwonię do pana Guinchy i zapowiem wizytę. Czy będziesz wolny jutro lub za dwa dni?

– Mam parę rzeczy do skończenia dla stałego klienta: dwa dni nieprzerwanej pracy. – Wykonał gest imitujący precyzyjne ruchy pędzelka. –

RS

97

Lakier to wymagające rzemiosło: wykonasz jedną czynność, potem musisz trochę odczekać i robota zaczyna się od nowa. Ważny jest proces wysychania.

Nie wolno go przyśpieszać.

– Nie robisz pierwszych warstw sam?

– Nie, tym zajmują się pomocnicy. Ale muszę czekać, aż przedmiot będzie gotowy do położenia ostatniej warstwy. Wówczas każdy surowiec

trzeba stosować oddzielnie: złoto, sproszkowaną kość słoniową czy cokolwiek,

co nadaje połysk... Nie można robić tego w pośpiechu ani pomylić kolejności

zabiegów. Zatem będę zajęty przez najbliższe dwa dni.

– Jasne. Czy jeśli umówię się z Georges'em Guinchy na spotkanie za trzy

dni, ten termin będzie ci pasował?

– Idealnie.

Doszli do stacji metra, zeszli do przejść na dole i zatrzymali się. Przed rozstaniem uścisnęli sobie ręce.

– Dobranoc, Tama.

– Dobranoc, Gwen. Czuję się zaszczycony tym, że pomyślałaś o moich pracach i chcesz ze mną współpracować.

Uśmiechnęła się ciepło i skłoniła głowę. Patrzył, jak odchodziła na swój

peron. Przedziwne były te Europejki.

Kiedy po raz pierwszy zjawił się we Francji, kobiety wzbudzały w nim wielkie zdumienie, a nawet go przerażały. Sądził, że muszą być chore na jakąś

chorobę psychiczną. Były takie apodyktyczne, pozbawione szacunku dla mężczyzn, zupełnie beztroskie, jeśli chodziło o sprawy osobiste, jak ludzie,

którzy cierpią na manię wielkości.

Jak przystało na japońskiego chłopca, w swoim kraju był najpierw rozpieszczany, a później szanowany przez każdą kobietę, z którą miał do

RS

98

czynienia. Nawet matka rzadko podnosiła na niego głos. Uprzejmość i posłuszeństwo stanowiły dwie największe cnoty kobiet japońskich.

W Paryżu kobiety nie słuchały nikogo. Często były hałaśliwe i wymagające. Zdecydowanie wyrażały swoje poglądy – no cóż, Japonki również miały własne zdanie, ale wygłaszały je tylko wówczas, gdy je o to

poproszono. Francuzki zaś same włączały się do dyskusji, wyrażały sprzeciw,

śmiały się ze swoich mężczyzn i nie wydawały się dostrzegać niczego niestosownego w takim ich traktowaniu.

Przyzwyczał się do tego dopiero po pół roku. Wtedy zaczęły go fascynować. Były takie inne, miały piękne ciała i długie proste nogi.

Uwielbiał

sposób, w jaki wsiadały i wysiadały z samochodów, połyskując

jedwabnymi

pończochami, uwielbiał ich rozwiane włosy, gdy spacerowały latem po ulicach, ich zapamiętałość w tańcu w nocnych klubach jazzowych.

Ku swojemu zdumieniu przekonał się, że jest przez nie lubiany. Miał kilka małych romansów. Nauczył się od nich sztuki kochania w wydaniu europejskim, choć jego partnerki twierdziły, że podnieca je odmienną wrażliwością, jaką wnosił do tych spotkań. Oprócz spraw osobistych europejskie kobiety prowadziły jeszcze różnego rodzaju interesy.

Zajmowało

się tym zadziwiająco dużo pań. Nie było to nie znane mu zjawisko.

Mnóstwo

japońskich dziewcząt pracowało w fabrykach, biurach i nowoczesnych sklepach w Tokio. Ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek poznał jakąś

rodaczkę prowadzącą firmę. Nigdy nie spotkał Japonki, którą interesowałyby

własna kariera. Całkowicie zaszokowały go Francuzki, będące dyktatorkami

mody, no a te kobiety artystki, kobiety politycy, kobiety dziennikarki, kobiety

filozofki... O nieba, istniały nawet kobiety lotniczki i kobiety będące kierownicami rajdowymi!

RS

opieką

Jerome'a de Labasse ze zwykłych powodów: była ładna, młoda, czarująca...

Lecz okazało się, że sprawa wygląda inaczej. Gwen miała własne życie, nie

związane z hrabią de Labasse'em. Dzięki swej profesji poznała jego, Tamaki

Hayakawę. To było takie miłe! Miał z nią pracować nad meblami dla pana

Guinchy przez parę tygodni, może miesięcy. Oczywiście, uczciwość nakazywałaby przyznać, że Gwen nie musi uczestniczyć w każdej fazie przygotowywania lakierowanych ozdób. Kiedy zaakceptuje wzory i obejrzy

kilka próbek, nie musi się z nim spotykać aż do chwili wykonania mebli. Tama

kręcił głową. Nie, nie. Potrzebna była ustawiczna konsultacja.

Wyobraził

sobie, że pochyła się wraz z Gwen nad stołem kreślarskim, a jej miękkie rudawe włosy muskają jego policzek, podczas gdy blade dłonie szkicują jakiś

szczegól. Jego ramię, być może, objęłoby ją w talii...

Gwen zadzwoniła nazajutrz z rana, żeby powiedzieć, iż pan Guinchy z przyjemnością zaprasza pana Hayakawę na sobotni lunch w swoim domu w

Rambouillet.

– Czy ten termin ci odpowiada, Tama?

– Jak dotrzeć do Rambouillet?

– Pojedziemy razem pociągiem.

Monsieur Guinchy był zachwycony. Nie dość, że pozyskał tę niezwykle utalentowaną dziewczynę do zaprojektowania mebli, to sprowadziła mu jeszcze ona japońskiego artystę. Korzyść z usług młodej damy, która robiła

niepowtarzalne rzeczy i była akurat bardzo modna, oraz egzotycznego artysty z

Japonii... Monsieur Guinchy wiedział, że będą o nim plotkowały rubryki

towarzyskie we wszystkich gazetach.

RS

100

Nie miał najmniejszego pojęcia, jak się lakieruje przedmioty i parokrotnie uraził Tamę, próbując mu coś zasugerować. Ale wszystko skończyło się dobrze. Monsieur Guinchy nawet nie mrugnął słysząc, jakiej

zapłaty żąda Tama. Dałby o wiele więcej, byleby tylko mówił o nim świat

paryskiego biznesu. Tego wieczoru umówił się na spotkanie w stolicy.

Pod

koniec dnia uparł się, że odwiezie Tamę i Gwen własnym samochodem.

Wybierał się na bankiet do Ritza i wpadł na pomysł, żeby ich tam zabrać.

Przedstawiał swoich gości wszystkim dookoła:

– Mademoiselle Whitchurch, która robi parę nowoczesnych mebli do mojej pracowni... To ona zaprojektowała te piękne pokoje dla pana de Labasse,

zapewne widzieliście je w *Maison Moderne*. A to pan Hayakawa, który zajmie

się zdobieniem mebli: wiecie, złotnictwo...

Dla Gwen i Tamy był to zupełnie inny świat. Dotychczas poznawali artystów, mecenasów sztuki, kawiarnianych bywalców. Teraz zostali przedstawieni ludziom interesu i ich żonom. Mieli duży stół w rogu sali, ale

atmosfera była swobodna. Mimo że kobiety nosiły wizytowe stroje,

Gwen nie
czuła się głupio w swojej zwykłej niebieskiej sukience. Żony
biznesmenów
prosiły, żeby dać im jakieś wyobrażenie o wyglądzie pracowni
Georges'a w
przyszłości. Wyrażały zazdrość: „Albercie, a dlaczego ty nie zrobisz
czegoś
podobnego z tą swoją okropną biblioteką?”
Efekty tego wieczoru stały się zauważalne w ciągu kilku następnych dni.
Żony wpadały z wizytą do Tamy i Gwen. Później pojawiały się
propozycje:
"Czy mogłaby pani zrobić dla mnie mały sekretarzyk... " „Tak bardzo
chciałabym mieć stół do szycia... ”.
Przyjęto zlecenia i ustalono, że zostaną wykonane w kolejności zgłoszeń
po zakończeniu prac u pana Guinchy. Kiedy szafki i stół były już
gotowe,
Guinchy niemal w ekstazie zgodził się na ich ekspozycję w pracowni
Tamy.

RS

101

Zdjęcia tych mebli zamieściło wiele magazynów, pisało się o nich w
gazetach
codziennych. Doszło do tego, że postanowiono je pokazać wiosną na
wystawie
w Salon des Arts Decoratifs.
Gwen oczywiście zaangażowała się w wytwarzanie lakierowanych

elementów. Chodziła z Tamą do warsztatu w dzielnicy Marais, gdzie nakładano na drewno pierwsze warstwy lakieru.

– Ten rodzaj wykończenia nazywa się w moim kraju *togi-dashu*, co oznacza „uginające się”. Widzisz, jakie jest miękkie i czyste?

– Jak atlas – powiedziała Gwen, dotykając palcem powierzchni. – Jest prawie... nierzeczywiste. Ma się wrażenie, że mógłbyś to przebić palcem.

– Nazywamy to powierzchnią „ze świata snów”. Chcę ją zastosować, robiąc stół do szycia dla pani Lefubure; to bardzo romantyczna dama.

– O tak, masz rację. Zatem i takie rzeczy bierzesz pod uwagę, prawda?

– Och, naturalnie. Jeżeli znam daną osobę, to wiem, jaki wzór zaproponować, a jeśli już decyduję się na wzór, to wiem, jakiego rodzaju

lakieru powinno się użyć.

Pomimo zimnego grudniowego poranka w starych stajniach, gdzie nakładano i suszono lakier, było bardzo ciepło. Przy wyściełanych stołach

siedziało trzech mężczyzn w średnim wieku, którzy delikatnie polerowali

rozmaite przedmioty – płytką miseczkę, kwadratowe wieczko, długą wąską

płycinę. Na tyłach stajni Gwen patrzyła, jak przygotowuje się lakier i dodaje do

niego kolory – gumigutę, cynober, ochrę – piękne barwniki o uroczych, starodawnych nazwach. Słuchała z zainteresowaniem opowieści Tamy o poszczególnych procesach, ale zdumiała ją ich mnogość. Grupa robotników,

składająca się z dziewięciu ludzi, najpierw nakładała lak, potem klej, a następnie pierwszą warstwę lakieru, by wysuszyć przedmiot w dużym niezbyt

gorącym piecu, którego nazwę Tama przetłumaczył na francuski jako *une*

RS

102

chambre tiede, ciepły pokój. Następnie ów przedmiot wycierało się i polerowało oraz nakładało na niego kolejną warstwę lakieru. I znowu odbywał się proces suszenia, wycierania, wygładzania, i tak w nieskończoność. Dopiero po nałożeniu osiemnastu, dwudziestu, trzydziestu warstw uznawano, że przedmiot jest przygotowany do dalszej obróbki. Wówczas wędrował on na stół Tamy, gdzie leżały obce Gwen surowce. Zasadowy węgiel ołowiu służył do rysowania konturów wzoru. Była tam również sadza, kamfora i płynny lak do wzmocnienia krawędzi wypukłego rysunku. W szklanym, zakrytym pojemniczku znajdował się złoty pyłek. Tama używał też sproszkowanego srebra, kości słoniowej, skorup ostryg i żółwi. Dysponował tlenkami metali, a jeden z nich wytwarzał na powierzchni ukończonych przedmiotów zieloną warstwę – kolor, którego lakiernicy nie potrafili dotychczas uzyskać. Na stole artyści leżała płycina do jednej z szafek George'a Guinchy. Jeszcze nie zaprojektowano do niej wzoru. Obok znajdował się rysunek przedstawiający

geometryczne ujęcie wschodu słońca nad modernistycznym miastem. Widoczne w nim były europejskie wpływy artystów, którzy zdominowali

sztukę w Paryżu – Picassa, Seta, Chagalla. Jednakże, w jakiś nieokreślony

sposób, w klimacie było to dzieło niezaprzeczalnie wschodnie.

– Masz zamiar zacząć dzisiaj pracę nad nią?

– Nie, na to będę potrzebował o wiele więcej złota. Porządkuję swój stół,

zabieram rzeczy, których nie będę używał: żadnego rozpraszania uwagi, gdyż

nakładanie złota to najtrudniejsze zajęcie. Przynosi jednak najpiękniejszy efekt.

– Chciałabym, żebyś spojrział na ten projekt, Tama. To mebel dla madame Orjanu. Prosiła o parawan, który byłby zupełnie inny...

Zaproponowałam czteroczęściowy parawan, którego każde skrzydło przypominałoby japoński wachlarz...

– To bardzo trudne do wykonania! – wykrzyknął Tama.

RS

103

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę, że to niezwykle precyzyjna robota: elementy wachlarza muszą być idealnie dopasowane do siebie.

Próbowałam

jednak obrabiarki i wiem, że to jest możliwe do zrobienia. Chcę tylko się upewnić, czy przygotowałeś projekt lakierniczy. Po ukończeniu parawan

powinien wyglądać jak cztery tradycyjne wachlarze. Co o tym sądzisz?

– Brzmi to fantastycznie!

– Hm, ja też tak myślę, podobnie zresztą i madame Orjanu. Ale nie mogę

zacząć pracy, dopóki się nie upewnię, że polakierujesz ten parawan.

– Zrobię to, oczywiście, że zrobię! I jeśli wypadnie to zgodnie z moimi oczekiwaniami, to... po raz pierwszy w tym kraju podpiszę się pod tym wyrobem.

Wyczuwała, że jest to dla niego wielka chwila. Dopiero później, kiedy lepiej poznała Japończyków, zrozumiała, że do tego momentu żadna i z europejskich prac nie wydawała się Tamie na tyle wartościowa, by podpisywać

ją własnym nazwiskiem. Gwen wiedziała, że nie potrafi wychwytywać niuansów w zachowaniu innych ludzi. Częściowo wynikało to z jej roztargnienia – zwracała uwagę głównie na proporcje i odcienie oglądanych

przedmiotów, wyobrażała sobie ich kształty organizujące przestrzeń.

Tama był

trudniejszy do rozgryzienia niż inni jej znajomi. Niedbałe maniere paryskiego

towarzystwa raziły go, choć umiał dobrze to ukryć. Różnił się od reszty sposobem rozumowania, nie bał się żadnych przeszkód, które po prostu pokonywał, i dopiero wtedy czuł się naprawdę dobrze. Gwen przeczuwała, że

są sobie bliscy. Pracowali razem bez żadnych barier. Mogła wyrazić uzasadnioną krytykę, a on przyjmował ją bez sprzeciwów, by z kolei komentować jej projekty, ona zaś korzystała z jego sugestii. Byli partnerami.

Wiosną ich prace powędrowały na wystawę do Salon des Arts Decoratifs

i zrobiły furorę, a zwłaszcza ów składany parawan. Zamówienia zaczęły płynąć

RS

104

ze wszystkich stron. Nie byliby w stanie ich zrealizować nawet wtedy, gdyby

pracowali przez okrągłą dobę. Któregoś razu spotkali się w pracowni Tamy, by

rozważyć, które zlecenia przyjąć, a które odłożyć na później. Do części z nich

mieli już szkice, co do innych wysunęli pewne pomysły, a resztę odrzucili.

Siedzieli w pokoju za salonikiem wystawowym, pośród sterty papieru.

– Robi się późno – powiedział Tama, przeciągając się. – Pora na odpoczynek, przygotuję trochę herbaty.

O Boże – pomyślała Gwen.

– Nie martw się, będzie to herbata po europejsku. Bez mleka, ale możesz dodać cytrynę.

Postawił czajnik na maszynkę spirytusową i zapalił ją. Wyjął z szafki zwyczajną paczkę herbaty Liptona. Na jej widok Gwen podeszła do Tamy i

wzięła ją do ręki.

– Och, to mi przypomina dom – powiedziała z uśmiechem. Odwrócił się do niej. Po długiej chwili stwierdził:

– Wielka szkoda, że należysz do Jerome'a.

Popatrzyła mu w oczy.

– Kto ci o tym powiedział?

– Wszyscy to mówią.

– Wszyscy się mylą. Należę do siebie.

– Ale ty i Jerome...

– Nie. I to od dawna.

Ponownie zapadła cisza. Rozważał to, co powiedziała, upewniając się, że

nie powziął fałszywych wyobrażeń, jak to już się zdarzało.

– Czy będziesz należeć do mnie? – zapytał po chwili. Szarozielone oczy Gwen wpatrzyły się w czarne oczy Tamy.

– Tak, Tama, będę.

RS

105

Odwrócił się od niej. Włożył paczkę herbaty z powrotem do szafki i wyłączył maszynkę.

– Chodź – powiedział i wzięwszy Gwen za rękę, poprowadził na górę. Nigdy przedtem nie widziała, jak mieszkał, i teraz odczuwała zaskoczenie.

W niemal pustym pokoju, pod wysokimi, typowymi dla Paryża oknami znajdowała się ława i sprzęt do rysowania. Na podłodze po drugiej stronie

leżało kilka prostokątnych mat, na których spoczywał cienki materac zwany

futonem. Tama wskazał na niego ręką.

– Tutaj – powiedział.

Żadna siła nie powstrzymałaby jej od kochania się z Tamą. W niczym nie

przypominało to pierwszego pójścia do łóżka z Jerome'em, kiedy

wmawiała

sobie, że tak trzeba, i uczyła się doznawania rozkoszy. Tym razem całe jej

ciało zdawało się płynąć ku Tamie. A on nie bawił się w żadne wstępne pieszczoty, żadne wyrafinowane gry miłosne. Wziął ją z absolutnym fizycznym zaangażowaniem, które zdawało się otwierać wrota do samego raju.

Szeptał jej czule słówka, przedziwną mieszankę – słowa angielskie i japońskie. Dwa jednoczące się ciała, dwa zgodnie bijące serca.

– Kocham cię, Tama. Zawsze będę cię kochała – wyznała mu nie tylko głosem, ale także każdą cząsteczką swego jestestwa. I usłyszała od niego identyczne zapewnienie, identyczną obietnicę zespolenia na zawsze ciała i duszy.

Noc upłynęła na wzajemnym poznawaniu się. Zapytała, czy go zadowolila,

a on chciał wiedzieć, czy dał jej szczęście.

– Byłem taki niepewny, Gwen. Nie wiedziałem, czy to było właściwe pożądać cię w taki sposób.

– To było cudowne, kochanie. Nic nigdy nie było równie właściwe.

– A więc teraz należysz do mnie.

RS

106

– Tak.

– Mówię poważnie, Gwen. Należysz tylko i wyłącznie do mnie.

– Oczywiście, Tama. Właśnie to miałam na myśli, kiedy

odpowiedziałam

„tak”. Kocham cię.

– A Jerome'a de Labasse?

Zawahała się. Przekręciła się na futonie, żeby przylgnąć twarzą do jego policzka.

Zawsze będę się przyjaźnić z Jerome'em – oświadczyła.

– Nie!

– Mój drogi, nie mogę przestać lubić Jerome'a tylko dlatego, że jesteśmy w sobie zakochani.

– W Japonii kobieta nie przyjaźni się z mężczyznami.

– Ale to Paryż, Tama. Wiesz, jak jest tutaj...

– Tak – odparł z pewną gwałtownością. – To jeszcze niczego nie usprawiedliwia.

– Tama, nie możesz się tym przejmować. Pod tym względem Jerome nic dla mnie nie znaczy.

– Obiecuj mi! Obiecuj mi, że nigdy nie będziesz dla niego nikim więcej jak tylko przyjaciółką.

– Obiecuję, najdroższy.

Nazajutrz Gwen udała się do apartamentu Jerome'a przy avenue Foch. Jerome wypróbował nowy gramofon: urządzenie, które odtwarzało płaskie

dyski zamiast woskowych cylindrów.

– Posłuchaj, Gwen, czyż nie brzmi ślicznie? To Terassini! Tibau, przynieś kawę. – Wyłączył sprzęt i uśmiechnął się do Gwen. – Dawno cię tu

nie było, kochanie.

RS

107

- Tak. I przyszłam ci powiedzieć, że nie zamieszkałam tu ponownie, Jerome.
- Co? – zapytał ze zdumieniem.
- Przyszłam, żeby zabrać swoje rzeczy z sypialni.
- Gwen! Dlaczego mówisz takie nieprzyjemne słowa? Czy w jakiś sposób cię obraziłem?
- Uśmiechnęła się do niego. Było w nim coś tak ujmującego.
- Nie, kochanie, wcale nie. Ale wyprowadzam się do Tamy.
- Jerome opadł na kanapę.
- Ach – westchnął. – Ten Japoniec!
- Nie nazywaj go w taki sposób! – odparła ostrym tonem.
- Dałaś się oczarować tajemniczemu Orientowi, moja droga...
- Nie bądź niemądry, Jerome. Zakochanie się w Tamie nie ma w sobie nic tajemniczego.
- Już ci mówiłem, że on ma powodzenie...
- Tym razem jest inaczej. Oboje traktujemy to poważnie. A zatem nie będziesz musiał płacić za hotel, Jerome.
- Rozumiem to.
- Przecież wiesz, że między nami wszystko właściwie się skończyło – powiedziała, starając się złagodzić to, co on zdawał się przyjmować jak cios.
- Myślę, że można to tak określić. Chyba przewidziałem tę historię z Tamą – odrzekł marszcząc brwi. – Jesteś pewna, że postępujesz słusznie?

- Zupełnie pewna. Kocham Tamę całym sercem.
Widział jej płonące oczy, uśmiech, euforię, która kazała domyślać się wszystkiego.
– Tak – przyznał ze smutkiem. – Widzę, że go kochasz.

RS

108

6

Paryska socjeta niemal natychmiast zaczęła ich traktować jak stałą parę. „Zaprośmy Tamę i Viiczę na otwarcie”. „Czy Tama i Viicza przyjęli zamówienie od de Beche'a?” „W numerze *Decor* w tym miesiącu był artykuł o

Tamie i Viiczy”.

Gwen uznała przekręcane przez Paryżan nazwisko „Viicza” za swoją nazwę firmową. Kiedy zaczęła współpracować z Tamą, założyli spółkę „T and

V” i w ten sposób firmowali swoje wyroby – w miarę jak stawali się coraz

modniejsi, ich podpis cieszył się stale rosnącym szacunkiem.

– „Tama i Viicza” – zauważyła Toinette w rozmowie z Gwen, kiedy któregoś popołudnia przyszła do pracowni. – Widzisz, kto się bardziej liczy.

Nazwa nie brzmi „Viicza i Tama”.

– Jakby to miało jakieś znaczenie, Toinette.

– Och, z takim trudem dostrzegasz subtelne rozróżnienia – odparła zniecierpliwiona przyjaciółka. – Kto kogo odkrył? Tama prowadził

skromne

życie jako lakiernik, dopóki ty nie wpadłaś na pomysł, żeby go poprosić o

ozdobienie mebli Georges'a.

– Nie chodziło tylko o ozdoby, Toinette.

– Nieważne, jaki był jego wkład. Nigdy nie zdobyłby takiego rozgłosu, gdyby nie ty. I co się dzieje? Typowo męskie zagranie: stawia siebie przed

tobą.

– Wcale tego nie robi...

– W porządku, poproś go, żeby zmienił nazwę firmy na „V and T”.

Powiedz mu, że chcesz być wymieniana jako pierwsza, że chcesz, by twój

podpis sygnujący wspólną pracę był na pierwszym miejscu.

RS

109

Gwen nie potrafiła sobie wyobrazić, że przedstawia Tamie takie żądanie. Poza tym uważała, że istniejący układ był właściwy.

– Ostatecznie Tama jest artystą, Toinette. Ja tylko produkuję meble.

– Jak możesz tak mówić! Twoje wyroby są przepiękne, zawsze takie były. Ten śliczny stół, który zrobiłaś dla Jerome'a.... A propos, jak się miewa

Jerome?

– Myślę, że całkiem nieźle. Przebywa w Deauville.

– Nie widzisz się z nim?

Gwen pokręciła głową.

- To dość przykre, Gwen. Był twoim dobrym przyjacielem.
- Z pewnością. Ale lepiej się z nim nie spotykać.
- Zabrania ci tego Tama?
- Nie, nie – odrzekła pośpiesznie. – Nic z tych rzeczy.

Ale o to właśnie chodziło i to ją bardzo napawało smutkiem. Z początku miała nadzieję, że stopniowo Tama zaakceptuje Jerome'a po prostu jako jednego z ich wspólnych przyjaciół, ale nie udało się do tego doprowadzić.

Ilekców tych dwóch mężczyzn przebywało razem w tym samym pokoju, Tama

stawał się lodowato chłodny. Lepiej było zatem unikać Jerome'a.

Odczuwała

jego brak, tęskniła za jego przyjaźnią, słowami zachęty i wsparcia, ale uczciwość nakazywała przyznać, że nie potrzebowała już pomocy.

Miała

przecież dwadzieścia lat, jej meble cieszyły się wielkim wzięciem, a współpraca z Tamą dawała bardzo przyzwoite środki do życia.

Była też ogromnie zakochana. Czy wypadało prosić o coś więcej? Miała Tamę, a jeśli on pragnął zachować do niej wyłączne prawa, czy należało go za

to winić? Był przecież tak daleko od domu, na takim wygnaniu. To całkiem

rozumiałe, że nie chciał dzielić się z nikim jej miłością – sam bardzo potrzebował tego uczucia.

RS

Spędzali razem prawie każdy dzień i każdą noc. Stopniowo poznawała go coraz lepiej, aczkolwiek nie należał do wylewnych osób. Uczyła się nawet japońskich słówek, częściowo, by sprawić mu przyjemność, a częściowo dlatego, że odczuwała wyjątkową radość, mogąc rozumieć to, co szeptał do niej, kiedy się kochali. Opanowała również codzienne zwroty: *Ikaga desu kai?*, czyli „Jak się masz?“, i *wafu* – styl japoński. Słowo *wafu* często pojawiała się w ich rozmowach. Czy fragment lakierowanej dekoracji dla danego klienta powinien być wykonany w stylu *wafu*, czy na modłę francuską? W swojej szafie Tama miał kilka kimono. Któregoś wieczoru przywdziała jedno z nich, by przydać *wafu* ich paryskiemu stylowi życia i zadziwić Tamę. Śmiał się tak bardzo, że nigdy więcej tego nie zrobiła. – *Cherie*, masz zbyt wydatne kształty jak na kimono. Japonki prawie nie mają piersi i przewiązują się *obi*, czyli dużą, jednolitą w kolorze szarfą. I dlatego wyglądają jak cienka łądyga, a nie jak krzew różany. A ich włosy są upięte bardzo wysoko, w duże koki, niczym pączek kwiatu na końcu łądyżki; nie mają takich pięknych rudych włosów. Zaczął ją całować i odwiązywać szarfę podtrzymującą kimono. – A poza tym, to jest męskie kimono, zupełnie nieodpowiednie, więc Proszę, natychmiast je zdejmij. W ten sposób zakończył dyskusję i doprowadził do spełnienia, które miała chyba na myśli przez cały czas. Byli tacy szczęśliwi, że ledwo zauważyli, iż minął rok. Francja rozdarta była, jak zwykle, walkami politycznymi. Aristide Briand ustąpił ze stanowiska na rzecz Raymonda Poincare. W marcu wydawało się, że zakończono spory

dotyczące niemieckich reparacji wojennych wobec Francji. Tama i Gwen
poczynili przygotowania do kolejnego pokazu na Wystawie Sztuki
Zdobniczej
w 1922 roku.

RS

111

I wtedy do Tamy przyszedł list z Tokio. Ten fakt przeraził Gwen. Od chwili kiedy z nim zamieszkała, nie miał z Japonii żadnego listu.

Przyniosła go

na górę ze skrzynki umocowanej na drzwiach pracowni. Przyglądała się nazwisku i adresowi, które ktoś wypisał, starannie kopiując europejski charakter pisma. Tama akurat wkładał buty.

– List, kochanie. Z Tokio.

Gwałtownie się wyprostował. Przez jego twarz przemknął jakiś grymas.

– To z pewnością będą złe wiadomości – powiedział bez widocznego niepokoju i wziął od niej kopertę. Kiedy ją otworzył, zauważyła, że papier

listowy, znacznie delikatniejszy od francuskich papeterii, pokrywają pionowe

rzędy japońskich znaków. Przyszła jej do głowy błaha myśl, że są one bardzo

piękne, choć w tym momencie zwracała uwagę tylko na Tame, który po przeczytaniu ostatniej strony popatrzył na nią kiwając głową.

– Zmarł mój ojciec – oznajmił.

– Och, Tama, tak mi przykro...

Skłonił się, przyjmując wyrazy współczucia. Przez chwilę zachowywał się jak obcy człowiek.

– Dziękuję. Matka pisze, że umarł... zaraz, zaraz, to nastąpiło około czwartego lutego.

– Czy spodziewano się tego?

– Do pewnego stopnia tak. Miał kłopoty z żołądkiem, ale nie przestrzegał zaleceń doktora dotyczących diety.

– To takie okropne, jeśli pomyśleć, że ty byłeś na drugim końcu świata, a on pewnie pragnął mieć cię przy sobie...

Tama wzruszył lekko ramionami, a później poklepał Gwen po rękę.

– Ty postrzegasz to ze swojego punktu widzenia. Nie rozumiesz, że dla mnie był tyranem, człowiekiem nieprzejednanym. Nie byliśmy sobie bliscy.

RS

112

– Ale mimo wszystko...

– Problem polega teraz na tym, że trzeba zająć się kilkoma sprawami. Wprawdzie jestem pewien, że zamierzał mnie wydziedziczyć, lecz chyba

jednak tego nie uczynił. Matka pisze, iż stałem się głową rodzinnego interesu, i

pyta, co w związku z tym zrobię.

– O Boże! A co zamierzasz uczynić?

– Przypuszczam, że sprzedam warsztat. Ale w Japonii takie transakcje

przebiegają wolno, a ponadto musiałbym się upewnić, że uzyskam korzystną

cenę, gdyż moja matka musi jakoś żyć z tego, co mi zapłaca.

– A twoja siostra?

Kilkakrotnie wspominał o swojej siostrze Hanako.

– Jej nie muszę zabezpieczać finansowo. Ale jest inny problem. Hanako miała wyjść za męża, lecz narzeczony wycofał się z powodu śmierci

mojego

ojca.

– Wycofał się? Co przez to rozumiesz?

O ile mi wiadomo, Nagahi-san zamierzał poślubić Hanako w nadziei, że

zostanie przybranym synem mojego ojca po wydziedziczeniu mnie.

Oczywiście, teraz gdy zostałem prawnym właścicielem warsztatu

lakierniczego, nie jest już tym zainteresowany.

– Tama!

Tama uśmiechnął się.

– Jesteśmy bardzo praktycznym narodem – powiedział. – Nie rób takiej

przerażonej miny. Zajmę się sprawami Hanako.

– Ale jak?

– Oczywiście, znajdę jej innego męża. Muszę jednak pojawić się tam

osobiście, żeby dopilnować wszystkiego.

– Osobiście? To znaczy, że pojedziesz do Tokio?

RS

113

– Nie widzę innej możliwości – westchnął.

– Och, Tama, nie!

- Nie chcę jechać. Bardzo się zadomowiłem w Paryżu. Ale tu chodzi o cześć mojej rodziny. Matka oczekuje ode mnie powrotu do domu.
- Jak długo cię nie będzie? – oparła głowę na jego ramieniu.
- Nie wiem. Co najmniej sześć miesięcy. Niewykluczone, że rok, jeżeli negocjacje się przeciągną, co jest wielce prawdopodobne.
- Rok! Nie jedź, Tama, proszę, nie jedź! Prześlij instrukcje jakiemuś prawnikowi w Tokio, żeby się wszystkim zajął.
- W ten sposób nie uszanowałbym mojego ojca – odrzekł, obejmując ją ramieniem. – Pomimo iż nasze stosunki nie układały się najlepiej, muszę przyznać, że w swoim fachu był wielkim artystą. Sprzedaż jego warsztatu, jakby to był zwyczajny stragan z obuwem, stanowiłaby coś bardzo niestosownego. Muszę jechać do Tokio, Gwen.
- Kręciła tylko głową, a myśl o rozstaniu odbierała jej mowę. Sześć miesięcy, pół roku bez niego! Jak zdoła to znieść? Zaczął głaskać jej błyszczące włosy.
- Nie bądź przygnębiona. Czas szybko minie...
- Właśnie, że nie!
- Nic na to nie poradzę, Gwen, muszę jechać. Matka mnie potrzebuje. Przeciwno temu argumentowi nie mogła się buntować. Jego biedna matka...
- Wdowa... Jak mogła przedkładać swoje żądania nad to, co się należało pozbawionej męża kobiecie? Ale mimo wszystko po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.
- Istnieje jedno wyjście – oświadczył Tama i urwał.
- Jakie?
- Mogłabyś pojechać ze mną.

RS

114

– Pojechać... ?

– Proponuję to z wahaniem. Proszę o tak wiele. Musiałabyś zrezygnować

ze swojej kariery w Paryżu właśnie wtedy, gdy wszystko...

– Och, to nie ma znaczenia!

Wyprostowała się i spojrzała na niego, a w zalanych łzami oczach pojawiły się żywsze ogniki. Zrobiła zamaszty ruch ręką, jakby odsuwała od

siebie takie kwestie, jak kariera czy więzy z Paryżem.

– Jechać do Japonii?

– Zrobiłabyś to?

– Och, oczywiście, oczywiście!

Japonia – baśniowa kraina, którą przedstawiała w swoich pracach, kraina

eleganckich żurawi pochylających się nad stawami, by ujrzeć tam własne

odbicie. Kraj Kwitnącej Wiśni i chryzantem oraz słońca oświetlającego ośnieżony wierzchołek góry Fudzi. Często marzyła o zobaczeniu tego miejsca

na własne oczy, tego przybytku piękna i harmonii, gdzie szczupłe, odziane w

kimona kobiety kroczyły po ulicach pod parasolami, które osłaniały je przed

słońcem, gdzie za cynobrowymi bramami pięły się ku niebu świątynie i

pałace,
gdzie skromnie umeblowane pokoje ozdabiały proste kompozycje z
kwiatów i

malowane zwoje, a lakierowane wyroby, porcelana i akwarele były
wspaniałymi dziełami sztuki.

– Oczywiście, że pojedę, Tama!

– Naprawdę?

Był zdumiony jej natychmiastowym ustępstwem, a także nieopisanie
wdzięczny. Objął ją i całował, powtarzając, że nawet przez moment nie
wyobrażał sobie, iż powie mu „tak”.

– Jak możesz być taki niemądry! Kochanie, pojechałabym za tobą na
koniec świata, byleby tylko nie rozstawać się z tobą. A wyjazd do
Japonii to

RS

115

taki cudowny pomysł! Sama bym nigdy na to nie wpadła. Teraz jednak
wydaje

mi się, że to przeznaczenie.

Kiwnął twierdząco głową.

– Taki, taki jest nasz los. Wierzę w to. Wyznacza się nam życie, które
musimy przeżyć do ostatnich chwil tak, jak ono się toczy. Teraz
jesteśmy w

miejscu, w którym zdecydowano, że jedziemy do mojej ojczyzny. –

Nagle

urwał w pół zdania. – O niebiosa, Gwen! – krzyknął z przerażeniem. –

Pomysł

o zamówieniach, których się podjęliśmy!

Rzucili się w wir pracy. Przez następne kilka dni wydzwaniali i pisali do klientów z wyjaśnieniem, że ponieważ wyjeżdżają do Japonii, nie mogą wykonać zleceń, które przyjęli. Zwracali czeki. Zaczęli szukać lokatora do

pracowni. Sprzedali warsztat francuskiemu lakiernikowi, który zgodził się

przejąć ekipę robotników, aczkolwiek mamrotał: „Nie chcę produkować chińszczyzny”.

Zarezerwowali rejs na pokładzie „Orient Pearl”. Statek miał odpłynąć z Boulogne za dziesięć dni. Tama napisał do matki, że należy się go spodziewać

pod koniec marca. Następnie skoncentrował się na pracy – pragnął wykończyć

to, co mógł, jeszcze przed wyjazdem.

Gwen miała więcej szczęścia, bo rozpoczęte przez nią meble mógł wykończyć ktoś inny. Spędzała czas w warsztacie meblarskim,

przeglądała

projekty i wyjaśniała, jaki efekt zamierzała uzyskać. Właśnie tłumaczyła Emile'owi, kierownikowi warsztatu, jak umieścić w płycinie szagrynowe liście,

kiedy usłyszała dobrze znajomy głos.

– Jerome! Myślałam, że jesteś w Deauville.

– Wróciłem specjalnie.

Przecisnął się między stolikami i pocałował ją w nos, uprzednio strzepując z jej policzka drewniany wiórek.

RS

116

– Wygrałeś jakieś pieniądze w kasynie?

– W kasynie nikt nigdy nie wygrywa pieniędzy – odparł ponuro.

Wyglądał dobrze, ale wyczuwało się w nim jakiś niepokój.

– Czy możemy porozmawiać? – zapytał.

Z pewnością trudno było się słyszeć, skoro obok pracowała piła elektryczna. Uśmiechnęła się, skinęła głową i zaprowadziła go na górę, do

swojej pracowni na stryszku. Tu hałas był trochę mniejszy.

– Proszę, usiądź, Jerome – wskazała jedyne krzesło.

Sama usiadła na brzegu biurka.

– O co chodzi?

– Oczywiście, o ciebie. Czy to, co się mówi, jest prawdą? Wybierasz się do Japonii?

– Och, widzę, że ćwierkają już o tym wszystkie wróble. Tak, to prawda, dlatego by nie?

– Dlatego by nie? Czyś ty zwariowała? Opuszczasz Paryż w momencie,

kiedy wszyscy dekoratorzy wewnątrz i projektanci ubiegają się o twoje usługi?

– Nic na to nie poradzę. Zmarł ojciec Tamy, więc potrzebują go w domu.

– I co z tego? Dlaczego ty musisz jechać?

– Nie bądź głupi, Jerome. – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Tama wyjeżdża na długo, może nawet na cały rok. Nie wytrzymałabym

takiego
rozstania.

– Właśnie tego można było się po nim spodziewać! – Jerome skoczył na równe nogi. – Samolubny głupek! Ciągnie cię za sobą do Tokio...

– Nie, nie, Jerome, uspokój się, nie mów takich rzeczy! – odparła, zaskoczona jego gniewem i widocznym zatroskaniem. – Chcę jechać.

On nie

był pewien, czy mnie o to poprosić, ale ja ucieszyłam się z tej propozycji.

RS

117

– Ucieszyłaś się. Chyba zwariowałaś!

– Nie, nie, wiem, że postępuję słusznie. Nie wytrzymałabym, gdyby pojechał beze mnie. Cały rok? – tu rozpostarła ramiona, żeby pokazać, jaki

długi byłby to rok, okres trwający wręcz nieskończoność. – Umarłabym.

– Wcale byś nie umarła, a poza tym zaprzepaszczasz swój sukces. Kiedy wrócisz za dwanaście miesięcy, prawie nikt nie będzie cię pamiętał, a ty nie

będiesz znała nowych trendów...

– Przywiozę nowe pomysły z Japonii. Nie rozumiesz? Mnóstwo dzieł *art*

deco powstało z inspiracji Orientem. Ja będę miała bezpośredni kontakt...

– Będiesz poza obiegami przez cały rok. Nic nie zmienia się tak szybko jak paryska moda. Do czasu kiedy wrócisz, ktoś inny przejmie pałeczkę

w

dziejzinie projektowania mebli. Stanowczo zakazuję ci wyjeżdżać!

Podeszła do Jerome'a i pocałowała go w policzek.

– Nie bądź niemądry – zgała go.

– Och, Gwen...

Po chwili skoczył na równe nogi i zaczął krążyć po długim pokoju z tak niskim sufitem, że musiał pochylać głowę, by się nie uderzyć o stemple wspierające szklany dach.

– Naprawdę jesteś zdecydowana jechać?

– To postanowione. Zarezerwowaliśmy już bilety.

– Co zrobisz z interesem?

Wyjaśniła, że wydzierżawili pracownię, a warsztat sprzedają.

– Jutro podpisujemy odpowiednie dokumenty. Zarezerwowaliśmy wprawdzie miejsce na Wystawie Sztuki Zdobniczej, ale bez trudu udało nam

się je odsprzedać innemu wystawcy.

– Kiedy odpływacie?

– Siedemnastego, we środę.

RS

118

Spojrzał na niebo przez brudną szybę.

– Gwen, nie sądzę...

– Co?

– Zastanawiam się, czy naprawdę powinnaś jechać. Japonia nie należy do

krajów, które poznaje się łatwo.

Zmarszczyła brwi, a potem uśmiechnęła się do niego, grożąc ostrzegawczo palcem.

– Zawsze twierdziłeś, że to raj.

– Tak, dla mężczyzny... Ale dla kobiety? Nie wiem...

– Co masz na myśli?

– No cóż, widzisz... Musisz zrozumieć... Japonia otworzyła się na świat dopiero jakieś osiemdziesiąt lat temu. Do tego czasu opierała się wpływowi

Zachodu, z przyczyn, które sięgają korzeniami odległej przeszłości. Japończycy są zatem mocno przywiązani do tradycji...

– Och, wiem o tym, Tama jest tego najlepszym przykładem. Musiał opuścić kraj, żeby móc swobodnie poeksperymentować w swoim zawodzie.

– To dotyczy każdej dziedziny życia, a już przede wszystkim statusu kobiety.

– Hm, wiem i o tym. Tama opowiadał mi, jak bardzo szokowało go zachowanie Europejek, które poznał tuż po przyjeździe...

– Proszę, posłuchaj, Gwen. Przestań mi powtarzać, że Tama ci opowiadał. Posłuchaj, co **ja** mam ci do powiedzenia. W Japonii ludzie zupełnie

inaczej patrzą na społeczeństwo. Ich filozofia opiera się na innych zasadach.

Nie wyznają żadnej z naszych idei: wolności, równości, braterstwa.

Przerwał na chwilę. Gwen skinęła głową na znak, że wie o tym. Mogła powiedzieć, że Japonia nie jest jedynym krajem, który nie uznaje tych trzech

RS

119

haseł. Ale Jerome prosił, żeby go wysłuchała. Zrozumiała zatem, że jej dobry przyjaciel Jerome de Labasse najwyraźniej miał coś ważnego do powiedzenia.

– Nie jestem ekspertem – podjął Jerome – ale mieszkałem tam przez ponad cztery lata i nie zdołałem pojąć, jacy są Japończycy.

– Mówiłeś jednak, że podobało ci się tam i że bardzo polubiłeś ten kraj – przerwała, mimo iż obiecała sobie milczeć.

– Tak, pod wieloma względami uwielbiałem Japonię. No, ale ja jestem mężczyzną. Myślę, że wielu Europejczyków zakochuje się w Japonii, gdyż nie ma chyba na świecie drugiego takiego kraju, w którym mężczyźni są otaczani taką czcią.

– Otaczani czcią?

– Wszystko, co mówi mężczyzna w Japonii, jest akceptowane przez kobiety. Jeszcze nie tak dawno, gdyby mężczyzna powiedział swojej żonie:

„Zabij się”, ona musiałaby to uczynić...

– Och, tak, tradycja samurajska, wiem o tym.

– Gwen, czy ty mnie wysłuchasz do końca? Sytuacja zmieniła się do pewnego stopnia od czasu przybycia do Japonii pierwszych Europejczyków. Z początku wręcz się wydawało, że zachodzą tam ogromne zmiany.

Europejska
architektura, europejskie narzędzia i sprzęt, europejskie ubiory. Ale
później
nastąpiło częściowe wycofywanie się z tego. Japończycy 74 stwierdzili,
że
zaszli zbyt daleko i za szybko. Zwłaszcza jeśli chodzi o sytuację kobiet.
I kiedy
ja tam się pojawiłem, kobiety żyły mniej więcej tak, jak przed
wpłynięciem
komandora Perry'ego w 1854 roku.
– Jerome, dlaczego robisz mi ten wykład z historii? – wykrzyknęła
Gwen.
– To prawda, wybieram się do Japonii, ale jestem przecież Europejką:
nie
dotyczy mnie nic, co wiąże się z japońskimi kobietami.
Jerome pokręcił głową.

RS

120

– Jedziesz z Tamą. Zamierzasz mieszkać w jego domu rodzinnym, tak?
– Oczywiście.
– Poza tym nie znasz w Tokio nikogo?
– Naturalnie, że nie.
– Gwen, twoja sytuacja będzie bardzo trudna. Poczujesz się strasznie samotna. A poza tym w świetle japońskiego prawa nie będą ci przysługiwały
żadne przywileje, gdyż będziesz konkubina.

– Czym?

– Skoro żyjesz z Tamą bez ślubu, jesteś nikim. Gdybyś wplątała się w jakieś kłopoty, japoński wymiar sprawiedliwości prawie nie zwracałby na

ciebie uwagi. Nie masz świadectwa ślubu, nie masz żadnych praw.

– Ale... ale... Dlaczego widzisz to tak ponuro, Jerome? Nie zamierzam wplątywać się w kłopoty! A jeśli do tego dojdzie, Tama się mną zaopiekuje.

Jerome przerwał przechadzkę. Westchnął, wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– W życiu nie zawsze wszystko idzie jak po maśle, Gwen. Coś może się zepsuć. Nie zapominaj, że jedziesz do kraju, gdzie cudzoziemcy stanowią

rzadki widok. Matka Tamy będzie musiała przyjąć do swojego domu cudzoziemkę. Co więcej, cudzoziemkę o bardzo niskim statusie społecznym:

konkubinę.

– Przestań używać takiego głupiego słowa! Tama i ja...

– Jesteście kochankami. Bardzo to romantyczne i naturalne w Paryżu. Spróbuj tego w Tokio, a zobaczysz, jak ci się spodoba.

– O co ci chodzi, Jerome? To znaczy, do czego tak naprawdę zmierzasz? Powiedz mi to wyraźnie.

– Jeśli upierasz się, żeby jechać do Tokio z Tamą, a widzę, że podjęłaś już decyzję, każ mu ożenić się z tobą przed wypłynięciem.

RS

– Ożenić się ze mną? – Gwen otworzyła usta ze zdziwienia.

– Tak, ożenić się z tobą. Nie pojawiaj się w Japonii bez ślubnej obrączki.

Po prostu nie wyobrażasz sobie, jak niska będzie twoja pozycja, jeżeli udasz

się tam jako kochanka Tamy. – Podeszedł do niej, wziął ją za rękę i ścisnął je

mocno. – Proszę cię, Gwen, błagam, nie płyń do Tokio bez ślubu.

– Ale... Tama i ja nigdy nie rozmawialiśmy o małżeństwie.

– Więc zacznij rozmowę na ten temat już teraz.

– Ależ, Jerome... to mężczyzna się oświadcza... Jak mogę... Zaczął się zastanawiać.

– Widzę tu pewne rozwiązanie. Nie tylko z twojej strony. W Japonii małżeństwa są aranżowane...

– Tak, Tama mówił, że musi jechać do domu, żeby zaaranżować małżeństwo swojej siostry.

– Robi się to za pomocą pośrednika: czasami jest to przyjaciel rodziny, a czasami zawodowy swat. Zazwyczaj chodzi o męża, aczkolwiek niektórzy

mężczyźni rozglądają się za żoną, która ma pieniądze lub dobre układy w

rzędzie... Nawet rozumiem, dlaczego Tama nie pomyślał o małżeństwie: nie

było komu tego zainicjować.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś zrobił tutaj coś podobnego.

Prośba taka wywołałaby tylko śmiech.

Jerome westchnął.

– Będziesz musiała zrobić to sama.

– Ale jak! To znaczy, zakładając, że w ogóle uznam małżeństwo za dobry pomysł.

– Mogłabyś mu powiedzieć, że ktoś, kto zna Japonię, zasugerował, iż tak

byłoby lepiej dla ciebie...

RS

122

- Nie pleć bzdur, Jerome! Jedyna znana mi osoba, która wie coś o Japonii oprócz Tamy...
- To ja. Tak, oczywiście. A on mnie nie lubi.
- Nie o to chodzi – zaprotestowała. – Sprawiasz, że on czuje się... niepewnie...
- Szkoda, że nie ma żadnych powodów do takiego samopoczucia – odparł ze smutkiem Jerome. – No cóż, będziesz musiała coś wymyślić. Bo jeśli spróbujesz wejść na pokład statku bez metryki ślubu w torebce, własnoręcznie cię stamtąd zniosę.
- Roześmiała się.
- Ależ dramat!
- Mimo wszystko, Gwen, odradzam ci ten wyjazd. Naprawdę tego nie rób! Nie odrzucaj wszystkiego, co zyskałaś tutaj, w Paryżu, w zamian za wątpliwe korzyści po roku. Pozwól, żeby Tama popłynął sam. Ale Gwen pokręciła gwałtownie głową.
- Nie mogłabym tego znieść. Gdybym nawet puściła go samego, to dołączyłabym do niego po paru tygodniach.
- Ty głuptasie! – odrzekł. Przytulił ją do siebie i pocałował w głowę. – No cóż, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Zaproś mnie na ślub! Wypowiedziawszy te słowa, opuścił pokój. Gwen nie od razu wróciła do dyskusji z Emile'em. Pograżyła się w zadumie. Przecież gdyby wybrała

się do rodziny w St Albans razem z Tamą, to spokojne katedralne miasteczko przeżyłoby szok. Żyła z mężczyzną bez ślubu! Bezwstydnica! Prawie nikt by się do niej nie odzywał. W Paryżu, a zwłaszcza w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie mieszkała, taki problem nie istniał. Tradycyjnie przejawiano tu tolerancję wobec miłości i bez trudu akceptowano nieformalne związki. Ale Gwen wiedziała, że nawet we Francji prowincja nie traktowała tych spraw z taką

RS

123
pobłażliwością. Toinette mówiła kiedyś, że w Tournon, jej rodzinnym mieście, otwarcie ją potępiano za „rozwiązłość”. Odłożyła te rozmyślenia, żeby skończyć pracę. Jednakże kiedy zdjęła wreszcie swój roboczy fartuch i ubrała się do wyjścia, poczuła, że właściwie nieświadomie podjęła już decyzję. Porozmawia z Tamą na temat ich małżeństwa. To on wyrazi zgodę lub odmowę, a ona zastosuje się do jego decyzji. Ale ku swojemu zdumieniu odkryła, że w duchu pragnie, by się zgodził. Dlatego, podobnie jak wiele innych kobiet na każdym kontynencie 76 – w Europie, Azji, Ameryce – poczyniła pewne kroki, by jej mężczyzna

był w dobrym nastroju. Niedaleko ich domu, na drugim brzegu rzeki, w pobliżu Gare d'Orsay, znajdowała się restauracja, za którą Tama przepadał,

głównie ze względu na wybór win, ale także na mały parkiet taneczny. Uwielbiał tańczyć z Gwen w takt zachodniej muzyki, zwłaszcza fokstrota.

Lubili chadzać tam wieczorami, by potańczyć z godziną, sączyć wino, potem

jeść smaczne wiejskie dania z karty. Gwen zaproponowała Tamie, by udali się tam i teraz.

– Tak bardzo ci się tam podoba, a poza tym możemy już nie mieć okazji przed wypłynięciem.

– Będę na pewno tęsknił za tym wszystkim – westchnął Tama.

Doszli do „Bouclier”, trzymając się za ręce. Ze środka szybko wybiegł *patron*, żeby ich powitać.

– Czy te pogłoski są prawdziwe? Wyjeżdżacie?

– Niestety, tak, monsieur.

– Tak mi przykro, panie Hayakawa. Za panią, mademoiselle, też będziemy tęsknić.

Zaprowadził Gwen i Tamę do ich ulubionego stolika w rogu, pod obrazem Utrilla, przedstawiającym zaułek na Montmartre. *Patron* zakupił to

RS

zespół grał amerykańską piosenkę *I'm Going Back to the Shack*, ale nikt jeszcze nie tańczył.

– Kiedy państwo wypływacie, jeśli wolno zapytać?

– Za tydzień.

– Zaszczycicie nas jeszcze swoją obecnością przed podróżą?

– Niestety, chyba już nie.

– W takim razie pozwólcie, państwo, że dzisiejszego wieczoru wino do posiłku będzie na koszt firmy. Tak, tak, nalegam na to. Ale najpierw, już wiem... St Emilion.

Podał im kartę, pośpiesznie wyszedł i powrócił z butelką wspaniałego czerwonego wina.

Gwen i Tama zawsze mieli sobie wiele do powiedzenia, a teraz nawet więcej niż zazwyczaj. Informowali się, jak przebiega realizacja zaległych

zamówień, opowiadali sobie to, co się zdarzyło w mijającym dniu, przypominali nawzajem o rzeczach, które należałoby jeszcze zrobić, ustalali,

co spakować, a co zostawić. O tym wszystkim rozmawiali w trakcie tańca.

Później usiedli i obracając w palcach kieliszki z winem, sprawdzali listę i

sporządzali notatki. Przyszła wreszcie pora na zamówienie potraw.

Tama, jak

przystąpiło na miłośnika smakowitej kuchni małomiasteczkowej Francji, wybrał

tripes a la mode de Caen. Gwen zdecydowała się na danie rybne. Wraz z jedzeniem na stół wjechał gratisowy biały burgund. Mniej więcej około dziesiątej, kiedy dostali specjalną *charlotte aux pommes* i odczuwali błogie

nasycenie, Gwen napomknęła coś o liście, który zaczęła pisać do matki.

– No tak, oczywiście – powiedział Tama.

RS

125

Gwen rzadko mówiła o swojej matce i ojczymie, ale on również nie wspominał o swoich bliskich. Niemniej jednak więzy rodzinne odgrywały ważną rolę.

– Chcesz jej powiedzieć, że opuszczamy Europę?

– Tak, i wiesz, Tama, nie mogę pozbyć się myśli, że to bardzo ją zmartwi.

– Fakt, to długa, długa droga. Właściwie jedziemy na drugi koniec świata.

– Pojechałabym się z nią zobaczyć, spróbowałabym jakoś ją uspokoić, tylko że nie ma na to czasu.

Tama nachmurzył się, a między jego czarnymi brwiami powstała zmarszczka.

– Jaka szkoda! Może byś się tam wybrała, a ja pozałatwiałbym resztę spraw?

– Wciąż usiłuję wytłumaczyć Emile'owi, co trzeba zrobić z meblami dla madame Horneil. Nie, myślę, że po prostu postaram się opowiedzieć o wszystkim w liście. Napiszę, że jeśli ktokolwiek potraktuje mnie źle, ty staniesz w mojej obronie.

– Potraktuje cię źle? – zapytał z niepokojem Tama. – W Tokio nikt nie potraktuje cię źle. Jesteśmy bardzo uprzejmym narodem.

– Chodzi mi o to, że nie jesteśmy małżeństwem. Nie chcę wpaść na głupią zwolenniczkę konwenansów, ale sądzę, że nawet w moim rodzinnym

mieście byłoby nie do przyjęcia, gdybyśmy się tam pojawili...

– Zaczekaj! – wykrzyknął Tama.

– Jak się taki związek traktuje w Tokio? – ciągnęła dalej Gwen, zawstydzona swoją obłudą. – Japończycy są chyba dość tolerancyjni, prawda?

RS

126

Tama uderzył się w czoło gestem wyuczonym od Francuzów, który miał oznaczać: „Jak mogłem być taki bezmyślny?”

– Gwen, zaczekaj, oczywiście, jakież ze mnie głupiec! Chyba uważasz mnie za straszliwego egoistę... Naturalnie, że trzeba to zrobić. Musimy wziąć

ślub przed wypłynięciem w podróż!

– Co? – odparła Gwen, ciesząc się, że jej zdolności aktorskie przyniosły pożądaný efekt. Tama tak bardzo dał się ponieść swoim myślom, że prawie nie

zwracał na nią uwagi.

– Tak, o niebiosa! Twoja matka... Co ona by czuła? A moja. Doprawdy, to byłby wielki błąd pojawić się... O Panie miłosierny, jak mogłem o tym nie

pomyśleć? Jasne! Jutro pójdę do prefektury i zdobędę specjalne pozwolenie.

– Ale, Tama, czy jesteś pewny? To poważna decyzja.

Ta uwaga zbiła go z tropu. Popatrzył na nią, a na jego oliwkowych policzkach pojawił się rumieniec.

– Nie chcesz? – zapytał.

– Chodzi o to, czy ty chcesz?

Tama na chwilę stracił pewność. Nie znoził kłopotliwych sytuacji. Przyglądał się Gwen, próbując odgadnąć, co powinien odrzec w tym momencie.

–Ah, zdaje się, że wszystko zrobiłem nie tak, jak trzeba – zaczął mówić po chwili. – Proszę, wybacz mi. Zrozum, że nie wiem, jak to się robi w Europie. Nigdy przedtem nie prosiłem kobiety o rękę... nawet w Japonii: tam

po prostu uczyniłby to za mnie ktoś inny. Co powinienem teraz ci powiedzieć?

– „Kocham cię, Gwen. Czy wyjdiesz za mnie?”

Ale śmiała się, a on w gruncie rzeczy nie powiedział tych słów.

Przechylił się nad stołem i wziął ją za rękę, by kolejno je ucałować, tak jak to robią Francuzi.

RS

127

– Jutro z samego rana – powiedział. – Jak tylko otworzą prefekturę. Gwen, musisz wysłać telegram do swojej matki i zaprosić ją na ślub.

– Och, ona nie przyjedzie! Nigdy nie opuszcza domu.

– Na ślub przyjedzie. Tak, tak. Jak tylko skończymy posiłek, musimy iść na pocztę i wysłać telegram.

Treść telegramu była następująca: „Płyniemy do Tokio siedemnastego, najpierw ślub, proszę, przyjedź, odpowiedź natychmiastowa”.

Odpowiedź nadeszła nazajutrz: „Kochanie, gratulacje, przybywam do Calais 3. 30 w niedzielę”.

Ani Gwen, ani Tama nie mieli czasu, by udać się do Calais, toteż Gwen poprosiła o to Toinette. Nie zdradzając się ze swoim zamiarem, Toinette zabrała ze sobą Jerome'a. Kiedy Rhoda Baynes ujrzała na nadbrzeżu Jerome'a

poczuła się o wiele pewniej.

– Jak to pocziwie z pana strony, że pan przyjechał – powiedziała z drżeniem w głosie. – Chyba zna pan mojego męża?

– Jak się pan ma, panie Baynes? – zagadnął Jerome.

– Kto to taki? – szepnęła po francusku Toinette. – Ależ to ordynarny typ!

– Ojczym Gwen – odparł Jerome, który poczynił pewne kroki, by pani Baynes nie niepokojono. Uprzednie konsultacje z portowymi urzędnikami

sprawiły, że zaniechano kontroli paszportowej; do Paryża pojechali samochodem; w hotelu de la Concorde czekał na nich zarezerwowany pokój.

W hotelu byli już Gwen i Tama. Gwen zauważyła, że jej matka od pierwszego wejrzenia była zafascynowana urodą Tamy, jego cudzoziemskim

wyglądem. Wszystkie cechy tego Japończyka przemawiały do jej romantycznego serca.

Z kolei Wally Baynes okazywał niemal nie skrywaną pogardę. Górował wzrostem nad Tamą. Zamierzał nie podać mu ręki przy wzajemnej prezentacji.

RS

Jednakże Tama popsuł mu szyki, składając ukłon, jak to miał w zwyczaju.

Rozmowa nie należała do łatwych. Gwen musiała tłumaczyć Tamie na francuski wszystkie słowa matki i Wally'ego.

– To on nie mówi po angielsku? – zapytał szyderczo Wally.

– Nie. A ty umiesz mówić po japońsku? – odcięła się Gwen. – Albo choćby po francusku?

Ten komentarz zamknął mu usta.

Ślub, bardzo oficjalna ceremonia, odbył się we wtorek. Gwen miała na sobie nową sukienkę z niebieskiej krepy, a właściwie coś, co przypominało

raczej halkę, w myśl najnowszego stylu Coco Chanel. W ręku trzymała bukietik błękitnych irysów. Wally szydziłby jeszcze bardziej, gdyby wiedział,

że wybrał je sam Tama, tłumacząc, iż dla Japończyków kwiaty są niesłychanie ważne.

Mimo wszystko ojczym Gwen był urzeczony Paryżem i swobodnym życiem, jakie tu prowadziła. Jego pasierbica mówiła płynną francuszczyzną,

ludzie chyba ją szanowali, a pracownia znajdowała się w bardzo korzystnym punkcie, opodal placu Vendôme.

A potem jedzenie, wino, blask bulwarów w promieniach wiosennego słońca, bujność i nieprzyzwoitość „Folies Bergeres”, eleganckie kobiety... Ach,

te kobiety! Ku zdumieniu i radości Wally'ego, Toinete zabrała go do swojego

apartamentu na godzinny „wypoczynek” w poniedziałek, kiedy Rhoda poszła

kupić kapelusz na ceremonię ślubną.

Słuchał więc teraz niezrozumiałych formuł ślubnych, a następnie, w dość

przychylnym nastroju, podpisał się w specjalnej księdze. Para dżentelmenów z

ambasady Japonii również złożyła swe podpisy jako świadkowie, a potem przedstawiła Gwen coś, co prefekt nazwał *voir-dire*, czyli deklarację dla

RS

129

japońskich urzędników, że Tama i Gwen są z punktu widzenia prawa małżeństwem.

Wally porzucił wszelkie myśli o objęciu małej Gwennie i mocnym uścisku. Mimo wszystko jakoś nie miał ochoty robić sobie wroga ze świeżo

upieczonego męża. Może i ten Tama nie był tęgiej postury, ale wyczuwało się

u niego charakter ze stali i gdyby do czegoś doszło, na pewno nieźle by się

sprawił. A co do Gwen... No cóż, wystarczyło na nią spojrzeć, żeby się przekonać, iż jest do szaleństwa zakochana w tym facecie. Jej oczy błyszczały,

gdy na niego patrzyła. Wodziła za nim wzrokiem, gdy gdzieś odchodził. Co

ona w nim widziała? Wally pomyślał, że kobiety są śmieszne. Nawet Rhoda

zdawała się sądzić, że Tama jest wspaniały.

Ale Rhoda pojęła wszystko. Szczupłe, mocne ciało Tamy, delikatna oliwkowa cera i krótkie czarne włosy, błyszczące czarne oczy, które zdawał się

rozpalać jakiś wewnętrzny płomień... Och, jakaż przedziwna, cudowna

istota!

Nic dziwnego, że jej córka się w nim zakochała.

Nazajutrz pojechali całą grupą do Calais. Rhoda i Wally mieli odprowadzić

Gwen i Tamę, a następnie wsiąść na prom do Anglii. Toinette, Sybille, Robert i inne osoby z kręgu Jerome'a również się tam zjawily, podobnie zresztą jak sam Jerome, który odczuł ogromną ulgę, gdyż

Tama nie okazał urazy.

– Prawdopodobnie wie, że jest już za późno, bym mógł stanowić dla niego jakiegokolwiek zagrożenie – mruknął do siebie.

W prezencie ślubnym przywiózł Gwen przenośny gramofon i wybór płyt.

Na części z nich zarejestrowano muzykę klasyczną, ale jak podkreślił w rozmowie z Tamą, były tam również jego ulubione fokstroty: *Oh, You, Beautiful Doll* i *Bye, Bye Blackbird*.

RS

130

– Myślę, że grywa je także orkiestra w hotelu Imperial. Kiedy tam będziesz, przekaż pozdrowienia ode mnie kierownikowi zespołu.

– Oczywiście – odparł pogodnym głosem Tama.

W pobliżu zaczął krążyć z podręcznym gongiem steward z „Orient Pearl”, wołając:

Ci z państwa, którzy nie płyną, proszę zejść na brzeg.

Wszyscy zaczęli się całować. Rhoda zanosła się płaczem. Toinette pomogła jej zejść po pomoście, a jednocześnie rzuciła figlarne

spojrzenie

Wally'emu, które on dyskretnie odwzajemnił.

Jerome wykorzystał ogólne zamieszanie, by całować Gwen długo i delikatnie.

– Do widzenia, Gwen. Pisz do mnie. — Tak, będę pisać.

– Do widzenia, Tama. – Jerome skłonił się, a tego ukłonu nie powstydziliby się najwytrawniejszy dyplomata.

– Do widzenia – odparł Tama.

Całe towarzystwo zeszło po pomoście. Wszyscy patrzyli, jak „Orient Pearl” bardzo powoli, przy akompaniamencie syren wypływa z portu. Gwen i Tama stali przy nadburciu i machali na pożegnanie. Stopniowo ich twarze zacierały się, a później odprowadzający stracili statek z oczu, gdyż

przesłoniły go inne okręty.

– No cóż, wszystko ułoży się dobrze – powiedziała pełnym nadziei głosem Toinette.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Jerome.

Toinette wiedziała jednak, iż w rzeczywistości miał na ten temat inne zdanie.

RS

131

7

Gwen przyrzekła sobie, że nie wpadnie w depresję, gdy zobaczy doki Jokohamy. Z doświadczenia wiedziała, że na podstawie portu nie powinno się

osądzać całego kraju.

Utwierdziła się w tym przekonaniu na widok góry Fudzi, kiedy „Pearl Orient” płynął przez przybrzeżny rejon, zwany Czarnym Prądem, w stronę

Zatoki Tokijskiej. Szczyt wznoszący się nad odległymi urwiskami wydawał się

nierzeczywisty. Dwanaście tysięcy stóp wzniesienia o nienaganych zarysach

wieńczyła połyskująca biel, którą, jak twierdził Tama, Japończycy nazywali *O*

jama, czyli „Czcigodną Górą”, jak gdyby żadna inna nie zasługiwała na takie

miano.

Gwen już miała wykrzyknąć: „Jakie to piękne”, ale słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła twarz Tamy. Dostrzegła w niej tyle czci i lęku, że uznała, iż nie powinna się w tym momencie odzywać. Tama przeżywał właśnie

powrót do ojczyzny.

Pod jednym względem przystań w Jokohamie różniła się od Calais – panował tam mniejszy zgiełk i zamieszanie. Niscy ludzie w czerwonych czapkach, ciemnych chałatach, obcisłych spodniach i czarnych butach biegali

po pokładzie niemal w zupełnej ciszy. Wystarczył gest lub zdecydowana komenda, a wówczas podnosili bagaże i pokazywali drogę na brzeg do miejsca

odprawy. Gwen i Tama stali w kolejce razem z tragarzami. Osoby znajdujące

się przed nimi były obsługiwane dość długo, z należną dozą biurokracji, lecz

nazwisko Hayakawa zdawało się czynić cuda. Wymieniono ukłony, zwrócono

paszporty i Gwen z Tamą mogli przejść dalej.

Przy wyjściu zgromadził się spory tłum oczekujący na przyjaciół lub krewnych. Kobiety i dzieci w jaskrawych kimonach przyćmiewały mężczyzn,

RS

132

którzy przeważnie nosili niedbałe europejskie odzienie. W przeciwieństwie do tragarzy, zebrani ludzie byli roześmiani i weseli. Używali wachlarzy i machali rękami, a dzieci wykrzykiwały słowa powitania. Przemarsz przez stację odbył się bardzo szybko. Gwen nie miała nawet czasu się rozejrzeć, gdyż musiała nadażyć za tragarzami. Na peronie czekał już pociąg odjeżdżający do Tokio. Załadowano ich bagaż – jeden kufer i dwie walizki. Wsiedli do wagonu, który wydawał się mały i jasny w porównaniu z ich europejskimi odpowiednikami. Rozległo się przenikliwe buczenie i ruszyli w drogę.

– Jak długo trwa podróż do Tokio?

– O ile dobrze pamiętam, godzinę. Wkrótce nie trzeba będzie przybijać do portu w Jokohamie: kiedy kanał zostanie wybagrowany, statki będą mogły płynąć do samego Tokio. Oczywiście, dopiero teraz stało się to konieczne –

dodał ze śmiechem Tama. – Do Tokio nigdy nie pływały duże liniowce transatlantyckie, dopóki nie zjawili się tu Amerykanie, którzy nas przebudzili.

Kiedy stracili z oczu Jokohamę, widok stał się ładniejszy. Gwen oglądała teraz wiejskie krajobrazy Japonii, które przypominały jej ogród – uporządkowany, wypielony, starannie zagospodarowany. Często teren okazywał się górzysty, toteż trzeba było umocnić stoki kamieniami, aby cenna gleba nie uległa wymyciu. Kamienie nie leżały zresztą w szeregach – Japończycy kładli je tak, aby tworzyły wzór w kratkę lub romby. Gospodarstwa były bardzo małe. Stały na nich niskie domki z drewna i papy. Wydawały się kruche. Na dole, wzdłuż kalenicy, rosły rzędkie irysów. W ów kwietniowy dzień zieleń liści irysów sprawiała wrażenie czegoś niezwykłego, tym bardziej tam, gdzie kontrastowała z rozkwitającymi purpurowymi pąkami. Ludzie pracowali na polach i działkach warzywnych. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili fartuchy, spod których widać było ich bosa

RS

133
nogi. Poruszali się zgięci w pól, kryjąc się pod kapeluszami przypominającymi grzyby. Niektóre kobiety przywiązywały do pleców swoje potomstwo. Część dzieci również pracowała z matkami, oczyszczając pola z chwastów.

W przedziale, w którym jechali, znajdowały się dzieci – malutkie istoty o czarnych, lśniących włosach, które nosiły połyskujące krótkie kimona, białe bawełniane skarpetki i małe drewniane chodaki. Gwen patrzyła na nie, a one przyglądały się jej. W milczeniu koncentrowały całą uwagę na tej dziwnej, płomiennie włosej kobiecie, w kostiumie z brązowej flaneli i jedwabnej bluzce. Uśmiechnęła się do nich radośnie. – *Hajimemashite* – powiedziała, przypominając sobie lekcje, i lekko się skłoniła. Wszystkie twarzyczki nagle się rozpromieniły. Dzieci pochyliły główki i powtórzyły grzeczne pozdrowienie, tak jak je tego nauczono. Matki nieco się odprężyły, a ojcowie pozwolili sobie na ukłon. Zaczęła się rozmowa, ale jej szybkie tempo nie pozwalało Gwen zrozumieć niczego. Ćwiczyła co prawda znajomość japońskiego z Tamą, ale on mówił zawsze tak, żeby mogła go zrozumieć. Zadowolila się jedynie potakiwaniem głową i uśmiechem. Po mniej więcej godzinie pociąg wtoczył się na stację w Tokio. Wszyscy wysiedli, wymieniając przedtem ukłony i grzeczne słowa pożegnania. Pojawili się tragarze, by przenieść bagaż. W przeciwieństwie do francuskich tragarzy, wcale się nie targowali i chyba zawsze cieszyła ich otrzymana zapłata. Po opuszczeniu pociągu Gwen przystanęła, żeby się rozejrzeć. Znajdowała się w Tokio, stolicy Japonii. Równie dobrze mógłby to być Toulon czy Twickenham. Zobaczyła dużą, otwartą przestrzeń, okoloną głównie drewnianym parkanem ze względu na roboty budowlane. Po lewej

stronie stał
brzydki i ciężki czteropiętrowy budynek w stylu zachodnim, z betonu i
kamienia.

RS

134

– To Poczta Główna – mruknął Tama. Po drugiej stronie drogi
znajdował
się siedmiopiętrowy dom o płaskiej fasadzie. – A to pomieszczenia
biurowe –
dorzucił Tama.

Gwen odwróciła się, żeby zerknąć na dworzec, który opuszczali. Był
pretensjonalny, imitował najgorszą francuską architekturę.

– O Boże! – powiedziała Gwen.

– O co chodzi?

– To chyba nie jest styl japoński? Tama spojrzał krzywo na Gwen.

– To współczesna Japonia. Raczej nie budowałabyś dworca kolejowego
z

bambusa i papieru, prawda?

– No nie...

Dlaczego jednak ta nowa architektura tak bardzo nie pasowała do tego,
co Gwen widziała na wsi? No cóż, to było japońskie miasto – wyglądało
tak,

jak oni sobie tego życzyli. Dopiero później odkryła, że prawdziwe
Tokio,

Tokio pałacu cesarza, Teatru Cesarskiego, Parlamentu, znajdowało się
zaledwie o kilkaset kroków dalej. Szkoda tylko, że podróżnik wyrabiał

sobie

pierwsze opinie o mieście na podstawie tego brzydkiego,
zeuropeizowanego

placu.

Na chętnych czekały pojazdy do wynajęcia – ryksze, bryczki zaprzężone
w kucyki. Ze względu na bagaż Tama wybrał taksówkę, chociaż dla
Gwen

jazda wehikułem poruszonym przez człowieka byłaby czymś nowym.

Zauważyła, że Tama nie podaje szoferowi adresu. Powiedział tylko, że
mają

jechać w kierunku Higashi–Nakano, a kiedy dotarli do przedmieść,
gdzie

znajdował się dom państwa Hayakawa, udzielił dokładniejszych
wskazówek.

Później Gwen zorientowała się, że w Japonii nie ma czegoś takiego jak
dokładny adres. Chcąc dotrzeć w określone miejsce, podawało się
jedynie

dzielnice i drogę, a ponieważ w Japonii często budowano domy na
terenie

RS

135

dawnej siedziby jakiegoś artystokraty, nawet czternaście budynków
mogło

mieć oznaczenie 22 Shiba Park Road. Sama Shiba Park Road wcale nie
musiała być w pobliżu parku Shiba, zwłaszcza jeżeli park został
podzielony na

mniejsze działki i rozprzedany. Wiele ulic w ogóle nie miało nazwy.

Wszyscy

wiedzieli, że istnieją, ale jedynym sposobem na odnalezienie

mieszkającej tam

rodziny było poproszenie o pomoc dzielnicowego policjanta, który

wiedział

wszystko.

Taksówka gwałtownie zahamowała przed zadaszoną bramą wjazdową.

Po jednej stronie widniała tablica z lakierowanego metalu

obwieszczająca, że

tu mieszka rodzina Hayakawa. W otoczeniu czerwonych cedrów stał

dom

dwupiętrowy, drewniany, z dachem z gontów. Brama w ogrodzeniu była

bardzo solidna i prowadziła do mniejszych drzwi, które się otworzyły w

momencie, gdy taksówka zatrzymała się przed domem. Stał w nich 84

stary

człowiek w ciemnej długiej bluzie i obcisłych spodniach. Kłaniał się

niemał do

samej ziemi.

– Witaj, witaj, Tamaki-san!

Tama minął bramę, nieznacznie skinąwszy głową. Za nim z uśmiechem

podążyła Gwen, mówiąc *hajimemashite*. Staruszek bez przerwy się

kłaniał,

mamrotał słowa powitania i nie śmiał podnieść na nią oczu.

Krótką, wykładaną kamieniami ścieżka wiodła do osłoniętego dachem

drewnianego ganku. Stały na nim dwie kobiety, które pochylały głowy,

trzymając ręce na kolanach. Na pierwszy rzut oka Gwen dostrzegała

tylko ich

wymyślnie ułożone fryzury: jedną głowę o siwiejących włosach, drugą

zaś o

włosach czarnych jak kruk.

Tama ukłonił się głęboko.

– Matko, cieszę się, że znowu cię oglądam.

– Witaj w domu, mój synu.

RS

136

– Hanako, cieszę się, że cię widzę.

– Witaj, Tamaki–sama.

– Oto moja żona, Gwen–san.

– Witaj, Gwen–san – powiedziała pani Hayakawa i nieco się wyprostowała,

gdyż zbyt głęboki ukłon nie pozwalał jej obejrzeć świeżo upieczonej synowej.

Matka Tamy nie ukrywała zaskoczenia. Gwen wiedziała, że jej wygląd musi być dla teściowej szokiem – przewyższała starą kobietę co najmniej o

głowę, była o wiele mocniej zbudowana niż przeciętna japońska dziewczyna, a

poza tym miała kasztanowo rude włosy i brwi.

– *Hajimemashite* – wyrzekła Gwen, kłaniając się tak, jak ją uczono:

głęboki ukłon w stronę Mirio–san, swojej teściowej, mniejszy w stronę Hanako–san.

W duchu pragnęła jednak, żeby stara kobieta wzięła ją w ramiona i ucałowała. Jak nigdy przedtem potrzebowała poczucia bezpieczeństwa.

Wszystko dookoła niej było obce – drewniany dom z papierowymi oknami,

brama z napisem w obcym języku, ludzie w ubraniach, jakich nigdy dotąd nie

widowała na co dzień. Obce były nawet dźwięki – stukanie chodaków staruszka, kiedy wnosił bagaż, mrużąc coś w swoim języku, a także

powitalny
szmer zgromadzonych kobiet. Odczuwała obce zapachy: woń nie
znanych jej
kwiatów i zieleni, jakiejś potrawy gotowanej w domu z dodatkiem
przypraw i
ziół, których nie potrafiłaby nawet nazwać.
Rzuciła Tamie rozpaczliwe spojrzenie. Ale Tama miał własne kłopoty.
Przeżywał spotkanie z matką, od której odwrócił się przed czterema laty,
z
wdową po człowieku, którego nie usłuchał, porzucając Tokio dla
Paryża.
– Wejdźcie, wejdźcie – powiedziała uprzejmie Mirio-san i odsunęła się,
żeby mogli wkroczyć na werandę. Jej twarz nie wyrażała teraz żadnych
uczuć.

RS

137

Tama pochylił się i zdjął buty. Mimo jego wcześniejszych zaleceń,
Gwen
zapomniała zrobić to samo i omal na niego nie wpadła. W końcu
pochyliła się i
zsunęła tenisówki, które włożyła specjalnie, żeby łatwo je było zdjąć
przed
wejściem do domu. W Japonii nikt nie przekraczał progu domu w
butach. Fakt
ten miał w niedalekiej przyszłości wydatnie ograniczyć liczbę
posiadanego

przez nią obuwia.

Poczekawszy, aż zdejmą buty, Mirio–san zaprowadziła ich do środka, do

niemal pustego pokoju. Gwen dowiedziała się później, że mieściło się tam

osiem mat, a więc pokój uchodził za dość duży. Wielkość pokoiów w Japonii

mierzono liczbą mat potrzebnych do przykrycia podłogi. Każda mata liczyła

sobie około 186 centymetrów długości i 93 centymetry szerokości.

W ścianie po prawej stronie znajdowała się nisza z

kilkunastocentymetowym podwyższeniem. Stała tam lakierowana waza, która

lśniła pod wpływem światła padającego z przeciwległego, południowego końca

pokoju, gdzie usunięto papierowe zasłony, by wpuścić wiosenne powietrze i

lepiej wyeksponować ogród. Do wazy wstawiono cienką gałązkę kwitnącej

wiśni. Pączki kwiatów sprawiały, że delikatny róż wydawał się intensywny,

choć jeszcze niedojrzały. Kompozycję uzupełniały dwa długie, mieczowate

liście – i nic poza tym.

Za kwiatami, na ścianie, znajdował się zwój pergaminu, *kakemono*, który

zmieniano rzadziej niż roślinną kompozycję. Tego dnia wisiało tam pismo z

pięknymi japońskimi znakami, których Gwen nie umiała odczytać.

Później

Hanako powiedziała jej, że napis głosił: „Żuraw zwija skrzydła po locie w

stronę domu”. Była to niewyraźna aluzja do powrotu Tamy.

Gdy tylko weszli do pokoju, jedna ze ścianek została odsunięta. W

otworze pojawiła się kobieta na klęczkach w zwykłym kimonie, z nisko

pochyloną głową w ukłonie. Położyła w pokoju kilka cienkich poduszek,
a

RS

138

następnie wstała i nie przestając się kłaniać, szybko umieściła poduszki
na

środku, po czym cały czas mając głowę nisko pochyloną, wycofała się i
zasunęła za sobą przepierzenie.

– Czy mamy usiąść, Tamaki-san? – zapytała jego matka.

Nie mogła go do tego zachęcić, gdyż to on był teraz głową domu i
musiał

przekazać słowa zaproszenia. Tama zajął miejsce na jednej z poduszek.

Gwen

postąpiła identycznie, co wywołało chwilową konsternację. Kiedy już
poznała

lepiej japońskie obyczaje domu, zrozumiała, że powinna była wtedy
zaczekać

na pozwolenie Tamy, oraz że ona i Mirio-san powinny usiąść
jednocześnie.

Siadanie przed własną teściową, jak to uczyniła Gwen w trakcie
pierwszego

spotkania, dowodziło nieuprzejmości.

Teraz już wszyscy siedzieli na poduszkach. Pani Hayakawa rozpoczęła
przemowę, której z pewnością się wyuczyła. Gwen zrozumiała część
słów bez

wysiłku. Były tam znane jej formułki powitalne, następnie pytania o

samopoczucie Tamy i o zdrowie Gwen, a także o niewygodny związane z morską podróżą. Tama odpowiadał za pomocą podobnych, utartych zwrotów:

czuł się dobrze, podobnie jak jego żona, rejs nie był zbyt dokuczliwy.

Pytał też,

jak się miewa jego czcigodna matka, jak zdrowie jego siostry.

Ponownie pojawiła się służąca, a za nią jeszcze jedna. Pierwsza podała *oshibari*, ręczniki dla gości z podróży, a druga przyniosła herbatę na lakierowanej tacy. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na cienkiej poduszce,

Gwen pomyślała mimo zdenerwowania, że na szczęście brakuje tu spodeczków, łyżeczek, talerzyków do ciasta oraz cienkich serwetek – typowego

angielskiego zestawu do popołudniowej herbaty.

Herbatę nalewała pani Hayakawa. Najpierw podała filiżankę Tamie, który podniósł ją do ust ceremonialnym ruchem, a potem postawił na podłodze.

RS

139

Następnie podano napój Gwen, która popatrzyła na męża, szukając u niego porady.

– Upij łyk i postaw filiżankę – powiedział jej z uśmiechem. Posłusznie wypełniła to zalecenie.

Teraz można było podać herbatę gospodyni i Hanako. Po tej czynności członkowie rodu Hayakawa wydawali się nieco odprężeni. Miało się

wrażenie,
jakby pokonali jakąś przeszkodę. Nie dotyczyło to jednak Gwen, która musiała jeszcze poznać teściową i szwagierkę. Szukała w myślach jakiegoś zwrotu pośród wyuczonych formułek, żeby rozpocząć konwersację. Herbata! – ucieszyła się – przecież opanowała kilka zdań na temat picia herbaty. Ale herbata, zgodnie z zapowiedzią Jerome'a, była okropna. Parzono ją z zielonych listków, a swoją goryczą wywoływała przykry smak. Nie podano do niej ani mleka, ani cukru, choć Gwen pomyślała, że mleko i cukier tylko by to wszystko pogorszyły. Słowa, które próbowała wypowiedzieć, zamarły jej na ustach. Stwierdzenie: „Ta herbata jest wyborna”, byłoby całkowitym kłamstwem.

W szybkiej rozmowie między Tamą i jego matką nastąpiła przerwa. Tama spojrzał wyczekująco na Gwen. Chciał, żeby się przyłączyła do konwersacji. Gwen z trudem przypominała sobie jeden z wyuczonych zwrotów.

– Mam nadzieję, że w twoim domu wszystko układa się dobrze. To zdanie wywołało potok słów, których nie była w stanie zrozumieć. Zerknęła na męża.

– Moja matka opowiada ci o śmierci ojca – wyjaśnił Tama. – Nie będę tego tłumaczył. Mówi, że lekarz był nieudolny.

Zagadał do Mirio-san po japońsku, po czym wyjaśnił Gwen:

RS

140

– Powiedziałem jej, że jutro pójdziemy na cmentarz, by odwiedzić rodzinny grobowiec.

– Och, Tama!

– Powinniśmy to zrobić.

Tę wymianę zdań przerwała Hanako, która odezwała się bardzo cichym głosem, toteż Gwen musiała się przysunąć, żeby usłyszeć jej słowa. Na szczęście siostra Tamy mówiła bardzo powoli i wyraźnie.

– To wielki zaszczyt, Gwen-san, że nauczyłaś się tak dużo słów z naszego języka.

– Tak dużo! Prawie nic.

– Ja nie znam twojego języka wcale. Jesteś bardzo sumienna, skoro nauczyłaś się mówić w naszym języku choć trochę.

– Mam nadzieję, że będę mówić więcej – powiedziała Gwen. – To znaczy lepiej – poprawiła się.

– Na ogół lepiej jest, jeżeli synowa mówi niewiele – wtrąciła się Mirio-san.

Gwen nie potrafiła odgadnąć wyrazu jej twarzy. Mógł wyrażać dezaprobatę

lub rozczarowanie. Tama wyjaśnił jej po francusku:

– Synowe, które przybywają do swoich nowych domów, odzywają się bardzo rzadko. Do ich obowiązków należy raczej słuchanie niż mówienie.

Dlatego moja matka tłumaczy ci, że nie czuje się urażona twoim milczeniem.

Gwen wydawało się to bardzo dziwne. Ale skoro odpowiadała im milcząca synowa, z ochotą mogła spełnić ich życzenie. Skinęła głową i uśmiechnęła się do Mirio-san. Mirio-san odwzajemniła się ledwo widocznym pochyleniem głowy. Dała Hanako znak, że trzeba napełnić filiżanki. Starsza ze służących przyniosła ciasteczka ryżowe obtaczane w mące sojowej i w cukrze. Poczęstowała nimi najpierw Tame, a potem Gwen. W trakcie tej czynności

RS

141

przyglądała się bezceremonialnie Gwen, która poczuła, że się rumieni pod

wpływem jej spojrzenia. Powiedziała więc do niej po angielsku:

– Poznasz mnie lepiej, kiedy zobaczysz mnie znowu!

Służąca cofnęła się. Wiedziała, że została zganiona i ten fakt nią wstrząsnął.

– Nie możesz się przejmować Kinie – powiedział Tama. – Ona należała do naszej rodziny, kiedy mnie nie było jeszcze na świecie.

– Och, rozumiem. – Osoba uważana za domownika mogła sobie pozwolić na pewną swobodę w zachowaniu. – Przepraszam, że przemówiłam

ostrym tonem. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że się mnie taksuje wzrokiem.

Tama powiedział coś po japońsku do Kinie, która wzruszyła wymownie

ramionami, co miało oznaczać: „Z czego ona robi problem?” Tama przemówił

ponownie, tym razem ostrzejszym tonem. Kinie ukloniła się, zerknęła na Mirio-san, jakby współdziałała w zbrodni, i odeszła.

– Musisz jej wybaczyć. U nas gapienie się na kogoś nie jest niegrzeczne, Gwen.

Gwen czuła się jak winowajczyni – zrobiła wiele hałasu o nic. Hanako, która wydawała się przychylnie usposobiona do Gwen, powiedziała cicho:

– Proszę, zjedz ciasteczko. Kucharz przygotował je specjalnie na dzisiejszą okazję. Zobacz, są polukrowane na czerwono: to kolor symbolizujący szczęście.

– Dziękuję.

Spodziewała się, że ciastko będzie równie okropne jak herbata. Okazało się jednak całkiem przyjemne w smaku, słodkie i ciągnące. Zagryzając nim

kolejne łyżki herbaty, mogła opróżnić drugą filiżankę, podczas gdy Tama

RS

142

rozmawiał ze swoją matką. Z tej rozmowy zrozumiała bardzo niewiele. Pani

Hayakawa wcale jej tego nie ułatwiała, nie starając się mówić wolniej.

– Mirio-san mówi – powiedział po chwili Tama – że ma pewną sprawę, którą chce ze mną omówić na osobności. Wydaje mi się, że chciałabyś

rozpakować rzeczy i obejrzyć dom. Hanako!

Na sam dźwięk swojego imienia siostra Tamy powstała z klęczek jednym

płynnym ruchem. Czekwała na Gwen w pełnej gotowości, lekko pochyliwszy głowę.

Gwen rozprostowała skrzyżowane nogi ze znacznie większym trudem. W

porównaniu z Hanako czuła się jak niezdarny koń pociągowy. Hanako sięgała

Gwen do ramienia. Była filigranowa, a wzrostu dodawała jej wymyślna fryzura

ozdobiona szpilkami z kości słoniowej. Z włosami kontrastowała bardzo blada

twarz, z której spoglądały małe, ale wyraziste oczy w kształcie migdałów.

Gwen nie potrafiła powiedzieć, czy według japońskiego kanonu urody dziewczyna jest ładna. Później dowiedziała się, że Hanako była uważana za

kobietę o przeciętnej urodzie, a na dodatek niezbyt inteligentną.

– Tędy – oświadczyła Hanako. Opuściła pokój, wycofując się niemal tyłem, a raczej obracając się w taki sposób, żeby przepuścić Gwen przodem.

Ku zdumieniu tej ostatniej, wyszły przez otwarte drzwi w drugim końcu pokoju i dostały się do ogrodu, który w niczym nie przypominał tych, jakie

widywała w Europie – był wyłożony kamieniami, a pośród skał rosły drzewa i

krzewy. Z sadzawki, wzdłuż bambusowych kanalików, sączyła się woda, która dawała przyjemny szmer.

Hanako szła ścieżką okalającą dom. Tutaj pod rozkwitającym drzewem wiśni znajdowało się coś, co Gwen uznała za altanę. W przeciwieństwie do

głównego budynku, była chyba zbudowana z czegoś odporniejszego niż

drewno i papier. Ściany pokryto od zewnątrz tynkiem, a budka nie miała okien.

RS

143

Na drzwiach, które akurat stały otworem, znajdował się bardzo solidny zamek.

W środku leżały rozmaite pudła i pojemniki wyplatane z trzciny. Pośród tych

rzeczy stał bagaż, który przyniósł ogrodnik z taksówki.

– To jest *oshiire*, składzik – wyjaśniła Hanako.

Podciągnęła do kostek brzegi swego kwiecistego kimona, żeby się nie zaczepiło o rogi pudeł, i weszły do środka.

– W pismach widziałam zdjęcia zachodnich pokojów – mówiła powoli i wyraźnie. – Dużo mebli. Wszystko pod ręką. Tutaj większość rzeczy przechowujemy w składziku, a w pokojach trzymamy tylko to, co jest niezbędne.

– Rozumiem! – wykrzyknęła Gwen.

Kiedyś zapytała Tame, gdzie Japończycy trzymają swoje rzeczy, bo ich pokoje są prawie puste, a on wyjaśnił, że rzeczy odkładają gdzie indziej. Nigdy

nie mogła pojąć, gdzie.

– Proszę, wyjmij i odłóż na bok to, czego będziesz potrzebowała na co dzień – powiedziała Hanako. Pokazała zwój kolorowej bawełny w kształcie

kwadratu, w który miały się zmieścić rzeczy. – Kinie-san przyniesie je do

twego pokoju. Czy rozumiesz?

– *Hai, wakarimasu* – odparła z wdzięcznością Gwen.

Otworzyła kufer i jedną z walizek. Wyjęła tyle ubrań, by starczyły Tamie

i jej na kilka najbliższych dni, a także przybory toaletowe, przyrządy do rysowania i prezenty dla rodziny. Poza tym ślubny podarunek od Jerome'a:

gramofon z płytami.

– Zaniosę te ubrania – odważyła się powiedzieć po japońsku i pokazała koszulę nocną i szlafrok przewieszzone przez ramię.

– Dobrze. Ja też coś poniosę. Może to?

RS

144

Hanako schwyciła przenośny gramofon za rączkę. Jego niespodziewanie duża waga sprawiła, że dziewczyna ugięła się pod tym ciężarem.

– Och! – zawołała.

– To gramofon – powiedziała Gwen, używając angielskiego słowa, gdyż nie miała pojęcia, jak brzmi ono po japońsku.

Zrobiła gest, jakby obracała płytę, a następnie przytknęła złożoną dłoń do

ucha. Hanako gapiła się na nią, nic nie rozumiejąc. Gwen otworzyła wieko.

Hanako położyła palec na tarczy gramofonu i obracała ją, patrząc z wyczekiwaniem. Sądziła, że tarcza wytworzy dźwięk, który naśladowała Gwen. Gwen ze śmiechem zamknęła gramofon.

– Później – powiedziała po japońsku.

Weszły do głównego budynku po drewnianych schodkach, do werandy obok pierwszego piętra. Podłoga tarasu tworzyła dach ganku nad parterowymi oknami. Tama wyjaśnił, że latem miło jest posiedzieć w cieniu ganku i patrzeć na ogród, a wieczorem na tarasie, żeby „oglądać pełnię księżyca”. Dopiero później przekonała się, że Japończycy rzeczywiście tak robili – zapraszali przyjaciół i wychodzili na taras, żeby oglądać księżyc w pełni. Pokój, w którym miała mieszkać z Tamą, otwierał się na taras dzięki rozsuwanym ściankom. Wydawało się, że jest pusty. Nie widać było żadnego łóżka, ponieważ na dzień zwijano futony i koce, i przechowywano je w szafach. Gwen nie dostrzegła miejsca, gdzie mogłaby położyć przyniesione ubrania. Hanako przeszła na drugi koniec pokoju i odsunęła górną połowę ścianki. Gwen ze zdumieniem dostrzegła tam półki na ubrania. Uśmiechając się, położyła na nich swoje rzeczy. Podniosła torebkę na przybory toaletowe, gdzie trzymała mydelniczkę, szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów i grzebień.

– Toaletka? – zagadnęła w języku angielskim.

RS

145

Hanako uniosła ręce dłońmi do góry, co oznaczało: „O co prosisz?”
Gwen wyjęła szczotkę i udała, że zaczesała włosy, a później odkładała szczotkę i przeglądała się w lustrze.

– Aha!

Hanako rozsunęła dolną połowę ścianki. Szafka miała jedną półkę, na której stało lustro w lakierowanej ramce. Siostra Tamy gestem zaprosiła Gwen, żeby uklękła i spojrzała w nie.

– Na podłodze? – zawołała Gwen.

Hanako popatrzyła na nią z zakłopotaniem.

– Nie, nie – dorzuciła Gwen.

Wzięła lustro, postawiła je na jednej z półek górnej szafki i udawała, że czesze się w pozycji stojącej. Pomyślała, że w gruncie rzeczy lepiej byłoby to

robić na siedząco. Rozejrzała się dookoła. Żadnego krzesła.

– Czego szukasz? – zapytała Hanako.

– Krzesło?

Hanako pokręciła głową.

– Nie macie żadnych krzesel?

Hanako znowu pokręciła głową w milczeniu.

– Stołek?

Ponieważ Gwen nie знаła japońskiego odpowiednika owego wyrazu, gestami próbowała dopytać się o stołek.

– Kuchnia – odparła Hanako. – Łazienka.

– Rozumiem.

Jeżeli zechce usiąść na stołku, będzie musiała go wypożyczyć z jednego z

tych pomieszczeń. Wraz z Hanako posortowała rzeczy. Hanako zaczęła naśladować prasowanie, gdyż niektóre z ubrań prosiły się o żelazko.

– Tak, dziękuję, chciałabym, żeby je przeprasowano.

RS

146

Odpowiedź Gwen wywołała kiwnięcie głową i pełne aprobaty klaskanie. I tak wyglądała ich rozmowa– Gwen знаła tylko parę słów po japońsku, na

szczęście Hanako mówiła powoli i wyraźnie, gestykulując żywo i pomagając

mimiką. Było z tego dużo śmiechu. Gwen poczuła się nieco pewniej.

Jakoś

sobie poradzi. Pomoże jej w tym Hanako.

Zeszły na parter wewnętrznymi schodkami i znalazły się w przejściu do głębiej położonych pomieszczeń domu, gdzie znajdowała się kuchnia.

– Kuchnia – powiedziała Hanako. – *Nesan* – Kinie, Suzuki, Ota.

Pokazała

ogród.

– Akira – wyjaśniła, poruszając się tak, jakby coś kopała. – Kazuo. –

Teraz Hanako naśladowała zamiatanie.

– Ogrodnik. Tak, rozumiem. Akira jest ogrodnikiem. Kazuo wykonuje dorywcze zajęcia. Czy wolno mi poznać się ze służącymi?

Hanako uniosła brwi. Ale po chwili skłoniła się i zaprowadziła Gwen do kuchni. Gwen wydawało się, że jest to niezmiernie zagracone miejsce.

To ją

zaskoczyło, zważywszy, że inne japońskie pomieszczenia były prawie puste.

Naczynia do gotowania stały na odkrytych półkach. Kuchenka przypominała

płytkie drewniane pudło. Na jej zagipsowanej powierzchni znajdował się okrągły otwór. Akurat stał na nim garnek z gotującą się potrawą. Obok kuchenki klęczał starszy człowiek w szarym kimonie. Próbował czegoś z

parującej warząchwii. Powstał, kiedy weszła Gwen. Patrzył na nią badawczo.

Za jego plecami kręciła się mała kobieta w wieku około trzydziestu lat. Miała

na sobie dość pospolite kimono w pasy, przewiązane ciemnym *obi*.

Chłopiec,

który klęczał i dokładał węgla drzewnego do kuchenki, również zerwał się na

nogi. Wszyscy wydawali się trochę przerażeni. Stłoczyli się razem i wlepili

oczy w Gwen.

RS

Pokazywała palcem każdą osobę. Kucharz nazywał się Ota, kobieta Suzuki, a chłopiec Kazuo. Kinie była akurat gdzie indziej, ogrodnik zaś przebywał w swojej chatce w ogrodzie. A zatem w prowadzeniu gospodarstwa dwóch kobiet, Mirio i Hanako, pomagało pięcioro służących. Wszyscy raz po raz nisko się kłaniali.

– *Ikaga desu kai?*. – zagadnęła grzecznie Gwen.

– Bardzo dobrze, dziękujemy, Gwen-san – odparli zgodnym chórem. – A

ty?

– Czuję się bardzo dobrze, dziękuję.

Patrzyli na nią rozpromienionym wzrokiem. Jakaż ona dziwna i cudowna!

Nowa synowa, cudzoziemka o jasnej cerze i miedzianych włosach, ubrana

w przedziwny strój, zadała sobie trud i przyszła do kuchni, by zapytać ich, jak się czują!

Ota uklonił się i towarzyszył jej do drzwi, które prowadziły do bocznego wejścia. Myślała, że chce ją zabrać na dwór. Ale on wskazał na zawieszoną

wysoko na ścianie skrzynkę bez pokrywy. Spiczasty drewniany daszek osłaniał

półkę, a na jego wierzchołku stała figurka wykonana ze słomy. Gwen przypomniała się laleczka, którą widziała kiedyś na polu. Ota pokłonił się

figurce, dwukrotnie klasnął w dłonie i zaintonował jakąś frazę, którą skwapliwie powtórzyli inni, również składając pokłon.

– O co chodzi? – zapytała Gwen. – Co oni robią?

– Proszą bożka kuchni o błogosławieństwo dla ciebie, Gwen-san.

– Och, jak to miło z ich strony!

Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę do Oty, ale on tylko na nią patrzył. Przypomniała sobie, że w Japonii podziękowanie wyraża się ukłonem,

RS

148

co też uczyniła. Hanako zabrała ją stamtąd. Kiedy przeszły kilka metrów,

powiedziała z właściwą sobie łagodnością:

– Nie trzeba koniecznie kłaniać się służbie, Gwen–san.

– O Boże! – odparła po angielsku. – No cóż, więcej tego nie zrobię. – Po japońsku dorzuciła: – Rozumiem.

Kiedy weszła do głównego pokoju, Tama i jego matka byli pogrążeni w dyskusji; w pobliżu klęczała Kinie, najwyraźniej uczestnicząc w rozmowie.

Tama popatrzył na Gwen.

– Czy już się rozpakowałaś, kochanie?

– Tak, wszystkiego dopilnowałam. Poznałam również służbę.

– A po cóż, u licha? – uniósł brwi.

– No, cóż... Pomyślałam, że chcieliby poznać nową panią...

– Rozumiem. Oczywiście, panią domu jest moja matka i nadal nią będzie,

Gwen. Chyba już ci to wcześniej wyjaśniłem.

– Tak, to prawda, ale jestem przecież żoną pana...

– Jesteś synową, Gwen. Nic nie szkodzi, przywykniesz do tego. W każdym razie nie będziesz musiała się zmagać z prowadzeniem japońskiego

domu – powiedział i wstał. – Teraz muszę iść na posterunek policji, żeby...

– Policji? – powtórzyła z niepokojem.

– Tak, żeby ich zawiadomić o naszym przyjeździe.

– Ale co to ich obchodzi?

Gwen ogarnął nie tylko niepokój, ale i zdziwienie.

– Nie martw się – odparł ze śmiechem i poklepał ją po ramieniu. – To nie

znaczy, że jesteśmy przestępcami. Nowa żona musi być zameldowana, ponieważ mieszka w domu męża, a co do mnie, muszę dać im znać, że wróciłem...

– Ale dlaczego policja musi o tym wszystkim wiedzieć?

RS

149

Gwen odnosiła wrażenie, jakby Tama mówił jej, że znajdują się pod nadzorem.

– Ależ, kochanie, wszystko w porządku, to tylko przepisy. Widzisz, gdyby ta część miasta miała ulec zniszczeniu wskutek trzęsienia ziemi czy

pożaru...

– Tama!

Wziął ją za rękę.

– Gwen, to jest Tokio. Trzęsienia ziemi zdarzają się dość często. To niewiele znaczy, wyczuwasz drżenia niemal codziennie, a tylko kilka wstrząsów powoduje szkody. Pamiętasz, tłumaczyłem ci: właśnie dlatego

domy buduje się u nas z drewna i papieru. Jeżeli się rozpadają, to nie ranią

ludzi znajdujących się w środku, a poza tym łatwo można je odbudować.

– Och, tak...

– Jednakże kiedy dom rozpada się podczas trzęsienia ziemi, może łatwo się zapalić, ponieważ gotujemy i podgrzewamy wnętrza za pomocą pieców na węgiel drzewny. Zatem pożar stanowi również duże zagrożenie. I dlatego–
dokończył, unosząc palec – policja musi wiedzieć, kto mieszka w jakim domu.

W ten sposób może policzyć osoby ocalałe po trzęsieniu ziemi czy pożarze, a także szukać zaginionych. Widzisz? Nie ma w tym nic złego.

– Oczywiście, rozumiem. Jaka jestem głupia! Przepraszam, Tama, po prostu to, co mówiłeś, brzmiało tak dziwnie.

– Lepiej już pójde, to zdążę wrócić na kolację. Będziemy jeść około siódmej. A później, moja droga, chyba się wykapiemy i pójdziemy wcześniej do łóżka. Zgadzasz się?

– Tak, Tama.

RS

150

Uśmiechnął się, pocałował ją, złożył ukłon swojej matce i siostrze, a potem wyszedł. Kiedy Gwen odwróciła się do pozostałych domowników, dostrzegła na twarzy Mirio-san pogardę i gniew, które zmroziły jej krew.

– Co takiego zrobiłam? – zapytała zduszonym głosem.

Wypowiedziała te słowa po angielsku, a Mirio-san odwróciła oczy. Gwen już dawno wyrosła z przeświadczenia, że cały świat musi ją uwielbiać.

Dwa lata spędzone w konkurencyjnym i zawziętym świątku paryskich artystów pozbawiły ją jakichkolwiek złudzeń. Ale sądziła z początku, że matce Tamy będzie zależało na poprawnych stosunkach z synową w równym stopniu, co jej z Mirio-san. Przecież Gwen i Tama zamierzali pobyć z rodziną niezbyt długo.

Chyba wszyscy chcieli, żeby ten rok pod wspólnym dachem upłynął w dobrej atmosferze?

Hanako zaczęła coś szybko mówić do Gwen, jak gdyby chciała odwrócić jej uwagę od tego, co przed chwilą zaszło.

– Pozwól, że pokażę ci resztę domu – zaproponowała.

Przeszły do pokoju obok, który nie różnił się niczym od poprzedniego.

Hanako zatrzymała się, spojrzała poważnie na Gwen i powiedziała jakieś łagodzące słowa.

– Nie rozumiem – odrzekła Gwen.

Nastąpiła długa przerwa. Wreszcie Hanako wzięła jej rękę i przycisnęła ją swoimi małymi dłońmi. W ten sposób pragnęła powiedzieć: „Jestem twoją przyjaciółką”.

Kolacja była bardzo osobliwa. Podano ją w głównym pokoju. Wniesiono tace – po jednej dla każdej osoby. Posiłek składał się z duszonej ryby oraz

mieszanki warzywnej i ostrych pikli. Kolejnym daniem była cienko pokrojona

surowa ryba, udekorowana utartą rzodkiewką, oraz sos, który przypominał w

smaku trochę imbir, a trochę musztardę. Na koniec wniesiono miseczki

z dość

RS

151

kleistym ryżem. Potrawy popijano zieloną herbatą. Jadło się oczywiście pałeczkami. Gwen ćwiczyła ten sposób jedzenia pod okiem Tamy w trakcie

rejsu, toteż radziła sobie całkiem nieźle. Przez cały czas czuła na sobie drapieżny wzrok Mirio–san. Usiłowała okazywać aprobatę przy każdej potrawie, aczkolwiek marynaty wydawały jej się przesolone i zbyt ostre, a ryż

pozbawiony smaku.

Rozmowę przy kolacji prowadzili przeważnie Mirio i Tama.

Robi to po to, żeby mnie wyłączyć – pomyślała Gwen i natychmiast siebie za to skarciła. Czyż to nie naturalne, że stara kobieta ma wiele do opowiedzenia swojemu synowi po czterech latach rozłąki?

Wreszcie długi posiłek dobiegł końca. Gwen była tak znużona, że opadała jej głowa. Zmogło ją napięcie całego dnia. Siedziała w niewygodnej

pozycji na podłodze i tęskniła za fotelem, w którym mogłaby się wyciągnąć i

zrelaksować. Około dziewiątej weszła Kinie, żeby coś obwieścić.

– Kąpiel gotowa – powiedział Tama.

Gwen ocknęła się w dość gwałtowny sposób. Głowa opadała jej coraz niżej, a powieki kleiły się niemiłosiernie. Wstała niezdarnie z miejsca.

Kinie

sza pierwsza. Tama i Gwen dotarli korytarzem do pokoju obok kuchni.

Znajdowała się tam wysoka owalna wanna z cedrowych klepek, ściśniętych żelaznymi obręczami. Wydobywały się z niej obłoki pary. Przez kamienną posadzkę łazienki przebiegał jakby chodnik z listewek o wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów. W pobliżu wanny stał przypominający skrzynię taboret. Leżały na nim serwetki z materiału i drewniana chochla. Kinie wskazała na półkę wzdłuż ściany, gdzie ułożono bawełniane ręczniki, po czym wycofała się z łazienki.

RS

152

– Ach, brakowało mi tego! – zawołał Tama, wdychając parę, w której wyczuwało się delikatny zapach ziół. Gwen rozglądała się dookoła, już zupełnie rozbudzona.

– To jest łazienka?

– Tak, oczywiście.

– Kto pierwszy wchodzi: ty czy ja?

– Nie bądź głuptasem. Wykapiemy się razem.

– Jak to?

– To jest japońska kąpiel, kochanie. Chodź ze mną, podaj ubrania Kinie. Zbita z tropu Gwen zaczęła się rozbierać. Tama obnażył się pierwszy i wręczył swój strój służącej. Następnie wziął ubranie Gwen i podał je Kinie.

Gwen zrobiła taki ruch, jakby chciała wejść do wanny. Tama położył jej rękę na ramieniu.

– Nie – powiedział. – W ten sposób.

Napełnił chochlę gorącą wodę i ostrożnie polał jej ramiona, tak że woda ściekała jej po plecach. Następnie wytarł plecy Gwen jedną z serwetek i ponownie polał wodą jej piersi, które potem osuszył serwetką.

– Teraz ty – powiedział i podał jej chochlę.

Uśmiechnąwszy się zaczerpnęła gorącej wody i polała nią Tame, a następnie wzięła serwetkę, by wytrzeć jego ciało. Wszystkie te czynności

wykonała jeszcze raz.

– Właśnie tak to robimy – powiedział. – Na przemian. Polewamy się wodą, a potem wycieramy do sucha.

– Bez mydła, Tama?

– Nie mamy mydła.

– Jaka szkoda! Mam trochę mydła w swojej kosmetyczce. Mogłam je przynieść.

RS

153

– Następnym razem.

Wziął chochlę i zanurzył ją w wannie, by nabrać gorącej wody. Polał nią boki i brzuch Gwen, pomagając sobie mokrą ściereczką. Ponownie zanurzył

chochlę i znowu poczuła na skórze strumień ciepłej wody. Nigdy przedtem nie

przeżyła tak silnego erotycznego doznania. Ciepło wody, mocna dłoń wycierająca jej ciało bawełnianym gałgankiem, łagodne, pieszczotliwe ruchy...

i ramiona Tamy – szerokie i mocne, poruszały się z wyraźną przyjemnością...

Jego przyspieszony oddech, czarne włosy lśniące w kłębach pary, błysk odsłoniętych w uśmiechu zębów...

Kiedy zmyli z siebie całodzienny brud, weszli do wanny. Usiedli na małej ławeczce po jednej stronie – woda sięgała im do szyi. Była bardzo gorąca – nie tyle odprężała, ile pobudzała. Gwen wzięła dłoń Tamy i położyła

ją sobie na piersi.

– Tak–szepnął. – Zaraz. – Wydał nieznacznie wargi na myśl o tym.

Po długiej kąpieli wyszli z wanny. Suszyli się nawzajem szorstkimi ręcznikami.

Tama uchylił trochę drzwi. W drugim pomieszczeniu czekały na nich dwa bawełniane okrycia. Tama włożył jedno z nich, a drugie podał Gwen. To

była *yukata*, kimono na noc. Gwen czuła, jak jego fałdy przylegają do wilgotnej skóry. Mokre włosy Gwen wydawały się ciemniejsze, a ich kosmyki

opadały loczkami na policzki.

Tama objął ją ramieniem i wyszli z łazienki. Włożyli małe drewniane chodaki, *gaeta*. Tama wyprowadził Gwen na zewnątrz, gdzie powietrze było

chłodne. Drogę oświetlało jedynie mgliste światło zza papierowych okien.

Weszli schodkami na taras, a stamtąd do swojego pokoju. Ktoś już im przygotował posłanie: wyciągnął futony na podłogę i rozłożył na nich koce.

Zdjąwszy kimona, przytulili się do siebie i uklękli na futonach.

RS

154

– Teraz naprawdę należysz do mnie – powiedział Tama. – Teraz mam cię całą dla siebie.

– Powiedz, że zawsze będziesz mnie kochał, Tama.

– Zawsze, zawsze.

I te słowa pobrzmiwały niczym refren przez całą tę noc, noc pełną namiętności, pierwszą, którą spędzili w ojczyźnie Tamy jako mąż i żona.

RS

155

8

Najpierw dotarły do niej dźwięki krzątania, a później trzask szczap drewna. Po chwili wszystko się powtórzyło. Gwen ocknęła się i otworzyła

oczy. Przez papierowe okna sączyło się mlecznoszare światło. Sięgnęła pod

wypełnioną otrębami poduszkę po swój zegarek. Zerknęła na niego zmrużonymi oczami. Dochodziła piąta. Przyłożyła zegarek do ucha – chodził.

Za dziesięć piąta! Ale ktoś się już krzątał w domu, odsuwał zasłony i zamiatał podłogę. Przytuliła się mocniej do męża, próbując znowu zasnąć.

Jednakże dźwięki dochodzące z dołu nie pozwalały jej się zdrzemnąć.

Teraz

któs zamiatał ścieżkę łączącą dom z ogrodem. Można było usłyszeć cichy,

monotonny śpiew, a następnie brzęk, jakby metalowy garnek czy czajnik uderzył o kamienną posadzkę. Potem dowiedziała się, że to Kazuo stawiał

wiadro na krawędzi studni. Rodzina Hayakawa czerpała wodę z własnej studni.

Usłyszała stukanie *gaeta*. Nie próbowała już drzemać. Leżenie przy Tamie z policzkiem wtulonym w jego plecy oraz nasłuchiwanie, jak dom budzi

się do życia, było całkiem przyjemne. I wówczas wydarzyło się coś dziwnego.

Miała wrażenie, że ich futony się kołyszą. Poczowała, że zbiera jej się na mdłości.

Wbiła wzrok w sufit, który zdawał się lekko przechylać raz w jedną, a raz w

drugą stronę. Usłyszała głucho dudnienie – dom trzeszczał w posadach.

Lustro

z półki dolnej szafki runęło na podłogę, powodując osobliwy brzęk.

Okrzyki dobiegające z dołu uświadomiły jej, że nie tylko ona doświadcza

dziwnych sensacji. Chwyciła Tamę za ramię i szarpnęła, żeby go obudzić.

– Tama! Tama! Co się dzieje?

Przewrócił się na plecy i utkwiał oczy w kołyszącym się suficie. Usiadł.

Ściany domu ciągle skrzypiały. W pokoju na parterze coś zapewne spadło z

półki na podłogę. Tama otoczył żonę ramieniem. Sufit wybrzuszył się po raz

RS

156

ostatni. Futony, na których leżeli, przestały się poruszać. Nastąpiła chwila

ciszy, a potem w ogrodzie rozległ się śpiew ptaka.

– W porządku, skończyło się – powiedział Tama i przytulił Gwen do siebie.

– Ale co to było?

– Ziemia zadrżała, a cóż by innego?

– Ale Tama... Tama! Cały dom się ruszał.

– Tak, i nic się nie stało. Stoi przecież na swoim miejscu, prawda?

– Tak, ale... Tama... Czy to było trzęsienie ziemi? Uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby.

– To było trzęsienie pokoju. Przyzwyczaisz się do tego.

– Przyzwyczaję się!

– Tak, oczywiście. To się zdarza przeciętnie kilkanaście razy na tydzień w tej lub innej części Japonii. I zawsze wszystko się uspokaja, choć naturalnie

musimy liczyć się z tym, że przy silniejszych wstrząsach trzeba będzie opuścić dom.

Gwen przywarła do Tamy. Była porządnie wystraszona. Kiedy podłoga zaczęła się pod nią poruszać, czuła się dziwnie jak nigdy przedtem – miała

wrażenie, że traci zmysł równowagi; dopóki drzenie nie ustało, nie potrafiła rozróżnić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Jak matka Ziemia, stara niezawodna matka Ziemia, mogła zrobić im taki kawał!
– Doprawdy, kochanie, nie ma się czym przejmować. No, już dobrze, nie bój się.
Tama gładził jej włosy i obsypywał pocałunkami jej ramiona i policzki. Bardzo szybko się odprężyła i zaczęła odwzajemniać jego pieszczoty, po czym odwrócili się do siebie, żeby zaspokoić kolejny przypływ żądz.

RS

157

Prawdopodobnie skłoniła ich do tego chęć cieszenia się życiem po dopiero co przeżytej grozie.
Kiedy nadeszła pora, żeby wstać i ubrać się, Gwen przywdziała *yukata* i poczłapała na taras. Stała tam przez chwilę i przyglądała się niebu.
Pośród kamieni obok sadzawki pracował Akira, który obcinał zwiędłe liście z niewysokich kwitnących roślin. Pomiedzy karłowatymi drzewkami latały ptaki o szarych skrzydłach, upstrzonych białymi plamkami. Gwen ziewnęła i przeciągnęła się. Jaki piękny jest świat... Teraz odczuwała potrzebę odwiedzenia miejsca zwanego potocznie wygodką.

– Gdzie są *lavabos*, kochanie?

– Ach. Musisz pójść boczną ścieżką w ogrodzie, tą, która skręca na lewo.

Toaleta na świeżym powietrzu? Pomimo iż dom należał do cenionego rzemieślnika w stolicy kraju? Tłumiąc zaskoczenie, usłuchała wskazówek

Tamy. Dość łatwo odnalazła małą przybudówkę osłoniętą krzakami azalii, ale

nawet gdyby miała trudności, zlokalizowałaby ustęp po zapachu.

Tego tematu Jerome nigdy nie poruszał i nie pisano o tym w żadnym przewodniku – pod względem kanalizacji Japonia była jeszcze w czasach

średniowiecznych. Nieczystości wywożono na wozach ciągniętych przez konie, a następnie użyźniano nimi pola. Podczas jednej z późniejszych rozmów

Gwen usłyszała, jak japońskie damy dyskutują o wprowadzeniu zachodnich

urządzeń sanitarnych, lecz na razie istniały one tylko w nowoczesnych budynkach w centrum miasta.

Powoli przyzwyczała się do takiej sytuacji. W końcu w latach dwudziestych

na wsi francuskiej czy angielskiej nie było o wiele lepiej. Ale kanalizacja

stanowiła jedno z najbardziej przykrych doświadczeń w poznawaniu przez nią kraju męża.

RS

158

Kiedy wróciła do domu, czekała już na nią Suzuki, by zaprowadzić na górę. Naprzeciwko jej sypialni stała półka, a na niej mosiężna miednica z

gorącą wodą do mycia oraz mniejsza miska do czyszczenia zębów.

Suzuki

przyniosła świeży zapas gorącej wody. Z przyjemnością wzięła do rąk mydło

przywiezione z Paryża. Po umyciu się zeszła na dół na śniadanie.

Dwa lata pobytu we Francji sprawiły, że zaczęła lubić *cafe complet*.

Nawet sobie nie uświadomiła, jak bardzo za nią tęskniła. Z wielką radością

wypiła pierwszą filiżankę kawy i zagryzła miękkim rogalikiem, a potem zerknęła na posiłek postawiony przed nią na tacy. W lewym rogu znajdowała

się porcelanowa miseczka z ryżem, po prawej stronie stała drewniana czarka

zupy przyrządzonej z *miso* – brązowej pasty z twarogu sojowego, a dalej talerzyk z marynowanymi warzywami. W prawym rogu tacy postawiono płaski

talerz z krewetkami w sosie sojowym.

Wokół krążyła Kinie, by nalewać herbatę. W ten sposób Gwen

dowiedziała się, co oznacza wyrażenie „zwykła herbata”: był to napój z już

używanych liści, który smakował jej lepiej niż świeża zielona herbata.

Próbowała nieufnie każdej potrawy. Ryż był niezły i kiedy trochę go zjadła, wypila zupę. Skosztowała również krewetek, ale zupełnie nie mogła się przekonać do marynowanych warzyw. Japończycy nazywali je *konomono*, „artykuły aromatyczne”, lecz z początku Gwen nie była w stanie znieść ich zapachu. Przypomniała sobie opowieść Tamy, który zareagował identycznie, gdy po raz pierwszy zetknął się z francuskim serem –jego zapach wydał mu się obrzydliwy. Jednakże Tama przywykł do francuskich serów i Gwen z czasem zaczęła jeść japońskie pikle bez przymusu, ale nie akceptowała ich do śniadania. Jej zdaniem, Wszechmogący pragnął, by z samego rana ludzkość piła kawę i

RS

159

spożywała rogaliki, natomiast między czwartą i piątą po południu należało pić herbatę po angielsku. Zdażyli już omówić plan dnia. Najpierw muszą rozdać prezenty, które przywieźli z Francji, a następnie odwiedzić grobowiec ojca Tamy. Na końcu

wreszcie obejrzą jego warsztat lakierniczy. Gwen udała się na górę po podarunki. Ich zapakowanie w Paryżu kosztowało sporo: specjalne pudełka na każdą rzecz, połączony papier, atlasowe kokardki, karta ze szlaczkiem z wyszywanych jedwabnych kwiatów, zrobione na zamówienie Tamy przez jego przyjaciela z domu mody. „W Japonii wszystkie prezenty są zawsze pięknie opakowane, dlatego że nie możemy sobie pozwolić na dawanie drogich rzeczy – obdarowywanie jest tak częste, że zrujnowałabyś się, kupując kosztowne przedmioty. Owijamy je za to w cudowny papier. I wszystko, co przywieziemy z Francji, musi wydać się najpiękniejsze mojej matce i siostrze”. Okrzyki radości na widok prezentów potwierdziły to, co mówił Tama. Hanako odwijając swój podarek bardzo delikatnie i widać było, że zamierza zachować na pamiątkę papier, wstążkę i kartę. W środku znalazła francuski wachlarz z kremowych koronek brabanckich rozpięty na czerwonych ościach ze szkieletu wieloryba. Wachlarze były w Japonii czymś zwyczajnym, ale nie taki wachlarz. Hanako była zachwycona i bez przerwy składała ukłony Tamie i Gwen. Mirio-san odpakowała swój prezent z mniejszą ostrożnością. Otrzymała przejrzysty szal z wełny, tak cienki i delikatny, że można go było przeciągnąć przez obrączkę. Gwen widziała, że Mirio próbuje zachować obojętność, lecz mimo to drży z rozkoszy, dotykając mięciutkiego szala, który zarzuciła na ramiona.

Po rozdaniu prezentów poszli na grób. Gwen nie wiedziała, jak ma się zachować. Przed śniadaniem zobaczyła, jak pani Hayakawa odprawia poranne

RS

160

praktyki. Podeszła do drzwi wejściowych, gdzie znajdowała się półka z ołtarzykiem, na którym leżał zwój pergaminu. Pochyliła głowę, trzykrotnie

klasnęła w dłonie. Następnie zbliżyła się do półki na ścianie zwróconej ku

wschodowi, gdzie znajdowała się statuetka siedzącego Buddy. Za pomocą

cienkiej drewnianej różgi Mirio uderzyła dzwonek, który stał na poduszeczce

na półce. Kiedy dzwonek zadzwonił, wymruczała pod nosem parę zdań, jednocześnie schylając głowę. Tama wyjaśnił Gwen znaczenie tego rytuału:

Mirio-san oddaje cześć przodkom, kłaniając się przed kapliczką sinto, a także

Buddzie, modląc się przed jego obliczem.

– Ale jaką religię wyznaje twoja rodzina? – zagadnęła oszołomiona Gwen.

– Religię? Hm... Nie sądzę, żeby to miało wiele wspólnego z religią. Chodzi po prostu o tradycję.

A zatem nawiedzenie grobu Shoji-sana nie musiało się wiązać z długą ceremonią.

W gruncie rzeczy okazało się, że zajęło im to niewiele czasu. Rodzinny grobowiec znajdował się na terenie świątyni, do której można było dotrzeć po krótkiej jeździe taksówką. Na podłodze samochodu umieszczono zakryty koszyk z wyplatanej trzciny. Mirio i Hanako usiadły razem z Gwen, Tama zaś zajął miejsce naprzeciwko nich na składanym fotelu. Na tę okazję włożył swój najlepszy europejski strój, uszyty na miarę przez francuskiego krawca, to znaczy czarny frak oraz prążkowane spodnie i starannie wyczyszczony, połyskujący cylinder i szare rękawiczki z kozłej skóry. Wyglądał jak młody dyplomata. Jego matka włożyła ciemne kimono i przewiązała je *obi* z czarno–złotego brokatu. Siostra Tamy przywdziała jasne kimono z niebieskimi i zielonymi haftami, co nasuwało skojarzenia z wodą. Przepasała się sztywną zieloną taftą.

RS

Ponieważ była to oficjalna okazja, żadna z nich nie miała na sobie *haori*, okrycia z czarnej krepy sięgającego do kolan i ozdobionego rodzinnym herbem

na plecach.

Obie kobiety spędziły trochę czasu, upinając sobie nawzajem fryzury. U Hanako ze szpilek z kości słoniowej zwisały małe sznureczki błękitnych paciorków, a Mirio wpięła we włosy zwyczajną brązową szpilkę w kształcie

kwiatu. Każda z nich miała przy sobie wachlarz. Gwen zauważyła, śmiejąc się

w duchu, że Hanako zabrała francuski wachlarz, mimo iż nie pasował do jej stroju.

Gwen nałożyła to, co uznałaby za odpowiednie na tego rodzaju okazję w Anglii – sukienkę z ciemnoniebieskiej wełny, z długimi rękawami i białym

wykończeniem. Do tego dobrała słomkowy kapelusz, granatowe pantofle i

torebkę, która zainteresowała Hanako, kiedy wsiadły do taksówki.

– Co to? – zapytała.

– Torebka – odparła Gwen i otworzyła ją, żeby pokazać Hanako chusteczkę, grzebień i portmonetkę.

Hanako uniosła brwi ze zdumienia.

– Pieniądze? – zagadnęła, dotykając portmonetki.

– Tak.

– Nosisz pieniądze?

– Tak.

– Ale przecież jest z tobą mąż. On zapłaci za wszystko. Gwen uśmiechnęła się.

– W Europie jest taki zwyczaj, że kobiety noszą pieniądze. Usłyszała coś w rodzaju pogardliwego prychnięcia, ale kiedy zerknęła na Mirio-san, teściowa wyglądała przez okno samochodu.

RS

162

Na teren świątyni nie wpuszczano żadnych pojazdów. Wyszli więc wcześniej i minęli wysoką bramę z pomalowanego na czerwono drewna.

Tama

wziął trzciniowy koszyk. Ścieżka była stroma i ubita przez tysiące stóp, które ją

wydeptywały przez całe stulecia. Na szczycie przyciągała oko świątynia ze

stromym dachem, wyłożonym płytami oraz małymi kapliczkami od frontu.

Dookoła rosły cyprysy. To była Asakusa, najbardziej czczona świątynia w

Tokio.

Mirio poprowadziła ich na bok, zanim dotarli do budynku. Poszli więc ścieżką między grobami, wysadzaną magnoliami, których pąki otwierały się ku

słońcu. Zatrzymała się i pochyliła głowę przed ustawionym na sztorc kamiennym blokiem, który znajdował się na piedestale. Tama i jego siostra

dołączyli do niej, również wykonując ukłon. Gwen została w tyle. Z koszyka

wyjęto tacę, na której ustawiono zakryte pojemniczki z żywnością.

Tama

podniósł tacę, zdjął pokrywki z naczynek, a następnie umieścił ją na schodku

grobowca, recytując jakieś formuły, w których powtarzało się imię Shoji–sana.

Mirio i Hanako także coś recytowały. Gwen wzięła to za modlitwę. Po chwili

kobiety cofnęły się. Tama ujął Gwen pod łokieć i popchnął ją do przodu. Wypowiedział kilka słów – była pewna, że została przedstawiona Shoji–sanowi jako żona Tamy. Kiedy umilkł, ścisnął jej łokieć. Pochyliła głowę,

podobnie jak pozostali członkowie rodziny.

W ten sposób ceremonia dobiegła końca. Gwen chciała zapytać, co się stanie z tacą, ale nie śmiała tego uczynić. Zapewne w stosownym czasie przychodził po nią ktoś ze świątyni albo zostawiano ją, by jedzeniem

pożywiły się ptaki, a potem zbierano puste naczynia.

Jechali do domu bez poczucia przygnębienia czy zadumy. Mirio–san najwyraźniej chciała pokazać parę obiektów w trakcie jazdy – podczas czteroletniej nieobecności Tamy Tokio trochę się zmieniło. Ponieważ mówiła

RS

163

bardzo szybko, Gwen nie brała udziału w konwersacji, ale widoki sprawiały jej

dużą przyjemność: oglądała wąskie uliczki, sklepiki oznaczone zwisającymi

chorągiewkami, artykuły żywnościowe i ubrania na straganach, a także tłumy

klientów w jaskrawej odzieży. Pragnęła, żeby samochód zatrzymał się na chwilę, bo mogłaby wtedy pospacerować wśród tych ludzi, którzy wydawali się tacy pogodni, tacy ruchliwi.

Wkrótce po powrocie zjedli kolejny posiłek: zupę jarzynową, do której na szczęście podano gliniane łyżki, ugotowane na parze marchewki i korzenie młodego łopianu, kawałki suszonego śledzia oraz rozmaite sosy w małych naczyniach. Gwen pochłonęła wszystko, co jej postawiono, gdyż nie zjadłszy prawie nic na śniadanie, była teraz bardzo głodna. Raz jeszcze zaserwowano „zwyčajną herbatę”.

Mirio-san niemal natychmiast zaczęła rozmawiać ze służbą o obowiązkach domowych, a Hanako zabrała się do szycia. W trakcie swego pobytu w Tokio Gwen niemal nigdy nie widziała Hanako bez igły w ręku i ciągle myślała, że znacznie lepszym prezentem byłby dla niej zestaw zwykłych europejskich igieł do szycia. Japońskie igły wytwarzano z kiepskiej stali, toteż łatwo się tępiły wskutek częstego używania i wilgotności powietrza. Kiedy nadeszła właściwa pora, Gwen i Tama udali się do warsztatu lakierniczego. Mirio-san wyglądała na zaskoczoną faktem, że Gwen zaofiarowała Tamie swoje towarzystwo.

– Twoja żona też tam idzie?

– Tak, matko, Gwen-san jest tym bardzo zainteresowana.

– W jakim sensie?

– Gwen pracowała ze mną nad rzeczami, które robiliśmy dla bogatych klientów w Paryżu.

– Gwen-san pracowała z tobą?

RS

164

– Tak. Gwen-san jest bardzo utalentowaną projektantką. Mirio zamilkła. Obserwowała, jak wychodzili z domu, i nawet nie zadała sobie trudu, żeby z tego powodu ukryć niechęć i dezaprobatę. Warsztat znajdował się mniej więcej ćwierć mili dalej, w długim, niskim budynku za ogrodzeniem, przy pozbawionej nazwy uliczce, opadającej ku potokowi. Gwen wyczuła znajomy zapach rozgrzanego laku oraz odór kleju, juty i barwiących pigmentów na długo przed uchyleniem bramy, do której zapukał Tama. Jak na Japończyka, kierownik pracowni był dość wysoki. Włosy miał zaplecione w staroświecki warkoczyk. Nosił dwa zwyczajne kimona – szaro-białe i jednolite szare. Na wierzch założył biały fartuch z nakrochmalonej bawełny, poplamiony barwnikami. Pochylił głowę w geście powitania, ale na widok kobiety cudzoziemki u boku pana otworzył oczy ze zdumienia. Był to Minoru-san, stary pracownik. Za jego plecami stało piętnastu mężczyzn, z którymi Gwen weszła później w dobrą komitwę. Wszyscy byli znakomitymi rzemieślnikami, ale na razie gapili się na nią ze

zdumieniem.

Tama długo im coś wyjaśniał. Gwen wypowiedziała kilka słów powitania w języku japońskim. W nagrodę zasypano ją niecierpliwymi pytaniami, których nie rozumiała. Oczywiście, natychmiast przyniesiono herbatę. Tamę i Gwen posadzono na honorowych miejscach, to znaczy na poduszkach w salonie wystawowym. Mała, mniej więcej jedenastoletnia dziewczynka była chyba służącą w warsztacie – później Gwen dowiedziała się, że poznała wnuczkę Minoru.

Podczas gdy Minoru wtajemniczał Tamę w aktualną sytuację firmy, Gwen przyglądała się eksponowanym przedmiotom. Były piękne i wyrafinowane.

Lakier kładziono na nich w tradycyjnym stylu *urushi* – złoto na czarnym, brązowym lub ciemnoczerwonym tle. Kiedy po wypiciu herbaty,

RS

165

mogła już powstać, uradowała rzemieślników, oglądając ich dzieła dokładnie i

wyrażając zachwyt nad ich doskonałością.

Dowiedziała się, że wszystkie te przedmioty zdobił Shoji-san. Po jego

śmierci ozdabianiem wyrobów zajmowali się Minoru i Taro. Ii Minoru podziwiano zręczność, ale nie prawdziwy artyzm. Taro był młodym studentem, który uczył się rzemiosła pod okiem Shoji. Wyznał jednak nieśmiało, że nie czuje się zbyt pewnie, opracowując projekty. Obaj oświadczyli otwarcie, że cieszą się z powrotu Tamaki–sana, gdyż dzięki temu będzie można ponowić produkcję dzieł najwyższej jakości.

Zaraz, zaraz – pomyślała Gwen. – Przecież Tama ma sprzedać ten warsztat za dobrą cenę. Nie było mowy o żadnym projektowaniu i kontynuacji działalności. Nie chciała jednak zakłócać radości z powodu powrotu Tamy.

Byłoby to zresztą szczytem złych manier.

Gwen i Tama spędzili wiele czasu na rozmowie z pracownikami, a później wybrali się na obchód. Gwen pojęła, dlaczego istniała potrzeba zatrudnienia tak dużej liczby ludzi. Podział pracy był tu znacznie większy niż

w warsztacie Tamy we Francji, gdzie jeden człowiek zajmował się nakładaniem laku i polerowaniem, a także sporządzaniem mieszanek.

Tutaj, w

pracowni tokijskiej, występowała ścisła specjalizacja – jeden, a czasami dwóch

ludzi wykonywało jedną czynność. Kiedy Gwen wspomniała o tym w drodze

do domu, Tama wzruszył ramionami.

– W Japonii jest mnóstwo ludzi – powiedział. – Mężczyźni potrzebują pracy, żeby utrzymać rodziny. Zatrudnianie dużej liczby osób należy do tradycji. Gdybyś zerknęła na pociąg, którym przyjechaliśmy do Japonii, zobaczyłabyś trzech maszynistów, a nie dwóch, dwóch strażników zamiast

jednego. Spójrz na wóz dostawczy: tam jest kierowca, tragarz i jeszcze jeden

mężczyzna do noszenia paczek lub poganiania konia. Kiedy wybierasz się po

RS

166

zakupy, dostrzegasz dwa razy więcej sprzedawców niż we francuskim sklepie.

W restauracji jest kelnerka, która zdejmuje ci buty, kelnerka przynosząca

gorące ręczniki, kelnerka podająca pierwsze danie i tak dalej, i tak dalej.

– Właściwie w ten sposób stwarza się im miejsca pracy, prawda? – stwierdziła Gwen z przejęciem. – Daje się im środki do życia. Jakie to miłe!

– No cóż... Chodzi też o prestiż. Im więcej ludzi zatrudniasz, tym bardziej się liczysz.

– Och! – westchnęła. Błędem było zakładać, że można tak szybko i łatwo

zrozumieć Japończyków.

Nazajutrz Tama powiedział, że powinien odwiedzić adwokata rodziny.

Ponieważ Gwen z pewnością by się tam nudziła, zaproponował, że zawiezie ją

do centrum Tokio i zostawi, by mogła obejrzeć sklepy w dzielnicy Ginza.

– Kiedy skończę z Nagai-sanem, odnajdę cię i pójdziemy na lunch w hotelu Imperial.

– Ale jak mnie znajdziesz? Czy mam czekać w którymś ze sklepów?

Tama roześmiał się.

– Ciebie zawsze znajdę. Wystarczy, że zapytam, gdzie jest ta Europejka
z

włosami jak płomienie.

I tak się właśnie stało.

Na głównej ulicy mogła przystanąć i zerknąć na witrynę urządzonej w europejskim stylu, lecz kiedy tylko zatrzymała się na którejś z bocznych uliczek – a te interesowały ją najbardziej – zza straganu natychmiast wybiegał

ku niej sprzedawca.

U wejścia do tych sklepików siedziały „dziewczyny–szyldy”, które trzymały plakaty informujące zapewne o towarach i cenach. Gdy tylko Gwen

przystawała przy wystawie, dziewczyna zagradyła jej drogę, po czym natychmiast przybiegał właściciel, który kłaniał się i zapraszał, by usiadła na

RS

167

podłodze i obejrzała jego towary. Gwen się opierała, on nalegał, przez cały

czas wymieniając ukłony z rosnącą determinacją. Kiedy próbowała odejść,

sklepiarz robił wszystko, by jej to uniemożliwić. Po czwartym tego rodzaju

spotkaniu spostrzegła, że sprzedawca przestawał być natarczywy, ilekroć

sugerowała gestem, iż ze względu na ubiór trudno było jej klękać na wykładanej matami podłodze. Metoda zawiodła przy siódmym sklepiku, gdyż

do tego czasu najwyraźniej rozeszły się wieści o krążącej w pobliżu cudzoziemce. Kiedy właśnie dawała sklepikarzowi do zrozumienia, że jeżeli

ukłęknie, zniszczy swoje jedwabne pończochy, właściciel sklepu z triumfalną

miną wyciągnął stołek. Przyparta w ten sposób do muru, dała się posadzić

– towarzyszyły temu niezliczone ukłony Japończyka. Podano jej herbatę oraz prospekt z biało–czarnymi zdjęciami. Kupiła dwa z nich, wyłącznie dlatego, że podziwiała inicjatywę sprzedawcy. Zapłaciła równowartość czterech pensów. Ustępując, przynajmniej nie czuła, że trwoni pieniądze.

Niestety, zwycięstwo jednego sklepikarza zachęciło resztę. Za każdym razem gdy się zatrzymywała, wynoszono stołek. Zaczęła przypuszczać, że

może jest to ten sam stołek, a właściciele podają go sobie od tyłu. Gwen postanowiła nie zwracać uwagi na sprzedawców i nie dać się skusić na ich

różne sztuczki. Nie chciała kupić kuponu bawełny, rzeźbionej zapinki do kimona, słodyczy, które stały w szklanym pojemniku na podłodze i wydawały

się nieco zakurzone, skarpetek ze specjalnie oddzielnym dużym palcem, ryżu

w papierowej torbie, pikli, zwojów pergaminu ani statuetki lokalnej bogini.

Tama wyratował ją dopiero koło południa.

– Co kupiłaś? – zapytał i uśmiechnął się, ujrawszy zdjęcia sprytnie zawinięte w papier ryżowy. – Jerome był dokładnie taki sam. – Tama śmiał się

do rozpuku. – Nigdy nie potrafił oprzeć się sprzedawcom.

RS

168

Po raz pierwszy wspomniał Jerome'a bez złości. Gwen uśmiechnęła się w duchu. Nareszcie Tama poczuł się na tyle pewnie, że wybaczył jej dawnego kochanka.

Hotel Imperial był niemal zupełnie zachodni w stylu, tyle że obsługa zachowywała się po japońsku. Wszędzie towarzyszyły im ukłony – przy wejściu do hotelu, w holu, przed wejściem do restauracji i przy wskazaniu

stolika. *Maitre d'hotel* nawet nie musiał przywoływać ręką kelnerów – natychmiast pojawiło się ich dwóch.

Podano zarówno japońskie, jak i zachodnie potrawy. Europejskie dania nie dorównywały klasą paryskiej kuchni, ale były dobre. Żadnych ostrych pikli

czy ryżu, wyborne wino. Tama zamawiał wszystko po japońsku, aczkolwiek,

ku zdumieniu Gwen, jeden z kelnerów mówił po angielsku. Słyszała angielskie

słowa po raz pierwszy od dnia ślubu. Na statku „Orient Pearl” załoga i pasażerowie to byli Francuzi, Tama zwracał się do niej po francusku, a wszystkie osoby, które poznała do tej pory w Tokio, mówiły wyłącznie po

japońsku. Kiedy kelner zapytał po angielsku, czy życzy sobie więcej warzyw,

Gwen spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Mówisz po angielsku? – spytała.

– Tak, proszę pani – odparł zachwycony, iż to zauważyła.

– Skąd wiedziałeś, że jestem Angielką?

– Powiedziała pani: „O Boże!”, kiedy spadła serwetka.

– Mówisz bardzo dobrze po angielsku.

– Dziękuję pani. Tu, w Imperialu, mamy wielu anglojęzycznych gości – oznajmił i wycofał się z ukłonem.

Gwen patrzyła w ślad za nim. Ku swojemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że ma w oczach łzy.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem Tama.

RS

169

– Nic, kochanie. Nic takiego.

Ale nagle ogarnęła ją straszliwa tęsknota za ojczyzną. Przez następne dwa, trzy tygodnie musiała niejednokrotnie walczyć z tym uczuciem, chociaż

Tama zabierał ją na wieczorne przyjęcia, gdzie rozmawiano po angielsku. Byli

to pracownicy naukowcy uniwersytetu. Za to w dzień, kiedy Tama zostawiał ją

samą i wychodził załatwiać różne sprawy, szukała azylu w hotelu Imperial.

Dojeżdżała tam bez trudu tramwajem. W hotelu mogła usiąść wygodnie na

krześle w holu i plotkować z angielskimi lub amerykańskimi gośćmi. Tu

mogła
również dostać filiżankę angielskiej herbaty z mlekiem i z cukrem, a
także
zamówić grzankę z masłem.
Usiłowała jakoś się przystosować do swojego nowego domu. Próbowwała
zrozumieć to, co mówi do niej Mirio-san, ale pani Hayakawa wyrzucała
z
siebie słowa zbyt szybko i Gwen zaczęła podejrzewać, że robiła to
rozmyślnie.
Jej teściowa była *genro*, dyktatorem w domowym gospodarstwie. Tama
był
głową rodziny i decydował o wszystkim, co wiązało się z interesami i
honorem, ale domem rządziła niepodzielnie Mirio-san. I każdy jej
rozkaz
musiał być spełniony. Jednakże gdy przekazywała jakieś polecenie
Gwen,
synowa najczęściej jej nie rozumiała. A jeśli nawet, po wielu trudach,
udawało
się jej pojąć, co mówi Mirio-san, nie była w stanie tego polecenia
wykonać.
– Przejrzyj upraną bieliznę!
Mimo najlepszych chęci Gwen nie mogła tego zrobić. Nie miała pojęcia,
jak się pierze w Japonii. Któż na przykład mógł przewidzieć, że kimono
przed
upaniem musi być rozłożone na kawałki? Że te kawałki należało potem
wykrochmalić i zostawić na specjalnej desce, żeby przeschły na słońcu.
Że
bielizna pod kimonem nie mogła być krochmalona, że do suszenia
należało ją
włożyć na tyczki i podnieść do góry niczym żagle.

RS

170

Pani Hayakawa nie była też zadowolona, kiedy Gwen nie pozwoliła jej popruć garnituru Tamy na kawałki i uprać go.

– Garnitur trzeba wyczyścić chemicznie – wyjaśniła, ale po angielsku, bo

nie miała pojęcia, jak to wyrazić w języku japońskim.

W istocie rzeczy, czyszczenie chemiczne stanowiło taką nowość, że pani Hayakawa nic na ten temat nie wiedziała.

Napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny w drugim tygodniu, kiedy Hanako poprosiła, żeby jej pokazać, jak działa gramofon. W pokoju na górze,

który Gwen uznała za swoją sypialnię (choć w Japonii nie istniało takie pojęcie), wyciągnęły gramofon z szafki. Gwen wybrała płytę Carusa z pieśnią

Your Tiny Hand is Frozen z Cyganerii, zakręciła korbką, położyła płytę i przytknęła igłę do tarczy. Po kilku trzaskach, których Hanako słuchała z wielkim przejęciem, rozległy się słodkie pienia słynnego tenora.

– *Che gelida manina, se la lasci riscaldar...*

Hanako odskoczyła. Klepnęła się po policzkach. Z jej ust wydobył się głuchy odgłos przerażenia. Zbladła.

– Och, nie! – wykrzyknęła Gwen. – Nie ma się czego bać. Nie, Hanako, to tylko płyta.

– Nie, nie! – jęczała Hanako.

Cofnęła dłoń przed uspokajającym gestem Gwen.

– Spójrz, Hanako, mogę natychmiast to zatrzymać. Widzisz?

Gwen zdjęła główkę gramofonu z płyty. Śpiewanie od razu ustało, chociaż płyta kręciła się dalej. Hanako padła na kolana. Wlepiła wzrok w gramofon. Powoli odejmowała dłonie od bladych policzków.
– Mężczyzna robiący hałasy? – zapytała z drżeniem, wskazując tajemniczą skrzynkę. –W środku?
–W środku nikogo nie ma, Hanako. To płyta.

RS

171

Gwen zdjęła płytę i położyła ją na rozstawionych palcach, a za pomocą drugiej ręki usiłowała pokazać, że dźwięk pochodzi z rowków.
– Z tego?
– Tak. Płyta – odrzekła Gwen. – Płyta.
– Płyta – powtórzyła Hanako.
– Właśnie! Płyta. Posłuchaj jeszcze raz. Przygotuj się.
Znowu położyła płytę na tarczę gramofonu i zerkając ostrzegawczo na swoją szwagierkę, opuściła igłę. Ponownie rozległy się trzaski, lecz tym razem Hanako pochyliła się do przodu i słuchała z wielkim zainteresowaniem.
A Caruso znowu mówił swojej ukochanej, że jej drobna rączka jest zmarznięta.
Hanako pozostała na miejscu, lecz uniosła ramiona w odruchu obrony.
Po chwili przechyliła nieco głowę i zapytała:
– Co to?

– Śpiew – odparła Gwen, nauczywszy się już tego słowa.

– Śpiew?

Hanako nigdy nie słyszała takiego śpiewu. Zatkąła uszy.

– Och, dobrze, może nie przepadasz za operą – powiedziała ze śmiechem

Gwen. – Zaczekaj chwileczkę.

Wyłączyła tę płytę i zastąpiła ją nagraniem, które zawsze bardzo podobało się Tamie. Nosiło tytuł *Valencia*. Płyta rozpoczynała się waleniem w

bębny i dźwiękiem przytłumionych trąbek, co znacznie bardziej przypominało

odgłosy codziennego życia niż wstęp do arii operowej. Hanako słuchała i

kiwała głową. Podskoczyła, kiedy do utworu włączyła się cała orkiestra, ale nie

protestowała. Wreszcie solista zaczął śpiewać refren. Hanako zmarszczyła

brwi, pochyliła się do przodu, nasłuchiwała, a następnie zapytała:

– Śpiew?

– Tak. A poza tym przy tej melodii można tańczyć.

RS

172

Gwen wyciągnęła ramię w taki sposób, jakby trzymał ją Tama, i zaczęła tańczyć szybkiego fokstrota po całym pokoju. Hanako wybuchnęła śmiechem.

– Och, uważasz, że to jest śmieszne? W takim razie powiem ci, że twój

brat również tak tańczy i bardzo to lubi.

– Tama tańczy w ten sposób?

– Tak.

Gwen wyjęła z szafy marynarkę, przytrzymała ją za rękawy, jakby Tama miał ją na sobie, i nadal tańczyła. Nagle ktoś gwałtownie rozsunął ściankę. W

przejściu stanęła Mirio–san.

– Przestańcie! Natychmiast przestańcie!

Hanako błyskawicznie podniosła się z klęczek i przystąpiła do szturmowania gramofonu. Igła porysowała płytę. Zrobiło się cicho i słychać było tylko

dźwięk obracającej się tarczy. Hanako szukała nerwowo wyłącznika, ale nie

zdołała go znaleźć. Oszołomiona Gwen stała z marynarką w rękach.

– Ach, ty! – wykrzyknęła Mirio–san. – Jak śmiesz! Jak śmiesz robić ten okropny hałas w moim domu! Jak śmiesz skakać i trząść moim domem! Nie

pozwolę na to! Masz się zachowywać przyzwoicie!

– Ależ Mirio–san, ja tylko...

– Zakazuję ci tego! Nie będziesz tak robiła! A ty, Hanako...

– Matko, wybacz mi. – Jak śmiesz brać udział w czymś tak okropnym!!

– Matko, przepraszam.

– Hanako, wytłumacz jej, że to tylko zachodnia muzyka...

– Tak, zachodnia! Zachodnia, straszna, wstrętna, nieprzyzwoita, bez ładu

i bez szacunku! Sprowadziłaś do mojego domu ten okropny zachodni hałas,

brak taktu i głupotę! Przyniosłaś mi wstyd!

– Mirio–san, proszę nie mówić tak szybko. Wiesz, że kiedy tak mówisz, nic nie rozumiem...

RS

173

– Nie rozumiesz, nie rozumiesz. Ty niczego nie rozumiesz. Honor, przyzwoitość, dobre maniere, szacunek, nie masz o tym pojęcia. Kobieta

Z Zachodu, przyniosłaś wstyd mojemu synowi! Oczarowałaś go. Lepiej by było,

gdyby nigdy się nie urodził!

Z tymi słowami odwróciła się do wyjścia, nakazując swojej córce władcym gestem, by poszła za nią. Zalana łzami Hanako posłusznie pochyliła

głowę. Gwen wyłączyła gramofon, który już i tak ledwo rzeził.

Obejrzała

płytę. Była zupełnie zniszczona wskutek zarysowań ślizgającej się po niej igły.

I pomyśleć, że przywiozła ją z Paryża do Tokio w nie naruszonym stanie, a

potem pozwoliła uszkodzić przy pierwszym odtworzeniu...

Usiadła na taborecie, który przynosiła regularnie do pokoju z kuchni.

Powinna była przemyśleć skutki swojego zachowania. Oczywiście w tym

papierowym domu ściany przenosiły każdy dźwięk. Nic dziwnego, że nagranie

wywołało u wszystkich przerażenie. Należało ich o tym uprzedzić, a jeszcze

lepiej zaprosić Mirio-san i Kinie, żeby posłuchały gramofonu razem z

Hanako.

W przypiływie złości cisnęła zniszczoną płytę, która odbiła się od miękkih mat.

Jakże nienawdziła tego domu, gdzie słyssało się każdy szept!

Najdotkliwiej

znosiła brak prywatności. Kiedy Mirio–san besztala słuźacą, odgłos karcenia dawał się słyseć w pomieszczeniach na górze. Jeźeli Hanako nuciła

jakąs piosenkę, szyjąc w saloniku, w łazience przy kuchni można było rozróźnić, jaka to melodia. Ilekroć Gwen i Tama kochali się, następnego ranka

ktoś ze słuźby robił na ten temat przychylny komentarz. Można było podsłuchać każdą ich sprzeczkę czy kłótnię. Naturalnie, nikt nie rozumiał

Tamy i Gwen, bo rozmawiali po francusku, lecz z łatwością interpretowano ton

ich glosów. Słowa miłości, podobnie jak słowa gniewu można wychwycić

nawet w obcym sobie języku.

RS

174

Ilekroć Gwen prosiła Tamę o nauczenie kilku specjalnych zdań, które chciała wypowiedzieć w obecności pani Hayakawy, jej teściowa znała je,

zanim Gwen miała okazję ich użyć. Kiedy już Gwen zdołała opanować

zwrot:

„Bardzo pragnę uczestniczyć w prowadzeniu domu pod twoim kierunkiem, więc proszę, tłumacz wszystko powoli”, Mirio-san odwróciła się z pogardą, zanim jej synowa zdążyła wyrzec pierwsze dwa słowa.

Kiedy Tama wrócił do domu, Gwen słyszała z pokoju na górze, jak teściowa daje upust swojemu oburzeniu w związku z porannym incydem.

Mniej więcej po dziesięciu minutach Tama wszedł na górę. Gwen oczekiwała

reprimendy za nierozważne postępowanie, ale on nie odezwał się ani słowem.

Zdjął okrycie i podał je Gwen, a następnie udał się na taras i siedział w promieniach wiosennego słońca, trzymając w rękach plik urzędowych dokumentów.

– Tama – zagadnęła Gwen. – Nie zapytasz o moją wersję wydarzeń?

– O jaką wersję?

– Chodzi mi o kłótnię w związku z gramofonem.

Wzruszył ramionami.

– To mnie nie dotyczy.

– Tama!

– O co chodzi?

– Twoja matka skrzyczała mnie za bezmyślność i robienie hałasu.

Potrzebuję twojej pomocy, żeby wyjaśnić, iż nie miałam złych intencji.

– Ależ, Gwen, to mnie w ogóle nie dotyczy.

– Tama, musisz mi pomóc uporządkować te sprawy. Bóg jeden naprawdę

wie, że chcę zadowolić twoją matkę, ale nie rozumiem ani słowa, gdy zwraca

się do mnie, i choćbym nie wiem ile razy prosiła ją, by mówiła wolniej, ona

RS

175

nigdy tego nie robi. Proszę cię, powiedz Mirio-san, że nie jesteśmy wrogami,

że spróbuję się jakoś dostosować, jeżeli tylko ona mi pomoże.

Tama zamknął teczkę.

– Usiądź, Gwen.

Usiadła naprzeciwko niego ze skrzyżowanymi nogami.

– Musisz coś zrozumieć. To jest kobieca sprawa, ja nie mogę brać w tym udziału.

– Nie rozumiem.

– Moja matka prowadzi dom, ma władzę nad służbą i kobietami. Ja się do

niej nie wtrącam.

– Ależ, Tama, jestem twoją żoną!

– Nie oznajmiał mi oczywistych rzeczy – westchnął. – Naturalnie, kochanie, jesteś moją żoną. Jesteś żoną Japończyka i mieszkasz w

japońskim

domu. A zatem musisz żyć zgodnie z zasadami obowiązującymi w japońskiej

rodzinie. Ja nie zajmuję się sprawami domu. To domena Mirio-san. Nie wolno

mi się do niej wtrącać.

– Jak to nie wolno? Dlaczego?

– To byłoby poniżej mojej godności. Nie mogę się mieszać do kłótni między kobietami.

Gwen poczuła, że się dusi. Podniosła rękę, żeby odgarnąć włosy z rozgrzanego, lepkiego czoła. Kłębiła się w niej złość, rozczarowanie, szok, i konsternacja.

– Posłuchaj, Tama – zaczęła zdławionym głosem. – Jestem cudzoziemką.

Jestem tu sama, w domu, gdzie wszyscy żyją według reguł, których nie znam.

Jesteś moim jedynym sojusznikiem. Musisz mi pomóc.

– Już ci tłumaczyłem, że się do tego nie wtrącam. A właściwie, jakie pomocy potrzebujesz? – zapytał nieco poirytowanym tonem.

RS

176

– Powiedz wyraźnie Mirio-san, że nie mogę żyć według reguł, których nawet nie znam. Chcę, żebyś ją poprosił o większą cierpliwość. Musisz; wyjaśnić swojej matce, że nie zamierzam nikomu szkodzić tym gramofonem

Nie pojmuję, dlaczego była tak strasznie zła.

– Och, odpowiedź jest łatwa – roześmiał się. – Nie sądziła, że ten hałas jest muzyką. Musisz sobie uświadomić, Gwen, że japońska muzyka jest zupełnie inna. Uznanie dźwięków granych przez francuską orkiestrę za muzykę

zajął mi sześć miesięcy. Oczywiście, po jakimś czasie zacząłem bardzo ją

lubić, ale Mirio-san nie słyszała tego wcześniej.

– Zatem, co ja według niej zrobiłam? – zapytała zakłopotana Gwen

- Skąd mam to wiedzieć? Opowiedziała mi historyjkę o jakimś wielkim hałasie i o tym, że Hanako brała w tym udział. Ja powiedziałem jej jednak to samo, co mówię teraz tobie: sprzeczki między kobietami muszą być łagodzone przez same kobiety.
- Naprawdę mi nie pomożesz?
- Nie potrzebujesz pomocy. Musisz tylko przeprosić Mirio-san.
- A czy ona przeprosi mnie za to, że na mnie krzyczała i nazwała mnie pozbawioną taktu kobietą z Zachodu?
- Oczywiście, że nie – odparł ze śmiechem Tama. – Teściowa nigdy nie przeprosza synowej.
- Tama!
- Gwen zbierało się na płacz. Czyż nie dostrzegał, że potrzebowała jego miłości i współczucia, że była bardzo przygnębiona?
- Tama, naprawdę nic z tego nie rozumiem. Zdaje się, że moja pozycja tutaj jest zupełnie podrzędna...
- Oczywiście – zgodził się Tama. – Właśnie tak jest. Synowa musi się z tym pogodzić.

RS

177

- Ma być osobą drugoplanową.
- Tak – odrzekł, kiwając głową.
- Ale ja nie ustępuję w niczym Mirio, Tama – upierała się Gwen.
- Mówiła takim tonem, jakby błagała go o potwierdzenie tych słów.

– Z punktu widzenia Mirio–san jesteś kimś gorszym, i tyle. Dopóki się z tym nie pogodzisz, w tym domu nigdy nie zapanuje spokój. Czy teraz to rozumiesz? Uśmiechnął się do niej, tak jakby za jego sprawą wszystko stało się jasne i możliwe do przyjęcia. Zamilkła i usiadła obok męża, który znowu zagłębił się w lekturze jakichś dokumentów. Nigdy przedtem nie wydawał się jej tak obcy jak teraz.

RS

178

9

Gwen przeprosiła Mirio–san za epizod z gramofonem. Nie było innego wyjścia, jeżeli życie domowe miało upływać we względным spokoju.

Poza

tym czuła, że ponosi winę za włączenie gramofonu bez uprzedniego ostrzeżenia domowników. Przecwiczyła z Tamą kilka zdań przeprosin po

japońsku. Tym razem Mirio wysłuchała jej do końca.

– Przepraszam za to, że wystraszyłam ciebie i inne osoby hałasem mojego gramofonu. Nie chciałam wywołać niepokoju.

Mirio przynajmniej teraz zdobyła się na wyraźną odpowiedź:

– Należy oczekiwać, że będziesz popełniała błędy, gdyż, niestety, nie znasz naszego stylu życia. Przyjmuję twoje przeprosiny, lecz nie wolno ci już

używać tej maszyny.

– Oczywiście, Mirio–san.

Nieco później Hanako skorzystała z okazji, żeby porozmawiać z Gwen; znajdowały się właśnie w ogrodzie i podziwiały szkarłatną pigwę kwitnącą za sadzawką.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za sposób, w jaki przemówiłaś do Mirio–san. Wiem, że naprawdę nie miałaś złych zamiarów, toteż postąpiłaś bardzo

uprzejmie, przyjmując na siebie winę.

– Myślę, że ponoszę częściową winę, Hanako–san. Powinna być sobie

uświadomić, że to wam wyda się dziwne i dość przerażające.

– Być może. No i oczywiście jesteś synową. Mirio myślała, że okazujesz jej brak szacunku i dlatego była jeszcze bardziej wzburzona.

Tama powiedział Gwen, że awantury między kobietami muszą być łagodzone w ich gronie. Jediną kobietą w domu, z którą mogła porozmawiać o

swoich problemach, była Hanako.

RS

179

– Hanako, czy mogę poprosić cię o radę? – zagadnęła.

– Mnie?

Jej szwagierka była zaskoczona. Nigdy nie pytano jej, młodszej domowniczki, o radę. Oczywiście, jako synowa Gwen miała najpośledniejszy

status ze wszystkich członków rodziny, niemniej jednak Hanako przez

całe

życie usuwała się w cień, tak jak tego od niej wymagano. Nikt nie prosił jej o

radę, a ona nigdy nie marzyła o ich udzielaniu, zwłaszcza osobie tak bystrej i

wykształconej jak Gwen-san.

– Przede wszystkim potrzebuję czyjejś opinii. Zgodzisz się, że stosunki między mną i Mirio-san nie układają się dobrze?

Hanako nic nie odpowiedziała, lecz na jej białym czole pojawiła się nieznaczna zmarszczka.

– Proszę, Hanako. Mirio-san i ja nie żyjemy ze sobą dobrze. Wszyscy to widzą.

– Cóż – odparła cicho Hanako – teściowa i synowa nigdy nie żyją ze sobą dobrze.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

– Zawsze tak jest. Z pewnością twój kraj, Francja, nie różni się pod tym względem.

Gwen już od dawna nie próbowała tłumaczyć rodzinie, że pomimo pobytu we Francji jest Angielką. Teraz skupiła uwagę na słowach Hanako,

dotyczących stosunków między ludźmi.

– Przypuszczam, że... W moim kraju... matka mężczyzny może uważać, że dziewczyna nie jest zbyt dobra dla jej syna. A zdarza się też na odwrót...

– Nie rozumiem?! – przerwała jej Hanako, u której zaskoczenie objawiło się obcesowością.

– O co chodzi?

RS

180

- Czy powiedziałaś, że matka żony może uznać, iż zięć nie jest wystarczająco dobry?
- Przecież takie rzeczy również się zdarzają...
- Hm... Czasami, kiedy rodzina nie ma syna, wydaje córkę za mąż i adoptuje małżonka. Niekiedy też uważa, że mężczyzna nie jest dość dobry,
ponieważ nie może im zastąpić własnego syna.
- Przepraszam? – zapytała oszołomiona Gwen.
- Zięć, czyli adoptowany syn, zazwyczaj ma problemy... Czy we Francji nie spotykacie się z czymś podobnym?
- Nie, nie, chodzi mi o coś innego, Hanako. – Gwen próbowała jej to wytłumaczyć. – Matka ma często wysokie mniemanie o swojej córce i dlatego uważa, że poślubiony przez nią mężczyzna nie jest wystarczająco dobry.
- Ależ to jest bardzo dziwne! Przecież małżeństwo zostało skojarzone przez swata, prawda? Matka musi się cieszyć, skoro znalazła męża dla swojej córki!
- Nieważne – westchnęła Gwen. – Skoncentrujmy się na naszym problemie i nie komplikujmy go... Myślę, że główna różnica polega na tym, iż w moim kraju małżonkowie z reguły nie mieszkają z teściową–dodała po namyśle.

- W takim razie, gdzie mieszkają?
- We własnym domu. Albo w „aparcie”.
Japończycy nazywali „apartem” apartament. Był to zupełnie nowy dla nich termin, którego zaczęto używać, gdy w centrum Tokio wystrzeliły w górę pierwsze nowoczesne budynki.
- Małżonkowie mieszkają sami, czy tak?
- Tak.

RS

181

- W takim razie, kto udziela młodej żonie porad? Kto jest przy narodzinach dzieci?
Gwen stłumiła śmiech.
- Na ogół młode pary w Europie nie sądzą, żeby potrzebowały wielu porad. A jeśli chodzi o dzieci, istnieje opieka medyczna: lekarze, akuszerki.
- Babka nie odgrywa żadnej roli?
- Tak, oczywiście, moim zdaniem, rozpieszcza dzieci. Przybywa tylko w odwiedziny. Moja matka nie miała kłopotów ze swoją teściową. Babcia mieszka daleko od mojej matki. Widywałam ją najwyżej raz do roku.
- Raz do roku!
- A więc widzisz, Hanako, że sytuacja z Mirio-san jest dla mnie czymś zupełnie nowym. Nie wiem, czego się ode mnie oczekuje. To znaczy, mogę się tego domyślać, ale nie ma sensu, żeby Mirio-san żądała ode mnie

spełnienia

jej oczekiwań, ponieważ nie wiem, jak to zrobić. Na przykład, nie jestem w

stanie zajmować się praniem, bo nie mam pojęcia, jak tutaj się to robi.

Nie

mogę brać udziału w zszywaniu kimon, gdyż nie umiem zbyt dobrze szyć i nie

zamierzam się tego uczyć. Nie mogę przesiadywać godzinami na klęczkach i

pomagać w układaniu kwiatów lub podawaniu herbaty, ponieważ ta pozycja

sprawia mi mnóstwo bólu.

– Bólu?

– To wręcz męka!

Hanako położyła rękę na łokciu Gwen.

– Tak mi przykro, Gwen–san. Nie miałam o tym pojęcia. To dlatego siedzisz po turecku?

Gwen pokiwała głową.

– Dzięki temu jest mi trochę wygodniej.

– Aha... – westchnęła w odpowiedzi Hanako.

RS

182

– O co chodzi?

– No, cóż... Widzisz... My uważamy, że taka pozycja nie przystoi kobiecie. Tylko mężczyźni siedzą po turecku.

Gwen zauważyła to już wcześniej, ale nie zdawała sobie sprawy z tego,

że może być coś niewłaściwego w określonym sposobie siedzenia.

– Chcesz powiedzieć, że to jest... to jest... – szukała w myśli japońskiego odpowiednika słowa „nieskromne”.

– To jest bardzo niestosowne – przerwała Hanako. – Moja matka bardzo źle to widzi.

– Och! – wykrzyknęła z irytacją Gwen. – Nie mogę nic na to poradzić! Naprawdę nie mogę. Po prostu nie jestem w stanie siedzieć na piętach tak jak wy. Bolał mnie od tego nogi i cały kręgosłup. Nawet siedzenie po turecku przez dłuższy czas jest niewygodne, choć myślę, że zaczynam się do tego przyzwyczajać. Proszę, Hanako, powiedz swojej matce, że siedzę tak nie dlatego, że chcę ją drażnić...

Hanako wydała z siebie okrzyk przerażenia.

– Nigdy nie mogłabym powiedzieć takiej rzeczy Mirio-san!

– Nie, nie, nie o to mi chodzi – uspokajała ją Gwen. – Oczywiście, że nie powiesz tego dokładnie w taki sposób. Ale czy mogłabyś... czy mogłabyś dać jej do zrozumienia, że siedzenie na piętach przez dłuższy czas jest dla mnie ogromnie męczące? – Nie mówiąc już o tym, jak bardzo niszczy to moje jedwabne pończochy – dodała po cichu.

Hanako dotknęła kwitnącej pigwy. Na pozór znajdowały się w ogrodzie po to, żeby wybrać gałązkę do wazy stojącej pod *kakemono*.

– Musisz zrozumieć – powiedziała po chwili Hanako – że córki nie sugerują matkom ich postępowania. Nie mogłabym zaproponować Mirio-san żadnych zmian w jej zachowaniu.

RS

183

– Ale w jaki inny sposób mam jej wytłumaczyć, że jeśli ją obrażam, co, jak się zdaje, robię często, wynika to z różnic w wychowaniu? Prosiłam Tame,

żeby jej ten fakt wytłumaczył, ale on twierdzi, że nie może się wtrącać do

kobięcych spraw. Muszę jakoś się uporać z tym problemem. Chcę, żeby Mirio–

san mnie polubiła, Hanako. Chcę, żeby odnosiła się do mnie przyjaźnie. Hanako pokręciła głową.

– Dlaczego to jest niemożliwe?

– Mamy takie powiedzenie, Gwen–san, że mężczyzna nigdy nie powinien

zakochać się w swojej żonie. Jeżeli zacznie ją rozpieszczać, to pozbawi matkę

jej najlepszej służącej.

– Hanako!

Hanako kiwała głową, unikając przerażonego spojrzenia Gwen. Z uporem

wpatrywała się w kwiat pigwy.

– Mój brat ma słuszność – ciągnęła dalej zniżonym głosem – że nie może

się wtrącać. A jeśli chodzi o twój pomysł zaprzyjaźnienia się z matką, tego nie

da się zrobić. W najlepszym razie mogłabyś mieć nadzieję, że tak jak

inne

japońskie żony ucieszysz swoją teściową posłuszeństwem i pracowitością. Ale

ty... ty, Gwen-san, jesteś cudzoziemką. Moja matka nigdy cię nie polubi.

Gwen miała wrażenie, że powoli tonie. Walczyła z ogarniającym ją poczuciem bezradności.

– Posłuchaj, Hanako, niezależnie od wszystkiego Mirio-san musi mnie zaakceptować. Jestem przecież żoną Tamy.

– Nie – powiedziała Hanako i pochyliła się, żeby obejrzeć najniżej rosnącą gałązkę.

Gwen położyła dłoń na jej ramieniu i zmusiła ją do spojrzenia prosto w oczy.

RS

184

– Hanako, jestem żoną Tamy – oznajmiła. – Wzięliśmy legalny ślub w Paryżu.

Hanako wyprostowała się niechętnie. Jednakże nadal pochylała bladą twarz, żeby uniknąć pytającego wzroku szwagierki.

– Gwen-san – zaczęła półgłosem – według japońskiego prawa mężczyzna nie może brać ślubu bez pozwolenia rodziców, dopóki nie ukończy

trzydziestu lat. W oczach Mirio-san ty i mój brat nie jesteście prawdziwym

małżeństwem. Tama bowiem nigdy nie pytał o zgodę ojca. Zgoda matki nie

jest tak ważna, lecz ponieważ jest wdową i reprezentuje życzenia Shoji–sana, wie, że on nigdy nie wyraziłby zgody, a jej zdanie ma podstawy prawne. Nigdy nie będzie ciebie traktowała jak prawowitą żonę. To było najdłuższe przemówienie, na jakie kiedykolwiek zdobyła się Hanako, a z punktu widzenia Gwen, najważniejsze. Wyjaśniało tyle spraw. Gwen zawsze czuła, że Mirio–san jej nie lubi, ale nie pojmowała, skąd się bierze ta jej niechęć. Teraz nawet do pewnego stopnia rozumiała teściową. Mirio uważała ją za cudzoziemską konkubinę. Nie miał dla niej żadnego znaczenia ten świstek papieru z Paryża.

– Jednak mimo wszystko mogłaby dać się przekonać do życia ze mną w zgodzie, ponieważ Tama mnie kocha – powiedziała Gwen, zaczerpnąwszy przedtem głębokiego oddechu. – Bo on mnie kocha, Hanako. I ja kocham jego.

– Widzę to. Moja matka również do dostrzega. Ale Gwen–san... Ona odnosi wrażenie... Nie wiem, jak to wytłumaczyć... Ona odnosi wrażenie, że ty umniejszasz jego znaczenie. Gwen wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– To zupełna bzdura...

RS

– Mówisz do niego w niedbały sposób. Kiedy odzywasz się do Tamy po francusku, zwracasz się do niego niemal jak równa mu osoba. Kiedy mówisz

do niego po japońsku, nie używasz grzecznościowej formy „wy”.

– Mówię do niego po japońsku słowami, których on mnie nauczył, Hanako!

– W tym właśnie problem... Mówisz do niego „poduszkową japońszczyzną”: językiem kochanków, którego nie wypada używać w miejscach publicznych.

– Och, dobry Boże! – zawołała Gwen.

– Ale nawet gdy się nie odzywasz... Widzisz, ty się przed nim nie pochylasz. Obejmujesz go i całujesz, kiedy wraca z jakiegoś służbowego spotkania.

– Tak właśnie europejskie kobiety witają swoich mężczyzn...

– Naprawdę? – Hanako wydawała się zaskoczona. – Podchodzą do nich i

całują? W usta?

– Tak, często. I siedzą u nich na kolanach, na dużych, wyściełanych poduszkami krzesłach, i obejmują ich ramionami.

– Gwen!

Dziewczyna była niewypowiedzianie wstrząśnięta.

– Nie ma w tym niczego niestosownego, Hanako. Kiedy odczuwamy miłość, to ją wyrażamy na różne sposoby. Naturalnie, nie obnosimy się z nią w

miejscach publicznych, ale w naszych domach trzymamy się za ręce, całujemy

się i mówimy do siebie w pieszczotliwy sposób.

– Moja matka nigdy by w coś takiego nie uwierzyła – stwierdziła Hanako.

– W takim razie, w co wierzy? Uważa, że zachowuję się dziwacznie?

RS

186

– Ona uważa, że zostałam źle wychowana – powiedziała Hanako., a na jej bladej twarzy wykwitł rumieniec. – Przepraszam, Gwen, ale właśnie tak myśli.

Albo też jesteś... złą kobietą, która zachowuje się w taki sposób, żeby szydzić z konwenansów.

– Hanako, musisz jej wyjaśnić, że w żadnym razie nie jestem złą kobietą.

W gruncie rzeczy otrzymałam dość surowe wychowanie. Moje maniery są takie same, jak obyczaje większości kobiet w Paryżu. Mówisz, że traktuję

Tamę w taki sposób, jakbym była mu równa. Cóż, to prawda. Czuję, że jestem mu równa.

– Gwen-san! Pomyśl, co mówisz!

– Ależ wiem, co mówię, Hanako! Jesteśmy razem dlatego, że go zaprosiłam: j a zaprosiłam j e g o do współpracy przy projektowaniu mebli.

Wspólnie uruchamialiśmy interes. Byliśmy równymi sobie partnerami.

– To niemożliwe! Żadna kobieta nie dorównuje mężczyźnie.

– Och, Hanako! – jęknęła Gwen.

Usłyszały stukanie drewnianych chodaków ogrodnika.

– I cóż, wybrały panie kwiat do *kakemono*?

– Tę gałązkę, Akira, proszę.

– Dobry wybór. Które zielone liście mam wyciąć?

Hanako ruszyła się z miejsca, by mu pokazać, czego sobie życzy. Gwen stała i wpatrywała się w szkarłatne pąki na krzewie pigwy. Przyłapała się na

myśli, że nienawidzi tego kraju. Wygląda tak pięknie, a w gruncie rzeczy to

kraj pozorów. Pod tą fasadą prowadzi się życie jak w kokonie, sparaliżowane

tradycją i bierną postawą. Była to jednak ojczyzna Tamy i dopóki tu pozostawali, by uporządkować sprawy majątkowe, musiała próbować spokojnie w niej żyć.

RS

187

Przez resztę dnia rozważała słowa Hanako. Tamy nie było w domu – udał

się na lunch i długą rozmowę ze swatem, starym przyjacielem jego ojca.

Gwen

zjadła w tym czasie posiłek z Mirio i Hanako, prawie w ogóle się nie odzywając. Potem wyszła z domu i powędrowała w kierunku warsztatu lakierniczego. Często udawała się tam w towarzystwie Tamy, a jeżeli miał inne

zajęcia, wpadała do warsztatu sama. Mężczyźni przywykli do jej obecności.

Kłaniali się na powitanie, proponowali herbatę i zostawiali ją samą,

gdyż mieli
dużo roboty.

Usiadła w rogu szopy, gdzie uczeń nakładał wzór na piękną tacę.

Leniwie

obserwowała, jak jego pędzel poruszał się wśród barwników. W Paryżu
oglądała Tamę właśnie przy tego rodzaju zajęciach. Paryż! Wydawał się
tak

odległy w czasie i przestrzeni! Oddałaby wszystko, żeby wrócić z Tamą
do

pokoju na górze z wysokimi oknami i rysownicą i pracować w spokoju
nad

zamówieniem dla kolejnego klienta.

Ale była tutaj, w Tokio. Dopiero teraz dotarło do niej słowo,

„uwięziona”. Jakże słuszne były obiekcje Jerome'a. A przecież i tak nie
znał

wszystkich szczegółów. Z pewnością nie wiedział o prawnym zakazie
zawierania małżeństwa bez zgody rodziców do trzydziestego roku życia.
Zresztą, skąd miał o tym wiedzieć, skoro taki problem nigdy go nie
dręczył,

kiedy pracował w ambasadzie. Widział jednak, jak ogranicza się życie
kobiet

japońskich, i starał się jak tylko umiał najlepiej przestrzec Gwen przed
tymi

restrykcjami. Jednakże obserwować życie kobiety z pozycji mężczyzny
to

jedna rzecz, a doświadczyć tego na sobie, to coś zupełnie innego. Gwen
wiedziała, że nigdy, przenigdy nie podporządkuje się regułom, które
chciała jej

narzucić Mirio-san. Co więcej, zdawała sobie sprawę z tego, że bez
względu

na swoje starania nigdy nie zadowoli teściowej i nie pozyska jej
przyjaźni.

Wszelkie próby były daremne – zupełnie inaczej patrzyły na życie.

Zresztą po

RS

188

namyśle uświadomiła sobie, że wcale nie chce przyjaźni Mirio. Teraz
gdy
myślała o Mirio – nie jak o japońskiej mamusi Tamy, lecz po prostu jak
o
dopiero co poznanej kobiecie – i na trzeźwo analizowała jej
postępowanie,
dochodziła do wniosku, że teściowa jest ograniczona, nieugięta,
apodyktyczna i
nieżyczliwa. Mirio wcale się nie zastanawiała nad tym, jak ciężko jest
żyć w
kraju, którego języka prawie się nie zna. Wcale nie pragnęła jej pomóc
w
przystosowaniu się do nowych warunków i nie wykazała żadnego
współczucia,
cierpliwości ani dobrej woli.
Rozumiem, dlaczego Tama musiał stąd wyjechać – pomyślała Gwen.
Czuł się stłamszony. Dopiero teraz pojęła, jaką bitwę musiał stoczyć,
kiedy
zapragnął dokonać czegoś nowego w dziedzinie lakierowania
przedmiotów.
Nie do pomyślenia bowiem było zmieniać metodę, która służyła
znakomicie
jego ojcu, a przedtem dziadkowi...
Rzeczy, które dotychczas wydawały się raczej nieistotne, teraz

okazywały
się ważnymi wskazówkami. Chociaż elektryczność była szeroko
dostępna
w Tokio, o czym świadczyły autobusy kursujące po ulicach, Shoji
Hayakawa
nie chciał jej zainstalować ani w domu, ani w warsztacie. Oświetlał i
ogrzewał
swoje pomieszczenia starymi metodami – za pomocą kaganków i
ogrzewaczy
do nóg na węgiel drzewny. Kuchnia, w której mógłby stanąć piecyk
gazowy,
nadal nasuwała skojarzenia ze średniowieczem. Zakup maszyny do
szycia
ułatwiłby mozolne składanie kawałków odzieży po każdym praniu.
Rodzina
miała dość pieniędzy na tego rodzaju wydatki. Inni ludzie w Tokio
korzystali z
wynałazków. Nie dotyczyło to jednak członków rodu Hayakawa. Nie
pozwalał
im na to zmarły pan Hayakawa. Tradycja, tradycja... A jego żona
uparcie
trzymała się tych reguł. Bez sensu było oczekiwać, że zaakceptuje
nowoczesną
Europejkę jako żonę, tym bardziej jako kochankę swego syna.

RS

Siostra Tamy chciała być jej przyjaciółką. Hanako żywiła do niej sympatię i zachowywała się życzliwie. Podobnie było ze służbą, jeśli nie liczyć Kinie, która zdecydowanie stanęła po stronie Mirio. Kinie i jej pani, Mirio-san, były wierne tradycji, a ponieważ dzierżyły władzę, Gwen nie mogła liczyć na to, że ich dom stanie się dla niej gościnnym miejscem. Zadrzała. Czowała się tak osamotniona, pozbawiona przyjaciół. Nawet Tama, którego kochała, i to z wzajemnością... Tama nie pomoże jej, gdyż wbrew sobie jest spętany tradycją. Sam zdecydował się kiedyś na ucieczkę, lecz nie był w stanie pomóc żonie w uwolnieniu się z pęt przeszłości. Gwen przypomniała teraz sobie, co powiedział Jerome: że Japonia jest rajem dla mężczyzn. Tak, ale nieprawdopodobnym kosztem kobiet, które chyliły karki pod jarzmem tak słodko, tak potulnie... Biedna Hanako. Właśnie w tej chwili jej brat ustalał z jakimś staruchem odpowiedniego kandydata na męża. Zapewne Hanako pozna tego mężczyznę dopiero na dzień przed ceremonią. Później stanie się on jej panem i władcą, tak jak przedtem jej ojciec i brat. A ona będzie synową jakiejś kobiety. Być może przyszła teściowa nie okaże się tak uciążliwa jak Mirio, ale potraktuje pannę młodą jak swoją nową służącą. Miało się wrażenie, że japońskim kobietom nie pozwalano żyć bez ścisłych reguł, lecz część tych rygorów narzuciły sobie same. Być może w dwudziestym wieku nadrobią zaległości... Niewykluczone,

iż znajdzie się parę odważnych dusz, jeszcze nie znanych Gwen, które
zaczną
walczyć o swoje prawa. Wszak kobiety na Zachodzie uzyskały prawo
wyborcze dopiero w ciągu ostatnich kilku lat. Japonia dogoni te kraje.
Ale nie
na tyle wcześnie, by ułatwić Gwen życie w domu Hayakawa. No cóż,
zostało
jej jeszcze zaledwie kilka miesięcy. Mogła znieść ten okres, gdyż po
jego
upływie stanie się znowu wolna.

RS

190

A tymczasem musiała obmyślić jakiś sposób na życie w domu
nieżyczliwej Mirio-san. Raz jakoś udało się udobruchać teściową w
związku z
gramofonem, ale to się nie powtórzy. Odtąd Gwen będzie grzeczna, lecz
nie
będzie się jej kłaniać ani przepraszać za to, że jest inna. Postanowiła, że
najlepszym wyjściem będzie unikanie teściowej. Podobnie jak
większość
Japonek, Mirio była przywiązana do domu. Japońskie kobiety
wychodziły z
domu właściwie tylko po zakupy, a i tak robiły to o wiele rzadziej niż
Europejki, gdyż handlarze odwiedzali je w domach, a właściciele
sklepów
wysyłali do nich gońców z zamówionymi towarami. Zatem Mirio

prawie nie
wychodziła poza płot otaczający ogród, chyba że zdarzały się jakieś
specjalne
okazje – obowiązkowe odwiedziny grobu męża czy wycieczka do
ogrodu
Arsenału Cesarskiego w celu podziwiania kwitnącej wiśni. Unikanie
Mirio nie
wydawało się trudne. Wystarczyło po prostu wyjść z domu. Tama często
zabierał Gwen na spotkania towarzyskie, a parę razy do hotelu Imperial
na
dansingi. Gwen postanowiła także wychodzić z domu sama. Jeździłaby
autobusem do centrum miasta, oglądałaby muzea i galerie sztuki, a w
czytelni
biblioteki czekałaby na nią anglojęzyczna gazeta *Japan Advertiser*.
Mogłaby
też zwiedzać nieznane miejsca, robić zakupy albo chodzić do warsztatu.
Byłaby tam mile widziana przez robotników i widywałaby się z Tamą,
który
udzielał wskazówek uczniowi Taro i kontrolował pracę Minoru.
Spędzałaby z
Tamą godzinę czy dwie tak jak dawniej przy wspólnej pracy. Mogła też
pójść
na niedzielną mszę do angielskiego kościoła, wyjechać z miasta
pociągiem i
zwiedzić stare świątynie ze sławnymi ogrodami, a także udać się na
wybrzeże i
kupić świeże ryby.
O tak, miała mnóstwo możliwości.
A jednak po jej twarzy popłynęły łzy na myśl o samotnych dniach, które
trzeba będzie wypełnić bezużytecznymi zajęciami.

RS

191

Zapomniała też wziąć pod uwagę aurę i trzęsienia ziemi. W Europie mówiło się o Japonii, że jest to Kraj Wschodzącego Słońca. Gwen uznała po jakimś czasie, że właściwsze byłoby określenie Kraj Padającego Deszczu. W ciągu lata 1922 roku niemal codziennie padało, i to całymi dniami. W dodatku w powietrzu panowała duża wilgoć, toteż w lipcowy dzień było się cały czas zlanym potem od stóp do głów. Poza tym od czasu do czasu – niekiedy nawet i trzy razy na tydzień – ziemia drżała. Zamykano wówczas dworce kolejowe, a trolejbusy nie kursowały ze względu na zapadanie się ulic lub przerwy w dostawie prądu. Kiedyś Gwen chciała odwiedzić sklep w Yurakucho, który, jak się okazało, zniknął w dziurze po obsunięciu się ziemi. Przez całe dżdżyste, kapryśne lato męczyła się okropnie, aż nadszedł pewien sierpniowy dzień. Siedziała w domu i czekała na Tame, ponieważ od rana lał deszcz. Pośród drzew słychać było dźwięki cykad. Uchyłono wszystkie okna, żeby wpuścić choćby delikatny powiew wiatru, i rozłożono markizy,

które zatrzymywały deszcz. Gwen znajdowała się w pomieszczeniu, które traktowano już jako sypialnię małżeńską – rzecz niezwykła w japońskim domu, gdzie łóżka rozkładano wszędzie. Przeczytała wielokrotnie wszystkie dostępne jej gazety w języku angielskim i francuskim. Próbowała zapamiętać codzienną porcję znaków *kana*, uproszczonej formy japońskiego pisma. Obecnie nie miała nic do roboty. Powinna zejść na dół i posiedzieć z rodziną, która zajmowała się szyciem w głównym pokoju. Gdyby jednak to uczyniła, oczekiwano by po niej przyłączenia się do pracy. Nie umiała dobrze szyc i chociaż kimono składało się ze zwykłych prostokątów, z pewnością dałaby teściowej powód do niezadowolenia. Przez chwilę kusiło ją, żeby wyciągnąć z szafy gramofon, ale to odczytano by jako prowokację. Przyrzekła sobie, że zawsze będzie grzeczna i

RS

192
rozważna, dlatego porzuciła myśl o słuchaniu muzyki. Jak ma spędzić te kilka godzin do powrotu Tamy?
W teczce znalazła szkicownik – nie dotykała go od momentu przyjazdu. Z początku była zbyt pochłonięta nowością życia w Tokio, a później zbyt

zniechęcona wydarzeniami w domu. Jednakże tego dnia znowu poczuła potrzebę rysowania. Nic poważnego, jakiś projekt rzucony na papier, kilka drobnych szkiców. Kiedy poprzedniego dnia deszcz na chwilę ustał, obserwowała ptaki nad brzegiem strumienia. Było coś majestatycznego w stojącym żurawiu... Chciała ten moment zatrzymać choćby na papierze. Na szkicowaniu kolejnych pomysłów upłynęło jej kilka szczęśliwych godzin. Tama wrócił do domu. Słyszała, jak go witano i odbierano od niego mokre rzeczy – europejskie buty o rozciągliwych bokach, żeby łatwiej było je zzuć, japoński parasol z impregnowanego papieru, francuski nieprzemakalny płaszcz.

Czy chciałby się napić herbaty? O tak.

Gwen podeszła do rozsuwanych drzwi ich sypialni.

– Tama! – krzyknęła. – Proszę, przyjdź z herbatą na górę. Chcę ci coś pokazać.

– Dobrze, kochanie.

Słyszała, jak pokonywał po dwa stopnie naraz. Wszedł do sypialni ocierając mokre jeszcze czoło.

– Okropna pogoda. Właśnie przy takich okazjach marzy mi się kieliszek schłodzonego francuskiego wina – powiedział.

– Hm... Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli się go napić – odrzekła.

– Jak to, kochanie? Wiesz przecież, że nie mamy wina...

– Ale możemy je bez trudu zdobyć. Kiedy wybierzemy się do miasta następnym razem, zamówimy wino w którymś ze sklepów dla obcokrajowców.

RS

193

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy! – zawołał, patrząc na nią z podziwem. Ale zaraz zrzędała mu mina. – Nie mamy lodu, żeby je schłodzić.

– Kochanie, możemy spuścić butelkę do studni: woda jest tam zawsze zimna.

– Cudowny pomysł! – powiedział i uścisnął ją. – Jesteś wspaniała!

– To nie jest mój pomysł, Tama. Widziałam, jak to robiono na wsi we Francji, kiedy tam pracowałam.

Naszły ją wątpliwości. Co powie Mirio? Lecz natychmiast pomyślała: Do

diabła z Mirio!" A potem już bardziej ugodowo: Skoro zarządzi to Tama, Mirio

będzie musiała się temu podporządkować. Ponieważ potraktował jej propozycję bardzo przychylnie, postanowiła to wykorzystać.

– Tama, chcę cię o coś poprosić.

– Naprawdę? W nagrodę za to, że jesteś taka bystra? O co poprosisz tym razem? O nową sukienkę? Wypad do hotelu Imperial?

Lekko się zirytowała. Nie była kokietką, nie musiał jej obsypywać prezencikami. Była kobietą interesu.

– Nie, chodzi mi o coś znacznie ważniejszego. Chciałabym założyć telefon.

Jej mąż otworzył usta ze zdumienia.

– Tutaj?

– Tak, dlaczegoż by nie?

- W domu?
- W warsztacie oczywiście też. Ale przede wszystkim w domu. Tama pokręcił głową.
- Dlaczego nie, Tama?
- Mojej matce bardzo by się to nie spodobało.

RS

194

– Ależ, kochanie, telefon ogromnie by ci się przydał, kiedy usiłujesz załatwić wszystkie te skomplikowane interesy. Była to niezaprzeczalna prawda. Tama zaplątał się w długą serię negocjacji. O niektórych wspomniał Gwen, o pozostałych rozmowach wiedziała dzięki temu, że unikał pewnych tematów. Sprzedaż warsztatu szła bardzo opornie. Potencjalni kupcy oferowali szalenie niskie stawki, kiedy dowiadywali się, że żaden członek rodu Hayakawa nie będzie w przyszłości związany z pracownią. Wytwarzanie zwyczajnego lakieru metodą fabryczną było tańsze i łatwiejsze – dlaczego ktoś miałby kupować staroświecki warsztat lakierniczy, w którym nie pracowałby sławny artysta? Sprzedaż firmy miała przynieść Tamie tyle pieniędzy, by mógł zabezpieczyć matkę. Mirio-san nie czekał już zapewne długi żywot. Dane statystyczne

były brutalne: przeciętny Japończyk żył około pięćdziesięciu lat. Zatem w wieku czterdziestu siedmiu lat Mirio miała przed sobą raptem kilka lat życia. Mogła jednak przekroczyć spodziewany limit – udawało się to niektórym kobietom, choć rzadziej dotyczyło mężczyzn. Należało więc uzyskać dochód, który zapewniałby jej spokojną egzystencję i zatrudnianie służby przez co najmniej dziesięć lat. Żaden sposób ulokowania kapitału, zdobytego dzięki ewentualnej sprzedaży warsztatu, nie dawał wystarczającej gwarancji. Innym wyjściem mogło być wyznaczenie zarządcy, który pracowałby dla kuzyna Tamy, drugiego pod względem ważności męskiego potomka rodu. Ale Moko-san mieszkał w Noshiro, jakieś trzysta mil dalej, a ponadto zupełnie nie znał się na lakiernictwie. Gwen domyślała się, że kierownikowi Minoru wcale by nie odpowiadały sporadyczne wizyty jakiegoś ignoranta, który by nim komenderował. Kiedy Gwen zasugerowała, że Minoru mógłby być dobrym zarządcą, jej pomysł nie spotkał się ze zrozumieniem. Minoru nie powinien

RS

195

zarządzać warsztatem. Był robotnikiem, który po wielu latach awansował na stanowisko kierownika. Nie miał prawa do wyższej pozycji. Pozostawał jeszcze problem wydania za mąż Hanako. Swat skontaktował się z kilkoma młodzieńcami i jednym starszym mężczyzną. Hanako musiała wziąć ze sobą posag – nie pieniądze, lecz sprzęty domowe i ubrania o znacznej wartości. W dodatku przyszły mąż oczekiwał, że zawarcie małżeństwa zwiększy jego prestiż i kontakty zawodowe. A jaką korzyść przyniosłoby poślubienie dziewczyny wraz z owdowiałą matką, która ledwo wiąże koniec z końcem ze zgromadzonych oszczędności? Po co żenić się z córką Shoji Hayakawy, skoro jego warsztat „Dobra Wróżba” miał przejść w obce ręce. Prawdę powiedziawszy, Tama nie miał żyłki do interesów. W czasie pobytu w Paryżu to Gwen zajmowała się negocjowaniem umów. Tama rozumiał pojęcie zysku i straty, wiedział, że praca musi się opłacać i nie ma sensu wyrób pięknych lakierowanych przedmiotów, jeżeli ich cena nie pokryje kosztu materiałów. Ale kiedy przychodziło do inwestowania, oceny

perspektyw, rozważania plusów i minusów danej transakcji, łatwo się gubił. W

takich dniach po powrocie do domu bywał niezwykle drażliwy.

Biorąc to wszystko pod uwagę, przydałoby mu się każde ułatwienie.

Telefon stanowiłby wielką pomoc w długich pertraktacjach. Ponieważ korzystał z niego często w Paryżu, mógłby to robić i w Tokio, aczkolwiek

liczba połączeń w tym mieście była ograniczona.

– Widzisz, Tama, w taki dzień jak dzisiejszy nie byłoby potrzeby wychodzić na dwór i moknąć. Wiele spraw mógłbyś załatwić telefonicznie.

– Tak, ale...

– A gdybyśmy się wybierali do hotelu czy restauracji, nie musielibyśmy wysyłać gońca z prośbą o rezerwację stolika. Sami moglibyśmy zamówić przez telefon.

RS

196

– Tak, ale...

– I moglibyśmy zarezerwować bilety na sztukę czy koncert do Teatru Cesarskiego.

– Ale strasznie trudno jest uzyskać połączenie telefonu, chyba że ma się

przyjaciół w urzędzie łączności.

– A nie mógłbyś poprosić o to któregoś ze swoich partnerów od interesów?

Tama zamyślił się głęboko. Gwen wiedziała, że rozważał jej pomysł. Zastanawiał się zapewne, kto ze znajomych zawdzięczał coś rodowi Hayakawa. Kto z ochotą wstawiłby się za nimi w sprawie założenia telefonu,

mając nadzieję, że jego przysługa zostanie odwzajemniona w przyszłości?

– Pan Iwata chce, żebym wykonał puzdro na ślub jego najmłodszej córki

– mruknął pod nosem, lecz Gwen go usłyszała.

– Och, czy to jest to pudełko, które właśnie się suszy? – zapytała.

– Chce, żebym je zrobił osobiście – ciągnął Tama ignorując jej pytanie.

–

Powiedziałem, że nie mam czasu ze względu na inne zajęcia, ale wiesz...

Jego

siostrzeniec pracuje w firmie zakładającej telefony.

– No tak, to brzmi obiecująco...

– A poza tym, niezależnie od wszystkiego, dobrze byłoby znowu wykonać konkretną robotę – dorzucił. – Mam już dość przesiadywania w

pokojach z biznesmenami. Potrzebuję jakiegoś remedium: czegoś, co mnie

uspokoi, gdy doprowadzą mnie do szału. Tak, tak... Przyjemnie byłoby znowu

chwycić za pędzel.

– Tama! To byłoby wspaniałe! – Gwen rzuciła mu się w ramiona.

Gdyby wrócił do pracy, w której był mistrzem, być może bardziej by przypominał mężczyznę, jakiego pokochała w Paryżu. Zmiany, które zachodziły w nim od przybycia do Tokio, były tak powolne, że dopiero teraz

RS

197

dostrzegła, iż stanowią dla niego zagrożenie. Jako lakiernik Tama sprawiał wrażenie człowieka szczęśliwego, pewnego siebie. W roli głowy rodziny był wiecznie zatroskany, a jego nastrój udzielał się Gwen, która również się niepokoiła. Myśl Tamy o powrocie do lakierowania wydawała się Gwen zbyt szczęścia. Proponując założenie telefonu, pragnęła jedynie mieć go częściej przy sobie. Ale jeśli w celu uzyskania telefonu musiał zająć się na nowo swoim fachem, mogło to przynieść tylko dobre efekty. Był prawdziwym artystą. Brak twórczego zajęcia źle wpływał na jego nastrój. Oboje wpadli w taki zachwyty, że Gwen zupełnie zapomniała pokazać mu szkice, nad którymi pracowała – pierwsze pomysły dotyczące stolika, którego nogi miałyby być w kształcie nóg żurawia. Zapomniała jeszcze o dwóch rzeczach. Po pierwsze, nigdy nie planowali, że Tama znowu podejmie pracę w warsztacie lakierniczym „Dobra Wróżba”. Po drugie, matka Tamy byłaby bardzo poirytowana pomysłem założenia telefonu.

Mirio–san wiedziała, że winowajczynią jest Gwen, i w subtelny sposób dawała jej odczuć swoje niezadowolenie. Nie konsultując się z Gwen, odesłała do czyszczenia chemicznego jej francuską suknię wieczorową z jedwabiu, która, naturalnie, wróciła do domu w opłakanym stanie. Zginął także jeden jej kalosz. Nosiła je, by uchronić obuwie przed zabłoceniem. Na dodatek podczas deszczu i wichury roleta osłaniająca sypialnię oberwała się, a leżące przy oknie rysunki zostały zniszczone. Gwen nie potrafiła zbyt dobrze odgadywać myśli innych ludzi, ale wiedziała, że ta seria nieszczęść nie mogła być przypadkowa. Postarała się o nie Kinie, zauszniczka teściowej. Gwen dokonała swego rodzaju zemsty mniej więcej trzy tygodnie później. W domu pojawiła się grupa robotników w ciemnych bluzach i

RS

198

obcisłych spodniach, którzy przeciągnęli linię telefoniczną i zainstalowali aparat na ścianie w korytarzu, a także przetestowali urządzenie, odśpiewując *Hitotsu, futatsu, mitsu*, po czym pokłoniwszy się nisko wszystkim domownikom, odeszli. Telefon zadzwonił niemal natychmiast.

Mieszkańcy,

którzy obserwowali wspólnie prace instalacyjne, odskoczyli w przerażeniu.

Słuchawkę podniosła Gwen.

– Słucham.

– Gwen, to ty? Mówi Tama. Zawiadomili mnie, że podłączyli już telefon.

Pomyślałem, że zaraz go wypróbuję. Jak mnie słyszysz?

– Znakomicie, Tama.

– Tama? – szepnęła za jej plecami Mirio.

– Tak, dzwoni Tama – powiedziała Gwen, odwracając się do niej i wyciągając słuchawkę. – Czy chcesz z nim porozmawiać?

Mirio cofnęła się, a jej zawsze biała twarz poszarzała ze strachu.

– Nigdy! – wyszeptała. – Przenigdy!

– Proszę, weź słuchawkę. Po drugiej stronie jest twój syn – namawiała ją Gwen. – Zaraz usłyszysz jego głos.

– To jakieś czary – mruknęła Mirio i oddaliła się pośpiesznie.

Później, kiedy doszła już do siebie po wypiciu herbaty i usłyszeniu słów pociechy od Kinie, wydała dyspozycję, by nikt nie reagował na dzwonek diabelskiej maszyny. Kiedy Tama dowiedział się o tym po powrocie, natychmiast odwołał zarządzenie swojej matki.

– Kazałem zainstalować telefon, żeby łatwiej było prowadzić interesy – oznajmił gniewnie. – Jeżeli zadzwoni, osoba znajdująca się w pobliżu ma

podnieść słuchawkę i grzecznie powiedzieć: „Tu dom Tamaki Hayakawa”.

Jeżeli będę w domu, przyjdę odebrać telefon. Jeżeli mnie nie będzie, macie

zapisać wiadomość. Czy to jest jasne?

RS

199

– Tak, Tamaki–sama – szepnęła Mirio–san zupełnie zdruzgotana. Musiała bowiem publicznie przyznać się do błędu, ale wiedziała, że zasłużyła na to. Ośmieliła się rozkazać swoim służącym, by ignorowali zarządzenia syna. Po tym zdarzeniu zaczęła podchodzić do Gwen niemal z respektem. Synowa bowiem знаła się na telefonie, a skoro znała się na tak dziwnym urządzeniu, to być może miała jakąś moc. Jeszcze nie przebrzmiała sprawa z telefonem, a już wynikła następna. Do domu sprowadzono drewnianą skrzynkę, zawierającą butelki z dziwnymi napisami na nalepkach. Skrzynkę przechowywano w składziku. Od czasu do czasu Gwen–san zarządzała, żeby Ota włożył butelkę do trzcinowego koszyka i spuścił go do studni na sznurku. Kiedy Tama wracał do domu, Gwen–san otwierała ją z wielką ostrożnością. Wino było nalewane do szklanych filiżanek na nóżkach. Gwen przywiozła je kiedyś taksówką ze sklepu w centrum Tokio.

Dziwne były te filiżanki do wina, zupełnie inne niż piękne, lakierowane lub porcelanowe czarki do sake. Ale Tama podnosił to przezroczyste naczynie z zagranicznym winem do światła i podziwiał je, zanim upił łyk. Parę razy częstował matkę, ale ona zawsze odmawiała. Hanako napiła się wina raz i stwierdziła, że jest dość smaczne. A Tama zdawał się nim rozkoszować, podobnie jak Gwen-san, która nigdy nie zachowywała się jak normalna synowa. Nie chciała wykonywać poleceń teściowej ani brać udziału w codziennych kobiecych obowiązkach. Wychodziła z domu sama, kiedy jej się podobało. Znała się na telefonie, piła wino. Mirio przekonała się, że Gwen jest kobietą atrakcyjną i pociągającą, i wiedziała, iż jej syn nadal bardzo kocha tę cudzoziemkę. Może byłoby rozsądniej nie obmyślać małych katastrof niszczących jej ubrania czy głupie rysunki.

RS

200

Tak więc po zainstalowaniu telefonu nastąpił dość dziwny rozejm. Hanako pozwolono zaprzyjaźnić się z żoną brata, a nawet od czasu do czasu

spacerować z nią po Tokio czy odwiedzać jej europejskich znajomych.

Hanako

była zdumiona łatwością, z jaką umawiano się na te spotkania.

Gwen-san po

prostu podnosiła słuchawkę, rozmawiała z jakąś Angielką czy

Amerykanką,

zapowiadała, że do niej wpadnie, i już wychodziły z domu. Hanako

ogromnie

lubiła te wypadki. Była zbyt nieśmiała, by się odzywać przy kawie, ale za to

chodziła cicho po pokoju, oglądała europejskie meble, próbowała

europejskich

potraw, patrzyła, jak europejskie kobiety rozmawiają, śmieją się i kłócą.

Jedzenie było oczywiście okropne, kawa nie dawała się pić, ale Hanako

nie

mogła zaprzeczyć, że na europejskich krzesłach siedziało się wygodnie.

I

choć przerażała ją wigor i swoboda tych kobiet, nie mogła ich nie

podziwiać.

Telefon został również podłączony do warsztatu lakierniczego. Teraz

Gwen mogła bez trudu kontaktować się z Tamą, który często tam

przebywał,

robiąc pudro dla pana Iwaty. Łatwo było również porozumieć się z

innymi

Europejczykami mieszkającymi w Tokio.

Życie wydawało się teraz o wiele prostsze, toteż początek tokijskiej

zimy

prawie wcale nie zmartwił Gwen. Listopad był zimny i pogodny,

grudzień

jeszcze zimniejszy, ale przecież czekało na nią święto Bożego

Narodzenia i

japoński Nowy Rok.

W połowie grudnia temperatura zaczęła gwałtownie spadać. W Boże

Narodzenie, które Tama ogłosił dniem wolnym od pracy dla służby i

robotników, ziemię pokrył śnieg. W domu panował chłód. Jedyne źródło

ciepła

stanowił niski kociołek z żarzącymi się węgielkami, czyli *hibachi*. Gwen poszła do kościoła. Tama został w domu, żeby dopilnować przyrządzenia świątecznego obiadu, składającego się z potraw, które dostarczono ze sklepów z europejskimi towarami. Były to jednak święta po

RS

201

francusku – nie podano pieczonej gęsi ani śliwkowego puddingu. Był natomiast *boeuf a la bourguignon* i ciasto przekładane bezami. Okazując szacunek, matka i siostra próbowały delektować się posiłkiem. Jednakże mięsna potrawka okazała się zbyt tłusta, a bezowe ciasto nie dawało się nadziać na pałeczki. W ogóle nie piły wina. Natomiast Gwen i Tama jedli dania z wielką przyjemnością, a potem przedrzemali całe popołudnie. Wieczorem wzięli długą wspólną kąpiel w łaźni, poszli do łóżka i kochali się, by zapomnieć o zimnych przeciągach w głównym pokoju. Zimowy wiatr spowodował pęknięcia w starych drewnianych ramach i wlatywał przez szczeliny w papierowych oknach. Hanako zalepiała je bardzo umiejętnie, w artystyczny sposób, ale natychmiast tworzyły się nowe szpary. Wieczory spędzało się wokół piecyka na węgiel drzewny, który opuszczono do

wgłębienia w podłodze pokoju, zostawiając miejsce dla stóp i nóg. Przykrywano się kocem, który spoczywał na kolanach. Dawało to poczucie przytulności, ale poważnie ograniczało ruchy. Poza tym lodowate przeciągi mroziły plecy siedzących osób.

Nadeszło święto Nowego Roku. Po obu stronach wejścia do domu zatknięto gałązki sosny. Nad bramą, na czerwonym sznurku, zwisał wiotki liść paproci. Drugi, dokładnie taki sam, znajdował się w głównym pokoju.

W noworoczny poranek zamiast zwykłego śniadania podano poświęcony napój w specjalnych drewnianych czarkach oraz ciasteczka ryżowe. Listonosz przyniósł mnóstwo kart od rodziny, przyjaciół i klientów. Przychodzili sąsiedzi z życzeniami, a członkowie rodziny Hayakawa rewanżowali się wizytami. Cały dzień upłynął na wyjadaniu słodczy oraz picciu sake albo zielonej herbaty.

Nazajutrz znowu otworzono sklepy. Pojawiły się barwnie udekorowane furmanki i ręczne wózki, którymi dostarczono pierwsze w Nowym Roku

RS

202

towary. Wędrowni handlarze sprzedawali obrazki ze statkiem szczęścia, na którego pokładzie znajdowało się siedem bóstw symbolizujących

pomyślne

zrządzenia losu. Wszyscy w domu Hayakawa otrzymali po jednym takim

obrazku od Tamy, gdyż jego włożenie pod poduszkę przynosiło dobre sny.

Gwen dowiedziała się, że najlepiej jest zobaczyć we śnie górę Fudzi.

Święta trwały sześć dni. Najpierw otwarto sklepy, potem urzędy państwowe, a jeszcze później prywatne firmy. Następnie nadszedł dzień odpoczynku i regeneracji sił. Ósmego dnia cesarz dokonał przeglądu wojsk, a

szkoły wznowiły działalność.

– Teraz możemy stwierdzić – powiedział Tama, kiedy razem z Gwen wracali taksówką z parady – że rok 1923 rozpoczął się naprawdę!

Gwen westchnęła, przypominając sobie miniony rok, który przyniósł jej tęsknotę za domem i cierpienie, ale także otworzył oczy na nowe rzeczy.

W jej

szkicowniku pełno było pomysłów, które mogła spożytkować, produkując

meble po powrocie do Paryża.

– Chyba powinniśmy zacząć planować nasz powrót do domu – powiedziała.

Zapadło krótkie milczenie. Taksówka ślizgała się na oblodzonej drodze, ale kierowca radził sobie z tym zupełnie dobrze, podśpiewując pieszczotliwie:

– „Suń do przodu, mały szczęśliwy żurawiu, suń”.

– Jesteśmy w domu, Gwen – odparł Tama.

– Myślałam o Paryżu.

– Paryż nie jest moim domem. Ani także twoim.

– Przecież doskonale wiesz, co mam na myśli.

– Nie, Gwen, nie wiem.

Obróciła się trochę, żeby zerknąć na jego twarz w zapadającym styczniowym zmierzchu.

RS

203

– Tama, zawsze mówiliśmy, że jedziemy do Tokio po to, by uporać się ze

sprawami spadkowymi i sprzedażą warsztatu, a potem wracamy.

Zakładaliśmy,

że to może potrwać około roku.

Tama pokręcił tylko głową w milczeniu.

– Tak się przecież umawialiśmy! – upierała się Gwen.

Tama uniósł nieco głowę. Wiedziała, że będzie obstawać przy swoim.

– Zmieniłem decyzję – stwierdził stanowczo.

– Jaką decyzję?

– W sprawie wyjazdu z Tokio. Myślałem nad tym od paru tygodni, jak tylko znowu zacząłem się zajmować lakiernictwem. Zdecydowałem, że zostaniemy tutaj, Gwen.

RS

204

10

Po tych słowach gniew i zdumienie odebrały Gwen mowę. Wpiła paznokcie w skórzaną poręcz siedzenia, kiedy wracali taksówką do domu.

Chyba nie mówił poważnie! Kochał Paryż tak jak ona. Na pewno chciał wracać.

Tama obserwował ją bacznie czarnymi błyszczącymi oczyma. Na co czekał? Na jej zgodę, uległość?

– Niezależnie od wszystkiego i tak nie moglibyśmy jechać zaraz – powiedział po dłuższej przerwie. – Hanako ma coraz lepsze perspektywy

zamążpójścia, ale tych spraw nie należy ponaglać. A ponadto...

znalezienie dla

Hanako dobrego męża zależy... po części od tego, czy zostanę w Tokio.

– Zwalasz odpowiedzialność na Hanako?! – wykrzyknęła pogardliwie Gwen. – Nie wierzę ci.

– Nie zdobędę dla niej stosownego kandydata, jeśli będziemy mogli mu zaoferować w ramach więzów rodzinnych jedynie wdowę żyjącą z renty. Pan

młody oczekuje więcej.

Gwen uniosła zaciśnięte pięści i potrząsnęła nimi.

– Mój Boże! Mówisz o swojej siostrze tak, jakby była paczką herbaty albo kuponem materiału, który się wymienia między sobą. Na miłość boską,

dlaczego nie pozwolisz jej wybrać męża samodzielnie? Kogoś, kto by zechciał

Hanako tylko ze względu na nią?

– Nie pleć głupstw, Gwen. Wiesz, że u nas jest to niemożliwe. Teraz oboje byli wściekli.

Zapowiada się straszliwa publiczna kłótnia – pomyślała Gwen. –

Musimy

uważać na to, co do siebie mówimy.

RS

205

– Tama – zaczęła, starając się unikać goryczy w głosie – kiedy ustaliliśmy, że wyruszamy do Tokio, powiedziałeś, iż załatwienie spraw rodzinnych zajmie ci najwyżej rok. Jestem w stanie zrozumieć, że nie przewidziałeś wszystkich trudności. Ale to niczego nie zmienia.

Umawialiśmy

się, że potem wracamy do Paryża.

– Nie umawialiśmy się w ten sposób.

– Ależ tak, Tama. Wydzierżawiliśmy pracownię na okres roku zakładając, iż do niej wrócimy. Planowaliśmy powrót i wykonanie nowych zleceń.

– Kroki, które podjęliśmy, w tamtym czasie wydawały się rozsądne. Teraz jednak, gdy jesteśmy w Tokio, dochodzę do wniosku, że lepiej zrobimy

zostając tutaj. Jest to konieczne ze względu na sprawy rodzinne i zawodowe.

Jako lakiernik mam większą szansę na sukces, jeżeli zostanę w Tokio.

– Jak możesz tak mówić! Tu jesteś jednym z wielu. W Paryżu nie miałeś konkurencji: byłeś tam jedynym japońskim lakiernikiem!

– Ale tam moją pracę doceniało małe grono osób. Tu, w Tokio, mam ustaloną renomę, a pomaga mi też w tym reputacja zmarłego ojca.

Zamówienia

już teraz przekraczają moje możliwości. Nie chcę tego wszystkiego zaprzepaszczać, wracając do Paryża.

- Rozumiem. Mówisz, że nawet kiedy się uporasz z tą absurdalną sprawą znalezienia męża dla Hanako, to nie sprzedasz warsztatu. Chcesz tu zostać i prowadzić interes.
- Tak, chcę. Widzę, jak ważne w tym są tradycja i wierna klientela.
- Och, tradycja! A innowacja, rozwój? Nowe rzeczy, które osiągałeś? Czy twoi stali tokijscy klienci zachęcają cię do tego? Tama okazał zniecierpliwienie.

RS

206

- Z perspektywy czasu pojmuję, że paryżanie szaleli za przedmiotami tylko dlatego, że były nowe, inne. Ale nie jestem taki pewny, czy miały one rzeczywistą wartość.
- Chcesz powiedzieć, że zadowala cię malowanie na złoty kolor karpi i chryzantem na czarnych lakierowanych pudełkach? I nie pragniesz się przemęczać...
- Uważaj, co mówisz, Gwen! Tradycja w moim kraju to rzecz święta. Nie tylko w sztuce: wielką zaletą jest także okazywanie szacunku mężowi.
- Och, wspaniale! Teraz chcesz, żebym ci się kłaniała i klęczała za tobą na podłodze, tak? Tama, co cię opętało?
- Taksówka zatrzymała się przed bramą domu Hayakawa. Tama wysiadł z samochodu i obrócił się, żeby zapłacić kierowcy. Gwen musiała opuścić auto

bez pomocnej ręki. Niby drobiazg, ale kiedy przyjechali do Tokio, Tama nigdy nie dopuszczał do tego, żeby samodzielnie schodziła ze stopnia na śliską, ośnieżoną nawierzchnię. W głównym wejściu otworzyła się nagle mała brama. Stała w niej Kinie, która z ukłonem wprowadziła Tamę i Gwen do środka. Kiedy szli w stronę ganku, a potem zdejmowali buty, Gwen uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu jej mąż zaczął zachowywać się jak Japończyk, co kiedyś go tak w jego kraju raziło. Nie pod każdym względem. Nadal jeszcze lubił niektóre przyjemności Zachodu, na przykład taniec, muzykę taneczną, francuską kuchnię, francuskie wino – okruchy Europy. Ale w kwestiach zasadniczych zaczynał postępować tak jak jego rodacy. Z pewnością mile go łechtało posiadanie służby gotowej na każde jego skinienie, a także świadomość, że kobiety uważały go niemal za Boga. Jerome de Labasse powiedział, że Japonia jest rajem dla mężczyzn, więc czyż Gwen mogła się dziwić, że jej mąż pragnął przebywać w raju? W Paryżu odniósł sukces, a współpraca z Gwen zapewniła mu jeszcze większe powodzenie. Tam

RS

207

jednak zawsze musiałby walczyć, przeżywać ciągły niepokój, słuchać krytycznych ocen, kontrolować siebie. Tutaj nic takiego mu nie groziło.

W

pracy mógł nawiązać do techniki ojca, nienagannie lakierując przedmioty w

starym stylu, który zawsze cieszy się popytem. Nikt by mu nie zarzucił, że jego

wyrobom brakuje fantazji, i nie porównywałby go do jakiegoś lakiernika nowatora, ponieważ tacy po prostu nie istnieli.

Nigdy nie musiałby się kłopotać o prowadzenie domu – tym

zajmowałaby się jego matka. Żaden rozgniewany konsjeż nie uskarżałby się

przed nim, że jego przyjaciele za bardzo nabałaganili w korytarzu.

Żaden

krawiec nie spóźniłby się z uszyciem nowej marynarki i żadna leniwa służąca

nie zmiatałaby śmieci pod dywan. Tutaj kobiety zawsze starałyby się go zadowolić. Wprawdzie Europejki miały temperament, były dowcipne, a także

śmiały w kontaktach intymnych, ale zarazem stanowiły wyzwanie. Tutaj nie

musiał stawiać czoła żadnemu wyzwaniu. A poza tym miał upragnioną kobietę.

Gwen była pewna, że Tama nadal ją kochał, podobnie jak ona jego. Ale

nawet

dla niej nie zrezygnowałyby z perspektywy łatwego życia, ponieważ uważał, że

tylko taka egzystencja jest właściwa dla niego.

Kiedy znaleźli się w domu, Mirio i Hanako zaczęły niecierpliwie wypytywać o paradę wojskową, ciągle dopraszając się o nowe szczegóły.

Potem przyszła pora na wieczorny posiłek, po którym powinni byli spędzić

czas w głównym pokoju, w ciepłe *kokatsu*, ale udali się do sypialni.

Usadowili

się przy *hibachi* na poduszkach i wyciągnęli dłonie nad żarzącym się węglem.

– Czy powiesz mi dokładnie, co planujesz na najbliższą przyszłość? – zapytała bardzo spokojnym głosem Gwen.

– Najważniejsze jest małżeństwo Hanako. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, powinno do niego dojść mniej więcej w połowie lata.

– A tymczasem? Nie szukasz kogoś, kto by kupił „Dobrą Wróżbę”?

RS

208

– Nie. Nie sędzę, żebym uzyskał przyzwoitą cenę, a jakakolwiek wzmianka o sprzedaży zmniejsza szanse Hanako. Kandydat na męża będzie

bardziej zainteresowany wiedząc, że jej brat ma dobrze prosperujący warsztat

lakierniczy. W grę wchodzi pewien młodzieniec z dobrej rodziny w

Hamada.

Właśnie otrzymał awans w urzędzie celnym. Wydaje się mężczyzną bardzo

obietującym: poleca go pan Inora.

– A zatem Hanako bierze ślub latem. A co potem?

– Wyprowadzi się do rodziny swego męża.

– Chodzi mi o nas.

– Jak to, o nas? Zostajemy tutaj, w moim domu rodzinnym. „Dobra Wróżba” pod moim zarządem osiąga coraz lepszą pozycję.

Zabezpieczyłem

matkę, wszystko układa się dobrze.

– Z jednym wyjątkiem. Chcę, żebyśmy wrócili do Paryża.

– Nie bądź głuptasem, Gwen. Wiesz, że jeśli wrócimy po osiemnastu miesiącach nieobecności, będziemy musieli zaczynać wszystko od nowa. A ja

nie zamierzam sprzedać warsztatu. W tej sprawie podjąłem już decyzję.

On

należy do naszej rodziny od wielu pokoleń.

– Nie miałeś takich zamiarów, kiedy wypływałeś z Francji!

– Wtedy było inaczej. Miałem czas, żeby wszystko przemyśleć.

Uświadomiłem sobie, że sprzedaż byłaby krokiem niewłaściwym. To przecież

moje dziedzictwo: artystyczne, a także i finansowe.

– Ale to nie jest moje dziedzictwo, Tama. Jestem Europejką i wyrabiam meble...

– Zaraz, zaraz, przede wszystkim jesteś moją żoną.

– Już raz mi to mówiłeś dawno temu. Powiedziałeś, że jestem żoną Japończyka mieszkającą w japońskiej rodzinie. Wtedy pogodziłam się z tym,

RS

209

ponieważ myślałam, że to układ tymczasowy. Ale nie mam zamiaru dalej być

traktowana przez twoją matkę jak przedmiot...

– Już ci mówiłem, Gwen, że teściowa i synowa same muszą załatwiać takie sprawy.

– Ale twoja matka wcale mnie nie uważa za synową. Według niej nie wzięliśmy prawdziwego ślubu.

– Och! – westchnął Tama. – Jak się w tym zorientowałaś?

– Ktoś mi to powiedział.

– Kto?

– A jakie to ma znaczenie? To przecież prawda, czyż nie? Według prawa

japońskiego nie jesteśmy legalnym małżeństwem, ponieważ ty nie uzyskałaś

zgody Mirio-san, a ona nigdy ci jej nie udzieli.

– Gwen, wkrótce ukończę trzydziestkę. W trzydziestą rocznicę moich urodzin możemy się pobrać zgodnie z prawem japońskim.

Próbował skłonić ją do uśmiechu i prawdę powiedziawszy, w jego pomyśle było coś komicznego.

– No, dobrze, trzymam cię za słowo, ale na razie, Tama, co ja mam, u licha, zrobić ze swoim życiem? Gdybyśmy wrócili do Paryża,

pracowałabym z

tobą i może stworzylibyśmy kiedyś normalny dom. Tutaj nie potrafię czuć się

gospodynią, nawet gdyby Mirio mi na to pozwoliła. Dni tak strasznie się ciągną... po prostu... strata czasu.

Jeszcze przed chwilą miała ochotę się roześmiać, a teraz, wskutek emocji,

które nią miotają, skłaniała się raczej ku łzom. Czowała się zagubiona i mówiła

drżącym głosem.

– Moja biedna Gwen – powiedział Tama. Objął ją ramieniem i przytulił jej głowę do piersi. – Może się myłę sądząc, że wypełnisz czas

drobnymi

obowiązkami, z których składa się życie przeciętnej japońskiej damy...

RS

210

– Nie biorąc pod uwagę tego, że nie mam żadnych drobnych obowiązków,

bo i tak nie wiedziałabym, jak je wypełnić.

– Masz przecież różne zainteresowania.

– Ale ich nie wykorzystuję, Tama.

– Nie ma powodu, żebyś nie wróciła do projektowania. Jeżeli wpadniesz na coś, co wyda ci się godne uwagi, to chyba będę mógł znaleźć stolarza, który

zdoła zrealizować projekt narysowany przez Europejkę.

Oderwała się na moment od niego, by spojrzeć mu w twarz.

– Mówisz poważnie, Tama?

– Oczywiście. Dlaczego nie?

– Ale przecież...

Zamierzała mu powiedzieć, że zdaniem innych osób swoim sposobem zachowania umniejszała jego godność; być może posiadanie żony, która jest samodzielną projektantką, pogorszyłoby jego status w społeczeństwie. Gdyby wyjawiała mu te wszystkie swoje wątpliwości, musiałaby się przyznać, że rozmawiała na ten temat z Hanako, a czuła, że nie byłby z tego zadowolony. A zresztą, po co wysuwać jakiegokolwiek zastrzeżenia, jak i tak to niczego nie zmieni. Na razie Tama pocieszał ją, że mogłaby się zająć własną pracą. Czas pokaże, czy wywiąże się ze swoich obietnic. Węgiel w *hibachi* powoli wygasał. Musieli klasnąć w dłonie, żeby Suzuki przyniosła więcej węgla, albo przejść do głównego pokoju, gdzie było trochę cieplej.

- Zejdziemy i powiemy twojej matce, że zdecydowaliśmy się zostać?
- Och, ona już o tym wie.
- Powiedziałaś jej? Wcześniej niż mnie?

Gwen była dotknięta tym faktem do żywego. Odskoczyła od Tamy i zakryła oczy rękami, by skryć łzy.

RS

by
poprawić perspektywy zamążpójścia Hanako. Jako matka Hanako,
Mirio-san
musiała się o tym dowiedzieć.

– Rozumiem.

Ale dlaczego dopiero później powiedział o tym własnej żonie? Bo tak
postępuje się w Japonii – dokończyła w duchu, z uczuciem rezygnacji.
Starszym należy okazać szacunek, *genro* domu ma pierwszeństwo przed
młodą
żoną syna. Tak naprawdę, chyba nigdy nie rozumiała Tamy. Teraz już
wiedziała, że nigdy też nie dał się zeuropeizować w takim stopniu, jak
myślała.

To jednak nie powinno odgrywać żadnej roli, gdyż go kochała i
postanowiła z
nim zostać bez względu na okoliczności.

W jednym z ostatnich listów do domu, które pisała co dwa, trzy
tygodnie,
przygotowała matkę na to, że zostaje w Tokio na stałe. Usiłowała
przedstawić
optymistyczny obraz wydarzeń. Jednakże pisząc do Jerome'a, zdobyła
się na
większą otwartość.

„Robię tu trochę własnych rzeczy, żeby nie upaść na duchu – zwierzała
się – ale trudno przewidzieć, czy to będzie miało jakiś sens.

Japończyków nie
interesują meble, z wyjątkiem małych, niskich sprzętów, które można
schować
w szafie – i nie sędzę, żeby chcieli coś w tym zmienić: są wielkimi
tradycjonalistami. Ale pracuję nad paroma rzeczami. Przynajmniej mam
jakieś
zajęcie. ”

Jerome przysłał odpowiedź natychmiast. Nie napisał: „A nie mówiłem”,
choć mógłby tak zrobić. Zamiast tego prosił, żeby mu przesyłała
wszystkie
interesujące szkice. „Każe je wykonać tutaj, w Paryżu, i jeśli okażą się

ładne,
postaram się namówić czołowych twórców mebli do wykorzystywania
twoich
projektów. Zainteresownie stylem *art deco* rośnie. Parę rzeczy, które
uważaliśmy za bardzo awangardowe, jest teraz produkowane masowo. "

RS

212

Kończył żartobliwie: „Za pośrednictwo będę oczekiwał jak zwykle
dziesięciu
procent”. U dołu był jeszcze jeden, mniej żartobliwy dopisek: „Nie
obawiaj się
dbać o swój najlepiej pojęty interes, moja droga. Nie jesteś japońską
żoną,
tylko żoną Japończyka. Możesz myśleć za siebie. ”
Ponura zima dobiegła końca. Zwiastunem wiosny okazały się śliwy
kwitnące w marcu. Rodzina Hayakawa wyruszyła na wyprawę, żeby
zobaczyć
Drzewo Śpiącego Smoka, stare drzewo w ogrodzie na wschodnim
brzegu rzeki
Sumida. Tego dnia padał śnieg, który sprawiał, że delikatne pączki śliw
wydawały się jeszcze bardziej kruche. Pomimo wypicia kilku czarek
cieplej
sake na cześć drzewa, po powrocie do domu Gwen czuła się zupełnie
przemarznięta i bardziej niż kiedykolwiek wyobcowana. Próbowała
wyobrazić
sobie grupkę praktycznych Anglosasów czy uwielbiających wygodę

Francuzów, jak zbierają się w śnieżny dzień, żeby pić alkohol i gapić się na gałąź kwitnącej śliwy. Uznaliby to po prostu za bezsensowne i śmieszne. Tego wieczoru było jej jeszcze ciężiej na sercu. Około dziewiątej zadzwonił telefon. Pani Hayakawa okazała irytację w związku z zakłóceniem domowego spokoju. Za chwilę pojawiła się Kinie z informacją, że pan Inora prosi Tamę do telefonu. Trudno byłoby nie pojąć sensu tej rozmowy. Gwen rozumiała teraz japońszczyznę bardzo dobrze i wychwyciła najważniejszą wiadomość z kwiecistego dialogu. Pan Inora donosił, że przyszły małżonek Hanako wbrew swoim oczekiwaniom nie otrzymał awansu w urzędzie celnym. W tej sytuacji małżeństwo nie mogło być zawarte. Kandydat nie był dość dobry dla Hanako Hayakawa. Pan Inora zaczął pertraktacje od nowa z bardzo odpowiednim młodzieńcem, którego niedawno mu polecono, synem importera sprzętu amerykańskiego. Nikomu nie przyszło na myśl, żeby pytać o coś Hanako, która była tym wyraźnie dotknięta. Marszcząc brwi, pani Hayakawa powiedziała:

RS

– Doprawdy, to bardzo niepomyślne wydarzenie.

Tama wzruszył ramionami.

– Jutro spotykam się z panem Inora, żeby porozmawiać o nowym kandydacie. Pan Inora ma jego fotografię.

– Przyniesiesz ją do domu, żebyśmy go mogła zobaczyć?! – Hanako krzyknęła mimowolnie.

– Hanako! – skarciła ją matka.

– Dlaczego nie? – zagadnęła Gwen, która również odczuwała irytację z powodu takiego traktowania swojej szwagierki. – Czy prawo tego zabrania?

– Nie istnieje żadne prawo, które by tego zabraniało – odparł Tama. – Po prostu nigdy nie słyszałem, żeby u nas coś takiego robiono.

– A poza tym, jaki to miałyby sens? – zapytała Mirio-san. – Fotografia nie ma nic do tego.

– Jeśli fotografia jest nieważna, to dlaczego wspomniał o niej pan Inora?

– Och, no cóż, oczywiście zdjęcie da mi pewne wyobrażenie o tym człowieku: czy jest inteligentny i czy ma szansę się wybić.

– Hanako też chciałaby wiedzieć coś na ten temat.

– Hanako dowie się wtedy, gdy jej czcigodny starszy brat zechce ją o wszystkim poinformować.

– Czy moglibyśmy przestać rozmawiać o Hanako tak, jakby jej tu w ogóle nie było?! – wykrzyknęła Gwen.

– Och, proszę, Gwen-san, nie kłopotz się o mnie – wtrąciła się zaniepokojona Hanako.

– Coś mi się zdaje, że ktoś powinien się o ciebie kłopotać – odparła Gwen. W jej zielonych oczach tliły się iskierki gniewu, a rumieniec, który

pojawił się na policzkach, też świadczył o zdenerwowaniu.

Doprawdy, dziwne z niej stworzenie! – pomyślała Mirio patrząc na nią.

RS

214

– Jak Tama mógł się w niej zakochać? I jakim prawem wtrącała się do spraw zastrzeżonych dla głowy domu i głowy rodziny?

– To bardzo uprzejmie ze strony Gwen-san, że interesuje się Hanako – powiedziała z oziębłą uprzejmością. – Ale może być spokojna, że o przyszłość

jej szwagierki dba się w należyтым stopniu.

– W zwolnionym tempie – mruknęła po angielsku Gwen.

– Co mówi Gwen-san?

– Mówię, że to zajmie dużo czasu i jest bolesne dla Hanako, skoro musi tak długo czekać.

– To absolutna prawda, Gwen-san, ale po śmierci mojego męża pertraktacje zostały zawieszane, a potem zerwane. Wiesz dobrze, że nie można

było zrobić nic do czasu przyjazdu Tamy, który stał się teraz głową rodziny.

Potem rozpatrywano kwestie finansowe. Zgadza się, że wypada ubolewać

nad ostatnią zmianą, ale Gwen-san zapewne ucieszy informacją, że pan Inora

skojarzył już pięćdziesiąt dwa małżeństwa, a zatem wszystko ułoży się dobrze.

Jak na Mirio, przemowa była długa i wynikała po części z chęci uspokojenia samej siebie. Od czasu choroby Shoji-sana rodzinę prześladował

pech. W dodatku w Nowy Rok Mirio miała sen, który mógł zwiastować nieszczęście. Zazwyczaj, kiedy wkładała pod poduszkę obrazek z siedmioma

bóstwami, nic jej się nie śniło, chociaż podobnie jak większość ludzi kłamała

mówiąc, że śniła jej się złota rybka lub zakryta miseczka, które symbolizowały pomyślność.

W ten Nowy Rok miała krótki, wyrazisty sen. Stała wraz z Gwen-san na skale w morzu, a fale podmywały im stopy. W oddali słychać było krzyk jakiegoś morskiego ptaka. Gwen-san przysłoniła oczy, żeby go zobaczyć.

Mirio poczuła, że woda zalała jej stopy, które zrobiły się zimne.

Przebudziwszy

się stwierdziła, że za bardzo się odkryła i rzeczywiście ma zimne stopy.

RS

215

Ale nie potrafiła zapomnieć o swoim śnie. Wszyscy wiedzieli, że pojawienie

się we śnie morza czy morskiego ptaka zwiastuje nieszczęście. Sen, w którym

wystąpiły obydwa te elementy, mógł oznaczać jedynie katastrofę.

Jednakże na początku roku szczęście zdawało się im sprzyjać. Tama powiedział jej, że zamierza pozostać w Tokio. Mirio była pewna, że to oznacza, iż Gwen-san sama wróci do ojczyzny. Niestety, rzeczywistość okazała się inna. Na przekór nadziejom Mirio, Gwen-san zdecydowała

się
zostać z Tamą. Co gorsza, Tama poprosił Mirio o zgodę na małżeństwo
według
obrzędki sintoistycznego. Mirio nie wyraziła zgody, co spowodowało
poważną
kłótnię z synem. Tama oświadczył, że w trzydzieste urodziny lub w dniu
śmierci Mirio poślubi swoją cudzoziemską kobietę zgodnie z japońskim
prawem.

A teraz doszły jeszcze kłopoty związane z wydaniem za mąż Hanako.
Wszystko przez tę cudzoziemkę! To ona przyniosła pecha. Dopóki nie
pojawiła się w ich domu, Mirio nigdy nie śniło się w Nowy Rok nic
złowróżbnego.

– Tym razem wszystko ułoży się dobrze – uspokajał żonę Tama.

– A nawet obróci się na lepsze. Mężczyzna, którego swata pan Inora,
mieszka w Tokio. Hanako nie będzie musiała przenosić się do Hamada.

– Czyżby przeprowadzka do Hamady była złym pomysłem? – zapytała
Gwen.

– No cóż, Tokio jest lepsze.

– W takim razie dlaczego przedtem twierdziłeś, że wszystko jest w
porządku? Dlaczego nikt nie zapytał Hanako, czy nie wolałaby zostać w
Tokio?

– Nie było takiej potrzeby, Gwen-san – odparła łagodnie Hanako.

RS

– Dlaczego nie pozwala się Hanako na poznanie mężczyzny, by mogła
przekonać się, jaki on jest, a dopiero potem zastanowić się nad

małżeństwem?

– mówiła wzburzona Gwen. – Dlaczego Hanako nie może przekonać się, czy

między nią a przyszłym mężem mogłaby zaistnieć jakaś bliższa więź?

– Hanako nie zna żadnych mężczyzn – odrzekł ze śmiechem Tama. I

– Naturalnie, że zna. A przynajmniej poznała kilku...

– W jaki sposób ich poznała?

– Kiedy wychodzi ze mną, żeby odwiedzić moich europejskich znajomych.

Są tam również Japończycy z uniwersytetu lub kół rządowych.

– Nie sugerujesz chyba, że moja córka mogłaby się zaprzyjaźnić z mężczyzną, którego nie zna jej rodzina? – wtrąciła się Mirio.

– Mogłaby, gdyby dano jej szansę.

– To byłoby bardzo niestosowne. Hanako, nie masz prawa chodzić z Gwen-san na żadne z tych europejskich spotkań.

– Zaraz, zaraz! – oburzyła się Gwen. – Zapytajmy o zdanie Hanako.

– Proszę, Gwen, to nie jest istotne – powiedziała Hanako. W jej głosie wyczuwało się błagalny ton, jakby prosiła: Nie róbcie z tego sprawy, to tylko

zepsuje rodzinną atmosferę.

– Żona mojego syna wybaczy mi, jeżeli powiem, że małżeństwo mojej córki zostanie zaaranżowane bez jej pomocy. Wszyscy wiedzą, że Gwen-san

bardzo lubi Hanako, ale inne osoby także lubią Hanako i wiedzą, co jest dla

niej najlepsze. Jeżeli pozwolisz, mój synu, pójdę teraz spać. Dobranoc.

Wypowiedziawszy te słowa, Mirio podniosła się z klęczek płynnym, charakterystycznym dla japońskich kobiet ruchem, podeszła spokojnie do

przepierzenia, rozsunała je i opuściła pokój. Tama ruszył za matką, zanim

zdążyła je zasunąć. Gwen słyszała, jak próbował uspokoić Mirio-san, która coś

RS

217

odpowiedziała gniewnym tonem. Można było rozróżnić zwrot *uchi no haji*:

„Ona jest zakałą rodu!”

To ja – pomyślała Gwen. – Zakała rodu!

Tej nocy spała kiepsko i nazajutrz obudziła się niewyspana i zniechęcona

do życia. Pomimo wszelkich starań nie mogła pogodzić się z tym, co się działo

w rodzinie Hayakawa.

Nie mogę tego dłużej znosić – rozmyślała, spacerując ze strapioną miną wzdłuż strumienia wśród wodnych pędów bambusa. – Po prostu nie pasuję do

tego miejsca. Próbowalam, naprawdę próbowałam. Ale nigdy mi się nie uda

ich zrozumieć i zaakceptować.

Postanowiła powiedzieć Tamie, że wraca do Europy. Gdyby ich związek miał się rozpaść, lepiej było zrobić to teraz, zanim zdążyliby wziąć ślub zgodnie z japońskim prawem. Nie pragnęła przysparzać mu kolejnych kłopotów. Pomyślała, że jeszcze raz spróbuje namówić Tamę do wspólnego

wyjazdu. Przecież był szczęśliwy w Paryżu! Często wspominał to miasto z

rozzewnieniem.

Natomiast ona była zdecydowanie nieszczęśliwa w Tokio. Nie mogła

znieść pozorów dobrych manier i poprawnego zachowania. Według niej to było płytkie i nieszczerze. Nie godziła się z tym, że kobieta musi być słodka, dobra i potulna, a mężczyzna zawsze musi mieć rację. Gdyby postawiła Tamie ultimatum, może by z nią wyjechał. Nie chciała go opuścić – to była ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła – ale też nie mógł być ciągle pępkiem świata i uzależniać od siebie każdą jej szczęśliwą chwilę. Musiała żyć w atmosferze swobody, szczerości, koleżeństwa. Tak trudne postanowienie jeszcze trudniej było urzeczywistnić. Nigdy nie nadchodziła właściwa sposobność, aby mu to oznajmić, a jeśli już nawet miała

RS

218

taką okazję, to brakowało jej słów. Zmizerniała, schudła, cały czas czuła się źle. Na początku kwietnia odkryła przyczynę tego stanu rzeczy. Była w ciąży.

RS

219

11

Gwen przepełniała radość. Nosi w sobie dziecko Tamy...

Nigdy nie myślała o dzieciach. Zawsze żyli bieżącymi wydarzeniami, które nierzadko były stresujące. Najpierw doświadczali wzajemnej namiętności,

później wspólnie pracowali i bez przerwy byli w ruchu. Od chwili przyjazdu do Tokio pojawił się nowy powód do stresu. Gwen musiała podejmować duże wysiłki, żeby pojąć reguły obowiązujące w tej społeczności.

Walczyła również o to, żeby i ją rozumiano. Była zmuszona stawiać czoło

antypatycznej Mirio-san.

Ale teraz nosiła w łonie dziecko Tamy. Wszystkie inne sprawy przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Właśnie szła w stronę przystanku tramwajowego, żeby jechać do miasta, ale nagle zatrzymała się, uświadomiła sobie swój stan. Starła się wszystko

sobie wyobrazić, wybiegając myślami w przyszłość. Mały chłopczyk stawiający

niepewne kroki, gramolący się na jej kolana, żeby wysłuchać bajki.

Będzie nieco wyższy niż większość dzieci, gdyż jak na Japończyka Tama był

imponującego wzrostu, a ona sama przewyższała wszystkie znane jej

Japonki.

Ale jakie ubranka będzie nosił ten mały chłopczyk? Europejskie fatałaszki czy japoński ubiór?

Radość raptownie przygasła, ustępując miejsca zaniepokojeniu. Musi wyjechać stąd już teraz, nim ktokolwiek pozna jej tajemnicę. Musi dopilnować,

żeby jej dziecko przyszło na świat w Europie, gdzie będzie korzystało z dobrodziejstw właściwej opieki medycznej, europejskiego domu, edukacji...

Na razie nikt nie mógł się niczego domyśleć. Kiedy Tama wróci tego wieczoru

do domu, odbędzie z nim rozmowę. Powie mu, że ma po dziurki w nosie japońskiego życia, że nie wytrzymuje klimatu, nie znosi jego matki, więc

RS

220

wyjeżdża do ojczyzny. O, właśnie tak mu powie! A on będzie zdumiony, może

nawet wściekły, potem zaczną się strasznie kłócić, i na tym koniec.

Kiedy wyobrażała sobie tę scenę, wzdrygnęła się całym sercem.

Postąpiłaby zupełnie niewłaściwie. Nieuczciwie, jak oszustka. Zraniłaby Tamę

w momencie, w którym mógłby doświadczyć szczęścia i dumy.

Wiedziała, że

bardzo by go ucieszyła nowina o dziecku. Wprawdzie nigdy nie rozmawiali na

ten temat, ale z pewnością chciałby mieć syna. Wszyscy Japończycy, których
poznała, uwielbiali dzieci. W tym kraju dziwnych obyczajów i niezbyt
żarliwych religii prawdziwymi bogami były dzieci. Przez cały czas
pobytu w
Tokio Gwen nie zauważyła, żeby ktoś dał dziecku klapsa. Wręcz
przeciwnie –
jeżeli dziecko upadło i zrobiło sobie krzywdę, zawsze pojawiał się ktoś,
kto je
podnosił i pocieszał: matka, służący, ciotka, starsza siostra, a nawet
nieznajomy przechodzień.
Przystanęła na moment i obserwowała parę dziewczynek, bawiących się
na ulicy przed małym domem. Biegały drobnymi kroczkami niczym
czarnookie lalki. Śmiały się i rzucały do siebie piłkę z jaskrawożółtego
filcu.
Przestały grać, zobaczywszy Gwen, ale wybuchnęły śmiechem, kiedy ta
dziwna cudzoziemska pani uśmiechnęła się do nich, i pomachały
rączkami.
Dzieci przeważnie się uśmiechały, rzadko widziała je przygnębione i
smutne. Uważały, że cały świat jest im przyjazny. Nikt nie mógł
wyrządzić
krzywdy japońskiemu dziecku. Większość świąt i festynów w tym kraju
wydawała się stworzona tylko po to, żeby dorośli mogli obdarowywać
dzieci.
Dzień Igły, Księżycowy Nowy Rok, Dziewczęcy Festiwal Lalek,
Urodziny
Cesarzowej, Dzień Puszczenia Latawców, Tęczowy Dzień dla
Chłopców i tak
dalej, i tak dalej. Do ogólnokrajowych festynów dochodziły małe
uroczystości
rodzinne, na przykład postrzyżyny czy nakładanie *gaeta*. Być może w
ten
sposób starano się im wynagrodzić ciężkie życie w przyszłości.
Japończycy

RS

221

traktowali po prostu swoje dzieci z wielką miłością, jakiej Gwen nigdzie indziej nie widziała.

Czy mogła nie powiedzieć Tamie, że zostanie ojcem? Czy naprawdę mogła to zrobić? Pozbawić go tego, co stanowiło największą radość w życiu

Japończyka?

Na chwilę przerwała leniwą przechadzkę. Znajdowała się na zabłoconej ulicy, która wiodła do przystanku tramwajowego. Zamierzała wybrać się do

centrum miasta, żeby poszukać *meruku shukuratu*, (w ten sposób

Japończycy

nazywali czekoladę mleczną), która nagle zaczęła bardzo jej smakować.

Apetyt na czekoladę mleczną... Teraz już wiedziała, dlaczego. I zrozumiała,

dłaczego ostry zapach marynowanych warzyw przyprawiał ją o mdłości.

Mirio-san była poirytowana jej zachowaniem. Mruczała coś pod nosem o

„nieokazywaniu wdzięczności za dobre jedzenie”. Gwen doszła do wniosku, że

jeżeli wyjazd nie nastąpi szybko, teściowa na pewno się wszystkiego domyśli.

Jednocześnie wiedziała, że takie potraktowanie męża byłoby niegodziwe...

Czuła, że gdyby wyjechała bez powiedzenia Tamie o dziecku, popełniłaby wielki błąd. Musi mu o tym powiedzieć, a także wytłumaczyć, że powrót do domu, do Europy, do Anglii, jest konieczny. Chce być z matką, kiedy urodzi się dziecko. Gwen pragnęła, żeby dziecko miało wszelkie staroświeckie wygody: szale robione na drutach, kołyskę, zabawki dla ząbkujących niemowląt... Chciała trzymać za rękę swoją matkę, kiedy zaczną się bóle porodowe. Pragnęła też, by podczas porodu zastosowano środki znieczulające. Tama by to zrozumiał. Kto jak kto, ale on doceniał znaczenie więzów rodzinnych. Pozwoliłby jej wyjechać. Gdyby jednak zdecydowała się opuścić Tokio, czy kiedykolwiek by tu wróciła? Wiedziała, że nie.

RS

222

W ciągu dwunastu miesięcy spędzonych w Japonii Gwen odkryła wiele godnych podziwu rzeczy. Bardzo ją ujmowała dobroć, cierpliwość i usłużność

Japończyków. Zachwycona była również krajobrazem –jedeny brzydki element stanowiła europejska architektura. Poziom usług, oddanie służby –

czegoś takiego nie widziało się w Europie. To były plusy życia tutaj, lecz były

i minusy. Największe zastrzeżenie budziło u Gwen całkowite

skrepowanie

ludzi zwyczajami; rzadko wypowiadali swoje opinie, zgadzając się niemal ze

wszystkim, gdyż zaprzeczanie nie było w dobrym tonie. A co do pięknego

otoczenia? Domy były urocze, ale niewygodne. Przeciągi w czasie wichury,

brak intymności, niewygodny różnego rodzaju, jak na przykład brak krzesel (z

dwóch dostępnych taboretów jeden musiał stale znajdować się w łazience)...

No i ten nonsensowny rytuał przy ubijaniu interesów, kiedy trzeba było tracić

pół godziny na oficjalne powitania i życzenia pomyślności, zanim wyłuszczyło

się cel spotkania. A kiedy jeszcze brała w tym wszystkim udział kobieta, stanowiło to największe zaskoczenie. Pewnego razu poszła z Tamą na przyjęcie do herbaciarni i stwierdziła z zażenowaniem, że jest tam jedyną

kobietą, a gejsze zupełnie ją ignorują, zabawiając jedynie mężczyzn...

Tak, pozycja kobiet w Japonii... To była największa przeszkoda dla Gwen. Musiała opuścić ten kraj, gdyż groziło jej bycie nikim: żoną Tamaki-

sana, która nie odgrywa żadnej roli poza uprzyjemnianiem życia mężczyźnie.

Jej własne zalety i zdolności nie liczyły się wcale. Tama obiecał znaleźć stolarza, który by wykonał zaprojektowany przez nią stół, ale na razie nic z

tego nie wychodziło. Naturalnie, był zajęty: pertraktacje w sprawie zamążpójścia Hanako na szczęście posuwały się teraz dość szybko.

Hanako

zaczęła nawet uczyć na kurs dla narzeczonych. Poza tym Tama miał

własną pracę. Warsztat „Dobra Wróżba” prosperował znakomicie.

RS

223

Gwen doszła do przystanku. Po kilku minutach nadjechał tramwaj. Wsiadła do wagonu, wręczyła opłatę kłaniającemu się konduktorowi i zajęła miejsce. Patrzyła przez okno na tokijski pejzaż – niskie drewniane domki, z których część mieściła sklepy i firmy. Szkoła i sznureczek dzieci w szkolnych mundurkach, które szły po chodniku. Chłopcy nosili granatowe, ściśnięte pasami marynarki z białymi kołnierzykami oraz dobrane kolorem spodnie. Dziewczynki były ubrane w podobne do chałatów sukienki z białymi fartuszkami. Kiedy tramwaj zatrzymał się w pobliżu domu towarowego „Mi-tsu-Koshi”, odruchowo wysiadła. Dwóch uśmiechniętych chłopców natychmiast otworzyło przed nią drzwi. W środku zajęły się nią dwie młode kobiety w ciemnych kimonach ze znakami firmowymi. Prowadziły ją, kłaniając się i szepcząc tradycyjną formułkę *Irrashaimase*, czyli „Witamy w naszym sklepie”. Gwen była tak pogrążona w myślach, że nie zwracała uwagi na otoczenie i nie odwzajemniła uśmiechu. Nie pamiętała także, po co przyszła.

Przespacerowała się po całym sklepie, natykając się na pochylonych w
ukłonie
członków personelu. Obejrzała włoski sweter, który jej pokazano, i
pokręciła
głową na widok pudła ze szwedzkimi kieliszkami do wina.
Zbliżała się do wyjścia, którym dochodziło się w okolice terenów Pałacu
Cesarskiego. Mogła się nacieszyć wiosennym dniem, popatrzeć na
kwitnące
drzewa...
Nagle dostrzegła coś interesującego. Znajdowała się w dziale towarów
żelaznych. Na ladzie wyłożono amerykańskie narzędzia. Blask
stalowego
dłuta, matowy połysk drewnianego futerału z heblem... To były
narzędzia
stolarskie. Podeszła do wystawy. Jak zwykle, natychmiast pojawił się
przy niej
sprzedawca z pochyloną głową, który jednak nie potrafił ukryć
zaskoczenia.
– Pani życzy sobie obejrzeć te narzędzia?

RS

224

– Tak, proszę.

– To prezent dla małżonka?

Nie usiłowała nawet mu zaprzeczyć. Wzięła do ręki pudełko, które jej
podał. Drewniana oprawa była wykonana z białego orzecha
amerykańskiego, a

ostrze z hartowanej stali. Trzymając je w ręku, wyobrażała sobie zapach drewnianych strużyn, które padały na ziemię. Wydawało się, że od chwili gdy mogła czuć na co dzień zapach drewnianych wiórów, upłynęło tak dużo czasu.

Minęły całe miesiące, a ona nie zajmowała się niczym poza paroma szkicami i jednym ukończonym projektem stołu, który nie został zresztą zrobiony. Odłożyła hebel i wybrała jedno z dłut – płaskie do zbijania desek na wczep. Na obszytej skórą rączce widniała jeszcze powleczone gumą nalepka

producenta: „Fulton Special, waga 6 uncji, ostrze 1/2 cala. ” Ważyła je w ręku,

rozkoszując się tym, że tak wspaniale przylega do jej dłoni. Kupiła zestaw dłut,

świder, piłę do metali z kompletem ostrzy, hebel oraz poziomice.

Poprosiła,

żeby te towary przesłano jej do domu, ale wzięła ze sobą niczym amulet małe

szczypce służące do wyjmowania kołków.

Gdzie w Tokio kupowało się kołki? Gdzie można było się zaopatrzyć w śrubki, klej i papier ścierny? Postanowiła, że tego się dowie.

Po wyjściu z domu towarowego udała się do hotelu Imperial na poranną kawę. Ponieważ nie mogła przełknąć nawet kęsa ze śniadania, które podano w

domu, była teraz strasznie głodna. Usiadła na dziedzińcu, gdzie kwitły drzewka

bonsai w zabytkowych kamiennych korytkach. Zamówiła kawę i bułeczki z

masłem – codziennie wypiekał je w Imperialu kucharz, który specjalnie pojechał do Europy, żeby nauczyć się tej sztuki.

Gwen wyjęła z torebki ładnie owiniętą paczkę. Zdjęła z niej papier i sznurek. Szczypce: doskonała amerykańska stal i rączki pokryte

niebieską

emalią.

RS

225

Dlaczego je kupiła?

Ponieważ zamierzała coś zrobić. Potrzebowała krzesła – europejskiego krzesła z oparciem, żeby było jej wygodnie siedzieć w czasie ciąży. Ale musiała je wykonać tak, by móc je schować, kiedy nie będzie potrzebne, ponieważ jego widok drażniłby teściową. Zaprojektowała, że będzie to składane krzesło o niedużych rozmiarach, a jego siedzenie i oparcie zostaną

wykonane z przędzy, którą Japończycy wykorzystywali do zasłon. Na specjalnych zaczepach zawisłaby podkładka, na której opierałyby się plecy.

Rowki po bokach krzesła umożliwiłyby wsuwanie poduszek. Po wyjęciu poduszek wystarczyłoby złożyć krzesło bokami do środka jak sandwicz i schować do którejś z szafek w głównym pokoju.

Wyciągnęła ołówek, by wykonać rysunek na odwrocie koperty listu od matki. Nawet o niej nie pomyślała, gdy ołówek śmigał po papierze.

Kiedy kelner przyniósł jedzenie, rzuciła się na nie z wilczym apetytem. Oparła swój rysuneczek o dzbanek z kawą. Mogła wykonać tę rzecz w ciągu

jednego dnia, no, może dwóch. Musi poprosić Tameę, żeby wyszukał jej jakieś

miejsce do pracy. Z tym nie powinno być kłopotu – zawsze znajdzie jakiś

kącik na tyłach warsztatu „Dobra Wróżba” albo któryś z japońskich stolarzy

pozwoili jej skorzystać ze swojej pracowni. Będzie potrzebowała kogoś do

pomocy, gdyż nie znała się wystarczająco dobrze na japońskich narzędziach.

Na przykład imadło: sposób, w jaki Japończycy przymocowywali drewno, by

bezpiecznie je obrabiać, bardzo się różnił od metalowych zacisków stosowanych w Europie.

Kiedy zapłaciła rachunek i wyszła na świeże powietrze, uśmiechnęła się i

spojrzała w górę. Życie jest piękne! Będzie miała dziecko, dziecko Tamy. I

powróci do pracy. Dopiero w tramwaju, w drodze do domu, zdała sobie sprawę

z tego, że już podjęła decyzję. Powie Tamie o dziecku. Urodzi je tutaj, w

RS

226

Tokio. Być może po kilku latach, kiedy chłopiec osiągnie wiek szkolny, zdecyduje się na powrót do Anglii, żeby dziecko otrzymało europejskie wykształcenie. Może wtedy wyjedzie z nią również Tama. A tymczasem będzie żyć tym, co przyniesie kolejny dzień. Dzisiaj była pora, żeby powiedzieć mężowi o oczekiwanym dziecku.

Chciała to zrobić, jak Japonka. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, jak się

do tego zabrać nawet jako Europejka. Wszystko, co wiązało się z rodzeniem

dzieci, traktowano w St Albans z ogromnym zażenowaniem – nikt nigdy o tym

nie mówił. Określano ciężę jako „odmienny stan” albo „delikatną sytuację”.

Jednakże udało jej się podsłuchać sporo rozmów na tematy rodzinne, kiedy do

Mirio przychodziły przyjaciółki. Dlatego słysząc kroki Tamy tego wieczoru,

już wiedziała, co mu powie.

Czekała na niego w pokoju na górze. Wyprowadziła go na balkon, żeby obwieścić nowinę w obecności świętych chmur wieczoru oraz

zachodzącego

słońca. Na niskim stoliku znajdowała się herbata i ciasteczka ryżowe, a także

cienka lakierowana waza z dwiema japońskimi liliami różnej długości: jedna

była krótsza od drugiej, co symbolizowało matkę i dziecko.

Ukloniła się – nie tak nisko jak japońska kobieta, a i efekt był skromniejszy, ponieważ nie miała kimona, na którym mogłyby spocząć jej

ręce. Ten ukłon wyrażał jednak miłość i uznanie, co sprawiło, że Tama stanął

jak wryty.

Używając bardzo grzecznej formuły *anata* i zwracając się do Tamy per Tamaki–sama, co wyrażało większy szacunek niż zwykle Tamaki–san, powiedziała:

– Czcigodny mężu, będziesz ojcem naszego dziecka.

Na twarzy Tamy pojawił się uśmiech, a potem powątpiewanie.

RS

227

– Twoja znajomość japońskiego jest tak niewielka, Gwen – odparł, wykonując niepewny gest ręką. – Powiedz to po francusku.

– *Je suis enceinte* – oświadczyła Gwen.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

Objął ją ramionami w bardzo niejapońskim uścisku.

– Kochanie! Kiedy się o tym dowiedziałaś?

– Dzisiaj.

– Byłaś u lekarza?

– Dobry Boże, nie potrzebuję lekarza, żeby stwierdzić, iż oczekuję dziecka!

– Ale czy jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna.

– Och, Gwen!

Wybuchnął potokiem japońskich słów. Zrozumiała jedynie, że bardzo pragnął mieć syna, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, że jego

ród ulegnie przedłużeniu, że jego matka będzie zachwycona i że ma najpiękniejszą żonę na świecie.

– Musimy natychmiast powiedzieć o tym Mirio-san.

– Tak.

Mirio siedziała na piętach w głównym pokoju przy rozsuniętych przepierzeniach i patrzyła na ogród skąpany w świetle wczesnego wieczoru.

Na gałęzi karłowatej wiśni za sadzawką siedziała para nakrapianych gołębi.

Samiczka pyszniła się swoimi piórkami, a samczyk gruchał. Ta parka przebywała na stałe w ogrodzie, co uważano za niezwykle pomyślny znak.

Mirio często ją obserwowała.

RS

228

– Mirio–san, mam ci coś ważnego do powiedzenia – oświadczył Tama, przerywając jej zamyślenie.

Mirio odwróciła głowę. Przekonawszy się, że chodzi o oficjalne zawiadomienie,

zmieniła pozycję w taki sposób, aby usiąść twarzą do pokoju. Uczyniła to z wdziękiem, jak wszystkie Japonki – Gwen nigdy nie potrafiła wykonać tak płynnego ruchu.

– Mirio–san, będziesz babką mego syna.

Mirio wpatrywała się w niego bez słów. Na jej twarzy widać było rozmaite emocje: zaskoczenie, radość, obawę, niepokój. Ale wkrótce nic z niej

nie można było wyczytać, gdyż pochyliła się do samej ziemi.

– Gratulacje, Tamaki–sama. Gratulacje również dla matki syna.

– Dziękuję. To szczęśliwe wydarzenie przypada na listopad, około Dnia Meizi Setu.

– Dobry dzień. Pomyślna wróżba – powiedziała Mirio i wyprostowała się. – Jesteśmy błogosławieni. Ta rodzina przetrwa przez wiele lat.

Musimy
odwiedzić grób ojca i powiadomić go o tym.

– Tak, oczywiście.

Nie minęło dużo czasu, a już cała służba знаła nowinę. Kinie przyniosła herbatę i ciastka, chociaż nikt nie kazał jej tego robić. Nawet ona była zadowolona i złożyła Gwen specjalny ukłon, kiedy stawiała tacę przed Mirio.

Natomiast Hanako była w siódmym niebie na myśl o tym, że zostanie ciotką.

W ciągu następnych tygodni Gwen niemal dorównała Mirio pod względem pozycji w domu. Nie oczekiwano od niej przejęcia steru – zresztą

nie byłaby w stanie tego uczynić, nawet gdyby ją o to poproszono – ale poza

tym traktowano ją z szacunkiem.

Podczas posiłków pojawiły się zagraniczne produkty, dotychczas zakazane przez Mirio. Kucharz Ota przyrządzał ten okropny napój, kawę. W

RS

229

dwa dni opanował sztukę jej parzenia do perfekcji. Codziennie dostarczano

meruku, mleko, dziwną białą ciecz do mieszania z kawą. Mirio nie mogła tego

pojąć – tyle zachodu z gotowaniem wody i odpowiednią ilością brązowego

piasku, a kiedy ten gorzki napar był gotowy, mieszano go z białym płynem,

żeby zmniejszyć gorycz.

Kawa na śniadanie! Wprawdzie bez rogalików – nie sprzedawały ich w Japonii nawet specjalne sklepy z europejskimi towarami. Ale od czasu do

czasu można było zdobyć chleb, a znacznie częściej dżem z moreli sprowadzany ze Szwajcarii. Także mięso – baraninę i wołowinę – oraz ziemniaki i mąkę do wyrobów cukierniczych. Kiedy w Tokio rozpoczęły się

letnie upały, przywożono ze sklepów lód w specjalnych pojemniczkach.

Wszystko, czego zażyczyła sobie Gwen, zamawiano telefonicznie i dostarczano

do domu, o ile oczywiście można było zdobyć dany produkt w Tokio.

Ważniejsza wydawała się decyzja Tamy, który chcąc dogodzić swej ciężarnej żonie, polecił wybudować osobne pomieszczenie w warsztacie, gdzie

mogła pracować. Wynajął dwóch stolarzy, ojca i syna, do cięższych zadań, na

przykład do piłowania. Po trzech czy czterech dniach absolutnej konsternacji,

związanej z faktem, że instrukcje wydawała kobieta, Yosus-san i jego syn

Hayato zasmakowali w swoim zajęciu. Ta cudzoziemka pokazała im nowe

narzędzia, niepodobne do tych, które znali dotychczas, przy czym nie zniechęcała ich do używania swoich narzędzi, do których byli przyzwyczajeni.

I sama także pracowała. To było dziwne, ale za to, kiedy wracali wieczorem do

domu, mieli co opowiadać sąsiadom. Składane krzesło zostało przyniesione do

domu przez Hayato i ustawione przez Gwen w głównym pokoju, gdy nikogo

tam nie było. Kiedy członkowie rodziny wrócili do domu – Hanako ze

szoły

dla narzeczonych, Mirio z wizyty u przyjaciółki, a Tama z warsztatu lakierniczego – na środku pokoju stało krzesło. Mirio-san dostrzegła jego

RS

230

piękno. Wychowano ją w atmosferze szacunku dla pięknych przedmiotów. Ale

jaki był z niego pożytek? Któż w Japonii chciałby mieć krzesło?

No cóż, to mogła być tylko Gwen-san. Usiadła na krześle z westchnieniem ulgi i wachlowała się, gdyż majowy wieczór był dość ciepły.

Potem wypróbowali je Hanako i Tama. Stwierdzili, że jest bardzo wygodne.

Mirio-san usiadła ostrożnie na samym brzeżku, wypowiedziała parę nic

nie znaczących uprzejmości, a następnie zapytała:

– Czy od tej pory mamy wokół niego spacerować?

– Wcale nie – odrzekła synowa. Szybkim ruchem usunęła poduszki w bawełnianych powłoczkach, odpięła dwa dotychczas niewidoczne haczyki,

przycisnęła mebel obiema rękami i po chwili krzesło leżało na matach, nie

zajmując więcej miejsca niż złożone kimono. Gwen otworzyła z uśmiechem

szafę, umieściła w niej krzesło i poduszki, po czym popatrzyła na

wszystkich,

pragnąc usłyszeć ich zdanie.

– Och, Gwen–san, jakie to sprytne! – wykrzyknęła Hanako, klaszcząc w dłonie.

– Dziękuję. Muszę powiedzieć, że ja również sędzę, iż jest to niezłe pomyślane.

– Mam bardzo sprytną żonę – oznajmił ze śmiechem Tama.

A więc teraz ta dziwaczna synowa mogła sobie siadać na krzesło. Może w końcu przestanie narzekać, jak to jej trudno siedzieć na piętach, choć w ten

sposób siedzą wszystkie zasługujące na szacunek kobiety – pomyślała Mirio.

Ale zdarzyło się coś przedziwnego. Inni ludzie zobaczyli krzesło albo o nim

usłyszeli. Wiele osób zapragnęło kupić ten przedmiot. Wydawało się, że zamieszkali w Tokio Europejczycy od dawna poszukiwali krzesła, które mogliby postawić w swoich japońskich kwaterach. Co zapobiegliwi Japończycy również chcieli się zaopatrzyć w krzesła, które można byłoby

RS

231

zaoferować europejskim gościom, a jednocześnie nie zagracać niepotrzebnie

domów. Dlatego uruchomiono produkcję składanych krzesła, a wtedy Gwen

kazała zwiększyć liczbę pracowników i zainstalować elektryczność,

która
umożliwiła użycie maszyn do obróbki drewna. A później zrobiła stół –
tak,
kolejną piękną rzecz, niedużą, o delikatnej budowie. Błat wspierał się na
czterech cienkich nogach przypominających nogi ptaka, ale wszystko
było
wykonane z drewna i łatwe do demontażu. Stół również spodobał się
klientom,
wobec czego wprowadzono do sprzedaży ten wzór.
Gwen owładnęła twórcza gorączka. Miało się wrażenie, że oczekiwanie
na dziecko wyzwala w niej nowe pomysły. Wieczorami szkicowała, a
nazajutrz
pokazywała swoje rysunki Yosui. Omawiali razem projekt, on zaś
decydował,
jak się do niego zabrać. Wyrabiali składane krzesła, stoły z ptasimi
nogami,
parawany z ozdobami z wypukłej listwy, przez którą prześwitywał
niczym
tęcza kolorowy jedwab, a także dziwne przedmioty do zawieszania na
ramach
okiennych, żeby Europejczycy mogli się w nich przeglądać, golić się
czy
układać włosy.
Gwen przesłała rysunki Jerome'owi, który odpisał, że przedstawił je
paryskim producentom mebli. Pytali o możliwość kupna parawanu z
wypukłymi ozdobami i stołu, aczkolwiek nie wyrazili zainteresowania
krzesłem. Jerome informował ją również, że parawan, który
zaprojektowała
przed wyjazdem z Paryża, dobrze się rozchodził. Dodał, że wkrótce
prześle jej
czek. Doradził też, że powinna otworzyć konto w banku tokijskim.
Matka entuzjasmowała się w liście oczekiwanym potomkiem. Pragnęła
być razem z Gwen. „Przyślij mi swoją fotografię, żebym widziała, jak
wyglądasz. Tak się o ciebie martwię – jesteś tak daleko stąd, na drugim
końcu

świata. I piszesz, że wracasz do pracy. Powinnaś teraz dużo wypoczywać, a nie dłużyć w drewnie".

RS

232

Nadeszło lato. W przeciwieństwie do zeszłego roku, kiedy prawie cały czas padało, tegoroczne *tsu-yu* było zwyczajne. Trwało od połowy czerwca do

połowy lipca – po kilkudniowych opadach następowały gorące suche dni.

Ziemia drżała chyba rzadziej niż zwykle. Temperatura w sierpniu przeważnie

dochodziła do czterdziestu dwóch stopni Celsjusza. Gwen bardzo to odpowiadało. Nigdy nie czuła się tak dobrze. Upał jej sprzyjał. Upinała wysoko swoje ciemnomiedziane włosy, żeby było jej chłodniej, nosiła luźne

jedwabne sukienki i buty na płaskich obcasach. Poruszała się powoli, żeby się

nie pocić, przede wszystkim zaś była pochłonięta pracą i zadowolona.

Natomiast Mirio-san szarpała się między uczuciem rozpaczy i zachwytem.

Bardzo chciała zostać babką – to była najważniejsza rzecz dla japońskiej kobiety po macierzyństwie. Ale jak będzie wyglądał jej wnuk? A jeśli odziedziczy po matce dziwny kolor włosów i zielone oczy? Co będzie, jeśli na

jego skórze pojawią się te dziwne brązowe kropki, które Gwen–san nazywała piegami, *furekuru!* A jeśli będzie równie niesforny jak matka, trudny do okiełznania?
Z początku Mirio–san niemal pragnęła, żeby jej synowa poroniła. Jednakże robienie sobie tego rodzaju nadziei było niegodziwe, a poza tym stanowiło złą wróżbę dla małżeństwa Hanako, do którego miało dojść już wkrótce. Należało też wziąć pod uwagę jeszcze jedną sprawę. Kiedy Hanako weźmie ślub i wyprowadzi się do domu męża, Mirio–san zostanie sama z cudzoziemską synową, która po urodzeniu dziecka będzie oczywiście dla Tamy najważniejsza. Jak Mirio–san miała sobie poradzić w tej sytuacji? Nawet wierna przyjaciółka Kinie, która była w tym domu od chwili jej zamążpójścia, znajdowała się pod urokiem tej obcej kobiety, skoro używała do kąpieli mydła podarowanego jej przez Gwen–san.

RS

zmuszona do
ustąpienia z pierwszoplanowej pozycji. Właściwie już ją traciła powoli.
Do
domu przychodzili goście, czasami Japończycy, ale przeważnie ludzie z
Zachodu w odwiedziny do Gwen. Mirio nie była w stanie brać udziału w
ich
rozmowie, chyba że Gwen-san czy Tama tłumaczyli. A kiedy
przekładali treść
rozmowy, prawie zawsze okazywało się, że Mirio nic na dany temat nie
wie.
Sztuka – o tak, dyskutowali o sztuce, a Mirio trochę znała się na sztuce,
ponieważ miała ją we krwi. Ale oni mówili o artystach, których
nazwiska
brzmiały dla niej obco, gdyż byli Europejczykami, a także o meblach,
głównie
o meblach Gwen-san. Czyż Mirio-san mogła kiedykolwiek
przypuszczać, że
jej synowa będzie się zajmowała wyrabianiem mebli? Pracowała rękami
niczym jakaś wieśniaczka, wbijała gwoździe, piłowała i malowała.
Niekiedy Mirio wydawało się, że nienawidzi swojego syna. To przecież
on sprowadził do domu tę kobietę. Jak mógł to zrobić?! Jak mógł
poświęcać jej
tyle uwagi? Jak mógł pozwolić Gwen-san zwracać się do siebie w taki
sposób?
Czasami Mirio odnosiła wrażenie, że traci zmysły. Cały jej świat
wydawał się wywrócony do góry nogami. Lepiej byłoby umrzeć niż
zmuszać
się do życia w tym koszmarze. Zdarzało się, że Mirio zazdrościła
mężowi
spoczywającemu pod kamienną płytą rodzinnego grobowca.
Ale nie wolno jej było umrzeć, przynajmniej jeszcze nie teraz. Musi
zobaczyć swego wnuka, a to zależało od przeklętej *geijin*.
Te rozterki duchowe sprawiały, że Mirio była cały czas spięta i
zachowywała
się jeszcze bardziej nieobliczalnie. Coraz trudniej było jej

przestrzegać dobrych obyczajów.

Pierwszego września Mirio wstała z bólem głowy. Patrzyła, jak jej synowa pije dziwny napar zwany *kofi* i je jedzenie o nazwie *buredu*.

RS

234

Nie powinnam na to pozwolić! Powinnam to wszystko wyrzucić – pomyślała.

Gwen tradycyjnie poprosiła teściową, żeby się poczęstowała chlebem i masłem.

– Tego nie przełknęłaby żadna cywilizowana osoba – odparła zimnym tonem Mirio.

– To się jada prawie na całym świecie, *obaa-san*.

Obecnie w stosunku do Mirio używano grzecznego zwrotu *obaa-san*, który oznaczał babkę. Zaczęto go stosować już po kilku miesiącach od powiadomienia jej o ciąży Gwen. Z jakiegoś powodu tego dnia Mirio uznała

ten sposób tytułowania za niewłaściwy.

– Nie nazywaj mnie *obaa-san*!

– Przepraszam, Mirio-san. Czy coś jest nie w porządku?

– A cóż miałoby być nie w porządku? Hanako! – zawołała ostrym głosem

na córkę. – Spóźnisz się!

– Nie, matko. Dzisiaj rano mamy zajęcia z układania kwiatów. Kazano nam przyjść godzinę później, żebyśmy miały czas na przygotowanie kwiatów.

– Jakie kwiaty weźmiesz, Hanako? – zapytała Gwen.

– Nieważne, jakie kwiaty weźmie! W gruncie rzeczy uważam, że lepiej by zrobiła nie idąc tam. Zrywa się bardzo silny wiatr, a to oznacza, iż niedługo

znad morza przyjdzie burza z deszczem.

– Ale, matko...

– Niezależnie od wszystkiego, chcę, żebyś mi pomogła wywatować kimona.

– Ależ Mirio-san, nie będziemy ich potrzebowali jeszcze przez co najmniej sześć tygodni! – wtrącił się Tama.

RS

235

– Ale kiedyś trzeba będzie je zreperować, prawda? Daj mi klucze do składziku. Zaraz po śniadaniu pójde po kimona.

Tego dnia Gwen zamierzała zostać w domu. Pracowała nad pomysłem obudowy zegara, która pasowałaby do japońskiego domu. Europejskie zegary

wyglądały dziwnie w japońskich wnętrzach. Myślała o wykorzystaniu

bambusa. Nie musiała iść do warsztatu – robotnicy mieli tam sporo pracy.

Jednakże zły humor Mirio zapowiadał nie najlepszy nastrój przez cały poranek.

Lepiej będzie wybrać się do miasta, żeby kupić jakieś owoce – może wiśnie.

Dziwiło ją, że chociaż Japończycy namiętnie uwielbiali widok kwitnących

wiśni, nikomu nie przyszło nigdy do głowy posadzenie drzew, które
rodziłyby
jadalne owoce. Niedawno w jakimś sadzie parę mil za Tokio zaczęto
uprawiać
europejskie wiśnie, które, jak się dowiedziała, można było już kupić w
sklepach.

– Chodź ze mną, Tama – zaproponowała. – Moglibyśmy się wybrać do
Imperialu i posłuchać orkiestry jazzowej.

– Wiesz przecież, że będą grać dopiero po południu. Poza tym dziś rano
spodziewam się klienta. Jeżeli uda ci się zdobyć wiśnie, zostaw mi
trochę.

Pocałował ją z roztargnieniem i udał się do „Dobrej Wróżby”. Kiedy
Mirio spostrzegła na ganku synową ubraną w nieprzemakalny płaszcz i
w

kaloszach, zatrzymała ją.

– Nie wychodź na dwór. Będzie straszna ulewa.

– Słyszałam, jak to mówiłaś Tamie, dlatego wzięłam specjalne rzeczy od
deszczu.

– Jeżeli to będzie tajfun, ten płaszcz nie na wiele się zda.

– Jeżeli będzie aż tak źle, wrócę do domu taksówką.

– Lepiej zostań.

RS

236

Dla japońskiej synowej byłoby to równoznaczne z rozkazem. Ale Gwen
odparła tylko:

– Nie, zdecydowałam jednak, że pójdę.

Na dworze wiał rzeczywiście silny wiatr. Gwen cieszyła się z tego, że nie wzięła papierowego parasola, który natychmiast uległby zniszczeniu. W sklepach przy rynku owocowo-warzywnym nie znalazła wiśni, toteż kupiła daktyle i *nashi*, odmianę gruszek, która bardzo jej smakowała. Tymczasem zaczął padać deszcz, który nasilał się z każdą minutą, a po pewnym czasie lał już całym niebem. Ludzie szukali schronienia. Gwen próbowała nałożyć płaszcz przeciwdeszczowy, ale to się jej nie udawało, bo ciągle szarpał nim wiatr. W końcu rozpostarła płaszcz nad głową. Zbliżało się południe. Pomyślała, że należałoby złapać taksówkę i wrócić do domu. Ale jak to zwykle w czasie ulewy, nie było wolnych taksówek. W pobliżu znajdował się hotel Imperial. Mogła do niego pobiec pasażem, który dawał jakie takie schronienie przed deszczem. Wpadła do hotelu, zrzucając z siebie mokre okrycie. Najrozsądniej byłoby zjeść tutaj lunch, poczekać na poprawę pogody i wrócić do domu. Żeby się osuszyć i jakoś doprowadzić do siebie, Gwen poszła najpierw do damskiej toalety. Przeszła przez hol w stronę małego korytarza i już wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi... Ale one się od niej po prostu odsunęły. Chcąc spróbować jeszcze raz, pochyliła się do przodu. Podłoga zaczęła się usuwać jej spod nóg. Gwen uderzyła głową we framugę drzwi.

– Trzęsienie ziemi! – krzyknął portier w holu. – Wszyscy na zewnątrz! Trzęsienie ziemi!

RS

237

12

W skutek uderzenia głową o drzwi, Gwen runęła na podłogę. Z trudem podniosła się na nogi. Zewsząd do foyer zaczęli wbiegać ludzie. Z zewnątrz

dochodziły krzyki. Wkrótce dało się słyszeć dziwne dudnienie, coś w rodzaju

pomruku. Hol zadrżał. Żyrandole zakołysały się to w jedną, to w drugą stronę.

Jakaś para zbiegająca po schodach, stoczyła się po nich na dół. Gwen przywarła kurczowo do ściany przy wejściu, by nie stracić równowagi.

Ktoś

otoczył ją ramieniem.

– Chodźmy, proszę pani, nie ma czasu, żeby się zatrzymywać.

Jakaś siła rzuciła ją do przodu, w stronę wyjścia. Drzwi latały w zawiasach. Przedarła się przez nie grupa około dwunastu ludzi. Na ulicy za

dzielnice hotelu jakiś tramwaj przewrócił się na bok.

Ziemia drżała. Gwen straciła poczucie równowagi. Upadła na kolana, uświadomiła sobie, że ślizga się do przodu, rozrzuciła ręce i próbowała uchronić się przed ciężkim upadkiem na twarz. Po chwili znowu niepewnie

stała na nogach. Tłum unosił ją ku bramie dzielnicy. Na ulicy budynki

przemieszczały się jak zabawki. Gwen zasłoniła oczy ramieniem, gdyż ten widok przyprawiał ją o zawrót głowy. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak się stoi prosto, gdyby świat uległ rozpadowi.

– Hej, chodźcie no! Wracajcie! Na dziedzińcu jest bezpieczniej niż tutaj! Czoło grupy zderzyło się z osobami, które usiłowały wyjść. Przez chwilę trwała chaotyczna przepychanka. Ktoś wydawał komendy w obcym języku, ktoś inny podjął się roli tłumacza:

– Tak, w porządku, hotel jest cały, wracajcie!

Ludzie jakoś się pozbierali w sobie i chwiejnym krokiem przeszli na dziedziniec. Donice z drzewkami bonsai przemieściły się na wyłożoną

RS

238

kamieniami nawierzchnię. W ogólnym zamieszaniu nie zauważono, że zabytkowe donice uległy rozbiciu. Nadal słychać było wściekły pomruk, który zdawał się świadczyć o tym, że ziemia oddaje swoją duszę. Okrzyki strachu, walenie się budynków, szczęk zderzających się pojazdów. Nagle rozległ się okropny dźwięk, powiał wiatr i nastąpiła potężna eksplozja.

– Mój Boże, co to było?

– Gaz – odparł szorstko jakiś Brytyjczyk. – To był wybuch rurociągu

gazowego.

Ludzie, którzy znowu cofnęli się na dziedziniec, rzucali sobie zatrwożone

spojrzenia. Było wśród nich dwudziestu obywateli zachodnich, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, trzech japońskich biznesmenów i około dziesięciu

Japończyków w hotelowych uniformach – kelnerzy, portier, urzędniczka z

repcji.

Ziemia znowu zatrzęsła się z nieoczekiwaną gwałtownością. Wszystko drżało. Ludzie wpadali na siebie, by przywrzeć bezładną gromadą do ziemi.

Potężne dudnienie na chwilę zagłuszyło huk walących się ścian i krzyki ludzi,

którzy wybiegli na zewnątrz, by uniknąć przygniecenia. Przez ziemię przeszło

długotrwałe falujące drzenie. Gwen usłyszała swój własny, przepełniony strachem płacz. Skuliła się w sobie, przykrywając ciało ramionami.

– Moje dziecko, moje dziecko – szlochała.

Ziemia uspokajała się po wstrząsie niczym zwierzę, które wreszcie było syte. Faliste ruchy zamierały, a przeraźliwe dudnienie stawało się coraz mniej

słyszalne, aż wreszcie wyczuwało się tylko wibrowanie powietrza.

Jeden z mężczyzn podźwignął się na nogi. Stał niepewnie, a potem wyciągnął ręce, by pomóc swojemu sąsiadowi.

– Myślę, że najgorsze za nami – powiedział.

– Na razie – dorzucił ktoś inny.

RS

239

Pracownicy hotelu i goście powstali w milczeniu, ale hałas dochodzący z miasta był bardzo donośny, choć różnił się od dźwięków podczas trzęsienia.

Teraz do uszu zebranych dobiegały odgłosy będące następstwem wstrząsów.

Prócz huku walących się domów dały się słyszeć budzące grozę trzaski.

– Pożar – stwierdził ktoś z tłumu.

– Tak, z pewnością.

Jakaś starsza dama, której twarz była umazana krwią z rozciętego czoła, wystąpiła naprzód.

– Czy wszyscy czują się dobrze? Czy nikt nie potrzebuje pierwszej pomocy?

Popatrzyli na siebie i swoich sąsiadów. Ubrudzone twarze, rozczochrane włosy, powalane sukienki i garnitury, skaleczenia i siniaki.

– Czy ktoś został w hotelu? – zapytała, a potem dorzuciła po japońsku: – To przecież nie jest cały personel?

– Nie, proszę pani, wiele osób ewakuowało się innymi wyjściami, zgodnie z instrukcją o zagrożeniu pożarowym.

– Tak, rozumiem. Panie Melville, czy zechciałby pan wejść do środka z paroma innymi dżentelmenami i zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje pomocy?

– Oczywiście, proszę pani. Stewart, pójdiesz ze mną?

Dwóch mężczyzn udało się z powrotem do hotelu, a towarzyszył im

japoński portier. Gwen spojrzała na budynek. Z niektórych okien powypadały szyby, drzwi nachyliły się pod osobliwym kątem, ale w sumie hotel Imperial wydawał się nietknięty. Odwróciła się na chwiejnych nogach. Centrum miasta bardzo ucierpiało wskutek trzęsienia. Tam gdzie wcześniej stał długi rząd biurowców, banków i budynków mieszkalnych, teraz nie było prawie niczego, a ku niebu wznosił się tylko tuman szarego pyłu. Rwetes był nie do opisania: ludzkie krzyki rozpaczy i bólu, trzask buchających

RS

240

płomieni, przeraźliwy huk walących się budynków, który odbijał się zwielokrotnionym echem, by wreszcie runąć na ulicę.

Gwen zerknęła na zegarek. Parę minut po dwunastej. Jej zegarek z pewnością przestał chodzić. Potrząsnęła nim i przytknęła do ucha. A jednak

tykał. Od chwili, gdy drzwi toalety odsunęły się od niej, upłynęło zaledwie

tylko dziesięć minut. Wystarczyło dziesięć minut, by świat uległ zniszczeniu.

– A dokąd to się pani wybiera? – zagadnęła ją starsza dama.

– Do domu! Muszę wracać do domu! Mój mąż...

– Uspokój się, moja droga, popatrzmy, jak pani wygląda... Zdarła pani

skórę z kolan i łokci. Nie, nie, proszę nie próbować wstać; przeżyła pani wielki

szok. I w tym stanie chyba trudno dać sobie z nim radę, prawda, kochanie?

– Czuję się dobrze. Proszę mnie podnieść. Ja m u s z ę wrócić do domu.

– Dokąd?

– Do Higashi, to około dwóch mil stąd.

– A w jaki sposób zamierza się tam pani dostać? — Taksówką.

– Moje drogie dziecko, nie ma taksówek. Prawdopodobnie nie ma także drogi. Teraz zachowuj się spokojnie i spróbuj dojść do siebie. Powiedz, jak się

nazywasz, kochanie: podaj mi swoje nazwisko.

Gwen zarzuciła próby wstania z ziemi. Usiłowała skoncentrować się na pytaniu.

– Moje nazwisko... Nazywam się Gwen Hayakawa.

– Dobrze. Ja nazywam się Jane Bedale. Przebywam z misją metodystów w Ahasi, a do Tokio przyjechałam tylko na kilka dni, żeby załatwić pewne

sprawy. No jak, czujesz się lepiej?

– Tak, dziękuję. Dziękuję, panno Bedale. Myślę, że teraz mogę się podnieść.

– Nie ma powodu, żeby to robić. Proszę spokojnie siedzieć.

RS

241

– Ale pani nie rozumie! Mój mąż i jego rodzina...

– Rozumiem, moja droga, rozumiem doskonale. Nie wiesz, co się z nimi

stało. Ale nie możesz jechać do Higashi. Nie możesz...

Ziemia pod nimi znowu gwałtownie zadrżała. Przez chwilę czas zatrzymał się w miejscu. Jednakże po kilku sekundach drżenie ustało.

– Widzisz, kochanie – powiedziała panna Bedale, kręcąc głową. – Nie wolno pani nawet myśleć o wyjeżdżaniu dokądkolwiek. Nie wiemy, czy to już

się skończyło, czy za moment nie będzie jeszcze gorzej.

– Ale...

– Na co się zda opuszczenie tego miejsca, jeżeli upadnie na panią jakiś kawałek muru?

– Ale...

Nagle owionął ich gorący strumień powietrza. Miało się wrażenie, że ktoś otworzył nagrzaną piekarnik.

– Co to takiego? – wydusiła z siebie Gwen.

– Ogień, pani Hayakawa. Po trzęsieniu ziemi zawsze następują pożary. Przeżyłam kiedyś coś takiego w Indiach Wschodnich: pożar wyrządził więcej

szkód niż trzęsienie ziemi.

Oczywiście... Te drewniane domki, papierowe okna, pokoje ogrzewane piecykami na węgiel drzewny, nowoczesny rurociąg gazowy w centrum miasta, który teraz płonął... W domu w Higashi znajdował się kuchenny piec

opalany węglem drzewnym – Ota zapewne właśnie przygotowywał posiłek. A

w warsztacie „Dobra Wróżba” dołożono świeżego węgla, żeby ogrzać suszarnię...

– Muszę wracać do domu! – krzyknęła Gwen i stanęła na drżących nogach.

RS

242

Podtrzymała ją panna Bedale, która nie puszczała jej jednak dalej. Gwen usiłowała iść, niemal wlokąc za sobą starszą kobietę w kierunku bramy na dziedzińcu. Podbiegł do nich jeden z mężczyzn i chwycił Gwen za ramię.

– Niech pani posłucha, proszę nie robić głupstw.

Gwen zderzyła się z czyimś baryłkowatym ciałem odzianym w czarną prążkowaną marynarkę.

– Mój mąż... Muszę...

– Myśli pani, że inni nie boją się o swoich bliskich? – odparł Amerykanin

i przyciągnął ją siłą. – Ale nikt nie powinien się nigdzie wybierać.

Wyjrzała przez bramę i upewniła się, że miał rację. Mnóstwo zniszczonych

budynków, kamienne płyty i trochę drewna – wszystko stało w płomieniach ognia. Droga została zablokowana kamieniami i cegłami, samochody leżały przewrócone jak zabawki, a przewody nad dwoma tramwajami tworzyły bezładną plataninę. Wszędzie z ruin gramolili się ludzie,

których ubrania tliły się od spadających palących się szczap. Biegali, zataczali

się, zgięci wół z bólu, starsi czołgali się, wzywali pomocy, wykrzykiwali

imiona ukochanych osób. Właśnie w tej chwili uciekinierzy dotarli do

bramy i
zaczęli się wdzierać na dziedziniec. Duży kamienny budynek z
kamienną
bramą był bezpieczny: nie groził zawaleniem, nie płonął. Ludzie
napłynęli
całym tłumem, blokując wyjście. Gwen zachwiała się, ale podtrzymali ją
panna
Bedale i pulchny Amerykanin. Wycofali się do hotelu, aczkolwiek
uczynili to
niechętnie, gdyż przebywanie na dworze było znacznie bezpieczniejsze.
Wewnątrz wielkie zagrożenie stanowiły walące się sufity i dachy.
Przez chwilę Gwen nie wiedziała, co się dzieje. Popychano ją to w
jedną,
to w drugą stronę. Stopniowo napór tłumu malał. Dotarło do niej, że
znajduje
się w holu hotelu Imperial, siedzi na wyściełanej ławie i ktoś usilnie ją
nakłania
do tego, by łyknęła coś z jakiejś manierki.

RS

243

– Nigdzie się nie ruszam bez zapasu – powiedział Amerykanin i ponuro mrugnął okiem. – Dobry bourbon szybko postawi panią na nogi. Wypiła trochę łagodnego trunku. Nagle uświadomiła sobie, że ma zupełnie wysuszone gardło. Pragnienie wywoływał kurz, który unosił się dosłownie wszędzie. Gwen była cała pokryta pyłem, podobnie jak panna Bedale, Frank Erender – właściciel bourbonu, a także reszta

zgromadzonych w
holu osób. Do wnętrza hotelu dostawał się także czarny dym, który niósł
ze

sobą odór palonego drewna i zwęglonych ciał.

– Musimy coś zrobić – powiedziała niepewnie Gwen.

– Przykro mi, proszę pani, ale nic się nie da zrobić. Rozejrzałem się na
dworze. Nie ma sposobu, żeby straż pożarna mogła dotrzeć
dokądkolwiek.

Poza tym sądzę, że przerwano dostawy wody – prawdopodobnie już
pierwszy

wstrząs uszkodził rury. Oho! – dorzucił Amerykanin, gdyż posadzka i
ściany

holu znowu zaczęły drżeć.

Gwen położyła rękę na brzuchu, żeby osłonić dziecko. Panna Bedale
pochyliła się nad nią na wszelki wypadek, by zapewnić dodatkową
ochronę. Z

sufitów spadły żyrandole. Towarzyszył temu brzęk tłuczonego szkła i
wyginających się metalowych prętów. Rozpaczliwe krzyki świadczyły o
tym,

iż część ludzi odniosła obrażenia. Po pewnym czasie, który wydawał się
wiecznością, drzenie zanikło. Zaległa cisza, w której wyczuwało się
ulgę, a

zarazem niepewne wyczekiwanie.

– Na tym koniec – stwierdził Frank Erender, a potem spytał
podniesionym głosem: – Czy ktoś jest ciężko ranny?

Jedna czy dwie osoby wołały o pomoc. Panna Bedale zostawiła Gwen,
żeby znaleźć poszkodowanych. Wydawało się, iż na ratunek śpieszy im
również jakiś niemiecki lekarz. Kierownik hotelu dostał się do swego
gabinetu

RS

244

po wyważeniu drzwi, które się zacięły wskutek wygięcia framugi.

Wrócił z

apteczką pierwszej pomocy.

W ciągu godziny ludzie w holu podzielili się na grupy: tych, którzy byli ciężko ranni i potrzebowali pomocy lekarza, tych, którzy, jak Gwen, znajdowali się w wyjątkowej sytuacji, oraz tych, którzy odnieśli lżejsze obrażenia i wymagali opieki panny Bedale. Niemal wszyscy byli w szoku.

Przez jakiś czas tworzyli swój własny mały świat, w którego obrębie usiłowali

przywrócić wszystko do normy. Gwen zajęła się starym Francuzem, który, jak

się okazało, cierpiał na chorobę wieńcową i zgubił lekarstwa.

Dowiedziawszy

się, że Gwen mówi w jego języku, chwycił ją za ramię.

– Pomóż mi! – błagał.

Udzielając pomocy Francuzowi, przez chwilę mogła nie myśleć o tym, co

się stało z domem Hayakawa.

Dym zasnuł niebo, toteż światło dzienne niemal nie przebijało się zza jego grubej warstwy, a jednak późnym popołudniem Gwen dostrzegła, że

zaczyna zmierzchać. Słońce za chmurami powoli zachodziło. Co gorsza, obłoki

czarnego dymu podświetlała od dołu czerwona luna.

– Całe miasto płonie! – szepnęła do panny Bedale. Misjonarka z głębokim smutkiem skinęła potakująco głową.

– Kwiaty Edo – odparła.

– Co takiego?

– Tak nazywano pożary, które wybuchały w dawnych czasach, kiedy to miasto nosiło nazwę Edo. Płomienie wyglądały jak wielkie,

pomarańczowe i

czerwone paki. Ale tak ogromnej girlandy kwiatów jeszcze w tym mieście nie

było.

Nie bacząc na nic, personel hotelu niezwykle ofiarnie udał się do kuchni, by zapewnić pożywienie dla tłumu w holu i na dziedzińcu. Niecierpliwe ręce

RS

245

wyciągały się po porcje mięsa i zupy, bułki z gorącą herbatą (hotel dysponował

własnym zbiornikiem wody w dachu).

– Jesteście bardzo dobrzy – powiedziała Gwen do kelnera, który przyniósł jej miskę zupy. – Zostaliście tu i obsługujecie nas...

– Proszę pani, większość z nas mieszka w hotelu, pochodzimy przeważnie z odległych zakątków Japonii. Jeżeli Budda okaże się łaskawy,

nasze rodziny będą bezpieczne i całe. A zatem naszym obowiązkiem jest pomaganie ludziom tutaj, zwłaszcza tym, których rodziny gdzieś się

pogubiły,

lub tych, których domy płoną.

W oczach Gwen pojawiły się łzy. Popatrzyła na niego jak przez mgłę.

– A pani rodzina? – zapytał z drżeniem w głosie.

– Mieszkamy w dzielnicy Higashi.

– Może w Higashi wszystko jest w porządku.

Jednakże trudno było tak przypuszczać–pożar objął duże przestrzenie.

Kiedy z trudem wgramoliła się na górę, żeby wyrzeć przez okno na drugim

piętrze, dostrzegła jedynie morze płomieni. Silny wiatr wywołany wybuchem

pożaru zaczął się wzmacniać i przyczyniał się do rozprzestrzeniania ognia.

Ziemia nie przestawała drżeć. Zdrowy rozsądek nakazywał Gwen zejście na

dół i opuszczenie budynku, by uniknąć zranienia przez spadające przedmioty.

Wszyscy powychodzili z kocami i poduszkami przyniesionymi z sypialni.

Ponieważ, jak na tę porę roku, było ciepło, rozłożyli je na dziedzińcu, ale

prawie nikt nie spał.

Wydawało się, że świt nigdy nie nadejdzie. Miasto spowijały ciemności.

Ale Gwen wyczuła coś innego: na ulicy panowało jakieś poruszenie.

Podniosła

się na nogi, zadowolona, że nie musi udawać, iż śpi. Przechodząc między

skulonymi postaciami, dotarła do wejścia na dziedziniec. Chodzili tam

mężczyźni w kimonach Tokijskiej Straży Pożarnej oraz policjanci.

Ekipy z

RS

246

noszami zbierały ciała, które wkładano na wielki wóz, ciągnięty
wyjątkowo nie
przez konie, lecz grupę ludzi. Z tą ekipą ratowniczą mieszały się
pojedyncze
osoby z węzełkami na plecach, które odbywały uciążliwą wędrówkę po
gorącej
nawierzchni, by opuścić miasto i odnaleźć pomocnych krewniaków. Szli
na
wieś, gdzie można jeszcze było oddychać, a drzewa nie uległy
całkowitemu
spaleniu.

– No, kochanie – powiedział ktoś obok Gwen.

– To straszne, panno Bedale.

– Wracaj zaraz do środka. Nie ma sensu na to patrzeć, ten widok tylko
pogorszy twoje samopoczucie.

– Ale ja muszę iść do...

– Moja droga dziewczynko, nawet jeśli założymy, że rzeczywiście
dokądś się wybierasz, nie wolno ci pójść z pustym żołądkiem. Pomyśl o
tym

maleństwie: ono potrzebuje pożywienia.

Gwen wiedziała, że panna Bedale ma rację. Pozwoliła się zaprowadzić z
powrotem na dziedziniec, gdzie życie zaczynało się na nowo. Personel
hotelu

zdołał otworzyć spiżarnie. Każdy dostał herbatę, po jednym sucharze i

kawałek

omletu. Około dziesiątej, jak obiecał kierownik hotelu, miano podać
zupę

jarzynową i naleśniki.

– Panie i panowie, rozumiecie, że brakuje gazu i elektryczności, a
zapasy

wody są ograniczone. Ale zrobimy wszystko, na co będzie nas stać.

Wyrażono im podziękowanie. Kierownik i jego personel schylili głowy
na znak wdzięczności. Pomimo że ich czarne włosy pokrywał pył, a
zawsze

nienagannie czyste uniformy były wygniecione i poplamione, wyglądali
jak

dumni z siebie pracownicy, którzy potrafią się znaleźć w każdej sytuacji.

W połowie ranka zza potężnej chmury czarnego dymu wyjrzało słońce.

Wprawdzie wypalone domy i ruiny nadal wydzielały intensywny żar, ale
już

RS

247

można było iść jezdnią, jeżeli szło się szybko i stąpało po miejscach
zalanych

wodą z pękniętego rurociągu. Gwen zdecydowała się wyruszyć po
zjedzeniu

zupy i naleśnika. Widząc, że nie da się jej od tego odwieść, Frank
Erender

zaofiarował się, iż będzie jej towarzyszył.

– W Tokio nie mam nikogo – wyjaśnił. – Przybyłem tu na spotkanie z

Bankiem Tokijskim. Pracowników tej instytucji miałem poznać wczoraj podczas lunchu. A zatem jestem całkowicie na pani usługi.

– Ale, panie Erender, dlaczego miałby pan...

– Proszę mówić mi Frank. Otóż uważam, że zachowuje się pani bardzo nierozsądnie, pani Hayakawa, ale skoro się pani upiera, żeby iść, to powinna

pani mieć przy sobie kogoś rozsądnego. A ponieważ nie umiem gotować ani

udzielać pierwszej pomocy, na nic się tutaj nie przydam.

Panna Bedale, która uznała się za opiekunkę Gwen, niechętnie zaakceptowała

ten pomysł. Pan Erender miał około pięćdziesiątki, był zdrowy i rozsądny, więc skoro pani Hayakawa naprawdę musi udać się na poszukiwanie

rodziny, on będzie dobrym aniołem stróżem.

– Gdzie jest to miejsce, do którego zmierzamy? – spytał Frank Erender.

– Około dwóch mil dalej, w dzielnicy mieszkaniowej – odrzekła. – Tędy – pokazała kierunek.

Jedynie zwały gruzu, wypalone tramwaje oraz spalone słupy telegraficzne,

z których wciąż jeszcze wydobywały się smużki dymu, świadczyły o tym,

że Gwen i Frank znajdują się na głównym trakcie. Tu i ówdzie dawni mieszkańcy tego tłącego się pustkowia próbowali odzyskać część swego dobytku. Inni przycupnęli na gruzach swoich domów, a ich twarze zastygły w

smutku niczym maski.

Od czasu do czasu zatrzymywali się niespokojni ludzie szukający swoich

bliskich. Wielu wyciągało tabliczki, na których widniały nazwiska

RS

248

poszukiwanych, namalowane farbą lub wypisane kredą. Niektórzy trzymali

przed sobą fotografie. Gwen i Frank kręcili przecząco głowami, kiedy zadawano im te pełne bólu pytania.

– Wracajmy – powiedział Frank, ocierając łzy z mięsistych policzków wierzchem brudnej ręki. – Trudno to znieść.

– Muszę iść dalej – odparła Gwen. – Jestem w takiej samej sytuacji jak ci

ludzie. Szukam męża.

Położyła dłoń na brzuchu, w którym żyło jej dziecko.

– Muszę odnaleźć Tameę – oznajmiła.

Kontynuowali więc mozolny marsz, który był niezwykle uciążliwy.

Trzeba było patrzeć pod nogi, by ominąć różne przeszkody, zwłaszcza gdy

kolejne drżenie sprawiło, że gorące dachówki jakiegoś zawalonego domu

zasłały ulicę. W ziemi tworzyły się pęknięcia, które po chwili zanikały.

Gwen

widziała, gdzie porobiły się szczeliny poprzedniego dnia. Budynki

zapadły się

w nich niemal całkowicie, a następne wstrząsy powodowały

zasklepianie się

dziur. Niczego więc nie można było przewidzieć. Mniej więcej po

półtorej

godziny Gwen zaczęła myśleć, że zupełnie się zagubiła. W miejscu, w którym się znajdowała, powinna skręcić na lewo i pójść niebrukowaną drogą w kierunku Higashi. Ale jak mogła poznać, gdzie przebiegała kiedyś ta droga?

Któż mógł ją poinformować, któredy kiedyś odbywał się ruch uliczny i gdzie

stały dawniej domy?

– Czy w Higashi były jakieś charakterystyczne punkty? – zapytał Frank, rozglądając się, kiedy przystanęli.

– Niezupełnie. W ogrodzie znajdowała się mała świątynia, ale ona na pewno się zapadła. No i był strumień...

– Strumień? Wzdłuż niego stały budynki?

RS

249

– Nie. Rosły tam bambusy, a w miejscu gdzie ścieżka opadała w dół, znajdował się mostek.

– No cóż, poszukajmy strumienia – zaproponował Frank. – O ile trzęsienie ziemi nie zmieniło jego biegu albo go nie zasypało, nadal powinien tu być.

Strumień płynął przy końcu ścieżki, gdzie stał warsztat lakierniczy „Dobra Wróżba”. W chwili trzęsienia ziemi Tama zapewne znajdował się w

warsztacie i częstował swego ważnego klienta herbatą.

– Gdzie jest warsztat lakierniczy „Dobra Wróżba”? – zapytała grupkę

mężczyzn, którzy przerzucali kładki przez szczeliny, żeby zrobić most. Pokręcili głowami. Nie była pewna, czy chodziło im o to, że warsztat się zapadł, czy też nie znali odpowiedzi. Parę metrów dalej płonął jakiś dom.

Ludzie próbowali go ratować. Ponieważ Gwen wraz z Frankiem zamierzali

ominąć go z daleka, Gwen przystanąła na chwilę.

– Mają wiadra z wodą, Frank.

– Widzę. Słuchaj, może byśmy...

– Ale skąd oni biorą wodę?

– Rzeczywiście! – odrzekł Frank. – Masz rację.

Łańcuch mężczyzn podających sobie wiadra z wodą posłużył im za wskazówkę. Odnaleźli strumień, który płynął, choć wolno i był wypełniony

błotem.

– Strumień Kidu-ushi? – zapytała jakiegoś człowieka, który napełniał wiadro brązową cieczą. Popatrzył na nią przez chwilę, skinął głową i wrócił do

swojego zajęcia. – To jest ten strumień! Frank, jesteśmy w Higashi!

– Świetnie – powiedział Frank. Zdjął czarną marynarkę i przewiesił ją przez ramię. – Słowo honoru, nieźle się zgrzałem! Oddałbym wszystko za

kufel zimnego piwa!

RS

się do niego. Była wdzięczna temu silnemu, krępemu mężczyźnie za pełne oddania towarzystwo.

Z trudem szli wzdłuż strumienia, który raz po raz znikał, gdyż ruchy powierzchni spiętrzyły na nim ziemię. Jednakże od czasu do czasu Gwen

dostrzegła liście, a nawet korzenie bambusa, toteż miała pewność, że idą w

dobrym kierunku. Niebawem Frank pokazał jej kilka elementów z brązowego drewna.

– Gwen, to wygląda na balustradę mostu.

– To jest most!

Frank pochylił się, usiłując wyciągnąć jakiś fragment ze spiętrzonych warstw ziemi, trzciny, bambusów, kamieni i pni drzew. Jego próby nie zdały

się na nic.

– Jeżeli to jest ten most, to którądy mamy iść?

– Tędy, w prawo.

Część zagajnika ocalała. Za drzewami powinna biec ścieżka prowadząca między wysoko usypanymi brzegami do zabudowań „Dobrej Wróżby”, ale

ścieżki nie było. Musieli się przedzierać i wspinać przez wertepy z ziemi i

czarnych skał. Kiedy oddalili się od zagajnika na znaczną odległość, przystanęli.

– Czy idziemy we właściwym kierunku? – zagadnął.

– Nie wiem... A jak sądzisz?

– Moja pani, nie jestem wiejskim chłopakiem, który zna wszystkie ścieżki i skróty. Jestem bankierem z Manhattanu. Przykro mi.

– Powinniśmy dojrzeć dach...

Jeżeli ocalał – pomyśleli oboje. Ale żadne z nich nie wypowiedziało tych

słów na głos. Stali i rozglądali się uważnie. Obracali się i próbowali wypatrzeć

RS

251

rozległy jednopoziomowy budynek z flagą przy wejściu i napisem „Dobra Wróżba”.

– Tam – pokazał Frank.

Gwen zobaczyła narożnik konstrukcji z drewnianych belek, które zupełnie się powykrzywiały.

– Ależ to nie może być warsztat...

– Lepiej mu się przyjrzyjmy.

Podeszli bliżej. Powierzchnia ziemi przybrała dziwny wygląd, jakby wyłobił ją gigantyczny pług. Idąc w kierunku belek, widzieli po bokach rozrzucone skiby, a zamiast łądyżek roślin tylko korzonki. Pojęli, o czym to

świadczyło. Część powierzchni ziemi zapadła się w nagle utworzonej szczelinie, która się później zamknęła. Drewniane belki sterczały do góry

niczym wyciągnięte palce. Pośród grud ziemi wałały się dachówki.

Kilka

metrów dalej znajdowały się taczki, a za nimi dwa czy trzy szerokie kosze z trzciny.

– Czy cokolwiek wygląda tu znajomo? – zagadnął cicho Frank.

– Tak... Tak, te kosze... Używają ich do noszenia lakierowanych wyrobów...

Frank nic nie odrzekł.

– To nie może być „Dobra Wróżba” – szepnęła Gwen.

– Może, Gwen.

– Nie, nie! Tu niczego nie ma!

Potrząsnął głową.

Nie było potrzeby tego mówić. Oboje wiedzieli, co się stało. Ziemia otworzyła swoją gardziel, pochłonęła warsztat oraz wszystkie znajdujące się w

nim osoby, a potem się nad nimi zawarła. Gwen niepewnym gestem podniosła

rękę do ust. Pragnęła krzyknąć, że to nieprawda, że to nie mogło się zdarzyć,

RS

252

ale w drodze do tego miejsca zbyt często oglądała identyczne ślady i widziała

pograżonych w smutku ludzi, którzy klęczeli obok nielicznych szczątków

domu.

– Posłuchaj, moja droga, może jego tu nie było – powiedział po dłuższej chwili Frank. – Może poszedł do domu na lunch.

Gwen chwyciła go za rękaw.

– Tak, właśnie! Przecież to się działo mniej więcej w porze lunchu, prawda? On jest w domu!

– A gdzie jest dom?

– Około dziesięciu minut drogi stąd – odparła.

Ale teraz, gdy zmianie uległ cały krajobraz, nie była pewna, którądy iść.

Czy stali przed dawnym warsztatem, czy też z boku? A gdzie
znajdowała się
czarna piaszczysta ścieżka, którą często chodziła? Wszystko było inne.
Mogła
jedynie ufać swemu instynktowi.
Powoli stąpali po ziemi pełnej kałuż. Zapach spalonego drewna
podpowiadał im, że zbliżają się do domów. Za nowo powstałym
pagórkiem
widać było poczerńiałe ruiny pierwszego domostwa. Dookoła krzatali
się
ludzie. Tu i ówdzie ułożono małe sterty rzeczy, które wyglądały
żałośnie.
Matki już próbowały odszukać garnki, by przyrządzić jakąś potrawę, a
ojcowie
usiłowali wznieść jakieś schronienia. Gwen podeszła do kobiety z
dzieckiem
na kolanach.
– Czy to jest dzielnica Higashi, ulica Tugu?
– Ulica Tugu – odparła kobieta i wyciągnęła rękę, wskazując kierunek.
Gwen podziękowała skinieniem głowy i powiedziała:
– Niech Budda błogosławi twoją rodzinę, matko.
– Twoją również – odrzekła kobieta, uśmiechając się smutno na widok
jej
wydętego brzucha.

RS

– Tędy – powiedziała Gwen do Franka. Przekonała się, że mówienie przychodzi jej z najwyższym trudem. Gardło wydawało się zupełnie ściśnięte.

Paraliżował ją lęk.

Ulica Tugu niemal przestała istnieć. Zostało po niej jedynie kilka zwęglonych drzew, ozdobny smok z brązu, który się rozpadł na pół wskutek

żaru, czerwone dachówki i kamienna latarenka. Mniej więcej sto metrów dalej

stał wóz przykryty brezentem, dookoła którego uwijali się mężczyźni z noszami.

– Zaczekaj – powiedział Frank. – Pójdę i zapytam.

– Nie znasz języka.

– Po prostu podam nazwisko. Hayakawa, tak?

– Tak.

Z trudem posuwał się po dymiącym gruzowisku. Gwen podążała za nim, ale w bardzo wolnym tempie, starając się znaleźć jakiś przedmiot, który by jej

podpowiedział, gdzie jest jej dom. Bez rezultatu. Drzazgi, strzępy, odłamki.

Tylko metalowe przedmioty przetrwały pożar – żelazna obręcz, która nigdyś

spajała drewnianą wannę, zamek od drzwi, jakieś niemożliwe do zidentyfikowania bryłki o nieregularnych kształtach, lewarek. W bladym świetle coś błysnęło. Był to kawałek jasnoniebieskiego brokatu o osmalonych brzegach.

Gwen uklękła na spopielonych gruzach ulicy Tugu i podniosła strzępek tkaniny. Poznała go natychmiast. Pochodził z *obi*, którym Hanako miała przepasać swoje ślubne kimono. Mirio–san zapytała astrologa, jaki dzień będzie odpowiedni na tę ceremonię. Miał to być według niego 3 października

1923 roku. Do tej daty zabrakło miesiąca i jednego dnia. Za miesiąc i jeden

dzień Hanako wyszłaby za mąż. Wyprowadziłaby się do nowego domu,

żeby

mieszkać ze swoją teściową, podobnie jak Gwen. Żeby być żoną i matką, żeby

RS

254

wypełnić swoje przeznaczenie. Ten mały, sztywny skrawek brokatu był jedyną

pozostałością po jej czulej, kochającej duszy.

Kłęcząc w pyłe, Gwen uświadomiła sobie całą prawdę. Hanako zginęła.

Mirio-san zginęła. Nie istniał już dom rodu Hayakawa. Wszystko padło

pastwą

pożaru. Zginał Tama. Pochłonęła go ziemia. Z jej życia nie zostało nic.

Nic,

nic.

Ocknęła się z zamyślenia, kiedy Frank położył rękę na jej ramieniu.

Spojrzała w górę. Wyczytała odpowiedź w jego poszarzałej twarzy.

– Mówią, że jeśli chcesz, to możesz pójść i zobaczyć, czy rozpoznasz jakieś ciała. Ale ja bym tego nie robił, Gwen, nie szedłbym tam.

– Dobrze, nie pójdę.

– Gwen, oni twierdzą, że nikt z tej ulicy nie ocalał.

– Rozumiem.

– Tak mi przykro, moja droga.

– Dziękuję.

– Jest dopiero wczesne popołudnie, ale już robi się ciemno. Czy czujesz się na siłach, żeby ruszyć z powrotem? Nie bardzo podoba mi się pomysł

pokonywania w ciemności drogi powrotnej.

– Moglibyśmy skorzystać ze światła ognisk – powiedziała Gwen. Frank popatrzył na nią z niepokojem.

– Przeżyłaś wielki wstrząs.

– To fragment szarfy kupionej na ślub mojej szwagierki – oznajmiła Gwen, wyciągając brokat.

– O Boże! – odparł zakłopotany.

– Tam znajdują się kawałki metalu – dorzuciła, pokazując czarne szczątki. – Myślę, że to są części gramofonu. Mirio-san była wściekła o ten gramofon.

RS

255

– Naprawdę?

– Wolą, żeby wszystko było po staremu. Tama różnił się od niej, chętnie próbował nowych rzeczy. Ale nawet Tama nie mógł całkowicie się

wyzwolić spod wpływu japońskiej tradycji.

– Czyżby?

– I w końcu ta stara Japonia go zabiła. Ziemia go zaatakowała, tak jak to robiła wcześniej wielokrotnie.

– Posłuchaj, Gwen – wtrącił się Frank, pragnąc ją skłonić do pomyślenia o sobie. – Może uda mi się znaleźć jakiś samochód czy wóz.

– Dam sobie radę na piechotę. Przepraszam cię, Frank. Na pewno myślisz, że jestem głupia, skoro tak ciągle gadam.

Ten uprzejmy mężczyzna był jej prawie obcy. Nie mogła go zanudzać

swoimi wspomnieniami. Lepiej byłoby wymazać je z pamięci, a
wówczas być
może nie cierpiałaby tak bardzo i umiałaby obronić się przed bólem,
który w
niej narastał. Powiększał się niczym jej dziecko, aż w końcu stał się jej
najważniejszą częścią.
Jej dziecko. Dziecko Tamy. Cóż to powiedziała sobie jeszcze przed
chwilą? Że nic nie zostało jej z życia? Miała przecież dla kogo żyć.
Jeżeli
urodzi syna, Tama będzie żył nadal. Wyprostowała zgarbione ramiona.
– Dobrze się czujesz?
– Tak, dziękuję.
– W takim razie ruszajmy.
Pomógł jej się podnieść. Chciała zatrzymać skrawek brokatu, ale kiedy
wstawała, wymknął się jej z rąk, a potem uniósł go wiatr. Po chwili
straciła tę
drogą jej szmatkę z oczu i choć próbowała ją dojrzeć, przepadła na
zawsze
pośród zgliszczy.

RS

256

13

Ruszyli w drogę. Gwen poprosiła o wskazówki, jak iść, ekipę
pogrzebową. Skierowano ją na wschód. O dziwo, znalezienie właściwej
trasy

było łatwiejsze, ponieważ centrum Tokio nadal płonęło – wystarczyło iść ku czerwonej łunie widocznej przez chmury dymu. Często musieli jednak zbaczać z drogi ze względu na rozpadliny, spiętrzone, dymiące gruzy, zrujnowane tereny, za którymi rozciągało się niewiadome. Z uszkodzonych rur lała się woda, w niektórych miejscach ulatniał się gaz, wszędzie po drodze czyhały na nich niewidoczne szczeliny. Kiedy skrajnie wyczerpani dotarli do europejskiej dzielnicy, zobaczyli, że żołnierze wysadzają domy, by udaremnić rozprzestrzenianie się pożaru.

– Bardzo nam przykro, tedy nie przejdziecie. Musicie iść okrężną drogą, ulicą De-ikiu.

Ale gdzie była ulica De-ikiu? Znikła pod zwałami murów.

Wreszcie gdy wczesny zmierzch zaczął ustępować miejsca nocy, dostrzegli zniszczony budynek głównego dworca kolejowego. Na dużym placu przed stacją koczowały grupy ludzi. Przy małych ogniskach przygotowywano wieczorną herbatę. W hali dworca paliły się słabe światła. Teraz Gwen już wiedziała, gdzie jest. Musieli przejść przez plac i skręcić w lewo. Ale nie była w stanie zrobić nawet kroku.

– Przepraszam – wysapała, przytrzymując się szczątków jakiegoś zwalonego pomnika. – Po prostu nie mogę...

Wszystko wirowało przed jej oczami. Tym razem to nie trzęsienie ziemi pozbawiało ją poczucia równowagi. Przed oczami miała mgłę. Miała też wrażenie, że jej nogi odłączają się od reszty ciała. Upadła na ziemię.

– Gwen!

RS

257

- Przepraszam, Frank. Ty idź dalej. Ja dojdę do siebie tutaj.
- Zostawić cię tutaj? Nigdy w życiu. No, podnieś się...
- Ale nie był w stanie jej podźwignąć. Powstrzymały go delikatne dłonie Japonek. Dwie kobiety, jedna starsza, druga młoda, kręciły głowami, żeby nie próbował podnieść dziewczyny. Uklękły przy Gwen, która poczuła, że podkładają jej coś pod głowę, by nie leżała na gruzie.
- Dziękuję – wymamrotała.
- Jesteśmy gotowe do skromnej pomocy. Pani jest bardzo blada.
- Tak, jestem... Jestem... po prostu zbyt zmęczona, żeby iść dalej.
- Proszę spokojnie odpocząć. Starsza kobieta zerknęła na Franka.
- Dokąd się wybieraliście?
- Co pani mówi? – zapytał bezradnym tonem.
- Do hotelu Imperial – odpowiedziała Gwen.
- Hotel Imperial, tak, udają się tam wszyscy cudzoziemcy. Dobrze. Ojciec-san powinien kontynuować marsz.
- Ojciec-san? Och... – Mimo mglistych wizji Gwen poczuła się nieco rozbawiona.
- One mówią... żebyś szedł do hotelu – powiedziała do Franka. – Mają rację. Ja... na razie... nie jestem w stanie zrobić choćby kroku. Może mógłbyś sprowadzić... pannę Bedale?
- Ale Gwen, jak dostać się do hotelu?
- Po prostu... powtarzaj... hotel Imperial. Wszyscy wiedzą, gdzie to

jest...

– W porządku. Sprowadzę pomoc. Wkrótce tu wrócę – to powiedziaławszy, odszedł pośpiesznie.

Dwie kobiety zajęły się Gwen. Jedna z nich wstała i znikła gdzieś. Po chwili do warg Gwen przytknięto naczynie z gorącym płynem. Piła go chciwie małymi łykami. Od dziesiątej tego ranka, a więc od ośmiu godzin, nie miała

RS

258

nic w ustach, z wyjątkiem odrobiny wody z uszkodzonej rury. Kiedy opróżniła małą filiżankę, delikatnie umieszczono ją na złożonym kimonie, które pełniło funkcję poduszki. Próbowwała uśmiechnąć się do zaniepokojonych twarzy, które powoli rozpływały się we mgle. Wreszcie straciła przytomność. Ocknęła się w jakiś czas później, czując, że niosą ją dokądś. Próbowwała usiąść, lecz ktoś położył dłoń na jej ramieniu i powiedział po angielsku:
– W porządku, kochanie, proszę leżeć spokojnie. Opadła z powrotem na nosze.

A później zobaczyła światło. Skoncentrowała na nim wzrok. W blasku świecy pochylała się nad nią jakaś twarz, bacznie ją obserwując. Gwen

nie

znała tej osoby, która odezwała się do niej tym samym tonem, co przedtem:

– Odpoczywaj, kochana. Wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje wypoczynku.

Delikatnie wytarto jej czoło ciepłym ręcznikiem i owinięto ją szczelnie kocem. Nie widziała już twarzy i płomienia świecy. Spojrzała w górę, ale

wkrótce i dach namiotu rozpląnął się we mgle. Zasnęła.

Kiedy się przebudziła, poczuła straszliwy ból w krzyżu i usłyszała swój własny jęk. W odruchu obrony zasłoniła ciało ramionami, sądząc z początku,

że każdy ból może zaszkodzić dziecku. A potem przebudziła się na dobre, gdyż

pojęła, że rozpoczyna się poród.

Jej dziecko rodziło się za wcześnie, w środowisku, które nie było przygotowane na jego powitanie.

– Pomocy! – wysapała. – Niech ktoś mi pomoże!

Natychmiast zapłonęła świeca, a obok niej pojawiła się znajoma twarz.

Ktoś uklęknął przy jej prowizorycznym łóżku; obok siebie zobaczyła jeszcze

jedną twarz, która należała do Japończyka.

RS

259

– Aha, zaczyna się – stwierdził ktoś po angielsku. – Miałam nadzieję, że zdołamy tego uniknąć.

– Kim... kim pani jest?
– Uspokój się, kochana, to jest placówka medyczna Armii Zbawienia. Wszystko będzie dobrze...
– Nie, to przyszło za wcześnie...
– W którym miesiącu ciąży jest pani?
– W siódmym...
– Siedem miesięcy... Proszę się nie bać. Nic nie szkodzi... Jakoś damy sobie radę... Mayo-san, czy możesz przynieść moją torbę?
Bóle stały się bardzo silne. Gwen zacisnęła zęby. Wszystko działo się zbyt szybko.
– Nie, nie walcz z tym, kochana. Leż. Muszę cię zbadać, sprawdzić, jak ułożyło się dziecko.
– Czy pani... jest lekarzem?
– Nie, kochanie, ale pomogłam w przyjściu na świat wielu dzieci, toteż nie denerwuj się. Wszystko pójdzie znakomicie.
Wprawne dłonie fachowo obmacywały ciało Gwen, a spokojny głos tłumaczył, jakby nie było żadnych powodów do zmartwienia:
– No cóż, ma pani rację. Dziecko ma zaledwie siedem miesięcy, ale ułożone jest prawidłowo. Tylko że strasznie mu się śpieszy. Teraz powiedz mi, słodziutka, jak się nazywasz i jak skontaktować się z twoim mężem.
– Gwen... Hayakawa... Mój mąż... nie żyje...
– Och, tak? Pani Hayakawa? Słyszałam o pani. Tak, tak, słyszymy tu wiele rzeczy, Tokio pod pewnymi względami przypomina wioskę.
Nazywam się Beth Fairford. Przebywam z Armią Zbawienia w Tokio od dłuższego czasu.

RS

260

No, kochanie, skończyłam! Teraz będę mierzyć czas między skurczami.

Mayo,

gdzież jest ta torba?

Pojawiła się Mayo. Gwen usłyszała szcęk otwieranej torby z narzędziami lekarskimi. Poród był bolesny, ale na szczęście szybki.

Dziecko

Tamy zbyt gorliwie pragnęło przyjść na świat. Gwen leżała na pół przytomna i

wyczerpana. Usłyszała cichy płacz.

– Moje dziecko? – wyszeptała, starając się ze wszystkich sił nie tracić kontaktu z rzeczywistością.

– Tak, kochanie, malutka dziewczynka.

– Czy ona dobrze się czuje?

– Nie martw się, zadbamy o nią.

Czyjś uspokajający głos nucił dziecięcą kołysankę. Gwen powoli traciła przytomność. Jakies niespokojne dłonie próbowały zahamować krwotok.

Migoczące światło, dach namiotu – wszystko to zaczęło odpływać daleko.

Od czasu do czasu odzyskiwała świadomość. W dziennym świetle niemal

zupełnie wyraźnie widziała dach namiotu, który się kołysał. Pomyślała, że to

kolejne wstrząsy. Ale to nie było trzęsienie. Słyszała warkot silnika,

choć go

nie rozpoznała.

Później skoncentrowała wzrok na jasnym punkcie. Białą farbę rozświetlały promienie słońca. Chciała zapytać, w jakim pokoju i w jakim

budynku się znajduje, ale z jej ust wydobył się jedynie bełkot.

– Pani Hayakawa, proszę leżeć spokojnie – powiedział jakiś głos.

Poczuła lekkie ukłucie w ramieniu. Wydawało się, że nie ma innego wyjścia, jak usłuchać nakazu.

Kiedy przebudziwszy się, leniwie podniosła ciężkie powieki, czuła, że ma się zupełnie inaczej. Poprzednim razem odzyskała świadomość zaledwie na

RS

261

moment. Teraz ocknęła się na dobre. Jej wzrok spoczął na japońskiej pielęgniarce w białym fartuchu, która siedziała przy łóżku.

– Czy jestem w szpitalu, siostró-san?

– Ach, pani Hayakawa – odparła pielęgniarka, wymawiając angielskie głoski z sykiem. – Tak się cieszę. To być Szpital Uniwersytecki. Zna pani?

– Och, tak. Szpital Uniwersytecki.

Powtórzenie tej nazwy pochłonęło chyba całą jej energię. Przez chwilę leżała spokojnie i zbierała siły, żeby zadać kolejne pytanie.

– A moje dziecko?

– Być na oddziale dla wcześniaków. Karmimy ją za pomocą zakraplacza.

- Ale... czuje się dobrze?
- O, ona dzielnie walczyć. '
- Jak długo?

– Pięć dzień. Każdy dzień coraz lepiej.

Gwen zamknęła oczy i ponownie je otworzyła, żeby spojrzeć na pielęgniarkę. Zbyt dobrze znała skłonność grzecznych Japończyków do mówienia tego, co dana osoba pragnęła usłyszeć. Z trudem zrobiła surową minę.

– *Ah so desuka?* – zapytała kategorycznym tonem.

– *So desu* – odparła pielęgniarka, powstając z miejsca i składając ukłon. A zatem pielęgniarka mówiła prawdę. Dziecko Gwen rzeczywiście czuło się dobrze.

Pielęgniarka ujęła Gwen za przegub. Po chwili stwierdziła:

– Puls lepszy. Pójdę po lekarz. On chce wiedzieć, czy pani się obudzić. Dobrze?

– Dobrze – odrzekła Gwen. Gdy pielęgniarka była już w drzwiach, dorzuciła: – Czy mogę zobaczyć swoje dziecko?

RS

262

– Zapytam lekarz.

Kiedy dziewczyna wyszła, Gwen z wielkim trudem uniosła głowę. Stwierdziła, że znajduje się w niedużej sali, gdzie stłoczono jakieś dziesięć,

dwanaście łóżek. Z sąsiedniego łóżka dobiegł ją głos Japonki:

- Bardzo mnie cieszy, że czuje się pani lepiej, pani Hayakawa.
- Dziękuję. Zna pani moje nazwisko?
- Wypowiadano je tu często. Pozwoli pani, że i ja się przedstawię:
panna
Kanagoi. Przywieziono mnie tu z poparzeniami i złamaną nogą.
- Tak mi przykro – powiedziała Gwen, pamiętając, że w rozmowie z
Japończykami należy bez przerwy okazywać uprzejmość.
Wszystko to wyczerpywało ją. Znowu opadła na poduszkę – zdołała
ujrzeć jedynie zabandażowaną głowę drugiej pacjentki. Dopiero teraz
dotarły
do niej inne dźwięki: szmery, ciche pojękiwania i lekkie kroki
pielęgniarek
oraz od czasu do czasu turkot kół.
- Mamy szczęście – powiedziała panna Kanagoi. – Chodzi mi o to, że
szpital nie uległ zniszczeniu.
- Tak.
- Mówią, że jak tylko trochę wydobrzejemy, trzeba będzie nas
przenieść,
bo w dalszym ciągu przywożą tu ofiary trzęsienia ziemi.
- Tak – odparła Gwen i z trudem wzięła się w garść. – Jaki dzień mamy
dzisiaj?
- Dzisiaj jest sobota, 8 września: minął dokładnie tydzień...
Nie musiała dodawać, że minął tydzień od trzęsienia ziemi. Przez wiele
następnych miesięcy tokijczycy mieli liczyć czas od tego fatalnego dnia.
Grzeczność nakazywała zapytać pannę Kanagoi:
- A jak długo pani tu przebywa, panno Kanagoi?

RS

263

– Dwa dni. Wcześniej opiekował się mną kolega z biura. Nasz budynek się zawalił, spędziliśmy w tej pułapce dwa dni, a potem nocowaliśmy pod namiotem.

– Cieszę się, że ktoś się panią zaopiekował, panno Kanagoi.

– Dziękuję. Ja też się cieszę, że zapewniono opiekę pani. I dziecku. Mówią, że czuje się dobrze.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że pani rodzina jest cała i zdrowa.

– Są razem z Buddą – odparła panna Kanagoi.

Umilkły. Po kilku minutach wróciła pielęgniarka. Towarzyszył jej młody

japoński lekarz w białym kitlu, który nie był prany od wielu dni. Jego twarz

poszarzała ze zmęczenia.

– No cóż, pani Hayakawa – powiedział po angielsku z amerykańskim akcentem. – To szczęście widzieć, że się pani przebudziła. – Ujął jej dłoń w

przegubie. – Tak, znam pani pierwsze pytanie – mówił, licząc uderzenia pulsu.

– Dziecko czuje się całkiem dobrze, waży cztery funty i cztery uncje, śpi,

karmimy ją zakraplaczem. To nie jej stan nas martwi, a pani. Jak się pani

czuje?

- Mam wrażenie, jakbym była pijana.
– Pijana? – Przymknął czarne oczy, marszcząc brwi w zamyśleniu. –
Czy
to znaczy, że dobrze czy źle?
Puścił jej nadgarstek i skinął głową na pielęgniarkę, która wyjęła
termometr.
– Słabo mi.
– Ach, słabo, rozumiem. Hm, straciła pani dużo krwi. Przez jakiś czas
będzie się pani czuła słabo.
– Czy mogę zobaczyć dziecko?
– To nie jest możliwe.

RS

264

- Coś z nią nie tak!
– Nie, nie – uspokajał. – Córce nic nie dolega prócz tego, że urodziła się
dwa miesiące przed czasem. Nie może pani do niej pójść, ponieważ jest
pani
zbyt osłabiona, żeby wstać z łóżka, a my nie możemy jej przynieść, bo
dziecko
musi przebywać w ciepłe, a o to jest bardzo trudno, ponieważ w dalszym
ciągu
mamy kłopoty z elektrycznością. Przenosiny byłyby ryzykowne:
dziecko
mogłoby się przeziębic albo złapać jakiś wirus. Szpital bowiem jest
przepełniony, pacjenci leżą na korytarzach. Mam nadzieję, że pani to
rozumie?

– Tak – odparła z wdzięcznością Gwen i zamilkła, gdyż wsunięto jej pod język termometr.

W dwa dni później pozwolono jej wstać. Na szpitalną koszulę narzucono pożyczone kimono, a na nogi wsunięto kapcie. Dwie japońskie pielęgniarki

prowadziły ją holem, a potem korytarzem do pokoju, który kiedyś miał ściany

ze szkła, a teraz odgradzały go papierowe parawany. W rogu stał piecyk na

węgiel drzewny, którego pilnowała pielęgniarka. Pod ścianą znajdował się rząd

łóżeczek. Do jednego z nich przełożona oddziału poprowadziła Gwen.

Leżała

w nim owinięta w bawełniany kocyk maleńka przedstawicielka rodu ludzkiego.

Płacząca dziewczynka miała na główce puszek brązowych włosów, oczy w

kształcie migdałów, których zieleń skrywały łzy, oraz maciupęńkie piąstki,

którymi biła po buzi.

– Dlaczego ona płacze? – szepnęła zaniepokojona Gwen.

– Niedługo dziesiąta, pora karmienia. Mała często jest głodna. Wczoraj przybyła jej uncja, pani Hayakawa.

Gwen pochyliła się nad łóżeczkiem. Jej towarzyszki przestały ją podtrzymywać. Podniosła kwilące dziecko. Dwie pielęgniarki i przełożone

oddziału wydały okrzyk przerażenia, ale niemowlę prawie natychmiast przestało płakać. Pielęgniarki uspokoiły się. Gwen trzymała córkę w ramio-

RS

265

nach. Po raz pierwszy od wielu dni czuła przyływ niemal całkowitego szczęścia. Przez tę jedną długą chwilę nie liczyło się dla niej nic innego. Cieszyła się, że żyje, że urodziła dziecko Tamy, które było zdrowe i znajdowało się w dobrych rękach. Będą żyły i podtrzymywały pamięć o Tamie.

Siostra przełożona uśmiechnęła się do niej.

– Jak malutka będzie miała na imię? – zagadnęła.

Gwen rozmyślała już nad tym od chwili odzyskania przytomności.

– Tamara – odpowiedziała zdecydowanie. To imię było najbardziej zbliżone do imienia Tamy.

– Tamara – powtórzyła siostra, kiwając głową. Tego popołudnia odwiedziła ją Jane Bedale.

– Przepraszam, że nie przyszedłam wcześniej. Jak pani wie, mieliśmy sporo

własnych kłopotów, a potem trochę trudności sprawiło nam odnalezienie pani.

Biedny Frank Erender szalał z niepokoju, kiedy dotarliśmy do dworca, a pani

zniknęła. Ale zjawiła się Beth Fairford i poinformowała nas o wszystkim.

– Była taka cudowna! A ja nawet dobrze się jej nie przyjrzałam!

– Kiedy doniosła nam, że przebywa pani w bezpiecznych warunkach w szpitalu, Frank zgodził się odpłynąć.

– Odpłynąć? Dokąd?

Port w Kobe wznowił działalność dość wcześnie. Statki zabrały cudzoziemców do Kalifornii. Uznano bowiem, że Japonia ma dość własnych problemów, by się jeszcze kłopotać o obywateli zagranicznych.

– A zatem Frank opuścił Japonię. Mam nadzieję, że zostawił pani adres. Muszę do niego napisać list z podziękowaniami.

– Tak, oczywiście. A co zamierza pani teraz zrobić? Doktor Igura mówił mi, że wypisze panią ze szpitala już jutro.

RS

266

– Wiem, że potrzebne jest im moje łóżko. Nie jestem już chora, tylko okropnie słaba. Ale Tamara zostanie tu jeszcze przez kilka dni.

– Tamara? To ładne imię. Podobno rozwija się dobrze.

– Tak, waży już prawie pięć funtów. Gdybym mogła sama ją karmić, rosłaby jeszcze szybciej, ale niestety...

– To prawda, ale proszę siebie nie obwiniać, kochana – powiedziała Jane i poklepała ją po ramieniu. – No cóż, najlepiej, żeby pani wróciła do Imperialu.

Sytuacja pod względem wyżywienia trochę się poprawiła. Niektórzy goście zdołali dotrzeć do swoich domów. Na przykład Bill Sowden ma dom w Asahi.

Wrócił tu z wózkiem wypełnionym owocami w puszkach i kawą. – Zachichotała. – To osobliwa dieta, ale jakoś wytrzymujemy. Z tego, co wiem, z głębi kraju sprowadzą mleko: powinna z niego skorzystać Tamara. Ale

pani

potrzebuje preparatu z zawartością żelaza, a tym nie dysponujemy.

– Nic mi nie będzie. Proszę, Jane, czy pani przyjdzie mnie zabrać?

– Oczywiście. O której godzinie?

– Oni mówią, że mam wyjść po obchodzie. Sądzę, że około dziewiątej.

– W porządku, kochanie.

– Aha, Jane...

– Tak?

– Czy mogłaby pani pożyczyć od kogoś sukienkę i płaszcz? Nie mam nic,

co mogłabym na siebie włożyć. Te rzeczy należą do szpitala. Może pani sobie

wyobrazić, w jakim stanie było moje ubranie...

– O mój Boże, tak. Hm, zobaczymy, co da się zrobić. Jedna z pań w hotelu z pewnością będzie miała coś pani rozmiaru. Na szczęście cały czas

nadchodzi pomoc: ludzie z innych części kraju przesyłają w darze ubrania,

koce, itd. A co z butami?

– Dzięki Bogu, moje buty są chyba w niezłym stanie.

RS

267

Nazajutrz Jane pojawiła się w towarzystwie Beth Fairford. Beth okazała się wysoką, długonogą kobietą w bardzo znośnym, niebiesko–purpurowym uniformie Armii Zbawienia. Na głowie nie miała obowiązkowego beretu

–

wyznała, że zgubił się gdzieś podczas trzęsienia ziemi. Przyniosły kraciaste

furoshiki, japońską tkaninę służącą do wielu celów. Kiedy rozwinęły zawiniątko, wyjęły z niego prostą brązową sukienkę z tweedu, zmiętą szarą

bluzę, trochę bielizny i niebieski płaszcz. Pomogły Gwen się ubrać.

– Na szczęście nie ma tu lustra – powiedziała ze śmiechem Beth. – Ależ ty wyglądasz!

– To nieważne.

Gwen mówiła prawdę. Kogo obchodziło, jak teraz wygląda? Tama już nigdy nie krzyknie z zachwytu, podziwiając jej francuską elegancję, lśniące

włosy, szczupłe kostki u nóg...

Teraz chodziła od łóżka do łóżka, żegnając się ze wszystkimi.

Wprawdzie

panna Kanagoi już opuściła szpital, ale Gwen podchodziła do każdego, składała ukłon i przekazywała życzenia pomyślności. Podziękowała pielęgniarce i napisała kartkę z wyrazami wdzięczności dla doktora Igury,

który był zbyt zajęty, żeby się z nią zobaczyć.

Pożegnała się też na pewien czas z Tamarą. Jej dwie towarzyski czekały

przed szpitalem: siostra nie wpuściła ich na oddział w obawie przed zakażeniem. Gwen pochyliła się nad łóżeczkiem i szepnęła do swojej córeczki:

– Za dzień lub dwa przyjdę cię zabrać, kochanie. Bądź grzeczna.

Na dworze padał deszcz. Ulice przypominały morze błotnistej popiołu. A jednak znowu wróciło tu życie. Znalaziono wystarczająco dużo benzyny, by

uruchomić niektóre pojazdy. Karetki przywoziły rannych. Komunikację miejską zastępowały wozy policyjne. Jane Bedale zeszła na jezdnię, żeby

zatrzymać jeden z nich. Około dziesięciu japońskich pasażerów ścieśniło się,

RS

268

żeby zrobić im miejsce. Podczas gdy pojazd niepewnie sunął w stronę centrum,

Jane przekazywała Gwen najświeższe wiadomości.

– W ciągu ostatnich czterech dni w hotelu codziennie zjawiał się brytyjski charge d'affaires. Chyba nie wiedziałaś, że ambasador przebywał w

letniej rezydencji w Chuzenji i że teraz mieści się tam ambasada: tutejsza

rezydencja spłonęła. W każdym razie pan Gower ma listę osób, które kontaktowały się za pośrednictwem radiostacji w Nagoi. Między innymi twoja

matka, pani Baynes, zgadza się?

– Tak – odparła półgłosem Gwen.

Od czasu trzęsienia ziemi prawie nie myślała o matce. Całą swoją energię

poświęciła na to, żeby przetrwać i zapewnić przeżycie swojemu dziecku.

– Pytała o ciebie. Pan Gower przesłał wiadomość wszystkim, których zdołał wyśledzić, toteż twoja matka wie, że żyjesz i jesteś zdrowa. Była jeszcze

inna osoba, która o ciebie pytała za pośrednictwem ambasady Francji.

Zaraz,

zaraz, niech pomyślę, któż to taki...

– Jerome de Labasse?

– O, właśnie. Jemu również przekazano wiadomość o tobie. Pamiętaj

jednak o nasilonym ruchu przez Nagoję: minie sporo czasu, zanim
otrzymasz

od kogoś wiadomość.

– A wy? – zapytała Gwen. – Czy zdołałyście się skontaktować ze
swoimi

krewnymi i przyjaciółmi?

Beth Fairford wzruszyła ramionami.

– Przyjaciele wiedzą, moja droga, że życie kapitana Armii Zbawienia
jest

zawsze w rękach Boga.

– Co do mnie, wiadomości przekaże szef misji – dorzuciła Jane.

Zakołysały się, gdyż wóz przystanął. Gwen zobaczyła duży, zalany
wodą

obszar, gdzie niegdyś znajdował się plac Ayati. Dwie starsze kobiety
pomogły

RS

269

Gwen zejść i wszystkie w milczeniu dotarły do hotelu. Na miejscu

Gwen

przekonała się, że panuje tu coś w rodzaju zorganizowanego chaosu. Z
murów

dziedzińca sklecono budki chroniące przed jesiennym deszczem. Część
zachodnich gości ponownie wróciła do hotelu, rozkładając swe rzeczy w

holu i

w jadalni. Okazało się, że niewielu z nich miało ochotę skorzystać z
pokojów

na górze. Udawano się tam jedynie po to, by zabrać ubrania lub przybory toaletowe. Wszystko było pokryte czarnoszarym popiołem, który osadzał się natychmiast po odkurzeniu. Wszyscy, zarówno obywatele zachodni, jak i zazwyczaj nieskazitelni Japończycy, byli brudni i przygnębieni. Około godziny jedenastej podano herbatę w rozmaitych miseczkach i filiżankach. Można było się jej napić pięć razy dziennie – wczesnym rankiem, na drugie śniadanie, w porze obiadowej, o piątej po południu i o ósmej. Gwen знаła już doskonale „zwyčajną herbatę”, napar sporządzany z listków, które wykorzystano co najmniej raz. Herbatę w hotelu Imperial parzono przez parę następnych tygodni z listków używanych kilkanaście razy, ale była przynajmniej gorąca i łagodziła ustawiczne pragnienie wywołane drażniącą obecnością kurzu w gardle. Pod innymi względami życie zaczęło ulegać poprawie. Wprawdzie dostawy gazu były nadal odcięte, ale elektryczność nie zawodziła już prawie nigdy. Wodę czerpano w hotelu z trzech kurków w dolnej części budynku. Kurki znajdowały się w kuchni, w toalecie damskiej, do której próbowała wejść Gwen podczas trzęsienia ziemi, oraz z boku gmachu, gdzie ogrodnik podlewał dawniej drzewka bonsai. Każdego ranka kobiety myły się w toalecie, a mężczyźni golili się przy kranie w ogrodzie. – Nasza placówka medyczna zajmuje się dystrybucją mleka – oświadczyła kapitan Fairford. – Kiedy będzie ci wolno sprowadzić Tamarę do domu... To znaczy, kiedy będzie ci wolno sprowadzić ją tutaj – uśmiechnęła się

i rozłożyła ręce w szerokim geście. – To wszystko wygląda na bałagan, ale

RS

270

jakoś funkcjonuje, moja droga. Kiedy dostaniesz dziecko, upewnij się, że twoje

nazwisko zostało dopisane do listy specjalnych odbiorców mleka. Mam nadzieję, że za parę dni zdobędziemy mleko dla niemowląt.

– Dziękuję – powiedziała Gwen, walcząc ze łzami, które napływały jej do

oczu. – Jesteście dla mnie takie wspaniałomyślne.

– Bzdura. Nie nam dziękuj, lecz Bogu. – Pocałowała Gwen w policzek i poszła sobie.

– Apodyktyczna, co? – stwierdziła Jane z uśmiechem. – Wiesz, tej nocy, kiedy cię znaleźli, patrolowała centrum miasta wraz ze swoim oddziałem i

choć te małe Japonki powiedziały jej, iż ktoś po ciebie idzie, oni zgarnęli cię

z ziemi i ponieśli dalej. Jak wiesz, zrobiła słusznie. No, chodźmy, pewnie jest

tu teraz pan Gower i chce z tobą porozmawiać?

– Ze mną?

– Tak. Ktoś z miasta Mikayo rozpytywał tokijską policję o rodzinę Hayakawa. Dzięki towarzyskim plotkom pan Gower wiedział, że Tamaki

Hayakawa poślubił Europejkę, toteż kiedy opowiadałyśmy mu o tobie,

uznał,
iż powinien porozmawiać z tobą osobiście.
Mikayo... To mógł być tylko kuzyn Tamy, Moko.
Jane zaprowadziła ją do holu, gdzie wydzielono kącik na załatwianie
spraw urzędowych. Członek oddziału tokijskiej policji przedzierał się
przez
kolejkę Japończyków. Niektórzy z nich zapewne próbowali dowiedzieć
się
czegoś o swoich krewnych w innych częściach kraju. Przy stole siedział
wysoki Europejczyk i kłócił się z dwojgiem starszych ludzi, którzy byli
obywatelami jednego z państw zachodnich.
– Ależ zapewniam pana, panie Sheldon, że w Jokohamie n i e kotwiczą
żadne statki pasażerskie. Wszystkie urządzenia w dokach obsunęły się
do
morza. Obecnie pozostaje tylko trasa przez Kobe.

RS

271

– Ale w Kobe nie znajdzie pan statku, który płynąłby na zachód!
Wszystkie obierają kurs na wschód, do Ameryki!
– Wiem o tym, sir, lecz jeśli tylko okaże pan trochę cierpliwości, za
dzień
lub dwa...
– Nazywam to cholerną nieudolnością! Linie okrętowe stać chyba na
uporządkowanie tego bałaganu? Mam pilne sprawy do załatwienia w...
– Pan wybaczy, sir – przerwał mu Gower i wstał z miejsca. – Sądzę, że
ta

dama powinna usiąść.

Gwen usiadła z wdzięcznością na zwolnionym przez niego krześle.

Państwo Sheldonowie obrzucili ją poirytowanym spojrzeniem.

Przeszkodziła

im w czymś ważnym.

– A w jaki sposób dostaniemy się do Kobe? – chciała wiedzieć pani Sheldon. – Kolej jest nadal...

– Jeżeli dotrze pani na plażę Shibuma, jakiś prom zabierze panią na któryś z małych parowców handlowych. W ten sposób będzie pani w Kobe w

parę godzin. A tam są większe szanse na załatwienie miejsca na statku płynącym do Anglii.

– A statek „Hawkins”? Brytyjska marynarka...

– „Hawkins” zabiera wyłącznie rannych, panie Sheldon. Doprawdy, najrozsądniej będzie dopłynąć do Kobe i tam zasięgnąć informacji.

– Świetnie – odparł pan Sheldon, nie okazując nawet cienia wdzięczności

za radę. – Jeżeli to wszystko, co może pan zrobić...

Opuścili hol, w wymiętych ubraniach, ubrudzeni kurzem, z mocnym postanowieniem, że nic, nawet trzęsienie ziemi, nie zakłóci ich planów.

– Przepraszam za to – powiedział Gower i uśmiechnął się do Gwen. Był wysokim, niezgrabnym, młodym mężczyzną. Nosił brudny frak, czysty

RS

– Jest pani bardzo blada.

– Dopiero co wyszłam ze szpitala...

– Och, to pani jest Gwen Hayakawa! Witam panią. – Wyciągnął dłoń, którą ona grzecznie uścisnęła. – Jeżeli zostało choć trochę herbaty, czy mógłby

pan przynieść filiżankę dla pani Hayakawa? – zawołał do przechodzącego akurat kelnera.

Kelner uklonił się i pośpiesznie odszedł. Po chwili wrócił z jeszcze jednym naczyniem parującego napoju.

– Panna Bedale mówiła, że ktoś pytał o rodzinę Hayakawa? – powiedziała Gwen.

– Istotnie.

Gwen spojrzała na swoją herbatę. Żadne słowa nie mogły przejść jej przez gardło.

– Słyszałem od Franka Erendera, że wszyscy zginęli. To prawda? – zapytał Gower.

– Tak. Według ludzi, którzy pierwsi pospieszyli z pomocą, dom spalił się i nikt nie przeżył. Ludzie w warsztacie lakierniczym ponieśli śmierć, kiedy budynki obsunęły się do dziury w ziemi.

– Tak mi przykro, pani Hayakawa.

– Dziękuję za współczucie.

Wzięła głęboki oddech nie po to, by westchnąć, lecz by nabrać odwagi przed tą trudną rozmową.

– O ile mi wiadomo, o rodzinę Hayakawa pytał ktoś z Mikayo?

– Tak, Moko Hayakawa. Rozumiem, że to krewny.

– Wydaje się, że tak. Mąż wymieniał czasami jego nazwisko w związku z przygotowaniami do ślubu mojej szwagierki.

RS

273

Gwen z trudem stłumiła szloch. Ilekroć pomyślała o Hanako, odczuwała straszliwy smutek.

– Moko-san miał być zaproszony do Tokio na ślub.

– Rozumiem. Poznała go pani?

Gwen pokręciła głową.

– Powiem Wydziałowi ds. Osób Zaginionych tokijskiej policji, żeby przekazał pani informacje. Czy chciałaby pani dodać jakąś wiadomość?

– Tylko... tylko stosowne zwroty japońskie oznaczające szacunek i kondolencje.

– Naturalnie.

Kiwał głową, robił notatki na odwrocie ulotki, jedyne kawałka papieru,

jaki zdołał znaleźć dzisiaj rano.

– Teraz, jeśli chodzi o panią...

– Jeśli chodzi o mnie?

– Jakie ma pani plany?

Po raz kolejny pokręciła głową.

– Nie mogę planować niczego, dopóki nie upewnię się, że stan zdrowia mojego dziecka jest dobry. Widzi pan, ona urodziła się przedwcześnie.

– Och, proszę mi wybaczyć. Obawiam się, że ta wiadomość... Jak ona się

ma? – zagadnął Gower, a w jego głosie pobrzmiwała życzliwość.

– Czuję się dobrze, z każdym dniem przybywa jej na wadze. Mówią, że będę mogła zabrać swoją córeczkę ze szpitala mniej więcej za tydzień.

Trzymaliby ją tam dłużej, ale oczywiście jest zbyt wiele osób, które wymagają szpitalnego leczenia...

Umilkła. Nie było potrzeby paplać panu Gowerowi o dziecku. Już i tak miał wiele kłopotów.

RS

274

– No cóż, pani Hayakawa, jestem pewien, że rozumie pani, iż obecnie możliwość pomocy ze strony ambasady brytyjskiej jest ogromnie ograniczona...

Ale na szczęście sytuacja stopniowo się poprawia. Próbujemy między innymi ewakuować ludzi z Tokio do miejsc, których nie dotknęło trzęsienie

ziemi, chyba że mają ważne powody, by tu przebywać. Czy chciałaby pani

wyjechać na wieś?

– Nie, dopóki...

– Tak, tak, oczywiście. Dopóki nie będzie mogła pani wziąć ze sobą córeczki. Czy wolno mi tymczasem wpisać pani nazwisko na następny tydzień? Nie mogę dokładnie powiedzieć, kiedy zostanie pani ewakuowana,

ale w każdym razie trafi pani do lepszych warunków. I będzie to, jak sądzę,

korzystniejsze dla dziecka.

– Tak, proszę dopisać moje nazwisko do listy osób oczekujących na ewakuację. Ogromnie panu za to dziękuję.

– To mój obowiązek. Na razie hotel zapewnia trzy skromne posiłki dziennie, za które płaci rząd brytyjski. Rozdawane są ubrania: w Sali bilardowej utworzono prowizoryczną garderobę. Być może zechce pani później się tam wybrać i rozejrzeć. Co do pieniędzy... Mogę pani wypłacić równowartość dziesięciu funtów na codzienne wydatki, aczkolwiek nie ma na co ich wydawać. Komunikacja jest obecnie bezpłatna, a żywności i innych rzeczy i tak nie ma gdzie kupić. Lepiej jednak mieć trochę pieniędzy na wszelki wypadek. Otworzył starą cygarnicę, odliczył parę banknotów i podał je Gwen, która zawałała się, czy je wziąć.

– Mam trochę pieniędzy – powiedziała. – W banku British Overseas Mercantile. Czy on nadal działa?

RS

275

– Nie w Tokio. Budynek się spalił. Ale większość banków otworzyła swoje filie w Asahi: za dzień, dwa, będzie pani mogła uzyskać dostęp do swojego konta. A tymczasem proszę skorzystać z pożyczki ambasady.

– Dziękuję.

Usiadła, trzymając w ręku pieniądze. Nie miała torebki, do której mogłaby je włożyć. Ale kiedy Albert Gower uściskał jej rękę i wyszedł, poczuła, że zaczyna życie od nowa.

W ciągu kilku następnych dni dużo spała i piła żelazo w płynie, które

dostarczała jej Jane z darów amerykańskich instytucji charytatywnych dla misji metodystów. Na stole do gry w bilard, pośród stosów odzieży, wyszukała sobie komplet ubrań. Nie było tam żadnych ubranek dla niemowląt, ale za to znalazła prześcieradła i ręczniki. Spędzała więc czas na przerabianiu ich na szale i pieluszki.

Podczas codziennych wizyt u Tamary w szpitalu wyjaśniała dziecku, co zamierza robić.

– Próbuję przygotować wszystko na okres, kiedy będziemy mogły być razem, Tammy. Pan Gower twierdzi, że możemy się udać do ludzi w Narze,

gdzie jest bardzo ładnie albo przynajmniej było ładnie... Nie wiem, co się tam

zmieniło po trzęsieniu ziemi. Ale spodoba ci się tam, bo będziesz ze mną,

Tammy.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Gwen pozwolono zabrać niemowlę z oddziału. Dziecko starannie zawinięto, by uchronić je przed

wrześniowym

chłodem. A świat, który je powitał, był bardzo posepny. Zza chmur padały

promienie słońca, które oświetlały przygnębiający krajobraz. W centrum miasta nie ocalały żadne drzewa, które ożywiłyby okropną monotonię poczerniałych stosów spalonego drzewa i szarych ruin budynków. Pan Gower

zapewnił Gwen transport do hotelu samochodem marki Lagonda, który

RS

276

przyjechał z bezpiecznych wiejskich okolic. Kiedy wysiadła z niego przed

wejściem do hotelu, czekała już na nią powitalna grupa.

– Zobaczymy ją... Och, jaka śliczna! Patrzcie, uśmiecha się... Nie, takie małe niemowlęta nie potrafią się uśmiechać...

Tamara Hayakawa wynagrodziła ciepłe zainteresowanie kobiet, głośno płacząc z głodu.

Hotel nie był wymarzonym miejscem dla pielęgnacji dziecka. Z racji przedwczesnego przyjścia na świat mała musiała być karmiona częściej niż

normalne niemowlę. Gwen ustawicznie prosiła o gotowaną wodę, mieszała

mleko w proszku, karmiła dziewczynkę z butelek dostarczanych przez szpital,

próbując je wysterylizować przed następnym karmieniem. A wszystko to

działo się w towarzystwie ciągłego zainteresowania kobiet z hotelu, dla których niemowlę stanowiło cudowną odmianę podczas monotonnego oczekiwania na powrót do normalności. Trudno było zapewnić Tammy odpoczynek i spokój, których tak potrzebowała.

Gwen poczuła ulgę, kiedy przybył pan Gower z informacją, że znowu uruchomiono połączenie kolejowe z Narą i że ona wraz z dzieckiem wyjadą

nazajutrz. Pożegnała się ze wszystkimi, na oderwanych kawałkach

papieru
zapisała ich nazwiska i adresy i obiecała, że się odezwie. W piątek, o
wczesnym październikowym poranku, mniej więcej w miesiąc po
trzęsieniu
ziemi w Tokio, wsiadła do pociągu, który miał ją zawieźć do Nary,
dwieście
mil na południe. Z początku podróż przebiegała powoli, z licznymi
postojami.
Pomimo iż linia została naprawiona, konieczne były długie przystanki,
które
powodowały opóźnienia pociągu. Ale kiedy opuścili strefę objętą
trzęsieniem
ziemi, pociąg nabrał szybkości. Pasażerowie, wyłącznie Japończycy,
kiwali
głowami i uśmiechali się do siebie. Podobnie jak Gwen, szukali
schronienia po
przebytym kataklizmie. Wkrótce mieli ujrzeć przyjazne twarze swoich

RS

277

bliskich, którzy na nich czekali. Wiele osób wysiadło z pociągu na
wcześniejszych stacjach – w Sizonki i Nagoi.
Kiedy zaczęły się ukazywać zalesione wzgórza Nary, Gwen zebrała
swoje rzeczy. Były zawinięte w tradycyjne *furoshiki* i składały się
wyłącznie z
ubranek dla Tammy. Przy wysiadaniu pomogły jej ręce życzliwych
ludzi.

Drewniany dworzec zbudowany był w starym stylu. Najbardziej zdumiewał jednak fakt, iż ocalał. Nie dostrzegła żadnych śladów zniszczeń. To było niezwykle zaskakujące.

Na Gwen czekała jakaś japońska para z tablicą, na której wypisano jej nazwisko japońskimi znakami. Gwen rozpoznała je, gdyż były to pierwsze

znaki, jakich się nauczyła. Położyła *furoshiki*, żeby móc im pomachać wolną ręką. Popatrzyli na nią, grzecznie się uklonili i zawrócili.

– Proszę pana! – zawołała. – Proszę pani! Nazywam się Hayakawa. Odwrócili się niemal równocześnie. Znowu na nią spojrzeli, ale tym razem w osłupieniu.

– Pani Hayakawa? – zapytał zaskoczony mężczyzna.

– Tak, przysłał mnie pan Gower z ambasady brytyjskiej.

– *Hai* – odrzekł mężczyzna, wreszcie przyjmując jej słowa do wiadomości. – Witamy w Narze. Proszę wybaczyć kiepskie powitanie. Gubernator nie powiedział, że...

– Że jestem Europejką – dokończyła, wzdychając i wzruszając ramionami. – Czy to robi państwu jakąś różnicę?

– Ależ nie, jak może pani nawet pytać, droga pani... Mamy w hotelu kilkunastu europejskich gości.

– Jesteście z hotelu?

– Nazywam się Kenzo Jukoro i jestem właścicielem hotelu „Zielony Widok”. A to moja żona Jitsuko.

RS

278

– *Ikaga desu ka?* – odrzekła Gwen i ukloniła się.

– *Okagesama de genki desu* – odparła pani Jukoro, pochylając głowę.

– *Dorno arigato gozaimashita* – powiedział jej mąż i złożył ukłon.

Kiedy już wymieniono grzecznościowe ukłony i pozdrowienia, pani Jukoro poczuła, że wreszcie może zrobić to, na co miała ochotę przez cały czas

– spojrzeć na dziecko.

– Och, jakie śliczne! Matko dziecka, gratulacje z powodu urodzenia tak pięknego niemowlęcia.

– Dziękuję.

W gruncie rzeczy Gwen chciała zapytać, czy mogą już iść? Oprócz tego, że panował chłód, była zmęczona, a ponadto wykorzystała wszystkie butelki

do mleka przygotowane na drogę i wiedziała, że zgłodniała Tammy zaraz

zacznie płakać.

Wyczuwając, o co chodzi, Jitsuko Jukoro spojrzała znacząco na męża. Natychmiast wyprowadził ich ze stacji. Na żwirowej drodze czekał na nich

basha, prymitywny wóz na małych kółkach, zaprzęgnięty w jednego konia.

Gwen wsiadła do niego przy pomocy państwa Jukoro. Kenzo Jukoro załadował

jej „bagaż”, potem wspiął się na wóz, a po nim to samo uczyniła pani

Jukoro.

Kierowca krzyknął *Oi kudasai!* i ruszyli.

Hotel okazał się zajazdem w tradycyjnym japońskim stylu. Gdy tylko ustał turkot kół *basha*, z budynku wybiegła chmara służby. Gwen właśnie

schodziła z wozu, gdy zza hotelu wynurzyło się dwóch kulisów niosących dwa

duże wiadra gorącej wody, zawieszane po obu stronach tyczki.

– Za chwilę kąpiel będzie gotowa – oświadczył pan Jukoro.

– Czy dziecko trzeba nakarmić? – zagadnęła jego żona.

Gwen skinęła głową. Natychmiast zaprowadzono ją na górę, do pokoju, który był pusty jak wszystkie japońskie pokoje, ale na poduszce leżały

RS

279

malutkie ubranka, uszyte na japońską modłę. Gwen poprosiła o gorącą wodę,

żeby zrobić małej mleko. Po chwili służąca spełniła jej życzenie. Minęło dwadzieścia minut i Tammy wykąpana, nakarmiona i przebrana spała spokojnie na futonie pod czujnym okiem starej służącej. A Gwen rozkoszowała

się pierwszą od trzech tygodni kąpielą, pławiła się w wypełnionej gorącą wodą

wannie, podczas gdy jej plecy szorowała pomarszczona starsza pani, paląca

glinianą fajkę. Tej nocy Gwen i Tammy spały kamiennym snem do samego

rana.

Tu, w Narze, wszystko wydawało się lepsze, tchnące optymizmem. Nie widziało się tutaj ruin i wiszącego w powietrzu tumanu kurzu, nie czuło się

odoru spalenizny i dymu. Nara, centrum turystyki z racji zabytkowych świątyń,

odczuło wstrząs, który zniszczył Tokio, tylko w postaci silnego drżenia.

Państwo Jukoro byli zaskoczeni tym, że Gwen nie chce zwiedzać świątyń.

– Nie pragnie pani obejrzeć *Today–ji*? Nie chce pani zobaczyć

Wielkiego

Buddy?

– Później – odrzekła Gwen. Na razie pragnęła jedynie siedzieć w kamiennej altance hotelu ze swoją córeczką, która drzemała w koszu

przy jej

boku.

Z początkiem listopada karłowate klony na wzgórzach przybrały jaskrawe kolory. Inni europejscy goście – dwie pary małżeńskie: jedna ze

Szkocji, a druga z Danii – chodzili na długie spacery po stromych zboczach, by

oglądać przydrożne świątynie. Gwen wybierała się na krótsze przechadzki po

ulicach Nary z Tammy na rękę. Odkryła sklep dla zagranicznych turystów, w

którym znajdowały się europejskie ubrania. Mogła wreszcie kupić parę nowych butów i znaleźć sukienkę na swój rozmiar. Udało jej się nawet

RS

280

wyszukać francuskie mydło. Znowu zaczęła się czuć częścią cywilizowanego świata.

Otrzymała list od Alberta Gowera. „Miałem wiadomość od Moko Hayakawy – kuzyna pani nieżyjącego męża. Bardzo chce się z panią spotkać,

żeby zastanowić się nad przyszłością. W odpowiedzi zaproponowałem mu

przyjazd do Nary na spotkanie z panią, i ustaliłem prowizoryczną datę na 8

listopada. Gdyby ten termin pani nie odpowiadał, proszę przysłać depeszę –

urząd pocztowy w Narze jest czynny, aczkolwiek, o ile mi wiadomo, telefony

nadal nie działają". List kończył się życzeniami pomyślności. W kopercie

znajdowały się ponadto kartki od paru mieszkańców hotelu Imperial, którzy

chcieli poinformować Gwen, że ruszają w dalszą drogę.

Gwen wiedziała, że japońskie tradycje rodzinne bezwzględnie zobowiązywały Moko–sana do spotkania z nią. Teraz czuła się wystarczająco

silna, by stanąć twarzą w twarz z nową głową rodu Hayakawa. Przesłała depeszę, w której donosiła, że zgadza się na wyznaczoną datę.

Następnie,
zostawiwszy Tammy pod opieką oddanej służącej, pojechała do Nagoi.
Ta
miejsowość była położona niedaleko od Nary i stanowiła następny
ważny
punkt na trasie kolei elektrycznej. Po przyjeździe Gwen upewniła się, że
jej
konto w banku Overseas Mercantile nie zostało zlikwidowane. Pieniądze
na
nim pochodziły ze sprzedaży mebli, które wykonała w warsztacie
„Dobra
Wróżba”. Wpłacona suma była dość pokaźna. Podjęła tyle pieniędzy, by
opłacić wizytę u fryzjera i rozkoszować się pierwszym od miesiąca
europejskim
posiłkiem: zupą, mięsem z warzywami i kawą ze śmietanką.
Wzmocniwszy
w ten sposób swoje siły, oczekiwała na przybycie Moko Hayakawy,
który okazał się mężczyzną na oko czterdziestoletnim i zupełnie innym
niż
Tama. To był Japończyk z prowincji. Niedużego wzrostu, z siwiejącymi
włosami, nosił szare kimono, charakterystyczne dla dojrzałego
japońskiego

RS

się tego. Moko-san patrzył na nią oczami Japończyka przestrzegającego wszelkich zwyczajów i tradycji, a ona była kobietą, a więc nikim ważnym. Po

wtóre, była wdową, a zatem kimś jeszcze mniej ważnym. Nadto była matką

pozbawionej ojca dziewczynki, a to wywoływało przykrą niedogodność.

I stąd

brał się ów ledwo dostrzegalny ukłon, który odwzajemniła pełnym szacunku

pochyleniem głowy.

Służba rozłożyła dla niego poduszki i przyniosła herbatę. Kiedy w końcu opuściła pokój, ciągle się kłaniając, Gwen nalała herbaty.

– Proszę przyjąć tę skromną gošcinę, Moko-san. Jestem zaszczycona twoją wizytą.

– Dziękuję. Jest oczywiście moim obowiązkiem odwiedzenie wdowy po krewnym.

– Dziękuję. Czy miałeš dobrą podróż?

I tak przez pół godziny wymieniali uprzejmości, by wreszcie przystąpić do rzeczy.

– Czy masz jakieš plany na przyszłość, Gwen-san? – zapytał.

– Jeszcze nie. Żyłam z dnia na dzień, Moko-san.

– Naturalnie. To dobra zasada. Nasze życie jest w rękach Buddy. – Po wygłoszeniu obowiązkowej pochwały ciągnął dalej: – Z pewnością wiesz, że

jako głowa rodziny mam obowiązek łożyć na twoje utrzymanie. Jesteš mile

widziana w moim domu w Mikayo, gdzie moja matka i moja żona serdecznie

cię przyjmą.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, byłby jej pobyt u rodziny. Po pierwsze, była cudzoziemką, która zadziwiała go swoim wyglądem i swobodnym zachowaniem.

Konieczność

obcowania z tą kobietą sprawiłaby jego żonę w wielką złość, matka zaś, która

RS

282

miała ponad sześćdziesiąt lat i była ogromnie apodyktyczna, nie dałaby
mu
żyć. Po drugie, ta kobieta nie posiadała pieniędzy. Przepadło wszystko,
co
stanowiło jakiś majątek: budynki firmy lakierniczej zapadły się pod
ziemię
wraz z wszelkimi wyrobami i całym wyposażeniem. Doszczętnie spłonął
dom
w Higashi i jego umeblowanie. To prawda, że te dwa kawałki ziemi
miałyby
jakąś wartość, lecz z racji przejęcia sukcesji przez Moko–sana należały
teraz
do niego. Gdyby chciał je sprzedać, zabrałoby to trochę czasu, gdyż w
Tokio
było teraz mnóstwo ludzi, którzy usiłowali się pozbyć opustoszałych
parceli.
Pozostawała jeszcze kwestia dziecka. Obejrzał je tuż po przyjeździe i
zgodnie z obowiązującymi regułami wyraził pochwałę. Ale w
rzeczywistości
wydało mu się okropną istotą – miało włosy tego samego koloru, co
matka, a
jego zielone jak u kota oczy mogły tylko sprowadzić nieszczęście.
Gwen potrafiła wszystkiego się domyśleć. Nigdy nie umiała szybko
pojąć

ludzkich intencji, ale osiemnaście miesięcy pobytu w Japonii nauczyło ją wychwytywać pewne niewypowiedane sygnały. Nie spodobała się Moko–sanowi, który nie chciał mieć z nią nic wspólnego i przyjechał do Nary jedynie po to, by dać jej to do zrozumienia. O prawdziwych uczuciach Moko–sana świadczył stopień grzeczności, z jaką z nią rozmawiał. Gwen odczekała przepisową chwilę po jego uprzejmym zaproszeniu do domu w Mikayo, po czym złożyła leciutki ukłon, jakby była mu równa, a nawet go przewyższała. Moko–san wytrzeszczył oczy, widząc tę impertynencję.

– Dziękuję ci, Moko–san, za tę serdeczną propozycję. Zawsze będę o niej pamiętała z wdzięcznością.

Moko odprężył się. Coś w jej sposobie mówienia podpowiadało mu, że nie zechce skorzystać z jego oferty.

– Jednakże postanowiłam opuścić Japonię.

RS

Wyrzekłszy te słowa, poczuła przyływ ogromnej ulgi. Tak, musiała to zrobić – opuścić okrutną ziemię, która zabrała jej Tameę. Wróci do domu, by zacząć życie od nowa ze swoją córeczką.

RS

284

14

Na statku „Malwa” płynęło się bardzo wygodnie. Gwen wydała mnóstwo pieniędzy na kajutę pierwszej klasy, gdyż pragnęła zrobić wszystko, co mogła, dla swojej malutkiej córeczki. „Malwa” była pierwszym statkiem, na który zdołała zarezerwować bilet, a ponieważ wsiadła na jego pokład pod koniec listopada, uważała się za szczęściarę. Ambasada brytyjska wydała Gwen nowy paszport, gdyż poprzedni spalił się podczas pożaru w jej tokijskim domu. Wysłała listy do matki i do Jerome'a, wyjaśniając im, że wyruszy w drogę powrotną, jak tylko będzie to możliwe. Na razie jeszcze nie zdecydowała, gdzie osiąść. Nie wyobrażała sobie ponownego zamieszkania w St Albans z matką i ojczymem, ale nie przemawiał do niej również pomysł, żeby jeszcze raz znaleźć się w krzykliwym świecie paryskich artystów. Czas będzie najlepszym doradcą. Miała przed sobą długą podróż, która

umożliwi ustalenie planu. Zgodnie z tym, co powiedziała Moko–sanowi,
żyła z
dnia na dzień. Pomyślała, że kiedy znowu nabierze sił, zdobędzie się na
kolejną decyzję.
Napisała do Moko–sana i załączyła pieniądze na opłacenie ceremonii,
które uznawano za konieczne dla spokoju dusz członków rodziny
zmarłych
wskutek trzęsienia ziemi. Wiedziała, że w stosownym czasie na
rodzinnym
grobie w ogrodzie świątyni Asakusa zostawi się ciastka i sake. Uznała,
że ten
list dopełnił wszystkich zobowiązań, jakie miała wobec Japonii. Częstka
jej
duszy zostanie tam na zawsze. Zapewne nigdy nie opuści jej poczucie
winy, że
ona ocalała, podczas gdy tyle osób poniosło śmierć. Jednakże musiała
wzmocnić się psychicznie, by stworzyć właściwe warunki do życia
swojej
córce.

RS

285

Pierwsze kilka dni przeważnie spędzała w kajucie, dbając o to, by
Tammy nie cierpiała wskutek podróży. Wszystko wydawało się w
porządku.
Jedynie Gwen miała kłopoty z przywyknięciem do okrętowych mebli.
W jej

kajucie znajdowały się dwa pojedyncze łóżka. Na jednym z nich położyła wyplatany kosz, w którym spała Tammy. Drugie przeznaczyła dla siebie, ale pierwszej nocy nie zmrużyła oka – była przyzwyczajona do twardej podłogi pod futonem, a nie do luksusu sprężystego materaca i miękkich poduszek. Poleciała, żeby posiłki przynoszono jej do kajuty. Kiedy steward przyniósł pierwszą tacę z jedzeniem, niemal odruchowo oczekiwała, że postawi ją na podłodze. Ale on wprawnym ruchem rozłożył mały stolik, przykrył go śnieżnobiałym obrusem i podał typowe angielskie śniadanie: owsiankę, jajka na bekonie, gorącą grzanekę z masłem i czajniczek pełen wyśmienitej kawy. Następnego dnia zamówiła śniadanie po francusku, zastanawiając się, co otrzyma. Przyniesiono jej prawdziwą *cafe complet*: rogaliki i maślane bułki, dżem z moreli w ładnym niebieskim garnuszku i znowu wspaniałą kawę. Ale tym razem nie mogła nic przełknąć. Jej gardło ścisnęły łyzy. Przypomniała sobie, jak Tama próbował zdobyć dla niej kawę, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży. Kaprysy ciężarnych kobiet należało tolerować, a zatem Ota nauczył się parzenia kawy. A teraz nie było Oty i Tamy... Na trzeci dzień jakoś oswoiła się z rozkoszami gorącej i zimnej wody, która płynęła z mosiężnych kranów, oraz siedzenia na obitych pluszem krzesłach. Postanowiła, że zacznie bywać między ludźmi i będzie spożywała posiłki w jadalni. Stewardesa chętnie zgodziła się pilnować jej śpiącego dziecka.

Czwartego dnia, kiedy świeciło słońce, zabrała Tammy na pokład, żeby się dotleniła. Jak zwykle, stłoczyła się wokół niej grupka kobiet, które zachwycały się dziewczynką, jej bijącymi powietrze piąstkami oraz gaworze-

RS

286

niem, jeszcze bezwiednym, które być może świadczyło o przeżywaniu rozkoszy.

Jednakże na pokładzie „Malwy” znajdowały się też inne dzieci. Ich rodzice bawili w interesach w Australii i na wyspach Pacyfiku, a teraz wracali

do domu. Wkrótce zatem malutkie dziecko przestało być obiektem zainteresowania. Tylko niektóre dziewczynki kręciły się dookoła niemowlęcia

w nadziei, że będą mogły poniańczyć tę uroczą żywą laleczkę, ubraną tak

ślicznie w miniaturowe japońskie kimono.

Następnym portem, do którego miał wpłynąć statek „Malwa”, był Hongkong. Ze względu na konieczność rozładunku towarów postój przewidziano

na czterdzieści osiem godzin. Gwen zeszła na brzeg i kupiła w dobrze zaopatrzonych sklepach trochę ubrań dla siebie. Przyjęto nawet od niej zamówienie na dwie nowe sukienki, które miano dostarczyć na statek przed

jego wypłynięciem. Gwen odczuwała potrzebę posiadania przyzwoitej odzieży.

Wprawdzie nie była jedyną ofiarą trzęsienia ziemi w Tokio, która znalazła się na pokładzie „Malwy”, ale czuła się nieswojo, kiedy wchodziła do jadalni czy holu w źle dopasowanych ubraniach, które przed rejssem zdołała skompletować w Kobe.

Dla Tammy także kupiła europejskie ubranka. Kiedy pierwszy raz włożyła córeczce tradycyjną koszulkę z cienkiej wełny z jedwabnym haftem,

wzruszyła się do tego stopnia, że z jej oczu znowu popłynęły niechciane łzy.

Matka przysłała jej z Anglii trzy takie koszulki jako część wyprawki dla niemowlęcia. To wszystko oczywiście spłonęło w Tokio.

Następnym portem po Hongkongu miał być Singapur. Gwen oczekiwała zawinięcia do portu z niecierpliwością. W Hongkongu prawie nie było czasu,

żeby się rozejrzeć, gdyż musiała zrobić zakupy, ale zakładała, że w Singapurze

RS

287

będzie miała więcej swobody. Obiecała sobie, że trochę pozwiedza miasto i

wchłonie jego atmosferę.

Zastanawiała się, jakie meble mają ludzie w Singapurze.

Niestety, w dzień po opuszczeniu Hongkongu Tammy poczuła się źle po

porannym karmieniu. W pierwszej chwili Gwen ogarnęła panika. Jej dziecko wydało się tak spragnione życia, zawsze głodne i chętne do jedzenia. Od czasu swoich narodzin sporo przytyło. Ale teraz po raz pierwszy dziewczynka zwymiotowała. Trzymając dziecko na przykrytym ręcznikiem ramieniu i masując jak zawsze jego plecki, Gwen czuła, że po ręczniku spływa ciepły strumień, i przeżywała paniczny strach. Czekala, aż niemowlę zwróci wszystko. Tammy płakała żałośnie. Gwen położyła ją na prześcieradle kąpielowym, którym zawsze przykrywała łóżko. Uprzątnąwszy z grubsza skutki porannego karmienia, wzięła Tammy na ręce, żeby ją uspokoić. Dziewczynka uciszyła się po trzydziestu minutach. Gwen wykąpała córeczkę natychmiast, chociaż zazwyczaj robiła to przed południem, przebrała i położyła do koszyka. Dotknęła dłonią zarumienionego policzka niemowlęcia. Czyżby miało niewielką temperaturę? W pierwszym odruchu chciała wezwać stewarda i poprosić, by sprowadził lekarza pokładowego, ale powstrzymała się od tego kroku. Nie wolno było wpadać w panikę tylko dlatego, że jej dziecko raz zwymiotowało. Zaczekajmy do kolejnego karmienia – mówiła sobie w duchu. Tammy przebudziła się mniej więcej po godzinie. Gwen kołysała ją i uspokajała, aż nadszedł czas, by dać jej świeżo przygotowane mleko. Kiedy dziecko chętnie zaczęło ssać z butelki, Gwen się uspokoiła. Wszystko było w porządku. Tama miała apetyt jak zawsze. Jednakże gdy tylko położyła dziecko na ramieniu, żeby mu się odbiło, Tammy zwymiotowała. Tym razem Gwen

RS

288

przekonała się, że Tammy cierpi również na biegunkę. Teraz już się nie wahała. Nacisnęła dzwonek, by przywołać stewarda.

Wydawało się, że upłynęło dużo czasu, nim zjawił się doktor Paldon. Właśnie z pomocą pielęgniarki uporał się z zawałem serca, toteż nie miał

specjalnej ochoty przejmować się niestrawnością niemowlęcia. Był młody,

niezbyt pewny siebie, miał chłopięcy wygląd. Była to jego pierwsza praca po ukończeniu studiów.

– No cóż, pani Hayakawa, ma pani zupełną słuszność, pani dziecko wydaje się trochę niezdrowe i ma lekko podwyższoną temperaturę.

Myszę, że

jej brzuszek potrzebuje odpoczynku, nie sądzi pani? Proszę zatem ominąć

następne karmienie albo dać jej trochę przegotowanej wody. A kiedy przyjdzie

pora na karmienie około siedemnastej, proszę rozpuścić o połowę mniej mleka

w proszku. Dobrze?

– Tak – odparła bez przekonania Gwen.

Lekarz poklepał ją po rękę. Teraz przypomniał sobie, że ta pani przeżyła trzęsienie ziemi w Tokio, a dziecko, według jego karty informacyjnej, przyszło

na świat dwa miesiące przed czasem. Być może jej niepokój był uzasadniony.

– To całkiem normalne, że niemowlęta mają takie rozstroje żołądka – zapewnił ją. – Wszystko jest w porządku.

Ale Gwen wiedziała, że tak nie jest. Tammy w dalszym ciągu miała biegunkę, straciła apetyt, wymiotowała i bez przerwy płakała. Milkła jedynie

wtedy, gdy zapadała w sen z wyczerpania. Przywołany ponownie doktor Paldon zaczął się martwić. Stan niemowlęcia uległ od rana zdecydowanemu pogorszeniu.

– Czy zabierała ją pani na brzeg w Hongkongu? – zapytał. Gwen pokręciła przecząco głową.

RS

289

– Zesłam na brzeg sama. Musiałam kupić parę rzeczy. Poprosiłam jedną

ze stewardes, żeby popilnowała Tammy.

Doktor nie przyznał głośno, że jej słowa sprawiły mu ogromną ulgę. W Hongkongu było kilka niezdrowych obszarów, gdzie istniało niebezpieczeństwo

złapania jakiejś choroby.

– Hm, lepiej będzie, jeśli damy dziecku roztwór glukozy. Każę go przygotować pielęgniarce i przynieść do kajuty. Dopilnuję również, żeby

brudne pieluszki zostały wymoczone w lizolu. Jeżeli potrzebuje pani

dotychczasowych zapasów, mamy je w składziku ambulatorium. Nie dostrzegaliśmy objawów żadnej poważniejszej infekcji, ale chciał odizolować

Tammy w kajucie, gdyż wśród pasażerów znajdowało się około czterdziestu dzieci w różnym wieku. Jakże łatwo byłoby je zarazić... Tej nocy Gwen nawet nie próbowała się położyć. Czuwała, kołysząc swoją małą córeczkę, która niemal cały czas płakała. Z samego rana pojawił się doktor Paldon. Gwen obserwowała jego twarz, gdy badał Tammy.

Jeszcze nie nabrał wprawdy w ukrywaniu uczuć, toteż zdradzał troskę.

Mała wyraźnie traciła na wadze. Gwen nie mogła do tego dopuścić, gdyż jako wcześniak Tammy dopiero osiągnęła wagę, jaką powinna mieć przy urodzeniu.

Doktor zaczął się obawiać, że ma do czynienia z przewlekłą biegunką. Nie

potrafił pojąć, w jaki sposób dziecko się jej nabawiło, albowiem ta choroba

brała się z nieprzestrzegania higieny, a na statku panowała idealna czystość.

Oczywiście, w Hongkongu na pokładzie pojawiły się muchy – istniała więc

możliwość, że część naczyń nie została dokładnie umyta.

Gwen wyczytała w jego niespokojnych oczach, że nie wiedział, jak pomóc dziecku. Czula narastającą w sobie rozpacz. Cóż najlepszego zrobiła?

Czyżby jej usilne pragnienie wyjazdu z Japonii skazało niemowlę na większe

niebezpieczeństwo niż skutki trzęsienia ziemi?

RS

290

– Pani Hayakawa – odezwał się w końcu doktor Paldon. – Jutro dopływamy do Singapuru. Naprawdę uważam, że lepiej będzie zabrać dziecko

do tamtejszego szpitala. Myślę, że należy ją pielęgnować w sterylnych warunkach i chociaż mógłbym spróbować stworzyć je w ambulatorium, byłoby

to trudne. Nie mówiąc już o tym, że nie jestem pediatrą – dodał w myślach –

nie bardzo wiem, jak sobie poradzić z tym przypadkiem.

Gwen natychmiast przystała na jego propozycję. Do szpitala wysłano wiadomość drogą radiową. Kiedy statek „Malwa” przybił do brzegów Singapuru, na nabrzeżu czekała już karetka, która zabrała Gwen Hayakawę i

jej córeczkę do szpitala Victoria. Gwen wgramoliła się do karetki, owinąwszy

płaczące dziecko w kocyk. Przełożona oddziału natychmiast wzięła ją na badanie, delikatnie rozwinęła kocyk, położyła małą na pokrytym ceratą stole i

poszła po doktora. Doktor McNair widział wiele podobnych przypadków.

– Wszystko jest w porządku, matko – zapewnił Gwen. Dziecko jest bardzo odwodnione. Trzeba także zbić jej temperaturę. Poradzimy z tym sobie,

to dla nas nic nowego.

- Ale co jej jest, doktorze? – zapytała błagalnym tonem Gwen, obawiając się różnych okropnych chorób w rodzaju cholery.
- To ostry przypadek nieżytu żołądka i jelit. Coś dostało się do jej układu trawiennego.
- Skinął głową na siostrę, która podniosła dziecko, żeby je położyć na wadze. Zmarszczył brwi.
- O ile miesięcy wcześniej przyszła na świat?
- Dwa miesiące.
- A ile ważyła?
- Cztery funty i cztery uncje. Potem doszła do ponad sześciu funtów.

RS

291

- Hm, obawiam się, że sporo straciła na wadze, ale mam nadzieję, potrafimy się z tym uporać. Za jakiś czas znowu zaczniesz przybierać na wadze.
- No, no – powiedział do Gwen – nie trzeba płakać.
- To łyzy... ulgi – zaszlochała Gwen. – Myślałam... myślałam...
- Wszystkie matki są takie same. Zawsze myślą o najgorszym. Nie, proszę się nie bać, pani dziewczynka wyzdrowieje. A jeśli chodzi o panią, wygląda pani jak duch. Czy ma pani tutaj przyjaciół, u których mogłaby się zatrzymać?
- Nie, doktorze. Właśnie zesłam ze statku, ponieważ...

– Tak, rozumiem. No cóż, proszę zejść na dół do opiekunki. To jest na parterze, w tylnej części budynku, zobaczy pani znaki... Dostanie pani od niej

nazwy paru hoteli.

– Ale czy nie mogłabym zostać tutaj razem z Tammy?

– Zostać tutaj?! – zawołała zgorszona pielęgniarka. – Na pewno nie. Szpitale są dla chorych ludzi, pani Hayakawa.

– Tak, ale Tammy i ja...

– Wiem, wiem, nie chce się pani z nią rozstać – powiedział doktor, obrzucając siostrę pełnym wyrzutem spojrzeniem.

Pomyślał sobie, że ta biedna kobieta przebyła dwa czy trzy tysiące mil w drodze do domu i teraz jest sama w obcym mieście. Siostra jednak miała rację.

W szpitalach zatroskani rodzice nie mogli się tłoczyć, robić zamieszania.

– Oczywiście, może pani odwiedzać ją codziennie. Opiekunka udzieli wszystkich informacji. A to są formularze, które powinna pani wypełnić.

Myślę, że najlepiej będzie zaraz się do nich zabrać, a my zabieramy się do pani

dziecka, dobrze?

Wydawało się, że nie ma innego wyjścia. Siostra i pielęgniarka już zabrały niemowlę, podczas gdy doktor McNair wyprowadzał ją z oddziału.

RS

pani

Hayakawa, żeby wypełnić formularz swojego dziecka i uzyskać pomoc w

otrzymaniu noclegu. Panna Tooley nie знаła japońskiego i zastanawiała się,

czy nie sprowadzić tłumacza, kiedy chłopak, otworzywszy drzwi do biura

wpuścił do środka europejską młodą kobietę o kasztanowych włosach, w pogniecionej niebieskiej sukience z jedwabiu.

– Słucham?

– Nazywam się Gwen Hayakawa, moja córka Tamara...

– Pani Hayakawa?

– Tak. Doktor McNair mówił...

– Miałam dać pani parę adresów...

– Nie, proszę najpierw mi powiedzieć, jakie są godziny odwiedzin.

Z uczuciem zaskoczenia, ale i ulgi panna Tooley zajęła się tą kobietą.

Natychmiast dała jej kartkę, na której wydrukowano regulamin wizyt *N* singapurskim szpitalu Victoria. Pani Hayakawa chwyciła go, jakby to była

przepustka do raju. Szybko uporano się z formalnościami. Dopiero kiedy Gwen

zbierała się do wyjścia, powróciła sprawa noclegów, o której przypomniła

sobie zresztą panna Tooley.

– O ile wiem, potrzebuje pani listy hoteli?

– Czego? Och, tak, chyba potrzebuję... Tak, proszę, czy może mi pani zarekomendować kilka hoteli w pobliżu szpitala?

– Hm, pani Hayakawa, prawdę mówiąc, w najbliższej okolicy nie **ma** hoteli. Ale jeśli poda mi pani przybliżoną sumę, jaką może pani płacić...

– Och... No cóż, chciałabym coś niedrogiego, bo widzi pani... Jakże żałowała, że wydała pieniądze na fatałaszki w Hongkongu!

RS

293

Jedwabne sukienki uszyte w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, haftowane ubranka dla dzieci. Jak mogła być taka głupia? Naturalnie, myślała, że podróż

na pokładzie statku nie pociągnie za sobą żadnych innych wydatków do czasu,

gdy dotrze do domu. A tam mogła liczyć na pomoc ze strony matki.

Ale teraz... Teraz pieniądze, które podjęła z banku British Overseas Mercantile, musiały wystarczyć do chwili, gdy będzie mogła wznowić podróż

ze zdrowym dzieckiem. Panna Tooley skierowała Gwen do sieci prywatnych

hotelików i pensjonatów w dzielnicy, która zasługiwała na miano singapurskiego Bloomsbury. Teren wokół River Valley Road, gdzie pobudowali wielkie rezydencje potentaci handlowi, był teraz przystanią dla

osób szukających wygodnych, niedrogich pokojów.

Gwen pojechała tam riksą. Po raz pierwszy zwróciła uwagę na to, co ją otaczało. Tanglin Road, przez którą ją wieziono, sprawiała wrażenie europejskiej dzielnicy mieszkaniowej. Przy drodze, za bujnymi

ogrodami, stały

wspaniałe domy, a na bramach wisiały białe skrzynki, w których zostawiało się

wizytówki. Minęła Ogrody Botaniczne, nieco przestraszona widokiem małąp,

które skakały z drzewa na drzewo.
Drzewa były wspaniałe i zdumiewająco kontrastowały z tym, co
widziała
w Japonii, gdzie każde drzewo wrastało w miejski pejzaż w
zminiaturyzowanej
lub karłowatej postaci. Tutaj wielkie, rozgałęzione konary tworzyły
parasole
nad głowami – surmie o szerokich jasnych liściach, karłowate palmy,
które
mierzyły po dziesięć metrów, drzewa o bardzo długich pniach, które
były
otoczone listowiem mniej więcej na poziomie dwóch trzecich
wysokości, oraz
drzewa z szarawozielonymi pniami i dobrze widocznymi korzeniami...
Również kolory były tu intensywniejsze. Niektóre drzewa miały
szkarłatne pączki, inne obsypane były pachnącym żółtym kwieciem, a

RS

294

wszędzie rozpościerały się pnącza o różowych i purpurowych
przylistkach.

Nawet w sąsiedztwie budynków drzewa i krzewy rosły wzdłuż
chodników.

Po fasadach banków wspinały się niewiarygodnie błękitne powoje, a na
bramach wejściowych wisiały skrzynki z jakobinką.

Chłopiec kierujący rikszą odwrócił głowę w turbanie, żeby powiedzieć
coś łamaną angielszczyzną, której Gwen prawie nie rozumiała. Brzmiało

to jak

„Rattus Isuususza”. Później dowiedziała się, że chodziło o Raffles Institution,

okazały budynek z białego kamienia, obok którego przejeżdżali.

Znajdowali się teraz na River Valley Road. Gwen poleciła chłopcu zatrzymać się przed dużym domem, w którego ogrodzie widniała tablica z

wielkimi literami: „Pensjonat «Leonie»”.

– Zaczekaj – powiedziała, wysiadając z rikszy.

Drzwi pensjonatu otworzyły się, gdy tylko postawiła stopę na schodku.

Do środka wprowadziła ją chińska dziewczyna w luźnych niebieskich spodniach i białej marynarce. W okienku recepcji znajdował się mały gong, w

który uderzyła służąca, mówiąc łagodnie:

– Panienska zechce poczekać.

Po chwili z zasłoniętego sznurkami paciorków przejścia wynurzyła się chuda dama o zapadłych policzkach. Nosiła okulary w rogowej oprawie, miała

ołówkę za uchem i trzymała w ręku stary egzemplarz *The Times*,

otwarty na

stronie z krzyżówką.

– Tak?

– Opiekunka z singapurskiego szpitala Victoria dała mi pani adres...

– O tak, to panna Tooley. Co mogę dla pani zrobić?

– Potrzebuję pokoju na jakiś tydzień. Moja córeczka jest w szpitalu. Muszę gdzieś się zatrzymać.

– No tak, rozumiem. Nazywa się pani... ?

RS

295

– Hayakawa.

Chuda dama uniosła brwi tak, że było je widać mimo rogowych oprawek.

– A pani mąż?

– Jestem wdową.

Jakże dziwne wydawały się te słowa. Wdowa – to brzmiało smutnie, tęsknie, żałośnie. A jednak w tym momencie Gwen nie czuła się przybita.

Tammy przebywała w bezpiecznym miejscu, w szpitalu, gdzie uprzejmy personel miał zadbać o jej wyzdrowienie, a ona sama znajdowała się w mieście, w którym używano języka angielskiego, a zatem mogła z łatwością się porozumiewać i nie odczuwała obcości otoczenia. Teraz widziała świat w jasnych barwach.

– Hm – odezwała się chuda kobieta. – Nie ma pani bagażu?

– Och, jest nadal na pokładzie „Malwy”. Jeżeli pani się niepokoi, mogę zapłacić za pokój z góry...

– Nie, nie, to nie będzie konieczne. Nazywam się Targett i jestem właścicielką tego pensjonatu.

Jej twarz nieznacznie się roz pogodziła, co można było zinterpretować jako uśmiech. Wachlowała się egzemplarzem *The Times*. Lekki powiew wzburzył jej miedziane włosy.

– Południe... O tej porze upał zawsze wydaje się większy. Chciałaby

pani

filiżankę herbaty albo kawy?

– Och, z przyjemnością napiłabym się herbaty! Ale moja riksza...

– W porządku, ja się tym zajmę. Nan–cho, przynieś herbatę, ale migiem,

i

poślij Omara, żeby powiedział riksarzowi, iż pani trochę tu zabawi.

– Tak, proszę pani.

Chinka odeszła, drobiąc bosymi stopami po podłodze.

– Proszę wejść, moja droga. Na tarasie jest chłodniej.

RS

296

Podniosła klapę w ladzie recepcji, żeby przepuścić Gwen. Przeszły przez zasłonę z paciorków, minęły pokój, gdzie stało biurko i trzcinowe krzesło ze

stertą starych gazet, i znalazły się na tarasie. U wejścia na taras

rozpościerał się

duży wypielegnowany trawnik, który prowadził do małego basenu. W

cieniu

wysokich drzew rozsiadło się paru gości pensjonatu.

– To przeważnie stali mieszkańcy – powiedziała pani Targett. – Nie robimy tu specjalnych ceremonii. Pan Hurden, ten w niebieskiej koszuli, jest

malarzem: maluje obrazy olejne, przedstawiające zachody słońca, i sprzedaje

je ludziom ze statków. A panna Luke jest biologiem i przebywa tutaj w związku z badaniami motyli i ich klasyfikacją. Jeśli zejdzie pani na

kolację, to

poznam panią z nimi.

– Dziękuję... tak... Wizyty na oddziale dziecięcym są od trzeciej do piątej...

Kiedy usiadły, jak za dotknięciem różdżki pojawiła się herbata, a także stylowa porcelana, srebrny czajniczek, mleko i cytryna oraz cukier w kostkach

i specjalne szczypce do niego. Gwen przypomniało to picie herbaty u matki,

kiedy chciała zaimponować sąsiadom.

Było oczywiste, że pani Targett jest spragniona najświeższych wiadomości.

Życie w Singapurze toczyło się zapewne powoli, bez większych sensacji, toteż spotkanie kogoś nowego musiało być interesujące.

Spółeczność Europejczyków była nieliczna i podzielona. Na samej górze znajdowali się urzędnicy państwowi i zarządcy. Drudzy pod względem ważności byli hodowcy kauczukowców, właściciele kopalni i kupcy, natomiast

oficerowie wojska i marynarki zajmowali odrębne miejsce w hierarchii społecznej. Następni na drabinie społecznej byli przedstawiciele takich zawodów, jak doktor czy prawnik, artystom zaś, pisarzom, archeologom i „tym

podobnym", jak określała ich pani Targett, przypadała najpośledniejsza

RS

świadczyło,
lecz po prostu do pewnego stopnia zwalniało ich z towarzyskich ograniczeń właściwych wyższym warstwom.

– Jesteśmy wesołą kompanią – zauważyła. – Nie zachowujemy się jak jacyś lepsi goście, jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

Pani Targett zasypywała Gwen pytaniami. Na razie Gwen nie miała ochoty relacjonować swoich przeżyć. Powiedziała tylko, że była w Japonii

podczas niedawnego trzęsienia ziemi i teraz wraca do Europy.

– Moje dziecko złapało jakiś zarazek, toteż lekarz pokładowy poradził mi, żebym wysiadła w Singapurze, gdzie otrzyma odpowiednią opiekę.

– Biedne maleństwo. W jakim jest wieku?

– Ma dziesięć tygodni.

– Dziesięć tygodni! Podróżuje pani z dziesięcioletnim niemowlęciem?

Zastanawiam się, jak to możliwe, że linia okrętowa zezwoliła...

– Proszę mi uwierzyć, pani Targett, nie zajmowano się takimi formalnościami, gdyż trzeba było pomóc ofiarom trzęsienia w dotarciu do kraju.

– Och, oczywiście. Tak, rozumiem, jeszcze herbaty? – zapytała pani Targett, zerkając do czajniczka.

– Nie, dziękuję, Muszę pójść na statek i spakować swoje rzeczy. Czy mogłabym teraz obejrzeć pokój?

– Oczywiście. Tędy.

Weszły do domu, minęły zagracone biuro i korytarz na tyłach recepcji, by

udać się na górę ładnymi schodkami z ciemnego tropikalnego drzewa.

Gwen

rozglądała się dookoła z podziwem. Poręcze i słupki były kunsztownie rzeźbione i stanowiły przykład pięknej roboty stolarskiej.

RS

298

– O tak, nie wyglądają źle, prawda? – zagadnęła pani Targett, widząc jej zdumione spojrzenie. – Te schody wykonano za czasów starego sir Stamforda

Rafflesa dla właściciela kopalni nazwiskiem Perchfold, który zrobił majątek na

cynie. Większość domów w tej okolicy ma taki pałacowy wygląd.

Zostały

sprzedane, wie pani, młodsza generacja wolała coś bardziej w stylu *homes and*

gardens albo chciała wyjechać do Londynu.

Pokój, który zaoferowała Gwen, znajdował się na drugim piętrze, gdzie dawniej mieściły się zapewne pokoje dzieciinne. Był chłodny i przewiewny. W

korytarzu obracały się leniwie wentylatory o dużych śmigłach. Szerokie balkony ocieniały okna, a podłogi wykonano z rodzimej odmiany marmuru.

Meble nie dorównywały reszcie wyposażenia. Przeważnie były zrobione w stylu, który Gwen nazwała później „plantatorskim” – wyplatano je z trzciny palmy, toteż łatwo dawały się przesuwać i myć dla uchronienia przed

robactwem. Nad łóżkiem, które przykryte było tylko cienką białą narzutą,

rozwieszono na długiej żerdzi moskitierę.

Gwen uznała pokój za dość przyjemny. Owa prostota pod pewnymi

względami przypominała jej dom w Tokio, choć było tam krzesło z poduszkami obszytymi perkalem i szafa. Ustaliła warunki płatności, a potem wyszła do czekającego cierpliwie riksarza. Zanim pani Targett rozstała się z nią w holu, powiedziała:

– Proszę nie zapomnieć o uzyskaniu zwrotu pieniędzy za bilet, moja droga. Jeżeli później zechce się pani udać w dalszą podróż, może to być inna linia.

To mogło umknąć uwagi Gwen. Ale znalazłszy się na pokładzie statku, przede wszystkim musiała zdać relację doktorowi Paldonowi.

– No cóż, to świetnie – stwierdził, kiedy usłyszał diagnozę.

RS

299

Zastanawiał się, czy postąpił właściwie, zrzucając z siebie odpowiedzialność.

Z drugiej strony, należało za wszelką cenę uniknąć śmierci na pokładzie, zwłaszcza śmierci dziecka. Umieszczenie dziewczynki w porządnym szpitalu

było znacznie lepszym wyjściem.

Po rozmowie z doktorem, Gwen udała się do biura płatnika.

Wy tłumaczyła swoją sytuację i dostała formularz, dzięki któremu mogła się

ubiegać o zwrot pieniędzy za bilet w firmie przewozowej przy Collyer Quay.

Chodziło o dość znaczną sumę, gdyż rezygnowała z kajuty pierwszej klasy.

Następnie spakowała rzeczy, których było bardzo niewiele, i zabrała je na

brzeg. Dopiero wówczas poczuła, że w powietrzu unosi się osobliwy, aromatyczny zapach. Przystanęła na szczycie schodni i pociągnęła nosem.

– Niepowtarzalny – powiedział płatnik, który odprowadzał Gwen. – To zapach Singapuru. Pochodzi ze składów, gdzie magazynuje się przyprawy

korzenne sprowadzane z Indii, i ulatuje w kierunku wschodnim.

Niektórzy go

nienawidzą, inni uwielbiają, ale nikt nie jest w stanie go zapomnieć.

Spoglądając na rozległe obszary zielonej dżungli i białych skał, na słomiane strzechy i okapy pagód, na minaret i palmy, pomyślała, że któregoś

dnia być może pokocha ten zapach. Ale nie miała zamiaru przebywać tu zbyt długo.

RS

300

15

Dzięki zwykłemu zbiegowi okoliczności Gwen pozwolono zabrać dziecko ze szpitala w Nowy Rok. Trudno było sobie wyobrazić lepszy początek 1924 roku. Jednakże nie brakowało kłopotów. Poprzedniego

dnia

poproszono ją do gabinetu doktora McNaira na konsultację.

– Chciałbym coś pani powiedzieć, pani Hayakawa – zaczął z wyrazem skupienia na twarzy i zerknął do swoich kartotek. – Po pierwsze, rozwój pani

dziecka uległ poważnemu zahamowaniu. Córka bardzo schudła i... chociaż

teraz przybywa jej na wadze, to jednak choroba odbiła się na niej niekorzystnie. Należy bowiem pamiętać, że dziecko jest wcześniakiem. Gwen tylko cicho przytaknęła. W dalszym ciągu obwiniła siebie za to, że próbowała odbyć podróż do domu z takim małym dzieckiem. Nie mogła

sobie wybaczyć, iż naraziła Tammy na niebezpieczeństwo.

– A zatem dziecko będzie wymagało specjalnej opieki przez dłuższy czas. O ile dobrze pamiętam, przerwała pani podróż do Europy?

– Tak, doktorze.

– A więc, jakie plany ma pani teraz?

– No cóż... Chciałabym kontynuować podróż.

– Rozumiem – odparł doktor i popatrzył na nią zaszepconym wzrokiem. – Jeżeli ruszy pani teraz, dopłynie pani do Europy w połowie zimy, prawda?

– Hm... Chyba tak.

– Niewykluczone, że spadnie tam już śnieg.

– To... jest możliwe.

– Czy uważa pani, pani Hayakawa, że wystawianie dziecka na takie ryzyko to dobry pomysł? Będzie ono miało około czterech miesięcy, a właściwie dwóch, ponieważ urodziło się o dwa miesiące za wcześnie. I jeden z

RS

301

tych dwóch miesięcy spędziło w szpitalu z powodu nieżytu żołądka i jelit.

Naprawdę sądzi pani, że postąpi pani właściwie, zabierając dziecko do Anglii, gdzie jest bardzo zimno?

Gwen również martwiła się o najbliższą przyszłość. Nie tyle o angielski klimat, ile o samą podróż. Nie było już jej stać na kabinę pierwszej klasy.

Przerażała ją myśl, że miałyby podróżować z małym dzieckiem w kajucie

dzielonej z innymi osobami. A teraz doszło nowe zastrzeżenie.

Oczywiście,

doktor McNair miał rację. Nie powinna po raz kolejny narażać zdrowia Tammy.

– W takim razie, co by pan radził, doktorze?

– Hm, jeżeli ma pani ważne powody, żeby opuścić Singapur, na pani miejscu przerwałbym podróż na taki okres, by pojawić się w ojczyźnie dopiero

wtedy, gdy się tam zdecydowanie ociepli. Ale jeśli nie ma pani nic przeciwko

Singapurowi, zalecałbym pozostać tutaj przez następne sześć miesięcy, a jeszcze lepiej przez rok.

Doktor spostrzegł, że zielone oczy Gwen robią się okrągłe ze zdumienia. Doprawdy, wydawała się zbyt młoda i wrażliwa, by samodzielnie

podejmować

tak ważne decyzje. Prawił jej kazania niczym rodzony ojciec. Ale wiedział, że

nie miała tu nikogo, męża ani towarzysza podróży...

– Wiem – ciągnął doktor – że w Europie panuje przekonanie, iż Singapur

jest niezdrowym miejscem. Sądzę, że sztuki tego Somerseta Maughama przedstawiają dość fałszywy obraz, niech je wszyscy diabli!

Przebywanie w

tropikalnym klimacie nie oznacza, że cały czas pochłaniasz alkohol i wydzielasz pot. Singapur to ogromnie pracowite miasto...

– O tak, bardzo szybko się o tym przekonałam – przerwała mu Gwen. Ludzie w pensjonacie „Leonie” nie tracili czasu na picie alkoholu i pocenie się.

Prawie wszyscy byli pochłonięci jakimś zajęciem od świtu (który zaczynał się

RS

302

mniej więcej o szóstej rano) aż do czwartej po południu. Nie udawano się na

sjestę – Brytyjczykom sjesta kojarzyła się z lenistwem.

Okolo czwartej zamykano biura. Urzędnicy szli do rozmaitych klubów, gdzie grali w tenisa lub w golfa albo pływali. Odwiedzali również przyjaciół,

by wypić z nimi herbatę, a niekiedy chodzili po sklepach. Domy towarowe

były czynne do szóstej, a sklepy należące do Azjatów czy Chińczyków do późnej nocy. W całym mieście było dużo bazarów, gdzie można było zrobić zakupy nawet o północy. Miało się wrażenie, że imprezy towarzyskie – bankiety, kolacje, tańce – odbywają się tu każdego wieczoru. W hotelach i klubach nocnych nigdy nie brakowało gości. Stałą klientelę miały też kina i teatry. W weekendy urządzano pikniki na plaży, wypadu na wieś, koncerty, fety. Klimat był z pewnością gorący i wilgotny. Wiatr, który, jak się wkrótce dowiedziała Gwen, nosił nazwę „monsunu północno-wschodniego, wiał, odkąd tylko pojawiła się w mieście. Zdarzały się też burze, ale woda spływała rowami i kanałami, które biegły wzdłuż dróg, toteż nie dochodziło do blokady ruchu ulicznego wskutek błota, tak jak na przykład w Tokio. Wilgoć nie przeszkadzała Gwen. Nauczyła się, jak sobie z nią radzić już w Tokio. Błada skóra łatwo ulegała wysuszeniu z powodu spiekoty, lecz Gwen czuła się dobrze w wilgotnym powietrzu Singapuru. Chroniła się przed słońcem, przebywając w cieniu lub nosząc kapelusz z szerokim rondem. Oczywiście, temperatura była wysoka – czegoż mogła się spodziewać w miejscu położonym tak blisko równika? Gazety podawały temperatury z poprzedniego dnia – przeważnie przekraczały 45 stopni Celsjusza, a więc wynosiły niewiele więcej niż podczas fali upałów w Anglii. Gwen wydawało się, że w rzeczywistości jest cieplej. Pani Targett powiedziała jej, że to z powodu wilgotności klimatu. Jeżeli człowiek umiał sobie poradzić z wilgocią,

RS

303

to i upał był do wytrzymania. Brak pośpiechu stanowił jedną ze skutecznych metod, innym sposobem było picie dużej ilości płynów choć niekoniecznie napojów alkoholowych. Pani Targett zalecała pic obfitej ilości herbaty i soków owocowych. Gwen przekonała się o skuteczności takiego postępowania. Dorosły człowiek potrafił jakoś się przystosować. Gwen zastanawiała się jednak, czy małe dziecko czułoby s dobrze w tak parnym powietrzu. Zapytała o to doktora McNaira, który zareagował śmiechem.

- Malajskim dzieciom wydaje się to odpowiadać.
- Ale ich stan zdrowia nie jest zbyt...
- Stan zdrowia tutejszych dzieci zależy od warunków higienicznych a nie od klimatu – prychnął. – Jeżeli wprowadzimy nowoczesną kanalizację w obrębie całego miasta, a nie tylko w dzielnicy europejskiej, nie trzeba będzie się martwić o zdrowie dzieci. Mój Boże, w Singapurze europejskim rodzicom rodzą się setki dzieci, pani Hayakawa, i wyrastają na zupełnie zdrowych obywateli.
- Ale wysyła się je do ojczyzny – wtrąciła Gwen.

– Robi się to ze względu na ich wykształcenie, a nie z przyczyn zdrowotnych. Coś pani powiem, pani Hayakawa. Singapur zakładano z myślą o placówce zdrowotnej dla Kompanii Wschodnioindyjskiej W porównaniu z miastami w Indiach i Chinach wyróżnia się dobrym warunkami: czysta woda, odpowiedni system szczepień, nad którym sprawuje kontrolę kompetentny wydział medyczny. – Przerwał na moment, po czym ciągnął dalej: – Przepraszam, robię pani taki wykład, jak nowym pracownikom personelu medycznego. Chciałbym tylko powiedzieć, że zdrowie pani dziecka będzie narażone znacznie mniej tu, w Singapurze, niż w Europie. Zdaje sobie pani sprawę, że ono musi się wzmocnić.

– Rozumiem.

RS

304

– A jeśli będzie ją pani lekko ubierać, może leżeć w cieniu na tarasie i będzie się czuła całkiem dobrze mimo upału. Gwen próbowała sobie wyobrazić Tammy w pensjonacie „Leonie”. Wprawdzie apodyktyczna pani Targett była na swój sposób uprzejma, ale raczej na pewno nie życzyłaby sobie obecności chorowitego dziecka w

jej

hoteliku przez tak długi czas.

– Być może będę musiała znaleźć mieszkanie...

– W takim razie, jeżeli nie czuje się pani zbyt pewnie w obecnym miejscu

zamieszkania, zalecałbym jazdę do Cameron Highlands w Pahang. To pasmo

górskie, biegnące przez środek Półwyspu Malajskiego. Sześć miesięcy w tych

cudownych górach znakomicie wpłynie na pani dziecko.

– Tak, rozumiem. Dziękuję.

Czuła, że nie ma sensu mu tłumaczyć, iż nie stać jej na realizację tego pomysłu. Nie interesowały go jej kłopoty finansowe. Będzie musiała zadepeszować do domu i poprosić matkę, a raczej ojczyma, o pieniądze. Chociaż ta myśl była jej wstrętna, postanowiła to uczynić ze względu na Tammy. Poszła wysłać depezę od razu po opuszczeniu szpitala, gdyż nazajutrz przypadał pierwszy dzień Nowego Roku i wszystkie urzędy miały

być zamknięte. Przesłała matce wiadomość już wcześniej, wkrótce po przyплыnięciu do Singapuru, żeby ją poinformować, iż zatrzyma się tam na

krótko. Następnie napisała list, w którym wyjaśniła, że Tammy jest chora.

Wysłała także listy do Jerome'a i Franka Erendera oraz do osób, z którymi się

zaprzyjaźniła po trzęsieniu ziemi. Pisanie pomagało jej wypełnić czas, który

spędzała poza szpitalem. Pory odwiedzin przestrzegano bardzo rygorystycznie,

toteż mogła tam być tylko przez dwie godziny każdego popołudnia. Dla Gwen

liczyły się tylko te dwie godziny przy łóżeczku Tammy. Resztę czasu starała

RS

305

się wypełnić jakimiś zajęciami – pisanem listów, rozwiązywaniem krzyżówek

wraz z panią Targett, próbami nauczenia się kilku malajskich słów.

Kupiła dla córeczki trochę ubranek, żeby wymienić te, które się zniszczyły wskutek gotowania. Tym razem nie szalała bezmyślnie po sklepach.

Udała się na bazar przy Exchange Alley, gdzie sprzedawano tanie albo używane

towary. Kupiła tam bawełniane koszulki i szal zrobiony szydełkiem.

Kiedy

zabierała te rzeczy do pensjonatu, pomyślała: „Moja biedna, mała dziewczynko, któregoś dnia ci to wynagrodzę”.

Pani Targett urządziła małą uroczystość z okazji sylwestra – nic szczególnego, trochę drinków i przekąsek – i zdecydowała się ją przedłużyć do

Nowego Roku, toteż kiedy Gwen przyjechała taksówką z Tammy, zobaczyła,

że mieszkańcy hoteliku stoją wokół bufetu i zamierzają wznieść toast na ich

cześć.

– Szczęśliwego Nowego Roku dla dziecka! – zawołali, unosząc kieliszki.

– Dobrego zdrowia! Długiego życia! Szczęśliwego Nowego Roku także dla

matki!

Reakcją na to nieoczekiwane powitanie był ogłuszający wrzask Tamary Hayakawy. Ale Tammy zachowywała się na ogół spokojnie. Chociaż była

jeszcze malutka, przez miesiąc spędzony w szpitalu przyzwyczała się, że ktoś

regularnie bierze ją na ręce, zaspokaja jej potrzeby. Wiedziała już, że może

oczekiwać życzliwych rąk i łagodnych głosów. Równie szybko pojęła, że w

tym nowym miejscu jest więcej ludzi, którzy nie są już ubrani na biało, a przede wszystkim że w pobliżu zawsze będzie ta kobieta o kasztanowych

włosach. Poznawała jej głos i odwracała głowę, żeby spojrzeć na tę osobę.

W „Leonie” wszyscy zachwycali się Tammy. Bertie Hurden postanowił namalować dziewczynkę, kiedy ta będzie o kilka miesięcy starsza.

RS

306

– Jesteś tak piękna jak zachód słońca w starym Singapurze, czyż nie, moja najdroższa? – powiedział, pochylając się nad koszykiem, żeby połaskotać

ją w podbródek.

Tammy uśmiechnęła się do pomarszczonej, niestarannie ogolonej twarzy,

i Bertie Hurden stał się jej niewolnikiem na całe życie.

Pomimo iż do Gwen nikt nie miał pretensji z powodu ciągłego płaczu dziecka i niespokojnych nocy, nie brakowało kłopotów. Pieniądze szybko się kończyły, a ona w dalszym ciągu nie miała odpowiedzi matki w sprawie pożyczki. Nie wątpiła w to, że ojczym robił jakieś trudności i matka nie miała pojęcia, jak tę kwestię załatwić, choć na pewno pragnęła przesłać pieniądze ze swoich skromnych zasobów.

Gwen siedziała właśnie na balkonie z piórem i kartką papieru, próbując wymyślić sposób na dalsze oszczędności, kiedy z ogrodu dało się słyszeć wołanie Bertiego.

– Nie siedź w taki śliczny wieczór i nie pograżaj się w czarnych myślach!

Chodź na spacer!

Odłożyła pióro nie bez ulgi.

– Dokąd się wybierasz?

– Do dzielnicy chińskiej. Muszę zamówić dodatkowe ramy do obrazów. Robi je tam dla mnie pewien człowiek. Idziesz? Akurat zdążymy przed kolacją.

W Singapurze szybko zapadał zmierzch. Tammy została wykąpana, nakarmiona i uśpiona. Gwen postanowiła, że pójdzie na spacer z Bertiem. Ze

znalezieniem opiekunki do dziecka nigdy nie było kłopotu – wszystkie służące

i większość gości podejmowała się tego zadania wręcz z ochotą. Kiedy Gwen

zeszła na dół, na schodach czekała już Nan-cho, gotowa zająć się Tammy.

RS

307

Gwen i Bertie spacerowali wolno brzegami brudnej rzeki Singapur, mijali składy drewna i wdychali zimne powietrze, podczas gdy z głębi łądu wiał już

wieczorny wiatr. W odnogach rzeki roiło się od sampanów, które popychano

od brzegu do brzegu. Palmy szeleściły twardymi jak skóra liśćmi. Do snu

szykowały się singapurskie wróble.

Bertie, ubrany w wygniecione białe ubranie, był tu chyba postacią dobrze

znaną. Mężczyźni wychylali głowy zza drzwi sklepików, żeby mu powiedzieć

dobry wieczór.

– Namalowałem go w zeszłym roku – stwierdził Bertie, machając głową w kierunku stareńkiego Malaja, który siedział pod drzewem i trzymał tacę z

betelem na sprzedaż. – Oddałem go za dziesięć dolarów. Turyści uznali, że jest

„oryginalny”.

Zmarszczył brwi i się uśmiechnął. Był niskim, dość pulchnym mężczyzną. Nie traktował siebie jak poważnego artystę, ale miał świadomość,

że jego obrazy są jednak coś warte.

Wreszcie dotarli do chińskiej dzielnicy. Tu, przy ulicach biegnących od New Bridge Road i Tanjong Pagar, mieszkały wielkie chmary Chińczyków.

Stragany z żywnością napełniały powietrze aromatyczną wonią. Tłumy ludzi siedziały przy stolikach lub odwróconych skrzyniach i spożywały dania pałeczkami. Zapadł już zmrok, który rozświetliły płomienie ropy naftowej.

Dookoła przepychali się chłopcy ze sklepików, objuczeni stertami pudeł albo ciągnący załadowane taczki. Między nogami klientów przemykały ubłocone dzieci.

– Chciałabyś coś przekąsić? – zapytał Bertie, przystając obok straganu z trzcina cukrową.

Gwen pokręciła głową. Ostatnio nie miała apetytu, częściowo z powodu gorącego klimatu, a częściowo ze zdenerwowania. Była ustawicznie spięta i

RS

308

niespokojna, chyba że bawiła się z Tammy albo ją pielęgnowała. Ciągle myślała o kłopotach finansowych. Przekonała się na dodatek, że nie może

zawierzyć naturze – trzęsienie ziemi najwidoczniej sprawiło, że stała się bardzo wrażliwa na zmiany pogody, a szczególnie na burzowe chmury i silny

wiatr od morza.

Kontynuowali marsz, przepychając się przez tłum Malajek, które targowały się zawzięcie przy straganach z warzywami i mięsem.

– Dokąd właściwie idziemy?

– Na ulicę stolarzy. Czyż to nie zabawne, że rzemieślnicy zawsze łączą się w grupy?

Bertie skręcił z Eu Tong Street w jeszcze węższą uliczkę. Na szczęście tutaj panował trochę mniejszy ścisk i ludzkie głosy nie zagłuszały zupełnie

stukania młotków i wiercenia.

– Przy tej alei mieszka mnóstwo osób, które wyrabiają małe przedmioty z

drzewa – ciągnął Bertie. – Zawarłem umowę z Kam Toonem. Robi dla mnie

dwanaście ram za jednym razem, wszystkie według jednego wzoru, a potem

kolejny tuzin już w innym stylu.

Miał swój kącik w sklepie osobliwości w pobliżu Raffles Square, a właściciel pobierał od niego opłatę. Po zapłaceniu za farby i ramy Bertiemu z

pewnością nie zostawało dużo pieniędzy. Ale, jak wyznał Gwen, był zadowolony.

– A chyba to się liczy najbardziej, nie sądzisz? – powiedział z charakterystycznym

dla siebie nerwowym uśmieszkiem. Zatrzymali się przed małym sklepikiem, w którym paliła się goła żarówka. Zza bambusowego parawanu na

wezwanie Bertiego wyłonił się sędziwy, brodaty Chińczyk.

– Ach, *tuan*, jaki zaszczyt dla mojego skromnego domu. Herbaty? Kawy?

RS

309

Bertie zerknął na Gwen, która pokręciła głową. Pochyliła się właśnie nad

ławą w bocznej części sklepika, przyglądając się specjalnym narzędziom, używanym do wyrobu ram.

– Interesuje to panią? – zagadnął Kam Toon. – Tych narzędzi używał jeszcze mój ojciec. Proszę spojrzeć na to płaskie dłuto: zrobiłem nową rączkę

cztery lata temu, ale stalowe ostrze ma już z pięćdziesiąt lat.

Obejmował dłuto z czułością, a jego czarne, pogodne oczy uśmiechały się do Gwen. Mówił szybko, mieszając wyrazy angielskie i malajskie.

Gwen

zdążyła się już przyzwyczać do tego pidżinu.

– Pamiętasz te ramy z bambusa, które wykonałeś w zeszłym miesiącu? – wtrącił się Bertie. – Czy możesz zrobić mi na poczekaniu jeszcze jeden tuzin?

Znakomicie pasują do scen łowienia ryb.

– Proszę podać wymiary – powiedział rzemieślnik, wyjmując kartkę papieru. – Bambus ma być gruby czy cienki, *tuan*?

Podczas gdy omawiali szczegóły, Gwen chodziła po sklepiku, brała do ręki dłuta i przebijaki, a potem odkładała je na miejsce. Jak wspaniale było

znowu czuć w dłoni te narzędzia. Odnosiła wrażenie, że ma do czynienia ze

starymi przyjaciółmi...

Ponieważ nadal trwały zwyczajowe targi w sprawie ceny, po pewnym czasie Gwen wyszła na zewnątrz, gdzie było chłodniej. Spacerowała wzdłuż

alei, wiedzona dobrze znanym dźwiękiem – zgrzytem obrabiarki.

Wreszcie je

odnalazła – proste, wręcz prymitywne narzędzie napędzane przez coś, co przypominało silnik starego motocykla. Mężczyzna, który przy niej pracował,

spojrzał w górę, kiedy jej cień przesłonił wejście.

– Pani sobie życzy? – zapytał.

Miał na sobie ciemnoniebieskie ubranie, charakterystyczne dla chińskiego robotnika i cały był w trocinach. Przewiązał czarne włosy jakąś

RS

310

szmatką. Był bosy. Wyglądał też niepozornie, lecz w jego dłoniach piękny pręt

z jasnego drzewa przeistaczał się w nogę stołową o wymyślnym kształcie.

– Co pan robi? – zapytała Gwen.

– Stolik do kawy. Podoba się pani?

– Drewno jest wspaniałe. Jaka to odmiana?

– Szara palma. Rośnie ich tu mnóstwo.

– Co pan zrobi z nogą mebla? Dopasuje pan końcówkę do boku?

– Słucham? – mruzczał rzemieślnik. Wyprostował się i wyłączy

obrabiarkę. – Zna się pani na meblach?

– Cóż... kiedyś je wyrabiałam.

– Pani robiła meble? – Jego czarne oczy spojrzały na Gwen ze zdumieniem.

– Tak, miałam firmę... W Paryżu... No, ale to już przeszłość. Jednak nadal lubię patrzeć...

– Proszę wejść. Ten stolik robię dla *tuana*, ale on macha ręką. Mówi, że stół musi być niski, pokazał, jak mają być rzeźbione nogi, żeby były ładne, i że

blat ma być pod szkłem. Jeśli mu się spodoba, zrobię jeszcze do kompletu dwa

krzeselka. Ale jak je dobrać, skoro nogi stolika są zbyt grube w porównaniu z

nogami krzesel?

– Jakie mają być te krzesła?

– *Tuan* mówi: niskie, nie stołowe, ale co to znaczy, niskie? A jeśli będą niskie, to w jaki sposób ludzie zobaczą, że nogi pasują do stołu?

– Czy *tuan* powiedział, gdzie postawi meble? W salonie? W sypialni?

– Powiedział: „sala klubowa”, proszę pani. Co to jest „sala klubowa”?

Gwen wybuchnęła śmiechem.

– Przypuszczam, że to samo, co salon. Wydaje mi się, że *tuan* chce niskich, miękkich krzesel.

RS

– Ale one mają być pokryte drewnem, a nie materiałem, proszę pani. Nie chodzi o miękkie krzesła.

– Ależ tak, miękkie krzesła z drewna, na których można się wygodnie rozsiaść. Sądzę, że zamierza położyć na nich poduszki. Ma pan kawałek papieru?

– Tak, proszę pani.

Rzucił się do pudełka za ławą i wyciągnął z niego starą ulotkę. Gwen wyjęła wieczne pióro. Na odwrocie kartki naszkicowała nogę stołową, którą

widziała na obrabiarce, dorysowała jeszcze trzy oraz blat, który był proporcjonalny do długości nóg, a następnie nieskomplikowany wzór ich

powierzchni. Potem sporządziła szybko rysunek dużego niskiego krzesła z

wyciętym oparciem i krótkimi nóżkami, które nieco wystawały spod siedzenia,

oraz powierzchnią dobraną do wyglądu stołu.

– Aha... – powiedział rzemieślnik. Poklepał niski taboret, który stał w pobliżu. – Nie bardzo wysoki, tak jak to?

– Wstawię tu wymiary – powiedziała Gwen. Wprawnym okiem oceniła długość nogi stołowej na dwanaście cali. Dzięki tej wskazówce wyliczyła

wymiary krzesła. Po chwili namysłu stwierdziła: – Te pręty w krześle są bardzo pracobłonne, więc powinien pan zażądać za nie większej zapłaty niż

za stół... Jednak nie, przecież zamierza pan wyrzeźbić blat stołu.

Stolarz złożył dłonie w geście szacunku, a następnie wysunął taboret.

– Proszę usiąść. Nazywam się Woo Joong.

– Gwen Hayakawa.

– Pani jest Japonką? – zapytał zaskoczony.

– Mój mąż był Japończykiem. Tak się składa, że jestem Angielką.

RS

312

– Proszę pani, *tuan*, który zamawia stół, a być może zamówi i krzesła, wraca tu w następnym tygodniu. Mam nadzieję, że stół będzie już wtedy gotowy. Czy mogę mu pokazać projekt krzesła?

– Oczywiście.

– Czy zechce pani napić się herbaty albo soku? Bardzo proszę.

Zaklaskał w dłonie. Z tyłu sklepu wyłoniła się nagle malutka dziewczynka.

Woo Joong wydał polecenie i dziewczynka zniknęła, by po chwili wrócić z

dzbanuszkami na tacy i dwiema zwyczajnymi, ale czystymi szklankami.

Postawiła wszystko na ławie, złożyła ręce w geście szacunku, jakby do modlitwy, po czym ponownie zniknęła.

– Czy to pana córka? – zagadnęła Gwen.

– Lin. Ma sześć lat. Jest bardzo głupiutka.

– Ona jest urocza! Ja też mam córkę. Pięciomiesięczną.

– Pięciomiesięczną! To bardzo małe dziecko! Ja mam jeszcze ośmiomiesięcznego syna. Tak–lam będzie kiedyś też robił stoły, krzesła i

rzeźbił w drewnie.

– Ten zawód przechodzi z ojca na syna, panie Woo?

– Zajmował się tym mój ojciec, a przedtem, wiele lat temu, dziadek.

Pani

rodzina też zajmuje się stolarstwem?

– Mój ojciec.

Jeszcze raz pojawiła się malutka Lin z tacą, na której parowały dwie filiżanki herbaty.

– Proszę – powiedziała, częstując Gwen.

Gwen z uśmiechem zwróciła się do dziewczynki. Kiedy brała od niej filiżankę, zerknęła na tacę.

– Czy została wykonana tutaj? – zapytała.

RS

313

– Nie, tu nikt nie potrafi wytwarzać lakieru. Zrobił ją Lee Pan Sum, który

mieszka przy Mengar Alley. Dał mi ją w prezencie z okazji urodzin syna. Do

tej pory miałem tylko trzy bezużyteczne córki.

Mówiąc te słowa, łagodnie tarł podbródek Lin, która wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Interesuję się lakiernictwem – wyjaśniła Gwen. – Zajmował się tym mój mąż. W Tokio, a później w Paryżu...

– Och, proszę to wziąć i obejrzeć.

Podniósł z tacy drugą filiżankę i dał znak Lin, żeby podała tacę gościowi.

Gwen wzięła ją do ręki. Była wyrobem dobrej jakości, ale nie dorównywała

przedmiotom, które wytwarzał Tama. Poznała, że błyszczące kontury nie

zostały wykonane z prawdziwego złota, tylko z jakiegoś substytutu. A jednak

był to piękny przedmiot. Na tacy namalowano bązanta, który rozpościerał

skrzydła nad swoimi piskletami.

– Czy w Singapurze jest wielu lakierników?

– Czy ja wiem? Woo Joong medytował przez chwilę, po czym podniósł dwie dłonie i rozcapierzył palce. – Dziesięciu, może dwunastu. Może ze dwóch

jest tak dobrych jak Lee Pan Sum, reszta wykonuje proste prace. W Singapurze

są rozmaici rzemieślnicy, pochodzący z różnych krajów: Chińczycy, Malajowie, Hindusi. Pracują w kości słoniowej, drewnie sandałowym, srebrze.

Wykonują biżuterię ze skrzydeł motyli, malują na jedwabiu, wyplatają kosze,

zajmują się batikiem, wyrobami ze skóry i innymi rzeczami. Kobiety szyją

sukienki, haftują, tkają, wyrabiają wachlarze i przeróżne piękne przedmioty.

Nagle urwał, jakby sobie uświadomił, że dał się ponieść temperamentowi.

Zachęcił Gwen do picia. Uniosła filiżankę do ust, zdumiewając się mnogością cudów w Singapurze. W Paryżu musiała szukać ludzi, którzy

RS

gotowi na usługi. I mieli za sobą doświadczenia całych pokoleń.

Pojawił się Bertie Hurden, niosąc ze sobą jakąś paczkę.

– Ach, tu jesteś, Gwen. Lepiej wracajmy, jeżeli chcesz wziąć prysznic przed kolacją.

– Oczywiście.

Odstawiła filiżankę, nachyliła się, żeby musnąć Lin po policzku, a następnie skłoniła głowę przed Woo Joongiem.

– Dziękuję za herbatę.

– To ja dziękuję pani, pani Gwen, za rysunek. Proszę tu wracać, rodzina Woo będzie zachwycona.

– Obiecuję, że przyjdę.

Pomachała ręką na pożegnanie i odeszła.

– O co chodziło? – zagadnął Bertie.

– Po prostu ucięłam sobie miłą pogawędkę. Co jest w tej paczce?

– Próbką nowych ram do obrazu. Kam Toon zastosował jasne drewno, całkiem niezłe, choć zastanawiam się, czy moje ostre w kolorze obrazy olejne

nie wyglądałyby lepiej w ciemnych ramach. Kiedy dotrzemy do domu, pokażę

ci, jak je zrobił.

Bertie przypomniał sobie o ramach dopiero po posiłku. Rozwinął paczkę,

ale inni goście zupełnie się tym nie zainteresowali. Tylko Gwen podziwiała

kunst rzemieślnika.

Z cienkich kawałków rozmaitych odmian drewna Kam Toon wyczarował

skończone piękno. Jaśniejsze elementy znalazły się po wewnętrznej stronie

ramy, a ciemniejsze drewno tworzyło jej obrzeża. Gwen знаła się na tym i

wiedziała, ile trudu i kunsztu wymagała taka robota. Było to zasługą mistrzowskiego rzemiosła Kam Toona, jednego z wielu takich stolarzy

w

RS

315

Singapurze. Gwen zapytała Bertiego, ile zażyczył sobie Kam Toon za ramę.

Tylko dziesięć singapurskich dolarów, czyli równowartość dziesięciu szylingów za takie mistrzostwo!

Pomyślała, że wytwarzanie mebli byłoby tutaj tanie, nawet w wypadku takich sprzętów, które w Europie kosztowałyby masę pieniędzy. Ale z drugiej

strony, kto by je kupował? Tutaj, w Singapurze?

No cóż, ktoś jednak zlecił w tym mieście Woo Joongowi wykonanie osobliwego stolika do kawy i, być może, dwóch krzesel. Jakiś *tuan*, który miał

pomysł, ale nie wiedział, jak sporządzić rysunek dla stolarza. To ona, Gwen

Hayakawa, zaprojektowała Woo Joongowi to krzesło. W Singapurze istniały

sklepy meblowe. Sprzedawano w nich głównie meble wyplatane z trzciny lub

ciężkie ciemne sprzęty w chińskim stylu. Dom towarowy „Robinson” sprowadzał meble z Europy – były wśród nich zestawy sypialniane, komplety

do salonu składające się z kanap i foteli, stoły do jadalni i do tego krzesła,

wzorowane na stylu z okresu panowania Jakuba I i francuskim empire.

A gdyby ona, Gwen Hayakawa, zaczęła projektować i wyrabiać sprzęty

nawiązujące do tutejszego stylu? W tym mieście spędzało się czas głównie na świeżym powietrzu – na tarasach, basenach, w cieniu drzew na trawnikach, pod markizami przy kortach tenisowych. Jeżeli już nawet mieszkańcy Singapuru jedli kolację w domach, to siedzieli w pokojach o niskich sufitach, gdzie kręciły się wentylatory, a oszklone drzwi były otwarte i wpuszczały morską bryzę. Niektórzy ludzie pragnęli przerobić swoje domy w taki sposób, by przypominały im o Basingstoke czy Burnley. Z pewnością jednak wiele osób chciało czegoś, co wyglądałoby „odpowiednio” – sprzętów wykonanych z tutejszych odmian drewna, łatwych do konserwacji, wygodnych krzeseł, żeby człowiek, który na nich siedzi, nie pocił się, czemu sprzyjał wilgotny klimat.

RS

316

Może powinna wykonać coś w stylu krzesła safari, które zaprojektowała w

Tokio?

Ludzie, którzy spędzali tyle czasu na świeżym powietrzu, chcieli mieć coś, co dawałoby się łatwo wnieść w razie deszczu, złożyć i odstawić na

jakaś
godzinę, a następnie ponownie wynieść i szybko rozłożyć. Jej krzesło w
stylu
safari miałooby oparcie i siedzenie z grubej bawełny o jaskrawych
kolorach...

Woo Jong mógłby zrobić pół tuzina drewnianych ram w tydzień, a ona
wyszukałaby w tym czasie kolorową bawełnę na siedzenia i oparcia.

Woo

Joong pomógłby jej znaleźć robotnice, które zszyłyby materiał, ale to
wymagałoby oczywiście pieniędzy. Trudno było oczekiwać, że Woo
Joong

zechce pracować na kredyt. Przy tym bawełna musiała być znakomitej
jakości:

gruba, wytrzymała i ładna – zapewne ciężko byłoby taką znaleźć i
należałoby

dużo za nią zapłacić. Gwen doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak
skromne środki znajdują się w jej torebce na górze. Wystarczy jeszcze
na dwa

tygodnie pobytu w „Leonie” oraz na drobne codzienne potrzeby. Gdyby
matka

przysłała jej trochę gotówki, wydałaby ją przede wszystkim na życie; z
pewnością nie starczyłoby tego na uruchomienie produkcji mebli, nawet
na tak

małą skalę.

Żeby zacząć robić meble, musiałaby pożyczyć pieniądze. Ale od kogo?
Znała jedynie ludzi z pensjonatu „Leonie”, a oni znaleźli się tam tylko
dlatego,

że nie mogli sobie pozwolić na lepszą kwaterę. Sama pani Targett
również nie

zaliczała się do osób zamożnych. Kiedy Gwen przyznała drżącym
głosem, że

kończą się jej pieniądze, pani Targett powiedziała z głębokim
współczuciem:

– Czyż wszyscy nie mamy takich kłopotów, kochanie?

Jednakże banki dysponowały gotówką. Po to zresztą istniały – żeby

przyjmować oszczędności od jednych ludzi i pożyczać je na procent innym.

Gwen postanowiła, że następnego dnia pójdzie do banku i pożyczycy pewną

RS

317

sumę. Z tą optymistyczną myślą udała się do kuchni, by zagrzać mleko dla

Tammy. Optymizm nie opuszczał jej rano po śniadaniu, kiedy wybrała się na

poszukiwanie pożyczkodawcy, dzięki któremu wznowiłaby działalność „Veetcha Furniture”. Ale późnym popołudniem, w porze zamknięcia banków,

nie była już w tak radosnym nastroju.

– Jest to na swój sposób interesująca propozycja i bank Overseas Mercantile pomógłby pani z największą przyjemnością. Czy jest pani w stanie

zaoferować jakieś zabezpieczenie?

– Zabezpieczenie?

– Na kwotę pożyczki. Może jakąś nieruchomość, tutaj lub w pani ojczyźnie. Jakiś dom, sklep?

– Cóż, nie...

– A może ma pani polisę ubezpieczeniową lub akcje?

– Nie, przykro mi, ale nie.

– Czy wobec tego ma pani współników, którzy mogliby za panią poręczyć?

– Nie tutaj. W Paryżu... Mam przyjaciela, który zajął się sprzedażą części moich prac...

– A może byłaby pani w stanie przynieść nam dowody sprzedaży? Rozmowę o podobnej treści przeprowadziła pięciokrotnie. Każdy dyrektor

banku witał ją z powątpiewającym uśmiechem, który stawał się jeszcze bardziej sceptyczny z chwilą, gdy bankier dowiadywał się, iż ona, kobieta,

myśli o uruchomieniu interesu. Sytuacja była jasna – banki nie mogły jej pożyczyć żadnych pieniędzy, ponieważ nie miała niczego, co potwierdziłoby

jej rzetelność, ani nikogo, kto by za nią poręczył.

Tego wieczoru wzięła Marion Targett na stronę i wytłumaczyła swoją sytuację. Początkowo właścicielka nie mogła uwierzyć, że tak drobna, samotna

RS

318

Gwen Hayakawa chce się zająć wyrabianiem mebli. Próbowала też coś Gwen

poradzić.

– Mogłabyś pójść do lichwiarzy – zaproponowała, pocierając w zamyśleniu

wychudzoną szczękę.

– Do lichwiarzy?

– Chińczyków. Na pewno widziałaś ich ogłoszenia w *Straits Times*.

Wydaje mi się, że pożycziliby ci pieniądze bez żadnych zabezpieczeń, ale

naliczyliby strasznie duże odsetki. A ten procent jeszcze wzrasta, kiedy zaczyna się zalegać ze spłatą. Ci Chińczycy mają głowy do interesów! Gwen zmarszczyła drwi.

– Nie chcę wpaść w taką pułapkę. Chcę tylko zarobić na życie, to wszystko.

– Gwen, ty naprawdę myślisz o założeniu warsztatu meblarskiego?

– Dlaczego nie? Już to kiedyś robiłam.

– Słowo honoru?

– Tak, w Paryżu.

– Och, w Paryżu. To zmienia postać rzeczy. Tutaj kobiety nie prowadzą interesów, Gwen. Chodzi mi o to, że w tym mieście rządzą mężczyźni: oni

kontrolują plantacje kauczuku, kopalnie cyny, linie żeglugowe. Jest parę takich

jak ja, które mają hotelik czy sklep, ale żeby założyć firmę i coś produkować,

no, nie wiem...

– Ale na tym można zarobić, Marion! Pieniądze są w dużych domach, samochodach, łodziach na przystani...

– O, tak, mnóstwo pieniędzy. Ale któż pożyczycy je kobiecie? – westchnęła

pani Targett. – Chyba że masz jakichś bogatych Przyjaciół...

– Marion, nie mam w Singapurze żadnych przyjaciół. Oprócz ciebie ludzi, którzy tu mieszkają.

RS

319

– Szkoda, że nie są bogaci.

– Z wyjątkiem... Zaczekaj chwileczkę...

Pobiegła na górę do swojego pokoju. W szufladzie leżała depesza od Franka Erendera z Nowego Jorku. Żeby jakoś skrócić czas oczekiwania na

wyjście Tammy ze szpitala, Gwen napisała listy do domu, do Jerome'a de

Labasse oraz osób, z którymi się zaprzyjaźniła v hotelu Imperial po trzęsieniu

ziemi. Otrzymała szybko odpowiedź od matki i od Jerome'a. Później nadeszły

listy od Jane Bedale kapitan Beth Fairford. Od Franka nie dostała nic, ale

można było się tego spodziewać, zważywszy, że płynął z Kobe do San Francisco, a potem musiał odbyć długą podróż przez Stany Zjednoczone do

Nowego Jorku.

Mniej więcej przed dwoma tygodniami nadeszła depesza: „Właśnie dostałem twój list, bardzo się martwię o ciebie i o małą. Proszę, napisz jeszcze,

żebym wiedział, czy wszystko OK. W razie problemów skontaktuj się z moim

znajomym od interesów, Samem Prosperem, w Singapurze.

Pozdrowienia,

Frank".

Przejęta sprowadzeniem Tammy do domu, Gwen zupełnie zapomniała o depeszy. Teraz wyciągnęła ją z szuflady, rozłożyła i zaniósła na dół do niechlujnego biura pani Targett.

– Znasz Sama Prospera?

– Nie mogę odpowiedzieć twierdząco, kochanie. Pisze: „znajomy od interesów”. O jaki interes chodzi?

– Nie mam pojęcia.

– Sprawdźmy w książce telefonicznej. Prosper, Prosper... Jest! Odchyliła się, żeby Gwen mogła zerknąć jej przez ramię.

– „Prosper Enterprises (Pte) Ltd” – przeczytała. – Drugie piętro, Orient Building, Orchard Road.

RS

320

– Hmm – odrzekła Mariot Targett. – dobry adres. Enterprises" Co to znaczy „Enterprises”?

– To może znaczyć wszystko. Ale gmach Orient kojarzy się z wysokim standardem, prawda?

– Z pewnością. O, tak, ten pan Proper musi mieć dużo pieniędzy.

Jeszcze kilka godzin wcześniej Gwen nie przyszłoby do głowy, żeby prosić o pomoc nieznanego. Jednakże po zniechęcających doświadczeniach

z bankami była gotowa spróbować wszystkich sposobów, byle nie iść do lichwiarzy.

– Jutro pójde się z nim zobaczyć – oznajmiła.

– Uhum – chrząknęła Marion. Lepiej daj Nan-cho do prania prasowania

tę błękitną sukienkę z jedwabiu. Musisz dobrze wyglądać,
nieprawdaż?

W Singapurze dzień roboczy zaczynał się wcześniej, ale zanim Gwen się
przebrała, musiała wykąpać i nakarmić Tammy. Wreszcie włożyła
sukienkę

szytą na miarę w Hongkongu, tani słomkowy kapelusz oraz sandały,
które

zakupiła na tamilskim bazarze, i ruszyła w drogę, choć ze
zdenerwowania

ściskało ją w żołądku.

Znała Orient Building, przechodziła obok niego wiele razy. W holu była
kamienna posadzka, do basenu wpadał mały wodospad, który dawał
uczucie

chłodu, a w ocienionych narożnikach stały donice z bujnymi paprociami.

Wjechała windą na drugie piętro. Na niektórych drzwiach widniały
złoczone

litery: „Prosper Enterprises”. W jednym z pokoi była recepcja.

Otworzyła

drzwi i weszła do środka. Za biurkiem siedziała szczupła Chinka i pisała
na

maszynie. Spojrzała na Gwen i uśmiechnęła się.

– Słucham?

RS

321

– Chciałabym się zobaczyć z panem Prosperem. – Tak? Czy może pani
podać swoje nazwisko?

– Hayakawa.

Dziewczyna zajrzała do notesu.

– Pani Hayakawa? Nie widzę pani nazwiska.

– Nie byłam umówiona. Zechciałaby pani zapytać pana Prospera, czy poświęciłby mi parę minut? To bardzo ważne.

Chinka nadal się uśmiechała, ale już nie tak życzliwie.

– Mogę wiedzieć, o co chodzi?

– To sprawa handlowa.

Naturalnie, nie zamierzała się przyznawać, że przyszła z prośbą o pomoc.

– Rozumiem. Proszę zaczekać.

Wstała zza biurka i weszła do sąsiedniego pokoju. Przez grube drzwi nie można było nic usłyszeć, aczkolwiek Gwen próbowała bez żenady podsłuchiwać. Po chwili dziewczyna wyszła z pokoju.

– Sprawa handlowa?

– Tak, bardzo ważna.

Recepcjonistka ponownie udała się do pokoju. Tym razem nie domknęła drzwi i Gwen usłyszała jej słowa:

– Bardzo ważna sprawa.

Jakiś męski głos odrzekł:

– Nie spodziewałem się, że z taką sprawą mogłaby przyjść kobieta... No dobrze, proszę ją wprowadzić.

Recepcjonistka wynurzyła się z pokoju.

– Proszę tędy.

– Dziękuję – powiedziała Gwen i poszła za nią.

RS

Za biurkiem siedział wysoki mężczyzna w starannie uprasowanym białym garniturze. Obserwował wchodzącą Gwen. Na jego twarzy pojawiło się

zaskoczenie. Powstał.

– Pani Hayakawa? – zapytał zaintrygowany.

– Tak. Pan Prosper?

– Przepraszam. Spodziewałem się ujrzeć Japonkę.

– Mój mąż był Japończykiem.

– Rozumiem. No cóż, to dla mnie nowość, że Imyo–san przysyła kobietę.

Ale przypuszczam, że uznał, iż można powierzyć interesy Europejce. Przywiozła je pani ze sobą?

– Słucham?

– Perły. Czy ma je pani przy sobie?

– Nie mam żadnych pereł.

Oparł się o krzesło i rozłożył duże ręce na biurku.

– Do diabła, dlaczego nie?!

Gwen odetchnęła głęboko. Coś w jej zachowaniu musiało zaniepokoić Prospera, który zaczął się jej przypatrywać dokładnie.

– Nie przysłał pani Imyo–san?

– Nie. Nazywam się Gwen Hayakawa i mieszkam w pensjonacie "Leonie" w Singapurze. Nie znam żadnego Imyo–sana.

– Rozumiem. No cóż, zacznijmy od nowa. Chciała się pani ze mną widzieć, pani Hayakawa? W ważnej sprawie? Jeżeli chce mi pani zaoferować

perły, muszę powiedzieć, że dostarcza mi ich wyłącznie Takameki Imyo.

– Nie chodzi o perły, Panie Prosper. Przyszłam tu z rekomendacji Franka

Erendera.

– Kogo?

RS

323

– Franka Erendera. Z banku Manhattan Exchange. Po dłuższej przerwie Sam Prosper powiedział:

– Chyba go sobie przypominam...

W tym momencie zdenerwowanie Gwen przerodziło się niemal w panikę.

Przedstawiła się panu Prosperowi w zupełnie niewłaściwy sposób.

Zapewne

pomyślał, że podała się za kogoś innego niż w rzeczywistości, a teraz wyraźnie

sugerował, że jego znajomość z Frankiem Erenderem nie jest zażyła.

Sytuację

pogarszał typowo amerykański sposób bycia Sama Prospera. Nie spotkało jej

ciepłe przyjęcie, jakiego oczekiwała. Ale chociaż miała ochotę go przeprosić i

wyjść, wiedziała, że nie może tego zrobić. Ten mężczyzna mógł jej pomóc w

uzyskaniu pieniędzy, których tak bardzo potrzebowała, by jej córka wyzdrowiała w ciągu rocznego pobytu w Singapurze. Nie wolno jej było się

wycofać.

– Przepraszam, zdaje się, że początek zupełnie nam nie wyszedł, panie Prosper – powiedziała, mając nadzieję, że rozmówca zaofiaruje jej krzesło. On

jednak taksował ją zimnymi niebieskimi oczami. Widać było, że wcale nie czuł

się zobowiązany do okazania jej uprzejmości.

– Może pani powtórzyć nazwisko?

– Gwen Hayakawa.

– I jest pani przyjaciółką Franka Erendera?

– Tak, poznaliśmy się w Tokio.

– W Tokio, rozumiem. Kiedy to było?

– We wrześniu zeszłego roku.

– Pani Hayakawa, jeżeli tak pani się nazywa, w Tokio panowało wtedy nie lada zamieszanie, i nadal panuje. Frank Erender nie pojechałby tam.

– Nie musi mi pan mówić, że Tokio przeżywało zamieszanie. Frank i ja znaleźliśmy się w centrum tego chaosu, w hotelu Imperial.

RS

324

– Co?

Jej słowa wstrząsnęły Samem Prosperem. Razem w hotelu Imperial? Z tego, co sobie przypominał, Frank byłby ostatnim mężczyzną, który by objeżdżał hotele dla cudzoziemców, nawet z tak urodziwą dziewczyną jak cała

ta pani Hayakawa. Jeżeli chodziło o jakąś nielegalną transakcję, to wybrała

kiepski sposób, żeby być wiarygodna w jego oczach. Musiałaby zadać sobie

dużo trudu, żeby przekonać Sama, iż Frank został jej kochankiem...

Niemniej jednak ta dziewczyna go zainteresowała. Jeżeli chciała zdobyć

jego zaufanie, robiła to z pewnością dobrze – wygląd sugerujący absolutną uczciwość, naiwne spojrzenie, nerwowe zaciskanie rąk na torebce, a nawet piegi na nosie... Wszystko to sprawiało wrażenie młodzieńczej szczerości.

Stop! Zawsze miał słabość do rudowłosych dziewcząt. A ta rudowłosa pani miała w sobie coś szczególnie ujmującego – wyglądała młodo, świeżo i pięknie.

Gwen nieco zaskoczył jego okrzyk, kiedy powiedziała, że poznała Franka w hotelu Imperial. Szukała w myślach sposobu, by przejść w miarę szybko do rzeczy. Odniosła wrażenie, że gdy już zaczną mówić o interesach, poczuje się trochę pewniej. Bardzo zdeprymowało ją przypuszczenie, że przywiozła z

Japonii perły.

– No cóż, a więc pani i Frank jesteście przyjaciółmi...

– Nie, nie – przerwała. – Zналиśmy się zaledwie parę godzin: w sumie może dwa dni, nie pamiętam dokładnie, bo wszystko było jak sen.

Romans jak sen. Jakież to sentymentalne – pomyślał Sam.

– I ta idylla miała miejsce w Tokio, we wrześniu ostatniego roku?

– Idylla? – zawołała Gwen. – Idylla? O czym pan mówi, do diabła? To był koszmar! Całe miasto stanęło w płomieniach!

RS

325

Teraz to Sam czuł się zbity z tropu. A więc jest wyrafinowana: obmyśliła

sytuację starannie. Nie chodziło o romans pośród drzew kwitnącej wiśni – to

miała być historyjka o tym, jak się poznali i zbliżyli do siebie podczas trzęsienia ziemi. Hm, ciekawe, jak się zakończy.

– Ma pani rację, pani Hayakawa. Tokio uległo zniszczeniu na początku września wskutek trzęsienia ziemi. A cóż miał tam robić Frank?

– Nie bardzo wiem... Ach, tak, wspominał o spotkaniach, które go czekały w Banku Tokijskim. Ale trzęsienie ziemi nastąpiło tuż przed pierwszym lunchem, na jaki się umówił z bankierami. Zdaje się, że tak było.

Wydawało się, że szuka w pamięci faktów. Musiał jej przyznać, że była świetną aktorką.

– Wspaniale! Pojechał tam załatwiać sprawy bankowe. I tak się akurat złożyło, że pani też zatrzymała się w Imperialu...

– Nie, nie, miałam właśnie zjeść lunch. Chciałam uciec od mojej teściowej...

– Teściowej? – powtórzył oszołomiony Sam.

– Och, teraz to już nieważne. To wszystko minęło. Chodzi mi o to, panie Prosper, że przebywam teraz w Singapurze i muszę koniecznie zapewnić jakiś

dochód sobie i mojej córeczce przez następny rok.

Ach, więc o to chodzi – pomyślał Sam. – Żeby okazać sobie zaufanie,

wymieńmy się portfelami, lub coś w tym rodzaju.

– Dochód? – zagadnął. – W jaki sposób, jeżeli mogę zapytać?

– Otóż chcę założyć firmę produkującą meble, bo jest tu tylu wspaniałych

rzemieślników. Potrzebuję jednak znacznej sumy pieniędzy, żeby kupić materiały...

– Chce pani założyć firmę...

RS

326

Hm, to coś nowego – pomyślał. – Zazwyczaj oferują mi udziały w kopalni diamentów.

– Dlaczego nie próbowała pani w banku?

– Próbowałam, panie Prosper. Wczoraj przez cały dzień. Ale oni chcą mieć jakieś zabezpieczenie albo poręczyciela, a ponieważ nie znam w Singapurze

nikogo i nie posiadam żadnej nieruchomości...

– To przykre – odrzekł Sam.

Jakaż to łzawa historia! Jeszcze parę słów i doprowadziłaby go do płaczu.

Najzabawniejsze było to, że cała ta opowieść wydała mu się prawdziwa.

No, weź się w garść – pomyślał, starając się otrząsnąć. – Nie po to tłułeś

się po świecie przez trzydzieści lat, żeby teraz dać się naciągnąć jakiejś rudej

dzierlatce o zielonych oczach.

– I kiedy otrzymałam od Franka depeszę, w której wymienił pańskie

nazwisko...

– Jaką depeszę od Franka?

Wyciągnęła po nią rękę. W samą porę. Jeżeli rzeczywiście istniała, mógł jeszcze naprawić skutki oziębłego powitania i nie czuć się zażenowany.

– Och... ja... nie pomyślałam o tym, żeby ją wziąć.

– Nie pomyślała pani?

– Nie, a poza tym miałam i tak mnóstwo rzeczy na głowie, choćby uśpienie dziecka...

– Ile ma lat?

– Pięć miesięcy.

No, kochanie, jesteś naprawdę nowicjuską – pomyślał.

Sama w Singapurze? Opuściła Tokio po trzęsieniu ziemi? A teraz pięciomiesięczne dziecko. O ile umiał dobrze liczyć, to dziecko musiało przyjść na świat praktycznie podczas trzęsienia ziemi.

RS

327

Doprawdy? Nikt ci nie mówił, żebyś wymyśliła coś przekonującego, zanim zaczniesz to opowiadać? – dodał w myślach.

Lecz w jaki sposób zdobyła nazwisko Franka Erendera? Po głębszym zastanowieniu się, sprawa wydawała się osobliwa. Skąd wiedziała, że on i

Frank kiedyś się znali? Wyglądało na to, że istotnie poznała gdzieś Franka.

Jednakże Sam Prosper wątpił, czy stało się to podczas trzęsienia ziemi w Tokio. No cóż, lepiej przystąpić do rzeczy, a potem ją wyrzucić.

– Jaką sumę pieniędzy zamierzała pani pożyczyć, pani Hayakawa?

- Potrzebuję tyle, żeby zapłacić za materiały i pracę stolarzy, oraz żeby jakoś przetrwać do czasu, gdy sprzedam pierwsze krzesła.
- Krzesła, rozumiem. Więc ile to by było?
- Obawiam się, że dużo. Dwadzieścia tysięcy dolarów singapurskich. Czyli odpowiednik około czterech tysięcy dolarów amerykańskich. Rozsądnie skalkulowana suma. Wystarczająco duża, by sądzić, że chodzi o uruchomienie interesu, ale zbyt mała, by go odstraszyć. Jeżeli myślała, że on zechce cokolwiek jej pożyczyć, to musiała być stuknięta.
- No, dobra, panienko – powiedział. – Mam już dość słuchania tych bzdur. Zajął mi pani dziesięć minut i nic więcej pani ode mnie nie dostanie. Z tyłu są drzwi.
- Słucham? – wyszeptała Gwen.
- Życzę miłego poranka, pani Hayakawa, czy jak tam pani się nazywa.
- Ależ, panie Prosper...
- Jeżeli pani naprawdę sądziła, że wręczę jej dwadzieścia tysięcy dolarów...
- Ale ja nie chciałam pieniędzy...
- Jak się pani udało zdobyć nazwisko Franka Erendera? Bardzo się zdziwi, kiedy dojdzie do spotkania...

RS

- Poznałam go w Tokio. Co się z panem dzieje?
- Tak, tak, a ja poznałem Matę Hari w Szanghaju. Proszę się wynosić.

Przycisnął dzwonek na biurku i do pokoju weszła Minia, żeby wprowadzić

gościa. Gwen nadal patrzyła w zimne oczy pana Prospera.

– Pan chyba zwariował! – wykrzyknęła. – Sądzi pan, że kłamałabym?

Dlaczegoż, u licha, miałabym to robić?

– Dla pieniędzy, moja droga, dla pieniędzy.

– Nie chciałam pańskich głupich pieniędzy! Chciałam, żeby został pan moim poręczycielem w banku Overseas Mercantile! Wystarczyło tylko podnieść słuchawkę i...

– I paść ofiarą oszustwa, które pani wymyśliła. Nie, dziękuję. Minia, odprowadź tę panią.

Gwen zrzuciła z ramienia rękę dziewczyny.

– Ty ohydny barbarzyńco! Nie pojmuję, jak Frank mógł kiedykolwiek się

z tobą przyjaźnić! Kiedy napiszę mu, co zrobiłeś, nigdy więcej się do ciebie nie odezwie!

Wyrzekłszy te słowa, odwróciła się i wyszła z podniesioną głową. Po policzkach ciekły jej łzy. Dotarła wzburzona do Lawn Canal i zatrzymała się.

Pod krzewem koralowym zobaczyła kamienną ławę. Usiadła na niej czując, że

nagle opuściła ją energia. W dalszym ciągu po twarzy skapywały łzy.

Opuściła

głowę, by je ukryć. Z tej pozycji wyrwało ją czyjeś delikatne dotknięcie.

– Czy pani źle się czuje?

Chudy tamilski chłopiec spoglądał na nią z niepokojem. Pokręciła przecząco głową. Nie była w stanie nic odpowiedzieć.

– Może przynieść coś do picia?

– Nie.

– Brandy? Kawy?

RS

329

Wyciągnął rękę w kierunku restauracji, która znajdowała się troszkę dalej. Pod daszkiem siedzieli ludzie, żeby napić się czegoś przed lunchem. O

tak, potrzebowała jakiegoś napoju. Próbowwała wstać, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– Ja przyniosę – oznajmił chłopiec, wyciągając dłoń.

Wręczyła mu pieniądze i jak tylko poszedł, uświadomiła sobie, że zrobiła

głupstwo, lekkomyślnie dając część i tak skromnych funduszy. Zapewne nie

zobaczy chłopca na oczy już nigdy. Ale po kilku minutach wrócił w towarzystwie kelnera w turbanie.

– Pani potrzebuje pomocy? – zapytał, częstując ją brandy stojącym na srebrnej tacy.

– Dziękuję.

Wypiła płyn, który palił ją w przełyku. Po chwili zaczęła odczuwać jego działanie. Wciągnęła powietrze.

– A może mam zawieźć panią do domu? – zagadnął chłopiec, patrząc na nią z przyjaznym niepokojem.

– Proszę, przywołaj riksę.

– Dobrze, proszę pani.

Kelner czekał do chwili przyjazdu rikszy i pomógł jej wsiąść. Nie chciał przyjąć napiwku. Mały chłopiec wziął kilka monet. Kiedy odjeżdżała,

nie

puszczał z niej oczu.

Tyle życzliwości – pomyślała, dotykając oparcia. – A kilka minut wcześniej tyle nieczułości.

Nan-cho wybiegła z pensjonatu, słysząc turkot kół rikszy. Cmoknęła zaniepokojona widokiem Gwen. Zapłaciła chłopcu, podczas gdy Gwen weszła

do środka niczym ślepiec i skierowała się na górę.

RS

330

Na tarasie sypialni siedziała pani Targett, która pilnowała Tammy.

Kiedy

Gwen weszła do pokoju, szybko wstała.

– No i co, moja droga, załatwiłaś?

– Nie pytaj mnie, Marion. Jeszcze nie mogę o tym mówić. Czy możesz a chwilę zostawić mnie samą?

– Ależ moja droga! Co się stało?

– Później ci powiem. Proszę, Marion.

– Nie widziałaś się z panem Prosperem?

– Och, widziałam się – odparła Gwen.

Mniej więcej po godzinie przyniesiono jej na tacy lunch. Gwen odeszła go z powrotem na dół. Wstała dopiero o drugiej – w porze karmienia Tammy –

i zeszła do kuchni po pokarm. Kiedy wracała korytarzem, z biura wynurzyła się Marion.

- Czujesz się lepiej?
 - Odrobinę.
 - Czy mogę przyjść i pogadać, kiedy będziesz karmiła Tammy?
 - Dobrze, Marion.
- Gwen udała się na taras, wniosła roześmiane, machające rączkami dziecko, a następnie zabrała się do karmienia. Marion stała obok i patrzyła nią z założonymi rękoma.
- Rozumiem, że nie udało ci się nakłonić pana Prospera do pożyczki?
 - Nie.
 - Dlaczego?
 - Naprawdę nie wiem. Zaczęliśmy zupełnie nie tak, jak trzeba: on wziął mnie za Japonkę, która przyjechała z Japonii z perłami.
 - Z perłami?

RS

331

- Tak. Może na tym polegają jego interesy: na sprowadzaniu pereł. Nie mam pojęcia. Trudno się tam było zorientować, na czym polega ich działalność. W każdym razie po początkowym zamieszaniu zrobiło się jeszcze gorzej.
- Nie rozumiem cię, Gwen. Co masz na myśli mówiąc, że 'biło się jeszcze gorzej? Przecież kiedy mu powiedziałaś o panu Benderze...
- Chyba mi nie uwierzył.
- Co takiego?
- Zdaje się, że uznał, iż kłamałam.

– Żartujesz sobie.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto żartuje? Miałam okropny poranek, Marion. Nigdyw życiu nie rozmawiano ze mną w taki sposób.

– Co chcesz przez to powiedzieć, moja droga?

– Nie wiem! – wykrzyknęła Gwen. – Wiem tylko, że nawet gdyby pan Prosper przyszedł do mnie jutro na kolanach i zaoferował mi milion, nie odezwałabym się do niego ani słowem.

Marion Targett nie bardzo wierzyła w to, że Gwen jest w stanie uruchomić jakiś interes, a cóż dopiero firmę produkującą meble. Ale dowiedziawszy się o tym, że jakiś Prosper potraktował Gwen źle, zaciętrzewiła

się. Jak on śmiał odzywać się do Gwen nieuprzejmie, jak śmiał kwestionować

jej uczciwość czy talent?! Oczywiście, Gwen była w stanie odnieść sukces w

każdej dziedzinie!

Gwen słuchała gniewnego pomstowania Marion. To, co mówiła właścicielka pensjonatu, prawie do niej nie docierało. Myślała jedynie o nieuprzejmej, upokarzającej rozmowie z panem Prosperem.

Doszła do wniosku, że powinna napisać o tym Frankowi Brenderowi.

Nie

potrafiła jednak do niczego się zabrać. Była zbyt roztrzęsiona. Nie mogła się

RS

niespokojnie. Sen nie przyniósł jej wytchnienia. Obudziła się z drżeniem, nie wiedząc, jaka jest jego przyczyna. Próbowła coś przełknąć podczas kolacji, bo nie jadła cały dzień, ale była tak zdenerwowana, że zupełnie straciła apetyt.

Siedziała więc przy stole dla towarzystwa. Po posiłku udała się na górę. Nie

wyobrażała sobie spędzenia wieczoru z resztą gości, bo nie podzielałaby ich

wesołości przy grze w karty, nie zniosłaby widoku gramofonu, z którego sączyła się ulubiona piosenka Marion *In a Monastery Garden*. Około dziewiątej zapukała do niej Nan-cho.

– Jakiś pan chce się widzieć z panią.

– To chyba pomyłka, Nan-cho – powiedziała marszcząc brwi.

– Nie, proszę pani – odparła Nan-cho – To ważne. On czeka w biurze pani

Targett.

Gwen podniosła się niechętnie z krzesła i zeszła powoli na dół. W biurze Marion stał znany jej wysoki mężczyzna. Kiedy cofnęła się na jego widok,

wyciągnął do niej kartkę papieru.

– Proszę, pani Hayakawa – powiedział. – Zadepeszowałem do Franka Brendera. To jego odpowiedź.

Gwen wzięła depeszę do ręki: „Proszę udzielić pani Hayakawie wszelkiej

pomocy. Spłacę każdą pożyczkę. Bardzo się o nią niepokoję. Przez wzgląd na

starą przyjaźń, Frank”.

Gwen spojrzała na mężczyznę.

– Zdaje się, że popełniłem wielki błąd – powiedział Sam Prosper. – Czy możemy zacząć wszystko od nowa?

RS

333

16

W pierwszym odruchu chciała zmiąć depeszę i rzucić nią w Prospera. Wyczuwszy, co chce zrobić, powiedział szybko:

– Proszę najpierw mnie wysłuchać. Jestem pani winien przeprosiny i przyszedłem tu po to, żeby je złożyć. I oczywiście jestem gotów zrobić wszystko, żeby jakoś pani wszystko wynagrodzić.

– Przyjmuję pańskie przeprosiny. Dobranoc, panie Prosper.

– Nie, proszę zaczekać. Frank twierdzi, że bardzo się o panią niepokoi...

– Dlaczego miałoby pana obchodzić to, co twierdzi Frank? Ledwie go pan pamiętał, kiedy wymieniłam jego nazwisko.

– W końcu go sobie przypomniałem. Nie myślałem o Franku od czterech, pięciu lat.

– W takim razie nie powinno pana obchodzić to, czy się o mnie niepokoi, czy nie.

– Usiądźmy – westchnął. – Proszę mnie wysłuchać.

Posadził ją na krzesło, z którego zdjął stare gazety. Sam oparł się o krawędź zagraconego biurka Marion. Potrzebował czasu, żeby zebrać myśli.

Gwen dość bezceremonialnie taksowała go wzrokiem. Był wysoki, o kanciastych rysach. Twarz miał opaloną – widać było, że spędził w tropiku

wiele lat. Jego nieokreślonego koloru włosy o odcieniu brązowym nieco pojaśniały na przodzie od słońca. Na lewym policzku miał bliznę.

Wyglądał na

człowieka, który niedawno przekroczył trzydziestkę.

– Poznałem Franka Erendera w Rangunie–zaczął. – Kolegowaliśmy się mniej więcej przez rok. Frank nie znosił tego miejsca i nie mógł się doczekać

powrotu do domu. Oświadczył, że nic nie zdoła go skłonić do ponownego

RS

334

wyjazdu na Wschód, toteż kiedy pani powiedziała, iż poznaliście się w Tokio,

nie uwierzyłem w to.

Gwen uważnie słuchała. Postanowiła jednak nie dawać wiary jego wyjaśnieniom. Nie mogła mu wybaczyć sposobu, w jaki ją potraktował tego

ranka.

– Ale on rzeczywiście był w Tokio. Teraz jestem tego pewien.

– Wysłał go tam jego bank. – Gwen nie zamierzała prowadzić z Samem Prosperem rozmowy. Pragnęła jedynie ustalić fakty.

– Biedny, stary Frank – powiedział. – Namówiono go do ponownej podróży na Wschód, i oto, co musiał przeżyć: trzęsienie ziemi! – roześmiał się.

– To nie było zabawne, panie Prosper – odrzekła Gwen.

– Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam.

Przekonał się, że trudno jest z nią rozmawiać. Odnajdował w tej na pozór

łagodnej dziewczynie nieoczekiwaną twardość.

– No cóż – mówił dalej – kiedy pani wyszła, zacząłem rozmyślać nad tą sprawą. Nie mogłem pojąć, skąd pani знаła nazwisko Franka i co ciekawsze,

skąd pani wiedziała, że się przyjaźniliśmy. Wydawało się, że tylko Frank mógł

pani o tym powiedzieć. Ale to nie oznaczało, że pozostała część pani historyjki

jest prawdziwa.

– Nieprawdziwa? Jak pan śmie! Za kogo pan mnie wziął?

– Myślałem, że jest pani oszustką.

– Oszustką?

– Jasne, w Singapurze jest ich pełno. Oszustów i szulerów.

– Nie tam, gdzie mieszkam – odparła Gwen, nie tając wzburzenia. Sam rozejrzał się po odrapanym biurze, a do jego uszu docierała z holu piosenka ze

zdarłej już płyty, *My Rosary*.

RS

335

– Fakt, nie ma ich tu chyba zbyt wielu – przytaknął, myśląc w duchu, że ludzie w tym pensjonacie mają za mało pieniędzy, żeby skusić naciągaczy. –

Ale ci, o których mówię, schodzą ze statków i wałęsają się po mieście, dopóki

nie zdobędą pieniędzy, następnie kontynuują rejs. Mógłbym teraz pokazać pani

pewną parę w barze „Raffles”.

– W porządku, wierzę panu. Czy teraz możemy uznać sprawę za zamkniętą?

– Pani Hayakawa – powiedział z rozpaczą w głosie. – Pani i Frank jakoś się zaprzyjaźniliście. Teraz to rozumiem. Czy to było podczas trzęsienia ziemi?

– Frank pomógł mi szukać męża.

– Ale nie znalazła go pani?

Pokręciła głową.

– Pochłoneła go ziemia.

– Zatem jest pani w Singapurze sama?

– Z córeczką.

– Naprawdę ma pani pięciomiesięczne dziecko?

– Śpi na górze w koszyku.

–Jezu! — powiedział. – Pani sprawia, że czuję się jak najgorszy łajdak! Okazywał takie zawstydzenie, że było to wręcz komiczne. Czuła, że za chwilę się uśmiechnie. A Sam przywykł do prowadzenia negocjacji.

Potrafił

dostrzec i właściwie ocenić każdą najdrobniejszą reakcję swego rozmówcy. Ta

rozgniewana dziewczyna zaczynała słabnąć.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Nie pojąłem, ile dokładnie chciałaby pani pożyczyć i na co. Czy chodziło o dwadzieścia tysięcy dolarów singapurskich?

– Chciałabym otworzyć interes.

– Jaki interes?

RS

336

– Produkcję mebli.

Produkcja mebli. A więc dobrze pamiętał, co powiedziała tego ranka.

– Jakie to miałyby być meble? – zapytał nieco zakłopotany.

– Proszę posłuchać, panie Prosper, miałam dziś koszmary dzień. Zbliża się dziesiąta, a o tej porze muszę uśpić dziecko. Jestem zmęczona, zmartwiona

i trochę zaskoczona pańską wizytą. Zdaje się, że nie mam siły, by udzielać

panu szczegółowych wyjaśnień. Dajmy więc sobie z tym spokój, dobrze?

– Ale przecież Frank prosił, bym pani pomógł. Czy możemy spotkać się jutro i obgadać tę sprawę?

– No dobrze.

Gwen była wyczerpana. Nie mogła tu siedzieć i tłumaczyć się temu mężczyźnie. Nie miała na to siły.

– Powiedzmy, że przyjadę po panią około dziesiątej.

– O jedenastej. O dziesiątej kąpię i karmię Tammy.

Dobry Boże! Miała zamiar zająć się interesem i chciała zrobić to tak, żeby dopasować wszystko do potrzeb dziecka?

– W takim razie o jedenastej. Wtedy porozmawiamy o pieniądzach dla pani firmy meblarskiej. Mogę zapytać, czy ma pani doświadczenie w tej dziedzinie.

Spojrzała na niego, a w jej zachowaniu była jakaś godność, poczucie pewności siebie.

- Słyszał pan kiedyś o „Veetche Furniture”, później do spółki z mężem nazwaną „T and V”?
- Cóż, nie... Ale dekoracją moich wnętrz zajmują się inni ludzie, więc nie znam się na tego rodzaju rzeczach.

RS

337

- Rozumiem – odparła wstając. – Miałam firmę „Veetcha Furniture” i trzy lata temu podbiłam Paryż. A teraz, panie Prosper, proszę wybaczyć, ale muszę się zająć pewnymi sprawami na górze.
- OK. W porządku. No cóż, jesteśmy umówieni na jutro. Na jedenastą. A tymczasem proszę się nie martwić. Mam nadzieję, że się dogadamy. Wstał, żeby odprowadzić ją do korytarza. Wyciągnął rękę, którą po chwili uściśnęła bez serdeczności. Następnie odwróciła się i weszła zmęczonym krokiem na górę.
- Sam Prosper mieszkał w dużym parterowym domku ze znakomitą klimatyzacją, przy Tanglin Road. Kiedy dotarł na miejsce, wszedł do swojego gabinetu, odszukał numer człowieka, który zajmował się wnętrzami jego bungalowu, i zadzwonił do niego.
- Rupert? Chcę cię zapytać o coś, co ma związek z meblami.
- Z meblami? Serce moje, nie mów mi, że przestał ci się podobać pokój do urządzania bankietów. Zapewniam cię, że to jest teraz w modzie.
- Rupert, czy jesteś na bieżąco z paryskimi producentami mebli?

- Chodzi ci o empire czy barok? Posłuchaj, drogi Samie, barok u ciebie nie pasuje. Proszę, nie zaczynaj wymieniać mebli.
- Zamknij się, Rupert. Chcę dowiedzieć się czegoś o współczesnych meblach. Czy Paryż liczy się obecnie w tej dziedzinie?
- Paryż zawsze się liczy. A obecnie? Człowieku, na jakim ty świecie żyjesz? Wszędzie króluje *art deco*.
- Naprawdę? Czy wiąże się z tym nazwisko Veetcha?
- Veetcha? Veetcha? Niech no pomyślę, Sam. Zdaje się, że... Czy to nie ten sam facet, który wykonał sekretarzyk ze skorup ostryg? Nie, to był Joubert.
- Veetcha? Coś mi to nazwisko mówi. Możesz zaczekać?

RS

338

Odłożył na chwilę słuchawkę. Po chwili Sam usłyszał po drugiej stronie szelest odwracanych kartek.

– Tak, Veetcha – zgadza się. Pomieszczenia biurowe dla producenta aparatów radiowych... Cuuudowne... Mam przed sobą ilustrację z *Les Salons*

Modernes, Sam. Czerń lakierowana złotem. Ależ to jest zdumiewające!

– Coś jeszcze?

– Pozwól, że zobaczę... Tak, na następnej stronie parawan w kształcie czterech japońskich wachlarzy. Nie mówię, żeby tak strasznie mi się podobał.

Sam, jeżeli myślisz o sprowadzeniu czegoś z Paryża, nie kupuj tego parawanu:

wyglądałby u ciebie zupełnie nieodpowiednio.

- Nie mam zamiaru niczego kupować. Myślę o zainwestowaniu pieniędzy.
- Chcesz rozpocząć kolekcjonowanie mebli? No, wiesz, Sam, nie jestem pewien, czy w miarę upływu czasu wyroby *art deco* zyskają na wartości, czy też odwrotnie.
- Zamierzam inwestować w produkcję.
- W produkcję mebli?
- Właśnie rozmawiałem z Veetchą.
- Co? – zapytał Rupert Freshford, zapominając o manierach.
- Z Veetchą. To dziewczyna. Nazywa się Gwen Hayakawa.
- Sam, czy ty nie wypiełeś za dużo dżinu?
- Ona jest tutaj, w Singapurze. Nie znam jeszcze całej historii, ale ona chce tutaj założyć interes...
- Sądziłem, że zajmujesz się kamieniami szlachetnymi, Sam.
- Nieważne, czym się zajmuję. Czy mam rozumieć, że twoim zdaniem Veetcha naprawdę się liczy na rynku meblarskim?

RS

339

- To nie jest najlepsze określenie. Ci ludzie z *Les Salons Modernes* projektują meble i tworzą modne kierunki, ale nigdy nie wiadomo, czy ich pomysły chwycą na rynku.
- Pojmuję. Wyższe sfery, tak? W porządku. Nie mam nic przeciwko wspieraniu wyrobów dla wyższych sfer. W Singapurze jest sporo bogatych

kobiet, które chciałyby mieć meble projektowane na zamówienie.

– Veetcha? – powtórzył Rupert, jakby nagle się przebudził. – Tutaj, w Singapurze? Naprawdę? Sam, poznasz mnie z nią?

– Aha. Widzisz szansę i dla siebie, co? Będziesz mówił swoim bogatym damom: „Mogę powiedzieć Veetchy, żeby coś dla pani zaprojektowała”, nieprawdaż?

– No cóż, mój kochany, w końcu interes jest interesem, czyż nie?

– O, z pewnością.

Sam pragnął uczynić wszystko, co mógł, dla dziewczyny, która, jak się okazało, rzeczywiście była przyjaciółką Franka Erendera. Nawet gdyby go to

kosztowało kilka tysięcy dolarów, zagłuszał w ten sposób wyrzuty sumienia.

Ale sposób, w jaki podała nazwę swojej firmy projektanckiej, godność i opanowanie... To zrobiło na nim wrażenie. Teraz jeszcze potwierdził to Rupert.

Ta dziewczyna była kimś. I z niewielką pomocą Sama Prospera mogłaby odzyskać dawną pozycję. O, tak. Miło odgrywać rolę miłosiernego samarytanina na prośbę Franka Erendera. A jeszcze przyjemniej mieć z tego jakiś zysk.

Kobieta, w którą zamierzał zainwestować, spała tej nocy spokojnie.

Częściowo wynikało to ze śmiertelnego znużenia, a częściowo z tego, że uwolniła się od lęku. Pan Prosper nie rzucał słów na wiatr. Pomoże jej zdobyć pieniądze na firmę.

RS

340

Zjawił się u niej nazajutrz wspaniałym wozem marki Sunbeam – był to najnowszy model szybkiego samochodu sportowego. Po chwili opuścili granice miasta.

– Dokąd jedziemy? – zapytała z niepokojem.

– Na lunch do hotelu przy plaży. Spodoba się pani to miejsce. Jest ocienione palmami i wieje wiatr od morza.

Gwen odwróciła się, żeby spojrzeć na jego twarz z profilu. Uśmiechał się z zadowoleniem.

– No cóż – odrzekła chłodnym tonem. – Wolałabym, żeby to nie było zbyt daleko, bo muszę wrócić na drugą.

– Słucham? – zapytał, odwracając głowę.

– O drugiej muszę nakarmić Tammy. Sam Prosper przestał się uśmiechać.

– Właściwie, skoro mamy mówić o interesach, wolałabym, żeby to się odbyło w pańskim biurze możliwie jak najszybciej – dodała.

Jej zachowanie graniczyło niemal ze złymi manierami i zauważyła, że się

trochę wystraszył. Powiedziała:

– Musi mi pan wybaczyć. Nie można zostawiać małego dziecka na długo.

– Ale ktoś przecież jej pilnuje? To znaczy, ktoś inny mógłby ją nakarmić o drugiej?

– Panie Prosper, moje dziecko ma niewiele ponad pięć miesięcy. Z tych

pięciu miesięcy dwa spędziła w szpitalu. Chcę poświęcić jej każdą minutę.

– Jasne – odparł i zawrócił samochód.

Jechali odtąd w niemal całkowitej ciszy. Gwen była zatopiona w myślach.

Tego ranka przebudziła się bardzo wcześnie. Odsunęła moskitierę i wyszła na balkon, żeby przed nastaniem świtu nacieszyć się świeżością

RS

341

powietrza. Na niebie można jeszcze było dostrzec gwiazdy blednące za chmurami, które przywiała morska bryza. Purpurowe obłoki niepostrzeżenie

zmieniły barwę na szarą, a potem, kiedy zza horyzontu oświetlił je pierwszy

blask słońca, zaczęły przypominać dojrzałą brzoskwinie. Zza widnokregu

majestatycznie wynurzyło się słońce. Tama uwielbiał malować ten widok na

swoich wyrobach. Przypomniała sobie o nim po wielu tygodniach, w czasie

których martwiła się głównie zdrowiem ich dziecka.

Znalazła się na antypodach u jego boku. A teraz go nie było. Nikt się nią nie opiekował, nie zarabiał na życie rodziny. Pod tym cudownie rozświetlonym

niebem Gwen czuła się malutka i bezbronna. Ale dla Tammy była jedyną

obroną przed tym okrutnym światem. Okrutna była natura, która w jednej chwili mogła zrujnować ludzkie życie, tak jak to się stało w Japonii. Ludzie również bywali okrutni. Jej ojczym na przykład, który usiłował ją wykorzystać. Mirio-san, jej nieżyjąca teściowa, mały rodzinny tyran. A wczoraj Sam Prosper – gruboskórny, podejrzliwy, zimny. Musi być wobec niego czujna. Zeszłego wieczoru przyszedł z przeprosinami i dała się ubłagać, ale teraz zrozumiała, że zachowywał się protekcyjnie. Jej rozmyślania przerwała krzątająca służących w domu przy ogrodzie. Wróciła do sypialni. Tammy cmokała i gaworzyła. Odsunęła moskitierę i wyjęła niemowlę.
– Dzień dobry, mój skarbie. Dzisiaj rano mamusia idzie się zobaczyć z dużym, złym wilkiem.
Postanowiwszy sobie, że będzie traktowała Sama Prospera nieufnie, starannie dobrała strój na spotkanie. Włożyła drugą porządną sukienkę, jaką miała: zieloną, szytą w Hongkongu. Białe bawełniane rękawiczki i biały słomkowy kapelusz pożyczyla od pani Targett. Z butami nie dało się nic

RS

pary sandałów kupionych na bazarach.

Kiedy jednak przygotowała się już do wyjścia, czuła się jak kobieta interesu i wiedziała, że jest w stanie rozmawiać z tym intrygującym mężczyzną

jak równy z równym. Podczas powrotnej jazdy do miasta zastanawiała się, czy

nie potraktowała go niesprawiedliwie. Akceptował jej życzenia bez żadnych

pytań. Lepiej jednak wykazać ostrożność niż później żałować. Należało trzymać go na dystans.

Wyszli z windy i znaleźli się przed drzwiami firmy.

– „Enterprises”... Dokładnie, o jakie przedsięwzięcia tu chodzi, panie Prosper? – zagadnęła.

– Och, zajmuję się różnymi rzeczami.

Wprowadził ją do środka i kiwnął głową na recepcjonistkę, która spojrzała na nich ze zdumieniem.

– Zmieniliśmy zdanie, Minia. Przynieś nam kawy, dobrze? Mój główny interes – zwrócił się teraz do Gwen – polega na kupowaniu i sprzedawaniu

kamieni szlachetnych.

– Jest pan jubilerem?

– Jestem handlowcem – powiedział, kiedy znaleźli się w sąsiednim pomieszczeniu. – Kupuję rubiny z Birmy, szafiry z Syjamu i Chin.

Sprzedaję je

szlifierzom, przeważnie w Amsterdamie.

– A perły?

– Ach – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jeszcze ich nie przywieziono.

Miały nadejść z Mindanao za pośrednictwem japońskiego agenta, ale zdaje się,

że sprzedał je gdzie indziej.

RS

343

Gwen rozejrzała się po ładnym biurze. Story rzucały beżową poświatę na podłogę i biurko z ciemnego drewna. Na białych ścianach wisiało kilka zdjęć przedstawiających jachty, a na stoliku w rogu stały doniczki z orchideami.

Liście orchidei przypominały ostrza noży i nieco drżały pod wpływem elektrycznego wiatraczka. W jedną ze ścian był wbudowany duży ciemnozielony sejf.

– To tutaj przechowuje pan klejnoty?

– Kamienie szlachetne. Tak, chciałaby je pani obejrzeć?

– O tak, proszę.

Sam Prosper nacisnął odpowiednie cyfry kodu, otworzył grube drzwiczki

i wyjął tacę, na której leżało kilka torebek z irchy.

– Oto szafiry – powiedział. Rozciągnął sznureczek i wysypał zawartość torebki.

Gwen była rozczarowana. Cztery albo pięć kawałeczków lekko zabarwionej skały.

– Och! – odrzekła.

– Wyglądają bardzo niepozornie, prawda? To szafiry, w których widać promieniste żyłki. Po oszlifowaniu przypominają niebo oglądane przez

Perłowe Bramy. Ale ja się tym nie zajmuję. Ja tylko zdobywam kamienie i przesyłam je dalej.

Zgarnął szafiry niczym gracz zbierający kości do pudełka, wsypał je do irchowej torebki i zaciągnął sznurek. Otworzył kolejny woreczek i wysupłał z

niego dwa, zdawałoby się, zwyczajne kamienie o szarym odcieniu.

– Szmaragdy z Canjurgam. Najlepsze szmaragdy pochodzą z Ameryki Południowej; te są niezwykle szlachetne, jak na tę część świata. Warte dziesięć

tysięcy funtów przed oszlifowaniem, po oszlifowaniu i oprawieniu pięćdziesiąt tysięcy.

RS

344

– Dobry Boże!

– O tak. Takie drobiazgi. Wyglądają jak kryształki cukru, prawda?

Wziął do ręki szmaragdy, włożył je z powrotem do woreczka i schował do sejfu, podczas gdy Minia przyniosła kawę.

Na jego skinienie dziewczyna naląła kawę, podała filiżanki i zaproponowała

Gwen ładny talerzyk, przykryty zwykłą serwetką, oraz herbatniki posypane cukrem. Następnie wyszła po cichu. Gwen siedziała i sączyła gorący,

mocny napar. Kawa była wyśmienita. Ale zdążyła już się przekonać, że ten

mężczyzna lubił mieć wszystko w najlepszym gatunku.

– A teraz – powiedział – ponieważ pani czas jest ograniczony, przejdźmy

do rzeczy. Chce pani produkować meble tutaj, w Singapurze, przy pomocy

lokalnej siły roboczej?

– Tak, nie powinno być z tym kłopotu. Mam prosty projekt i chcę, żeby go wykonywali. Proszę spojrzeć.

Pogrzebała w torebce, wyjęła rysunek krzesła w stylu safari, który zrobiła

tego ranka przed śniadaniem w biurze Marion. Sam Prosper wziął go skwapliwie do ręki i obejrzał. Zobaczyła, że zrzędała mu mina.

– Ale to jest raczej leżak – powiedział.

– Tak, tylko wygodniejszy. Lepiej podpira plecy.

– Ale... ja myślałem, że pani wyrabia piękne meble, wyjątkowe sprzęty.

– Dlaczego pan tak sądził? – zapytała ze zdumieniem.

Prosper wbił wzrok w ziemię i lekko zmarszczył brwi.

– Poprosiłem kogoś, żeby gdzieś sprawdził nazwisko, które mi pani wczoraj podała. Znajomy mi powiedział, że w książce, którą ma, są fotografie

wyjątkowych mebli. Czarne i złote, dla jakiegoś producenta.

– Ach, tak.

RS

– Ale takie prace wykonuje się tylko na zlecenie, panie Prosper.
– No, cóż, moglibyśmy to rozgłosić wszędzie. Bez wątpienia znajdzie się w Singapurze ktoś, kto zechce wynająć firmę „Veetcha”, by wykonała coś specjalnego.

A więc to było tak. Ktoś mu opowiedział o jej dawnych dokonaniach i wywarło to na nim wrażenie. Teraz nie traktował już jej jak namolnej dziewczyny, którą mu zarekomendował Frank Erender. Mógł przecież ją przedstawić swoim bogatym przyjaciółom. I być może coś dzięki niej zarobić.

– Nie mogę siedzieć i czekać na takie zamówienia, jakie otrzymywała „Veetcha” w Paryżu – powiedziała. – Potrzebuję zleceń, które dadzą mi szybki zysk.

Prosper był wyraźnie rozczarowany. Zapytał gderliwym tonem:

– A skąd wzięło się to nazwisko?

– W ten sposób paryżanie wymawiali moje panieńskie nazwisko Whitchurch. A skoro padło to pytanie, cóż to za nazwisko: Prosper? Pan naprawdę się tak nazywa?

– Takie nazwisko mam w paszporcie.

To nie była żadna odpowiedź. Odnosiła wrażenie, że ten człowiek prowadził dość burzliwe życie. Doprawdy, musiała być z nim bardzo ostrożna.

To, że przyjaźnił się kiedyś z Frankiem Erenderem, nie znaczyło jeszcze, że dorobił się fortuny uczciwie.

– Zamierzam wyprodukować ograniczoną liczbę tych krzesel – oświadczyła, wskazując rysunek. – Zaproponuję je człowiekowi skupującemu

meble w domu towarowym „Robinson” i dam mu prawa na wyłączność. Powstanie superekskluzywna wersja, do której każę utkać bawełnę o barwie i

RS

346

wzorze dostosowanym do życzeń klienta, a jeśli zechce tego jakaś restauracja

czy klub, polecę wyszyć nazwę firmową.

Ta młoda dama zaimponowała Samowi Prosperowi. Było oczywiste, że nie należy do nowicjuszek w świecie interesu. Otworzył szufladę i wyjął książeczkę czekową.

– Ile pani potrzebuje?

Cofnęła się na widok tej kościstej dłoni ujmującej pióro.

– Nie, nie, panie Prosper. Nie chcę pańskich pieniędzy.

– Ale ja myślałem...

– Nie. Chcę, żeby dał mi pan list, w którym obieca pan poręczyć za mnie w banku Overseas Mercantile.

– Ależ, pani Hayakawa...

– Proszę się nie martwić, spłacę pożyczkę w oznaczonym czasie.

– Wolałbym jednak sam udzielić pani pożyczki.

– A ja wolałabym, żeby pan tego nie robił.

No nie! Siedział i patrzył uporczywie na książeczkę czekową. Ta dama nigdy mu nie wybaczy, że wziął ją za oszustkę.

– W porządku.

Odłożył książeczkę z powrotem do szuflady i wyjął kartkę papieru.

– Co mam napisać do Jimmy'ego Martingale'a?

– Zna pan dyrektora osobiście?

– Oczywiście. To jest mała społeczność. Wszyscy biznesmeni się tutaj znają. Co mam napisać? „Pragnę przedstawić panią Gwen Hayakawę, za

która

jestem gotów udzielić poręczenia na sumę dwudziestu tysięcy dolarów singapurskich... ?"

Wypowiadając tę formułę, jednocześnie ją zapisywał, a następnie podał jej list. Zauważyła, że zaczynał się od nagłówka „Drogi Jimmy”.

Mężczyznom

RS

347

przychodziło to tak łatwo. Spotykali się w klubach i barach, grywali w tenisa

albo wypływali na wspólne rejsy i niemal natychmiast zaczęli mówić sobie

po imieniu. Kobiety nie bratały się tak łatwo.

– Dziękuję – powiedziała. – Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę tam od razu i otworzę konto. Dziś wieczór powiadomiłabym Woo Jonga, że

chcę go zatrudnić.

– Trzeba przyznać, że nie marnuje pani czasu.

– Panie Prosper, kiedy ma się dziecko, które już niedługo będzie potrzebowało czegoś więcej niż tylko mleka pięć razy dziennie, nie można

sobie pozwolić na marnowanie czasu. – Wstała i wyciągnęła rękę. –

Dziękuję,

panie Prosper.

Uścisnął jej dłoń.

– Czy zrobiłaby pani dla mnie coś jeszcze?

– Jeśli będę w stanie.

– Wszyscy mówią do mnie Sam.

– Rozumiem. Dobrze, Sam.

Ale nie zaproponowała, by on mówił jej po imieniu. Kiedy Minia ją wyprowadziła, podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z bankiem Overseas

Mercantile.

– Halo, Jimmy? To ja. Nie, nie chodzi mi o regaty. Dzwonię z interesem.

Posłuchaj, Jimmy, za chwilę złoży ci wizytę pewna dziewczyna: niejaka pani

Hayakawa. Och, znasz ją?

– Przyszła tu parę dni temu – odparł Jimmy Martingale. – Jakaś idiotyczna historyjka o założeniu warsztatu meblarskiego.

– Jimmy, mój chłopcze, zdziwisz się. Posłuchaj, składam poręczenie za jej pożyczkę.

– Co takiego?

RS

348

– Nie rób jej żadnych trudności. Bądź uprzejmy. Przeczytaj mój list i powiedz, że wszystko jest w porządku. Otwórz dla niej konto i pozwól jej

działać. Dobrze?

– Wspierasz ją? Własnymi pieniędzmi? – zapytał Jimmy, a w jego głosie pobrzmiwał wyraźny sceptycyzm.

– Nie bądź taki ciekawy. Aha, jeżeli ona przekroczy sumę na koncie, nie

złość się na nią: wszystko pokryję.

Zapadło krótkie milczenie. Wreszcie Jimmy odezwał się z nerwowym chichotem w głosie:

– Sam, ty łajdaku! Zawsze wymyślasz nowe sposoby, żeby jakąś poderwać!

Sam pożegnał się i odwiesił słuchawkę.

Chciałbym być takim szczęściarzem – pomyślał.

Po dwóch dniach Woo Jong i jego bracia wzięli się za wyrób ram do krzeseł w stylu safari. Dwie córki jego starszego brata zszywały sztywne bawełniane oparcia i siedzenia. Gwen umówiła się z kupcem z domu towarowego „Robinson”. Zabrała pierwszą próbkę do taksówki, żeby

mu ją pokazać. Była to prosta konstrukcja z lekkiego drewna z siedzeniem oparciem

w kolorze połyskującego błękitu. Kupiec zachwycił się tym krzesłem.

Kiedy

mu powiedziała, że mógłby uzyskać prawa do wyłącznej sprzedaży na terenie

Singapuru przez pierwsze dwa lata, chciał jak najszybciej sfinalizować umowę.

W ciągu sześciu tygodni firma „Veetcha Orient (Pte) Ltd” ruszyła pełną parą. Pod drzewami na singapurskich murawach zaczęły się pojawiać krzesła

we wszystkich barwach tęczy. Na specjalne zamówienie wykonywano superekskluzywne krzesła obszyte wzorzystą bawełną, którą tkwały córki zamężnej siostry Woo Jonga. Później Gwen wykańczała krzesła kelan-tańskim

jedwabiem. O jej meblach plotkowało się w singapurskich salonach.

Gwen

RS

349

przesłała fotografie krzesel Jerome'owi de Labasse, prosząc go, by znalazł

kogoś, kto zaoferuje je domom towarowym „Les Quatre Saisons” lub „Printemps”. Nie minęło sześć miesięcy, a już eksportowała swoje wyroby do

Paryża, do londyńskiej „Liberty” i do „Bloomingdales” w Nowym Jorku.

Veetcha... Wszyscy myśleli, że takie jest jej nazwisko. Po pierwszych trzech miesiącach zmęczyło ją ciągle poprawianie jego wymowy.

– W każdym razie – powiedział jej Sam – nie odniesiesz w Singapurze żadnych korzyści z tego, że będą cię nazywać pani Hayakawa. To miasto jest

bardzo europejskie i Veetcha brzmi trochę jak nazwisko węgierskie czy rosyjskie. Chodzi mi o to, że nie brzmi orientalnie.

– Ale to wydaje się takie nielojalne w stosunku do Tamy...

– Ta część twojego życia jest zamknięta – upomniał ją. – Musisz myśleć teraz o sobie i swojej małej.

Sam wiedział, że apelowanie do jej uczuć dla Tammy zawsze skutkowało.

On traktował tę małą dość obojętnie. Wyglądała uroczo, kiedy chodziła jeszcze niepewnie po pensjonacie, ubrana w plisowane majteczki i

kapelusz z dużym rondem. Ale Samowi bardziej podobały się nieco starsze

kobiety o wydatniejszych kształtach. Na przykład takie jak Gwen. Kiedy Gwen przywykła do singapurskiego stylu życia i otrząsnęła się ze swoich tokijskich przeżyć, z dnia na dzień robiła się coraz bardziej atrakcyjna. Ach, te jej włosy... Zawsze miał specjalne względy dla rudowłosych dziewcząt, a ich kolor był wyjątkowy, miały bowiem żywy bursztynowy odcień. Przy szarzielonych oczach, z których wзираła bezpośrednio i uczciwość, wyglądały cudownie. No i ta delikatna blada cera oraz piegi, które były doprawdy ponętne... Ale Gwen zawsze traktowała go ozięble. Dopiero po roku zaczął się do niej zwracać po imieniu. A był to termin, który sobie wyznaczyła na opuszczenie Singapuru – wczesne lato 1925 roku, kiedy Tammy miała

RS

350

osiągnąć taką wagę i wzrost jak inne dzieci w jej wieku. Niezła zabawa

–

nawiązanie przyjacielskich stosunków w chwili, gdy szykowała się do wyjazdu. Sam przyrzekł sobie, że nie popuści Gwen tak łatwo. Zgodnie z tym, co jej powiedział na początku znajomości, zajmował się paroma rzeczami. Nie sprawiło mu więc żadnego kłopotu zatrudnienie Ruperta Nicholsona

jako
dekoratora wnętrza nowego hotelu w Cameron Highlands, którego
budowę
finansował wraz z kilkoma kolegami, oraz skłonienie go, by skorzystał z
usług
pani Veetchy przy projektowaniu mebli. Rupert nie potrzebował zresztą
specjalnej zachęty. Wiedział niemal wszystko o projektanckiej karierze
Gwen,
podziwiał składane krzesła, które wyrobiły jej markę w domach
towarowych, i
spotykał ją od czasu do czasu na towarzyskich imprezach.
– Moja kochana pani Veetcha, praca z panią byłaby takim zaszczytem!
To jest pierwszy hotel w górach, chodzi mi o to, że może być
konkurencją dla
rządowego domu wypoczynkowego. My możemy narzucić odpowiedni
standard. – Co ja mówię, możemy przetrzeć nowe szlaki!
– Ale ja właśnie miałam zarezerwować bilet powrotny do Europy.
– Droga pani Veetcha, proszę odłożyć wyjazd. Powiedzmy, o sześć
miesięcy...
– Ale jeśli zgodzę się na półroczną zwłokę, będzie to znaczyło, że
wrócimy do Anglii zimą.
– No właśnie, zima w Anglii! W takim razie proszę tu zostać jeszcze
rok.
Wszystkim wyjdzie to na dobre, ponieważ, widzi pani, to jest bardzo
prestżowe przedsięwzięcie... Pani wie, jak radżowie przepadają za
polowaniami
w górach na tapiry.
– Panie Nicholson, domek myśliwski nie wymaga zbyt wielu mebli...
– Droga pani! Właściciele hotelu Pangkor mają nadzieję, że stałymi
klientami będą ważne osobistości rządowe i sułtan Peraku. Mogłyby się
tam

RS

351

odbywać bale dobroczynne i inne imprezy. Naprawdę uważam, pani Veetcha,

że będzie to dla pani bardzo interesujące zadanie. Proszę przynajmniej przyjechać i popatrzeć.

Gwen dała się ubłagać, tym bardziej że ten pomysł nie był jej zupełnie niemiły. Wzięła ze sobą Tammy i jej *amah*. Siwobrody Malaj wiózł ich

z

Wyspy Singapurskiej na ląd stały, a stamtąd do Tapah, by wreszcie skierować

się na krętą szosę, która wznosiła się na wysokość około pięciu tysięcy stóp i

prowadziła w góry.

Na równinie rosły drzewa kauczukowe, ale na wzgórzach znajdowały się

uprawy herbaty i plantacje pomarańczy, które przypominały morze ciemnej

zieleni. Urozmaicały ją tu i ówdzie malajskie wioski i ogrody warzywne.

Powietrze było pachnące i chłodne. Zboczami gór spływały potoki.

Drogowskazy informowały o rządowych domach wypoczynkowych, a od

czasu do czasu także o hotelikach, które prowadzili niezmordowani Chińczycy

ku pożytkowi agentów handlowych i inżynierów.

W hotelu Pangkor udostępniono przybyszom prowizoryczne kwatery.

Gwen przypominało to trochę obozowanie pod dachem. Doprowadzono tu jednak elektryczność i wodę, a odpowiednia liczba służących zapewniała wikt i opierunek malarzom, dekoratorom i ogrodnikom. Przekonawszy się, że Tammy tapla się radośnie w brodziku pod czujnym okiem służącego, Gwen wyruszyła następnego ranka na inspekcję.

_ Z pewnością sądzi pani, że ten hotel nie będzie zbyt duży w porównaniu z europejskimi hotelami – zauważył dyrektor, wprowadzając Gwen i Ruperta do sali balowej. – Tu będzie specjalny parkiet z klonowego drewna. Wynajmiemy stałą orkiestrę taneczną. Pokój był duży i pusty, podobnie jak „herbaciany taras”, pokój do eryl w brydża, restauracja ze stolikami dla trzydziestu osób, biblioteka i czytelnia,

RS

352

garderoba dla pływaków i tenisistów poza hotelem oraz dwadzieścia apartamentów. Gwen zachwyciła się budynkiem. Wprawdzie był on wielką trzypiętrową kamienną bryłą z dużymi oknami balkonowymi, ale znajdował się w przepięknym otoczeniu. Jeżeli wyjrzało się z okna którejś z sypialni, widziało się młode listowie drzew koralowych, czuło się intensywną woń

paklanów, a pnącza winorośli wiły się już na poręczach balkonów. Na drżącej gałęzi uroczynu czerwonego przycupnęła mała czapla, której upierzenie było nieco jaśniejsze od białych kwiatów.

Kierownik chciał otworzyć hotel przed początkiem sezonu 1926 roku. Za

sezon uważano miesiące od maja do września, porę południowozachodnich monsunów, kiedy na nizinach panowała parna, upalna pogoda.

Pozostawał

zatem rok na wybór projektu i umeblowanie wnętrza. Rupert rozpoczął dyskusję

na temat kolorów i materiałów, pokazywał próbki farb, skrawki tkanin, katalogi sprzętu elektrycznego i urządzeń.

Gwen udała się na samotny spacer. Stała na skraju placu i patrzyła na stoki gór. Nad wioską unosiła się błękitna mgiełka dymu z ognisk, na których

gotowano jedzenie, i stykała się z niebem. Widziała dachy malajskich domów,

zrobione z pokrytych liśćmi gałęzi, które brązowiały niczym tytoń...

Drewno w

kolorze soczystego brązu... Ściany wykładane zwykłą boazerią w czytelnicy,

biurka z brązowego drewna, z mosiężnymi okuciami, fotele z drewnianymi

poręczami i dużymi, miękkimi, jasnozielonymi i brązowymi poduszkami.

Meble do sypialni z drzewa atlasowego, wezglowia wykładane bladnoróżowym

kwarcem na podobieństwo pąków drzewa koralowego, wmurowane szafy,

ozdobne drzwi, lustra na ścianach również w ramach z różowego kwarcu...

Sufit w sali balowej powinien być kremowy, a ramy luster czerwone,

podobnie
jak miejsca do siedzenia. Budulec musiałyby być jaskrawoczerwony,
żeby się
kojarzył z rośliną o liściach koloru miedzi rosnącą przy szosie w
niższych

RS

353

partiach gór, a ławki wyginałyby się niczym ta roślina... W jadalni
dominowałby błękit. Krzesła byłyby niebieskie, tak jak dym ognisk.
Siedzenia

obito by niebieskim i szarym materiałem, a na oparciach byłyby
wypukłe

ozdoby. Obrusy i zastawa stołowa mogłyby być białe z szarymi
elementami,

gdyby Rupert wyraził zgodę...

Gwen stała w dalszym ciągu i wymyślała nowe projekty, kiedy odnalazł
ją Rupert.

– Co pani o tym sądzi, moje serce? Czy coś panią zafascynowało?

Miała zamiar odpowiedzieć: „O tak, pozwól mi się dorwać do
szkicownika. Mam tysiące pomysłów”, ale się powstrzymała. Nie mogła
okazywać zbytniego entuzjazmu, nie ustalwszy przedtem wysokości
zapłaty.

Musiała myśleć o dziecku.

– Czy możemy porozmawiać o pieniądzach? – zapytała, starając się
mówić obojętnym głosem.

Rupert podał jej ramię.

– Bardzo rozsądnie, moja droga – powiedział.
Zobaczył błysk w jej oczach. A więc chciała zdobyć tę pracę. On również, bo wiedział, że dzięki temu wyrobi sobie markę pośród budowniczych hoteli w Malezji. Wkrótce miało ich tu powstać dużo więcej.
Budowano je z myślą o pasażerach statków, którzy mogliby wypocząć kilka dni przed ponownym wyruszeniem w podróż.
Kiedy ustalono warunki finansowe, Gwen wróciła do Singapuru, żeby zająć się projektowaniem i szukaniem robotników. Musiała też znaleźć miejsce, gdzie można byłoby realizować zlecenie. Bank nie robił żadnych trudności i udzielił jej niezbędnej pożyczki. A Woo Joong zdołał znaleźć tylu wykwalifikowanych pracowników, ilu potrzebowała.

RS

354

I w ten sposób Gwen zrezygnowała z powrotu do domu. W następnym roku sytuacja się powtórzyła, ponieważ sułtan Johoru zatrzymał się w hotelu Pangkor wraz z żoną, która zobaczywszy wnętrza, wpadła w zachwyt i zapragnęła zupełnej zmiany wystroju swoich apartamentów w pałacu w Johor Bahru. Oświadczyła, że musi mieć projektanta, który zrobił takie cudowne meble w apartamencie hotelu Pangkor.

Żeby wykonać to ważne zamówienie, Gwen wyszukała lakiernika Lee Pan Suma. Potrafiła wyobrazić sobie salon w rezydencji sułtana –
lśnienie
luster i lakieru w półmroku za zasłoniętymi oknami. Obrazy
przedstawiające
malajskie legendy – blask pereł i złota na ciemnoszkarłatnym tle.
Zwierciadła o
wymyślnych opływowych kształtach, które zdają się kołysać niczym
palmy.
Straits Times opublikował za zgodą Jego Wysokości sułtana i jego żony
długi artykuł o pracy, którą wykonywała Gwen w pałacu w Johor Bahru.
Odtąd
Gwen była zapraszana na przyjęcia i kolacje przez śmietankę
towarzyską
Singapuru. Wiedziała, że dotychczas odnoszono się do niej z dystansem,
jako
do przedstawicielki cyganerii lub osoby trudniącej się handlem. Teraz
była
protegowaną sułtana Johoru, samego sir Ibrahima, a więc kimś, o kim
wypadało opowiedzieć przyjaciołom. Pod pewnymi względami
przypominało
to Gwen jej debiut w Paryżu. Różnica polegała na tym, że tutaj czuła, iż
całkowicie panuje nad swoją przyszłością. W Paryżu unosiła się na fali i
często
dawała się życiu zaskoczyć.
Nareszcie przestała się uskarżać na brak pieniędzy. Wynajęła domek na
wschód od miasta, w Tanjong Katong, niemal na samej plaży. Dzięki
morskiej
bryzie w pokojach panował chłód. Tammy mogła biegać po piasku
niczym
swobodna mewa. Rankiem i wieczorem niebo przypominało tu kolor
moreli,
turkusów i topazów. Malajski kapłan wzywał wiernych o stałej porze.

RS

355

Majestatyczny orzeł wzbijał się w powietrze, by wypatrzeć łup pośród ptaków dżungli, a wieczorem gwiazdy pojawiały się na niebie niczym morskie latarnie.

I po cóż miałyby wracać do Europy? Matka nigdy nie rozumiała jej pasji,

a ojczym też jakoś nie słał naglących zaproszeń.

Jerome de Labasse napisał w swoim ostatnim liście, że rodzina pragnie, by się wreszcie ożenił i spłodził potomka, co wydawało się teraz dość rozsądne, zważywszy, iż dawno ukończył trzydzieści lat. „Pora się ustatkować

– napisał – a Klaudyna jest naprawdę świetną partią”. Nie było nikogo innego,

do kogo Gwen mogłaby się zwrócić. Wszystko, co w jej życiu było teraz ważne, wiązało się z Singapurem: jej córeczka, która dobrze się chowała, jej

kariera, reputacja, krąg nowych przyjaciół. Gwen uświadomiła sobie, że zaczyna traktować Singapur jak swoją ojczyznę. Brakowało jej jedynie mężczyzny, który dałby jej miłość fizyczną i natchnął otuchą. Czasami odnosiła wrażenie, że Sam Prosper pragnie jej to zaofiarować, ale istniała

między nimi bariera, która nigdy nie pozwalała Gwen żywić do niego cieplejszych uczuć.

Pomimo iż Sam dość często ją odwiedzał, nadal był dla niej zagadkową

postać. Tammy zawładnęła nim całkowicie, odkąd przyczłapała do niego i schwyciła go za nogawki spodni. Kiedy patrzył na dziecko, wydawał się oczarowany. Często klękał obok małej i natychmiast zaczynał budować zamki z piasku. Miało się wrażenie, że istnieje między nimi idealne zrozumienie. Trudno byłoby powiedzieć to samo o jej matce. Gwen przekonała się, że wszyscy inni uważali Sama za ważną osobistość, która sama ustala reguły gry, co trochę dziwiło, bo był oczywiście Jankesem, ale ona wciąż pamiętała, jak chłodno ją potraktował podczas ich pierwszego spotkania. Nie mogła więc czuć się przy nim swobodnie, choć on tak pragnął jej przyjaźni. Tęskniła za ciepłem i życzliwością, ale nie szukała ich u Sama.

RS

356

Dobrym przyjacielem był Rupert Nicholson, lecz jego nie interesowały kobiety. Doceniała jego talent i nie przeszkadzała mu prowadzić takiego życia, jakie sobie upodobał. W „Leonie” był jeszcze Bertie Hurden, który jednak traktował ją trochę po ojcowsku. Okazywał jej życzliwość i pomoc, i przepadał

za Tammy. Woo Joong był także jej przyjacielem, a jego żona i dzieci odnosiły się do niej z wielką życzliwością. Och, wiedziała, że jest szczęśliwcem. Miała przyjaciół i miała córkę. Kochały się ogromnie. Kiedy wracała do domu po całym dniu, dziewczynka biegła do matki, by rzucić się jej w ramiona i opowiedzieć o tym, co robiła, co zobaczyła, co usłyszała przez radio. Te cudowne godziny, aż do chwili gdy trzeba było położyć małą do łóżka, stanowiły najlepszą porę. Chcieć czegoś więcej, wydawało się zachłannością. Ale czasami Gwen marzył się ktoś, kto by jej posyłał kwiaty, kto dzwoniłby do niej i pytał, czy dobrze się bawiła na przyjęciu. Tęskniła za mężczyzną, do którego mogłaby się przytulić pod tropikalnym księżycem i poczuć płomień namiętności podczas pocałunku. Takie rzeczy były chyba nie dla niej... Dopóki nie poznała Terence'a O'Keefe.

RS

357

17

Właśnie przypadały piąte urodziny Tammy. Obiecano dziewczynce

przyjęcie „po zmierzchu” – to określenie bardzo jej imponowało, gdyż sugerowało, że jest już bardzo dorosła. Po zachodzie słońca o szóstej dzieci

zebrały się w ogrodzie. Między drzewami porozwieszano lampiony, porozstawiano stoliki na pokrytej rumiankami murawie i przygotowano mnóstwo smakołyków.

Gwen, która akurat zajmowała się wraz z Woo Joongiem intarsją do makasarskiego kredensu, została wezwana do telefonu. Dzwonił Omar, jej pomocnik.

– Proszę pani, dostarczyli lody, ale tylko jeden smak. Obiecała pani *anak-mem* różne lody: mango, ananasowe, truskawkowe i jeszcze jakieś.

Dzwoniłem do firmy „Cold Storage”. Przepraszają, mówią, że to omyłka,

proszę teraz wybrać inne lody. Jakie to mają być smaki?

– O Boże, Omar... Niech po prostu przyślą mieszankę lodów.

– To wystarczy, proszę pani? *Anak-mem* mówi, że muszą być też czekoladowe. W „Cold Storage” pytają, czy ze zwykłej, czy z mlecznej czekolady.

Gwen westchnęła. Omar był oddanym służącym i pracował dla niej, odkąd tylko przeprowadziła się do domu w Tanjong Katong, ale nie potrafił

nigdy podjąć decyzji. Wykonywał perfekcyjnie wszystko, co mu polecono, ile

wybór lodów przekraczał jego możliwości.

– W porządku, Omar, zostaw to mnie. Za chwilę i tak muszę wyjść, opadnę do „Cold Storage” i wszystkiego dopilnuję.

– Dziękuję pani! – wykrzyknął Omar z wyraźną ulgą w głosie.

– Poza tym wszystko w porządku? Tort jest w lodówce?

RS

358

– Tak, proszę pani. Sita kładzie teraz pięć różyczek. Ładne. A w basenie pływają nowe zabawki z gumy. Chen i Mat rozwieszają właśnie lampiony.

Wszystko wygląda pięknie.

– A co robi *anak-mem*?

– Bawi się nową lalką. Jest bardzo zadowolona, śpiewa jej piosenki, Nazywa ją Goola.

Roześmiała się. *Goola* oznaczała w języku Malajów cukier albo słodycze.

Jej dziewczynka mówiła płynnie trzema językami. Angielskiego nauczyła

się od niej, chińskiego od opiekuna, natomiast malajski pidżin stanowił wspólny język mieszkańców Singapuru. Ale Tammy nie mówiła po japońsku.

Niekiedy Gwen czuła wyrzuty sumienia z powodu braku jakichkolwiek japońskich akcentów w wychowaniu córki. Sam Prosper sztydził z tego, ponieważ jego zdaniem Japończycy byli kompletnymi dziwakami. Z drugiej

strony, Sam szanował tylko te osoby, z którymi robił interesy, a współpraca z

Japończykami układała się kiepsko.

– Nie będziesz się przejmować czymś takim, jak jej japońskie dziedzictwo

– napominał Gwen. – Ważniejsze jest to, żeby pasowała do społeczności

Europejczyków. Oznacza to, moja dobra kobieto, że już wkrótce
będziesz
musiała posłać dzieciaka do szkoły.
– Do szkoły!
– Jakżeby inaczej? – Spojrzał na nią, unosząc krzaczaste brwi. –
Przecież
nie może ciągle biegać po plaży z malajskimi berbeciami.
– Och, Sam! Nie zniosłabym rozstania z Tammy!
Patrzył na nią w taki sposób, jakby postradała zmysły.
– Co masz na myśli? Przecież rozstajesz się z nią codziennie od szóstej
rano do czwartej po południu. Bardzo łatwo da się tu wpasować szkołę.
– Och! Chodzi ci o szkołę tutaj?

RS

359

– Tak. Zdaje się, że nazywają to szkołą dziecięcą. Mówiono mi, że
dobra
szkoła znajduje się w pobliżu Ogrodów Botanicznych.
– Aha, rozumiem! Myślałam, że chodzi ci o wysłanie jej do Anglii.
– To niegłupi pomysł. Ale uważam, że pięcioletnie dziecko jest zbyt
małe. Z tego, co się orientuję, sporo Europejczyków posyła swoje dzieci
do
singapurskich szkół. Może później wysyłają je do ojczyzny, żeby tam
nabrały
ogłady, skończyły uniwersytet i Bóg wie, co jeszcze. Nie musisz jednak
stać na
molo i wypłakiwać oczy, podczas gdy Tammy będzie odpływała do

Southampton... Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Gwen musiała przyznać, że Sam miał rację. Dotychczas unikała tematu edukacji Tammy, myśląc zawsze o jej zdrowiu i dobrym samopoczuciu.

Na

razie Tammy ganiała po ogrodzie i plaży, czerpiąc nauki z obserwacji.

Znała

pory przyływów, gatunki ptaków, które gromadziły się na piasku, i palm,

które rosły wzdłuż brzegu. Potrafiła zaśpiewać każdą piosenkę z płyt, które

słyszała w salonie.

Jednakże teraz, gdy kończyła pięć lat, przyszła pora, by pomyśleć o zapisaniu jej do szkoły. A ponieważ była silna i zdrowa, wysłanie jej do szkoły

nie wiązało się z żadnym ryzykiem. Złapanie typowo dziecięcej infekcji nie

byłoby teraz niebezpieczne dla jej zdrowia.

I tak Tammy została zapisana do Napier Infant School na początku semestru zimowego. Ponieważ w Singapurze nie było zimy, to określenie

oznaczało po prostu, że semestr zaczyna się w połowie września i trwa do

grudnia. Kiedy Gwen oznajmiła dziewczynce nowinę, spodziewała się łez i

szlochów. Tak się jednak nie stało – Tammy uznała, że jest to kolejny prezent

na jej piąte urodziny.

RS

360

– Będę miała prawdziwe biurko jak w książkach z obrazkami? I nauczyciela w czarnej todze i okularach, i czapkę z oślimi uszami, jeżeli będę niegrzeczna?

– Niezupełnie, kochanie – odparła ze śmiechem Gwen.

Po zasięgnięciu języka, dowiedziała się, że szkoła Napier była nieco liberalniejsza niż placówki opisywane w książeczkach dla dzieci. Czuła ulgę, a

jednocześnie smutek. Tammy zaczęła się już od niej oddalać, skłaniając się ku

innemu światu niż ten, który stworzyła dla niej Gwen.

Gwen pogrążona w niewesołych rozmyślaniach udała się późnym popołudniem do „Cold Storage” przy Raffles Square, żeby zamówić lody.

Wiedziała, że zostaną na pewno dostarczone do domu w dużym kartonie.

Firma „Cold Storage” stanowiła centrum żywnościowe Singapuru. Tutaj emigranci mogli znaleźć tak wzruszające artykuły jak dżem z Oxfordu, herbatniki firmy „Huntley and Palmer”, podróbki baranie szkockiej firmy

„Burns' Night”, ostry sos „Gentlemen's Relish” albo słoiki angielskiej pasty

rybnej. Ludzie przeważnie zamawiali telefonicznie lub wysyłali gońców z

listami zakupów, ale między wystawami zawsze kręciło się trochę Europejczyków.

Gwen zamówiła kilka smaków lodów: śmietankowo–czekoladowy, truskawkowy, bananowy i kokosowy. Potem ruszyła wzdłuż stoisk, odczuwając

jak zwykle pokusę na widok produktów, które kupowała kiedyś w sklepie w St Albans. Przy jednym z nich wysoki ciemnowłosy mężczyzna w

pogniecionym białym ubraniu kłócił się ze sprzedawcą.

– Oczywiście, że widzę napis „Śmietana tłusta”. Pytam tylko, jaka śmietana? Pochodzę z rejonu, gdzie robi się najtłustszą śmietaną na świecie,

więc proszę mi nie wmawiać, że to produkt od krów rasy fryzyjskiej!

RS

361

Sprzedawca, młody Chińczyk w przepisowej białej kurtce i czarnych spodniach, wyglądał na zdezorientowanego.

– *Tuan*, proszę przeczytać nalepkę. Tu się w ogóle nie wspomina o krowach rasy fryzyjskiej.

– Ach, pan nie rozpoznałby tej krowy, nawet gdyby zaryczała panu nad głową.

Na te słowa Gwen wybuchnęła śmiechem. Klient odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Gwen zobaczyła opaloną twarz, błyszczące niebieskie oczy,

czarne brwi oraz białe równe zęby, wyszczerzone w szerokim uśmiechu.

Na

głowie miał panamę.

– No, widzi pan, że nawet ta dama uważa to za niedorzeczność –
oznajmił sprzedawcy. Uniósł kapelusz: – Proszę mi wybaczyć, czy pani
kupuje

i używa tej śmietany w puszcze?

– Dość często.

– Tu jest informacja, że to produkt Zjednoczonego Królestwa. Może
pani

wie, z którego regionu?

– Obawiam się, że nie. Ale przypuszczam, że z Devonu.

– Ładne rzeczy, kiedy mężczyzna musi napraszać się u miłej damy o
informację, którą powinien uzyskać od sprzedawcy. Sądzi pani zatem,
że

gdybym miał zamówić tę śmietanę dla mojego kucharza, to powstałby z
niej

dobry krem owocowy na deser?

– O tak, z całą pewnością byłby to krem znakomity.

– Zaskarbiła sobie pani wdzięczność Terence'a O'Keefe. Stokrotne
dzięki.

Lekko pochylił głowę i z pełnym podziwu uśmiechem znowu zajął się
zakupami. Gwen udała się w innym kierunku. Nadeszła pora powrotu do
domu. Ale kiedy jechała ocienioną drzewami Kalang Road, a następnie

RS

wesoły głos mężczyzny.

Terence O'Keefe. Pomyślała, że mieszkał w Singapurze od niedawna, gdyż nie słyszała wcześniej tego nazwiska, a członkowie europejskiej społeczności sporo o sobie wiedzieli. Fakt, iż robił osobiście zakupy w

„Cold

Storage", również wskazywał na to, że był tu nowy. Starzy mieszkańcy Singapuru przeważnie korzystali z katalogów i składali zamówienia telefonicznie. Przypuszczalnie był też kawalerem, gdyż w przeciwnym razie

nie interesowałby się jadłospisem.

Kiedy dotarła do domu, Tammy pluskała się w basenie niczym mała żabka. Gwen poszła się przebrać w kostium kąpielowy, by móc do niej dołączyć. Przez kolejne pół godziny matka i córka doświadczały wielkiej

przyjemności, pływając i nurkując w rozkosznie chłodnej wodzie.

Później

przyszedł czas na popołudniową herbatę, którą zawsze podawano, gdy Gwen

była w domu. Tammy prosiła o herbatniki z cukrem.

– Potem nie będziesz chciała jeść urodzinowego tortu – powiedziała Gwen, zabierając talerz.

– Właśnie, że będę, mamusiu! – brzmiała stanowcza odpowiedź.

Dziewczynka mówiła prawdę. Miała wręcz wilczy apetyt, choć nigdy nie

cierpiała na nadwagę.

Po kąpeli weszły do domu, żeby się przebrać. Tammy włożyła nową suknię balową z bladoniebieskiego perkalu, a także niebieskie sandały i białe

podkolanówki. Włosy miała związane z tyłu niebieską kokardką. Kiedy May–

may wprowadziła ją do pokoju „na przegląd”, Gwen poczuła, że coś ją ściska

za serce. Jakie to piękne dziecko! Krucha i drobna, pięknie opalona, z błyszczącymi włosami, które układały się w lekkie fale, z nieco skośnymi

RS

363

oczami... Tu nie wchodziło w grę matczyne zaślepienie – wyglądało na to, że

Tammy wyrosnie na prawdziwą piękność.

Gwen włożyła luźną bawełnianą sukienkę i „praktyczne” buciki.

Urządzała przyjęcie urodzinowe w zeszłym roku i wiedziała, jak ciężkie jest to

zadanie, nawet gdy ma się do pomocy małą armię służących. A teraz dzieci

były o rok starsze, a zatem miały więcej energii i ochoty do psocenia.

Kiedy pojawił się pierwszy gość, do domu wpadł Sam. Tammy powitała go radosnym okrzykiem i objęła ramionami w pasie, gdyż tam znajdowała się

kieszon, w której chował smakołyki.

– Co mi przyniosłeś, wujku Samie? Jakiś specjalny prezent? Dzisiaj są moje urodziny. Wiesz, że kończę pięć lat?

– Ktoś mi chyba o tym wspomniał – odrzekł, wyzwalając się z jej objęć.

– A co do prezentu, muszę się najpierw upewnić, że na niego zasłużyłaś.

– Och, zasłużyłam, zasłużyłam! – zawołała. – Umiem przepłynąć dziesięć długości basenu i nurkować z pierwszego schodka.

– No, już dobrze, dobrze, jesteś najsprytniejszą dziewczynką w Tanjong Katong. Zawsze mi tak mówisz, więc to musi być prawda. Zobaczmy, co my

tutaj mamy.

Wyjął z kieszeni paczuszkę owiniętą w pozłacany papier. Tammy

porwała ją natychmiast. Kiedy odwinęła papier, jej oczom ukazał się szklany

klocek, w którym przetaczały się różnokolorowe kulki.

– Jeżeli rzeczywiście jesteś taka sprytna – powiedział Sam – powinnaś dopasować te paciorki do otworów w taki sposób, by tworzyły twoje imię.

– Zrobi się napis „Tammy”? – zapytała z zachwytem.

– Jeżeli ustawisz je w odpowiedniej kolejności. A zatem do roboty!

Masz

dziesięć minut, żeby wykonać to zadanie z przyjaciółmi w ciszy i spokoju...

RS

364

Nie zanosilo się jednak na ciszę i spokój, gdyż dzieci natychmiast rozpoczęły sprzeczkę o to, które z nich ma trzymać w ręczce drogocenny

klocek ze szkła. Ale przynajmniej powędrowały do oddalonej części ogrodu.

– A więc za chwilę zacznie się przyjęcie. Jesteś przygotowana na najazd?

– Mam nadzieję, że tak. Zostań chwilę, Sam, przynajmniej do czasu, kiedy wniesiemy urodzinowy tort. Tammy bardzo by się ucieszyła z twojej obecności.

– O, nie, nie z mojej. Ja tylko wpadłem, żeby dać temu berbeciowi prezent. Jestem pewien, że zadbałaś o to, żeby wszystko było gotowe.

– To prawda, chociaż o mało co nie przeżyliśmy rozczarowania w związku z lodami. A propos, kiedy poszłam dziś po południu do „Cold Storage” ...

– Tak?

Przypomniała sobie mężczyznę o błyszczących błękitnych oczach.

– Natknęłam się na kogoś nowego albo przynajmniej tak mi się wydaje. Powiedział, że nazywa się O'Keefe. Znasz go?

Sam wzruszył ramionami.

– Słyszałem o nim. Przyjechał, żeby zastąpić Messingera w firmie „Greater Malay Freight”.

Messenger był dyrektorem okrętowej firmy spedycyjnej aż do poprzedniego

miesiąca, kiedy to wypadek podczas polowania na dzikie świnie uczynił z niego kalekę i zmusił do powrotu do ojczyzny. GMF prosperowała znakomicie i otwierała swoje filie na terenie całej Malezji i wysp, docierając na

wschodzie aż do Hongkongu, a na zachodzie do Kalkuty. Nowo przybyły

mężczyzna musiał się zatem cieszyć dobrą reputacją, albowiem GMF nie

przydziałało stanowisk kierowniczych byle komu.

– Przejmuje także dom Messingera?

RS

365

– To mieszkanie służbowe. Domyślam się, że z nim rozmawiałaś?

– To on się do mnie odezwał. Prosił o poradę przy jakimś zakupie.

Właśnie dlatego zapytałam o dom. On chyba w ogóle nie ma pojęcia, jak prowadzi się gospodarstwo domowe w Singapurze.

– Och, służba wkrótce mu to uświadomi. Wiesz, jak nie cierpią, kiedy *tuan* wtrąca się do ich pracy. Zatem, jaki on jest, ten O'Keefe?

– Pocziwy... Zdaje się, że to Irlandczyk.

– Co ty powiesz, z takim nazwiskiem?! Jest stworzony do tej roboty. Odkąd nie ma Messingera, wszystkie harmonogramy prac GMF diabli wzięli.

Nie wiem, co robił w dokach ten zastępca dyrektora.

Okrzyk triumfu, który dobiegł z odległego trawnika, obwieścił, że dzieci zdołały ułożyć ze szklanych kulek imię Tammy. Gwen wybuchnęła śmiechem.

– No to już po ciszy i spokoju. Zostań i napij się czegoś, Sam.

– Nie ma obaw, wychodzę. Czy coś już wiesz w sprawie szkoły Tammy

– Och, wszystko już załatwione. Tammy zaczyna w przyszłym tygodniu. Sam pokiwał głową, machnął ręką na pożegnanie i opuścił dom. I ta znał już odpowiedź na swoje pytanie. Skontaktował się z Napier School jeszcze

zanim wspomniał o tej szkole Gwen. Kiedy załatwiono formalność właścicielka i dyrektorka szkoły w jednej osobie, panna Franks, zadzwonił do

niego, by mu podziękować za rekomendację. Sam nie darzył wprawdzie Tammy wielkim uczuciem, ale interesował się nią. Ściślej rzecz ujmując interesował się jej matką. Ale nie należało postępować tak, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Przed rozpoczęciem nauki przez Tammy Gwen musiała jej sprawić szkolny mundurek. Składały się na niego bawełniane bluzki w szaro-niebieską

kratę z emblematem szkoły na piersi, białe podkolanówki białe sandałki i

słomkowy kapelusz w takim samym kolorze ze wstążką opatrzoną

RS

366

monogramem. Trzeba było też kupić fartuszki do zajęć plastycznych oraz

malutki kostium kąpielowy na gimnastykę i pływanie.

Robiąc te sprawunki, Gwen ponownie spotkała Terence'a O'Keefe. Tym razem w restauracji na terenie domu towarowego „Robinson”. Spędziła długie

dwie godziny na dopilnowaniu, by do nowych ubranek przyszyto plakietki z

imieniem Tammy. Kiedy już się ze wszystkim uporała, zapragnęła wypić

filizankę herbaty.

– Mogę się przysiąść? – zapytał czyjś głos.

Rozejrzała się dookoła. Terence O'Keefe stał z kapeluszem w dłoni, uśmiechnięty, i czekał.

– Proszę bardzo.

Wprawdzie w restauracji nie było tłoku, ale możliwe, iż rozglądał się dobrą chwilę za wolnym stolikiem. Kiedy usiadł, podeszła do nich kelnerka.

– Proszę o mocną herbatę ze świeżym mlekiem. Nie z puszki – zaznaczył.

– Tak, *tuan*.

– Nie ma mowy o filizance przyzwoitego napoju, jeżeli nie da im się dokładnych instrukcji – zauważył. – Zazwyczaj podają zbyt łagodną herbatę w

angielskim stylu. Któregoś dnia przyniosła mi herbatę z cytryną zamiast
z

mlekiem, brr!

– Czy przyrządzono ją zgodnie z pana oczekiwaniami tam, gdzie
pracował pan ostatnio? – zagadnęła, zachęcając go w ten sposób do
opowiedzenia czegoś o sobie.

– Ach, więc już pani wie, że jestem tu nowym chłopakiem, co? To, zdaje
się, widać. Zawsze jest tak samo: trzeba się przystosować do nowego
układu.

Byłem w Makao aż do zeszłego miesiąca. Zna pani Makao?

Gwen pokręciła głową przecząco.

RS

367

– Ach, jakież to wspaniałe miejsce! Służącym w Makao nigdy nie trzeba
było niczego tłumaczyć. Holendrzy zdążyli ich wyszkolić, zanim utracili
te

tereny. Ale tam podawano przede wszystkim kawę. A więc to pani jest
tą

kochaną damą, która pomogła mi wybrać śmietankę. Czy mogę poznać
pani

nazwisko?

Gwen przedstawiła się, podając nazwisko, którego używała w
Singapurze.

– A pan przedstawił mi się w zeszłym tygodniu jako Terence O'Keefe.

– Ach, pamięta pani! To mi pochlebia. Pewno się pani ucieszy słysząc,
że

krem owocowy był znakomity. Traktuję jedzenie trochę jak hobby.

Oczywiście

nie lubię gotować, ale interesuję się przyrządzaniem... Może ktoś z moich

przodków był szefem francuskiej kuchni?

Śmiała się wraz z nim. Miał taki sposób mówienia, że kiedy odchyłał głowę i odzywał się śpiewnym głosem, wszystkie jego żarciki wydawały się

nieodparcie zabawne.

– A teraz pani... – Jego błękitne oczy zerknęły na lewą dłoń Gwen. –

Widzę, że jest pani mężatką.

– Wdową.

– Ach, to smutne. Moja biedna matka także wcześniej owdowiała.

Wychowała mnie sama, Panie, świeć nad jej duszą. Czy ma pani dzieci,

pani

Veetcha?

– Córeczkę, Tammy, to skrót od Tamary. W przyszłym tygodniu zacznie chodzić do szkoły.

– Z pewnością to kolejne zmartwienie. Pierwszy dzień w szkole jest chyba gorszy dla matki niż dla dziecka. Tak myślę. A zatem... Mieszka

pani

tutaj, w Singapurze?

RS

że

wydała się za jakiegoś plantatora czy urzędnika, który tu zmarł. I zastanawiał

się, dlaczego nie wróciła do domu. Kobiety przeważnie tak robiły.

Bardzo

nieliczne decydowały się na samotny pobyt na Wschodzie, a jeśli już zostawały, to wychodziły za mąż po raz drugi w ciągu paru miesięcy.

– Prowadzę interes – odrzekła. – Projektuję meble.

– Naprawdę?

Wyglądał tak, jakby dostał obuchem w głowę.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie wygląda pani na kobietę interesu.

– A jak wygląda kobieta interesu, panie O'Keefe?

Pojawiła się kelnerka z herbatą na tacy. Przerwali na chwilę rozmowę. Dziewczyna postawiła przed nim wszystkie naczynia i nalała pierwszą filiżankę. Terence O'Keefe pociągnął łyk.

– Ach, to prawdziwy nektar! – stwierdził. – Dziękuję ci, moja droga.

Zdumiona kelnerka spiekła raka i oddaliła się.

– Co do mnie, zajmuję się usługami żeglugowymi – powiedział Terence, odstawiając filiżankę. – Bardzo nudne, w porównaniu z pani pracą.

Wcześniej

nigdy o tym nie myślałem, ale ktoś, oczywiście, musi projektować meble, które

kupuję w sklepach... Czy właśnie tym się pani zajmuje? Produkcją mebli dla

sklepów.

– Nie, prowadzę własną firmę. Jeśli zechce pan pójść do tutejszego działu

meblowego, zobaczy pan część zaprojektowanych przeze mnie sprzętów. W

Singapurze sprzedają rzeczy w domu towarowym „Robinson”, w

Londynie do

„Liberty” a w Paryżu do „Les Quatre Saisons”...

RS

369

– No, no! A więc jest z pani prawdziwa kobieta interesu, co? Tera powinienem przeprosić za to, że początkowo pani nie dowierzałem.

Kiedy

pójdę do tego działu następnym razem, rozejrzę się za pani meblami a wybiorę

się tam na pewno, bo biedny Messinger i jego żona lubili żyć w spartańskich

warunkach, sądząc z tego, co zostało w ich bungalowie.

– Kiedy wyjeżdżali, wysłali sporo mebli do ojczyzny. Obawiam się, że dostał pan tylko niezbędne minimum, które zapewniła firma przy przeprowadzce. Mimo wszystko to dobry dom, a do tego w znakomitym stanie

– Och, zna go pani? No tak, oczywiście. Przypuszczam, że przyjaźniła się

pani z Messingerami, więc nie powinienem wyrażać się o nich źle, prawda?

– Nie, nie znałam ich dobrze. Mieszkam na uboczu, w Tanjong Katong, można powiedzieć, trochę poza głównym nurtem życia. A w ogóle to nie za

bardzo się udzielałam towarzysko.

– To strata dla reszty Singapuru, nie waham się tego stwierdzić.

Uśmiechnęła się i wstała. Miała parę rzeczy do załatwienia, a poza tym czuła,

że zbyt szybko i zbyt mocno się spoufalala z tym skorym do jedwabnych

słówek mężczyzną.

– Muszę iść. Cieszę się, że pana poznałam, panie O'Keefe. Powstał z miejsca w uprzejmym geście.

– Powiedziała pani, Tanjong Katong? Może kiedyś będę w tych okolicach, pani Veetcha, i poproszę panią o filiżankę dobrej, mocnej herbaty.

– Powiem mojemu służącemu, żeby potraktował pana w specjalny sposób, panie O'Keefe.

Na zewnątrz, naciągnawszy mocniej kapelusz, gdyż słońce bardzo prażyło, pozwoliła sobie na uśmiezek. Ależ z niego uwodziciel! I na pewno

zdawał sobie z tego sprawę. Niemniej jednak, przyjemnie było wypić z nim

herbatę.

RS

370

Któregoś wieczoru w następnym tygodniu wpadł do niej Sam, żeby się dowiedzieć, czy Tammy polubiła szkolne życie.

– Och, uwielbia szkołę. Ma ambicję, żeby nauczyć się pisać. May–may twierdzi, że mała gada w samochodzie przez całą drogę do domu. Ale kiedy

zaczyna się ją kąpać, już prawie zasypia. Chociaż dzień jest taki krótki, bardzo

ją wyczerpuje.

– Zdaje się, że teraz śpi.

– O tak, jak zabita. Chcesz drinka, Sam?

- Poproszę o dzin z dużą ilością limony.
- Klasnęła w dłonie, żeby przywołać Omara, i wydała mu polecenie. Odnosiła wrażenie, że Sam chce jej coś jeszcze powiedzieć. Ale rozmawiali o drobnostkach, dopóki nie przyniesiono drinków.
- Znasz tego gościa O'Keefe? – zagadnął Sam.
- Tak.
- Czy to prawda, że piłaś z nim herbatę w domu towarowym „Robinson”?
- O, widzę, że plotki w Singapurze szybko się rozchodzą... Tak, piliśmy herbatę przy jednym stoliku w „Robinson” pewnego dnia w zeszłym tygodniu.
- Dlaczego o to pytasz?
- Elsa Copeland mówi, że chyba dobrze się bawiłaś.
- Dlaczegoż by nie? To miły człowiek.
- Sam wysączył do reszty swój dzin.
- Z zawodowego punktu widzenia, otrzymał duży awans.
- Jak to?
- Ostatnio pracował w Makao.
- Tak, mówił o tym.

RS

- 371
- Makao zupełnie się nie liczy w transporcie morskim. Wszystkie duże dostawy idą przez Hongkong.
 - Przypuszczam, że to prawda. To miło, że pan O'Keefe awansował tak wysoko.

– Krażą pogłoski, że dostał tę posadę dlatego, iż musieli zastąpić kimś Messingera, który zrezygnował nagle. Właściwie on jest tutaj na próbę.

– Naprawdę? Tak się robi w firmach spedycyjnych? Sądziłam, że nie mogą sobie pozwalać na ryzyko...

– Może wyraziłem się zbyt dosłownie – odparł z pewną irytacją. – Chodziło mi o to, że będą go bacznie obserwować, ponieważ wcześniej miał do czynienia z mniejszymi portami.

– Czyli jest jakby pod mikroskopem?

– W pewnym sensie tak. Tak więc rozumiesz, Gwen, że gdyby zaczęto o nim mówić jak o flirciarzu, nie wyszłoby mu to na dobre.

– Dobry Boże, Sam!

Była rozdrażniona. Dlaczego plotkarze nie zajmą się swoimi własnymi sprawami? Wystarczyło, że spędziła z panem O'Keefe trochę czasu w restauracji, gdzie mogły ich zobaczyć znudzone kobiety singapurskie...

Sam nic nie odrzekł, toteż po chwili zaczęła znowu mówić dalej:

– Wiesz, Sam, jeżeli pan O'Keefe chce ze mną pogawędzić, to nie widzę powodu, dla którego ktokolwiek, choćby nawet bardzo surowi pracodawcy, mógł mieć coś przeciwko temu. Jestem samotną kobietą, a on samotnym mężczyzną.

– On nie – odparł Sam.

– Słucham – powiedziała martwym głosem.

– Jest żonaty. Jego żona ma na imię Molly i jest gorliwą podporą kościoła katolickiego.

RS

372

– Jesteś pewien?

– Nie wspominał ci o tym?

– Nnie – odparła powoli. – Nie poruszaliśmy tego tematu.

– Żonaty od sześciu lat. Teraz już wiesz, dlaczego Elsa Copeland była tak zainteresowana.

– Posłuchaj więc – powiedziała Gwen, czując prawdziwy gniew. – Ten mężczyzna przyszedł do tej restauracji akurat wtedy, kiedy ja tam się pojawiłam. Ponieważ poprzedniego tygodnia zamieniliśmy parę słów, zapytał,

czy może się do mnie przysiąc. Rozmawialiśmy mniej więcej pięć minut. –

Zrobiła pauzę. – Dlaczego ja się w ogóle bronię? Mam prawo rozmawiać z kim chcę!

– Jasne. Ale on ci się podoba, prawda?

– Prawo tego nie zabrania, Sam. Ty też mi się podobasz.

– Jezu! Dziękuję, moja słodka!

Dopił ostatnią kroplę dzinu i podniósł się do wyjścia. Powiedział to, co mu leżało na sercu, i nie próbował jej przekonywać. Gwen wiedziała, że zawsze jest na oczach całego Singapuru. Była inna – prowadziła interes w

światku, w którym płeć piękna nie zajmowała się interesami. Była artystycznie

uzdolniona, a talent należał tutaj do rzadkości. Miała dziwne, angielskie nazwisko i córeczkę o zdecydowanie egzotycznym wyglądzie! Była kobietą,

która kiedyś prowadziła osobliwy tryb życia w Paryżu i przyjaźniła się od

dawna z tym raczej podejrzanym Samem Prosperem.

– Nie zostaniesz na następnego drinka? – zaproponowała czując, że musi mu jakoś wynagrodzić okazane rozdrażnienie.

– Przepraszam, muszę już lecieć. Umówiłem się na mały rejs na jedną z wysepek. Ktoś chce mi pokazać jakieś kamienie z Birmy.

– Sam, niekiedy mam wrażenie, że robisz interesy z piratami!

RS

373

–Ja też czasami tak myślę. No to trzymaj się mocno! Pozdrów ode mnie młodego naukowca.

Z tymi słowami zszedł z tarasu i zniknął w ciemnościach. Gwen słyszała jego kroki na piaszczystej ścieżce, a potem warkot samochodu. Do pokoju

wsunął się Omar, żeby zebrać brudne szklanki. Skinęła głową, kiedy zapytał,

czy będzie gotowa do obiadu za pół godziny. Powolnym krokiem udała się do

domu i weszła na górę, żeby wziąć prysznic i przebrać się.

A więc pan O'Keefe był żonaty... No i co z tego? Mężczyźni na kierowniczych stanowiskach przeważnie już mieli żony... Ale on o tym nic nie

wspomniał... A dlaczego miałyby to robić? To tylko zdrowy rozsądek
Gwen

kazał jej robić z tego problem. Dlaczego miałyby zacząć znajomość od
zdradzania swego stanu cywilnego?

Ponieważ sam zapytał ją o to. Powiedział: „Widzę, że jest pani
mężatką”.

Kiedy mu odparła, że jest wdową, on powinien był odwzajemnić się
informacją na swój temat. Ale Terence O'Keefe ciągle rozmawiał o

Gwen i jej

córeczce. Z drugiej strony, to była tylko krótka pogawędka.

Przywiązywanie

do niej wielkiej wagi wydawało się absurdem.

A jednak zdawał sobie sprawę ze swego uroku i starał się ją oczarować –
o, tak, bardzo się starał. Z przykrością uświadomiła sobie, że powinna
mu była

w tym przeszkodzić.

Na przyjęciu wydanym przez Holcroftów znowu natknęła się na
Terence'a O'Keefe. Nie tylko na niego, ale również na jego żonę Molly.

Kiedy poznawało się Molly, rodziło się pytanie, dlaczego Terence ją
poślubił. Była wysoka, wyższa od męża i chuda. Poruszała się chwiejnie
niczym trzcina na wietrze. Rysy miała regularne, ale niemal zupełnie
pozbawione wyrazu. Przy przedstawieniu podawała miękką dłoń.

Trudno było

sobie wyobrazić większy kontrast między nią i jej mężem.

RS

– Albo to polega na przyciąganiu się przeciwnieństw – zauważyła Elsa Copeland, unosząc wyskubaną brew – albo ona ma pieniądze.

– Och, przestań, Elsa, to dość surowy osąd.

– Moja kochana Gwen, widzę, że wcale się nie znasz na ludziach.

Uwierz

mi, Molly O'Keefe musiała użyć czarów lub dużego konta w banku, żeby

zaciągnąć przed ołtarz naszego Terence'a. A ponieważ z tego, co wiem, codziennie chodzi na poranną mszę, nie wydaje się prawdopodobne, żeby

użyła czarów.

Gwen czuła zawstydzenie, słuchając tego rodzaju plotek. Wiedziała, że kiedy tylko odejdzie, Elsa uczyni ją obiektem niewybrednych żartów.

Niemniej

jednak było dziwne, że tak atrakcyjny mężczyzna jak Terence wybrał sobie na

żonę tak mało interesującą kobietę. Później, znalazłszy się obok Molly przy

bufecie, Gwen próbowała z nią porozmawiać. Pamiętała, co przeżywała tuż po

przybyciu do Singapuru, i pragnęła, by Molly O'Keefe wiedziała, iż w razie

czego ma w pobliżu przyjaciół. Ale szybko stało się jasne, że pani O'Keefe nie

życzy sobie żadnych przyjaciół, zwłaszcza gdy mają dzieci.

– Jest w mocy Boga błogosławić dziećmi nawet ludzi niegodnych – oznajmiła,

kiedy Gwen powiedziała coś o Tammy. – A jednocześnie może ich nie dać najwierniejszym ze swej owczarni. On ma swoje powody, by tak mnie

pokarać, to nie ulega wątpliwości. I chociaż próbowałam odkupić grzechy

nabożnym oddaniem, przyjmuję Jego wyrok.

Elsa podsumowała ją potem jednym zdaniem:

– Ona ma hopla na punkcie religii! – stwierdziła. – Jeżeli chcesz znać

moją opinię, powinna pójść do zakonu.
– Biedna dusza...

RS

375

– Jaka tam biedna dusza! Taka kobieta może winić tylko siebie, jeżeli mąż rozgląda się za innymi. A jeśli o mnie chodzi, mam nadzieję, że kiedyś

wpadnę mu w oko!

– Elsa! – wykrzyknęły jej przyjaciółki, wiedząc, iż tego od nich oczekiwano. – Ależ z ciebie ziółko!

Po kolacji towarzystwo zebrało się wokół pianina, żeby pośpiewać. Terence zadziwił wszystkich cudownym tenorem. Zaśpiewał *I Will Take You*

Home, Kathleen i *It All Depends On You* ze swobodą i ujmującą czułością,

która chwyciła za serca, przynajmniej damy. Wracając tego wieczoru do domu,

Gwen miała jeszcze w uszach echo ostatniej piosenki. *All Depends On You...*

("Wszystko zależy od ciebie") – kiedy wykonywał ten utwór, czuła, że przez chwilę na nią patrzył.

Och, nonsens – pomyślała. A potem dorzuciła w duchu: – Lepiej, żeby to

był nonsens. On jest żonaty. Tylko jak musiało wyglądać jego życie, skoro

ożenił się z kobietą, która uważała, że Bóg zesłał na nią niełaskę. Gwen spotykała Terence'a i jego żonę na innych imprezach towarzyskich.

Widywała też ich w Singapurze. Słyszała rozmowy na ich temat: Molly zamierzała pojechać do Lourdes; dała pieniądze na kampanię na rzecz beatyfikacji katolickiego księdza, który niedawno zmarł; Terence grał w karty

przez czternaście godzin w klubie i wygrał sto dwa funty; widziano go w domu

Elsy Copeland pod nieobecność Jacka Copelanda, który wyjechał w głąb kraju... Zwykle singapurskie plotki. Najczęściej powtarzała się wśród nich

pogłoska, że Terence jest nałogowym karciarzem. No, ale większość mężczyzn

w Singapurze do pewnego stopnia oddawała się hazardowi. Tym się tutaj żyło.

Ze skłonności do hazardu słynęli Chińczycy i Malajowie. Potrafili stać w

kolejkach na lokalnych bazarach, by zrobić zakład u swojego bukmachera,

popychani przez niecierpliwą gospodynię, które kupowały ryby albo warzywa.

RS

Sam Prosper twierdził, że Terence musi pożyczać pieniądze, żeby spłacać długi.

– Powinien się pilnować – powiedział Sam– Jeżeli dojdzie to do szefów „Greater Malay Freight”, wyrzucą go na zbity łeb.

– Ale dlaczego, Sam? To niesprawiedliwe.

– Wcale nie. Tam, w dokach, Terence ma do czynienia z dużymi sumami

pieniędzy. A jeśli wyciągnie rękę po jakąś drobną gotówkę...

– No, wiesz, nie ma najmniejszego dowodu, że Terence jest nieuczciwy!

– Tego nie powiedziałem. Ale jego szefowie mogą się niepokoić słysząc,

że zebrze u przyjaciół, by zapłacić za konie, które ostatnio mu dostarczono.

– Jego żona ma pieniądze – odparła Gwen. – Przynajmniej tak wszyscy twierdzą.

– To z pewnością prawda, pochodzi z bogatej irlandzkiej rodziny. Ponoć spłaciła wszystkie jego długi, kiedy się tylko pobrali. Sądzę, że teraz...

– Sam, skąd ktokolwiek może wiedzieć, czy to prawda?

– Hm, ta historia wydaje się logiczna. Jak myślisz, po co by się z nią żenił?

– Ponieważ... Może kochali się od dzieciństwa...

– Ta kobieta nigdy nie była dzieckiem – odrzekł ze śmiechem Sam. – Od

razu urodziła się wysoka, chuda i z kwaśną miną.

– I mówi się, że tylko kobiety są fałszywe – zawołała Gwen, siląc się na groźny ton. – Gdyby można ją było lepiej poznać, zapewne okazałaby się

bardzo miłą.

– Wcale nie chcę jej lepiej poznać. I z pewnością nie chciałbym być jej mężem. Trudno nie współczuć temu facetowi chociaż na pewno wiedział, co robi.

RS

377

Gwen spojrzała na niego surowo.

– Czy ty pożyczyłeś mu pieniądze? – zapytała

– No, no! Jak do tego doszłaś?

– Och, nie wiem, po prostu kiedy powiedziałeś że mu współczujesz, zabrzmiała w tym nuta męskiej solidarności.

– Hm, współczuję mu. Ale, to nie oznacza, że nie dostrzegam jego wad.

I

wolałbym, żebyś go tak nie broniła, Gwen. On należy do mężczyzn, którzy

potrafią wyczuć frajera na milę.

– Ja nie jestem frajerką, tylko rozsądną kobietą interesu.

– Och, to ci przyznaję.. Masz głowę na karku. Martwię się jednak o twoje

serce, a nie o głowę..

– Moje serce jest w porządku, dziękuję.

– Taak – mruknął. – Dopóki którejś ciemnej nocy on nie zdecyduje się zaśpiewać ci serenady.

Kiedy Terence postanowił wreszcie zwrócić się do Gwen Veetchy po pomoc i przyjaźń, nie stało się to którejś ciemnej nocy. Była upalna niedziela i

Tammy siedziała na plaży w cieniu palm, robiąc naszyjnik z płatków orchidei.

Gwen, ze szkicownikiem w ręku, zastanawiała się nad użyciem okopconego

szkła do ozdobieniem mebli, brzegiem plaży nadszedł mężczyzna w białych

drelichowych spodniach i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem.

Wachlował się

kapeluszem, wstawiając głowę na promienie słońca.

– Ach, tak! – zawołał. – Więc to tutaj pani mieszka. Rzeczywiście, bajeczny zakątek.

– Dzień dobry! Co pana tu sprowadza? – zapytała Gwen, gramoląc się na

nogi. Wiedziała, że ma na sobie wygniecioną spódnicę z szorstkiej bawełny, a

jej stopy są brudne od piasku.

RS

378

–Jak to? Przyszedłem na dobrą, mocną herbatę, którą mi obiecałaś, Gwen.

Ile to już czasu upłynęło od tej krótkiej pogawędki w restauracji domu towarowego „Robinson”. Gwen nie mogła się pozbyć uczucia zadowolenia, że

wciąż jeszcze ją pamiętał.

Powiedział, że akurat jechał samochodem do Siglar, gdyż w pobliżu tego

miejsca zatonał jeden ze statków kompanii.

– Nagle przypomniałem sobie, że mieszkasz w Tanjong Katong. Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem. Jest tak gorąco, a próby znalezienia twojego

domu pośród skał, gdzieś w bocznych uliczkach, były ogromnie wyczerpujące.

Chyba zwariowałem, wybierając drogę lądową, skoro mogłem popłynąć łodzią.

Gwen zaprosiła go do domu. Tammy szła obok, podskakując i wypytyując o statek, który zatonął.

– Czy on sam wypłynie? Czy trzeba go będzie wyciągać holownikami?

Wujek Sam mówił, że te przypiływy są bardzo zdradzieckie.

– A więc to jest Tammy – powiedział Terence, pozwalając, by dziewczynka chwyciła go za rękę i huśtała się na niej. – Jaka ładna dziewczynka!

– Tak, a panna Nore twierdzi, że jestem także bystra – oznajmiła mu Tammy.

Gwen zachichotała.

– Proszę jej nie mówić, że jest ładna. Już i tak jest bardzo próżna.

Tammy, przedstawiam ci pana O'Keefe. Przywitaj się z nim.

– Dzień dobry, panie O'Keefe, jak się pan ma? Tak naprawdę, to wcale nie jestem próżna, mamusia tylko żartuje.

RS

379

– Och, wiesz, że wujek Sam twierdzi, iż będziesz chciała mieszkać w korytarzu pełnym luster, kiedy dorośniesz.

– Wujek Sam? Czy chodzi o Sama Prospera? – zagadnął Terence.

– Tak, jest przybranym wujkiem Tammy.

– Zazdroszczę mu – odparł Terence. I gdy utkwiał wzrok w dziecko,

które

obok niego podskakiwało, odnosiło się wrażenie, że daje wyraz
jakemuś
skrytemu żalowi.

Weszli na stopnie tarasu z tyłu domu. Zaraz pojawił się Omar.

– A teraz powiedz, czy naprawdę chcesz herbaty, czy czegoś
mocniejszego?

– zapytała Gwen.

– Dziękuję, jest za wczesna pora na trunki. Mam sporo wad, ale nie
należę do tych, którzyw środku dnia sączą dżin.

Rozsiedli się na krzeselkach.

– Podobnie, jak zauważyłem, jest chyba z tobą – ciągnął. – Widzę, że na
przyjęciach, kiedy inni ludzie są już trochę podchmieleni, ty wciąż
trzymasz w

ręku pełny kieliszek.

– Mam upodobania podlotka – wzruszyła ramionami. – Naprawdę wolę
sok owocowy niż wino, a większość alkoholi ma dla mnie smak syropu
od

kaszlu.

– Hm, a ja myślałem, że skoro mieszkałaś w Paryżu, to świetnie znasz
się

na winach.

– Mieszkałam też w Tokio, a nigdy nie polubiłam sake.

Tammy doszła do wniosku, że już zbyt długo nie bierze udziału w
rozmowie.

– Mamy kota z czterema białymi skarpetkami – zakomunikowała. –

May–may mówi, że to znaczy, że on powodzi od cesarskiego kota.

– Pochodzi, nie powodzi, kochanie – poprawiła ją Gwen.

RS

380

– Och, tak. W każdym razie May–may twierdzi, że to królewski kot.

Czy

mam go panu pokazać, panie O'Keefe?

– Bardzo chciałbym go zobaczyć.

Tammy natychmiast odbiegła, zwinna i żywa niczym singapurskie motyle. Gwen obrzuciła Terence'a badawczym spojrzeniem.

Zastanawiała się,

po co tu przyjechał. Wszystkie te bzdury na temat wybierania bocznych dróg,

by móc obejrzeć statek – nie wierzyła w nie nawet przez chwilę. Ale nie była w

stanie odgadnąć celu jego wizyty. A prawda była taka, że Terence musiał

pożyczyć trochę pieniędzy. Pożyczał je już od większości mężczyzn, z którymi

się zaprzyjaźnił podczas rocznej pracy w porcie, a także od paru kobiet.

Kiedy

rozmyślał o tym, od kogo mógłby zdobyć szybko pięćdziesiąt funtów, przyszyła

mu do głowy Gwen Veetcha.

Dotychczas nie miał ochoty wyłudzać pieniędzy właśnie od niej. W jakimś sensie była inna. Wszystkie znane mu kobiety miały mężów.

Kiedy

wręczały mu banknoty, zawsze mógł sobie powiedzieć, że bierze forszę

małżonka. Jednakże od Gwen musiałyby pożyczyć jej ciężko zapracowane pieniądze, a to wydawało się nie w porządku. Kiedy zobaczył ją teraz w zaciszu własnego domu i z ładną córeczką, poczuł dziwne ukłucie w sercu. Gdybyż mógł mieć dzieci z Molly... Brak dzieci zaciążył nad ich małżeństwem, które już i tak, wbrew jego oczekiwaniom, obfitowało w przykre epizody. Dawniej Molly była taką spokojną, kochającą, pełną dobrej woli dziewczyną. Skoro musiał kogoś poślubić – a posiadanie żony zawsze dawało większe szanse zdobycia pracy na placówce zagranicznej – Molly wydawała się idealną kandydatką. Sprawy ułożyły się źle. Nie mieli dzieci, narastała religijna obsesja Molly, a on czuł, że nie odnosi w interesie takich sukcesów, jakich pragnął.

RS

381
Nie było w tym jego winy. Pracował ciężko jak inni i sprzeciwiłby się każdej osobie, która zarzuciłaby mu lenistwo. Fakt, że lubił grać w karty na pieniądze i obstawiać wyścigi konne, nic jeszcze nie znaczył. Przecież chyba nie robił nic złego? A jeśli kobiety przepadały za jego towarzystwem, byłby głupcem, gdyby się na to uskarżał. Czuł rozdrażnienie, kiedy nudni staruszkowie z klubu boczyli się na

niego lub mamrotali, że powinien „wziąć się do roboty”, albo kiedy Sam Prosper patrzył na niego z góry. Kimże on był, żeby traktować go z wyższością? Przecież wszyscy wiedzieli, że zajmuje się podejrzanymi transakcjami i sprowadza drogocenne kamienie z wątpliwych źródeł.

– Rozumiem, że pan Prosper jest twoim bliskim przyjacielem? –
odważył
się zagadnąć.

– Och, nie powiedziałabym, że bliskim, ale znamy się od dłuższego czasu.

– Powiadają, że zarobił pierwsze duże pieniądze na przemyśle broni do Chin w 1920 roku.

Jeżeli sądził, że ją zaskoczy, to się mylił. Uśmiechnęła się tylko i kręcąc głową, odparła:

– Jeśli chodzi o Sama, nic mnie nie zdziwi.

Kiedy Omar przyniósł herbatę, do pokoju wpadła Tammy, trzymając w objęciach czarno-białego kota. Gwen naląła herbatę, a Tammy i Terence rozprawiali o królewskim pochodzeniu kotów. W ten sposób spędzili miło całą godzinę.

– Muszę już jechać – powiedział Terence i wstał z krzesła. – Czas ucieka.

Właśnie przypomniał sobie, że mówił Molly, iż ma trochę pracy w dokach i

wróci do domu przed jej przyjściem z kościoła.

RS

– Czy mogę pójść z panem do samochodu, żeby zobaczyć ten statek? – zapytała Tammy.
– Kochanie, nie możesz się naprzykrzać panu O'Keefe, który tam jedzie w interesach, a nie dla zabawy.
– Dokładnie tak – zgodził się. – Innym razem, Tammy.
I odjechał, ani razu nie poruszając tematu, który go tu sprowadził. Jednakże kiedy wracał do miasta, czuł się szczęśliwy. W Gwen Veetchy było coś tak pociągającego, taka otwartość i przyzwoitość... Miło byłoby się z nią zaprzyjaźnić.
I zostali przyjaciółmi. Byliby nimi nadal, gdyby nie to, że Molly postanowiła udać się na pielgrzymkę do Lourdes.

RS

383

18

Pielgrzymka wiązała się z mniej więcej roczną nieobecnością. Innymi słowy, nie warto było odbywać podróży do Francji tylko w celu odwiedzenia

Lourdes i zaraz potem wracać do Singapuru. Molly chciała skorzystać z okazji

i pojechać do Rzymu, gdzie miała nadzieję znaleźć się na audiencji u Ojca

Świętego, a następnie zobaczyć się z rodziną w Irlandii. Jej plan stał się znany

całemu towarzystwu w Singapurze. Nikt nie pojmował, dlaczego Molly

chce

wyruszyć do Lourdes. Molly twierdziła, że poradził to jej spowiednik.

Terence

unikał rozmów na ten temat. Gwen przypuszczała, że Molly jedzie w nadziei,

że wyleczy się z dolegliwości, która nie pozwalała jej mieć dzieci.

Popłynęła na statku „Amelia” wiosną 1930 roku do Europy nękanej wstrząsami politycznymi i przejętej możliwością wybuchu wojny.

Francja

budowała nawet ciąg umocnień obronnych, zwany Linia Maginota.

Pomimo iż

Molly nie była lubiana i większość towarzystwa w ogóle się nie interesowała

jej wyjazdem, należało wydać obowiązkowe przyjęcie pożegnalne na pokładzie statku. Sporo osób nie przyszło, zadowolając się jedynie wysłaniem

kwiatów. Gwen i kilkoro innych gości prowadziło konwersację i sączyło wino

w kajucie, która przypominała kwitnącą altankę. Wszyscy marzyli o tym, żeby

już podniesiono kotwicę. Molly odzywała się rzadko. Kiedy Gwen powiedziała

z grzeczności, że będą za nią tęsknić, wzruszyła tylko ramionami.

– Nie sędzę. Nie jestem osobą, która tutaj pasuje.

Paru uczestników przyjęcia opuściło kajutę, by móc wyrazić swoje zdanie w związku z tą uwagą na korytarzu. Gwen mężnie kontynuowała rozmowę.

– Oczywiście, że będziemy za panią tęsknić, podobnie jak Terence.

RS

384

– Doprawdy? – odparła Molly. – Zawsze mi się wydawało, że znalazł sobie mnóstwo zajęć.

– O tak, kierowanie firmą spedycyjną pochłania...

– Nie miałam na myśli pracy. Chodziło mi o jego rozrywki. – Molly dotknęła ręką złotego krzyżyka na łańcuszku, który zawsze nosiła na szyi. –

Ale bez względu na to, czym lub kim się zajmie podczas mojej nieobecności,

sytuacja nie ulegnie zmianie. Jesteśmy dziećmi kościoła i musimy żyć w zgodzie z jego prawami.

Później, kiedy statek „Amelia” zniknął za widnokretem, a Terence udał się do domu, by rozpocząć życie słomianego wdowca, życzliwi goście poszli

do hotelu Seaview, by trochę poplotkować. Zastanawiano się nad uwagą o

dzieciach kościoła.

– Dziewczyny, ona chciała dać do zrozumienia, że choćbyście nie wiem jak się starały, nie złapiecie Terence'a, ponieważ ona nigdy się z nim nie rozwiedzie – oznajmił Arthur Bushenby.

– Rozwód! – wykrzyknęła Elsa. – A kto mówi o rozwodzie? Za dużo zamieszania! Wystarczyłoby romantyczne spotkanie z naszym Terence'em w

świecie księżycy bez żadnych planów na przyszłość.

– Proszę cię, przestań mówić w ten sposób – zaklinała ją Gwen. –

Zgadzam się, że Molly ma największego wroga w samej sobie, ale przecież, mimo wszystko, oni są małżeństwem i nie wolno ci mówić o jej mężu tak, jakby był Casanovą.

– A dlaczego nie? Przynajmniej chciałby nim być.

– Każdy mężczyzna tego by pragnął, dziewczęta – westchnął Gerald Powers. – A jeśli jakaś ładna dama czeka w kolejce do Terence'a, może dla zabicia czasu potrzymać za rękę mnie.

RS

385

– Tobie łatwo jest gadać – skarciła ją Elsa. – Sama prowadziłaś cygańskie życie w Paryżu. – Elsa postarała się zasięgnąć u swoich przyjaciół we Francji informacji, z których wynikało, że Veetcha miała co najmniej jednego kochanka, a może i więcej. – Ale tu jest inaczej. W Paryżu traktowano takie związki z pobłażaniem. Tu wszyscy przywiązują wagę do konwenansu. – Ja nie – odparł Gerald, kładąc rękę na sercu i spoglądając na nią z wymownym wyrazem twarzy. – Jestem gotów zlekceważyć konwenanse, jeżeli i ty z nich drwisz, Gwen. – Och, na twoim miejscu nie robiłabym tego – powiedziała żona Geralda.

– Jeżeli zaczniesz nękać biedną małą Gwennie, Sam Prosper wyśle za tobie

jednego ze swoich przemytników z kordelasem.

– Może ja wynajęłabym jakiegoś przemytnika z kordelasem, żeby skłonić

Terence'a do schadzki – zastanawiała się Elsa. – Nie wiecie, ile to mogłoby

kosztować?

– Jesteście niemożliwi – stwierdziła ze śmiechem Gwen i wróciła do warsztatu w chińskiej dzielnicy, żeby wykończyć kilka drobiazgów.

Przekonała się jednak, że niepokoi ją myśl, że Terence mógłby wpaść w ramiona którejś z tych beztroskich kobiet. Jeżeli musiał szukać pocieszenia,

dłaczego nie miałyby się zwrócić do kogoś, komu naprawdę na nim zależało?

Na przykład do niej.

Ale przez kilka następnych miesięcy wpadali na siebie w dość przypadkowy sposób: raz znaleźli się w tłumie kibicującym grze w krykieta,

innym razem byli w kinie „Capitol”, wśród publiczności, która, zaśmiewała się

do łez podczas projekcji filmu *Cyrk* z Charliem Chaplinem.

Wreszcie we wrześniu Terence zjawił się w Tanjong Katong, żeby zobaczyć Tammy – tak przynajmniej twierdził. Ale Tammy wyjechała do

szkoły Highlands z internatem w głąb kraju.

RS

386

– Nie, nie jestem taki głupi, żeby wszystko pomylić – powiedział Terence. – Słyszałem, że kiedyś o tym mówiłaś, ale sądziłem, że wyjedzie dopiero w październiku.

– Jestem pewna, że słyszałeś, jak o tym mówiłam. Elsa powiedziała, że robię się okropną nudziarą, bo ciągle jęczę, jak bardzo będzie mi jej brakowało.

– No cóż, w takim razie skoro nie zastałem Tammy, może moja wizyta trochę cię rozweseli, co?

– To miło z twojej strony, Terence.

– Ależ nie ma o czym mówić. Przyjemnie jest uciąć sobie przyjacielską pogawędkę. Kiedy mieszka się w pojedynkę, odczuwa się samotność.

– Och, jak ja to znam! Ale panna More twierdzi, że jej szkoła nie jest w stanie zapewnić Tammy wszystkiego, czego ona potrzebuje: wiesz, to bardzo

żywe dziecko, uwielbia skakać, biegać. Przekonała się, że w tym klimacie inne

dzieci za nią nie nadążają. W wyższych partiach gór, gdzie jest chłodniej,

będzie mogła brać udział w grach zespołowych, jeździe konnej.

Słyszała wyraźnie swoją paplaninę. Wyczuwała napięcie, które unosiło się między nimi w powietrzu. Jak tylko dostrzegła Terence'a idącego piaszczystym podjazdem w stronę tarasu, wiedziała, że to będzie dla nich

przełomowy moment. Wiedziała też, że mówił prawdę, skarżąc się na samotność. Jednakże zdawała sobie również sprawę z tego, że nie przyszedł do niej na pogawędkę. Zmierzali ku temu spotkaniu przez kilka miesięcy. Próbowała przed nim ukryć fizyczną fascynację jego osobą, ale był to zabieg daremny. Uwielbiała jego radosny uśmiech, pogodny, błyszczące niebieskie oczy, melodyjny głos... Nie miała mu za złe, że tak podobał się kobietom. Roztaczał wokół siebie jakiś nieokreślony urok i robił to niemal bezwiednie. A

RS

387

kobiety, które się w nim podkochiwały, wiedziały, co robią – nie były niewiniątkami, na które on zastawiał sidła.

Zawsze jednak unikał wiązania się z Gwen. Czasami zastanawiała się, czy czuł, że gdyby do czegoś między nimi doszło, byłaby to poważna sprawa.

Odgadywanie uczuć innych osób przychodziło jej jednak z trudem – wiedziała,

że zupełnie tego nie potrafi, toteż zawsze, z wyjątkiem spraw zawodowych,

oczekiwała, że inicjatywę przejmą inni.

Teraz zjawiał się u niej. Była niemal pewna, że dobrze wiedział, iż Tammy

wyjechała. A zatem szukał jej towarzystwa, kiedy przebywała w domu samotnie, jeśli nie liczyć służby, która i tak zamieszkiwała domki po drugiej

stronie trawnika. Wystarczyło ich odprawić po kolacji i zostaliby sami aż do

świt. Oczywiście, wiedzieliby, że ich pani spędziła noc z *tuanem*.

Służba

zawsze była świetnie poinformowana o tym, co się dzieje, ale wszelkie plotki

zachowywała dla siebie.

Gwen zaproponowała Terence'owi drinka, a on skorzystał z oferty.

Usiedli na tarasie ze szklankami i oglądali piękny zachód słońca.

– Zostaniesz na kolację? – zapytała.

– To byłaby wielka przyjemność. Nie znoszę jeść samotnie, a ty?

Wzruszyła ramionami.

– Musiałam się do tego przyzwyczaić.

– Ach, naturalnie. Słyszałem, że jesteś samotna od tak dawna.

– Od siedmiu lat.

– Jeszcze o nim myślisz, Gwen? – zapytał łagodnie.

– Czasami. Szczególnie kiedy pracuję. Zapewne wiesz, że pracowaliśmy razem, najpierw w Paryżu... To dziwne, ale chociaż czasami odczuwam jego

bliskość, prawie już nie pamiętam, jak wyglądał.

– Tammy jest do niego podobna?

RS

– Właściwie nie. I chociaż próbowałam zachować o nim żywe wspomnienie, ona w ogóle nie jest tym zainteresowana. Uważała, że Tammy powinna mieć możliwość zapoznania się ze swoim japońskim dziedzictwem. Od czasu do czasu Gwen kupowała japońskie czasopisma, które można było zdobyć w małej japońskiej dzielnicy w okolicach Middle Road i Hailam Street. Pokazywała Tammy piękne ilustracje i tłumaczyła jej słowa zapisane japońskimi znakami. Ciekawiło ją, czy dziecko zechce dowiedzieć się czegoś więcej o ojczyźnie swego taty. Ale Tammy pragnęła być w stu procentach Europejką. Nie musiała zresztą tłumaczyć tego wszystkiego Terence'owi. Prowadzili przecież rozmowę, która nie dotyczyła poważnych spraw. Czując, że powinna zmienić temat, zapytała o usługi żeglugowe.

– Ach, ta branża niedługo padnie – lamentował Terence. – Kryzys w Ameryce strasznie zmniejszył obroty w handlu. Dowiaduję się od plantatorów, że kupuje się teraz o wiele mniej kauczuku, ponieważ zamyka się fabryki i popyt jest mniejszy. A zatem coraz mniej towarów opuszcza porty i coraz mniej się ich dostarcza.

– Zauważyłam również, że spada liczba zamówień na moje meble. Ponieważ jednak przeważnie wykonuję luksusowe sprzęty, więc spodziewałam się tego.

– I sądząc ze sposobu, w jaki o tym mówisz, nie przejmujesz się zbytnio. Pomyślała o tym, jak żyła tuż po przyplłynięciu do Singapuru, kiedy jeszcze nie doszła do siebie po śmierci Tamy. Przypomniła sobie pełne niepokoju noce i dni spędzone przy chorym niemowlęciu. Odtwarzała w pamięci dni,

kiedy
miała zaledwie parę szylingów przy duszy i musiała jakoś żyć.
Rzeczywiście,
nie martwiła się malejącymi obrotami handlowymi. Nic jej nie
przerażało,
skoro Tammy czuła się dobrze, a ona sama mogła pracować. Jeżeli
miały

RS

389

nadejść ciężkie czasy, to postara się żyć skromniej, przeczuci się na
produkcję
tanich, popularnych mebli, dostępnych dla każdego.
Pojawił się Omar, by oznajmić, że kolacja jest gotowa. Gwen nagle
poczuła się trochę niepewnie – w singapurskiej socjocie Terence
uchodził za
smakosza. Jednakże Omar powiedział kucharzowi, że gościem pani jest
tuan
O'Keefe, który często krytykował potrawy nawet w dużych
restauracjach na
mieście, toteż Gowa dołożył tym razem specjalnych starań.
Poza tym Gwen miała dobre wino. Jerome de Labasse przysłał jej z
Francji parę skrzynek wina, które wybrał osobiście. Wszelkie
niedoskonałości
potraw bladły przy wybornym roczniku Quart de Chaume, po którym
podano
calvados z kawą. Omar promieniał, kiedy *tuan* O'Keefe oparł się

wygodnie na
krześle i kiwał głową z aprobatą, obracając szklankę z calvadosem i
podziwiając barwę trunku.
– Dziękuję, Omarze, to wszystko.
– Czy chce pani, żeby przynieść jeszcze kawy?
– Zabierz to na taras i zostaw tam.
Służący złożył dłonie w geście posłuszeństwa, ukłonił się i po
wyniesieniu lakierowanej tacy na chłodny taras oddalił się.
Przez dłuższy czas Gwen i Terence siedzieli skąpani w świetle, które
padało z domu. Terence zapalił krótkie cygaro, którego czerwony żar
niknął
przy zaciąganiu się. Po chwili jednak pozwolił mu zgasnąć. W czasie
kolacji
kontynuowali rozmowę na typowo singapurskie tematy, jak przewóz
towarów,
ceny kauczuku i cyny. Informowali się wzajemnie, kto urządził
przyjęcie, a kto
planował wyprawę morską. Potem umilkli.
Z plantacji orzechów kokosowych, które ciągnęły się za domem, i z
plaży
zaczęły dobiegać do ich uszu odgłosy nocy – rechotanie żab, granie
cykad,
szum fal uderzających o brzeg. Gwen czuła odprężające rozleniwienie.

RS

jedwabisty

muślin. W ciemnościach usłyszała, że Terence się poruszył. Wyciągnął rękę,

by odnaleźć jej dłoń na poręczy wyplatanego krzesła.

– Chcesz, żebym poszedł, Gwen?

W odpowiedzi wstała, wciąż trzymając jego rękę. Pociągnęła go lekko, żeby wstał. Kiedy znalazł się blisko Gwen, spojrzał jej w twarz.

Widziała jego

oczy błyszczące w odbitym świetle, czuła jego oddech na policzkach i męski

zapach tytoniu, wina i smolistego mydła. Wspięła się na palce, by na chwilę

przywrzeć wargami do jego ust. Potem odwróciła się i zaprowadziła go na

górze. Pokój Gwen był ciemny, z wyjątkiem moskitiery nad łóżkiem, która

tworzyła upiorną, białą plamę.

Tęsknota za fizycznym spełnieniem sprawiła, że Gwen dała się ponieść gwałtownej namiętności. Minęło tyle czasu, odkąd mężczyzna trzymał ją w

ramionach... Pragnęła tej siły, fizycznego żaru, chciała całkowicie się zatracić

w niepohamowanej żądzy należenia do kogoś.

Kiedy wreszcie doszli do siebie, leżeli w ciemności, delikatnie splatając dłonie.

– Jesteś cudowna, Gwen...

– Tss...

– Pokochałem cię od pierwszej chwili.

Przewróciła się na bok i pocałowała go w ramię, jak gdyby przyjęła do wiadomości jego wyznanie.

– Ale ty byłaś zawsze taka ostrożna...

– Nie ostrożna. Niepewna.

– Niepewna czego? Tego, czy naprawdę mi na tobie zależy?

– Nie byłam pewna, jakie miejsce zajmę wśród reszty.

– Jakiej reszty?

RS

391

– No, nie zaprzeczaj. Odkąd pojawiłeś się w Singapurze, zdążyłeś już podbić niejedno serce.

– Och, to tylko głupie plotki.

– Przypuszczam, że część z nich tak. Ale to nie ma znaczenia. Usłyszała, że westchnął.

– Co jest? Myślałeś, że każę ci przysięgać, iż poza mną nikogo nie kochałeś i nigdy nie będziesz kochał?

– Och, Gwen... ! Jesteś taka inna!

– Inna od pozostałej szóstki, tak? – roześmiała się. Rozumiem, że to ma być komplement.

W jakimś sensie fascynowała go właśnie jej inność – brania życia takim, jakie ono jest. Dzięki temu robiła wrażenie kobiety światowej, doświadczonej.

Chyba nie przejmowała się konwenansami. Przypisywał tę cechę latom spędzonym przez nią w Paryżu, gdzie, jak sądził, kochankowie nigdy nie musieli się kłopotać o to, co myślą o nich inni. Czasami, kiedy słuchał jej

rozmów w towarzystwie, czuł, że w porównaniu z nią jest zupełnie nikim. Ale

jeśli go kochała, to on się zmieni. Zrobi wszystko, by zadowolić tę wspaniałą

dziewczynę, która dzisiejszej nocy otworzyła przed nim nowy świat fizycznej

rozkoszy. Jej zapal i pożądanie stanowiły dla niego odkrycie. Wszystkie

inne

kobiety – a były inne, nie przeczył, iż zachowywał się po trosze jak Don Juan –

przystały się liczyć w porównaniu z gorącą, pożądliwą miłością Gwen. Spędzili krótką tropikalną noc, próbując trochę się poznać. Ona także mogła porównać Terence'a z innymi partnerami. Był bardziej egoistyczny niż

Jerome i nie odgadywał jej zachcianek tak trafnie. Ale cechowała go większa

dobroć i chęć wspólnego doznawania rozkoszy niż w przypadku Tamy.

Przede

wszystkim zaś był sobą – mężczyzną o pogodnym uśmiechu i mocnym, szczupłym ciele, który szeptał melodyjnym głosem miłosne zaklęcia.

RS

392

Przyszedł ponownie następnego wieczoru, a potem jeszcze raz. Po namyśle zgodzili się jednak, że muszą wziąć pod uwagę kręgi towarzyskie

Singapuru. Wkrótce zaczęto by szeptać o ich związku. Musieli przynajmniej

dostosować się do konwenansów. Nie dlatego, że liczyły się dla nich opinie

innych ludzi, ale ze względu na to, iż musieli żyć i pracować w społeczności,

która przestrzegała pewnych praw.

Mówiąc szczerze, romans Gwen Veetchy i Terence'a O'Keefe nie

zaskoczył nikogo.

– Dziwię się, że tak długo wytrzymała – stwierdziła Kathy Price w rozmowie z Elsą Copeland przy herbacie. – Wiesz, ona zawsze mu się podobała.

– Tak, ale miał na tyle rozsądku, że wiedział, iż z Gwen nie skończy się na jednej nocy.

– Myślisz, że to poważna sprawa?

– O ile nasz Terence jest w stanie myśleć o czymkolwiek poważnie, chyba tak.

– Och, Elsa... To niedobrze!

– Dlaczego? Na razie Molly nie ma, a kiedy wróci, Gwen nie będzie oczekiwała, że on zażąda od żony rozwodu. Wie, że to miałyby się z celem.

– Z punktu widzenia Gwen sprawa nie wygląda tak zabawnie – oświadczyła Kathy. Była młoda i miała zdecydowane poglądy na prawa kobiet.

– No, nie wiem. Przez długi czas była ogromnie samotna.

– Samotna? Ależ ona ma mnóstwo przyjaciół!

– Chodziło mi o mężczyznę, Kathy.

– Przecież ma tego cudownego Sama Prospera...

– Wcale nie. Są tylko przyjaciółmi.

– Och, tak...

RS

393

– Mówię serio, Kathy. Założę się, że oni nigdy nie poszli ze sobą do łóżka. Kathy westchnęła i zamieszała herbatę.

– Jej strata – powiedziała.
– Teraz, kiedy Sam wie o Terensie, nigdy do tego nie dojdzie.
– Wie? Jesteś pewna? Nie daje nic po sobie poznać.
– Hm, m y również wiemy, prawda? I też nie dajemy tego po sobie poznać.
– Nie, nie – dorzuciła Elsa wkładając papierosa do fifki i sygnalizując służącemu, żeby podał ogień. – Sam wie i z tym się godzi. To będzie jeden z tych długotrwałych romansów. Będziemy zapraszać tę parę na przyjęcia i pikniki, i wszyscy będą wiedzieli, że oni są razem, ale nikt się z tym nie zdradzi.
– Ha! – przerwała jej Kathy. – Zapomniałaś o Molly. Poczekaj, aż wróci Molly.
Nieobecność Molly przedłużyła się do osiemnastu miesięcy, gdyż oprócz wizyty u rodziny spędziła trochę czasu w irlandzkim klasztorze. Kiedy Gwen doszły słuchy, że Molly schodzi ze statku na Dalekim Wschodzie, odważyła się poruszyć ten temat w rozmowie z Terence'em.
– Kiedy Molly wróci, wszystko się skomplikuje – zaczęła. – Jeżeli chcesz skończyć nasz romans, zrozumieć to.
– Skończyć? – wykrzyknął ze zdumieniem. – Na miłość boską, Gwen!
– Po prostu czuję, że...
– Wiesz, jak się układa między Molly i mną. Sądząc po jej listach, wydaje się jeszcze bardziej przejęta religią niż przed podróżą. Zawsze wiedziała, że ja mam inne zdanie na temat kościoła.
Nie przyszło mu do głowy, że odczucia Gwen na temat jego żony wiązały się z samą Gwen.

RS

394

– Miałam wyrzuty sumienia, oszukując ją – powiedziała łagodnie.

– Ale w pewnym sensie... nie będziemy... To znaczy, Molly zawsze wiedziała... Chcę powiedzieć... Ona i ja... Na miłość boską, przecież ona rozumie, że jestem zupełnie normalnym mężczyzną i jeżeli nie prowadzę

normalnego życia małżeńskiego, to mam prawo...

– To znaczy, że wy ze sobą nie sypiacie? – zapytała drżącym głosem Gwen.

– Wychowano ją w przeświadczeniu – odparł – że celem małżeństwa jest

plodzenie dzieci. Ponieważ nie możemy mieć dzieci, ona uważa, że chęć wspólnej przyjemności oznacza pobłażanie samemu sobie. A Molly jest temu

przeciwna.

– Och, Terence, tak mi przykro!

– Musiałem się z tym pogodzić. Ale jak widzisz, to oznacza, że ani ty, ani

ja nie powinniśmy czuć się winni.

– Rozumiem – odrzekła powoli Gwen.

Uspokoiła swoje sumienie. Nie zabierała Molly niczego, co miało dla niej

wartość.

Na tym zakończyła się dyskusja. Terence poczuł ogromną ulgę. Nie wyobrażał sobie życia bez Gwen. Sytuacja w handlu ulegała

systematycznemu pogorszeniu, toteż musiał się zgodzić na niższe wynagrodzenie, żeby zachować posadę. Z chwilą powrotu Molly życie rodzinne nie należałoby do przyjemności. Gdyby nie mógł spotykać się z Gwen, nie zniósłby tej sytuacji. Molly natychmiast po powrocie wyczuła, że jej mąż znalazł sobie nową kochankę. W ciągu dwóch dni jakaś życzliwa przyjaciółka zasugerowała jej, że tą nową damą jest Gwen Veetcha. Molly przemyślała sprawę: Gwen nie należała do kobiet, przez które mogłaby mieć jakieś kłopoty. Przeciwnie, w porównaniu z poprzedniczkami posiadała pewne atuty. Nie zmuszałaby

RS

395

Terence'a do długich i uciążliwych podróży w głąb kraju, na plantacje karczuku podczas nieobecności swojego męża; nie domagałaby się kosztownych prezentów... Opowiedziawszy całą historię spowiednikowi i usłyszawszy, że powinna cierpliwie to znosić, Molly po prostu zastosowała się do rady. Uważała, że Gwen jest dziwną dziewczyną, inną niż wszystkie. Nie goniła tak bardzo za przyjemnościami, była zajęta własną firmą i wychowywała dziecko. Zdaniem Molly, dziecko odgrywało tu istotną rolę. Ze

względu na nie Gwen Veetcha będzie chciała spokojnego życia. Tammy czuła się znakomicie w żeńskiej Highland School. Wysoką pozycję w klasie zdobyła dzięki bystrości umysłu, a nie wkuwaniu. Dobrze się spisywała w grach zespołowych – dostała się do drużyny koszykarek i nieźle sobie poczyniała w tenisie. Ale największy entuzjazm wywoływała u niej jazda konna. Podobnie jak wiele małych dziewczynek, Tammy zakochała się w koniach. Cały wolny czas spędzała w stajniach z małajskimi stajennymi. Pomagała czyścić boksy i rozrzucać siano. Zaczęła brać udział w gonitwach młodziaków i osiągała dobre rezultaty. O dziwo, właśnie wtedy pojawiły się pierwsze kłopoty. Dotychczas inne dziewczęta ze szkoły traktowały Tammy normalnie. Była ładna, ale na tym etapie jeszcze nie myślały o urodzie i kokietowaniu chłopców. Była bystra, ale nie dorównywała Amy Wilkins czy Dorothy Dark. Coraz lepiej uderzała rakieta z backhandu, ale nie stanowiła konkurencji dla Lenory Sillerby. Natomiast w wyścigach konnych Tammy nie miała sobie równych. Pokonywała nawet Rose Matthews, która była starsza od niej o ponad rok. Rodzice Rose Matthews lubili, gdy ich córka zwyciężała. Kiedy przegrała dwa razy z rzędu, przyjrżeli się zwyciężczyni i stwierdzili, że ta istota wygląda dość dziwnie.

– Od razu widać, że to jakiś mieszaniec.

RS

396

Mieszaniec? Rose była wstrząśnięta. No tak, nosiła takie dziwne nazwisko, nie angielskie, zapewne syjamskie albo równie egzotyczne. A te

skośne oczy! Dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że jej koleżanka jest mieszańcem?

Każdy zarzut wydawał się dobry, ale nieodpowiednie pochodzenie było szczególnym pretekstem do urągania. Eurazjaci mieli w Malezji ciężkie życie,

jeżeli nie pamiętali, gdzie jest ich miejsce. Z pewnością nie powinni się znajdować w ekskluzywnej szkole żeńskiej ani na grzbiecie kucyka, który

pierwszy przeskakiwał ostatnią przeszkodę.

Gwen zdała sobie sprawę z sytuacji dopiero po jakimś czasie. Najpierw Tammy niechętnie wracała do szkoły po weekendowej przerwie, potem zaczęła

marudzić, że nie znosi szkoły w górach, i pytała, dlaczego nie może podjąć

nauki w Singapurze. Gwen udała się na spotkanie z dyrektorką. Tak, niestety,

istnieją pewne uprzedzenia. Trudno powiedzieć, jak do tego doszło, gdyż

jeszcze kilka miesięcy wcześniej Tammy była powszechnie akceptowana. Być

może byłoby lepiej, gdyby pani Veetcha umieściła ją gdzie indziej.

Tammy rozpoczęła naukę w Singapurze, w rejonie Tanglin. Ponieważ odczuwała jednak zdenerwowanie, nie zaprzyjaźniła się z nikim. Inne dziewczynki uznały, że zadziera nosa, gdyż jest ładna. Wymyśliły dla niej

przezwiśko – Chinky. Tammy robiła się coraz bardziej nerwowa i każdego

ranka, kiedy nadchodziła pora jazdy do szkoły, dostawała rozstroju żołądka.

Gwen była przerażona.

– Spokojnie, pani Veetcha, dziecku nic nie jest – pocieszał ją doktor. – Jest trochę spięta, ale powody mogą być przeróżne: nowa szkoła czy klimat...

Zawsze myślę, że ludzie robią się drażliwi tuż przed porą mnonsunową.

– Ale jako niemowlę przechodziła dur brzuszny.

RS

397

– Tak, tak, biorę to pod uwagę. Proszę mi wierzyć, nie ma mowy o czymś

takim. To po prostu faza przejściowa, która zapewne wiąże się z dojrzewaniem.

Gwen przeżywała ogromny niepokój. Dlaczego ten głupiec nie mógł pojąć, że z Tammy działo się coś bardzo niedobrego? W ciągu kilku miesięcy z

bystrego, pewnego siebie dziecka zmieniła się w chorowitą istotę o wyglądzie

upiora.

– Ile ona ma lat? – zapytał doktor Clandon.
– Dziesięć –panie doktorze
– Zastanawiam się, czy przypadkiem... Wie pani, czasami zdarza się, że kiedy dziecko wyrasta z okresu niemowlęctwa w takim klimacie, pogarsza się jego samopoczucie. Niewykluczone, że upał i wilgoć powodują nadmierne przeciążenie u Tammy...
– Ale ona zawsze była bardzo pogodna.
– Mówi pani, że niedawno wróciła ze szkoły położonej w górach?
– Tak, dwa miesiące temu.
– Tu może tkwić przyczyna. Być może to dziecko czuje się lepiej w niskich temperaturach.
– Ona mieszka tu całe życie i...
– Właściwie, pani Veetcha, miałbym pewną sugestię.
– Ależ oczywiście, słucham.
– Zastanawiam się, czy nie wyszedłby jej na dobre krótki pobyt w domu
Mówiąc „dom” doktor Clandon oczywiście miał na myśli Anglię. Ze względu na to, jak długo się żyło i pracowało w Singapurze, domem była zawsze Anglia. Jednakże myśl o rozstaniu z Tammy zapała Gwen dech w piersiach, tak jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody.

RS

– Nie twierdzę, że jest to absolutnie niezbędne, ale warto rozważyć tak

możliwość. Jeżeli córka ma problemy z nauką, może potrzeba jej po prostu

dobrej angielskiej szkoły dla dziewcząt?

– Ale myśmy nigdy się ze sobą nie rozstawały...

– No, no, droga pani. Nie widywała jej pani przez większą część tygodnia, kiedy mieszkała w internacie w górach.

– Teraz to będzie coś innego.

– Oczywiście, że tak, całkowicie panią rozumiem. Ale proszę przemyśleć

tę sprawę, pani Veetcha. Wiele osób wysyła do ojczyzny dzieci mniej więcej w

tym wieku.

Gwen przemyślała sprawę i uznała, że nie powinna wysyłać Tammy.

Rozmowa na ten temat z Terence'em nie przydała się na wiele. Zwróciła się

zatem do Sama Prospera, u którego zawsze mogła liczyć na trzeźwą poradę.

– Wydaje mi się, że warto spróbować – powiedział po wysłuchaniu jej słów. – Przecież widzisz, że dzieciak chudnie; zostały z niej skóra i kości. Coś

tu na nią źle wpływa, i jeśli chodzi tu o naigrawanie się z jej rasy, to lepiej,

żeby wyjechała do angielskiej szkoły.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie w Anglii nie robią złośliwych uwag na temat skośnych oczu? – odparowała Gwen, przypominając sobie, jak reagował

jej ojczym, kiedy poznał Tameę.

– Może tak, a może nie. Rzecz w tym, że w Anglii nie traktuje się skośnookich jak posługaczy i nie komenderuje nimi tak jak tutaj.

– To tak daleko stąd, Sam... Nie sądzę, żeby to był właściwy krok.

– Pytałaś małą?

– Słucham? – Rzuciła mu zdziwione spojrzenie. – Pytać dziesięcioletnie dziecko?

RS

399

– No cóż, chodzi przecież o jej wyjazd, prawda? Chyba Tammy ma coś do powiedzenia?

Skoro sformułował problem w taki sposób, pomijanie opinii córki rzeczywiście wydawało się niewłaściwe.

Ku zdumieniu i przerażeniu Gwen, Tammy oświadczyła, że chce jechać do szkoły w Anglii.

W Anglii rozgrywała się akcja większości czytanych przez nią książek. Angielskie dzieci wspaniale czuły się w szkolnych internatach.

Wyobrażała s

obie, że się zaprzyjaźni z „Felicity z czwartej klasy”. Poza tym w Anglii były

większe i lepsze stadiony, wszędzie znajdowały się stadniny koni, otwarte pola

i tereny do polowań, po których można byłoby galopować.

O tak, pragnęła jechać do angielskiej szkoły.

RS

400

19

Ze względu na kryzys gospodarczy ludzie mniej podróżowali, toteż Gwen bez trudu zarezerwowała miejsca na statku „Marchioness”. Dzięki temu

zostało sporo czasu na zaaklimatyzowanie się Tammy w Anglii przed rozpoczęciem nauki. Gwen miała kilka powodów, by udać się w podróż razem

z córką, a nie powierzyć jej okrętowej guwernantce, jak to czyniły niektóre

osoby. Przede wszystkim nie chciała się z nią rozstawać. Rejs do Southampton

opóźniał moment pożegnania. Ponadto miała szansę odwiedzić swoją matkę.

Od czasu kiedy Rhoda Raynes po raz ostatni widziała córkę, upłynęło dwanaście lat. Wnuczkę znała tylko ze zdjęć. Z St Albans nadeszły entuzjastyczne depesze, w których Rhoda i Wally donosili, że strasznie chcą

je zobaczyć i zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby załatwić dziewczynce szkołę.

Nie zważając na te zapewnienia, Gwen udała się do agencji w Singapurze,

gdzie dostała broszury na temat żeńskich szkół z internatem w Anglii.

Wybrała kilka propozycji, wysłała depesze, w których pytała, czy będzie mogła złożyć w tych szkołach wizytę w czerwcu, i prosiła, by listy do niej

kierowano do domu jej matki w St Albans.

Odwiedziny w ojczyźnie dawały również sposobność do dokładniejszego

rozważenia sytuacji ekonomicznej. W Singapurze trudno było stwierdzić, czy

spadek obrotów w branży meblarskiej wpłynie poważnie na położenie Gwen.

Teren cieśniny nadal zamieszkiwało sporo bogatych ludzi, którzy wciąż zamawiali jej prace, ale zmalała liczba zamówień z Lodynu, Paryża i Nowego

Jorku. Teraz będzie miała szansę przespacerowania się po dużych miastach

brytyjskich, rozejrzania się po sklepach meblowych i ustalenia, na jakie meble

jest popyt. Mogłaby też wpaść do Paryża. Chciała porozmawiać w cztery oczy

RS

401

z kupcem w „Les Quatres Saisons”, a ponadto miałyby okazję zobaczyć się z

Jerome'em de Labasse. W listach pisał, że jest szczęśliwym mężczyzną i urodził mu się chłopiec oraz dziewczynka. Jak nakazywał zwyczaj na pokładzie statku urządzono pożegnalne przyjęcie. Zauważono, że nie

przyszedeł

na nie Terence. Błagał Gwen, żeby nie wypływała. –Jak ja będę bez ciebie żył?

Proszę, Gwen, nie wyjeżdżaj, potrzebuję cię.

Gdyby nie chodziło o Tammy, Gwen ustąpiłaby. Jednakże przez wzgląd na córkę nie pozwoliła się rozczulać Terence'owi.

– Tammy również mnie potrzebuje, kochanie.

– Och, wiem i rozumiem to, ale nie będzie ciebie tak długo

– To tylko sześć miesięcy. Ani się obejrzysz, a już będę z powrotem
Poza

tym będziesz tak zajęty, że nawet nie zauważysz mojej nieobecności.

To była aluzja do turnieju brydżowego, w którym miał wziąć udział
Spodziewano się, że ten znakomity gracz zgarnie główne trofeum.

Jednakże

Terence był niepocieszony.

– Pisz do mnie codziennie – prosił.

– Oczywiście.

– I z każdego portu na trasie rejsu.

– Tak, obiecuję.

– Dzieci – mruknął markotnie. – Wiem, że one są najważniejsze, ale...

– To wielka zmiana dla mojej dziewczynki. Chybabyś nie chciał, żebym ją zostawiła samą w takim momencie?

Prawdę mówiąc, wydawało się jednak, że Tammy potrzebuje swojej matki w znacznie mniejszym stopniu niż matka jej. Przejęta zbliżającą się

podróżą, rozpoczęciem nauki w „prawdziwej” angielskiej szkole z internatem

(w Highland School mieszkała tylko w dni powszednie), a przede wszystkim

RS

402

uczestniczeniem w rejsie w nieznane, Tammy była w wyśmienitym nastroju,

co nie zdarzało się jej od paru miesięcy.

Gwen czuła się nieco zraniona entuzjazmem, z jakim Tammy przyjęła decyzję o rozstaniu z matką. Próbowała sobie przypomnieć, czy w wieku

dziesięciu lat czułaby się taka szczęśliwa, gdyby ją wysłano w daleką podróż.

Odpowiedź brzmiała „nie” – ale ona mieszkała w normalniejszym domu niż

Tammy, chodziła do zwyczajnej szkoły, nie musiała walczyć z przesądami rasowymi.

Słuchając wynurzeń Gwen na ten temat, Sam Prosper powiedział:

– Tammy jest egocentryczna. Wydaje mi się, że wszystkie dzieci są egocentryczne. Postrzegają dorosłych jako dodatek do swojego życia, a nie

jako istoty z krwi i kości, które żywią jakieś uczucia i mają określone potrzeby.

Dlatego Tammy wcale nie domyśla się, że jesteś załamana tym rozstaniem.

– Sądziłam, że przynajmniej może w którymś momencie zda sobie sprawę, iż będzie za mną tęsknić.

– Wolałabyś taką sytuację? Chcesz, żeby wisiała ci na szyi i płakała?

– Oczywiście, że nie.

– To dlaczego się skarżysz? ,

Sam był na pożegnalnym przyjęciu. Na pokład statku weszło za nim dwóch służących, którzy nieśli wielki cynowy kubeł z lodem i sześcioma

butelkami najlepszego szampana. Pomimo kryzysu Sam miał chyba jeszcze

więcej pieniędzy niż zazwyczaj. Ludzie mówili, że to dlatego, iż przemycił

broń dla ruchu oporu w Mandzurii, odkąd tylko na jej teren wtargnęli Japończycy, czyli od półtora roku.

Pozwolił Tammy pociągnąć kilka łyków szampana. Dziewczynka chichotała i wkrótce potem zasnęła

RS

403

– Spała się jak bela – stwierdził, rozkładając wokół niej poduszki, żeby mogła wygodnie drzemać podczas przyjęcia. Przy pożegnaniu znalazł chwilę,

by porozmawiać z Gwen sam na sam.

– Uszy do góry, małeńka! Postępujesz słusznie.

– Och, Sam, to okropne! Wiesz, cała drzę... Wcale nie czuję, że jadę do ojczyzny. Raczej mam wrażenie, że ją opuszczam.

_Kiedy wrócisz, nadal tu będzie – odparł z uśmiechem. – Ludzie też. Wiedziała, że miał na myśli Terence'a. O mało co nie poprosiła Sama, żeby miał go na oku. Ale to byłaby zbyt wielka prośba, nawet dla tak wyrozumiałego przyjaciela jak Sam.

– Przyszedłem na to przyjęcie tylko po to, żeby cię objąć i pocałować na pożegnanie – oznajmił. – Bądź grzeczna, dzieciaku. I przekaz
pożegnania
swojej pijanej córce, kiedy się obudzi.
Ale kiedy Tammy ocknęła się z drzemki, tak bardzo zapragnęła
zwiedzić
statek, że nie miała ochoty wysłuchiwać niczego.
Przez całą podróż Tammy świetnie się bawiła. Włączała się do
sportowych
rozgrywek, zjadała sute posiłki, schodziła z matką na brzeg w portach,
by zwiedzać miasta. Dzielnie zniosła nudny rejs przez Kanał Sueski. W
Port
Saidzie zabrano ją do jakiegoś muzeum starożytności, gdzie spędziła
sporo
czasu, wpatrując się w kopię głowy królowej Nefretete.
– Ach! – powiedział przewodnik. – Podziwiasz naszą największą
piękność. Zasłużyła sobie na sławę.
Potem Tammy zagadnęła Gwen:
– Czy ta królowa była naprawdę piękna?
– Tak, prześliczna. A ty tak nie sądzisz? Tammy wzruszyła ramionami
w
zamyśleniu.

RS

- Rzeczywiście – zgodziła się zaintrygowana Gwen.
- Gdybym miała czarne włosy, wyglądałabym jak ona.
- Och, raczej nie – odparła matka i na tym zakończyła się rozmowa. Ale gdyby Gwen umiała odgadywać przyszłość, uświadomiłaby sobie, że Tammy właśnie pojęła, iż będzie piękną.

Z początku Tammy była rozczarowana Anglią. Southamptońskie doki wydawały się takie okropne, a klimat taki chłodny. Ale później babcia wzięła ją w objęcia, zasypując na powitanie słodyczami i zabawkami. Piły herbatę przed prawdziwym kominkiem, w którym palił się prawdziwy ogień w prawdziwym hotelowym holu z miękkimi meblami, jak w książkach. Następnie znalazły się w pociągu. Z okna wagonu widziała zielone wsie, na polach pasły się prawdziwe owce i krowy, a na przejeździe kolejowym stała furmanka załadowana prawdziwym sianem, którą ciągnęły duże konie o splecionych grzywach

Boże

Tammy potrzebowała dwóch, najwyżej trzech dni, żeby pojąć, iż jest w stanie owinać babcię wokół małego palca. Jej dziadek – mama nazywała go

ojczymem., ale to chyba nic nie oznaczało – nie miał tak miękkiego serca ale też

dawał się wodzić za nos. Spędzili tydzień na "oswojeniu się z lądem", jak to

ujęła babcia. Trzeba było tłumaczyć Tammy to powiedzenie. Potem udała się z

matką obejrzeć szkoły. Wszystkie t mieściły się w dawnych pałacach, miały

boiska do gry, a w pobliżu znajdowała się wieś albo małe miasteczko.

Pod

względem programu żadna nie oferowała czegoś wyjątkowego. Gwen zależało

na troskliwej kompetentnej dyrektorce, a Tammy rozglądała się za ujeżdżalniami Stanton School w Wiltshire spełniła ich oczekiwania.
Panna

RS

405

Powers była uprzejma inteligentna i spokojna. Gwen napisała do niej list opatrzony jej japońskim nazwiskiem, ale wyjaśniła, że jest Angielką.

Panna

Powers potraktowała normalnie oba nazwiska – Hayakawa i Veetcha – a eurazjatyckie rysy twarzy Tammy nie wydawały się jej przeszkadzać.

Wprawdzie szkoła nie trzymała koni, ale tuż obok znajdowała się firma wynajmująca te zwierzęta. Ponieważ mnóstwo dziewcząt przyszło na świat w

rodzinach wojskowych, a ich krewni służyli w kawalerii, jazda konna stanowiła przedmiot, który mogły wybrać w ramach programu szkolnego.

Ustalono, że Tammy dołączy do klasy na początku roku szkolnego, we wrześniu, a zatem w kilka dni po jej jedenastych urodzinach. Na razie miała

przed sobą kilka tygodni swobody. Ślepo zakochana w niej babcia zabrała

wnuczkę do londyńskiego zoo, do Gabinetu Figur Woskowych Madame Tussaud oraz do magazynu „Harrods”, by jej kupić szkolny mundur.

Przekonawszy się, że córka jest całkowicie pochłonięta nowymi wrażeniami,

Gwen zajęła się własnymi sprawami.

Stało się dla niej jasne, że kryzys gospodarczy jest poważny. W dużych miastach na wystawach wielu sklepów widniały wywieszki: „Na sprzedaż” lub „Do wynajęcia”. Sklepy, które nadal prowadziły działalność, wyglądały dość przygnębiająco – obniżano ceny i urządzano wyprzedaże pod błahym pretekstem. Na ulicach ludzie w podniszczonych ubraniach sprawiali wrażenie przygnębianych. Wielu ulicznych pieśniarzy i muzyków usiłowało zarobić trochę grosza, dopóki nie przepędził ich policjant za tamowanie ruchu. Jednakże, w niektórych działach branży rozrywkowej panowało spore ożywienie. Na głównych ulicach budowano sale dansingowe – zwane *palais de danse* – oraz kina. I właśnie od kierowników tych przybytków Gwen otrzymała bardzo korzystne zamówienia. Informacji udzielił jej kupiec z „Liberty”.

RS

406

– Mój przyjaciel zainwestował pieniądze w nowo powstające kino w Manchesterze, pani Veetcha. Może byłaby pani zainteresowana udziałem w dekoracji wnętrza?

Gwen z początku pokręciła głową przecząco. ..

– Nie jestem dekoratorką wnętrza, panie Restham. Zajmuję się robieniem mebli.

– Tak, tak, rozumiem, ale widzi pani, w kinach też są potrzebne meble, choć w pierwszej chwili nie przyszłoby to pani do głowy. W foyer znajdują się krzesła, ławy, lady do sprzedaży słodyczy i lodów. Wydaje się także, że inwestorzy zamierzają zbudować loże jak w teatrze. Chcę mieć specjalne krzesła i chyba boazerie na... – Urwał i zaczął skubać siwy wąs, popatrując na Gwen ze starannie ukrywanym rozbawieniem. – Pani wie, jak sędzę, wiele z tych dużych, nowoczesnych kin ma tak zwany motyw przewodni to znaczy, jeśli chodzi o wystrój wnętrz. Niektóre są w stylu hiszpańskim, mauretańskim, jeszcze inne nowoorleańskim. To kino w Manchesterze ma się nazywać „Imperator” i wnętrze ma mieć w stylu japońskim. Teraz Gwen popatrzyła na niego z takim samym rozbawieniem.

– Od razu przychodzi panu do głowy, co? – zagadnęła. – Moje nazwisko.

– O tak, to prawda! Któż inny zna się tak dobrze na stylu japońskim i chińskim? W meblarstwie uważa się panią za wybitną orientalistkę, pani Veetcha. Toteż zastanawiam się... Czy wolno mi wspomnieć o pani obecności w Anglii mojemu przyjacielowi Arthurowi Grantowi? Arthur Grant zatrudnił ją prawie natychmiast, a ponadto przedstawił koledze, który chciał, żeby nowy *palais de danse* miał „chiński wygląd”. Na podstawie rysunków, jakie wykonała po obejrzeniu sali, zlecono jej zaprojektowanie krzesel i stołów, a także ekranów i parawanów do kabin, które

RS

407

miały tworzyć rzędy przy trzech bokach i okalać estradę. Zaoferowano za to

bardzo duże pieniądze.

– Nie szczędzimy wydatków – zapewnił ją Arthur Grant charakterystycznym dla mieszkańców wiosek z północy akcentem.

Podbudowana na duchu, Gwen wybrała się z Tammy na wycieczkę nad morze. Oczywiście, dziewczynka była przyzwyczajona do plaż i morza, ale

Brighton stanowiło dla niej zupełnie nowe przeżycie. Jazda elektrycznymi

samochodzikami na terenie wesołego miasteczka, długie, klejące się cukierki,

tłumy ludzi, którzy stali w kolejkach po herbatę, by wziąć ją ze sobą na kamienistą plażę, spektakle Puncha i Judy...

Nadszedł sierpień. Gwen przeprowadziła telefoniczną rozmowę z Jerome'em de Labasse, który już wcześniej błagał ją o przyjazd do Paryża.

Teraz miała trochę wolnego czasu na tę eskapadę. Tammy została pod opieką

babci tym chętniej, że zaprzyjaźniła się z właścicielem małej stadniny na peryferiach St Albans.

W Calais czekał na Gwen Jerome. Tak jak poprzednim razem, pojechali do Paryża pięknym wozem, ale teraz nie było w nim szofera.

– Trzeba oszczędzać, prawda? – zauważył Jerome, gramoląc się na

miejsce za kierownicą. Zmienił się bardzo niewiele. Właśnie skończył czterdzieści lat. Był nadal szczupły i wyglądał elegancko w lekkim niebieskim garniturze, choć miał chyba nieco pełniejszą twarz i kark. Czuł na sobie jej taksujące spojrzenie podczas jazdy.

- Aprobujesz mój wygląd czy nie?
- Co za pytanie! Po prostu tak się cieszę ze spotkania, że nie mogę oczu oderwać od ciebie.
- A ja od ciebie, kochanie. Dobry Boże, jak ty wypiękniałaś! Podobasz mi się z krótkimi włosami.

RS

408

- Naprawdę? Na pewno nie zaakceptowałbyś mnie w Singapurze; specjalnie nie zwracam tam uwagi na swój wygląd.
- To ty tak twierdzisz. Na pewno wyglądasz czarująco, zresztą tobie do twarzy nawet w stolarskim fartuchu. Jak to się dzieje, że mimo słońca wciąż masz taką jasną, delikatną cerę?
- Unikam słońca.
- Na pewno ciągle pracujesz, jak zawsze. To była jedyna wada, jaką u ciebie znalazłem: za bardzo pochłaniała cię praca.
- I tak jest nadal.
- Czy nie ma w Singapurze nikogo, kto by ci umiłał wolny czas? Nikogo, z kim mogłabyś podziwiać podzwrotnikowy księżyc?

- Zadajesz zbyt wiele pytań – odparła, śmiejąc się i rumieniejąc na twarzy.
- Aha.
- To ja ci mówię „aha”. Opowiedz mi o swoich dzieciach. Ile mają lat?
- Armand ma pięć, a Julia trzy. Urocze dzieci. Przy następnych światłach
wyjmę swój notes i zmuszę cię jak każdy zakochany ojciec, żebyś obejrzała ich zdjęcia.
- A twoja żona? Jak się ma?
- Klaudyna czuje się bardzo dobrze, dziękuję.
- Poznam ją?
- Oczywiście, jest w Cannes. To przecież sierpień, Gwen. Odwróciła od niego oczy i zaczęła patrzeć przez szybę. Jasne. Nikt, kto się liczył, nie zostawał w Paryżu w sierpniu. Po chwili powiedziała:
- A czy ty nie powinienesz być w Cannes?
- Jestem. To znaczy, przyjechałem do Paryża tylko na krótko.

RS

409

Nie pojmowała, jak mogła być taka głupia. Kiedy zadzwoniła do jego paryskiego apartamentu, słuchawkę podniósł, jak zwykle, służący Tibau. Kiedy się przedstawiła, Tibau powiedział z zapałem:

– Oczywiście, pani Veetcha. Pan de Labasse miał nadzieję, że pani zadzwoni. Polecono mi przekazać tę wiadomość.

Kiedy podała mu datę i godzinę przyjazdu, oświadczył:

– Pan będzie z panią w kontakcie.

Odbierając telefon od Jerome'a, nie domyśliła się, że dzwonił do niej ze swojej willei na Lazurowym Wybrzeżu.

– Wróciłeś tylko po to, żeby się ze mną spotkać?

– Naturalnie, że tak! Wróciłbym nawet z Sahary, żeby znowu spędzić z tobą trochę czasu.

Zabrzmiało to poważniej, niż sobie życzyła. Sądziła, że przeżyją dwa, trzy szczęśliwe dni, odwiedzą stare kąty, zobaczą się ze starymi przyjaciółmi.

Ale ton jego głosu sugerował, że myślał o ich spotkaniu zupełnie inaczej. Przez

dłuższy czas w ogóle się nie odzywała, a potem zaczęła mówić, starając się, by

zabrzmiało to serdecznie, lecz nie za serdecznie.

– Tak się cieszyłam na spotkanie z tobą, Jerome. Byłeś kimś ważnym w moim życiu... Właściwie gdyby nie ty, nigdy bym nie opuściła St Albans,

nigdy nie poznałabym Tamy...

Rozumiał doskonale, co chciała mu przez to powiedzieć.

– Ale Tama nie żyje – odrzekł.

– To jednak nie znaczy...

– Nie wyszłaś powtórnie za mąż.

– Nie, z początku w ogóle o tym nie myślałam, a teraz...

– Teraz masz kochankę, ale nie jesteś jego żoną. Z czego wnioskuję, że on jest już żonaty.

RS

410

– Jerome, próbuję ci tylko wytłumaczyć, że nie możemy oczekiwać, iż wszystko będzie tak jak dwanaście lat temu.

– Dlaczego nie? – odparł pogodnym tonem, w którym wyczuwało się jednak napięcie. – Moja droga Gwen, nigdy nie przestanę żałować, że pozwoliłem ci odejść! Powinienem był się z tobą ożenić.

– O tak .A twoja rodzina byłaby bez wątpienia tym zachwycona.

– Och, rodzina... Jerome umilkł. – Moja rodzina chciała, żebym się ożenił i ustatkował – wyznał wreszcie. – Chodziło o dzieci, które odziedziczyłyby majątek. No cóż, wszystko zostało zaaranżowane...

– Zaaranżowane!

– Nie bądź zszokowana. Jestem pewien, że pamiętasz, iż tym sprawom poświęca się stosowną uwagę, ale pozwala się też na pewną tolerancję.

– Chodzi o tolerowanie czego? Wiem, co masz na myśli, Jerome. Muszę jednak zapytać, jak Klaudyna zapatruje się na sposób, w jaki ty korzystasz z tej

„tolerancji”?

– Klaudyna jest inteligentną kobietą. Poza tym... ona również z niej korzysta.

– Wobec tego jesteście idealnym małżeństwem – Gwen pokręciła głową.

– Możesz żartować, ale to prawda. Klaudyna i ja żyjemy ze sobą całkiem

dobrze. Dzieci są miłe. Bycie ojcem jest przyjemniejsze, niż sądziłem, no, ale

nie można być ojcem c a ł y czas.

- Nie podoba mi się ta rozmowa, Jerome. Przyjechałam do Paryża, żeby się zobaczyć ze starymi przyjaciółmi, a także nawiązać nowe kontakty handlowe. W moich planach nie było mowy o francuskiej tolerancji i tym podobnych rzeczach...
- Och, daj spokój, Gwen... Chyba nie chcesz powiedzieć, że myślałaś, iż moglibyśmy być tylko przyjaciółmi...

RS

411

- Tak właśnie myślałam.
- Cóż za naiwność. Cały czas zamierzałem zaciągnąć cię do łóżka...
- Och, doprawdy? – odparła ze śmiechem. – A gdybyś zobaczył, że z promu schodzi żylasta, wysuszona kobieta ze zmarszczkami na twarzy i włosami jak badyle, to w dalszym ciągu chciałbyś się kochać?
- Ha! – uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Zapominasz o fotografiach, które mi przysłałaś. Niestety, byłaś na nich czarno-biała, ale uśmiechałaś się do mnie spod tych cudownych palm... Wiedziałem, że jesteś niezwykle atrakcyjną kobietą, tyle że teraz sto razy bardziej atrakcyjną, bo tak strasznie za tobą tęskniłem.
- To pochlebstwo...
- Powiedz, że się za mną stęskniłaś, Gwen.
- Nie, mówię szczerze, Jerome – starannie dobierała słowa. – Kiedy pojechałam do Japonii, byłam tak przytłoczona tym krajem, że prawie o tobie

nie myślałam. A potem, po trzęsieniu ziemi, kiedy dotarłam do Singapuru, musiałam stoczyć taką walkę o przetrwanie... Być może wówczas brakowało mi ciebie, ale tylko jako przyjaciela, mój drogi. W odpowiedzi skrzywił się i zdjął dłonie z kierownicy, by wyrazić gestem swoją konsternację.

- Nie myślałem, że będę miał tak trudne zadanie!
- Jakie zadanie? I na miłość boską, uważaj, jak jedziesz.
- Żeby cię przekonać.
- Daj sobie spokój, Jerome!

W atmosferze przyjacielskiej sprzeczki dojechali do przedmieść Paryża.

- Dokąd zmierzasz? – zapytała Gwen.
- Oczywiście do apartamentu.
- Spodziewasz się, że natychmiast wskoczę do twojego łóżka?

RS

412

- Nie, oczywiście, że nie, ale zostawimy twoje rzeczy...
- Zarezerwowałam pokój w Lutetii.
- Nie rozumiem?
- Zrobiłam to telefonicznie. Nie ma się czemu dziwić, Jerome. Nawet przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że zechcesz, bym się zatrzymała w twoim mieszkaniu.
- Och, cóż, możemy unieważnić rezerwację...
- Wcale nie. Chcę się zatrzymać w Lutetii. Podałam ten adres paru

biznesmenom, którzy chcą się ze mną skontaktować.

– Możemy poprosić recepcję, żeby przekazywała ci wiadomości...

– Jerome, zostanę w Lutetii. Numer telefonu do tego hotelu ma także moja matka na wypadek, gdyby Tammy chciała ze mną porozmawiać albo

gdyby coś się stało. Jeżeli możesz, skręć teraz na prawo.

– Ależ ty jesteś uparta, Gwen!

– Bardzo cię proszę, przy następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.

Jerome wyraźnie zbity z tropu usłuchał jej polecenia. Niemal w zupełnym

milczeniu odprowadził ją do hotelu Lutetia przy boulevard Raspail. Miał ochotę wejść z nią do środka, ale Gwen mu w tym przeszkodziła, podając rękę

na pożegnanie.

– Gwen! – zaprotestował. Wyglądał jak mały chłopiec, któremu właśnie nie pozwolono zjeść loda.

– Możemy się zobaczyć dziś wieczorem, jeżeli chcesz.

– Jesteś pewna, że nie zaprosi cię na kolację żaden z twoich biznesmenów?

– Jeżeli mnie zaprosi, odmówię. No, nie dąsaj się, kochanie. Albo dziś wieczorem jemy kolację w przyjacielskiej atmosferze, albo mówimy sobie

teraz do widzenia i na tym koniec.

RS

wyprostował
się.

– Na tym koniec, akurat! Kto to powiedział: „Jeszcze nie zacząłem walczyć”? Chyba jakiś zwariowany Amerykanin. W każdym razie cytuję go, więc się strzeż.

Gwen patrzyła, jak odjeżdżał. Następnie pokiwała głową i weszła do hotelu. W recepcji czekały na nią wiadomości. Kiedy znalazła się w swoim

pokoju, zamówiła herbatę, wypiła ją w trakcie rozpakowywania rzeczy, a

następnie zasiadła do telefonu, by porozmawiać z biznesmenami, którzy do

niej dzwonili. Zdążyła wykręcić pierwszy numer, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Otworzywszy je, ujrzała wielki bukiet róż, z za którego nie widać było małego

gońca hotelowego.

– Dla pani, madame.

Na kartce widniał napis: „Właśnie zacząłem walczyć”.

Pół godziny później, kiedy już uporała się z rozmowami w interesach i szycowała się do kąpieli, znowu rozległo się pukanie. Tym razem przyniesiono

wielki bukiet goździków. „Nadal walczę” – głosiła kartka. Następnie przysłano

jej naręczę gardenii z załączoną karteczką: „Walka toczy się dalej”.

Z każdą wizytą goniec uśmiechał się coraz szerzej – pokój zaczynał przypominać kwiaciarnię. Co pół godziny wnosił nowe kwiaty, aż wreszcie o

wpół do dziewiątej wieczorem pojawił się sam Jerome z orchideami.

– Na wojnie i w miłości dozwolone są wszystkie sztuczki – oświadczył, wyciągając ku niej bukiet.

– Jerome, jesteś zupełnie szalony!

–Gdzieś wyczytałem, że miłość to boskie szaleństwo. Moja kochana, wyglądasz prześlicznie.

RS

414

Gwen miała na sobie wieczorową suknię z czarnego atłasu, która ściśle przylegała do jej ciała, opinając zgrabne pośladki. Do wąskiego ramiączka

przypięła orchideę Jerome'a. Ofiarodawca dobrał je starannie, by miały rudawy

odcień, odrobinę jaśniejszy od włosów Gwen. Rozejrzył się po pokoju.

– Zdaje się, że popełniłem błąd. Przez te kwiaty prawie nie mam gdzie wziąć cię w ramiona.

– Przecież przyszedłeś tu po to, żeby mnie zabrać na kolację.

– Jeżeli zaproszę cię na kaczkę do „Tour d'Argent”, czy twoje serce zmięknie?

– Nie, ale na pewno poprawi mi się nastrój. Kiedy jestem głodna, robię się zła.

– *Zut alors*, pędzimy do restauracji. Przy rozgniewanej kobiecie moja miłość łatwo mogłaby umrzeć.

W restauracji już ich oczekiwano. Na stole stały kwiaty, a potrawy również zostały wybrane. Wino, do którego Gwen raczej nie przywiązywała

wagi, było najlepszego gatunku.

Z kolacji wyszli o północy. Była jasna sierpniowa noc. Wokół migotały światła Paryża. Bez względu na kryzys, to miasto zawsze było piękne i kusilo

luksusem. Samochód Jerome'a stał przy quai de la Tournelle, w pobliżu mostu.

- Jedziemy na avenue Foch, prawda? – zapytał.
- Jedziemy na boulevard Raspail.
- A ja wydałem tyle pieniędzy na kwiaty, jedzenie i wino. Co za niewdzięczność!
- Och, gdybym wiedziała, że spróbujesz mnie przekupić, zażyczyłabym sobie szmaragdów.
- , – Szmaragdów? Więc dzięki nim dałabyś się namówić? W porządku, jutro z samego rana będziesz miała szmaragdy.

RS

415

– Jerome, bądź poważny!

Westchnął i nie było w tym żadnego udawania. W ten sposób wyrażał zdumienie.

– Proszę, Gwen – powiedział. – Jestem poważny. To naprawdę nie jest gra. Chcę, żebyś zrozumiała... Tak bardzo cię pragnę, że nie mogę myśleć

normalnie. Kochanie, proszę cię, przestań udawać. Niech będzie między nami

tak jak za dawnych lat.

Wziął jej dłonie i położył je sobie na piersi, jakby chciał, żeby poczuła bicie jego serca. Gwen wyzwoliła się delikatnie z uścisku Jerome'a, a następnie

dotknęła jedną ręką jego policzka.

– Naprawdę cię kocham, Jerome – odparła. – Ale nie miłością fizyczną. Nic na to nie poradzę, tak właśnie jest.

– Och, jeśli tylko o to chodzi! – zawołał, a w jego głosie od nowa

zabrzmiała nadzieja. – Mogę sprawić, że mnie zapragniesz, Gwen.
Postaram się, żebyś mnie pożądała całym ciałem.
Wróciła pamięcią do tamtych dni, jak gdyby wszystko działo się od nowa
– ona oszołomiona wdzięcznością i poczuciem, że nie powinna się bronić przed jego stanowczością; on – zdecydowany, by być jej kochankiem, jej pierwszym kochankiem. Zawsze będzie mu wdzięczna. Dzięki niemu dowiedziała się o swoim ciele tego, czego być może nigdy by nie poznała bez takiego nauczyciela jak Jerome. Na myśl o tamtej nocy cicho westchnęła.
Jerome objął ją i Gwen poczuła, że jej serce topnieje jak wosk. Ale pragnęła być wierną kochanką. Na drugim końcu świata, gdzieś pod jasnym niebem o północy, ktoś za nią tęsknił, wierzył jej. Zesztywniała w uścisku Jerome'a.
– Nie, mój drogi, to byłoby nieuczciwe.
– Wobec kogo? Wobec mnie? Ja potrafię myśleć, Gwen. A może wobec ciebie? Dlaczego nie miałabyś przeżyć chwil szczęścia i radości...

RS

czeka.

– Ach! – odrzekł i oparł się mocniej o fotel. – Ach, rozumiem.

Nastąpiło długie milczenie.

– Zdaje się, że madame mówiła o boulevard Raspail? – powiedział wreszcie.

Uruchomił silnik wozu. Doprowadził ją do holu, ale nie pytał, czy może wejść z nią na górę. Gwen ucałowała go w policzek na dobranoc. Był uległy

jak dziecko.

Następnego ranka miała wyjść z hotelu o dziewiątej, na pierwsze spotkanie w interesach, kiedy zadzwonił do niej recepcjonista z wiadomością,

że na dole czeka pan de Labasse i chciałby z nią zamienić parę słów.

– Proszę powiedzieć panu de Labasse, że właśnie schodzę i zobaczę się z

nim w holu.

Zerknęła po raz ostatni w lustro – nieco oficjalny kostium z białego jedwabiu, czarne buty, czarna torebka i słomkowy kapelusz–i udała się do

windy. Jerome krążył niespokojnie. Przyszła jej do głowy straszliwa myśl.

– Jerome, jeżeli rzeczywiście przyniosłeś szmaragdy, uznam, że zupełnie

zwariowałeś!

– Nie, Gwen, jestem normalny. Proszę, czy możemy porozmawiać?

Chcę

się przed tobą wytłumaczyć.

– Jerome, kochanie, nie mam czasu. Za kwadrans muszę być w biurze „Lesgosts Freres”.

– Proszę cię, zadzwoń i przełóż to spotkanie.

– Ani mi się śni, Jerome. To ważna transakcja.

– To też jest ważne.

RS

417

Wiedziała, że mówił serio, jednakże nie mogła tak stać i go wysłuchiwać.

W związku z braćmi Lesgosts proponowano, by zaprojektowała wystrój *appartements meubles*, budowanych w pobliżu Bois. Przewidywano, że zamieszkają w nich zagraniczni dyplomaci, toteż miały się wyróżniać bardzo

wysokim standardem. Gdyby zdobyła kontrakt na te meble, oznaczałoby to

współpracę z najlepszymi dekoratorami wnętrz we Francji oraz zarobienie dużych pieniędzy.

– Nie mogę ich zbyć, kochanie, naprawdę nie mogę. Musisz mi uwierzyć.

– W takim razie musimy się spotkać potem.

– Mam lunch z szefem „Caradon”.

– No, to dziś po południu...

– Nie, Jerome, naprawdę. Zapełniłam cały dzień spotkaniami służbowymi.

Chciałam wykorzystać każdą chwilę, bo wiedziałam, że będę w Paryżu bardzo krótko.

– Bardzo krótko! – powtórzył w goryczą. – Dla mnie masz tylko trochę czasu...

– Jerome – przerwała – mam w Anglii dziesięcioletnią córkę. Te słowa

sprawiły, że przestał się koncentrować na swojej osobie.

– Oczywiście, przepraszam – na pewno myślisz, że jestem nieczułym egoistą. Naturalnie, nie możesz tu długo przebywać, chcesz wracać do...

Jak

ona się nazywa? Do Tammy. Ale mogłabyś wszystko zmienić...

– Muszę iść, Jerome.

– Przyjdź dziś wieczorem na avenue Foch.

– Nie, nie...

– Tylko na drinka i rozmowę, Gwen, obiecuję.

– Nie chcę tam iść. Nie moglibyśmy znowu pójść gdzieś na kolację?

RS

418

– Ale tu chodzi o coś ważnego, osobistego, o naszą przyszłość. Nie możemy o tym rozmawiać w restauracji.

Spojrzała na zegarek. Była już spóźniona na spotkanie. Przed hotelem czekała taksówka z włączonym licznikiem.

– Dobrze, w apartamencie. O której?

– Jak tylko załatwisz swoje sprawy, Gwen. Będę czekał.

Wypadła biegiem, wskoczyła do taksówki, podała adres biura „Lesgosts Freres” i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że zrobiła głupstwo,

wyrażając zgodę. No cóż, zadzwoni do niego później i powie mu, że jednak nie

zdaży na spotkanie.

Ale dzień zleciał bardzo szybko na sympatycznych rozmowach z przedstawicielami

branży meblarskiej, z szefem firmy zajmującej się nieruchomościami, z ich dekoratorami wnętrz. Gwen zdobyła kontrakt na umeblowanie apartamentów, przy czym dekorator zamierzał wprowadzić sporo lakierowanych elementów, prosił o sporządzenie szkiców, a nawet chciał, żeby

praca została wykonana w Singapurze.

– Widziałem niektóre przysłane przez panią prace – powiedział – i chcę, żeby meble dla mnie były równie ładne.

A zatem przywiezie zlecenia dla Woo Jonga i Lee Pan Suma, a nawet dla

Bertiego Hurdena, którego obrazy orientalnych lagun zdawały się idealnie

pasować do lakierowanych sprzętów. Odczuwała radość: w Singapurze nastąpiły

ciężkie czasy i miło było pomyśleć, że pomoże zarobić przyjaciołom.

Wreszcie znalazła parę wolnych minut po południu przed kolejnym spotkaniem. Weszła do baru w pobliżu Opery i poprosiła o żeton do telefonu.

Jednakże kiedy miała wykręcić numer Jerome'a, zawahała się.

Cóż on powiedział? „Chodzi o coś ważnego, osobistego, o naszą przyszłość”. Naszą przyszłość? Jaką przyszłość? Chyba nie myślał o rozbiciu

RS

inną okazję, a następnie wyszła w stronę placu Vendôme na umówione spotkanie. To spotkanie było bardzo ważne i musiała mu poświęcić dużo uwagi, gdyż chodziło o możliwość robienia interesów przez jej ojczyma w

warsztacie w St Albans. Wally Baynes miał wyłączne prawo do odtwarzania

projektów Gwen na terenie Europy i w rezultacie powodziło mu się lepiej niż

producentom mebli, których nękała recesja. Jednakże chętnie przyjąłby każde

dotatkowe zlecenie, a sieć francuskich sklepów meblowych „Petouche” miała

ją poprosić o to, by zrobiła specjalnie dla nich zestaw mebli do jadalni.

Tuż po piątej Gwen wróciła do hotelu Lutetia. W pokoju unosił się zapach kwiatów od Jerome'a. Wzięła kąpiel i przebrała się w jedną z dwóch

sukien wieczorowych, jakie ze sobą przywiozła – w prostą sukienkę z niebieskiej żorżety. Przyłożyła do niej orchidee z poprzedniego wieczoru,

stwierdziła, że wyglądają skromnie, potem przymierzyła gardenie, aż w końcu

pomyślała, iż usiłuje wyglądać pociągająco, a nie powinna, i wyszła bez żadnego bukiecika.

Drzwi apartamentu otworzył jej Tibau. Bardzo posiwiiał, ale poza tym nie

dostrzegła w nim zmian. Wziął od niej żorżetową pelerynkę, która stanowiła

uzupełnienie sukni, i wprowadził ją do małego saloniku. Był to jeden z pokoi,

w którym znalazły się projektowane przez nią meble. Jerome zachował oryginalny wystrój wnętrza, z wyjątkiem nowej jedwabnej tapety.

Doskonale

pamiętała swoje rysunki kanap i stolików...

Przy oknie stał Jerome. Przemaszerował przez pokój, żeby ją objąć i ucałować na powitanie.

- Kochanie, jakże ty musisz być zmęczona! Czego się napijesz?
- Proszę o campari z wodą sodową, Jerome. Tak, jestem zmęczona, to był długi dzień.

RS

420

– Udany?

– Bardzo.

– Gratuluję.

Uśmiechnął się, zdradzając autentyczne zadowolenie.

– Robienie interesów w Paryżu po latach musi się wydawać dziwne?

– Tak, język bardzo się zmienił od czasu, kiedy tu byłam ostatnio: więcej

slangu, mniej oficjalnych zwrotów.

– Ach, to wpływy amerykańskie. Czy w Singapurze są Amerykanie? – Kilku – odparła.

Nagle wyobraziła sobie Sama Prospera, siedzącego za biurkiem z ciemnego drewna, w pokoju pełnym orchidei. Żałowała, że go teraz przy niej

nie było. Jego przenikliwy umysł, krytyczne oko... Bardzo by jej pomógł w

rozmowie, która miała teraz nastąpić. Czuła, że będzie to ważne. Jerome 252

przyniósł jej drinka. Piła go z wdzięcznością. Gorące paryskie lato nie było dla

niej kłopotliwe, ale natężenie ruchu ulicznego, hałas, długie godziny w dusznych biurach...

– Chciałem ci się lepiej wytłumaczyć – powiedział Jerome. – Sądzę, że mogłaś odnieść niewłaściwe wrażenie.

– Nie – odparła z uśmiechem. – Wyraziłeś swoje zamiary w absolutnie szczerzy sposób.

– To była tylko część prawdy. Oczywiście, pragnę się z tobą kochać, Gwen. Ta myśl dręczyła mnie od chwili, gdy usłyszałem twój głos przez telefon. Ale nie chodzi tylko o to... To nie nostalgia za przeszłością...–

Zrobił krótką pauzę. – Chociaż z perspektywy czasu widzę, że nigdy nie byłem wobec ciebie dostatecznie uczciwy.

– Drogi Jerome, nie ma potrzeby...

RS

421

– Ależ tak, chcę, żebyś zrozumiała. Naturalnie, od samego początku pragnąłem pójść z tobą do łóżka. Byłaś bardzo ładna, utalentowana i taka ufna.

Czułem, że cię posiadam. Nie uświadamiałem jednak sobie, że cię kocham.

Dopóki nie zaczęłaś żyć z Tamą.

Gwen odstawiła szklankę i wstała z krzesła. Nie chciała rozmawiać ze swoim byłym kochankiem o nieżyjącym mężu.

– Byłem zazdrosny, kiedy przekonałem się, ile dla ciebie znaczył. Powinienem był próbować cię odzyskać, ale nie wiedziałem jak. Byłem znany z tego, że potrafiłem się rozstawać z kochankami w przyjaźni. Czułem,

że

muszę sprostać tym wyobrażeniom, ale myliłem się.

– Jaki sens ma wałkowanie tej sprawy, Jerome?

– Potem wyjechałaś. Spodziewałem się, że wrócisz za jakiś rok, a wtedy zdołam cię odzyskać. Ale ty nie przyjeżdżałaś tak długo, a potem napisałaś, że

oczekujesz dziecka. Chyba w tym momencie uznałem, że wszystko jest skończone.

Skinęła głową.

– Bo tak rzeczywiście było.

– Poznałem Klaudynę i przeszliśmy typową fazę zalotów... – uśmiechnął się ironicznie. – No cóż, później oczywiście wziąłem ślub i „ustatkowałem

się”, mieliśmy dzieci. Wszystko się układa bardzo dobrze... Wiem, że jestem

szczęściarzem. Ale odczuwam pustkę, Gwen.

– Kochanie, wszyscy ponosimy jakieś straty i każdy odczuwa pustkę, przywołując pewne wspomnienia.

– Oczywiście, rozumiem, straciłaś męża. Nie twierdzę, że cierpiałem tak jak ty. Czulem po prostu cały czas, że czegoś mi brakuje. Aż do tej chwili.

– Teraz jest inaczej?

RS

422

– Tak, kochanie. Mamy drugą szansę. Nie wierzyłem własnemu szczęściu, kiedy powiedziałaś, że chcesz się ze mną zobaczyć.

Rozumiem, że

to znaczyło, iż nadal coś do mnie czujesz...

– Ależ już ci tłumaczyłam, Jerome...

– Tak, tak, wiem, darzysz mnie przyjaźnią. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że to specjalny rodzaj przyjaźni. Ostatniego wieczoru znalazłaś się w moich ramionach i przez chwilę miałem wrażenie, że wszystko jest tak jak dawniej.

– Nie było. Już ci mówiłam...

– Że to byłoby nieuczciwe wobec twego kochanka w Singapurze.

Oczywiście. Honor wymaga, byś dochowała mu wierności. Jedna czy dwie

noce rozkoszy tylko sprawiłyby mu zawód, jak to wy Anglicy mówicie.

Sęk w

tym, powinienem był ci to wyjaśnić na samym początku, że nie chodzi o jedną

noc czy dwie. Chcę, żebyś tu ze mną została, Gwen.

Gwen podniosła szklanę, machinalnie obróciła ją w palcach parę razy, a

potem odstawiła.

– Co ci przyszło do głowy?!

– Gwen, to jedyna sensowna rzecz, jaką bym zrobił. W gruncie rzeczy Klaudyna i ja nie kochamy się. Zrozumiałaby, że ja zawsze kochałem tylko

ciebie. Czy nie widzisz, Gwen, że gdybyś zdecydowała się zostać w Paryżu,

zaczęłabyś wszystko od nowa. Kimkolwiek jest ten mężczyzna, musiałby się

pogodzić z faktem, że wasz romans się skończył. W każdym razie, Paryż jest

dla ciebie najodpowiedniejszym miejscem do życia. Tu zdobyłaś artystyczną

sławę. To jest światowe centrum *art deco*. Mogłabyś podjąć tu działalność od

nowa...

– Chwileczkę, Jerome, zaczekaj!

Jego tyrada tak ją zbulwersowała, że z trudem zebrała myśli.

RS

423

– Uporządkujmy to wszystko. Nie zastanawiajmy się nad moją karierą zawodową. Nie martw się, sama potrafię nią pokierować. Przede wszystkim, co z nami?

– Chcę, żebyśmy byli razem do końca życia!

– Ależ, Jerome!

– Wiem: twoja córka. Przecież mogłabyś ją sprowadzić do Paryża. Tutaj są szkoły dla dziewczynek znacznie lepsze niż w Anglii. Szybko by się przyzwyczaiła.

– Nie myślałam o Tammy, jeszcze do niej nie doszłam. Chcę wiedzieć, co będzie z nami.

– Zaczniemy jeszcze raz. Udowodnię ci, że wiem, jak głupio postąpiłem, pozwalając ci odejść!

– Uspokój się, Jerome! Proszę, uspokój się. Usiadła obok niego na kanapie i wzięła go za rękę.

– A teraz, powoli, wyraźnie... odpowiedz mi... Czy sugerujesz, że zostawiłbyś dla mnie Klaudyne?

– Słucham?

– Czy myślisz o rozwodzie?

– O rozwodzie?

– A więc nie myślisz o tym – i było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie

skierowane do Jerome'a.

– W mojej rodzinie nigdy nie było rozwodu – odparł oszołomiony.

– To znaczy, proponujesz mi, żebym przyjechała do Paryża i została twoją kochanką.

– Och, Gwen, wiesz, jak trwały może być taki związek! Pójdziemy do adwokata sporządzić umowę...

RS

424

– Jerome! – Odchyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć. – Więc na tym polegały wszystkie twoje uczucia? Chcesz mnie ulokować w jakimś apartamencie i zapewnić mi pensyjke oraz pudła.

– Nie o to mi chodzi! – chwycił ją w ramiona i zaczął nią potrząsać. – Wiesz dobrze, że nie o to! Chcę, żebyśmy żyli razem, jak w małżeństwie, które

nie zostało oficjalnie zawarte. Byłabyś wolna. Dobry Boże, nie sądzisz chyba,

że zrobię z ciebie kokotę: zajmowałabyś się swoją pracą, miałabyś przy sobie

swoją córkę. Przysięgam, że byłbym dla niej jak ojciec, Gwen.

Uwolniła się z jego objęć.

– Dość już tego.

Wstała z kanapy i odsunęła się od niego. On również wstał, ale kiedy próbował wziąć ją za ramię, nie dała mu się dotknąć.

– Spodziewałam się chyba, że zaproponujesz mi małżeństwo. Ale nawet gdybyś mi złożył taką ofertę, odpowiedziałabym „nie”.

– Nie podejmuj pochopnie decyzji, Gwen. Widzę, że źle to rozegrałem,

wprawiłem cię w zły nastrój...

– Nie jestem zła, jestem przerażona! Wciąż nie umiem zrozumieć ludzi. Jerome, zrobiłam głupstwo, przychodząc tutaj. Sądziłam jednak, że na to zasługujesz, gdyż wydawało mi się, że zamierzasz rozbić dla mnie swoje małżeństwo.

Nachmurzył się, a jego opalona na słonecznej Riwierze twarz pobladła.

– Och, nie, tego nie mógłbym zrobić.

Natychmiast poczuła, że ma ochotę się śmiać. Było w nim tyle arystokratycznej zarozumiałości. Uważał, że to, co czyni, jest akceptowane

przez innych. Biedny, kochany Jerome... Kochała go kiedyś i zawsze będzie go

kochała. Był jednym z najważniejszych mężczyzn w jej życiu. Ale nie rozumiała go, a on z pewnością też jej nigdy nie rozumiał.

RS

425

– Posłuchaj mnie – zaczęła. – Będę tu jeszcze dwa dni, a potem wracam do Anglii, żeby umieścić Tammy w szkole. Z Anglii płynę z powrotem do

Singapuru...

– Nie, Gwen, nie wyjeżdżaj!

– Muszę. Mam tam firmę, robotników, których los zależy ode mnie.

– I nie tylko robotników! – przerwał jej gniewnie Jerome.

– To prawda, nie tylko ich. Jest tam ktoś, kto mnie kocha i potrzebuje.

– To ja potrzebuję ciebie, Gwen.

– Nie tak jak Terence – powiedziała.

Terence nie miał ugruntowanej pozycji w społeczeństwie, nie odziedziczył pieniędzy. Jego posada robiła się z każdym dniem coraz bardziej niepewna. Miał żonę, która nie mogła dać mu dzieci i nie widziała świata poza kościołem. Terence przeżywał teraz okres niepewności i był mniej odporny na ciosy.

– Usiłuję tylko powiedzieć, że jeśli chcesz, byśmy pozostali przyjaciółmi,

to będę tutaj jeszcze pojutrze, a potem jadę do domu. Teraz wracam do hotelu, żeby coś zjeść i wcześniej się położyć do łóżka.

– Nic pojmuję, dlaczego nie możesz tu zostać i porozmawiać ze mną jak osoba dorosła.

– Już dosyć się nagadaliśmy, mój drogi. Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Dobranoc, Jerome.

Wyszła, podczas gdy on próbował wymyślić sposób, by ją zatrzymać. W holu na dole pojawił się Tibau, żeby narzucić jej na ramiona pelerynkę.

– Madame wychodzi bez kolacji? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Obawiam się, że nie mogę zostać, Tibau.

– W takim razie, jeżeli madame zechce usiąść, zadzwonię po taksówkę.

– Nie, dziękuję. Na pewno złapię jakąś na ulicy.

RS

426

– Madame, czy nie zaszła jakaś pomyłka?

– Nie, Tibau – odparła, wychodząc za nim przez otwarte drzwi. – To nie

pomyłka.

RS

427

20

Zamówienia, które Gwen przywiozła z Europy, zapewniły „Veetcha Furniture” byt przez cały następny rok. I dobrze się stało, albowiem obroty

handlowe znacznie spadły. Plantacje kauczuku w głębi kraju zarastały dżunglą,

nie pracowały kopalnie cyny, zmalała ilość przeładowywanych towarów.

Wszyscy musieli poczynić oszczędności. Gwen rozstała się ze swoim ogrodnikiem, który był zarazem szoferem oraz jednym ze służących, a potem

zaczęła rozważać możliwość zwolnienia niektórych rzemieślników.

Miała

jednak sporo szczęścia. Zrobiła się modna wśród hollywoodzkich producentów

filmowych, którzy zlecili jej wykonanie mebli do wspaniałych rezydencji w

Beverly Hills, co wiązało się z podróżą do Kalifornii. Zarobione w ten sposób

pieniądze pozwoliły jej utrzymać wszystkich pracowników, a także wspomóc

warsztat meblarski w St Albans, gdzie matka i ojczym z trudem wiązali

koniec

z końcem, i opłacić chesne Tammy, które było wysokie.

Na pierwsze letnie wakacje Tammy wróciła do Singapuru. W następnym roku Gwen popłynęła do Anglii. Według tego wzorca Tammy powinna była

zjawić się w Singapurze w 1936 roku, ale napisała, że chciałyby pojechać na

wakacje do rodziny jej przyjaciółki Rosemary. Obydwie zamierzały wziąć

udział w konkursach skoków, „to byłaby taka świetna zabawa, proszę, zgódź

się, mamusiu... ”

Prawdę mówiąc, Gwen poczuła ulgę. W tym roku wygrzebanie pieniędzy

na rejs przyszkoby jej z trudem. Jednakże świadomość, że nie zobaczy córki

przez następny rok, bardzo ją zmartwiła, toteż przez wiele tygodni nie potrafiła

się niczym cieszyć.

Terence O'Keefe również miał kłopoty. Na początku 1937 roku firma „Greater Malayan Freight” wezwała go na spotkanie do Hongkongu.

RS

428

Poproszono menedżerów wszystkich portów Dalekiego Wschodu o przedstawienie

raportów dotyczących sytuacji w handlu oraz prognozy na przyszły

rok. Terence był przerażony.

– To oznacza zwolnienie. Wiem, że mnie wyrzucą – oświadczył Gwen w

wieczór poprzedzający wyjazd. – Robią redukcje wśród pracowników. Z ich

punktu widzenia jest to bardzo rozsądne posunięcie.

– Muszą przecież mieć kierowników ekspedycji w głównych portach, Terence...

– Już zgodziłem się na obniżkę pensji. Jeżeli poproszą mnie o zgodę na kolejną, rzucę tę posadę!

– Nie idź na kompromis, kochanie. Po prostu przedstaw im fakty i nie bój

się walczyć o siebie.

– Zrobię to, nie martw się. Jeżeli zaczną coś kręcić, wygarnę im prawdę w oczy.

Gwen domyślała się, że od jakiegoś czasu państwo O'Keefe żyli z pieniędzy Molly, a zatem nie groziło im przymieranie głodem. Ale gdyby

GMF zwolniła Terence'a, jego wyjazd do Irlandii był niemal pewny.

Wprawdzie on sam uwielbiał Daleki Wschód i status, jakim cieszyli się tutaj

Europejczycy, ale Molly często napomykała o „ojczyźnie”. A więc nie dość, że

Gwen była przygnębiona brakiem kontaktu z Tammy, to jeszcze obawiała się,

iż Terence mógłby wyjechać. Otuchy dodawał jej jak zwykle Sam Prosper.

– Jasne, że GMF zamierza zredukować personel. Ale gdyby ten bałwan choć odrobinę znał się na interesach, toby pojął, że wylani z posad zostaną

zastępcy kierowników.

– Tak myślisz, Sam? – zapytała radośnie Gwen, czując po chwili zawstydzenie, gdyż okazała się okrutna wobec młodszych menedżerów.

RS

429

Zjawiała się na przyjęciu wydanym przez Sama, który twierdził, że obchodzi urodziny. Gwen była niemal pewna, iż nie mówił prawdy.

Rzadko

urządzał przyjęcia, ale zawsze miały one wyjątkowy charakter. O zaproszenia

ubiegali się wszyscy, nawet ci, którzy odnosili się do niego z dystansem ze

względu na jego podejrzone interesy.

Jedną z atrakcji stanowiła zgromadzona przez Sama kolekcja płyt. Od dawna pasjonował się jazzem, miał albumy: *King Olivera* i *Jellyroll Mortona*.

Tańczące pary uwielbiały długie, powolne takty bluesa – muzyki idealnie

pasującej do klimatu, w którym energiczny taniec po całym dniu zajęć zanadto

wyczerpywał.

Kiedy teraz rozmawiali, w dużym salonie za ich plecami klarnet wyczarowywał smutną, perlistą melodię na temat *Blue Moon*. Wokół słychać

było śmiechy i leniwie prowadzone rozmowy. W powietrzu unosił się zapach

orchidei Sama. Dochodziła druga nad ranem.

– Wiesz, co ci powiem – zaczął Sam, rozwalając się na wyplatany krześle. – Niedługo nikt nie będzie musiał się martwić sytuacją

finansową.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Ponieważ „dobrobyt jest tuż za rogiem”.

– Och, politycy ciągle o tym mówią, ale ten róg musiał się chyba zamienić w koło.

– Nie, to prawda. W każdej chwili do Singapuru mogą napłynąć pieniądze.

– Sam, co masz na myśli?

Sam dotknął zwisającego lampionu, który zaczął się kołysać, raz oświetlając jego wąską, pociągłą twarz, to znów kryjąc ją w cieniu.

RS

430

– Może nie powinienem o tym mówić, ponieważ byłaś kiedyś żoną Japończyka, ale czy zauważyłaś, co przez ostatnie kilka miesięcy wyrabiają w

Chinach jego rodacy?

– Och, o to chodzi...

Naturalnie, że zauważyła. Japońskie czasopisma i gazety, które kupowała

od czasu do czasu w sklepach przy Hailam Road, przybierały coraz ostrzejszy

ton. Gdyby nie pamięć o Tamie, przestałyby je czytać. Wprawdzie jej córka

uparcie twierdziła, że nie zależy jej na japońskim dziedzictwie, ale mógł nadejść dzień, w którym życzyłaby sobie odwiedzenia ojczyzny swojego taty,

bo przecież uznawano go za jednego z ostatnich wspaniałych lakierników.

Gwen czytała o sławie Tamy, usiłując podtrzymać znajomość języka

japońskiego. Wieczorami, jeżeli nie miała nic innego do roboty, zadawała

sobie trud lektury po japońsku. W miarę możliwości starała się też rozmawiać

po japońsku z właścicielami sklepików. Jakoś trudno było sobie wyobrazić, że

coś łączyło tych małych, uśmiechniętych, grzecznych ludzi z japońskimi oddziałami obecnie „przeprowadzającymi manewry” w Chinach. Nie potrafiła

odgadnąć, o co im chodzi.

– Wszystko rozejdzie się po kościach – skomentowała uwagę Sama.

– W Mandżurii jakoś się nie rozeszło, prawda? Są tam nadal i trzymają w

garści kawałek Chin, który do nich nie należy.

– Nie powiesz mi, że zajmą Pekin?

– Jasne, że tak.

– Och, mówisz bzdury, Sam! To oznaczałoby wojnę.

– Nie, w ten sposób poszerzają jedynie... Jak oni to nazywają?

– Strefa Wspólnego Dobrobytu, tak przynajmniej określają to gazety.

– Jakie inne wnioski wyciągasz z tego, co przeczytałaś? Czy odnosisz wrażenie, że zamierzają oddać Mandżurię prawowitym właścicielom?

RS

– No nie... Nie pojmuję tego... Wiem, że jest to naród bardzo zapatrzony w siebie. Tych ludzi niezbyt interesuje to, co się dzieje poza ich własnym

krajem.

– Tak było piętnaście lat temu, Gwen. Przyrost naturalny w Japonii jest bardzo duży, a wkrótce będzie jeszcze większy.

– Och, tak. Japonia to kraj dzieci.

– Tyle nowych gąb do wyżywienia, a oni mają tylko parę wysepek. I żadnych bogactw naturalnych, nawet ropy. Strefa Wspólnego Dobrobytu to dla

nich świetny interes, o ile oznacza korzystanie z pokładów węgla, kopalni cyny

i szybów naftowych. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Albo pora jest zbyt późna, albo ja jestem po prostu za głupia, ale nie rozumiem, Sam.

Roześmiał się.

– W każdym razie rozumieją to niektórzy ludzie z singapurskiej armii i marynarki wojennej. Zaczynają się martwić. Właśnie to mam na myśli, kiedy

mówię, że wkrótce do Singapuru napłyną pieniądze. Mają tu budować bazę

marynarki.

– To niemożliwe. Skąd masz taką pewność?

– Pewności nie mam. Ale tutejsi kupcy chińscy powiadają, że to się stanie, a oni zawsze trzymają rękę na pulsie.

Kontakty Sama z chińskimi kupcami przeszły wręcz do legendy. Nie miała ochoty się z nim spierać. Umilkła. I wówczas wprowadził ją w popłoch,

mówiąc:

– Na twoim miejscu uważałbym na to, co mówię do tych Japończyków z Hailam Road czy Middle Road. Paru z nich to prawdopodobnie szpiedzy.

– Nie rozumiem.

– Słyszałem, że w Singapurze jest ich z pół tuzina.

RS

432

– Jeżeli to ma być żart, to wcale nie jest on zabawny!

– Wciąż czujesz się do pewnego stopnia związana z Japońcami, co? –
Wstał, żeby się przeciągnąć i ziewnąć. – Jezu, jak ja lubię tę porę dnia!

Czuje

się, że za horyzontem czai się świt, który tylko czeka, by przed
pojawieniem

się słońca nadać wszystkiemu pastelowy odcień.

– Sam, zapomnij o literackich obrazkach i powiedz mi, jaki masz
dowód,

że pan Akamata czy pan Namura to szpiegdy.

– Nie mam dowodów. Ale tak mówią Chińczycy.

– A ty im wierzysz?

– Kochanie, robię interesy z Chińczykami praktycznie od zawsze.

Wiem,

kiedy im ufać, a kiedy nie. Sądzę, że mówią prawdę.

– Ale dlaczego, Sam? Dlaczego rząd japoński miałby przysyłać do
Singapuru szpiegów?

– Żeby wiedzieć, co zaatakować, kiedy zdecyduje się ruszyć na
Singapur.

– Sam, czyś ty oszalał?! Rzucić wyzwanie brytyjskiemu imperium?
Nigdy by tego nie zrobili!

– Zapewne masz rację – odparł i wzruszywszy ramionami, zmienił
temat.

Ta rozmowa przypomniała jej się dwa miesiące później, kiedy

rozgłośnia

radiowa podała wiadomość, że japońskie oddziały starły się w pobliżu Pekinu z

wojskami chińskimi. Pod koniec lipca armia japońska zajęła Pekin, a następnie

Tiencin. Być może o tym wydarzeniu rozprawialiby wszyscy mieszkańcy

Singapuru, gdyby ich uwagi nie pochłaniało coś zupełnie innego: księżę Walii

poślubił miłość swego życia, panią Simpson. Przez cały okres abdykacji istniała frakcja popierająca księcia oraz frakcja mu przeciwna, ale ich działalność ustała, gdy rozpoczęły się przygotowania do uroczystej koronacji

jego brata. Teraz frakcje znowu się ożywiły. Z tych względów niewiele osób w

RS

433

mieście przejęło się Japończykami w Chinach. Gwen była tak poruszona inwazją, że zaczęła rozmawiać na ten temat z Woo Joongiem.

– Myślisz, że oni chcą zostać w Chinach, Joong?

– Na pewno, proszę pani. Nie trudziliby się zdobywaniem Pekinu, gdyby nie zamierzali tam zostać.

– Nie rozumiem tego...

Kierownik warsztatu spojrział na nią łagodnym wzrokiem.

– Łatwo to zrozumieć. Japończycy żywią dziwny sentyment do Chin. Chiny dały Japonii pismo, malarstwo, umiejętność parzenia herbaty,

wszystkie

ważne rzeczy. Czasami, proszę pani, chce się dawać lekcje ludziom, którym

dużo się zawdzięcza.

– Ależ ty filozofujesz, Joong! – zawołała z uśmiechem.

– Chińczycy słyną z filozofii.

Wziął do ręki projekt, nad którym się zastanawiali i już miał go włożyć do szafki z papierami.

– Joong...

– Tak, proszę pani?

– Czy w Singapurze są japońscy szpiegowie?

Woo Joong stanął jak wryty w połowie drogi do szafki.

– A dlaczego pani pyta?

– Kupuję towary w tych japońskich sklepikach przy Middle Road i trochę

plotkuję z ich właścicielami. Przykro by mi było, gdyby się okazało, że rozmawiam ze szpiegiem.

– Szpieg słucha tylko użytecznych informacji – uśmiechnął się Joong.

– Przypuszczam, że to prawda. Jednakże kwestia ta nie dawała jej spokoju.

Sam namówił ją, by latem wybrała się do Anglii samolotem.

RS

434

– Powinnaś podróżować wyłącznie w taki sposób – oświadczył.

– O, nie. Nikt mnie nie wsadzi do maszyny, która odrywa się od ziemi.

– No, nie bądź taka strachliwa. Latanie to postęp. Pomyśl o tym, ile

czasu

zaoszczędzisz. Z Singapuru do Londynu w cztery dni.

Jeżeli to się dobrze rozważyło, lot z prędkością stu trzydziestu mil na godzinę mógł mieć pewne zalety. Pozwoliła się więc namówić na samolot, tym

bardziej że Sam znał w liniach lotniczych „Imperial” kogoś, kto mógł jej załatwić bilet ze zniżką.

Gwen wyruszyła z portu singapurskiego wodnopłatowcem „Short” wraz z

dziesięcioma innymi pasażerami, by pokonać pierwszy etap podróży i znaleźć

się w Rangunie. Z Rangunu poleciecieli do Chittagongu, a następnego ranka do

Hooghly River, stamtąd zaś samolotem pocztowym w dwóch etapach do Bombaju. Kolejnymi punktami na trasie była Zatoka Omańska, Morze Czerwone, Rzym i Calais. Stąd Gwen udała się promem do Dover. W sumie

podróż zajęła pięć dni, jeśli nie liczyć noclegów.

Tammy i jej przyjaciółki były tym ogromnie przejęte.

– Coś takiego! Latanie! Czy bardzo się pani bała, pani Veetcha?

– Bardzo – przyznała się Gwen. – Zwłaszcza na początku. Nie sądzę, żeby ten sposób podróżowania się przyjął.

Przybyła do Anglii, żeby zobaczyć Tammy w konkursie hipicznym skoków przez przeszkody. Przeszła ona bowiem z klasy młodzików do grupy

średnio zaawansowanych. W tym sezonie urządzono cztery turnieje, w których

wzięła udział wraz ze swoją serdeczną przyjaciółką Rosemary Collingworth –

dwa odbyły się w Wiltshire, po jednym w Worcestershire i w Gloucestershire.

Lato 1937 roku było niezwykle piękne i gorące. Gwen zasiadła na trybunach razem z innymi dumnymi rodzicami i rozkoszowała się scenerią –

zieloną trawą, białymi słupkami przeszkód, wypielegnowanymi końmi,

RS

435

młodzieńcami w różowych kurtkach oraz dziewczynkami w czarnych lub ciemnozielonych żakietach i kremowych bryczesach. Tammy wyglądała szczególnie korzystnie dzięki tycjanowskim włosom, które połyskiwały pod czapeczką z czarnego welwetu. Stała w przepisowej pozycji, trzymając w szczupłych rękach wodze. W dwóch pokazach wypadła znakomicie, zajmując odpowiednio drugie i trzecie miejsce. W dwóch kolejnych konkursach przyćmili ją lepsi jeźdźcy, ale, ku zdumieniu Gwen, Tammy nie wydawała się tym przesadnie zmartwiona.

– Myślę, że nie powinno się przywiązywać do tego zbyt dużej wagi – powiedziała, gdy na pociechę udały się na herbatę do najlepszego hotelu w

Gloucester. – John twierdzi, że nie należy wariować na punkcie koni.

– A kto to jest John, jeśli można zapytać?

– Och, to po prostu mój znajomy.

– Skąd? Z okolic szkoły? Czy może z St Albans? Tammy kreśliła widelcem na obrusie kółeczka.

– Jest pomocnikiem weterynarza w Stanton.

– Ach, więc John tym się zajmuje – powiedziała Gwen, skrywając uśmiech. – I nie akceptuje kobiet, które mają bzika na punkcie koni?

- A któż mógłby je akceptować? W życiu są jeszcze inne rzeczy.
- Gwen słuchała jej słów z zadowoleniem. Przez ostatnie sześć czy siedem lat jej córka zdawała się myśleć i marzyć wyłącznie o koniach. Z drugiej strony, co z tym Johnem, który asystował weterynarzowi w Stanton... ?
- Jaki on jest?
- Kto?
- John.
- Ach, on. John Singleton. Hm, jest... jest bardzo miły. Ale strasznie zarozumiały, no, wiesz.

RS

436

- Naprawdę?
- Myśli, że pozjadał wszystkie rozumy.
- Może rzeczywiście wie wszystko o weterynarii.
- O, taaak, co do tego nikt nie ma wątpliwości. Ale on traktuje mnie jak dziecko.
- O Boże, to nie jest z jego strony zbyt uprzejme!
- Nie jest, zważywszy, że za miesiąc skończę czternaście lat.
- Gwen przybrała stosowną, pełną współczucia minę. Przyniesiono herbatę oraz trójkątne placuszki, kwaśną śmietanę i dżem malinowy. Tammy zjadła trzy placuszki, a potem zagadnęła:
- Czy uważasz, że nie ma nic złego w małżeństwach młodych kobiet ze starszymi mężczyznami?
- Ach... Starsi mężczyźni – zastanawiała się jej matka. – Ile lat mieliby

mieć ci „starsi” mężczyźni?

– O wiele starsi. Może nawet o jakieś dwanaście lat.

Na podstawie tych słów Gwen wywnioskowała, że młody weterynarz liczył sobie około dwudziestu sześciu lat. Zapewne był świeżo upieczonym

absolwentem i nauka zawodu pochłaniała go tak bardzo, że nie miał czasu dla

adorującej go czternastolatki. Tak czy owak, istniał problem. Tammy stawiała

się młodą kobietą – bardzo piękną młodą kobietą o szczupłej talii, ładnie ukształtowanym ciele, oliwkowej cerze, bujnych płomiennych włosach i oczach, które miały barwę młodych listków zmoczonych deszczem.

Uczyły urodziny Tammy rodzinnym przyjęciem w starym domu w St Albans. Wkrótce nadeszła pora powrotu córki do szkoły. Gwen zadała sobie

trud i odwiedziła przychodnię weterynaryjną w Stanton, gdzie dowiedziała się,

że John Singleton przeniósł się do Norfolk, by rozpocząć pracę w spółdzielni farmerów.

RS

437

I tak skończył się romans Tammy. Ale czternastoletnia dziewczyna zawsze znajdowała sobie nowy obiekt miłosnych wzdychań. Kiedy napisała do

Gwen w Singapurze, odnosiło się wrażenie, iż oddała swoje serce

mistrzowi

tenisa, Fredowi Perry'emu. Tuż po Bożym Narodzeniu pisząc

wymieniała

gwiazdora filmowego, Roberta Taylora, który był jej bożyszczem, a wkrótce

potem w listach zaczęło się pojawiać nazwisko Leslie Howarda.

– Wszystko w normie – zauważył Terence, chichocząc nad jej ostatnim listem. – Sądziś, że naprawdę porzuci jazdę konną?

– Mam szczerą nadzieję, że tak! To kosztuje majątek. Rosemary chce odkupić konia. Pojmujesz, że korzystały z jednego konia, którego trzymano na

terenie posiadłości Rosemary. Tammy chyba uważa, że powinna go mieć jej

najlepsza przyjaciółka, więc poproszę o symboliczną kwotę.

– A co zamierza robić Tammy? To znaczy, żeby wypełnić lukę.

– Ta luka nie będzie duża. Czeka ją egzamin dojrzałości: musi go przejść,

jeżeli chce zdać na wyższą uczelnię.

– A chce?

– Nie sądzę – odparła Gwen. – Powiedziała mi, że jej zdaniem dziewczyny z uniwersytetu okropnie zadzierają nosa i przeważnie noszą okulary.

Terence wybuchnął śmiechem.

– W takim razie, co dalej? Szkoła pomaturalna? College dla sekretarek?

– A co ty byś radził?

– Ja? Kochanie, a co ja wiem o nastoletnich dziewczętach?!

– Nikt o nich nic nie wie – odrzekła wzdychając. – Chyba będziemy musieli poczekać.

W gruncie rzeczy nie spodziewała się uzyskać od Terence'a jakiegś wskazówki. Był akurat zajęty. Kryzys w „Greater Malay Freight” związany z

RS

438

zatrudnieniem wyszedł mu na dobre – trzeba było wymówić posady młodszym menedżerom, europejskich urzędników zastąpili Chińczycy, którzy zadowalali się niższymi zarobkami, ale kierownikom biur przewozowych dano spokój.

Reorganizacja przyniosła Terence'owi jeszcze jedną korzyść:

zaprzyjaźnił się z

jednym z dyrektorów obecnych na konferencji w Hongkongu, który okazał się

wielbicielem brydża, toteż Terence grał z nim i z paroma innymi osobami do późnej nocy.

– Widzisz, opłaca się mieć wysoko postawionych przyjaciół – stwierdził z satysfakcją, opowiadając Gwen całą historię. Uśmiechała się tylko i potakiwała głową, ale naprawdę wolała, żeby Terence nie grywał w karty.

Często tracił pieniądze wskutek całonocnych partyjek pokera, choć nie było go na to stać.

Tymczasem, jak przewidywał Sam, trwało przebudowywanie bazy w Singapurze. Na plaży zaczęto widywać inżynierów okrętowych.

Uruchomiono

prace zmierzające do poszerzenia lotniska w Kallangu. Zainstalowano

zbiorniki z ropą naftową, a wzdłuż Bukit Timor Road postawiono baraki. W rezultacie handel w mieście znacznie się ożywił. Firma „Veetcha Furniture” otrzymała wystarczającą liczbę zamówień, by prowadzić działalność. Jednakże Gwen zmieniła nieco zdanie na temat swoich prac. Miesiąc spędzony w Anglii umożliwił jej obejrzenie oferty najlepszych sklepów i potwierdził odczucia, jakie miała od pewnego czasu: przeładowany ozdobami styl tracił na popularności. Ubywało zwolenników przepychu, inkrustacji z macicy perłowej, lakierowanych elementów i wykończenia filigranem. Górę zdawało się brać pragnienie prostoty. Triumfował, zwłaszcza w Ameryce, *bauhaus* – styl dążący ku porządkowi i funkcjonalizmowi. Gwen od dawna odczuwała pewne znudzenie swoimi projektami. Zaczęły jej się wydawać zbyt kapryśne, zbyt

RS

439
przesadne w zdobnictwie. Od czasu do czasu przyłapywała się na tym, że szkicuje coś bardzo prostego, lekkiego. Kiedy zobaczyła wystawy sklepów

„Heal” i „Harrods”, przekonała się, że intuicja jej nie zawiodła. Wiele mebli, które widziała, wykonano z metalowych rurek. Czuła, że nigdy nie oswoi się z takimi sprzętami. Jednakże kiedy obejrzała drewniane meble, dostrzegła w nich coś, co harmonizowało z jej własnymi koncepcjami. Ich projektanci wykorzystywali drewno nie tylko w celach użytkowych, ale traktowali ten materiał jako źródło samoistnego piękna. Uwydatniali słoje drewna, podkreślali jego tonację, połysk, fakturę, naturalne właściwości. W Singapurze nie brakowało rozmaitych odmian drewna. Rosły tam drzewa tekowe, hebanowe, sandałowe, cedry, sosny górskie, chleb świętojański, sumak, mahoń, palma szara, a nawet wielki rododendron, którego twarde drewno można było znaleźć w głębi kraju. Istniały też gatunki, których nazwy znali jedynie Malajowie albo Chińczycy. Gdyby użyć tego surowca, wykorzystując umiejętności Woo Jonga i jego kolegów, ich wiedzę na temat polerowania i nadawania drewnu połysku... Powiedziała sobie, że przyjdzie taki dzień, kiedy zaprezentuje światu nową kolekcję mebli i rozśławi piękno gatunków drzew rosnących na Malajach. Była szczęśliwa. Znalazła nową inspirację do swojej pracy. W Singapurze wszystko dobrze się układało. Terence miał bezpieczną posadę, a recesja ustępowała. Pod koniec lipca spodziewała się przyjazdu Tammy. Jasny horyzont przesłaniała tylko jedna chmura – sytuacja polityczna w Europie. – Myślisz, że wybuchnie wojna? – zapytała Terence'a, kiedy spacerowali pewnego chłodnego poranka po plantacji palm kokosowych za domem.

– Sądzę, że to jest możliwe – powiedział, marszcząc brwi. – Ten idiota Hitler zrobi wszystko, by do tego doprowadzić. Ale nie ma się czym martwić.

Wojna nie wpłynie na nas tu, w Singapurze.

RS

440

– Terence, ja w Anglii mam córkę! – przypomniała mu.

– O Boże, zapomniałem o tym. Och, nic się jej nie stanie, nawet jeśli do czegoś dojdzie. Gdzie ona jest? W Wiltshire? W Wiltshire nic się nie będzie działo.

– Mam nadzieję.

Pod koniec czerwca znowu wezwano Terence'a do Hongkongu. Tym razem narada miała dotyczyć ponownego uruchomienia linii przewozowych

wobec rosnącego popytu na kauczuk i cynę, spowodowanego remilitaryzacją w

Europie. Fakt, że w tym samym czasie w Hongkongu rozgrywano turniej

brydża, stanowił zapewne zwykły zbieg okoliczności.

Kiedy Terence wyjeżdżał, Gwen zawsze czuła się opuszczona, toteż przyjazd Tammy w lipcu sprawił jej jeszcze większą przyjemność niż zazwyczaj. Zaplanowała mnóstwo rzeczy, które miały razem zrobić, ale tego

roku pikniki na plaży i krótkie wycieczki stateczkiem wuja Sama nie wydawały się już tak ekscytujące.

– Nie możesz mieć o to do niej pretensji – pocieszał Sam zmartwioną Gwen. – To przecież normalne, że ugania się za nią stado chłopców.

Wygląda

prześlicznie, nieprawdaż?

Bez wątpienia była pięknnością. Dwóch młodzieńców zrezygnowało z członkostwa Singapore Club, kiedy odmówiono wstępu Tammy pod pretekstem, że jest Eurazjatką. Bertie Hurden pytał, czy mógłby ją namalować,

pani Targett urządziła na jej cześć „cygańskie” przyjęcie w pensjonacie „Leonie”. Kupiec z domu towarowego „Robinson” zaoferował jej kostiumy

kąpielowe po obniżonej cenie pod warunkiem, że kiedy będzie je miała na

sobie, wspomni, gdzie je nabyła.

– Mam nadzieję, że to wszystko nie uderzy jej do głowy – gryzła się Gwen. – Im prędzej wróci do szkoły, tym lepiej!

RS

441

Ale rozgłośnia radiowa podała, że w Europie zapowiada się poważny kryzys. Adolf Hitler wysunął roszczenia terytorialne wobec Czechosłowacji.

Informowano, że w londyńskich parkach kopie się schrony na wypadek bombardowań.

– Nie wrócisz tam – oświadczyła Gwen. – Zostaniesz ze mną.

– Och, mamusiu! – westchnęła Tammy tonem, którym mówią wszystkie córki, kiedy ich matki są przesadnie troskliwe.

Okazało się, że dziewczynka miała rację, gdyż premier Chamberlain udał się do Monachium i załatwił sprawę z Hitlerem. Uzyskano gwarancję pokoju, więc wszystko mogło wrócić do normy.

– A zatem sądzę, że wracam do szkoły? – zagadnęła Tammy.

– Troszeczkę późno, ale tak. Dzięki Bogu, wszystko skończyło się dobrze. W przyszłym roku masz przecież egzaminy. Byłoby fatalnie, gdybyś musiała się przenieść do szkoły w Singapurze.

Tammy wzruszyła ramionami. Właściwie nie miała ochoty wracać do szkoły w Stanton i zdawać egzaminów, lecz z drugiej strony, nie chciała uczęszczać do jakiejś wiktoriańskiej instytucji w głębi kraju i znosić szyderstw z powodu swoich skośnych oczu.

Kiedy wyjechała, Gwen bardzo jej brakowało. Czuła, że w ciągu tych wakacji spędziły ze sobą za mało czasu. Ale, jak powiedział Sam, było zupełnie normalne, że Tammy pragnęła towarzystwa rówieśników.

Wprawdzie młodzieńcy, którzy zabierali ją na tańce, mieli chyba trochę więcej lat niż

ona... To nawet nie dziwiło – w Singapurze było tak mało kobiet, że dziewczęta zaczynały tu brać udział w życiu towarzyskim znacznie wcześniej

niż w Anglii.

Nadszedł Nowy Rok i prace w brytyjskiej bazie przybrały na sile.

Czytane przez Gwen japońskie gazety w bardzo arogancki sposób cieszyły się

RS

442

z wkroczenia wojsk cesarza do Hainanu w Chinach. Nad Europą zawisła groźba wojny – no, ale premier Chamberlain twierdził w ubiegłym roku, że

uzyskał gwarancje pokojowe, a zatem chyba nie było się o co martwić.

W czerwcu Tammy rozpoczęła sesję egzaminacyjną. Po ogłoszeniu wyników okazało się, że ledwo zdała. Jej dyrektorka radziła w liście do Gwen

ponowne przystąpienie do egzaminów z dwóch przedmiotów, by uzyskać

lepsze oceny. Oznaczałoby to co prawda pracowite wakacje, ale ten wysiłek by się opłacił.

Zaniepokojona Gwen zadepeszowała, że wyraża zgodę, gdyż ufała opinii

panny Powers. Być może powinna była wybrać się do Anglii, lecz spodziewała

się przecież przyjazdu Tammy do Singapuru. Poza tym, czy jej zdenerwowanie

nie wpłynęłoby źle na córkę? Tammy została więc w Stanton School, tłumiąc

buntownicze myśli i poświęcając połowę każdego dnia na naukę matematyki i

ekonomii. Cała Brytania oczekiwała tymczasem z zapartym tchem na ostatni

akt dramatu, który rozgrywał się w Europie od dwóch lat, ale Tammy nic to nie obchodziło. Zajęcia w szkole miały się rozpocząć osiemnastego września. Na terenie internatu przebywała tylko Tammy i jeszcze jedna dziewczyna, Cicely Myers.

– Wiesz – powiedziała Tammy na początku września – w niedzielę są moje szesnaste urodziny. Zazwyczaj obchodzę je na przyjęciu u babci.

– Pojedziesz tam w niedzielę? – zapytała Cicely, myśląc ze smutkiem, że zostanie sama.

– Panna Powers mówi, żeby osoby, które nie muszą podróżować, zostały w domach. Nie wiem dlaczego, sądzę jednak, że to ma coś wspólnego z polityką.

– Och, w takim razie same urządzmy przyjęcie, Tammy! Powiemy kucharzowi, żeby przyrządził paszteciki z kielbaską. Możemy też kupić ciasto.

RS

443

Kucharz dał się uprosić. Potrzebne produkty zakupiono w przeddzień urodzin. Ale rano, 3 września, w dzień urodzin Tammy, premier Chamberlain obwieścił zduszonym głosem przez radio, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Ta wiadomość wprawiła personel Stanton School w szok. Z

początku Tammy i Cicely nie mogły pojąć jego przyczyny, bo chociaż wiedziały, że wojna to okropna rzecz, i udały się wcześniej do Salisbury, gdzie

wyposażono je w maski gazowe, to jednak wojna miała się toczyć w Polsce,

która znajdowała się daleko stąd.

Później jednak stało się jasne, że panna Powers oczekuje niemal natychmiastowego powrotu wszystkich dziewcząt do szkoły. W dodatku spodziewała się napływu dziewcząt z innych szkół, zwłaszcza ze szkół londyńskich. To by znaczyło, iż Cicely, Tammy i inne uczennice Stanton

School będą musiały dzielić pokoje z zupełnie obcymi osobami. Już ta perspektywa mogła zepsuć humor, lecz wkrótce pojawiła się babcia i dziadek,

którzy zaczęli się kłócić z panną Powers o to, że Tammy powinna pozostać z

nimi w St Albans. A tego Tammy sobie zdecydowanie nie życzyła, ponieważ

dziadek miał skłonności do obejmowania i obśliniania jej pocałunkami, chociaż ona wcale tego nie chciała.

Tammy wysłała list lotniczy do matki, sugerując, że dobrym pomysłem byłby jej powrót do Singapuru. W tym samym czasie matka napisała do niej,

że poprosiła pannę Powers o jak najszybsze przygotowanie Tammy do wyjazdu. Gwen szalała z niepokoju na drugim końcu świata.

– Nie powinnam była jej puszczać w zeszłym roku – żaliła się Terence'owi, który klepał ją po ramieniu i próbował pocieszyć.

– Któż mógł wiedzieć, że ten głupek Hitler jednak zdecyduje się na to? – wzdychał. – Nie martw się, kochanie, twoja dziewczynka, wkrótce dotrze do

nas cała i zdrowa.

RS

444

Tak się jednak nie stało. Na rejs czekała długa kolejka, a większość statków została zarekwirowana do przewozu surowców strategicznych.

Zresztą

Tamara Veetcha nie mogła sobie rościć wyjątkowych praw – miała krewnych

w Anglii, przebywała w dobrej, bezpiecznej szkole w Wiltshire i nie musiała

pielegnować matki ani zarabiać na jej utrzymanie. Nie, nie, panna Tammy

Veetcha musi poczekać – twierdzili urzędnicy z Ministerstwa Transportu. A

poza tym, zacznijmy od tego, że dziewczyna naprawdę nazywa się Tamara

Hayakawa i jest Brytyjką tylko w połowie.

Gwen miotała się, chciwie pożerała gazety i słuchała BBC. Stopniowo jej

niepokój malał. Nie było zmasowanych nalotów, gazów trujących, walk wzdłuż Linii Maginota, niczego groźnego. Okres zwany „dziwną wojną” trwał

aż do 1940 roku.

Jednakże w marcu tego roku zdarzyło się coś, co przeraziło Gwen o wiele

bardziej niż jakieś niemieckie bombardowanie. Otrzymała depezę od panny

Powers...

„Z żalem powiadamiam panią o ucieczce Tammy. Zostawiła na łóżku list. Prosi w nim, żeby się nie martwić, ale ja jestem tym bardzo zaniepokojona. Czynione są wszelkie starania, przekażę informacje jak najszybciej”.

RS

445

21

Gwen nie czekała na „informacje”. Zadzwoiła do Sama i szlochając, przeczytała mu treść depezy.

– O, do diabła! – zaklął tylko.

– Sam, chcę natychmiast lecieć do kraju.

– Rozumiem cię, ale teraz, gdy trwa wojna, to nie jest takie łatwe.

– Mógłbyś spróbować u swojego przyjaciela w „Imperial Airways”?

– Zostaw to mnie, dziecino – odparł ponurym głosem. – Załatwię ci miejsce w samolocie. W Singapurze jest paru facetów, którzy mają wobec

mnie dług wdzięczności.

Bez względu na to, o jaki dług wdzięczności mu chodziło, Gwen dostała miejsce na pokładzie samolotu „Catalina”, który miał wylecieć nazajutrz

o

świecie. Godziny dzielące ją od lotu spędziła na przekazywaniu instrukcji Woo

Joongowi, wysyłaniu depezy do kraju i zastanawianiu się, co powinna spakować na drogę. Wyleciała podczas typowego monsunu.

Wodnopłatowiec

szybko minął strefę chmur deszczowych i leciał po bezchmurnym niebie. Na

liście czternastu pasażerów Gwen była jedyną osobą nie związaną z rządem.

Resztę stanowili wojskowi i urzędnicy państwowi, którzy spoglądali z zainteresowaniem na tę ładną, zdenerwowaną kobietę, ale mieli dość rozsądku,

by nie próbować nawiązać z nią rozmowy. Ze względu na wojnę trasa uległa

tym razem zmianie. Gwen nie robiła żadnych przerw na noclegi, lecz przesiadała się z samolotu na samolot, jak tylko miała połączenie. Spała niespokojnie w fotelu, oglądała świty i zachody słońca ponad chmurami, właściwie nie umiejąc ich odróżnić. Nie mogła pokonać ostatniego etapu podróży drogą lądową z Rzymu, ponieważ Włochy były teraz wrogiem Wielkiej Brytanii. Przesiadła się więc na Malcie do czterosilnikowego

RS

446

samolotu. Podczas lądowania na lotnisku w Croydon nie obyło się bez wstrząsów. Pomimo iż była już połowa marca, wzdłuż pasa startowego leżały

śnieżne zasy. Na zewnątrz panowała wręcz ark tyczna temperatura.

Gwen

strasznie zmarzła w cienkim nieprzemakalnym płaszczu, który wydawał się

zbyt ciepły w Singapurze.

Urzednicy kontrolowali ja dosc dlugo. Patrzyli na jej paszport, naradzali sie, spogladajac na nia podejrzliwie. Byla wdowa i mieszкала w Singapurze.

Gdzie sie zatrzyma? Z jakiego powodu wybrała sie do Wielkiej Brytanii?

A córka, czy na stale przebywa w Anglii? Celnicy bardzo skrupulatnie przejrzeni zawartość torby Gwen.

Wreszcie pozwolono jej odejść. Wydano jej tymczasowy dowód osobisty powiedziano, ze musi sie zglosić do urzedu rejestracyjnego w St Albans, by

otrzymać kartkę żywnościową dla przyjezdnych. Matka i ojczym, którzy oczekiwali jej w poczekalni z trudem mogli usiedzieć na krzesłach. Jak tylko

Rhoda ją zobaczyła, zalala sie łzami.

–Och, Gwennie, Gwennie, jak ty źle wyglądasz! To jest takie straszne. Och, kochanie, czy ty mi kiedyś wybaczysz?

– Przestań, Rhodo – powiedział Wally, obejmując ją ramieniem i podsuwając jej dużą chusteczkę. – Zachowuje się tak od chwili, gdy zadzwoniła do nas panna Powers. Powtarzam jej, że to nie nasza wina.

–Dlaczego? Co się stało? – pytała Gwen i cofnęła się, by przeszkodzić matce w wypłakiwaniu się na jej ramieniu.

– Powiem ci po drodze. Samochód stoi na parkingu, chodźmy. Dobry Boże, dziewczyno, to jedyne okrycie, jakie ze sobą przywiozłaś?!

– Och, nieważne! – zawołała.

Wally przyjechał nie pięknym lanchesterem, ale praktycznym małym austinem. Wyjaśnił, że postąpił tak z powodu kłopotów z benzyną.

Dostał

RS

447

specjalny przydział na dostarczanie mebli i „pożyczył” część paliwa, żeby

zawieźć Gwen do domu.

– Do domu? To znaczy do Stanton? Chcę jechać bezpośrednio do Stanton...

– Nie, nie, kochanie – zaprotestowała Rhoda, biorąc córkę za rękę. – Wyglądasz na taką zmęczoną, musisz się przespać... I okrycie, powinnam była przywieźć ci palto.

– Tak czy owak, nie wystarczy mi benzyny na jazdę do Wiltshire – zauważył Wally.

– Wcale nie oczekiwałam, że mnie tam zawieziecie. Pojadę pociągiem. Uparła się, żeby Wally zabrał ją do hotelu Strand, gdzie wcześniej zarezerwowała pokój. Dzięki temu mogła się odświeżyć po podróży, zjeść

posiłek i zadzwonić do panny Powers z prośbą o najnowsze wieści.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że to nie wasza wina? – zapytała ojczyrna,

kiedy opuszczali teren lotniska.

Wally chrząknął.

– To była zupełnie zwyczajna rozmowa – rzucił przez ramię. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że przez nią nabije sobie głowę dziwnymi pomysłami?

– O czym wy mówicie?

– To było tak – wtrąciła się Rhoda, przełykając łzy. – Jak wiesz, Tammy przyjechała do nas na Boże Narodzenie. Panna Powers chętnie puściła dziewczęta, które udawały się w bezpieczne rejony. Kazała tylko zostać uczennicom z Londynu i dużych miast ze względu na groźbę nalotów. chociaż,

Bogu dzięki, od czasu tej pierwszej syreny nic się nie działo.

– To była sztuczka, która miała nas wszystkich nastraszyć – stwierdził Wally – Zaraz po tym, jak stary Neville zrobił swoje tej pierwszej niedzieli.

Nie nadleciał żaden bombowiec, tak przynajmniej wszyscy mówią.

RS

448

– Ale mnie chodzi o Tammy – ponaglała ich Gwen.

– No tak. Tammy przebywała u nas w czasie świąt. Często wychodziła sama... Wiem, że twoja córka lubi się włóczyć...

– Wally, przecież miała prawo pójść na tańce czy do kina – przerwała mu

żona. – W końcu ma już szesnaście lat. A życie w Stanton musi być teraz mało

zabawne, skoro zamiast stu dwóch dziewcząt mieszka ich tam prawie trzysta.

– Och, proszę, mamo! – błagała Gwen, pragnąc wreszcie się dowiedzieć, co skłoniło jej córkę do ucieczki.

– Tammy skarżyła się, jakie życie jest nieciekawe, jak strasznie nudno jest mieć matkę, która pracuje w branży meblarskiej, a wtedy Rhoda roześmiała się i powiedziała: „Nie znasz całej prawdy”.

– I opowiedziałam jej o twojej ucieczce, kochanie – dodała ze szlochem Rhoda. – Chciałam, żeby zrozumiała, jaka kiedyś byłaś inna, romantyczna.

– I podałaś sporo szczegółów, nieprawdaż? – dorzucił Wally, wzruszając ramionami.

Gwen nie widziała twarzy ojczyma, gdyż siedziała z tyłu, ale w jego głosie wyczuwała nutę rozbawienia. Być może sprawiało mu przyjemność,

kiedy Gwen przeżywała upokorzenie w związku ze swoją ukochaną córką.

– Gwen, kochanie, nie chciałam zrobić nic złego. Gdybym tylko wiedziała... Ale ona słuchała z taką uwagą, zadawała pytania i odniosłam

wrażenie, że... no, wiesz... że ta historia jej zaimponowała, toteż myślałam, iż

postąpiłam właściwie.

Gwen zaciskała dłonie z gniewu i bezsilności.

– Nawet gdyby nagle się dowiedziała, że przed laty uciekłam... Chodzi mi o to, że przynajmniej miałam dokąd pójść.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że miałaś z kim pójść – poprawił ją ojczym. – I okazuje się, że Tammy również miała z kim uciec.

RS

449

– Chodzi ci o jakiegoś mężczyznę?

– Na to wygląda.

– Och, Gwen – lamentowała matka. – Nie mieliśmy pojęcia, że ona się z

nim spotyka...

– Gdzie? Jak?

– Widzisz, kiedy wychodziła z domu, jechała do Londynu pociągiem i spotykała się ze swoją szkolną koleżanką, Annette Willis. Chadzały do Corner

House, do uczelnianej sali tanecznej. Myśleliśmy, że nie ma w tym nic złego,

ale zdaje się, że poznała tam chłopaka... Jakiegoś Reggie.

– Nie pamiętacie jego nazwiska?

– Annette twierdzi, że nigdy go nie słyszała. Zaprzyjaźniły się z dwoma młodymi mężczyznami, z Reggie i Michael. Michael jest żołnierzem, ale

on nic nie wie, poznał Reggiego na sali tanecznej. To znaczy, nie byli przyjaciółmi, a poznali się tylko dzięki temu, że te dwie dziewczyny przyszły

razem na imprezę. W każdym razie Michael nic nie wie, przebywa w Aldershot, a do Londynu przyjechał tylko dlatego, że miał akurat przepustkę.

– Jak znaleziono Michaela? Przez policję?

– Tak, panna Powers wezwała go natychmiast, kiedy tylko wszystkiego się dowiedziała.

Wally opowiadał całą historię w znacznie mniej chaotyczny sposób niż matka. Gwen wywnioskowała jeszcze z ich opowieści, że Reggie i Tammy

pisali do siebie, kiedy pod koniec ferii świątecznych dziewczyna wróciła do

szkoły. Wstrząśnięta i przerażona Annette wyznała, że Tammy i Reggie mieli

się spotkać ponownie w czasie przerwy wielkanocnej, która tego roku przypadła

na weekend 23 marca. Ale panna Powers oświadczyła wówczas, że ze względu na złą pogodę i utrudnienia w podróży lepiej będzie, jeśli dziewczęta

zostaną w szkole. Miano im jakoś zorganizować czas, urządzając koncerty, a

RS

450

ponadto obiecano dłuższą przerwę na Zielone Świątki. Tammy postanowiła

więc uciec, żeby móc się spotkać z Reggie. Zapytana o miejsce randki, Annette tylko rozplakała się i powiedziała, że jej zdaniem przebywają w Londynie, ale gdzie dokładnie, nie miała pojęcia.

Policja z Wiltshire dowiedziała się, że dziewczyna przypominająca z wyglądu Tammy jechała późnym wieczorem pociągiem z Salisbury do Londynu. Policjanci wykonali dobrą robotę, ustalając tak dużo faktów, ale

teraz sprawę musiała przejąć stołeczna policja, która miała na głowie znacznie

ważniejsze rzeczy niż tropienie pary młodych kochanków. Od czasu masowego

exodusu ludności na początku wojny, w Londynie było pełno pustych domów i

mieszkań, stanowiących świetną kryjówkę.

Dojechali do hotelu Strand w całkowitym zmroku. Gwen tak przemarzła,

że zgrabiały jej palce i nie była w stanie ich zgiąć. Matka chciała koniecznie

wejść z nią do pokoju. Dopilnowała, żeby jej córka wypila zamówioną herbatę

i zaklinała ją, by trochę się przespalała do czasu odjazdu pociągu. Ale Gwen nie

mogła pójść spać, dopóki nie połączyła się ze Stanton.
– Pani Veetcha? Bardzo mi przykro, lecz nie mamy żadnych nowych wieści – powiedziała zdenerwowana panna Powers.
– Czy ktoś może wie, że planowali wyruszyć do Gretny?
– Policja sprawdziła. Wydaje się, że nie.
– Przyjadę jak najszybciej. Pociąg wyrusza o dziesiątej. Powinam dotrzeć na miejsce wczesnym rankiem.
– Och, pani Veetcha, naprawdę radzę pani poczekać do rana. Z powodu pogody i wojny pociągi kursują fatalnie; dostanie się do Salisbury może pani zająć od ośmiu do dziewięciu godzin.
– Będę u pani rano – odparła Gwen i odwiesiła słuchawkę. Następnie zadzwoniła do Scotland Yardu z pytaniem, czy sierżant

RS

451

zajmujący się tą sprawą w Londynie miał jakieś wiadomości. Nie zastała go, ale jakiś policjant przejrzał kartoteki i powiedział przepaszającym tonem, ze nie ma nic do przekazania.
Gwen potrzebowała pół godziny, żeby pozbyć się matki, na którą czekał w barze na dole Wally. Gdy tylko sobie poszła, Gwen szybko ruszyła ulicami, które były zaciemnione ze względu na groźbę nalotów, do domu towarowego „Army and Navy”. Tuż przed zamknięciem zdążyła jeszcze kupić gruby sweter

i płaszcz z tweedu. Żadna z tych rzeczy nie była specjalnie atrakcyjna, ale jak się wyraził z powagą sprzedawca, Gwen miała w nich „przechodzić całą wojnę”. Kiedy wróciła do hotelu, zobaczyła na drzwiach łazienki ogłoszenie, że gorąca woda będzie dostępna od szóstej do dziesiątej. Wzięła zatem kąpiel, dzięki czemu trochę się odprężyła, a przynajmniej rozgrzała. Potem zjadła całkiem znośną kolację w restauracji. Wy tłumaczyła recepcjoniście, że chociaż nie będzie w swoim pokoju tej nocy, to jednak chce go zarezerwować na czas podróży do Wiltshire. Poradzono jej wówczas, by zabrała na drogę kanapki.

– Po co? Kupię śniadanie w pociągu.

– Niestety, nie, droga pani. Teraz nie działają wagony restauracyjne.

Rozumie pani, trwa wojna.

Wzięła więc kanapki, które dla niej przygotowano w hotelowej kuchni, oraz manierkę z kawą. Uznała te środki ostrożności za dość niedorzeczne, ale

okazały się niezbędne. Pociąg, do którego wsiadła, nie był zbyt czysty. Zasłony, którym zakryto okna dla celów obrony przeciwlotniczej, oraz

bardzo skąpe oświetlenie nadawały mu przygnębiający wygląd, a poza tym rzeczywiście nie zapewniano w nim posiłków.

Tuż po szóstej wysiadła z pociągu w Salisbury. Był ciemny, ponury poranek. Padał śnieg. Nie dostrzegła nigdzie taksówek, ale dowiedziała się, że

przy drugim końcu dworcowej ulicy przejeżdża autobus, którym mogłaby

RS

452

dotrzeć do rynku w Stanton. Stamtąd szło się do Stanton School
zaledwie
dziesięć minut.

Panna Powers już nie spała i czekała na Gwen, chociaż w szkole nie
działo się prawie nic. Stary pałacyk był pozbawiony wyrazu. Okna
zalepiono

na krzyż taśmą klejącą, żeby szyby nie wyleciały podczas nalotu.

Ciężkie

zasłony jeszcze nie były rozsunięte. Kiedy zaprowadzono Gwen do
gabinetu

dyrektorki, poczuła, że jest tu znacznie chłodniej niż zwykle:

oczywiście,

wiązało się to z oszczędnością opału.

– Pani Veetcha, nie potrafię pani powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro.

– Czy coś się nowego wydarzyło od zeszłej nocy?

– Niestety, nie. Prawdę mówiąc, nie spodziewamy się żadnych
wiadomości

w tym miejscu. Czy mogę wziąć pani płaszcz? Co mogę pani
zapropnować? Herbatę, kawę, coś do zjedzenia? Śniadanie jest dopiero

o

wpół do ósmej, ale...

– Jeśli można, poproszę o herbatę. Czy mogłaby mi pani pokazać list,
który zostawiła Tammy.

Panna Powers przycisnęła dzwonek na biurku.

– Zabrała go policja. Ale pamiętam jego treść. Ach, Nancy, przynieś zaraz dwie herbaty... Może chce pani grzanekę? Nie? W takim razie tylko herbatę, Nancy – zwróciła się do służącej.

W kominku palił się mały ogień, który dawał więcej dymu niż ciepła.

Panna Powers posadziła Gwen na krześle z jednej strony paleniska, sama zaś

usiadła naprzeciwko niej. Zdjąwszy okulary, zaczęła je przecierać, żeby jakoś

dać upust zdenerwowaniu.

– A więc co z tym listem, panno Powers?

– Napisała w nim: „Droga panno Powers, wyjeżdżam, żeby zapewnić sobie dobrą przyszłość. Proszę się nie martwić o mnie, wiem, co robię”.

RS

453

Gwen stłumiła oddech.

– I to wszystko?

– Tak.

– Nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości?

– Nie.

Gwen potrzebowała czasu, żeby odzyskać panowanie nad głosem. Nie sądzi pani, że to dziwny list?

– Dziwny?

Nie ma tu zapowiedzi, że weźmie ślub, żadnej wzmianki o wyjeździe z ukochanym mężczyzną". " Dyrektorka założyła okulary i poprawiła je

na

nosie.

–Hm... Powiedziałałabym, że Tammy nie należy do dziewcząt, które chętnie zdradzają swoje tajemnice, zwłaszcza wobec dyrektorki.

–Ale czy jest pani pewna, że dobrze zapamiętała pani treść tego listu? Brzmi niemal jak... brzmi tak urzędowo.

– W jakim sensie?

– „Wyjeżdżam, żeby zapewnić sobie przyszłość”. Nie „wyjeżdżam, żeby wziąć ślub” albo „wyjeżdżam, ponieważ nie mogę znieść życia, jakie prowadzę”. Nie ma tu emocji, tylko rzeczowy ton.

– Może ma pani rację.

Weszła służąca z herbatą. Zaczekały, aż opuści pokój, po czym panna Powers powiedziała:

– Wydaje się zupełnie pewne, że pojechała spotkać się z tym mężczyzną o imieniu Reggie.

– Kto tak twierdzi? Annette Willis?

– Tak, i jeszcze Rosemary Collingworth, która nadal przyjaźni się z Tammy, chociaż nie występują już razem w konkursach hipicznych.
Tammy

RS

454

jest dość bliską koleżanką Annette Willis, ale tylko dlatego robiły wspólne

wypadki do Londynu, że obie wypuszczano do domu na Boże Narodzenie.

Annette dojeżdżała do miasta z Surrey, a Tammy z Hertfordshire.

Spotykały

się w Corner House.

– Jeśli mogę, chciałabym pomówić z tymi dziewczętami.
– Naturalnie. Ale policja już je przesłuchiwała, a oprócz nich jeszcze parę innych uczennic.

Zeszłego wieczoru powiedziano dwóm koleżankom Tammy, że przyjeżdża jej matka. Podczas gdy reszta uczennic udała się do jadalni na

śniadanie, im kazano stawić się w gabinecie dyrektorki. Obie były bardzo

przygaszone. Nosiły typowe mundurki szóstej klasy: granatowe spódniczki,

granatowe swetry i białe bluzki.

– A teraz, Annette, chcę, żebyś opowiedziała pani Veetchy to, co mi mówiłaś o Tammy i tym młodym człowieku.

– Tak, panno Powers.

Annette była drobną, ładną dziewczyną o bujnych brązowych włosach i rumianych policzkach.

– Poznałyśmy go w uczelnianej sali tanecznej. Poprosił Tammy do tańca.

Zaraz potem pojawił się Michael i poprosił mnie, a w czasie przerwy Piliśmy

razem koktajl mleczny... – Urwała.

– Mów dalej – powiedziała panna Powers.

– Tego wieczoru tańczyłyśmy głównie z nimi. Jeden raz zatańczyłam z Reggie, a raz z innym chłopcem, ale reszta tańców należała do Michaela.

Podobnie było w wypadku Tammy i Reggiego. Umówiliśmy się z nimi na

następny wieczór. Michael nawet mi się spodobał, ale jakoś tak zupełnie nie

przypadliśmy sobie do gustu. Co innego Reggie i Tammy. Powiedziałam Tammy: „On naprawdę się w tobie kocha”, a ona odparła, że też tak sądzi.

RS

455

– No i?

– Cóż, Michael musiał wrócić do Aldershot, ale Reggie nie zaciągnął się do wojska, miał kiepski wzrok.

– Nosił okulary?

– Tak, powiedziałam to sierżantowi – mruknęła Annette. – Szkła w grubych oprawkach, ciemny garnitur i brązowy krawat. I świetnie tańczył.

– Gdzie pracował?

– Nie wiem. Nie bardzo mnie to interesowało.

– Czy w czasie ferii świątecznych Tammy widywała się z Reggielem codziennie?

– Chyba tak. Myśmy nie spotykały się codziennie, ale kiedy widywałyśmy się, wspominała o Reggielem.

Gwen wiedziała, że jej matka odnosiła wrażenie, iż dziewczynki nie rozstają się ze sobą. W duchu westchnęła. Czy podjęto by jakieś środki, gdyby

Tammy wspomniała, że ma chłopca? Annette nie miała już nic więcej do

powiedzenia. Panna Powers zwróciła się do Rosemary Collingworth.

– Teraz twoja kolej, Rosemary.

– Ja go nie poznałam. Właściwie nic o nim nie wiem.

– Ale pamiętasz to, co powiedziała ci o nim Tammy.

– Och, puszczałam połowę mimo uszu. Rozwodziła się na jego temat, jakby był Clarkiem Gable czy kimś takim.

– Czy powiedziała ci, że zamierza z nim wyjechać? Rzeczywiście, coś w zachowaniu Rosemary nasuwało skojarzenia z końmi, bo poruszała się teraz jak niespokojny źrebak. Była wysoka, chuda, miała dość ogorzałą cerę i jej widok mógł zniechęcić Tammy do wyczynowego uprawiania jazdy konnej.

RS

456

– Nie twierdziła, że z nim wyjedzie. Powiedziała, że mają plany. Odniosłam wrażenie, że mówiąc o planach, miała na myśli to, iż będą razem, ale... Naprawdę... któż mógłby kiedykolwiek przypuścić, że ona pryśnie w taki sposób?

– Proszę, spróbuj sobie przypomnieć wszystko, co mogłoby się przydać. Okropnie się o nią martwię.

Najlepsza przyjaciółka Tammy spłonęła rumieńcem i wlepiała wzrok w czubki swoich butów. Następnie zerknęła ukradkiem na pannę Powers.

Gwen

pomyślała, że Rosemary nie chce rozmawiać otwarcie w obecności dyrektorki.

Dziewczęta nazywały swoją przełożoną The Powers. Była dobrą nauczycielką,

ale wymagającą. Wyznanie czegoś, co pogorszyłoby jej mniemanie o danej

uczennicy, mogło być trudne.

– Zdaje się, że chciałabyś zjeść śniadanie – powiedziała Gwen. – Czy

możemy potem przez chwilę porozmawiać, Rosemary?

Rosemary skinęła głową w milczeniu. Obie dziewczynki rzuciły się do drzwi.

– Rosemary coś wie – stwierdziła panna Powers.

– Tak właśnie myślałam.

– W takim razie, dlaczego nie chce mówić? – Sądzę, że Tammy skłoniła ją do dyskrecji. Panna Powers westchnęła.

– Pamięta pani, co się czuje w tym wieku? Przyjemnie było myśleć, że uczestniczy się w zмовie i nie dopuszcza do swoich tajemnic dorosłych... –

Mogłabym z nią pomówić sam na sam, po śniadaniu?

– Oczywiście. A skoro mowa o śniadaniu, proponuję, żebyśmy coś zjadły. Możemy zrobić to tutaj, nie ma potrzeby schodzenia do jadalni.

RS

457

Zjadły jajecznicę i wypity świeżo zaparzoną herbatę. Niebawem rozległo

się brzęczenie dzwonka obwieszczającego, że za dziesięć minut rozpoczyna się

lekcje. Panna Powers wstała z miejsca.

– Może pani porozmawiać z nią w tym pokoju. Proszę się nie martwić o zajęcia Rosemary. Usprawiedliwię ją przed panną Jordan.

Do gabinetu weszła służąca, żeby zabrać tacę i podsyć płomień w kominku. Po jakimś czasie zjawiła się Rosemary i stanęła przed Gwen niczym

skazaniec.

– Zdecydowałam się powiedzieć pani o wszystkim. Obiecałam Tammy, że nie powiem nic przynajmniej przez tydzień. Ale nie miałam pojęcia, że pani

przyleci aż z Singapuru... Czuję, że postąpiłam paskudnie.

– Tak – odrzekła Gwen. – Przypuszczam, że tak się czujesz. A więc czego mi nie powiedziałaś?

– Że Tammy uciekła, by zostać modelką.

Gwen spodziewała się wszystkiego, tylko nie takiego wyznania. Ze zdumienia zaniemówiła.

– Jak te dziewczyny na okładkach czasopism. Reggie jest fotografem. Powiedział jej, że mógłby ją uczynić sławną.

– O, nie...

– To nie miało nic wspólnego z miłością. To znaczy, myślę, że ona go lubi i z tego, co mówi, on ma fioła na jej punkcie, ale kiedy usłyszałam, że

panna Powers mówiła sierżantowi o Gretnie Green i tego rodzaju rzeczach, od

razu wiedziałam, że nie ma racji.

– Wiesz, gdzie oni są? – zapytała stanowczym tonem Gwen.

– On ma pracownię w Londynie. Nie powiedziała, gdzie, ale sądzę, że w okolicach Marylebone, ponieważ raz wspomniała, iż w pobliżu znajduje się

Gabinet Figur Woskowych Madame Tussaud. – Zawahała się, a jej wargi

RS

drżały. – Naprawdę jest mi przykro, pani Veetcha. Nie pomyślałam, że to wszystko tak się skończy. Sądziłam, że to będzie ekscytujące, lecz kiedy przekonałam się, że wszyscy są tacy zmartwieni... A teraz pani... Po prostu muszę złamać obietnicę.

– Dziękuję – odparła z westchnieniem Gwen. – Jestem ci bardzo wdzięczna.

Rosemary przekazała jej wszystko, co wiedziała. Reggie powiedział, że uczyni Tammy sławną, że zrobi jej zdjęcia i zaproponuje je magazynom do ich

letnich wydań. To oznaczało, że zdjęcia należało wykonać i rozesłać jeszcze

wiosną. Tammy zamierzała udać się do jego pracowni podczas Przerwy wielkanocnej. Ponieważ nie zwolniono uczennic na Wielkanoc, musiała przedsięwziąć inne kroki.

– A co miało się wydarzyć później?

– Reggie zamierzał pokierować karierą Tammy. Widzi pani, modelki otrzymują rozmaite propozycje i są niesłychanie zajęte. Mówiła, że będzie

potrzebowała kogoś takiego jak Reggie, kto zajmie się jej interesami.

– Ależ, Rosemary... Ona ma dopiero szesnaście lat!

– Na fotografiach wygląda na starszą. Pokazała mi parę zdjęć zrobionych

przez Reggiego. Naprawdę, nikt by nie poznał, że jest uczennicą. – Umilkła z

bardzo nieszczęśliwą miną. – Chce pani nasłać na nich policję?

– Tak... Nie... Nie wiem...

Gdyby zdołała odnaleźć córkę i zabrać ją ze sobą, może mogłoby się obyć bez interwencji policji. Nie potrafiła znieść myśli o tym, że jej córka

będzie wleczona jak przestępczyni. Wysłuchawszy wszystkiego, co miała do

powiedzenia Rosemary, Gwen przekazała informacje pannie Powers. Natychmiast udała się na pociąg do Londynu. Po południu dotarła do

hotelu.

RS

459

Zjadła posiłek, wzięła kąpiel i przebrała się, po czym zapytała recepcjonistę, czy hotel dysponuje księgą adresową.

– Książką telefoniczną?

– Nie, spisem przedsiębiorstw i instytucji Londynu.

– Obawiam się, że nie. Ale na pewno można z niej skorzystać w czytelnicy przy Kingsway.

Pojechała tam autobusem. Odszukała dział poświęcony Marylebone i wynotowała nazwiska wszystkich fotografów. Nie знаła nazwiska, ale wiedziała, że jego imię brzmiało Reginald, aczkolwiek w książce mógł figurować tylko inicjał R. Niestety, wielu fotografów używało nazw firmowych, na przykład „Sunray Photographers” czy „Portraits by Patrick”, a z

tego, co wiedziała, Reggie nie mógł być właścicielem pracowni.

Niemniej

jednak Rosemary wyraźnie powiedziała: „On ma pracownię”. Znalazła dwa

adresy w pobliżu Gabinetu Figur Woskowych. Jeden z fotografów miał imię

zaczynające się od inicjału R. Czowała, że robi sobie zbyt dużo nadziei na odnalezienie Tammy w pierwszym podejściu, ale zatrzymała taksówkę i pojechała pod ten adres ciemnymi, śliskimi uliczkami. Na miejscu przekonała

się, że z powodu braku oświetlenia nie można odczytać tabliczek na drzwiach.

– Pani pierwszy raz w Londynie? – zagadnął taksówkarz. – Proszę nigdzie się nie ruszać bez latarki.

Wysiadł z wozu i oświetlił tabliczkę informującą, że na drugim piętrze znajduje się pracownia R. Hartfielda. Gwen dała mu suty napiwek.

Taksówkarz otworzył przed nią drzwi, za którymi było widać przyćmione

światło padające z korytarza i strome schodki.

– Proszę uważać na stopień – poradził jej serdecznie i odszedł.

W środku domu oświetlenie było odpowiednie. Na drugim piętrze znalazła dwoje drzwi. Górna połowa jednego z wejść była ze szkła, na którym

RS

460

widniały czarne litery: „Reginald Hartfield, fotograf. Drzwi były zamknięte,

ale wewnątrz paliło się światło. Gwen zapukała w szybę. Żadnej odpowiedzi.

Zapukała głośniej. Zobaczyła, że do wejścia zbliża się czyjaś postać.

– Przecież dokonałem zaciemnienia, panie inspektorze – odezwał się męski głos.

Nie chodzi o zaciemnienie. Czy to pan Hartfield?

– Tak, ale teraz pracownia jest nieczynna. Będzie pani musiała tu wrócić jutro rano.

– Nie chcę robić zdjęć. Chciałabym z panem porozmawiać.

– O czym?

– To ważne.

Widziała, jak jego ręka przekręca klucz w zamku.

Stał przed nią młodzieniec w koszuli i gumowanym fartuchu. Był średniego wzrostu, miał dość ciemne włosy oraz okulary w grubych oprawkach. Patrzył na nią nieufnie.

– Pan Hartfield?

– Tak, o co chodzi?

– Nazywam się Gwen Veetcha. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Pytanie było zbyteczne. Fotograf rozdziawił usta ze zdumienia.

– Och! – wysapał.

Gwen przeszła obok niego. W przedpokoju stało biurko z telefonem oraz dwa małe fotele i niski stolik, gdzie prezentowano wybór zdjęć. Na ścianach

wisiał powiększenia jego prac. Sklezione przejście zakrywały ciężkie ciemnoniebieskie kotary. Za łukiem błyszczały jasne światła.

– Czy jest tu moja córka, panie Hartfield?

– Nie, co pani ma na myśli... Kto taki?

RS

461

Gwen szła dalej, rozsunąwszy kotary. Na statywie znajdował się duży aparat wycelowany ku podium, na którym stała połączona kanapa w otoczeniu

donic z palmami. Reflektory ustawiono w taki sposób, że pozostała część

pokoju wydawała się zupełnie ciemna. Na kanapie leżał na pół

rozłożony
wachlarz.

– Proszę posłuchać, nie ma pani prawa, jestem w trakcie sesji... W ciemnościach za kanapą otworzyły się drzwi.

– Wyjęłam kliszę z wody. Dobrze zrobiłam, Reggie? – zapytał dziewczęcy głos.

Gwen wstrzymała oddech.

– Tammy?! – zawołała. – Tammy?

Usłyszała stłumiony krzyk, a potem brzęk tłuczonego szkła.

W snop światła skierowanego na kanapę wkroczyła Tammy. Miała na sobie wełniany szlafrok, a pod nim coś w rodzaju jedwabnego niebieskiego

sarongu. Na to nałożyła gumowany fartuch, podobny do tego, który nosił

Reggie Hartfield.

Mamo! – zawołała Tammy.

– Ty głupia, samolubna dziewczyno! – krzyczała Gwen. – Wszyscy tak się o ciebie zamartwialiśmy!

– Chwileczkę, pani Veetcha, nie ma potrzeby mówić takim tonem...

– A pan niech się nie wtrąca! – powiedziała przez zaciśnięte zęby Gwen.

– Z panem rozmówię się później, być może przekażę pana policji za uprowadzenie córki!

– Ja nikogo nie porwałem! Nie może pani tak twierdzić! Powiedz jej, Tammy! – wołał śmiertelnie przerażony fotograf.

– W porządku, Reggie – odparła Tammy. Niemal natychmiast trzasnęła się z szoku związanego z wizytą matki. – Za chwilę jej to wyjaśnię. A

RS

462

tymczasem, obawiam się, że upuściłam ostatnią kliszę. Będziemy musieli

zrobić tę pozę jeszcze raz.

– Ja... ja... Nic nie szkodzi...

– Ma pan absolutną słuszość. Nie będzie żadnego pozwania – powiedziała Gwen, biorąc córkę za ramię. – Chodź, ubierz się w swoje rzeczy.

Wychodzimy!

– Nie, nie wychodzimy – odrzekła Tammy, próbując się wyrwać. – Ty nie

rozumiesz. Rozpoczynam karierę. Będę modelką.

– Pójdiesz ze mną w tej chwili!

– Nie, nie pójdę! Puść mnie! Kim ty jesteś, że przychodzisz tu i nami komenderujesz? Mam własne życie...

– Zrobisz to, co ci każę.

– Och, zawsze uważasz, że ci wolno mi rozkazywać, odsyłać i przesyłać jak paczkę! Ale nie tym razem! Tym razem to ty możesz się wynieść!

Wyprowadzona z równowagi Gwen spoliczkowała córkę. Wydawało się,

że w pokoju słychać było wyłącznie odgłos uderzenia.

– No, wiecie! – zawołał Reggie, rzucając się ku Tammy.

– Ty się do tego nie mieszaj! – krzyknęła Gwen. – Ty bezmyślny głupcze, nabiłeś jej głowę bzdurami! Tammy, idź i ubierz się do wyjścia.

Tammy stała, trzymając się ręką za policzek. Pomiedzy palcami ciekły jej

łzy. Spuściła głowę, a następnie ukryła twarz w dłoniach.

– Och, mammo... – szlochała.

– Płacz nic ci nie pomoże! Idź się ubrać!

– Nigdy... nigdy przedtem mnie nie uderzyłaś.

– Nie i zapewne na tym polegał mój błąd. Idź i włóż płaszcz.

Tammy nigdy nie słyszała, żeby matka mówiła do niej takim tonem.

Płacząc z bólu i upokorzenia, zgarbiła się posłusznie i podążyła za matką.

RS

463

22

Reggie Hartfield wyszedł, żeby złapać taksówkę, a Tammy spakowała rzeczy. Reggie zniósł jej walizkę na dół, powtarzając jękliwie, że ma nadzieję,

iż pani Veetcha nie nabierze o całej sprawie fałszywego wyobrażenia.

Kiedy

Tammy miała wsiąść do taksówki, odwróciła się do niego, jak gdyby oczekiwała pocałunku czy uścisku, jednakże Gwen stanęła w taki sposób, by

ich rozdzielić. Tammy cofnęła się bez słowa, obie wsiadły do samochodu i w

całkowitym milczeniu pojechały do hotelu Strand.

Recepcjonistka zdołała przenieść rzeczy Gwen do dwuosobowego

pokoju, wpisała Tammy na listę gości. Kiedy znalazły się w pokoju, Gwen nie zdejmując płaszcza, podeszła do telefonu. Najpierw zadzwoniła do matki w St Albans. W słuchawce słychać było okrzyki radości, szloch i łzy...
– Zapewniam cię, mamó, że Tammy czuje się dobrze. Opowiem ci o wszystkim, kiedy się zobaczymy. Myślę, że przyjedziemy jutro pociągiem.
– Nie wrócę do St Albans! – przerwała Tammy, ciągnąc matkę za ramię, jakby chciała zabrać jej słuchawkę.
– Słucham?! – krzyknęła Gwen i zakryła słuchawkę. – Coś ty powiedziała?
– Nie pojedę do babci, żeby dziadek się ze mnie wyśmiewał!
Gwen wpatrywała się w swoją córkę.
– Co to za historia z tym dziadkiem?
Tammy jednak nic nie powiedziała, tylko odwróciła się, opadła na krzesło i zaczęła gapić się w sufit. Gwen powróciła do rozmowy, zwłaszcza że Rhoda niecierpliwie dopytywała się, co zaszło.

RS

464

– Nic się nie stało, Tammy ma tylko napad złego humoru. Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli zostaniemy przez jakiś czas w hotelu. Nie... Nie... No cóż, ty możesz przyjechać tutaj... W porządku, jutro. Po rozmowie z matką, zadzwoniła do Scotland Yardu. Po raz kolejny

powiedziano jej, że sierżant Turner akurat ma wolne, więc połączono ją z

policjantem, który przejrzał kartotetki.

– Wróciła bezpiecznie do domu? Zostawię wiadomość panu Turnerowi, dowie się o tym z samego rana. A tymczasem, czy może mi pani podać pewne

szczegóły?

– Oczywiście. Co chce pan wiedzieć?

– Pod jakim adresem została znaleziona pani córka?

Gwen wyrecytowała adres, a następnie odpowiedziała, z kim znalazła Tammy.

– Fotograf Reginald Hartfield.

– Mamo! – wykrzyknęła Tammy, prostując się na krześle i błagalnie wyciągając ku niej dłonie.

– Uspokój się. Policja musi wiedzieć.

– Nie rozumiem, dlaczego.

– Dobry Boże, czy ty dziecko nie pojmujesz? Panna Powers powiadomiła

policję natychmiast po przeczytaniu twojego listu.

– No nie! – wysapała Tammy. – Nie było potrzeby...

– Przepraszam, panie inspektorze. Córka mi przerwała. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

– Mogę zapytać, w jaki sposób trafiła pani na tego faceta?

Gwen wyjaśniła, że koleżanka Tammy ze szkoły podała przybliżone miejsce jej pobytu, a ona już odszukała dokładny adres.

– Mam nadzieję, że nie będziecie zanedo wyolbrzymiać tej sprawy...

RS

465

– Zobaczymy, proszę pani. Wolno mi zapytać, czy ma pani świadectwo lekarskie?

– Nie rozumiem?! – zawołała skonsternowana Gwen.

– No cóż, to zależy tylko od pani. Zostawię całą sprawę sierżantowi Turnerowi. Zapewne zechce się z panią skontaktować. Czy będzie pani w

domu jutro rano?

– Inspektorze – odparła Gwen zmęczonym głosem – moje samopoczucie jest teraz takie, że nie wyobrażam sobie zrobienia choćby kroku przez najbliższe dziesięć dni.

Dochodziła dziesiąta. Gwen zachowywała się trochę jak automat.

Mobilizował ją jeszcze tylko gniew. Kazała swojej córce wziąć kąpiel i przygotować się do snu. Zadzwoiła do recepcji z prośbą o przysłanie na górę

jakiegoś jedzenia. Po dłuższych perswazjach udało jej się wywalczyć gorącą

zupę, bułeczki, resztki ryby w potrawce, która była specjalnością szefa kuchni,

oraz trochę kawy.

Tammy nie chciała jeść. Gwen nie potrafiła stwierdzić, czy jej córka straciła apetyt wskutek stresu, czy też był to odruch buntu. Sama spożyła dość

obfity posiłek i zmęczenie szybko dało jej się we znaki. Rozbierała się automatycznie. Kiedy wyszła z łazienki po umyciu zębów i twarzy,

zauważyła,
że córka ją obserwuje. Widocznie Tammy liczyła na to, że wyczerpana matka szybko zaśnie. Gwen poczuła niepokój. Ostentacyjnie podeszła do drzwi,
zamknęła je i włożyła klucz pod swoją poduszkę.
– Dobranoc, Tammy – powiedziała, kładąc się spać.
Tammy usiadła na brzegu drugiego łóżka i wcale nie wyglądała na senną.
– Jeśli chcesz, możesz tak siedzieć całą noc – powiedziała znużonym głosem jej matka. – Ale przynajmniej zgaś światło.

RS

466

Wyrzekłszy te słowa, odwróciła się na bok, naciągnęła koc i natychmiast zapadła w głęboki sen. Następnego ranka Tammy musiała nią dobrze potrząsać, żeby się rozbudziła.

– Mamo, puka pokojówka. Pyta, czy może posłać łóżka.

Gwen ocknęła się z trudem, jakby nałykała się lekarstw.

– Co? – zapytała nieprzytomnie.

– Za drzwiami czeka pokojówka.

– Powiedz jej, żeby sobie poszła.

– Ale jest dziewiąta...

Gwen wygramoliła się z łóżka, zaczęła iść w kierunku drzwi, przypomniała

sobie o kluczu pod poduszką i wróciła do łóżka. Otworzyła drzwi.

Starsza pokojówka przyglądała się jej z dezaprobatą.

– Proszę przyjść później.
– Nie mogę, mamy za mało personelu.
– W takim razie same pościelimy łóżka. Proszę odejść.
Niezadowolona pokojówka odwróciła się i popchnęła wózek z bielizną w stronę windy towarowej. Gwen zamknęła drzwi. Kości miała zeszywniałe, czuła się ociężała, zupełnie nie wypoczęta. Musiała jednak jakoś rozpocząć ten dzień. Wkrótce miał się u niej zjawić sierżant policji, wobec tego wykapała się szybko i ubrała. Na śniadanie w hotelu było już za późno.
– Pójdziemy do „Lyon”
– Ja zostanę tutaj. Nigdy nie jadam śniadania.
– Pójdiesz ze mną!
Z ponurą miną Tammy włożyła swoje włochate palto i biało–niebieski beret, które stanowiły uniform szóstoklasistów w Stanton School. Udały się do „Lyon” w okolicach Waterloo Bridge. Gwen zjadła tam grzanekę z jakąś okropną margaryną; marmolada za to pochodziła z przedwojennych zapasów.

RS

467

Wypiła kilka filiżanek bardzo mocnej herbaty. Poczowała się lepiej, ale przygnębiła ją posępna mina Tammy, która siedziała po drugiej stronie stolika, a także wewnątrz kawiarni. Przed wojną było to przyjemne miejsce. Na

ścianach

wisiały lustra, a przez okna wychodzące na Strand spoglądało się na ożywioną

ulicę. Teraz zdjęto lustra ze względów bezpieczeństwa, a także zamknięto

okiennice z powodu konieczności ciągłego zaciemniania okien. Londyn w

czasie wojny z pewnością nie był wesołym miastem, nawet jeśli zważyć, że nie

doszło jeszcze do spodziewanych nalotów i użycia gazu.

Gwen zostawiła w recepcji wiadomość, że wróca za pół godziny. Kiedy weszły do hotelu, z krzesła podniósł się mężczyzna pod pięćdziesiątkę o dużej

tuszy.

– Pani Veetcha? Jestem sierżant Turner.

– Tak, sierżancie. Przepraszam, że musiałyśmy wyjść. Zaspałyśmy na śniadanie.

– Nic nie szkodzi, proszę pani. Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

– Myślę, że najlepiej będzie zrobić to na górze.

Weszli do pokoju, w którym panował lekki nieład. Gwen pośpiesznie pościeliła łóżka przed wyjściem – bez pomocy Tammy. Teraz Tammy wkroczyła do sypialni niczym więzień w kajdankach, usiadła na swoim łóżku i

wbiła wzrok w czubki butów.

– Cieszę się, że młoda dama jest cała i zdrowa – powiedział sierżant.

Tammy nie odezwała się ani słowem.

– Co do tego Hartfielda...

Wyjął notes i otworzył go. Tammy zeszywniała.

– Udałem się tam z samego rana. On twierdzi, że postępował uczciwie.

Oglądałem zdjęcia, które zrobił: rzeczywiście, przedstawiają modę, są całkiem

RS

468

pryzywoite, przynajmniej te, które znalazłem. Tych niepryzywoitych mógł się

pozbyć. Czy tak postąpił, panienko?

Tammy nie udzieliła mu żadnej odpowiedzi.

– Jakie wrażenie odniosła pani wczoraj wieczorem, pani Veetcha?

Gwen zawahała się.

– Myślę, że Hartfield zajmował się właśnie obróbką kliszy, a moja córka mu pomagała.

– Dobrowolnie?

– O tak, dobrowolnie. Ponoć wyjechała z nim, by rozpocząć karierę modelki. Musieli zrobić zdjęcia, żeby je rozesłać do magazynów.

– Ech, te historyjki, które opowiadają chłopcy! – westchnął sierżant.

Tammy wydała z siebie dźwięk, który mógł wyrażać protest, coś w rodzaju

„On mówił prawdę!”, ale natychmiast ugryzła się w język.

– Pani Veetcha, ten gość mówił mi, że myślał, iż pani córka ma osiemnaście lat. Tak mu powiedziała.

– Tammy?

Tammy odwróciła głowę i uparcie milczała. Gwen westchnęła.

– Sądzę, że to może być prawda – stwierdziła. – Wydaje mi się, że bardzo

pragnęła zostać modelką.

– Chciała się znaleźć na okładkach czasopism, co? Wiele dziewcząt o tym marzy, ale niewiele z nich ucieka ze szkoły.

– Co dalej, sierżancie?

Potał czoło czubkiem ołówka.

– To zależy od pani. Prawdę mówiąc, nie ma dowodów działania wbrew woli dziewczyny czy niemoralnych celów. Co do innego aspektu, ta młoda

dama jest już pełnoletnia*, więc widzi pani... Przypuszczam, że mogłaby pani

wytoczyć sprawę o zabranie bez zgody rodziców.

RS

469

W oryginalne age of consent – wiek, w którym prawo zezwala zawierać związki małżeńskie i odbywać stosunki seksualne (przyp. tłum.)

– Nie, nie. Wolałabym... Może źle robię, ale wolałabym, żeby, jeśli to możliwe, odłożyć tę sprawę ad acta.

– Hm, pani Veetcha, szczerze mówiąc, policja ma teraz i tak mnóstwo pracy, a kierowanie do sądu sprawy, która mogłaby zostać oddalona...

– No, właśnie. W takim razie, możemy dać temu spokój?

– Jeżeli takie jest pani życzenie.

– Tak będzie lepiej.

Sierżant wstał z krzesła, schował notes i skierował się do drzwi. Lekkim skinieniem głowy dał Gwen do zrozumienia, że chciałby z nią porozmawiać na

osobności. Wyszła więc z nim do korytarza.

– Na pani miejscu nie spuszczałbym z niej oka. W swoim życiu widziałem już trochę zbuntowanych nastolatków. Ona tylko czeka na okazję,

żeby uciec do niego z powrotem. Nie sędzę, żeby zechciał ją trzymać u siebie,

bo napędziłem mu niezłego stracha.

Gwen zdobyła się na pełen wdzięczności uśmiech.

– Tak, widzę, że jest na mnie wściekła. Ale, prawdę mówiąc, to ja jestem wściekła na nią.

– To normalne. Najlepiej, żeby wróciła do szkoły i zaczęła się przygotowywać do egzaminów.

– Nie, zabiorę ją do domu, do Singapuru.

– Tak będzie chyba najrozsądniej – stwierdził sierżant. – W takim razie do widzenia.

Matka Gwen zjawiała się tuż przed lunchem. Z czułością objęła Tammy, która przyjęła to chłodno i w milczeniu. Zjadły posiłek w hotelu, a następnie

RS

470

Gwen wyszła, żeby wysłać depesze i rozpocząć przygotowania do podróży. Do

Sama napisała: „Tammy odnaleziona. Czuje się dobrze. Wracam z nią, jak

będę mogła najszybciej. Przekaż wiadomość przyjaciołom i pracownikom.

Gwen". Mówiąc o przyjaciołach, miała na myśli Terence'a. Wiedziała, że Sam

spełni jej prośbę, a także powiadomi o jej powrocie głównego służącego

Omara.

Ale podróż wiązała się z utrudnieniami. Wprawdzie Urząd Spraw Wewnętrznych zgadzał się, że przyjechała tu jako gość i miała prawo do wyjazdu. Mogła też zabrać córkę, która nie miała jeszcze osiemnastu lat. Problemem była długa lista osób oczekujących na miejsce na statku.

Jeśli

chodzi o podróż samolotem, wyśmiano sam pomysł.

– Och, być może jakoś się udało zarezerwować dla pani miejsce w Singapurze, ale znacznie więcej osób chce wylecieć z Londynu. Zresztą wielu

z pasażerów podróżuje służbowo.

Wreszcie, pod koniec tygodnia, zadzwonił do niej ktoś z Wydziału Komunikacji Urzędu Spraw Wewnętrznych.

– Pani Veetcha, z przyjemnością donoszę, że linia okrętowa „Amerykański Orzeł” dała nam znać, iż może pani zaoferować dwa miejsca na

pokładzie „Beulah”. Statek odpływa we środę do Tokio przez Singapur i Indie

Wschodnie.

– Jak to się stało? – zapytała zdumiona Gwen.

– Niestety, nie mam pojęcia, proszę pani. Menedżer zajmujący się pasażerami zadzwonił do mnie dziś rano z informacją, że mają wolne miejsca.

Chce pani jego numer telefonu?

– Proszę. Czy mam rozumieć, że wraz córką wolno mi wyjechać?

– Oczywiście, proszę pani. Jeżeli przyjdzie pani do nas we wtorek, przepustki będą gotowe.

RS

471

Gwen nie miała wątpliwości, że miejsca na statku załatwił jej Sam Prosper. Była to linia handlowa kursująca między Nowym Jorkiem i Dalekim

Wschodem. W drodze do Japonii statek zawijał do portów europejskich i azjatyckich. Kiedy Rhoda usłyszała najnowsze wieści, była zupełnie zaskoczona.

– Myślałam, że zostaniesz ze mną na dłużej, kochanie – żaliła się. – A to, że zabierasz ze sobą Tammy... Tak mi przykro z tego powodu... Wiem, że czujesz, iż nie możesz już oddać jej pod moją opiekę.

– Ależ nie o to chodzi, mamó – pocieszała ją Gwen.

W gruncie rzeczy właśnie o to chodziło. W dodatku czuła się zakłopotana

stosunkiem ojczyma do Tammy. Przypomniała sobie, co przeżywała przed laty

– z tego powodu opuściła przecież dom rodzinny. Być może Tammy odczuwała podobne zagrożenie i między innymi dlatego w czasie ferii wychodziła z domu na cały dzień: po prostu chciała trzymać się z dala od

Wally'ego. Wally przyjechał z Rhodą do Southampton, żeby je pożegnać.

Gwen zauważyła, że jej córka zachowuje bezpieczny dystans wobec ojczyma.

„Beulah” był statkiem handlowym, który miał także kajuty dla osiemnastu pasażerów. Ponieważ należał do amerykańskiej linii okrętowej, zawijał po drodze do portów, które były zamknięte dla statków brytyjskich. Nie brakowało im żywności, a kiedy dotarli do Egiptu, zrobiła się znakomita pogoda. Mając świadomość, że Tammy nie ucieknie ze statku, Gwen nieco się odprężyła. Przez pierwszą część rejsu czuła się kiepsko, lecz nie przyznawała się do tego. Jej córka wyraźnie dała do zrozumienia, że nie powinna oczekiwać na współczucie z jej strony, toteż Gwen samotnie zmagала się ze swoimi kłopotami. Między matką i córką zapanował zbrojny rozejm. Gwen usiłowała traktować córkę stanowczo, ale uprzejmie, natomiast Tammy nie zdobywała się na jakąkolwiek reakcję. Prawie się nie odżywała, jadła bardzo mało, nie

RS

472

chciała dyskutować na temat swojej przyszłości i przechadzała się tak po statku, że pierwszy i drugi oficer zapominali o swoich obowiązkach. – Chyba przechodzi przez trudny okres – stwierdziła życzliwa amerykańska matrona, pani Attwood, kiedy Tammy po raz kolejny

wstała od

stołu po posiłku, który zjadła w absolutnym milczeniu.

– Mam tylko nadzieję, że to nie będzie trwało bardzo długo – odparła Gwen.

– Och, moja droga, za rok lub dwa na myśl o tym będzie się pani śmiała. Obecnie Gwen nie miała bynajmniej ochoty na śmiech. Często była bliska

placzu bez żadnej określonej przyczyny. Jednakże nie miało sensu tłumaczenie

Tammy, jak bardzo ją rani postępowanie dziewczyny.

Dotarły do Singapuru w połowie maja. Nie była to najlepsza pora na sprowadzenie Tammy, gdyż akurat wiał uciążliwy południowy wiatr zwany

„jawajską bryzą”. Ten silny prąd powietrzny przychodził z Indii Wschodnich,

wiał między majem i czerwcem, i o dziwo, wcale nie był orzeźwiający.

W tych

dwóch miesiącach ludzie najczęściej się przeziębiali albo dostawali gorączki.

Tammy od razu zachorowała.

– To tylko grypa – oświadczył lekarz. – Proszę zapakować ją do łóżka, niech odpoczywa i pije dużo płynów. Wygląda na to, że pani również by się

przydała taka kuracja, pani Veetcha.

– Dziękuję, doktorze, ale czuję się całkiem nieźle.

Sam miał na ten temat inne zdanie. Wyjechał po nie do portu, a nazajutrz

zadzwoił, by dowiedzieć się, że lekarz kazał Tammy leżeć w łóżku.

– Wyglądasz marnie – powiedział do Gwen. – Posłuchaj, niech dziewczyną zaopiekują się służący; mogą ją poić sokiem z limony czy herbatą

tak samo jak ty.

– Nic nie rozumiesz, Sam! Czuję się za nią odpowiedzialna...

RS

473

– Bo sprowadziłaś ją do domu i zachorowała na grypę? Nie bądź głupia! Stali w cieniu drzewa na trawniku, z dala od domu. Mocny, ale ciepły wiatr

poruszał bujnym listowiem i wysuszonymi główkami kwiatów, które były

jedyną pozostałością po różowych pąkach.

– Czuję się odpowiedzialna, ponieważ sprowadziłam ją tutaj i nie mam pojęcia, co dalej robić!

Jej głos brzmiał jak żałosna skarga. Sam miał właśnie zapalić cygaro, ale wstrzymał się i spojrzał na nią uważnie.

– Przestań, kochanie, to do ciebie niepodobne. Nie należysz do osób, które się poddają.

Gwen pokręciła głową i patrzyła na turkusowe morze z białymi grzywami piany. Za nim znajdowała się Europa, którą opuściła z takim zadowoleniem, Europa, w której działy się straszliwe rzeczy. Hitlerowcy napadli na Belgię i Holandię, przedostali się do Francji. Meldunki radiowe

stawały się z każdą godziną coraz bardziej zatrważające.

Omar przyniósł dzbanki z sokiem i lodem. Nalał Samowi soku limonowego, a Gwen ananasowego.

– Panienska śpi – oznajmił.

– Dziękuję, Omarze.

– *Tuan* zostaje na lunch?

– Nie, Omarze, muszę wracać do biura.

- Widzisz? On i Lala dadzą sobie radę z Tammy. A jeśli chodzi o to, co masz z nią robić... Ona powinna wrócić do szkoły. W Tanglinie jest dobra szkoła dzienna.
- Proponowałam jej to. Powiedziała, że nie chce.
- Czy ma to związek z tamtą sprawą? To znaczy, popełniła gafę, więc powinna próbować naprawić stosunki z tobą.

RS

474

- Jest odwrotnie. Ona uważa, że to ja powinnam ją przeprosić.
- Co takiego? Ucieka, wykańcza cię nerwowo i to ma być twoja wina?
- Nie, ale ja źle rozegrałam sprawę. Dałam się ponieść nerwom. Ja... uderzyłam ją.
- Sam pociągnął kilka łyków soku.
- Hm... Kiedy byłem dzieckiem, parę razy wygarbowano mi skórę.
- Nigdy nie oczekiwałem przeprosin od swojego taty.
- No tak, ale czy nie pojmujesz?... Chcę powiedzieć, że ona myślała, iż jest zakochana...
- A była?
- Nie wiem. Nie chce o tym rozmawiać. Myślę, że kochała się z tym mężczyzną, ale czy z jej strony była to prawdziwa miłość...
- Znowu chcesz mi coś wmówić? Myślisz, że poszła z nim do łóżka, ale go nie kochała?
- Mam okropne przeczucie, że... być może... skłoniła ją do tego ambicja.
- Ambicja? Uciec z nieznanym fotografem? Sądziła, że utoruje jej drogę

do wielkiej kariery. No, no. Oczywiście, od dawna wiadomo, że jej wygląd jest

wart sznura birmańskich rubinów.

– Co mam zrobić, Sam? Nie mogę pozwolić, żeby włączyła się po Singapurze.

– To jasne. Dokoła jest tylu chętnych młodzieńców... . Sam rozmyślał przez chwilę. Potem podniósł cygaro z popielniczki Pomachał nim, gdyż coś

mu przyszło do głowy.

– Daj jej pracę w swojej firmie.

– A co będzie tam robiła? Stolarstwo ją nudzi, a co do papierkowej roboty, ledwo starczy jej dla Gan Toy i Lim. Poza tym nasze stosunki nie

układają się już dobrze.

RS

475

– Taak – odparł Sam. Przez chwilę palił w milczeniu i obserwował słowika, który usiłował dolecieć do pobliskiej palmy na przekór silnie wiejącemu wiatrowi. – W porządku – powiedział w końcu. – Ja jej dam pracę.

– Ty? A czym się będzie zajmowała?

– Och, potrafię wykorzystać bystre, inteligentne dziewczęta do pracy w biurze. Powiedzmy, że będzie pracować trzy dni w tygodniu, a dwa dni spędzi

w college'u, ucząc się pisania na maszynie i stenografowania.

Gwen oparła się o krzesło. Zdawało się, że na końcu tunelu pojawiło się

światelko, ale nie pozbyła się wszystkich wątpliwości.

– Będziesz ją traktował zbyt łagodnie, Sam. Jeżeli weźmie sobie wolny dzień, nawet jej nie zganisz.

– Na pewno to zrobię. Wiesz, że nigdy nie potrafiła owinać sobie mnie wokół paluszka, tak jak jej się to udawało z innymi. A jeśli wątpisz we mnie, zaopiekuje się nią Minia. Minia nie ma miękkiego serca nawet dla siebie.

Ucichli i rozmyślali.

– Zastanawiam się, czy to by naprawdę zdało egzamin – mruknęła Gwen.

– Spróbuj, to się przekonasz.

– Och, Sam, po prostu nie wiem...

– Cóż, zaczekaj, aż wyleczy się z grypy. Zobaczymy, jak się ułożą sprawy.

– Tak. Dziękuję ci, Sam.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Sam...

– Co?

– Nie miałam czasu, żeby zająć się sobą, ponieważ jak tylko wróciłyśmy,

Tammy zachorowała... Opowiedz mi najnowsze plotki.

– Na jaki temat? – zapytał, choć dobrze znał odpowiedź.

RS

problemach naszych przyjaciół...

– Znasz Elbę. Zawsze lubi opowiadać o najgorszych rzeczach. Założy się,

że już zdążyła rozpowiedzieć wszystkim, iż Tammy jest chora nie tylko na

grypę, ale jeszcze ma paraliż i wysypkę.

– Słyszałeś coś ostatnio na temat Terence'a?

A więc Terence nie zadzwonił, żeby się z nią przywitać, nie przesłał żadnego listu ani kwiatów. Cóż, można było się tego spodziewać.

Terence miał

teraz sporo zmartwień. Mówiono, że zadłużył się porządnie w chińskiej szulerni i nie miał pieniędzy. Ponadto Molly O'Keefe odmówiła spłaty tego

długu, ponieważ ksiądz powiedział jej, że popieranie hazardzisty jest grzechem. Jeżeli był dłużnikiem *tongs*, kłopot wiązał się z szybkim narastaniem odsetków. Im dłużej nie płacił, tym więcej był winien. Poza tym

przychodził moment, w którym przywódcy chińskiej mafii zazwyczaj uznawali, że przydałoby się trochę „zachęty” do zwrotu długu: na przykład

oderwanie ucha czy ucięcie palca.

Sam już dawno pogodził się z tym, że nie zdobędzie Gwen Veetchy.

Błąd, który popełnił podczas ich pierwszego spotkania, sprawił, że wkroczyli

na niewłaściwą ścieżkę. Nie należał jednak do ludzi, którzy boją się nad tym, że

nie mogą czegoś mieć, a poza tym można było pocieszyć się czymś innym...

Tyle że te pociechy nigdy nie spełniały jego oczekiwań, nie odpowiadały ternu,

co mógłby przeżyć z Gwen. Jego rozczarowanie wynikało z faktu, że Gwen

zakochała się w takim egoistycznym bubku jak O'Keefe. Od samego początku

dostrzegł w niej namiętność – o tak – zademonstrowała gwałtowne

uczucia,
wybuchając gniewem, kiedy oskarżył ją o próbę wyłudzenia pieniędzy.
Ale
dlaczego niewłaściwie lokowała swe uczucia, zadając się z Terence'em?
No cóż, takie jest życie – powtarzał sobie ze smutną rezygnacją.

RS

477

A teraz wróciła do domu ze swoją kapryśną córką i była w stanie straszliwej depresji, a ten pętek nawet się nie pokazał. Istniało prawdopodobieństwo,

że *tai pan* gangów naprawdę się na niego zdenerwuje i powiesi go na palmie, żeby wysechł na słońcu. Ale nie można było przekazać takich wieści

Gwen, zwłaszcza że jej szarozielone oczy wpatrywały się w Sama z wielkim niepokojem.

– Och, Terence jest bardzo zajęty. Jego firma zdobyła zamówienia na maszyny załadownicze, potrzebne do budowy pasa startowego.

W duchu dorzucił: „A niech go diabli wezmą!”

– Rozumiem. Tak się tylko zastanawiałam. Chcesz jeszcze soku z limony? Potrząsnął głową i wstał.

– Z Padangu ma do mnie przyjść pewien gość. Nie zapomnij o posadzie Tammy. I na litość boską, przestań się zamartwiać.

– Będę posłuszna – odparła, niepewnie się uśmiechając.

Kiedy wsiadał do samochodu, pomyślał, że Gwen będzie załamana, jeżeli

Terence zostanie znaleziony na jakiejś ulicy z poderżniętym gardłem. Po przyjeździe do biura poprosił więc sekretarkę o połączenie, wykręcił numer i odbył krótką rozmowę z przyjacielem. W efekcie pewien zmartwiony karciarz otrzymał przedłużenie terminu spłaty długu. Przeleżawszy kilka tygodni w łóżku, Tammy czuła się na tyle dobrze, że mogła chodzić na plażę i wypoczywać pod palmami. Słuchała tanecznej muzyki z radioodbiornika i głównych wiadomości: w Europie działo się bardzo źle. Brytyjskie wojska zostały zepchnięte na wybrzeże pod Dunkierkę, a na Londyn spadł grad bomb, czego spodziewano się już dawno. Wszystkie serwisy informacyjne brzmiały tak dziwnie. Babcia i dziadek byli zapewne w niebezpieczeństwie, ale wydawało się ono nierzeczywiste. Uwagę Tammy pochłaniały jej własne sprawy: wstyd, że została spoliczkowana i wywleczona

RS

478

z pracowni, że straciła szansę na sukces i karierę, że musiała słuchać matki, która nagle stała się tyranem i więziennym dozorcą. Już ja jej pokażę – pomyślała. Nie bardzo jednak wiedziała, w jaki sposób. Ku zdumieniu Sama

przyjęła
ofertę pracy i zaczęła przychodzić do jego biura od czerwca. Dano jej
biurko w
dziale ogólnym na drugim końcu korytarza w Orient Building. Personel
składał
się z kilku osób: dwóch maszynistek, księgowego i chłopca na posyłki.
Tammy
sprawowała funkcję „urzędniczki d. s. korespondencji” – otwierała listy
i
kupowała znaczki na poczcie.
Na polecenie Sama zapisała się w college'u na kurs dla sekretarek.
Ponieważ do końca semestru letniego został tylko miesiąc, nie mogła
rozpocząć w tym momencie nauki stenografii. Sam Prosper powiedział
jej
jednak, że może zacząć naukę pisania na maszynie, i tak też zrobiła. W
biurze
nie wolno jej było zwracać się do niego „wuju Samie”, tylko „panie
Prosper”.
Kiedy mówiła „tak, proszę pana”, przychodziło jej na myśl, że to matka
skłoniła go do takiego jej traktowania. Chodziło o to, żeby Tammy
„znała
swoje miejsce”.
Oczywiście, weekendy miała wolne. Kiedy poszła popływać któregoś
niedzielnego ranka, z przerażeniem dostrzegła, że jakaś postać opuszcza
jej
dom tylnymi drzwiami i okrąża plażę. Pierwsze pomarańczowe promyki
słońca
oświetliły brązowe włosy mężczyzny i jego pognieciony biały garnitur.
Terence O'Keefe!
Tammy stanęła jak wryta. Terence i jej matka! Dotychczas nic
podobnego nie przyszło jej do głowy. Jej matka zakochana! W
ramionach
jakiegoś mężczyzny? Jej matka z Terence'em O'Keefe! Ale przecież
Terence
O'Keefe był żonaty...

RS

479

Przypomniała sobie rozmaite plotki i paplaninę dziewcząt w szkole. Oczywiście żonaci ludzie często zbaczali z prostych ścieżek. Czyż ukochana

księcia Walii, pani Simpson, nie była zamężna, kiedy ją poznał? A gwiazdy

filmu – w gazetach zawsze się pisało o ich romansach.

Nagle poczuła złość. Jak jej matka śmiała wtargnąć do pracowni i odciągnąć ją od Reggiego? Jak śmiała traktować ją w taki sposób, jak gdyby

było coś złego w obcowaniu z mężczyzną! Przecież ona sama miała romans. I

to zapewne od lat – no tak, teraz Tammy uświadomiła sobie, że Terence często

bywał w ich domu bez żadnej poważnej przyczyny, a mama podchodziła do

telefonu, ilekroć dzwonił, jakby przywiązywała do tego wagę...

Przez kilka minut stała w cieniu i ze złości gniotła czepek kąpielowy w rękach. Wreszcie nałożyła go i zanurzyła się w fale. Zimna woda nieco ją

otrzeźwiła i sprawiła, że gniew ustąpił miejsca refleksji. Terence O'Keefe...

Przystojny, próżny, raczej głupi. A jednak mama go kochała. Jakie to głupie

kochać takiego mężczyznę! Przez to wydawała się słaba i bezwolna...

Kiedy Terence O'Keefe po raz pierwszy uświadomił sobie, że Tammy Veetcha chyba go lubi, nie potrafił w to do końca uwierzyć. Był od niej przecież dwukrotnie starszy, a wśród inżynierów i personelu pomocniczego znajdowało się sporo młodych mężczyzn, którzy mogli przyciągnąć jej uwagę.

Ale ona sprawiała wrażenie, że lubi jego, właśnie jego. Kiedy zachęcano go do

śpiewania na przyjęciach, ona zawsze należała do pierwszych osób, które go o

to prosiły. Miała swoje ulubione piosenki: *Love is the Sweetest Thing Have*

You Ever Been Lonely? Pewnego dnia natknął się na Tammy, kiedy matka nie

przyjechała po nią samochodem. Zaofiarował się, że ją podwiezie.

Powiedziała, że jest jej gorąco i lepi się od potu, i czy nie byłoby miło wskoczyć gdzieś na drinka przed jazdą do domu.

– Ach, moja kochana, jesteś za młoda, żeby pójść do baru – odparł.

RS

480

– Moglibyśmy pójść do „Raffles”: ty zamówiłbyś whisky, a ja lemoniadę.

No, zgódź się, Terence, dzień jest taki parny.

No cóż, przecież jawajska bryza wpływała źle na samopoczucie, nieprawdaż?

Zabrał Tammy do „Raffles” i nie widział w tym nic złego.

Oczywiście, musiała się o tym dowiedzieć Elsa Copeland. Wkrótce potem ktoś szepnął o całej sprawie Gwen, która zapytała go o to przy następnym spotkaniu.

– Tak, podwoziłem ją przedwczoraj, kiedy nie przyjechałaś po nią samochodem. Zatrzymaliśmy się tylko na krótką przerwę w hotelowym barze

„Raffles”, a potem wysadziłem ją przy twojej uliczce.

– Powinieneś być wejść do domu, Terence – stwierdziła.

– Nie miałem czasu. Zaprosiliśmy gości na kolację, więc musiałem wracać.

– Rozumiem.

Ale Tammy nie wspomniała o tym ani słowem.

Tymczasem w warsztacie Gwen wrzała praca. Napływ inżynierów i wysokich rangą urzędników państwowych oznaczał konieczność odnowienia

bungalowów na ich potrzeby. Nie zamówiono żadnych śmiałych rzeczy, ale

Gwen uznała, że to nawet dobrze się składa, gdyż zupełnie straciła serce do

oryginalnych sprzętów. Otaczający ją świat był taki przygnębiający.

Ludzie

mówili, że biedna stara Brytania znajduje się w złej sytuacji, ale nie ma co się

martwić, albowiem pomogą jej kolonie i wszystko dobrze się skończy.

– Ha! – zawołał Sam, usłyszawszy te optymistyczne wizje w klubie. –

Nikomnie nie przychodzi do głowy, że te kolonie będą miały dość własnych

kłopotów?

– Co, Indie, Australia? Nie bądź głupi, staruszk.

RS

481

– Czy nikt z was nie zauważył, że Japonia podpisała dziesięcioletni pakt wojskowy z Niemcami i Włochami?

– No to co? Chyba nie sugerujesz, że Japonia będzie próbowała coś knuć przeciwko nam?

Widział, że mają go za wariata, toteż nie usiłował się z nimi sprzeczać.

Poza tym w Singapurze panowała atmosfera stabilności i wygody, którą trudno

było czymś zmącić. Singapur przypominał jakąś baśniową krainę, w której nic

złego nie może się zdarzyć.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i wszystkie związane z nimi uroczystości. Przybyła też Jane Bedale.

Gwen pisywała od czasu do czasu listy do tej życzliwej misjonarki, która

otoczyła ją opieką podczas trzęsienia ziemi w Tokio. Później ich korespondencja

ograniczyła się do wymiany świątecznych życzeń i okolicznościowych kartek, wysyłanych wówczas, gdy któraś z nich zwiedzała jakieś interesujące

zakątki świata.

Jane Bedale pojawiła się w Singapurze niespodziewanie w charakterze uciekinierki. Gwen usłyszała jej głos w słuchawce i nie posiadała się ze zdumienia.

– To ja, Jane Bedale. Znalazłam twój numer w książce telefonicznej.

Gwen, jak się masz?

– Świetnie, ale co ty tutaj robisz?

Wysłuchała wówczas początku opowieści, a reszty dowiedziała się w sierocińcu w dzielnicy malajskiej, gdzie znajdowała się nowa placówki panny

Bedale. Okazało się, że Japończycy przejawiali coraz więcej wrogość wobec

działalności metodystów.

– Widzisz, mieliśmy w naszym sierocińcu parę dzieci mieszanych rodziców, a oni są ostatnio wielkimi zwolennikami czystości rasowej...

RS

482

– Tak, czytałam o tym w *Shimbun*.

– Nadal czytujesz ich gazety?

– Tak, ze względu na Tammy. Czuję, że powinnam zachować jakąś więź.

Na kanciastej twarzy Jane pojawiło się najpierw zaskoczenie, a później aprobata. Jej szpakowate niegdyś włosy teraz zupełnie zbieleły, co podkreślał o

błękit przenikliwych oczu.

– No cóż, zostaliśmy zaatakowani, trudno to inaczej nazwać. Myślę, że zorganizowali bandy, które przychodziły z nas szydzić i rzucały kamieniami.

Dlatego pan McAllister poszedł złożyć protest.

Pan McAllister był pastorem w kościele w Nagasaki, przy którym działała misja. Ponieważ nie bawił się z miejscowym komendantem w

grzeczne słówka, polecono mu, by okazał więcej szacunku, on zaś odparł, iż nie może szanować policjanta, który popiera ataki na niewinne dzieci. Pastor został wtrącony do więzienia. Oczywiście, wypuszczono go po kilku godzinach. Z pomocą pośpieszył brytyjski konsul.

– Ale poczuliśmy, że jesteśmy tacy niepożądani. Odgrzebywali jakieś wydarzenia z przeszłości, na przykład to, że pan McAllister modlił się kiedyś, żeby Chiny nie przeżyły najazdu wojsk japońskich.

– Tak, to jest straszne, oni robią takie okropne rzeczy. Nie rozumiem tego, zawsze sprawiali na mnie wrażenie, że są bardzo uprzejmi i cierpliwi.

– Zmienili się, Gwen. Nie poznałabyś teraz Tokio. Naturalnie, przebudowali je nie po raz pierwszy, ale obecnie... Pełno tam monumentów wojowników, to samo dzieje się w innych miastach. Zrobili się takimi militarystami...

Gwen pokiwała głową.

– W czasopismach, które kupuję, jest mnóstwo kolorowych zdjęć z parad wojskowych.

RS

483

– No cóż, tak czy owak, dali nam wyraźnie do zrozumienia, że możemy tylko zaszkodzić dzieciakom, toteż przenieśliśmy je do innych szkół, a

sami

opuściliśmy miasto. A teraz jestem tutaj i zaczynam wszystko od początku, z

nową grupą dzieci i w nowym języku.

– Malajski jest łatwy – powiedziała zachęcającym tonem Gwen. –

Zwłaszcza malajski pidżin, którym wszyscy tutaj mówimy.

– Bóg mi dopomoże – oświadczyła z prostotą Jane. – W ciągu tych ostatnich kilku lat On mnie nie zawiedzie. Wiesz, Gwen, niewiele już mi zostało do emerytury. Myślałam, że dokończę żywota w Japonii, ale

widocznie miało być inaczej.

Gwen przedstawiła jej Tammy. Miała nadzieję, że szczerą, otwartą przyjaźń takiej kobiety jak Jane Bedale wniesie trochę ciepła w życie jej córki.

Jednakże działalność misji nie zrobiła na Tammy żadnego wrażenia, a japońszczyzna, której używała w kryzysowych momentach Jane, tylko ją drażniła.

– Myślę, że to idiotyczne przebywać za granicą tak długo, by zapomnieć po angielsku – oświadczyła, kiedy Gwen zapytała ją o wrażenia na temat panny Bedale. – Mówienie po japońsku nic jej tutaj nie da.

– Ależ, Tammy, to jest wspaniała kultura...

– Ciągłe to powtarzasz – odparła córka wzruszając ramionami i wyszła z pokoju.

Tego roku doniesienia z frontu napawały większym optymizmem. Siły aliantów dobrze sobie poczynały w Afryce Północnej, a Stany Zjednoczone

podpisały układ z Wielką Brytanią.

– Pocziwe stare USA! – zawołał Sam. – Wiedziałem, że nie będą stali beczynniami i przyglądali się, jak hitlerowcy dają wszystkim łupnia!

RS

484

Gwen nie miała zbyt wiele powodów do radości. Anglia znowu przeżywała zmasowane naloty. Martwiła się o swoją matkę. Czekwała na każdą

pocztę, która przychodziła coraz mniej regularnie.

Przez dwa dni w tygodniu jej córka uczyła się w college'u dla sekretarek.

Gwen cieszyłaby się, mając dowody, że Tammy rzeczywiście tam uczęszcza. Z

początku zawsze przyjeżdżała po nią samochodem, ale córka twierdziła, że to

ją ogranicza, że chciałyby pójść z innymi studentkami na kawę czy na lody. I

trudno było jej odmówić tych drobnych swobód.

Z okazji siedemnastych urodzin córki Gwen urządziła przyjęcie, które odbyło się według ustalonego wzorca – otwarty dom, stoliki i lampiony na

trawniku, mnóstwo jedzenia i picia, płyty z własnej kolekcji oraz pożyczone od

przyjaciół, tańce do białego rana. Mniej więcej o trzeciej impreza zaczęła się

rozpadać i Gwen uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu nie widziała swojej

córki. Jako gospodyni miała zbyt wiele zajęć, by móc ją upilnować. No cóż,

może poszła popływać z przyjaciółmi albo ogląda wschód słońca...
Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, aż zaplątała się w moskitierę. Wreszcie wsparła się na łokciu, żeby zerknąć na zegarek.

Była czwarta rano. Gwen wstała z łóżka i podeszła na palcach do drzwi pokoju córki. Jej łóżko było puste, nie rozesłane. A zatem Tammy jeszcze nie

wróciła do domu. Kiedy wreszcie pojawiła się o piątej, Gwen czekała na nią w salonie.

- Gdzie byłaś? – zapytała stanowczym tonem.
- Na dworze.
- Gdzie? Z kim?
- Chciałabyś wiedzieć!

RS

485

– Tammy, twoje zachowanie staje się po prostu niemożliwe. Jestem twoją

matką i mam prawo wiedzieć, gdzie przebywałaś aż do teraz!

– Masz prawo? Co chcesz przez to powiedzieć? Nie myśl sobie, że nie wiem, o co ci chodziło przez wszystkie te lata! Wysłałaś mnie do szkoły w

Cameron Highlands, żebym ci nie zawadzała...

– Tammy!

– Odprawiłaś mnie do Anglii i w ten sposób pozbyłaś się mnie na cały rok! A teraz masz czelność pytać mnie, gdzie byłam, kiedy ja wychodzę

na

godzinę czy dwie.

– Tammy, nigdy nie wysyłałam cię po to, żeby się ciebie pozbyć! Jak możesz sugerować coś podobnego?

Tammy, która wyglądała w sukience z zielonego szyfonu jak uosobienie dziewczęcego ideału, zacisnęła rękę w pięść i zaczęła nią potrząsać.

– Po to, żeby być z Terence'em O'Keefe! Myślisz, że nie wiem?

Wszyscy

o tym wiedzą! Sądzisz, że udaje ci się zachować dyskrecję, a w gruncie rzeczy

jesteś pośmiewiskiem!

Gwen zeszywniała w krześle.

– Tammy, co ty wygadujesz?

– Boli cię to? Dobrze, bardzo się cieszę. Teraz już wiesz, co się czuje, gdy ktoś robi z ciebie idiotkę przed osobą, na której ci zależy.

Gwen poczuła, że ogarnia ją bezgraniczne rozgoryczenie i zamęt.

– Poczekaj, posłuchaj, nie krzycz tak na mnie, Tammy! Uspokój się...

Proszę cię, kochanie... Ja nie rozumiem...

– Rozumiesz bardzo dobrze. Na tyle dobrze, żeby odczuwać zazdrość! Jak to jest, kiedy się kogoś traci, co? Mam nadzieję, że to piekielnie boli!

RS

486

Gwen wydawało się, że jej córka zupełnie przestała się kontrolować.

Śmiała się, a jednocześnie płakała. Na jej oliwkowej cerze pojawiły się triumfalne rumieńce, a błyszczące zielone oczy były zalane łzami.

– On jest taki łatwy, taki łatwy! Nie warto się wysilać, wpada w sieć jak ogłuszona ryba! A ty go kochasz, i to jest takie zabawne...

Przez chwilę panowała cisza. Gwen drząc skuliła się w sobie.

– To ma być rewanż, tak? – zapytała cicho.

– Tak.

– Tak bardzo kochałaś Reggiego?

– Reggiego? Tak, chciałam Reggiego, ale bardziej chciałam zrobić karierę, a ty mi to uniemożliwiłaś. Nawet mi nie uwierzyłaś, kiedy ci powiedziałam, że to dla mnie ważne. Ty wiesz najlepiej, o tak, ty zawsze wiesz

najlepiej! Ale wtedy uświadomiłam sobie, że ta wszechwiedząca matka jest na

tyłe głupia, że robi z siebie idiotkę, wiążąc się z Terence'em O'Keefe.

Zdajesz

sobie sprawę z tego, że cały Singapur wie o tym, iż on jest twoim kochankiem?

– Tammy... Tammy... Nikogo to specjalnie nie obchodzi. Terence i ja... Jeżeli ludzie się śmieją, to robią to w życzliwy sposób. Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

– Za młoda, czyżby? Za młoda, żeby zrozumieć, za młoda, żeby robić to, o czym marzę. Ale nie za młoda, żeby ci go sprzątnąć sprzed nosa!

– Nie wiem, jaką korzyść... To takie wstrętne, Tammy. On mógłby być twoim ojcem.

– Ma czterdzieści jeden lat. Tak czy owak, wolę starszych mężczyzn – odrzekła pogardliwym tonem Tammy. – Są tacy inni. Ta siwizna na skroniach

tylko przydaje mu uroku, nie uważasz? – Zaśmiała się krótko i mówiła dalej: –

Wiesz, Freud twierdzi, że jeśli pociągają cię starsi mężczyźni, to dzieje się tak

dlatego, iż szukasz ojca. Właśnie to robię: szukam ojca, który by zastąpił tego

RS

487

mitycznego Japońca. Pewno nie mogłaś się doczekać, kiedy od niego odejdiesz!

– Nie! Dość, nie pozwolę ci mówić takich rzeczy! – krzyknęła Gwen. Rzuciła się do niej i chwyciła ją za ramiona. Tammy spojrzała jej w oczy.

– No, dalej, co zamierzasz zrobić? Znowu mnie uderzysz?

Zdruzgotana wewnętrznie Gwen puściła jej ramię. Usiłowała znaleźć jakieś słowa.

– Nie pojmuję, co miałaś na myśli. Kochałam twojego ojca, kochałam go bardzo.

– O tak, i nie zapomnisz o nim do końca życia. Wielki pokaz podtrzymywania wspomnień. – Jej palce szarpnęły jedwabne kimono, które

miała na sobie matka. – Nosisz japońskie jedwabie, czytasz te okropne gazety,

gawędzisz z Japońcami na Middle Road... Jesteś okropną hipokrytką: przez

cały ten czas, kiedy powinnaś „pamiętać” o moim ojcu, romansujesz z kochanym Terence'em.

– Czy ty jesteś w stanie pojąć... ? Sądzisz, że powinnam spędzić resztę życia w całkowitej samotności? – wyszeptała Gwen, dobita słowami córki.

– No cóż – odparła Tammy, szczerząc zęby w uśmiechu. – Wygląda na

to, że będziesz musiała, ponieważ on jest teraz mój.

– Och, Boże... Biedne dziecko... Nie wiesz, co robisz.

– Nie praw mi kazań! Właśnie, że wiem, co robię. Postanowiłam zdobyć Terence'a i mam go.

– A co teraz? – spytała Gwen i podniosła rękę do oczu, żeby ukryć łzy przed wściekłym wzrokiem córki. – Co będzie dalej?

Tammy wzruszyła ramionami i skierowała się ku schodom.

– Na razie jestem zadowolona z obecnej sytuacji – powiedziała i udała, że

ziewa z niewyspania. – Niech to trwa przez jakiś czas. A propos, jutro nie idę

RS

488

do pracy, więc nie pozwól, żeby służba mnie budziła. Dobranoc,
kochana
mamo.

Na schodkach dały się słyszeć jej lekkie kroki. Gwen usłyszała, jak
Tammy zamyka za sobą drzwi od swego pokoju. Te odgłosy docierały
do

Gwen jakby z oddali. W końcu okręciła się szlafrokiem i wyszła z domu
na

zesztywniałych nogach. Poranny wiatr od morza pieścił jej policzki.
Uniosła

twarz, by przyjrzeć się złocistej smudze, którą tworzyły promienie
wschodzącego słońca.

– Co mam robić?! – zawołała.

RS

489

23

Właściwie nie mogła zrobić nic. Przez kilka następnych dni po tej gorzkiej scenie Gwen była zbyt wstrząśnięta, żeby myśleć, a co dopiero zdobyć

się na jakiś konstruktywny krok. Tammy zaś unikała matki. Rano wychodziła

bocznymi drzwiami, a kiedy wracała do domu wieczorem, udawała się prosto

do swojego pokoju.

Po jakimś czasie, kiedy matka już trochę się pozbierała po kłótni, wyłonił

się nowy problem. Gwen zaszła któregoś popołudnia do domu, żeby zabrać

jakieś plany potrzebne w warsztacie, i zobaczyła, że Omar znosi walizkę Tammy do taksówki.

– Co się dzieje?! – krzyknęła.

– Panienska kazała Lali spakować rzeczy, bo taksówka zawiezie ją do mieszkania panienski Gordon.

– Gdzie jest panienska?

– Dzwoniła z biura – odparł Omar, rozkładając ręce.

Gwen pobiegła z powrotem do samochodu i pędząc na łeb na szyję, przyjechała do Singapuru. Szybko udała się do Orient Building, wjechała na

górze windą, która zdawała się wlec bez końca, i rzuciła się do biura Tammy, wyglądając po trosze jak ktoś, kto postradał zmysły. Kiedy popchnęła drzwi, goniec błyskawicznie wstał z krzesła.
– Z panną Veetcha! Muszę natychmiast porozmawiać z panną Veetcha.
– Chwileczkę – odparł nieco zaniepokojony chłopiec. Wszedł do głównego pomieszczenia.
Po jakimś czasie wyszła z niego poblądła Tammy z nachmurzoną miną.

RS

490

– Co ma znaczyć ta przeprowadzka? – zapytała kategorycznym tonem Gwen i zaraz tego pożałowała. Powinna była mówić w sposób wyrażający troskę, a nie władczość. Chłopiec biurowy wyglądał na przestraszonego i niewiele brakowało, żeby zaczął ją uciszać, gdyż zakłócała działalność instytucji.
– Tu nie możemy rozmawiać – stwierdziła Tammy. Wyszła z pomieszczenia, nie zadając sobie trudu, żeby zachęcić matkę do udania się za nią. Zeszły na dół do zimnego holu, gdzie znajdowało się kilka wyplatanych krzesłek i niski stolik z czasopismami. Żadna z nich nie usiadła. Tammy nieznacznie wzruszyła ramionami.
– Nie uciekam do miłosnego gniazdka z Terence'em, jeżeli tego się

boisz.

Nie życzyłyby sobie skandalu, prawda? Po prostu chcę zamieszkać razem z

Betty Gordon.

– Nawet nie zapytawszy mnie o zdanie?

– A co byś powiedziała? „Nie, zakazuję ci?” To byłoby bez sensu. Obie wiemy, że najlepiej będzie, jeśli się wyprowadzę...

– Nie, Tammy, nie chcę o tym słyszeć! Masz zaledwie siedemnaście lat, a

Betty Gordon nawet nie znam!

– Studiuję w naszym college'u. Mamy ze sobą wiele wspólnego, ona też jest mieszańcem...

– Tammy!

– Nie lubisz, kiedy używam tego terminu? Przecież to prawda. Chociaż Betty jest w trochę lepszej sytuacji niż ja, bo jej ojciec był przynajmniej Brytyjczykiem, a musisz przyznać, że to duża różnica.

– Jak możesz mówić w ten sposób?! Gdzie się nauczyłaś tak myśleć? Twój ojciec...

RS

491

– On się nie liczy, jakoś muszę żyć ze świadomością, że istniał. Ale nie muszę mieszkać z kobietą, która próbuje obmyślać sposoby karania mnie za to,

co zrobiłam.

– Co za bzdury! Chcę tylko, żebyś zrozumiała, jak niewłaściwie...

– O tak, to ja wiecznie postępuję niewłaściwie. Ty masz zawsze rację.

Pozwoliłaś mi wierzyć, że jesteś taka czysta i dobra, i pracowita, a przez cały czas...

– Tammy, to, że byłam w kimś zakochana, nigdy cię nie interesowało, dopóki nie zaczęłaś tej idiotycznej wojny ze mną.

– Dla mnie nie jest to idiotyczne. Nikomu nie uda się bezkarnie robić ze mnie kretynki.

W tym momencie tamilski goniec otworzył drzwi, żeby wpuścić Sama Prospera. Zobaczywszy Gwen i Tammy razem, przystanął, zdjął kapelusz i powiedział:

– Dzień dobry paniom.

Nie doczekał się odpowiedzi od żadnej. Tammy wpatrywała się zimnym wzrokiem w matkę. Gwen zrobiła bezradny gest.

– O, przepraszam, prywatna pogawędka.

Sam wyminął je i zamiast poczekać na windę, poszedł na górę po schodach, żeby mogły kontynuować rozmowę w cztery oczy. Tyle że Gwen

nie miała pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Pokręciła głową bezradnie.

– Tammy, możesz powtarzać, że twój ojciec się nie liczy, ale pod pewnymi względami jesteś do niego bardzo podobna. Utrata twarzy jest dla

ciebie czymś nie do zniesienia.

Jej córka uniosła brwi.

– A więc nie zakazujesz mi wyprowadzki.

RS

– Nie, masz rację. Może lepiej będzie, jeżeli przez jakiś czas pomieszkamy osobno. Pozwól tylko, że zapytam, ile lat ma Betty Gordon? Nie mogę ot, tak puścić cię do...

– Ma dwadzieścia lat, jeśli cię to uspokoi. Jej ojciec pracuje na kok w Johor Bahru. Betty uczy się stenografii i pisania na maszynie, Boże, dopomóż

jej, ponieważ chce dostać dobrą posadę w administracji.

Ta informacja uspokoiła Gwen przynajmniej w niewielkim stopniu.

Skinęła głową, czując w głowie kompletny zamęt i bezradność.

– Kontaktuj się ze mną – prosiła, zbierając się do wyjścia. – Proszę cię, Tammy.

– Kontaktuj się ze mną! – powtórzyła poirytowanym tonem córka. Jak mogę tego uniknąć w tym mieście? Jeżeli nie dam ci znać, co robię, na pewno

znajdzie się jakaś plotkarka, która to uczyni.

Z tymi słowami Tammy szybko wbiegła na górę, jakby chciała wyrzucić z siebie całą złość. A Gwen znalazła się na dworze w promieniach popołudniowego słońca i rozmyślała nad tym, jak mogła zepsuć więzi, które

powinny wiele znaczyć i dla niej, i dla córki.

Kiedy wieczorem po kolacji czytała gazety, wszedł Omar, by oznajmić, że pyta o nią *tuan* Prosper.

– Wprowadź go, Omarze. I przynieś coś do picia.

Kiedy Sam usadowił się na swoim ulubionym krześle, pod wiszącym na suficie wentylatorem, powiedział:

– Nie będę niczego owijał w bawełnę. Kiedy zobaczyłem was w trakcie walki dziś po południu, coś mi zaświtało w głowie: czy to, co mówią o Tammy

i O'Keefe, jest prawdą?

– Czy wszyscy już wiedzą? – jęknęła Gwen.

Sam Prosper zmarszczył brwi.

RS

493

– Nie wierzyłem w tę historię, brzmiała tak nieprawdopodobnie. Jak to możliwe, żeby dziewczyna taka jak Tammy zakochała się w mężczyźnie,

którego uważa się za pana w średnim wieku?

– Ona się w nim nie zakochała.

Opowiedziała mu, jak ta sprawa wygląda naprawdę. Sam siedział w milczeniu i Gwen wiedziała, że z każdym jej słowem wpadał w coraz większą wściekłość.

– Jakie to wstętne! – stwierdził, kiedy doszła do końca.

– Z pewnością nie jest to miłe.

– A co na to Terence?

– Nie mogę się z nim skontaktować. Kiedy dzwonię do jego firmy, jest zawsze nieobecny albo zajęty. A chyba rozumiesz, że nie mam ochoty iść do

biura czy do jego domu.

– Już ja go dorwę! – powiedział Sam. – Skręcę mu kark!

– W gruncie rzeczy to nie jego wina, Sam. Tammy postanowiła sobie, że go zdobędzie, a on... on...

– Dał się łatwo złapać. No trudno, co będzie dalej?

– Bóg raczy wiedzieć. Wiesz, że nie mam właściwego podejścia do tych spraw. Zdaje się, że nigdy nie potrafię wybadać, co myślą i czują inni ludzie.

Nie miałam pojęcia, że Tammy żywi do mnie tak głęboką urazę. I nigdy

bym

nie pomyślała, że zwróci uwagę na Terence'a.

– Skręć j e j kark – oznajmił Sam. Tymczasem Omar przyniósł mu drinka. Wziął szklanę, przez chwilę sączył trunek, a potem zagadnął: –

A

teraz poważnie, co byś chciała, żebym zrobił?

– A co na przykład mógłbyś działać?

– Pogadać z Tammy.

– Myślisz, że to na coś by się zdało?

RS

494

– Szczerze mówiąc, nie. Zawsze była bardzo pewna siebie, nawet jeszcze

jako dziecko. Zawsze miała rację, a cały świat kręcił się wokół niej!

– Chcesz powiedzieć, że ją rozpieściłam. Uśmiechnął się.

– Wszyscy ją rozpieszczaliśmy. Takie ładne maleństwo. A teraz taka piękność. Odnosisz wrażenie, że nie powinienesz niczego robić, żeby nie zepsuć

jej doskonałości, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd.

Przyłożył szklanę z lodem do czoła, żeby je ochłodzić.

– Nie ma sensu dumać nad przeszłością i twierdzić, że powinniśmy łać dziewczynę sześć razy na dzień i posłać ją do klasztoru. Pewnego dnia dorośnie i będzie musiała zrozumieć, że cały świat nie może być na jej zachcianki tylko dlatego, iż jest ładna.

– Ale jaką krzywdę może sobie zrobić do tego czasu?

– Zabij mnie, nie wiem – odparł wzdychając. – Zawsze jednak ci

pomogę, jeśli tylko znajdzie taka potrzeba. – Obserwował ją przez chwilę.

–

Marnie wyglądasz, dziecino. Może chcesz popływać w niedzielę na „Dimestore”, pooddychać morskim powietrzem? Zabieram Petera, Susanne i

jeszcze parę osób. Będziemy łowić ryby i pływać.

– Dziękuję, Sam, chętnie.

Gwen zgodziłaby się na wszystko, co zappełniłoby jej czas, żeby o niczym nie myśleć.

Gwen widywała Tammy dość często w mieście. Mijały się w drzwiach sklepów, zdarzało się, że uczestniczyły w tym samym koncercie w Municipal

Hall. Od czasu do czasu Gwen wpadała do Orient Building tylko po to, żeby

zobaczyć, jak jej córka wychodzi i udaje się do domu. Mieszkanie, które Tammy dzieliła z Betty Gordon, mieściło się przy New Bridge Road, niedaleko

biura. Gwen zadzwoniła tam kiedyś, czując potrzebę usłyszenia głosu córki.

RS

495

Słuchawkę podniosła młoda kobieta, w której wymowie słyszało się obcy

akcent.

– Tammy nie ma w domu. A kto dzwoni?

– Jej matka.

– Och, Paskudna Wiedźma z Północy, tak? Jak się pani czuje, pani Veetcha?

– To nieważne, co u Tammy?

– Wszystko w porządku. Chce zdobyć pracę na pół etatu jako modelka w domu towarowym „Robinson”.

– Naprawdę? Myśli pani, że dostanie tę posadę?

– Dlaczego nie? Ma świetną figurę. Oni chcą, jak zawsze przed Bożym Narodzeniem, zrobić pokaz karnawałowy, i Tammy ma nadzieję, że się tam wkręci.

Gwen natychmiast pomyślała, że zdobędzie bilety na wieczorny pokaz świątecznych sukienek.

– Dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. Czy czegoś jej nie potrzeba? Jak sobie radzicie z pieniędzmi?

– Dajemy sobie radę całkiem nieźle, dziękuję. A jeśli chodzi o pytanie którego nie potrafi pani zadać: tak, nadal widuje się z Terence'em, ale rzadziej.

– Och!

Otwartość dziewczyny zaskoczyła ją.

– Sądzi pani, że ona... że oni...

– Och, Bóg jeden wie – odparła Betty Gordon. – Jeśli chce pani znać prawdę, myślę, że ona pogardza sobą za to, iż wodzi go za nos. Ale wie pani,

jaka jest Tammy: nie chce głupio wypaść przez zbyt szybkie zakończenie

romansu. Ona dba o swój wizerunek, prawda? Nie lubi przegrywać.

– To fakt.

RS

496

– Muszę już kończyć rozmowę, pani Veetcha. Właśnie ubierałam się do wyjścia.

– Rozumiem. Dziękuję, że pani ze mną porozmawiała. Gdyby pani kiedykolwiek... Gdyby powstał jakiś problem... czy zechciałaby pani... ?

– Jasne. Jeżeli to będzie możliwe, nie pozwolę jej zginąć bez śladu.

Dobranoc.

Ta rozmowa podtrzymała ją na duchu przez ostatnie dni listopada. W pierwszy poniedziałek grudnia miała już bilety na pokaz mody. Oglądała swoją

córkę, która prezentowała na wybiegu kilka pięknych sukienek.

Wyglądała

dobrze – była szczuplejsza i jakby wyższa, a tycjanowskie włosy miała upięte

w koński ogon. Poruszała się swobodnie, z gracją, odwracała się

kołysząc

biodrami, żeby kobiety mogły obejrzeć jej stroje.

Sześć dni później, w niedzielny wieczór 7 grudnia 1941 roku,

zbombardowano

Singapur.

Gwen przebudziła się sądząc, że śnił jej się jakiś koszmar wywołany burzą z piorunami. Uświadomiła sobie, że zaplątała się w moskitierę.

Usłyszała

ostry, wysoki dźwięk, a potem pod jej domem zadrżała ziemia. Nastąpiła eksplozja, wystarczająco głośna, by napędzić stracha, ale dość daleka.

Gwen

podbiegła do okna w jedwabnej nocnej koszuli. Ponad linią morza w blasku

reflektorów widać było pikujący samolot. W jego kierunku mknęły jaskrawoczerwone pociski smugowe. Trwała kanonada z dział – ogień zaporowy, jak się później dowiedziała. Gwen śledziła wydarzenia sparaliżowana wewnątrz. Samolot wymknął się światłom reflektorów,

podobnie jak następny. Co pewien czas odczuwała kolejne wstrząsy, a po nich

wybuchy, które zdawały się dochodzić z zachodu, z okolic doków.

Pośpiesznie

wróciła do łóżka, żeby zerknąć na zegar. Był kwadrans po czwartej.

Włączyła

radio. Z głośnika sączyła się łagodna muzyka taneczna. Patrzyła na odbiornik,

RS

497

nie wierząc własnym uszom. Muzyka do tańca, podczas kiedy miasto przeżywało nalot? Poczła przerażenie i wówczas zadzwonił telefon.

Chwyciła

słuchawkę.

– Gwen? Wszystko u ciebie w porządku? – odezwał się Sam.

– Tak, czuję się dobrze. Sam, co się dzieje?

– Japońce zbombardowały Pearl Harbor i obiekty na całym obszarze należącym do Wielkiej Brytanii: na Malajach i w Hongkongu.

Słyszałem to w
radio Hawaje.

– Gdzie jesteś, w domu?

– Nie, w biurze. Bombardowanie uszkodziło centrum biznesu...

– Tammy!

– Nic jej nie jest. Przeszedłem się po drodze, żeby zobaczyć, co z nią się dzieje. Żadna bomba nie trafiła w New Bridge Road. Posłuchaj, Gwen, schroń

się gdzieś, dobrze?

– Ale gdzie?

– Lepiej pod stołem niż nigdzie.

– Nie zaatakują Tanjong Katong...

– Niedaleko od twojego domu znajduje się lotnisko Kallang, więc uważaj na siebie, dzieciно.

– Dobrze, będę uważała.

– Będę już kończył, bo nie chcę przeciążać linii. Zobaczymy się później, Gwen.

– Więc do zobaczenia.

Przerażone okrzyki z domków po drugiej stronie trawnika powiedziały jej, że służba wyległa ze swoich kwater i obserwowała atak na miasto.

Wbrew

radom Sama udała się na brzeg razem z nimi i patrzyła na błyski i płomienie

ognia, które oznaczały, że burzono dumną kolonię Singapuru. Miasto było

RS

498

zupełnie nieprzygotowane na atak, toteż nie wygaszono ulicznych latarni. Nikt

się nie spodziewał, że będzie konieczne zaciemnienie. Osłupiali obywatele

Singapuru – Brytyjczycy, Malajowie, Chińczycy i Tamile – wychodzili z

domów. Zdarzyło się to, co było nie do pomyślenia. A oni reagowali tylko w

ten sposób, że udawali się do swoich sklepów i firm, by zobaczyć, w jakim są

stanie. „Służba Obrony Biernej”, której nigdy nie traktowano poważnie, zabrała się do odszukiwania pozostałych przy życiu ludzi. Wkrótce ugaszono

pożary, zwłaszcza w dzielnicy chińskiej, pełnej drewnianych zabudowań.

Gwen widziała pracujące ekipy, kiedy jechała do odległego o dwie mile miasta. Miała prosty plan: zamierzała zabrać córkę z mieszkania Betty Gordon

do Tanjong Katong, gdzie było względnie bezpiecznie. Ale plan zawiódł,

podobnie jak wiele innych rzeczy w Singapurze tego ranka. Natknęła się na

leje po bombach. Potem policjanci z oddziałów posiłkowych skierowali ją ku

objazdowi, więc musiała zboczyć na prawo. Poczowała ostry swąd spalenizny, a w oczach miała gryzący dym. Wreszcie przejechała Waterloo Street i pomknęła w stronę rzeki Singapur. Właśnie wtedy przekonała się, że wskutek bombardowań ostatniego wieczoru najbardziej ucierpiała dzielnica chińska. Natychmiast zrezygnowała z próby dotarcia do Tammy. Przede wszystkim musiała wiedzieć, czy nic się nie stało Woo Joongowi i jego rodzinie. Powoli minęła Bras Basah i Stamford Street, które się paliły. Gwen słyszała motopompy, które polewały wodą zwęglone szczątki domów. Ekipy ratownicze grzebały w gruzach. Gwen dotarła do końca North Boat Quay, gdzie stał tłum ludzi, złożony przeważnie z Chińczyków, który spoglądał ze strachem na to, co się działo. Zaparkowała wóz, wysiadła i przecisnęła się do przodu. Składy drzewa przerodziły się w rozżarzone węgle, a za nimi nie było już widać dachów budynków. Na noszach leżeli ludzie zawinięci w koce, zakrywające również twarze.

RS

W końcu dobrnęła do miejsca, w którym miała nadzieję ujrzeć własny warsztat oraz dom Joonga. Teraz znajdowały się tu jedynie dymiące belki,

które przypominały namiot. W pobliżu stał Chiang, drugi syn Joonga, w umazanych popiołem niebieskich spodniach i kurtce.

– Chiang!

Odwrócił się i przez chwilę patrzył na nią takim wzrokiem jakby jej nie poznawał. Wreszcie złożył dłonie w tradycyjnym geście powitania.

– Pani Veetcha...

– Chiang, co się stało? Czy Woo Joong... ?

Ale nie była w stanie dokończyć pytania. Twarz chłopca powiedziała jej wszystko.

– A twoja matka?

Przodkowie również zabrali i ją, a także dwóch młodszych braci i najmłodszą siostrę.

– Och, Chiang, ja... Nie wiem, co powiedzieć.

Gardło miała zupełnie ściśnięte. Człowiek, z którym przyjaźniła się od tylu lat... Jego drobna żona o okrągłych policzkach, najmłodsze dziecko z

prostą grzywką...

– Pani nie jest ranna?

– Nie, nie jestem, o mnie się nie martw. Gdzie są pozostali członkowie rodziny?

– Najstarszy brat zabrał ich wczesnym rankiem do kuzyna na Shoy Street. A teraz załatwia pogrzeb. Proszę pani...

Zerknął na nią, a potem odwrócił wzrok. Przez chwilę była zbita z tropu, ale natychmiast pojęła, że prosił o zapłatę należną jemu i rodzinie, by

wyprawić pogrzeb wedle tradycji buddyjskiej.

RS

500

– Oczywiście, Chiang. Tylko że nie mam pieniędzy przy sobie. Czy możesz pójść ze mną do banku?

Żaden Europejczyk w Singapurze nie nosił przy sobie pieniędzy.

Wszystko załatwiało się bonami. Ale dzisiaj potrzebowała gotówki, ponieważ

Chiang nie był jedynym pracownikiem, któremu należało zapłacić. Jej warsztat

uległ zniszczeniu, a wraz z nim wszystkie gotowe wyroby, wszystkie zapasy

specjalnego drewna, projekty, narzędzia i wyposażenie. Gwen musiała wypłacić robotnikom pensję i, jak to praktykowano, dać im prezenty na pożegnanie.

W banku stała długa kolejka. Kiedy otrzymała gotówkę, przekazała ją Chiangowi, który uklonił się z wdzięcznością i obiecał, że rozdzieli pieniądze

pośród pozostałych robotników. Pożegnali się na dworze, przy krawężniku,

który oświetlało coraz gorętsze słońce.

– Co będziesz robił, Chiang?

– Przodkowie wskażą mi drogę, proszę pani. A pani?

– Ja... ? Nie wiem...

Wsiadła do samochodu, usiłując znowu dostać się do New Bridge Road, ale droga była teraz zatarasowana karetkami pogotowia. Kiedy pojechała za

nimi, zaczęto do niej wołać:

– Niech pani weźmie te dwie osoby, prosimy! Ciężko ranne, muszą jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

Tamilski policjant prowadził jakąś hinduską kobietę oraz dziewczynkę może pięcioletnią, która przywarła do jej sari. Ramię kobiety było luźno zabandażowane gazą, a dziecko miało oparzenia na twarzy. Ich stan nie i wymagał interwencji pogotowia, ale rany należało opatrzyć jak najszybciej. W

szpitalu Gwen musiała odstać swoje. Ze zdumieniem dostrzegła Else Copeland

w białym fartuchu, która zajmowała się przybyłymi pacjentami.

RS

501

– Dobry Boże, nie wiedziałam, że jesteś pielęgniarzką! – zawołała Gwen.

– Nie jestem, moja droga. Po prostu spełniam funkcję odźwiernej, tak się

złożyło. Widzę, że ciebie też zmobilizowali do służby. _Tak, ale nie zamierzałam...

– Nikt nie chciał, lecz widzisz, co się dzieje. Ciągle brakuje nam pomocników, Gwen. To, co stało się wczorajszej nocy, to dopiero początek.

– Nie rozumiem tego! – wykrzyknęła Gwen. – Dlaczego to zrobili?

Klaksony niecierpliwych kierowców uświadomiły jej, że oni również chcą zostawić rannych. Dała więc Elsie znać i odjechała. Kiedy dotarła do

mieszkania na New Bridge Road, minęło już południe. Nacisnęła

dzwonek i

drzwi otworzyła jej energiczna brunetka o eurazjatyckich rysach i zielonych oczach.

– Och, pani Veetcha.

– Pani mnie zna?

– Łatwo się domyśleć, tak bardzo przypomina pani Tammy. Ja jestem, oczywiście, Betty.

– Czy Tammy jest w domu?

– Nie, poszła do pracy.

– Do pracy!

– Ja też poszłam. Myślę, że wszyscy odczuwali potrzebę bycia razem, chyba po to, żeby się uspokoić. Tammy jeszcze nie wróciła. Jeśli o mnie chodzi, pakuję się do wyjazdu. Do biura zadzwonił ojciec i kazał mi wracać do

Johor Bahru.

– Jakim środkiem lokomocji? Czy pociągi kursują?

– Och, tak, trochę się spóźniają, ale nie jest tak źle. Wyjeżdżam, póki jeszcze można.

– Sądzi pani, że to rozsądne? Udawać się na północ?

RS

502

– Mój tata twierdzi, że lepiej przebywać poza miastem.

– Chyba tak...

Ale kiedy Gwen uścisnęła jej rękę na pożegnanie i wyszła, nie była wcale

tego taka pewna. Johor Bahru znajdowało się parę mil bliżej od Syjamu, a tam stacjonowały japońskie wojska. Oczywiście, ten fakt nie musiał się wiązać z żadnym zagrożeniem, gdyż Japończyków w Syjamie oddzielała od Malezji dżungla – a zatem być może ojciec Betty miał słuszność wierząc, że Johor będzie bezpiecznym miejscem.

Orient Building w ogóle nie ucierpiał. Na straży stał szwajcar w tradycyjnym uniformie – nieskazitelnie białym bawełnianym garniturze i białej

czapce z daszkiem. Nawet winda działała. Gdyby ktoś spadł z Marsa na chodnik przed gmachem Orient Building, nigdy by nie zgadł, że miasto Przeżyło we wczesnych godzinach rannych nalot – wszyscy pracowali jak

gdyby nigdy nic. Nieco inaczej wyglądała sytuacja w biurach Sama. Na spotkanie Gwen nie wyszedł goniec. Gwen weszła do środka i zobaczyła, że

Personel wybiera się na lunch. Tammy chowała właśnie książkę ze znaczkami

pocztowymi. Wyprostowała się, ujrawszy wchodzącą matkę.

– Tammy, byłam u ciebie. Betty pakuje się i opuszcza mieszkanie.

Tammy nachmurzyła się.

– Ucieka, jak przerażony szczur, co?

– Posłuchaj, w domu ze mną będziesz znacznie bezpieczniejsza.

Ale Tammy już kręciła głową.

– O, nie. Nie pozwolę, żeby ludzie mówili, iż wystraszyłam się jak każda

Eurazjatka...

– Tammy! Nikt by tak nie powiedział! Rozsądnie byłoby przedsięwziąć kroki, jakie...

– Nie pojedę do Tanjong Katong.

RS

503

– Ale nie możesz zostać sama na New Bridge Road.

– Dlaczego nie? Będę miała więcej miejsca dla siebie i tyle swobody, ile dusza zapagnie.

– Tammy, to poważna sprawa! Jest wojna!

– Tak, i to wyobraź sobie z kim! Z tym kochanym narodem, którym na twoje prośby miałam się interesować, ze świętą rasą mojego ojca, chlubiącą się

wspaniałymi tradycjami w dziedzinie sztuki i wierności rodzinnej, cha, cha!

Gwen patrzyła na swoją córkę z przerażeniem. Zakręciła się w miejscu i pognąła do recepcji. Przy biurku Minli nie siedział nikt. Pobiegnęła prosto do

pokoju Sama, który akurat rozmawiał przez telefon. Uniósł zbieleiałe na słońcu

brwi i dał jej znak, żeby usiadła i zaczekała. Wysłuchał swojego rozmówcy, po

czym odrzekł coś po chińsku. Gwen zrozumiała jedynie, że próbował przekonać tę osobę, by czegoś nie robiła. W końcu odłożył słuchawkę wyraźnie poirytowany.

– To był najstarszy brat Minii. Jadą w głąb kraju, jej wuj ma plantację ananasów niedaleko Kalang Pontiang. A więc tracę najlepszą sekretarkę, jaką

kiedykolwiek miałem. No i co, Gwen, jak minęła zeszła noc?

– U nas wszystko w porządku, Sam. Chcę, żebyś pogadał z Tammy. Ona

musi wrócić ze mną do domu.

Podniósł rękę, żeby jej przerwać.

– Rozumiem przez to, że nie chce jechać.

– To nonsens. Dziewczyna, z którą mieszkała, wyjeżdża jak Minia.

Wszyscy, którzy mają rodzinę w głębi kraju, zbierają się do drogi. Nie zgodzę

się, żeby Tammy została tam sama. Musi wrócić ze mną do domu.

– Nie powinienem się wtrącać, Gwen – pokręcił głową Sam.

– Przestań, Sam, zawsze byłeś dla niej jak przybrany wuj. Jeżeli każesz jej wyprowadzić się stamtąd i wrócić do domu, posłucha ciebie.

RS

504

– Nie jestem taki pewny. A poza tym nie jestem pewny, czy masz słuszość, chcąc sprowadzić ją do siebie.

– Ależ, Sam...

– Zjawiała się dziś rano, zdecydowana, by pokazać, że nie jest jedną z wielu przerażonych Eurazjatek. Próbowałem jej wytłumaczyć, że nie sędzę, by

Eurazjaci bali się bardziej niż cała nasza reszta, ale ona w to nie wierzy.

Nie

chce, żeby ją postrzegano jako uciekinierkę.

– Posłuchaj, nikt nie jest w stanie przewidzieć, ile minie czasu, zanim uporamy się z tym japońskim nalotem.

– Zgadza się, nikt nie jest w stanie przewidzieć niczego. Nikt nie przewidział, że przylecą tu i zrzucą na nas bomby bez wystosowania ultimatum

czy zerwania stosunków dyplomatycznych... Sześćdziesiąt osób zabitych,

ponad sto ciężko rannych. I z tego, co wiem, zatopili połowę amerykańskiej floty.

– Och, Sam... Zupełnie zapomniałam, że powiedziałeś... Och, tak mi przykro... Przecież teraz twój kraj jest również dotknięty wojną...

Gwen załżała się łzami. Opadła na krzesło, które stało przed biurkiem Sama i schyliła głowę, szukając chusteczki.

– Taak, ja też mam marne samopoczucie w związku z tą sprawą – odparł ironicznym tonem. – Rozumiem, co czuje Tammy. Zostaw ją w spokoju, Gwen.

– Ale... ale... Centrum miasta zapewne znowu będzie nękane nalotami.

– Z pewnością, dotyczy to jednak wszystkich miejsc. To jest mała wyspa,

Gwen. Nie ma na niej bezpiecznych zakątków. Dlatego uważam, że jeśli Tammy ma w ogóle dokąd wyjechać, to powinna wsiąść na statek wypływający z Singapuru.

– Powinna odpłynąć? – zapytała osłupiała Gwen.

RS

505

– Tak, odpłynąć. Im prędzej, tym lepiej.

– Ale to by oznaczało ponowne rozstanie.

– Ona powinna odpłynąć razem z tobą.

– Nie! – odparła, prostując się na krześle i zapominając o łzach. – Ja również nie zamierzam uciekać.

- Kochanie, nie bądź głupia, tu będzie gorąco.
- Singapur jest moją ojczyzną! Nie dam się stąd wyrzucić!
- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Byłem w Chinach, kiedy japońscy najeźdźcy zdobywali parę mniejszych miast, i wierz mi, że oni się nie patyczkują.
- Nic mnie to nie obchodzi! Nie wyjeżdżam!

Kłócili się prawie przez kwadrans, aż w końcu rozgniewana Gwen opuściła gabinet. Postanowiła, że nic jej nie zmusi do porzucenia miasta, które stało się jej ojczyzną.

W ciągu następnych dni niekiedy zastanawiała się, czy podjęła właściwą decyzję. Dziennik *Tribune* opublikował straszną wiadomość, że w cieśninie

Malakka zostały zatopione okręty wojenne „Prince of Wales” i „Repulse”,

które jeszcze niedawno stały dumnie w porcie. Ta wieść spowodowała ogromne przygnębienie. Trwały naloty i bombardowania, których częstotliwość w styczniu stała się wręcz nie do zniesienia. Wydawało się, że

żadne brytyjskie samoloty nie są w stanie powstrzymać obcych bombowców,

które przelatywały w majestatycznym szyku. Czasami ich liczba dochodziła do

osiemdziesięciu, a dodatkowo wspierały je myśliwce. I zrzucały swoje ładunki

zupełnie bezkarnie.

Gwen została członkiem personelu pomocniczego w szpitalu, wykorzystując

swój samochód do przewożenia rannych. Była to bardzo wyczerpująca praca, ponieważ codziennie kolejne części miasta zamieniały się w gruzy.

RS

506

Ulice były prawie nieprzejezdne przez ruiny i wyrwy po pociskach. W każdej chwili mogła wjechać na bombę z opóźnionym zapłonem, a często zdarzało się jej mijać budynki, które akurat się waliły. Starala się widywać z córką przynajmniej raz na dzień. Tammy podjęła pracę w „Cold Storage”. Sklep był często oblegany przez klientów, którzy pragnęli zdobyć żywność. Sam zamknął firmę, aczkolwiek wykorzystywał swoje biuro jako ośrodek, w którym próbował podtrzymać jakąś działalność, gdyż w porcie znajdowały się cenne zapasy cyny i kauczuku. Wielka Brytania potrzebowała ich w związku z wojną i gdyby nie zdołano ich załadować i odprawić, mogły spłonąć podczas kolejnego nalotu. Cały system obronny Singapuru opierał się na założeniu, że ewentualny atak nastąpi od morza. Wieść, że Japończycy idą lądem z Syjamu po Półwyspie Malajskim i przedzierają się przez rzekomo niedostępną dżunglę, napęłniała trwogą serca żołnierzy. W mieście roiło się od uciekinierów z innych rejonów, którzy zbiegli przed atakiem. Pensjonat „Leonie” pękał w szwach od

zszokowanych kobiet, które zostawiły swoich mężów w głębi kraju. Sierociniec panny Bedale był jednym z wielu przytułków, w których znalazły schronienie osierocone albo zagubione dzieci. W miarę możliwości Gwen nosiła tam żywność i ubrania, które zdołała wyżebrać dla małych. Część zamożnych osób ofiarowała odzież po swoich dzieciach. Sam Prosper pojawił się w sierocińcu z nową garderobą zakupioną w domu towarowym „Robinson” za sto dolarów. *Tribune* i *Straits Times* nie informowały wyczerpująco o rzeczywistej sytuacji. Przede wszystkim zamieszczały wiadomości na temat tego, gdzie się udać po mleko dla niemowląt albo gdzie zbudowano nowe schrony. Pod koniec stycznia wydrukowały ogłoszenie, że europejskie kobiety i dzieci zostaną ewakuowane drogą morską. Wpłynęło to fatalnie na morale

RS

507

mieszkańców Singapuru. Dotychczas propaganda głosiła, że ataki Japończyków są odpierane, że nadchodzą posiłki, że wojsko panuje nad sytuacją. Jednocześnie krążyły straszne doniesienia o tym, co stało się w Hongkongu. Hongkong padł w Boże Narodzenie. Paru uciekinierów, którzy wydostali się

stamtąd drogą morską, opowiadało o mordach i gwałtach, zadawanych przez pijanych żołnierzy; zakłuwali oni bagnietami pacjentów w szpitalnych łózkach.

Gwen czuła, że opuszcza ją nadzieja. Miała wrażenie, że przeżywa koszmar, z którego nigdy się nie obudzi, by obserwować pogodniejszą rzeczywistość.

Załatwię Tammy miejsce na którymś ze statków – powiedziała sobie.

Ale

kolejki w Agency House w Cluny były ogromne. Kiedy Gwen przyszła, na

długim stromym podejździe już tłoczyli się ludzie, a na skraju drogi stały gęsto

zaparkowane samochody. Pod zwiastującym burzę niebem wszystko wydawało

się niezorganizowane, chaotyczne.

Gwen stanęła w długim ogonku. Przesunęła się o jakieś pięćdziesiąt jardów, kiedy nagle rozległy się ostrzegawcze sygnały i nad tłumem przeleciał

japoński samolot, którego pilot strzelał do ludzi z karabinu maszynowego.

Wszyscy się rozbiegli, by znaleźć schronienie. Gwen runęła do dużego betonowego rowu na poboczu. Kiedy wygramoliła się stamtąd po dziesięciu

minutach ze zdartymi kolanami i łokciami, straciła już miejsce w kolejce.

Wreszcie wpuszczono ją do budynku, w którym mieszkał kiedyś menedżer „P and O”. Stały tam dwa stoliki –jeden przeznaczony dla osób

mających nadzieję na wyjazd do Kolombo, a drugi dla tych, którzy chcieli

skierować się do Wielkiej Brytanii. Przydzielaniem miejsc zajmował się mężczyzna, którego Gwen знаła z towarzyskich spotkań. Nazywał się

Gerald

Printan.

– Imię i nazwisko? – zapytał, nawet na nią nie spoglądając.

RS

508

– Gwen Veetcha.

– Ach, tak – powiedział, uśmiechając się lekko. – Tylko dla pani?

– Nie, nie dla mnie, dla mojej siedemnastoletniej córki.

– Paszporty?

– Oto mój paszport, nie mam paszportu córki.

Printan otworzył dokument. Po chwili popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Ten paszport jest wypisany na nazwisko Hayakawa.

– Tak, Veetcha to nazwisko, którego używam jako szef firmy.

– To japońskie nazwisko, prawda? Ma pani firmę w dzielnicy japońskiej,

gdzie złapaliśmy tylu szpiegów?

– Nie, w dzielnicy chińskiej...

– W chińskiej! To trochę dziwne. Brytyjska obywatelka w dzielnicy chińskiej?

– No tak, ale ja tam robiłam meble.

– Pani córka również nosi nazwisko Hayakawa?

– Tak, ale my nie...

– Czy ona przyznaje się do narodowości brytyjskiej?

– Oczywiście – odrzekła rozdrażnionym tonem Gwen.

– Nie rozumiem, co tu ma do rzeczy słowo „oczywiście”. Równie dobrze

może mieć japoński paszport. I nie zjawiała się tutaj. A pani nie przyniosła

żadnych dokumentów brytyjskich wypisanych na nią.

– Faktycznie, nie przyniosłam. Nie bardzo wiedziałam, jakie będą wymagane.

– Przykro mi, pani Hayakawa, mamy tu brytyjskie kobiety i dzieci, które potrzebują mojej pomocy. Proszę, następna.

– Obawiam się, że nie mogę poświęcić czasu na pani problemy...

RS

509

– Nie mam żadnych problemów. Chcę, żeby nazwisko mojej córki znalazło się na...

– Pani wybacz, pani Hayakawa...

– Nazywam się Veetcha! Wszyscy tak się do mnie zwracają.

– Zastanawiam się, ilu z nas wiedziało, że pani Veetcha ma powiązania z

Japończykami? – zapytał Gerald Printan, a w jego głosie brzmiała złość i

oburzenie. – Proszę zrobić miejsce, jest wiele osób, które muszą obsłużyć.

– Panie Printan...

– Jeżeli nie ustąpi pani miejsca następnemu kandydatowi, będę zmuszony

polecić strażnikowi, żeby panią wyprowadził siłą.

Wstrząśnięta Gwen umilkła i wycofała się z pokoju. Po chwili za stołem usiadła niespokojna Angielka z dwójką dzieci, które się do niej przytulały. Na

dworze ogłoszono kolejny alarm przeciwlotniczy. Gwen ukryła się w

szopie w
ogrodzie. Kiedy wydostała się na drogę, stwierdziła, że jej samochód
został
podziurawiony jak sito przez kule karabinu maszynowego. W
przyptywie
furii waliła pięściami o metalową maskę, lecz natychmiast je cofnęła,
gdyż
rozgrzany słońcem metal parzył.
Ty idiotko, nie ma sensu wściekać się na samochód! – powiedziała sobie
po cichu.
Miała trochę szczęścia, gdyż wróciła do centrum miasta autem.
Mężczyzna, który ją podwiózł, powiedział:
– Tym staruszką nie uda już mi się zabrać wielu osób: jak wypalę tę
benzynę, nie zdołam nappełnić zbiornika.
– Co? – krzyknęła w popłochu.
– Tak, tak, nie słyszała pani? Podpalają roponośne szyby, żeby nie
dostały się w ręce Japończyków.
– W takim razie myślą... naprawdę myślą, że Japończycy nadchodzą?

RS

510
– A co ich powstrzyma? – zagadnął znużonym głosem.
Gwen zaczęła szukać Tammy w „Cold Storage”. Sklep ograniczał teraz
swoją działalność do darmowej dystrybucji towarów, gdyż mogły one
ulec
zepsuciu – wskutek częstego wyłączania prądu, nie funkcjonowały
urządzenia

chłodnicze.

– Tammy, muszę z tobą pomówić.

– Nie widzisz, że jestem zajęta? – odparła córka ponad głowami falującego tłumu klientów.

– Ale to ważna sprawa...

– To też jest ważne – wtrącił się starszy człowiek. – Trzymam w swoim bungalowu osiemnastu rannych ludzi i nie mam ich czym nakarmić! Sytuacja była beznadziejna. Gwen wyszła ze sklepu, przyrzekając sobie, że będzie warować pod drzwiami mieszkania Tammy, dopóki dziewczyna nie wróci wieczorem do domu.

W mieście kierowcy porzucali swoje samochody z chwilą, gdy zabrakło benzyny. W gorącym powietrzu unosił się swąd palonego kauczuku i ropy.

Gwen marzyła o powrocie do domu, o kąpieli i przebraniu się w czystą odzież,

ale nigdzie nie widziała taksówek czy innych pojazdów, które mogłaby zatrzymać. I w tym momencie nieoczekiwanie podjechała do niej furgonetka.

Prowadził ją jakiś Malaj, a obok niego siedziała Molly O'Keefe, żona Terence'a.

– Dzień dobry, Gwen – powiedziała.

– Molly! Co ty tutaj robisz?

– Rozglądam się za żywnością dla Katolickiego Ośrodka Opieki Społecznej. Myśleliśmy o pojechaniu do „Cold Storage”, ale widziałam, że

ludzie tłoczą się tam nawet na chodniku.

– Tak, to zgraja... O jaką żywność chodzi?

RS

511

– Cokolwiek, ale przede wszystkim o owoce i warzywa. Mamy sześć
czy

siedem rodzin, które przybyły z głębi kraju, i te dzieci wyglądają bardzo
mizernie wskutek braku świeżych owoców.

– Mam warzywa w ogrodzie – odparła Gwen – a za domem znajduje się
plantacja palm kokosowych.

– Wskakuj, podwieziemy cię do domu.

Gwen wgramoliła się na tylne siedzenie. Zamiast godzinnego marszu w
spiekocie, dojechała do domu w dziesięć minut. Tam zebrały dynie i
bataty,

podczas gdy Malaj strącał orzechy kokosowe z palm na opuszczonej
plantacji.

– Co u ciebie słychać? – zagadnęła Gwen, denerwując się perspektywą
rozmowy z żoną swego kochanka. Wychudzona, żółtawa twarzy Molly
wyraźnie się ożywiła.

– Czuję, że Bóg powołał mnie do ciężkiej służby ku swojej chwale –
odrzekła.

Czyż nie dotyczy to nas wszystkich? – pomyślała Gwen. Jeszcze
bardziej

się zdenerwowała i zapytała:

– Jak się miewa Terence?

– Prawie go nie widuję. Całymi dniami przesiaduje w porcie. Wiesz,
rząd

był tak głupi, że nie wypłacił Malajom i Tamilom dodatków za pracę w

niebezpiecznych warunkach, toteż wszyscy robotnicy, naturalnie, poznikali.

Terence i paru innych menedżerów organizują brygady ładowaczy i dają im

pieniądze z funduszy firmy, oferując wysokie stawki. Wiadomo, że nie ma

sensu przejmować się ich wielkością, bo singapurskie dolary nie są już nic

warte.

– To prawda – zgodziła się Gwen z pełnym gorczy westchnieniem.

– A co u ciebie?

RS

512

– Och, spędziłam cały poranek, usiłując załatwić miejsce na statku dla mojej córki...

Urwała, spodziewając się, że Molly powie, iż nie chce rozmawiać na temat Tammy, ale Molly zachowywała się spokojnie.

– Jest strasznie duża kolejka. Zostałam odprawiona z kwitkiem. Czy ty będziesz próbowała wyjechać?

– Zostawić męża i pracę, do której powołał mnie Bóg? – odparła Molly.

–

Nigdy!

W pewnym sensie jej postawa zasługiwała na podziw.

Gwen pomogła napełnić wszystkie kosze, jakie miała, warzywami oraz orzechami kokosowymi, załadowała je na furgonetkę i pomachała Molly na

pożegnanie. Weszła do domu, żeby wziąć prysznic i poczuła ulgę, kiedy z kranu pociekła woda. Od pewnego czasu dostawy wody były nieregularne, gdyż bomby uszkadzały wodociąg, który potem naprawiano. Włożyła świeże ubranie: luźną koszulę, bawełniane spodnie i buty do kostek – rzeczy nadające się do spędzania długich godzin za kierownicą i grzebania w gruzach. Tej nocy przeżyli sześć nalotów. Zniszczono lotnisko odległe o parę mil od domu Gwen. Zaczęły płonąć wszystkie hangary. Przerażona służba wybiegła na plantację palm kokosowych. Po raz ostatni było jej dane widzieć Omara, Lalę i resztę. W takiej sytuacji musiała zrezygnować z czekania na Tammy pod jej mieszkaniem. Spacer po mieście w tych ciemnościach byłby szaleństwem. Nazajutrz rano znalazła w domku służby rower, którego używał czasami Omar, jeżeli chciał odwiedzić swoich rodziców w Paya Lebar. Wyruszyła do Singapuru, kiedy zaczynało świtać. Była niedziela, 1 lutego. Po raz pierwszy od wielu lat Gwen poszła do kościoła.

RS

Katedra św. Andrzeja została wykorzystana jako punkt opatrunkowy. Niemniej jednak pośród noszy i prowizorycznych łóżek było miejsce dla wiernych. Krótką mszę wypełniły modlitwy o odwagę i wytrzymałość, kilka
pieśni bez towarzyszenia organów oraz homilia nawołująca
Singapurczyków
do pokładania ufności w Bogu. Zamiast czuć się pocieszona, Gwen
przeżywała
lęk i zwątpienie. Aż trudno było uwierzyć, że sytuacja mogła dojść do
tak
krytycznego punktu. Niegdyś piękne miasto przerodziło się w bezładną
stertę
gruzów. Na jego ulicach leżały powyrywane drzewa, walały się stare
samochody i rozbite szkło.
Gwen natknęła się na grupkę ludzi, którzy z niepokojem rozprawiali o
Padangu. Usłyszała słowo „Przejazd”.
– Co się dzieje? – zapytała przerażonym głosem. – Co z tym
Przejazdem?
Odwrócił się do niej mężczyzna o ziemistej, zmęczonej twarzy.
– Japończycy przekroczyli Przejazd zeszłej nocy. Przekroczyli Przejazd!
Przejazd był wąską drogą, która łączyła wyspę Singapur z lądem stałym
w Johor Bahru. Dotychczas zawsze można było powiedzieć: „Nigdy nie
przekroczą Przejazdu” albo „Nasze wojska nie oddadzą Przejazdu”. Ale
teraz
padła ostatnia zaporą.
Ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość tej informacji. Poza tym
słyszała kanonadę dział. Od jakiegoś czasu Singapurczycy zaczęli się
przyzwyczajają do dział o dalekim zasięgu, które wysyłały pociski z za
cieśniny.
Teraz ich dźwięk uległ zmianie. Japońska artyleria atakowała już z
terenu
samej wyspy.
Gwen porzuciła grupkę, która sprzeczała się na trawniku o Padang.
Nigdy w życiu nie czuła się taka osamotniona i wystraszona. Szukając
jakiegokolwiek pociechy, przeszła przez Raffles Square i wstąpiła do

gmachu

Orient Building. Istniała szansa, że zastanie Sama.

RS

514

Nie dostrzegła odzwiernego. Weszła do środka. W holu było chłodno i ciemno, lecz nic się w nim nie działo. Stała na pierwszym stopniu schodów i spojrzała w górę.

– Halo! – zawołała – Czy ktoś tam jest?

Ponad jej głową trzasnęły drzwi, a potem do uszu Gwen dobiegły pośpieszne kroki i głos.

– Gwen? To ty?

– Sam!

Usłyszała, jak zbiegał na dół. Pokonywał naraz po cztery stopnie.

– Gwen, próbowałem się do ciebie dodzwonić zeszłej nocy, ale linia była

zablokowana. Byłaś w domu? –

– Tak, podwiozła mnie Molly O'Keefe.

– Molly? – zapytał zdumiony. – Co się stało z twoim samochodem?

– Podziurawili go, kiedy stałem w kolejce po bilet na statek dla Tammy.

– Którym statkiem płynie?

– Nie dostałam biletu. Odprawiono mnie z niczym.

– Z niczym? Na miłość boską, kto o tym zdecydował?

– Och, nie wnikajmy w szczegóły. Poza tym, kiedy zobaczyłam te biedne

kobieciny z małymi dziećmi, pomyślałam, że dla nich jest to ważniejsze...

- Nie wierz w to! – odparł ostrym tonem. – Jeżeli pojawią się tu Japońce,
Tammy będzie w nie lada kłopotcie. Mówię ci, widziałem ich: w Genchan, w Ma–ho. Przywiązują dużą wagę do czystości rasowej i traktują okropnie wszelkich mieszaińców. Tammy przejdzie prawdziwe piekło.
- Nie, Sam! – wzdrgnęła się.
- Miałem nadzieję, że obie dostaniecie się na statek.
- Nie ma sensu, wystarczy popatrzeć na te tłumy ludzi w kolejkach...

RS

515

- No cóż, powiem ci jedno! Nie mam zamiaru tu zostać i czekać, aż mi odrąbią głowę samurajskim mieczem.
- Tobie? Dlaczego ty miałbyś... ?
- Urwała, gdyż zaczynała powoli porządkować w głowie od dawna znane jej fakty.
- Kiedy ludzie twierdzili, że przemycałeś broń do Chin, mówili prawdę?
- Odmawiam odpowiedzi, gdyż mogłaby mnie obciążyć. Ale zapewne jestem na ich liście, dlatego posłuchaj dziecińo: wracaj do domu, spakuj trochę rzeczy, zabierz Tammy i bądź gotowa dziś wieczorem, kiedy się ściemni.
- Dlaczego?
- Opuszczamy Singapur, kochanie. Na moim statku.
- Na „Dimestore”?
- Tak, na „Dimestore”. Ty, ja, Tammy i tyle sierot panny Bedale, ile

RS

zdołam upchnąć na pokładzie.

516

24

Pierwszy problem dotyczył miejsca, w którym mogliby wsiąść na statek. Kiedy rozpoczęły się działania wojenne, Sam ukrył swoją łajbę „Dimestore” za przystanią przy jednej z licznych skalistych wysepek. Można było ją wykorzystać, ale singapurskie nabrzeże uległo niemal zupełnemu zniszczeniu.

Części, która nadawała się jeszcze do użytku, pilnowali strażnicy, a na molo

wpuszczano tylko osoby z ważnymi biletami na statki zajmujące się ewakuacją.

– Moglibyśmy podpłynąć do statku rzeką Geylang – podsunęła Gwen. Rzeka Geylang płynęła w pewnej odległości od domu Gwen w Tanjong Katong, by zakończyć swój bieg na drobnym skrawku lądu zwanym Tanjong

Rhu. Z domu Gwen do ujścia rzeki prowadziła całkiem niezła droga.

– W jaki sposób wsadzimy na pokład dzieciaki? Jest tam jakieś molo?

– Nie, ale u ujścia rzeki stoją, burta przy burcie, sampany i łodzie mieszkalne. Moglibyśmy po nich przejść i z ostatniej łodzi wejść na pokład.

– W porządku. Kolejne pytanie brzmi: jak dostarczymy dzieci do Geylangu?

Ta kwestia dała im do myślenia. Część dzieci panny Bedale dopiero co

nauczyła się chodzić. Nie były w stanie pokonać dwóch mil nabrzeżem Singapuru do Geylangu.
Sam miał samochód, którym nie mógł jeździć ze względu na pusty bak. Jednakże Chińczycy, którzy zawsze potrafili zwietrzyć dobry interes, oferowali benzynę. Zdobywali ją, zapuszczając się po zapadnięciu zmroku w ulice, na których stały porzucone auta, i wypompowując z nich resztki paliwa. Pośród przyjaciół Sama byli i tacy, którzy znali handlarzy benzyną. W ciągu godziny zjawił się człowiek na motocyklu, z przytroczonym do bagażnika kanistrem.

RS

517

Sam Prosper zapłacił nie pieniędzmi, ale złotym wiecznym piórem, które leżało na jego biurku. Gwen otrzymała zadanie przetransportowania dzieci jego packardem.

- Zabiorę Tammy po drodze. Będzie musiała wpaść do swojego mieszkania i spakować trochę rzeczy.
- Dobrze, ale jeśli będzie się sprzeczała, niech nie robi tego publicznie. Nie chcemy przecież rozgłosu.
- Sam... Czuję się okropnie w związku z tą sprawą. Naprawdę to przypomina ucieczkę.

- Ucieczkę od czego? Gwen, tego miasta już nie ma. O systemie obronnym nie warto nawet mówić. Japończycy są już na przedmieściach.
- Powiem ci jeszcze jedno: za parę dni nie będzie w ogóle wody.
- Co takiego?!
- Pękł wodociąg i rezerwuuar Macritchie będzie wkrótce pusty. Widzisz zatem, że to miasto albo umrze z pragnienia, albo spłonie od bomb, albo się podda.
- Gwen kiwnęła głową, nie będąc w stanie wydobyć z siebie głosu.
- Gwen, będziesz musiała zabrać dzieciaki w trzech turach. Do wczoraj słyszałem o czternastce. Gdzież ty je, u licha, przechowasz?
- Mogą pójść do mojego domu. Wyłączyli prąd, a być może nie ma już wody, ale jest jedzenie.
- Tak będzie najlepiej. Jak tylko się ściemni, sprowadzę „Dimestore”.
- Myślisz, że zdołasz się do niego dostać?
- Jasne, że tak. Popłynę sampanem jak zwykły Malaj, który chce odwiedzić swoją babcię na którejś z wysepek. Jeżeli nie będzie się zanosilo na jakiś nalot, dotrę do Geylangu około dziewiątej.

RS

518

–Do tego czasu dostarczę tam dzieci – odrzekła i zawahała się. – Sam, dokąd ruszamy? To znaczy, wiem, że opuszczamy Singapur, ale w jakim kierunku? Na „Dimestore” nie popłyniemy w daleki rejs. Statek Sama w zasadzie służył do krótkich wycieczek. Miał dwie

dwuosobowe kajuty, toteż kiedy Sam zabierał na łowienie ryb przyjaciół, mogli oni spędzić wygodnie noc. Jednakże umieszczenie tam czternaściora dzieci i czterech dorosłych osób byłoby ogromnie trudne. Tak dużo pasażerów oraz kubatura zbiorników paliwowych ograniczały mobilność statku, toteż pytanie Gwen było całkowicie rozsądne.

– Popłyniemy na Sumatrę – odparł Sam. – Z tego, co wiem, Japończycy jeszcze się nie zajęli Wschodnimi Indiami Holenderskimi. Na Sumatrze wsiądziemy na pokład parowca któregoś z portów zachodniego wybrzeża, z Padangu lub Benkulenu.

– Rozumiem.

– Nie bój się, kochanie. W swoim czasie organizowałem gorsze wyprawy.

– Ale nie z kobietami i dziećmi na pokładzie.

– No tak, ale trzeba od czasu do czasu próbować nowych rzeczy, bo inaczej wpada się w rutynę. porządku, kochanie? Sądzisz, że dasz sobie radę?

– Oczywiście. Przepraszam, że okazuję takie zdenerwowanie. Po prostu, po prostu... Już to wszystko kiedyś przeszłam. W Tokio podczas trzęsienia

ziemi. Wtedy wszystko się zawaliło: nie było wody, elektryczności, wszędzie

dym i płomienie... Doznaję okropnego uczucia, że moje życie zatoczyło bezsensowne koło.

– Ale przecież wyszłaś z tego, nie? Z tej opresji również wyjdiesz. No, jazda, zbierz resztę osób. Do zobaczenia.

RS

519

Odwróciła się, żeby wyjść. Po chwili jednak zawróciła, zarzuciła mu rękę

na szyję i objęła go.

– Co my byśmy bez ciebie zrobiły? – szepnęła i czmychnęła z pokoju.

Kiedy Gwen wróciła do „Cold Storage”, Tammy miała akurat krótką przerwę

na lunch. Siedziała w kantynie przy zaśmieconym stole i jadła szybko topniejące lody z papierowego pudełka. Spojrzała na matkę z naburmuszoną

miną.

– Co znowu? – zapytała niezbyt zachęcającym tonem.

Gwen rozejrzała się po pomieszczeniu. Dwie młode chińskie asystentki grały w *fan-tan*. Przy innym stole jakaś starsza kobieta spała z głową wtuloną

w ramiona. Nikt nie zwracał na nic uwagi.

– Tammy, wyjeżdżamy.

– Och, nie!

– Właśnie, że tak. Dziś wieczorem Sam zabiera nas razem z dziećmi z sierocińca Jane Bedale na pokład „Dimestore”...

– Nie popłynę!

– Proszę cię, Tammy. Sam chce, żebym ja popłynęła.

– Płyn, jeśli chcesz. Co cię zatrzymuje?

– Ty. Na pewno nigdzie się bez ciebie nie ruszę.

Tammy wbiła wzrok w ziemię, a jej usta wygięły się w buntowniczym

grymasie. Poświęciła całą uwagę na wylizywaniu resztek lodów z papierka.

– Posłuchaj, kochanie, Sam twierdzi, że poddanie się Singapuru to kwestia paru dni.

Szybko streściła córce wypowiedź Sama.

– Sam musi uciekać, w razie wkroczenia nieprzyjaciela zostałyby prawdopodobnie stracony.

RS

520

– No cóż, Sam ma przynajmniej dobrą wymówkę. Ale my jej nie mamy

–

odparła Tammy.

– Tammy, słyszałaś, co się działo w Hongkongu. Takie dziewczęta jak ty były obiektem szczególnie zaciekłych ataków ze względu na mieszanych rodziców.

– Ale dlaczego miałybyśmy uciekać? Dlaczego tylko my?

– Nie pleć bzdur! Właśnie dzisiaj odpływa statek z uciekinierami: są na nim pani Targett i wszystkie kobiety z pensjonatu „Leonie”. Jeśli myślisz, że

tylko Sam planuje ucieczkę, to jesteś w błędzie. Wuj Bertie Hurden odpłynął

na sampanie dwa dni temu. Wszyscy, którzy mogą uciec, powinni stąd odpłynąć, chyba że wykonują jakieś ważne prace związane z wojną. Czy uważasz, że zajmujemy się taką pracą?

– No, ty pracujesz dla szpitala...

– Już nie. Mój samochód został wczoraj zniszczony. Zresztą wydaje mi się, że o wiele bardziej sensowne byłoby udanie się z panną Bedale i pomoc dla jej dzieci niż obijanie się tutaj.

– Czy panna Bedale mówiła, że potrzebuje pomocy? – protestowała Tammy.

– Nie muszę jej o to pytać. W jej przytułku jest czternaścioro dzieci. Myślę, że w czasie rejsu na Sumatrę w takim ścisku będzie miała pełne ręce roboty, nie sądzisz?

– Ale jednak...

– Posłuchaj – przerwała jej nieco zniecierpliwiona Gwen. – Nie mogę marnować tu czasu. Muszę zabrać te dzieciaki do naszego domu w Tanjong Katong. Zajmie mi to całe popołudnie. Wpadnę do twojego mieszkania w ostatniej turze. Jeżeli się spakujesz i będziesz gotowa do drogi, zabiorę cię. Jeżeli zdecydujesz się zostać, zabieram dzieci i wracam, żeby mieszkać z tobą.

RS

521

– Nie chcę, żebyś wracała.

– W takim razie wsiądź ze mną na pokład „Dimestore”.

Tammy zawahała się.

– Nie mogę tak po prostu sobie wyjść. Za dziesięć minut powinnam być z

powrotem za ladą.

– Och, Boże miłosierny, znajdą kogoś innego do rozdawania zapasów!

– Ale to będzie wyglądało tak dziwnie. Jakie mogłabym podać usprawiedliwienie?

– No cóż – zastanawiała się Gwen. – W końcu masz tylko siedemnaście lat. Powiedz im, że twoja matka zabrania ci tu pracować.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy córka uśmiechnęła się do niej.

– Też prawda – stwierdziła.

W budynku zajmowanym przez misję panna Bedale próbowała nakarmić

malutką płaczącą dziewczynkę owsianką.

– Jest głodna – powiedziała, kiedy Gwen nachyliła się, żeby się jej przyjrzeć. – Ale potrzebuje mleka. Jeszcze nie powinna jeść pokarmów stałych.

– Zdaje się, że w domu mam trochę mleka w puszkach.

– Mogłabyś je przywieźć, Gwen?

– Nie, ty przyjedziesz i je weźmiesz. Chcę, żebyście wszyscy przyjechali.

Gwen wyjaśniła jej plan ucieczki. Kiedy Jane jej wysłuchała, zmierzwiła brudną ręką splątane siwe włosy.

– Jest nas tak dużo – wymamrotała.

– Damy sobie radę. Pakuj się i ruszamy.

– Masz rację. Widocznie Bóg chce, bym je wzięła, bo inaczej nie dawałby mi takiej możliwości. W porządku, przygotuję do drogi pierwszą grupę.

RS

522

Gwen pomogła jej wsadzić do samochodu ośmioro dzieci. Dwie eurazjatyckie dziewczynki, z których jedna miała osiem lat, a druga jedenaście, zaopiekowały się płaczącym niemowlęciem i berbeciem, który niedawno nauczył się stawiać pierwsze kroki. Dwoje innych małych dzieci usiadło u ich stóp z tyłu auta, a reszta ulokowała się na przedzie obok Gwen. Jazda do Tanjong Katong była powolna i uciążliwa. Pożary wybuchły w tak licznych miejscach, że drogi stały się w większości nieprzejezdne. Japończycy znowu bombardowali lotniska. Gwen musiała zatrzymać wóz na poboczu i przeprowadzić dzieci pod mostem na rzece Kallang. Dom został trafiony bombami, ale nie ucierpiał zanadto. Dostrzegła dziury w dachu po odłamkach pocisków, w niegdyś idealnej nawierzchni podjazdu porobiły się wyrwy, a ganek z frontu nieco się obsunął. Ponieważ służba uciekła, ogród w mgnieniu oka zamieniał się w dżunglę. Za to kuchenna spizarka przetrwała w nie naruszonym stanie. Gwen wyciągnęła puszkę mleka i pokazała jednej z

dziewczynek, jak się ją otwiera. Drugą zapytała, jak ma na imię.
– Dobrze, Selina, masz się opiekować dziećmi aż do mojego powrotu. W razie następnego nalotu trzymaj je w domu. Jeżeli zgłodnieją, daj im herbatniki. Tu są butelki z wodą sodową i lemoniadą. Nie pijcie wody z kranu, może być zanieczyszczona.
– Tak, proszę pani.
– Dobra dziewczynka.
Gwen szybko wróciła do packarda i czym prędzej odjechała. Mogła sobie pozwolić na szybszą jazdę, gdyż nie musiała zwracać uwagi na dzieci, ale kiedy dotarła do sierocińca, okazało się, że ulica jest zablokowana. Zatrzymała się więc za rogiem – do tego miejsca dzieci musiały dojść na piechotę. Stamtąd przewieziono ostatnią szóstkę do Tanjong Katong. Przedtem Gwen podjechała blisko New Bridge Road i zatrzymała wóz.

RS

523

– Zabiorę tylko Tammy – powiedziała.
– Moja droga! A gdzie ona usiadzie?
– Weźmie tych dwoje szkrabów na kolana – odparła z uśmiechem Gwen i wzruszyła ramionami.

Tammy czekała gotowa do drogi, ubrana w płócienną sukienkę, podkolanówki i tenisówki. W ręku miała małą torbę. Podróż trwała tym razem

dłużej. Gasły uliczne latarnie – nad miastem, niczym ogromny baldachim,

unosił się dym. Kiedy wreszcie zajechali przed dom Gwen, zrobiło się prawie

ciemno. Wpółmroku dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

– Jest taki inny – zauważyła Tammy zdziwiona.

– Wszystko się zmieniło, moja droga – zgodziła się Jane Bedale. –

Chodźmy teraz do środka i zjedźmy razem jakiś posiłek.

Z kranów woda ciekła cienką stróżką. Nałapały duży rondel, postawiły na

piecyku naftowym w pomieszczeniach dla służby. Z puszki z konserwą wołową przyrządziły gulasz, dodając warzyw, które znalazły w zaniedbanym

ogrodzie. Do popicia użyły wody mineralnej. Tammy zaś wyciągnęła wino ze

specjalnych zapasów matki.

– Trzeba je wypić – zauważyła. – Na pewno nie będziemy go targać ze sobą.

Okolo siódmej trzydzieści Gwen wyruszyła z dziećmi brzegiem morza do

ujścia rzeki Geylang. Chmury całkowicie przesłoniły gwiazdy i księżyc, ale

przedzierało się przez nie światło, a raczej czerwona łuna sygnalizująca, iż

miasto płonie. Powietrze było bardzo gorące, nie czuło się najmniejszego

powiewu. Tylko z malajskiej dzielnicy dochodziły jakieś ciche odgłosy – szum

fal, cykanie owadów, kumkanie żab. O ósmej trzydzieści znaleźli się na drodze, przy której stały zniszczone sklepy i domy. Przy brzegu kołysał się

rząd sampanów, skifów i łodzi mieszkalnych. Przez szczeliny w łódkach

RS

524

przedzierało się światło i dochodził zapach gotowanych potraw. Mali wędrownicy stłoczyli się wokół Gwen. Najmłodsze dzieci spały w ramionach

Jane Bedale, Seliny i Tammy. Najstarsza dziewczynka, Liu, próbowała pocieszyć resztę dzieci, które milczały przerażone. Gwen umówiła się z Samem, że będzie dawać sygnały latarką co pięć minut, począwszy od dziewiątej – długie sygnały na przemian z krótkimi oznaczałyby dla Sama

„Stop, mam wiadomość”. Ale kiedy wyjmowała latarkę z kieszeni, czyjaś dłoń

dotknęła jej ramienia. Podskoczyła przerażona.

– W porządku, to ja – szepnął jej do ucha Sam.

– Jak nas znalazłeś?

– Szedłem brzegiem z biegiem rzeki. Wszyscy macie na sobie dość jasne

ubrania, które są widoczne.

– Wszystko w porządku, Sam?

– Hm, tak. „Dimestore” kotwiczony w górze rzeki, w głębokim kanale.

Tędy.

Gwen obróciła się i poszła za nim, szepcząc reszcie, by zrobiła to samo.

Mniej więcej po pięciu minutach Sam się zatrzymał.

– Idźcie przez te łodzie – powiedział. – Starajcie się nie robić zbyt dużego hałasu. Wszystko powinno być jednak w porządku, mieszkańcy tych

łodzi wiedzą, że będziecie przechodzić. Dałem im trochę dolarów. Udali się za nim gęsiego, pokonując kolejno pokłady łodzi i sampanów. Wreszcie Gwen ujrzała statek Sama, który wprawdzie płynął bez świateł, lecz jego biały pomost lśnił w ciemnościach.

- Pomóżcie no tam! – zawołał cicho Sam.
- Ktoś jest na pokładzie? – zapytała zdumiona Gwen.
- Tak. Państwo O'Keefe.
- Co?

RS

525

Sam nie zareagował. Podsadzał do góry najmniejsze dzieci. Jedno z nich zapłakało przez sen, więc zaczął je uciszać. Po kilku minutach wszystkie dzieci

znalazły się na pokładzie, a w końcu wgramoliły się tam Jane, Tammy i Gwen.

– Weźcie dzieciaki na dół. Tammy, wiesz, gdzie są łóżka. W salonie znajdziesz poduszki i koce.

– Tak, wiem – odparła Tammy i zniknęła we wnętrzu statku. Sam wydał cichą komendę, żeby odpłynąć.

– Tak jest! – odrzekł głos Terence'a O'Keefe.

Delikatnie odepchnięto „Dimestore” od sampanów, do których był przycumowany rufą i dziobem. Następnie statek skierował się do środkowej

części kanału, a dzięki powolnemu nurtowi rzeki Geylang płynął na pełne

morze bez silników. Wkrótce uciekinierzy przestali dostrzegać zamazane kontury łodzi i domów, a u ujścia rzeki przywitał ich szum morza. Poczuli wezbrane fale wód cieśniny. W dalszym ciągu unosili się do przodu wraz z prądem, ale kiedy wiry wodne zaczęły obracać rufę statku, Sam wyłączył silniki. Ich uruchomienie nastąpiło nadzwyczaj sprawnie. Sam zdławił dopływ pary – potrzebował tylko energii do sterowania. Powoli wypływali na szerokie wody portu Singapur. Po prawej stronie zobaczyli kadłuby rozbitych statków i zniszczone doki, które stopniowo znikwały z ich pola widzenia. Przestali słyszeć szum fal u ujścia rzeki i poczuli na twarzach słabą bryzę. Dopływali do cieśniny Malakka. Sam Prosper stał u steru, a Jane i Tammy przebywały z dziećmi. Gwen wyczuwała obecność państwa O'Keefe za jej plecami. Obserwowali znikający Singapur. – W jaki sposób znaleźli się na pokładzie? – zapytała zniżonym głosem Sama.

RS

wypłynięcie sampanem po „Dimestore”. Miał do mnie jakieś pytanie, ale

usłyszał, o czym mówię, i zaczął mnie błagać, żebym go zabrał.

– Błagał cię?

– Powiedział, że chce wydostać stąd Molly, ale ona nie chce płynąć bez niego, a dla mężczyzn oczywiście nie ma miejsca na statkach, które ewakuują

uchodźców. Nie miałem wyboru, Gwen, zachowywał się coraz bardziej hałaśliwie, a ja nie chciałem zwracać uwagi.

– Rozumiem.

– No, a poza tym obecność drugiego mężczyzny nie wydaje się takim złym pomysłem.

– Tak – potwierdziła Gwen i dodała po chwili wahania: – Nie umiem sobie wyobrazić, co na to powie Tammy.

– To strasznie idiotyczna sytuacja, prawda? Ale przy odrobinie szczęścia będą przebywać razem najwyżej dwadzieścia cztery godziny – stwierdził Sam.

Gwen w ciemności wzruszyła ramionami.

– Lepiej zejdę na dół i ją uprzedzę.

– Tak, i powiedz jej, że jeśli zachowa się niewłaściwie, wyrzucę ją za burtę.

Nie potrafiła wykrzesać z siebie choćby cienia uśmiechu, słysząc ten żart.

Zeszła po schodkach do saloniku. Większe dzieci leżały na ławach z głowami

na poduszkach, ale nie spały. Szeptaly coś między sobą. Pięcioletni chłopczyk,

który mówił, że nazywa się Petie, złapał Gwen za spódnicę, kiedy przechodziła

obok ławy.

– Proszę pani, czy my wracamy do domu, do Anglii? – zapytał. Był wystraszony, ale także ożywiony.

– Nie, kochanie, płyniemy na Sumatrę.

RS

527

– Czy to po drodze do Anglii?

– Tak, ale mimo wszystko Anglia jest o wiele dalej.

– Mama powiedziała, że dopłyniemy do Anglii, ale nie zrobiliśmy tego. Zatrzymaliśmy się w Singapurze i ona umarła.

– Przykro mi, Petie. Wszystko będzie dobrze, teraz się tobą zaopiekujemy.

– Naprawdę? Przez całą podróż do Anglii?

– Przez całą podróż do Anglii. Teraz zaśnij, kochanie.

Chłopczyk posłusznie zamknął oczy. Gwen przeszła dalej, do swojej córki, która gładziła po włosach któregoś z malców o ciemnej karnacji, Malaja

lub Tamila.

– Tammy.

– Tss, właśnie zasypia.

Gwen dotknęła jej ramienia i skinęła głową w kierunku kuchni. Udały się

do schludnego pokoiku w ciemności.

– Tammy, zauważyłaś, że ktoś jeszcze jest na pokładzie?

– Tak, ktoś pomagał wciągać na pokład dzieci.

– To był Terence.

– Terence?

– On i Molly są z nami.

Usłyszała, jak Tammy wstrzymuje z sykiem oddech.

– Wiem, że jest to zaskoczenie, kochanie. Ja też przeżyłam wstrząs.

- Nie wiedziałaś?
- Nawet Sam nie wiedział. Terence wkręcił się w ostatniej chwili.
- Musi się czuć trochę zakłopotany – powiedziała Tammy z ironicznym rozbawieniem. – Przebywa w jednym miejscu ze swoją żoną, obecną kochanką

RS

528

i z porzuconą kochanką. Sądzę, że wolałby już raczej stanąć twarzą w twarz z

Japończykami!

– Wiem, że sytuacja jest dla ciebie okropna...

– Nie martw się o mnie. Jak mówi przysłowie, trzeba znosić to, czego nie

da się wyleczyć.

Statek posuwał się naprzód po wodach cieśniny Malakka i miał dopłynąć

do Jambii, małego ważnego miasteczka na wschodnim wybrzeżu Sumatry.

Sam

Prosper zamierzał tam wylądować i pojechać koleją do portu na zachodzie,

gdzie kursowały parowce do Kolombo. Jednakże w miarę jak przybierał na sile

wiatr, morze stawało się wzburzone i obciążony „Dimestore” płynął zaledwie z

szybkością ponad sześciu węzłów, zamiast dziesięciu. Kiedy rozpoczynał się

szarawy świt, od strony portu wciąż jeszcze widać było wyspę Lingga.

Po

pewnym czasie rozwidniło się na dobre i wówczas nad wodami zaczęły szukać

łupu japońskie samoloty „Zero”. Terence stał akurat za sterem, a Sam drzemał

na krzesłach w sterowni. Pierwszy myśliwiec opadł na dół, wypatrzył mały

statek i wzleciał pionowo w górę.

– Kryć się! – wrzasnął Sam, budząc się ze snu.

Kiedy kolejny samolot przeleciał obok nich, niemal dotykając wód morza

i strzelając z działek, dzieci podniosły krzyk. Kule z następnych myśliwców

trafiały w pokład z tekowego drewna, które się rozszczepiło. Płaska szalupa

przytroczona do rufy wkrótce też się roztrzaskała. Gwen wyczuła, że statek ma

przechył. Jakaś kula przeleciała przez lampę naftową, która natychmiast zajęła

się ogniem, a wzdłuż zwieńczenia statku zaczęły tańczyć płomienie.

Sam

usiłował spuścić na wodę drewnianą tratwę.

– Skaczcie! – krzyczał. – Skaczcie! Zaraz wybuchną zbiorniki z paliwem!

Sam zbiegł do saloniku, podniósł pierwsze z brzegu dziecko i chwycił drugie, by powlec je po pokładzie. Jane Bedale spała w kajucie na rufie wraz z

RS

529

malcami. Zataczając się, niosła na rękach dwójkę dzieci. Gwen rzuciła się przez salon do kajuty w przedniej części statku, by zabrać resztę. Za nią biegła

Tammy, chwyciwszy jakiegoś berbecia za uniesione w górę ramiona. W salonie znajdowała się Molly O'Keefe, która podawała starsze dzieci Terence'owi.

Na falach unosiła się tratwa.

– Skaczcie! – wydał komendę Sam, popychając Molly, która skoczyła do

wody, trzymając w ramionach chłopca. Wypłynęła na powierzchnię, parskając

i wypluwając wodę, wepchnęła chłopca na drewniane belki i obróciła się ku

statkowi.

– Szybko, ja będę je łapała!

Sam wrzucił dziecko do wody, a następne skoczyło tam z własnej woli.

Molly chwyciła je w momencie, gdy wypływały na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, i wciągała na tratwę. Potem skoczyła Jane

Bedale, nie

puszczając dwójki dzieci, które również znalazły się na tratwie. Ona sama

przywarła do drewnianych belek i rozejrzała się za następnym malcem, którego

podawała jej Tammy. Tymczasem pojawiły się już kolejne myśliwce, których pociski pruły wodę. Gwen skoczyła, trzymając w ramionach Petiego. Czowała, że tonie w zimnej słonej wodzie i słyszała okrzyk przerażenia chłopca. Kiedy się wynurzyli, chłopiec kasłał i zachłystywał się wodą. Wciągnęła go szybko na tratwę i podpłynęła do „Dimestore”. Tammy pomagała jednej ze starszych dziewczynek odbić się i skoczyć do morza, a Gwen schwyciła ją za ubranie, kiedy mała wypłynęła na powierzchnię. Drewniane zwieńczenie statku stanęło w płomieniach, podobnie jak cała jedna burta.

– Uciekamy – krzyknął Sam. – Wiosłujcie, żeby odsunąć tratwę!
– Nie! – zawołała Jane. Ale w końcu uświadomiła sobie, że „Dimestore” tonie, a wir wodny spycha ku niemu tratwę. Tammy podpłynęła z ostatnim

RS

530
małym dzieckiem, a starsze same skoczyły do wody. Przytrzymały się tratwy albo ubrań kobiet. Wreszcie zanurkowało dwóch mężczyzn. Jak tylko dotarli do tratwy, zdwoili wysiłki, by oddalić się od „Dimestore”. Gwen

poczuła silny podmuch, jakby ktoś uderzył pięścią w wodę, a potem falę gorącą. „Dimestore” zaczął płonąć, a jego drewniane omasztowanie leniwie

wzlatywało w górę. Myśliwce japońskie krążyły nisko nad głowami uciekinierów. Karabiny maszynowe terkotały głośno. Molly O’Keefe krzyknęła

i puściła tratwę.

– Nie! – zawołał Terence i rzucił się za nią. Mała tratwa zanurzyła się wskutek ich gwałtownych ruchów.

– Chwileczkę! – krzyknął Sam i zanurkował. Niedługo potem pojawił się

na powierzchni wody z Terence’em. Obaj podtrzymywali Molly.

– Molly! Molly! – wykrzyknął Terence. Tymczasem myśliwce japońskie powróciły znowu.

– Nurkujcie! – zawołał Sam.

Starsze dzieci posłuchały go i schowały się przed kulami pod wodą. Jane Bedale zasłoniła własnym ciałem maluchy na tratwie. Samoloty zaczęły pikować, po czym wzbiły się w powietrze i odleciały. Nie było już słychać

warkotu ich silników. Nastąpiła nieznośna cisza, którą zakłócało pęknięcie drewna i skwierczenie wywołane zetknięciem gorącego metalu z wodą.

Ocalali

ludzie sapali ze zmęczenia i zachłystywali się wodą, trzymając się kurczowo

chybotliwej tratwy. Gwen zaczęła liczyć dzieci: sześcioro było na tratwie,

siedmioro w wodzie. Brakowało jednego dziecka. Gwen zanurkowała, by je

odszukać. Ale w ciemnozielonej wodzie w promieniu sześciu czy siedmiu

jardów nie mogła znaleźć niczego. Po niej próbował parokrotnie Sam, ale to

również na nic się zdało.

Terence usiłował skłonić Molly do otwarcia oczu.

RS

531

– Nic jej nie jest, tylko zemdląła – upierał się. – Połóżcie ją na tratwę. Kiedy jednak próbowali to zrobić, Gwen przyłożyła głowę do piersi Molly. Jej serce nie biło.

Jane Bedale nadal leżała na tratwie, która przechylała się, kiedy małe dzieci usiłowały usiąść. Tammy pomogła im się wyswobodzić, a zajęła się

Jane, która była ranna w ramię.

Liczenie przyniosło ponury rezultat. Zginęło jedno dziecko i Molly, a Jane była ciężko ranna.

Za wyspą Lingga zaczęło wschodzić słońce. Białe grzebienie fal zabarwiły się na różowo.

– O Boże! – szlochał Terence. – O Boże!

– Co mamy teraz robić? – zapytała Gwen.

– Płyniemy w stronę tej skały. To niedaleko, jeżeli wszyscy weźmiemy się za wiosłowanie, powinniśmy dotrzeć tam w godzinę...

– Ale to tylko skała, Sam – wykrzyknęła Tammy.

– Tam są prawdopodobnie rybacy, którzy wypływają łodziami na morze, żeby zarzucać sieci. No, dalej, musimy to zrobić, ruszajcie się!

Miał rację. Musieli się na to zdecydować. W pobliżu nie było widać żadnego statku ani łodzi rybackiej.

– Molly! – lamentował Terence.

– Musimy ją zostawić, Terence.

– Nie! Nie, Sam, zabierzmy ją na wyspę...

Terence usiłował podtrzymać żonę, podczas gdy oni niezdarnie sterowali tratwą w kierunku odległej o mniej więcej milę skalistej wysepki.

Jednakże po dwudziestu minutach bez słowa pozwolił, by jej ciało zatoneło.

Wydawało się, że przez chwilę unosiło się obok niego na wodzie, po czym pogrążyło się na zawsze w odmętach.

RS

532

Wysepka była praktycznie niedostępna, bo skały wznosiły się bezpośrednio nad morzem. Gdyby dysponowali łodzią z wiosłami, zapewne mogliby ją okrążyć i znaleźć dogodne miejsce do wylądowania. Nie pozostawało im nic innego, jak rozbicie się o skały w możliwie znośny sposób.

Tammy rozłożyła się na tratwie, żeby ubezpieczać małe dzieci. Reszta upadła na ostre kamienie, narażając się na skaleczenia i rany. Dorośli potykali się o duże głazy, przewracali się i znowu padali. Sam miał w ręku linę od tratwy, by wyciągnąć ją, zanim porwałyby ją morskie fale. Kobiety dźwignęły się na nogi, żeby ratować malców. Tammy uklękła. Tratwa odchyliła się pod niebezpiecznym kątem, ale dzieci dostały się całe i zdrowe na brzeg.

Przez jakiś czas siedzieli bezwładnie pośród kamieni, czując ulgę i zbierając siły. Czekali ich zadanie zdjęcia z dzieci mokrych ubrań i wysuszenia ich na słońcu. Gwen porwawszy własną bluzkę, zabandażowała ramię Jane.

– Pójdę się rozejrzeć – powiedział Sam.

– To nie pora na wyprawy badawcze! – sprzeciwił się Terence.

– Chcę się zorientować, czy są jakieś znaki, że pojawiają się tutaj rybacy, a także poszukać świeżej wody.

– Och, tak. Przepraszam, stary. Jestem... jestem zdenerwowany.

– Wiem, Terence. Jest mi cholernie przykro.

– To nie twoja wina, lecz moja... Ja skłoniłem cię do tego, żebyś nas zabrał...

Sam stąpając ciężko, pomaszerował przed siebie. Wybrał ścieżkę, która biegła równoległe do linii brzegowej w odległości mniej więcej trzech jardów.

Musiał obchodzić ciemne głązy pochodzenia wulkanicznego. Wkrótce zniknął za wyraźnie zarysowanym brzegiem.

RS

533

Słońce weszło już wysoko. Należało umieścić w cieniu dzieci, zwłaszcza młodsze. Pomimo iż niektóre skały liczyły sobie ponad sześć stóp

wysokości, trudno było znaleźć zacienione miejsce. Sam wrócił mniej

więcej

po trzydziestu minutach.

– Są sieci na ryby – poinformował – ale nie opróżniano ich od wielu dni.

We wschodniej części znajduje się wąska plaża, piaszczysty skrawek ciągnący

się na kilkanaście jardów. Nie ma świeżej wody oprócz zagłębień, w których

zebrał się deszcz.

Kobiety spojrzały na niego z przerażeniem.

– Żadnych domów czy chat?

– Nic. Widziałem tylko porzucony sampan z wybitym dnem, zakleszczony

między dwiema skałami koło następnego cypla. Wyspa ma najwyżej sześćdziesiąt jardów szerokości. Nie ma nawet dość płaskiego terenu, żeby

mógł tu stanąć dom.

– O Boże! – jęknął Terence.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? – zagadnęła Jane Bedale. Sam pokręcił głową.

– Będzie nam odrobinę lepiej w tej piaszczystej zatoczce. Tam przynajmniej będzie można posiedzieć do czasu przypływu i mieć dostęp do

sieci z rybami. Wyciągniemy je i w ten sposób zdobędziemy jakieś pożywienie.

– Ale jak je ugotujemy? – zapytał Terence. – Nie ma drewna na ognisko.

– Na wodzie unoszą się szczątki rozbitych łodzi, na pewno ich wystarczy.

Ale potrzebujemy zapalek. Czy ktoś ma zapalniczki?

Przeszukanie kieszeni nie dało rezultatu. Sam miał jednak pudełko cienkich cygar oraz złotą zapalniczkę. Próbował ją uruchomić, ale odmówiła

posłuszeństwa.

RS

534

– Kamień jest jeszcze mokry – stwierdził. – A do zbiorniczka z benzyną przedostała się zapewne słona woda. Niech trochę przeschnie; może będzie

działać za godzinę czy dwie.

Postanowili przenieść się na piaszczystą plażę. Ożywieni świadomością, że muszą coś zrobić, wyruszyli w drogę. Wszyscy dorośli, oprócz oczywiście

Jane, a także dwie starsze dziewczynki nieśli dzieci. Panna Bedale trzymała

jednego berbecia zdrową ręką, reszta zaś gramoliła się za nimi. Zamiast iść

skrajem wysepki, pokonali jej najwyższą część, gdyż zajęło im to mniej czasu,

a ponadto dawało szansę rozejrzenia się ze szczytu. Nie dostrzegli jednak

żadnego statku, okrętu czy łodzi. Po drodze zatrzymywali się nad kałużami z

deszczówką, by nabrać w ręce trochę wody. Malutkie dzieci poili z cygarniczki

Sama.

Na małej plaży od strony wschodniej znaleźli cień. Piasek zalewała już woda, co oznaczało konieczność siedzenia wśród skał, ale najmniejsze berbecie miały jeszcze w miarę wygodne miejsca. Zapalniczka Sama została

rozebrana na części i poddana suszeniu, a tymczasem Gwen i Tammy
udały się
do sieci rybackich, których obecność sygnalizowały długie paliki wbite
w dno
morskie. Gwen i Tammy zeskoczyły, żeby obejrzyć połów. Do sieci
wpadło
mnóstwo ryb, lecz część z nich wyjadły inne ryby. Wyplątały z sieci
sześć
największych, żeby zabrać je ze sobą. Kiedy dowlokły się z powrotem
na
brzeg, przyplływ całkowicie zalał plażę.
Starsze dzieci zebrały drewno. Za pomocą wysuszonej koperty z
kieszeni
Terence'a oraz kilku wiórków wykrzesaly ogień w osłoniętym miejscu
między
skałami. Ostrożnie ustawiły nad smużką dymu większe drewnienka. Ku
ich
radości szybko zajęły się ogniem.

RS

535

– Nie pozwólcie, żeby zgasł – zarządził Sam. – Dopóki nie
wydostaniemy się z tej skały, tylko dzięki ogniewi będziemy mogli
ogrzewać
się nocą, gotować jedzenie i dać sygnał przepływającemu statkowi.
Upiekli ryby, trzymając je nad ogniskiem na patyku. Mimo że niektóre
były nie dopieczone, czuli taki głód, że smakowały im wybornie.

Najwięcej

kłopotów przysporzyło im niemowlę. Nie mieli mu do zaoferowania nic oprócz

wody. Na pokładzie „Dimestore” przechowywali mleko w puszkach i w nocy

karmili małą dwukrotnie, ale teraz była głodna, a jej czarne oczy napełniły się łzami.

Nadciągnęły chmury, powiał monsun i zaczął padać ulewny deszcz.

Próbowali schronić się między skałami, ale nie na wiele to się zdało.

Wprawdzie później ogrzało ich słońce, ale wkrótce miała zapaść noc.

Sam

zapropozował, żeby zebrać szczątki rozbitego sampana na brzegu i sklecić

jakieś schronienie.

– Jeżeli w nocy spadnie deszcz i wszyscy znowu przemokniemy, zachorujemy na zapalenie płuc.

– Ale jak zamierzasz przeciągnąć sampana przez skały? – powątpiewał Terence. – Jest ciężki...

– Wyłowimy jego kawałki, które pływają przy brzegu, no nie?

– Czy to nie jest odrobinę ryzykowne? Jeżeli morze zmyje nas w głąb lądu, możemy się roztrzaskać o skały...

– Pójdę z tobą – oświadczyła Tammy, zrywając się z ziemi.

– Nie, ty zostań z dziećmi.

– Dzieciom nic się nie stanie.

– Nie idź, Tammy – błagał Petie. – Zabijesz się, tak jak moja mamusia.

– Nie zabiję się, Petie. Odchodzę na odległość zaledwie paru jardów.

RS

536

– Ja pójdę – powiedział Terence, wzdychając ze złością. – Ty zostań z Petiem, ja pójdę.

Dwóch mężczyzn udało się na skały. Wydawało się, że minęło bardzo dużo czasu. Słońce zaczęło już znikać za linią widnokregu na zachodzie, kiedy

wreszcie można było dojrzeć ich głowy unoszące się około kilkunastu jardów

od brzegu. Gwen zerwała się na nogi i ruszyła pośpiesznie w ich kierunku, a za

nią pobiegła Tammy i dwie dziewczynki, Selina i Liu. Mężczyźni holowali

duży szczątek sampana za pomocą liny, która służyła niegdyś do jego cumowania. Kobiety chwyciły ów kawałek za brzeg, zaczęły go dźwigać i

ciągnąć, straciły równowagę na piasku, wpadły do wody, ale wypłynęły na

powierzchnię i nadal holowały swoją zdobycz. Cała grupa sprowadziła wykrzywiony wrak na brzeg, podtrzymując go w taki sposób, by nie zawadzał

o ostre skały i nie uległ zupełnemu rozbiciu.

Potem przez dziesięć minut wszyscy ciężko sapali, próbując odzyskać normalny oddech. Następnie wspólnym wysiłkiem dźwignęli drewniany wrak i

ponieśli go dalej. Kiedy już doszli do celu, przerzucili wrak łodzi

między

dwiema największymi skałami, tworząc w ten sposób prowizoryczne schronienie. Mieściło się tam pięć osób. Pannę Bedale ulokowano w najzacieśniejszym miejscu. Zdrowym ramieniem przytulała do siebie maleństwo.

Obok niej usiadły Tammy i Gwen, każda z nich trzymała na kolanach dziecko. Przy Tammy znalazł się Petie, który objął ją ramieniem.

Zarówno Selina, jak i Liu opiekowały się mniejszymi dziećmi, a reszta stłoczyła się między prowizoryczną budką i ogniskiem. Terence i Sam wyciągnęli się przy ognisku. Obaj mieli stertę szczap, żeby je podrzucać do

ognia w nocy.

Szybko nastał zmierzch. Ludzie przywarli do siebie ze strachu. Wysoko ponad ich głowami przelatywały bombowce, które kierowały się w stronę

RS

537

Singapuru. Niemowlę przestało głośno płakać, ale kwiliło teraz z głodu żałośnie.

Tej nocy słyszeli samoloty dwukrotnie. O świcie pojawił się patrol myśliwców, być może tych samych, które zbombardowały „Dimestore”. Poleciał dalej, nie zauważywszy rozbitków na skalistej wysepce.

Skończył się

przyływ, plaża była czysta. Zeszli na dół, żeby się umyć, wyciągnąć ryby z

sieci i położyć się wygodnie na piasku. Selina wraz z innym dzieckiem

nazbierała drewna. Terence przyrządził rybę. Wszyscy usiedli na piasku

w promieniach wczesnego słońca i zjedli pierwszy posiłek tego dnia. Sam wszedł

na szczyt skały, żeby zobaczyć, co się dzieje na morzu. Po powrocie oświadczył, że widział żagiel dżonki, ale nie w takiej odległości, która umożliwiłaby danie sygnału. Starsze dzieci kolejno miały stać na czatach.

Dzień bardzo się dłużył. Niemowlę przestało płakać i leżało pogrążone w

apatii, a w jego zamglonych czarnych oczach nie było już łez.

– Ona umrze – powiedziała Jane Bedale, pochylając się nad dziewczynką, by wytrzeć jej twarzyczkę deszczową wodą.

– Ktoś w końcu tu dopłynie – odrzekła Gwen. – Rybacy, którzy są właścicielami sieci...

– Ale nie na czas – odparła Jane.

Zjedli trzy posiłki złożone z ryb i popili je deszczówką. Terence, Sam i Gwen przywlekli pozostałą część sampana, co umożliwiło im powiększenie

kryjówek między skałami. Tej nocy było im nieco wygodniej, aczkolwiek padał

ulewny deszcz i musieli zbudować mały szałas, żeby osłonić drogocenne ognisko. Samoloty latały jak poprzednio, a o świcie rozległ się warkot myśliwców. Po śniadaniu Terence udał się na szczyt skały, z którego wrócił

pędem, wznosząc okrzyki.

– Tam jest łódź, łódź!

RS

538

Natychmiast wszyscy się ku niemu rzucili i poszli za nim do punktu obserwacyjnego na skale. Rzeczywiście, mniej więcej o pół mili dalej z morskiej mgły wyłoniła się łódź... Trudno było ocenić jej kształt, ale teraz

słyszeli niewyraźnie pracę motoru.

– Hej! – krzyknęli. – Hej tam! Pomocy! Pomocy!

– Zejdź na dół i dołóż dREW do ogniska – powiedział Sam do Liu.

Dziewczynka obróciła się i szybko zbiegła ze zbocza. Po chwili usłyszeli

trzask ogniska, które paliło się żywiej. Potem w górę wzbił się dym – Liu była

na tyle przemyślna, że wrzuciła do ognia trochę mokrego piasku.

Łódź płynęła na południe i wkrótce stała się lepiej widoczna. Była to łódź

motorowa, jakich używano zamiast promu rzecznoego. Miała miejsca siedzące

dla pasażerów i charakteryzowała się niedużą wypornością. Jej silnik pracował

dość niepewnie.

– Teraz wszyscy razem – wydała komendę Gwen. Krzyknęli chórem:

– Pomocy! Na pomoc!

Poczuili radość i ulgę, gdy łódź skierowała swój dziób ku wysepce.

Kiedy

opadła mgła, zauważyli, że była zatłoczona. Budowana z myślą o

krótkich

rejsach i przewożeniu najwyżej osiemnastu pasażerów, teraz mieściła chyba

około trzydziestu. Byli oni przemoczeni, rozczochrani; trzymali kurczowo

swoje pudła i walizki. Za sterem stał brodaty siwy mężczyzna. Zwolnił obroty

silnika, przyłożył dłonie do ust i zawołał coś, ale nikt nie mógł go zrozumieć.

– Halo, na łodzi! – krzyknął Sam. – Potrzebujemy pomocy!

– Halo, brzeg! – nadeszła odpowiedź. – Jesteście Anglikami?

– To holenderska łódź! – mruknął Sam. – Kapitanie, może nas pan zabrać?

– Jak się tam dostaliście, mój przyjacielu?

RS

539

– Wyłynęliśmy z Singapuru, biorąc kurs na Sumatrę. Zaatakowały nas japońskie myśliwce. Dokąd płyniecie?

– Z wyspy Lingga kierujemy się ku Palembang.

– Lingga! Zaatakowali Linggę?

– Tak, mój przyjacielu, lądują tam Japończycy, musieliśmy uciekać w środku nocy. Posłuchajcie, przykro mi, ale nie możemy was zabrać. Jak widzicie, już i tak jesteśmy prawie pod wodą.

– Musicie nas zabrać – zawołał Terence. – Nie możemy tu zostać!

– Ilu was tam jest?

– Trzynaścioro dzieci i pięć osób dorosłych.

– Wykluczone! Popatrzcie na moją łódź!

– Kapitanie, mamy tu dwumiesięczne niemowlę, która umiera z głodu! – krzyknęła Jane. – Musicie wziąć przynajmniej tę małą!

Nastąpiła przerwa, w trakcie której kapitan zapewne naradzał się z pasażerami.

– Zabierzemy niemowlę! – krzyknął.

– Ależ, kapitanie! – nie ustępował Sam. – Weźcie dzieciaki! Są u kresu wytrzymałości. I mamy ranną kobietę, która potrzebuje opieki lekarskiej.

Znowu zaczęły się narady.

– Przykro mi, mój przyjacielu, nie możemy zabrać tylu osób.

– Jeżeli wyrzucicie za burtę trochę tego bagażu...

Pasażerowie łodzi zaczęli głośno protestować. Jakiś staruszek, który stał na dziobie, przyciskał do piersi wspaniały francuski zegar i osłaniał go troskliwie marynarką.

– Zaczekajcie! – zawołał Holender.

Tym razem konsultacje trwały znacznie dłużej. Najwyraźniej część ludzi nalegała, by odciążyć łódź i wziąć maksymalną liczbę rozbitków. Żeby dać

RS

540

przykład, jeden mężczyzna wrzucił swoją walizkę do morza. Wirowała przez

moment na powierzchni wody, by odpłynąć w nieznane.

Kapitan łodzi dał znać ręką, że chce coś powiedzieć.

– Ustaliliśmy, że zabierzemy dzieci i ranną kobietę. Przykro mi, ale nie

możemy wziąć nikogo więcej. Podpłyniemy tak blisko, jak się da, a następnie

odciążymy łódź. Wówczas wy będziecie musieli przekazać nam dzieci.

– Musicie zabrać nas wszystkich! – wrzeszczał Terence.

– Miej trochę rozumu, człowieku, jeżeli wszyscy będziemy próbowali wsiąść na pokład, łódź pójdzie na dno – powiedział z westchnieniem Sam.

Holenderska łódź ostrożnie podpłynęła bliżej brzegu. Większość pasażerów

wrzuciła do wody swoje walizki, paczki i torby – ich bagaże kołysały się między łodzią i wybrzeżem.

– Teraz! – zawołał Holender.

Jane spojrzała na Gwen i Tammy.

– Ja nie pójdę – powiedziała.

– Ależ tak, pójdiesz. Musisz zabrać niemowlę i opiekować się nim.

Gwen podniosła wychudzoną dziewczynkę, która przemoczyła swoje ubranko i

posadziła ją Jane na zdrowie ramię. Następnie pomogła Jane zejść po stromej

plaży i wejść do wody. Selina, Liu oraz starsze dzieci musiały przepłynąć

ostatnie kilka jardów. Z pomocą przyjaciół Jane wgramoliła się na pokład.

Później podano jej resztę malców. Kiedy przyszła pora na ostatnią grupkę,

Petie nie chciał iść.

– Nie, nie zmuszajcie mnie, pozwólcie mi zostać – błagał, czepiając się spódniczki Tammy.

– Ależ musisz iść, Petie...

– Nie, chcę być z wami! – wołał z płaczem. Zaciskał oczy i nie wypuszczał z piąstek bawełnianej spódnicy.

RS

541

– Mili przyjaciele, proszę, pośpieszcie się! – krzyknął kapitan. – Powinienem dotrzeć do wybrzeża Sumatry przed zmrokiem. Nie umiem sterować jedynie przy świetle gwiazd.

– Chwileczkę, kapitanie!

Ale Petie nie dał się przekonać. W końcu Tammy powiedziała:

– Niech zostanie. Ja się nim zaopiekuję.

– Jeżeli można wysłać dzieciaka w podróż, to lepiej niech nam nie zawadza.

– Już ci powiedziałam, Terence, że się nim zaopiekuję.

– W porządku – zgodził się Sam.

Przetransportowano na łódź pozostałą czwórkę dzieci. Kiedy gramoliły się na pokład. Sam zapytał:

– Macie jakąś żywność na zbyciu? Może zapałki?

Kobieta, która pomogła wciągnąć Jane na łódź, pogrzebała w torebce i wyjęła pudełko holenderskich zapałek. Podała również woreczek zawierający

nieco owoców i kawałek czekolady.

— Bardzo dziękuję – powiedział Sam. – Jak pan się nazywa, kapitanie?

– Piet Janstra. A pan?

– Sam Prosper. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

– Tak, mój przyjacielu, a ja życzę panu, żeby zjawiała się tu następna łódź,

choć muszę przestrzec, że jest to mało prawdopodobne. Nieprzyjaciel kontroluje Linggę i nikt się nie wydostanie na morze.

- Dziękuję za informację. Są jakieś wieści o Singapurze? Janstra pokręcił głową.
- Trudno wyłuskać prawdę. W naszych radiodbiornikach słyszeliśmy tylko japońską propagandę, więc nie można jej brać za prawdę, ale oni twierdzą, że władze Singapuru proszą o ustalenie warunków kapitulacji.

RS

542

- A co z Sumatrą? Lingga należy przecież do Wschodnich Indii Holenderskich i jeśli Japończycy wysadzili tam desant, to czy wylądowali także na Sumatrze?
- Nie, myślę, że nie. I tam właśnie płyniemy. Do widzenia, Samie Prosper.
- Do widzenia, Piet.
- Rozległ się warkot silnika i łódź zaczęła odpływać. Jej pasażerowie machali rękami i wołali po holendersku lub po malajsku:
- Do zobaczenia, powodzenia!
- Wkrótce ich okrzyki przestały być słyszalne. Rozbitkowie ponownie dopłynęli do brzegu. Sam starał się nie zamoczyć zapalek. Na wyspie czekał ich skulony Petie. Chwycił Gwen za rękę.
- Zostaję z wami?
- Oczywiście, że tak, kochanie. Patrz, mamy dla ciebie trochę czekolady!
- Usiedli na plaży i dzielili się holenderską czekoladą. Jej słodycz

sprawiła,

że poczuli się jak w niebie.

– A teraz powyciągajmy te rzeczy, zanim odpłyną – zarządził Sam, kierując się z powrotem do wody.

– Jakie rzeczy? Aha, bagaże z szalupy.

Zanurzyli się podobnie jak on, wyłapując walizkę i wiklinowy kosz.

Zdążyli jeszcze wyłowić dwie walizki, trzy kosze, mały kuferek i pudło z

rączką. Reszta znalazła się na dnie.

W jednej z walizek był garnitur, kilka zmian bielizny i trzy pary butów.

Druga zawierała cienkie ręczniki, prześcieradła i poszewki. W

koszykach

mieściła się kolekcja rozmaitych grzebieni, przybory do golenia, cynowe kubki, książki, których kartki nasiąkły morską wodą, tamborek do haftowania.

RS

543

Natomiast mały kuferek zawierał zestaw najlepszej gatunkowo porcelany, a

pudełko z rączką okazało się aparatem fotograficznym.

– Cholera! – zaklął Sam. – Złapałem to pudełko, bo myślałem, że są w nim puszki z żywnością. Aparat! Chyba nawet się nie nadajemy do tego, żeby

robić sobie zdjęcia.

– Nie da się ukryć – odparła Gwen i pomyślała, że uśmiecha się po raz pierwszy od kilku dni.

Popatrzyli na siebie. Gwen wyglądała dość przyzwoicie w spodniach i bluzce, której brzeg oderwała, by obandażować nim Jane. Wszyscy mieli jakieś

braki w garderobie, Terence na przykład zgubił buty.

Rozłożyli zawartość bagażu, żeby wyschła. Słońce znajdowało się już wysoko na niebie, dzień był upalny. Podsycili ogień, upiekli ryby, zjedli posiłek i odpoczęli. Następnie Sam podniósł się z ziemi.

– Chodź, Terence, zsuniemy ze skał tratwę „Dimestore”.

Terence spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Po co, u licha?

– Ponieważ popłyniemy nią na Sumatrę.

– Czyś ty oszalał?

– Nie, wręcz przeciwnie. Japończycy są na Lingdze, tak? Ile czasu upłynie do chwili, gdy zaczną wysyłać łodzie, które będą patrolowały każdą z

wysp? Lepiej, żeby nas nie było, kiedy się tutaj zjawią...

– Ale na Sumatrę! W jaki sposób zamierzasz tam dotrzeć na tratwie?

– Oczywiście, będziemy wiosłować.

– Wiosłować! Popychając tratwę w wodzie, jak wtedy, gdy się rozbiliśmy? Jaki to dystans?

– Około pięćdziesięciu mil i wcale nie będziemy popychać tratwy w wodzie. Usiądziemy na niej i jako wiosła użyjemy drewnianych masztów

RS

dość

długą tyczkę, to możemy nawet zrobić żagiel z jednego z tych prześcieradeł, które wyłowiliśmy.

– Ten pomysł jest absurdalny...

– Dlaczego tak twierdzisz? – wtrąciła się oburzona Gwen. – Co byś wolał? Żebyśmy tu siedzieli i nic nie robili?

– Przyplynie druga łódź...

– Z japońskim oddziałem desantowym. Słyszałeś, co mówił ten Holender.

– Hm... Nawet gdyby tak się stało... – Terence zawahał się. – Nie lepiej byłoby dać się zabrać na Lingdze i internować?

– Za nic w świecie! – wykrzyknął Sam. – Możesz być pewien, że nie zostanę ich jeńcem.

– Ale to jest takie niebezpieczne...

– Jasne, że tak. Jeśli chcesz, to zostań i czekaj tutaj na Japończyków. Co do mnie, zamierzam zdobyć tę tratwę i popłynąć na Sumatrę z każdym, kto

tego zechce – to rzekłszy, ruszył w drogę brzegiem morza.

– Idź mu pomóc – powiedziała Tammy. – Nie udźwignie tratwy sam.

– To jest po prostu bez sensu.

– W porządku, ja pójdę – oświadczyła Gwen.

– Nie, mamu, to praca dla mężczyzny – zaprotestowała Tammy.

Zawstydzony Terence niechętnie powstał z ziemi i poszedł za Samem.

Ponieważ zaczął się odpływ, minęło sporo czasu, zanim dwaj mężczyźni przyplynie z tratwą. Zaciągnęli ją na plażę i powlekli w górę na skały.

Potem

odpoczywali, gdyż byli skrajnie wyczerpani. Gwen przyniosła im w cynowym

kubku podgrzaną wodę, w której rozpuściła trochę czekolady – ten osobliwy,

słaby napój nieco ich wzmocnił. Po jakimś czasie pozbierali wszystkie przedmioty pochodzące z bagażu i przykryli je w obawie przed ulewą.

RS

545

Przyrządzili posiłek i po zachodzie słońca usiedli przy ognisku, by ustalić plan działania.

– Weźmiemy pustą walizkę i kuferek i przywiążemy je do tratwy, dzięki temu będzie lepiej się utrzymywała na powierzchni wody. Nie mogłem znaleźć

tyczki na maszt, więc będziemy musieli wiosłować. Jutro wybierzemy z tego

schronienia odpowiednie belki – powiedział Sam, unosząc głowę w kierunku sampana.

– Powinniśmy wybrać z tych rzeczy jakieś ubrania na zmianę – zaproponowała

Gwen. – Terence, przymierzyłeś te buty?

– Tak, są za duże...

– No cóż, w takim razie włóż do nich dwie pary skarpet. Lepiej nie chodzić boso; nie wiadomo, jaki będzie brzeg, kiedy dotrzemy do Sumatry.

– Zabierzmy prześcieradła, żeby ochronić się przed słońcem – powiedziała Tammy, gładząc włosy Petiego, który spał na jej kolanach.

–

Biedne maleństwo, już i tak za mocno się przypiekł.

– Wy naprawdę zamierzacie to zrobić? – zapytał z przerażeniem Terence.

– Oczywiście, że tak.

– Będziemy wiosłować pięćdziesiąt mil?

– Pomoże nam prąd. Nie zauważyłeś, że prąd przy tej wysepce ma kierunek południowo–zachodni?

W blasku ognia widać było na twarzy Terence'a jedynie niepewność.

– Sądzę, że nie powinniśmy tego robić – mruknął.

Ale nazajutrz w południe, kiedy zepchnęli tratwę na wodę i wsiedli na nią, on również się tam wgramolił.

– Płyniemy na Sumatrę – oświadczył Sam i zanurzył deskę w wodzie. Tratwa łagodnie się obróciła, a następnie popłynęła na południowy zachód.

RS

546

25

Zobaczyli Sumatrę następnego dnia, na godzinę przed zapadnięciem zmroku.

Sam mówił wcześniej, że z pomocą prądu będą płynęli z prędkością dwóch węzłów. Powiedział też, że od Sumatry dzieli ich około pięćdziesięciu

mil, i niewiele się pomylił w obliczeniach.

Wszyscy członkowie grupy zajmowali się wiosłowaniem. Kiedy trzy osoby zasiadały do wiosł, jedna odpoczywała. Oznaczało to półgodzinny

wypoczynek co dwie godziny. Można było wówczas coś zjeść i wypić albo

uciąć sobie drzemkę.

Zabrali ze sobą cały zapas gotowanych ryb, resztki owoców i czekoladę, którą podarowali im pasażerowie z holenderskiej szalupy. Petie siedział na środku tratwy, a jego zadaniem było wyłapywanie świeżej wody w czasie deszczu. Kiedy świeciło słońce, miał obowiązek dopilnować, by wiosłujących okrywały prześcieradła, które chroniły ich przed poparzeniem. Był dumny z tego, że może się na coś przydać. Wiosłowali całą noc, a Sam korygował kurs na podstawie położenia gwiazd. Woleli płynąć o tej porze. Powietrze było wtedy chłodniejsze i nie musieli spoglądać na monotonną, bezkresną toń oceanu. Parę razy za dnia zdarzało im się dostrzec łodzie rybackie – dwie z nich miały żagle, a na trzecią wciągano sieci, ale znajdowały się zbyt daleko, by móc je przywołać. Wypatrzyli również wyspę, która wyglądała na zamieszkaną i była większa od skalistej wysepki, z której wyruszyli. Jednakże siła prądu i przyływu uniemożliwiała im popłynięcie w jej kierunku. Od czasu do czasu nad ich głowami pojawiały się samoloty – bombowce albo nieduża eskadra myśliwców. Za każdym razem kładli się na tratwie, ale

RS

nawet jeśli ich zauważono, to spodziewany atak nie następował. W nocy, –

dzięki księżycowej poświacie, widzieli wyraźnie bombowce lecące wysoko ponad morzem.

Pierwszym lądem, który ukazał się na horyzoncie, była duża wyspa. Według Sama nazywała się ona Banka. Sam polecił swoim towarzyszom, by

zaczęli silniej wiosłować z lewej strony. Ten manewr miał im umożliwić popłynięcie w kierunku Sumatry. Po jakimś czasie poczuli, że mocny prąd odpycha ich od lądu.

– Rzeka – powiedział zmartwionym tonem Sam.

Zabrali się ostro do pracy i powoli przedzierali się ku wielkiej wyspie na zachodzie. Po pewnym czasie prąd zaczął im sprzyjać, zagarniając wody do

ujścia rzeki. Usłyszeli szum przybrzeżnych fal, ujrzeli zieloną roślinność,

drzewa, porośnięte namorzynami bagna, maszty łodzi rybackich. Z delty płynął

w ich kierunku sampan. Popychał ją drągiem wysoki, chudy Malaj. Na ich

widok wyciągnął drąg, zahamował łódź i stanął, wpatrując się w nich uważnie.

– Co to za rzeka, *tungku*? – zawołał Sam, tytułując Malaja w bardzo grzeczny sposób.

– *Tuan* nie wie? To jest Indragiri.

– Jesteśmy bardzo zmęczeni. Przyholujesz nas do brzegu?

– Chętnie, *tuan*, chętnie.

Za chwilę sampan znalazł się obok tratwy. Malaj rzucił linę, a Terence złapał ją i przywiązał do tratwy. Właściciel sampana wyszczerzył zęby w

uśmiechu, ukłonił się, a potem odwrócił twarz w drugą stronę.

Odepchnął łódź

za pomocą tyczki i już płynęli rzeką. Za jakiś czas wylądowali na błotnistej plaży. Ślaniając się, uciekinierzy wygramolili się na błotnistą ziemię. Po dwudziestu czterech godzinach kulenia się na tratwie byli zupełnie zdrętwiali,

RS

548

a woda morska i mokra odzież spowodowały liczne otarcia naskórka. W potarganych włosach mieli pełno soli.

Szybko przybiegli do nich rybacy, którzy akurat naprawiali sieci na plaży. Ze spiczastych chatek śpieszyli ku nim ludzie, którzy wkrótce utworzyli

rozgadany tłum. Nagły hałas po tak długiej ciszy morskiej miał w sobie coś

przytłaczającego. Przybysze stali w oszołomieniu.

Po chwili tłum rozstał się na widok bardzo starego mężczyzny w długim, podniszczonym sarongu i wyszywanej czapce z filcu, który kroczył po

plaży. To on zasługiwał na tytuł *tungku*, czyli wodza wioski.

– *Tuan* – powiedział, składając ręce i robiąc ukłon. – Pani. – Ukłonił się po raz kolejny. – Jesteśmy zaszczyceni waszą obecnością. Proszę, chodźcie do naszego domu.

Zaprowadził ich do największej chaty. Gwen wzięła Petiego za rękę i podążyła za *tungku*, a ludzie ustępowali im z drogi. Przejście było wykładane

deskami, a dom, w którym się znaleźli, wsparty był na palach. Otwarte okna

zostały zasłonięte trzcinowymi matami, na podłodze leżały plecionki, wzdłuż

ścian zaś poustawiano ławy do spania.

– Ofiaruję ci jedzenie, picie, kąpiel, wszystko, czego ci trzeba, *tuan* – oświadczył *tungku*, używając uroczystej formy języka malajskiego. –

Takie

jest prawo Allacha w stosunku do gości.

– Dziękujemy ci, *tungku*. Czy możemy się wykapać i doprowadzić się do

porządku? Potrzebujemy też dużo napojów. Przebywaliśmy na morzu ponad

dobę, pijąc tylko deszczówkę.

– Dostaniecie wszystko.

W dwie godziny później wykapani, przebrani w czystą odzież i nakarmieni

usiedli z czarkami gorącej kawy, by porozmawiać z *tungku*.

RS

549

– Z Singapuru? – zapytał ze zdumieniem. – Inni przybywali tu z Linggi i Banki. Wy jesteście pierwszymi osobami z Singapuru.

– Z Banki?! – wykrzyknął Terence. – Czy to nie ta wyspa, którą kazałeś nam ominąć?

– Tak, ale tylko dlatego, że uważałem, iż powinniśmy spróbować dotrzeć

do lądu stałego.

Sam zwrócił się do *tungku*.

– Na wyspie Banka są Japończycy?

– Och, tak. Również tutaj.

– Tutaj?

– Tak, dwa, trzy dni temu pojawiły się tu uzbrojone łodzie z żołnierzami.

Słyszałem, że są w Lampongu, ale nie wiem, ile w tym prawdy.

– Jest ich wielu czy tylko grupy zwiadowcze?

– Niedużo, ale sądzę, że wkrótce będzie ich mnóstwo.

– Dobry Boże! – jęknął Terence. – Z deszczu pod rynnę...

– *Tuan* – odezwał się *tungku*. — Jeżeli pragniesz trzymać się z dala od Japończyków, nie będzie to trudne. Myślę, że zdołają obsadzić wojskami

wszystkie miejsca dopiero za jakiś tydzień, może dwa. Czy waszym życzeniem

jest nie wchodzić Japończykom w drogę?

– W jaki sposób? – powiedział po angielsku Sam i dorzucił po malajsku:

– Bardzo tego pragniemy. Mieliśmy nadzieję dostać się do Padangu na zachodnim wybrzeżu i stamtąd popłynąć statkiem przez wielkie morze do

Kolombo.

– Dobry plan. Zdaje się, że Japończycy jeszcze nie zdobyli zachodniego wybrzeża. No cóż, jedzcie, pijcie i idźcie spać, a rano znowu porozmawiamy.

Tungku położył dłoń na jasnobrązowych włosach Petiego. Chłopiec spał przytulony do Tammy.

RS

550

– Twój syn? – zapytał ją. Spłonęła rumieńcem.

– Och, nie, *tungku*. Nie jestem mężatką.

– Nie? Jaka szkoda! Kiedy będziecie gotowi do snu, moja żona pokaże miejsce dla kobiet i tego dziecka. *Tuani* będą spali tutaj.

– Dziękujemy, *tungku*.

Ta noc przyniosła im błogi, niczym nie zmacony sen. Słomiane sienniki na bambusowych ławach wydawały się takie miękkie w porównaniu ze skalistą

wyspą czy kuleniem się na tratwie. Gwen wstała, przeciągnęła się i chwiejnym

krokiem opuściła chatkę. Całe ciało było zeszywniałe, ale kiedy miejscowe

kobiety pokazały jej sadzawkę, wzięła odprężającą kąpiel i uczucie odrętwienia

minęło.

Śniadanie składało się z płaskich ciastek ryżowych, owoców i gotowanej ryby. Gwen jadła z wielkim apetytem. Rano przejrzała się w sadzawce – tydzień spożywania głodowych racji, a wcześniej nieregularne posiłki w Singapurze sprawiły, że zostały z niej tylko skóra i kości.

Tungku zwołał ich po śniadaniu na rozmowę. Zwracał się do Sama w taki

sposób, jakby ten ostatni był wodzem innej wioski.

– W dalszym ciągu chcecie płynąć w kierunku zachodniego wybrzeża?

– A pan myśli inaczej? – zapytał Sam.

- Nie, sędę, że to dobry plan. Czy macie pojęcie, jak się tam dostaniecie?
- Koleją?
- Do miasta ze stacją kolejową jest daleko i bez wątpienia będą tam Japończycy.
- Masz rację, *tungku*.
- Istnieje droga, która prowadzi przez kraj, ale Japończycy zarekwirowali ciężarówki i samochody. Myślę, że będą tamtędy jeździć.

RS

551

- Tak – powiedział Sam i popatrzył na resztę. Jego twarz wyrażała zatroskanie.
- Jednakże istnieje sposób na odbycie większej części podróży przez kraj,
tuan.
- Jaki?
- Możecie płynąć łodzią.
- O Boże! – zawołał Terence. – Nie mów, że znowu będziemy na morzu!
- Na morzu? *Tuan* nie myśli nad tym, co mówi. Przecież morze jest za nim. Jest szlak wodny, którym można dotrzeć do zachodniego wybrzeża: rzeka Indragiri.
- Przepłynięcie rzeki łodzią jest możliwe?
- Oczywiście, *tuan*. Sampanem.

- Czy będziemy musieli uczyć się posługiwania tymi długimi tyczkami? Myślałem, że tego rodzaju rzeczy mamy już za sobą...
- Uspokój się, Terence. Pozwól *tungku* skończyć. Wybacz mojemu przyjacielowi, *tungku*. Ostatnio przeżywaliśmy trudne dni.
- Rzeczywiście. Ale *tuan* i jego przyjaciel nie będą musieli popychać łodzi tyczkami. Mamy tu zręcznych mężczyzn, którzy znają tę rzekę – powiedział *tungku* z urażoną miną.
- Możemy ich wynająć, *tungku*?
- Naturalnie. Rozumiesz, trzeba im zapłacić. Skoro odrywają się od łowienia ryb, nie mogą marnować czasu.
- Rozumiemy, wodzu. Chętnie zapłacimy. Powiedz nam, jaka będzie cena.
- Nie w singapurskich dolarach. Teraz nie mają żadnej wartości.
- Nie mamy dolarów, *tungku*.
- Co oferujecie zamiast nich?

RS

552

Jeszcze przed opuszczeniem skalistej wysepki przejrzeni bagaże ludzi z szalupy i zabrali z nich to, co łatwo mieściło się w kieszeniach: grzebyki z

kości słoniowej, lusterka, okulary w złotych oprawkach, ołówki, puderniczkę,

igły i nici do haftowania, małą srebrną ramkę do zdjęć. Wzięli też cynowe

kubki, dwa porcelanowe półmiski, na które położyli gotowaną rybę, oraz cienkie prześcieradła z perkalu służące jako osłona. Przekonali się ze

zdziwieniem, że właściciele sampanów chcieli mieć przede wszystkim te prześcieradła. Być może namówiły ich do tego żony, które zamierzały przeznaczyć tkaninę na sarongi lub inne okrycia. Wreszcie dobito targu: za

wynajęcie dwóch sampanów z wiosłarzami zapłacono czterema prześcieradłami i złotą cygarnicą Sama. Tego dnia uciekinierzy mieli jeszcze

odpoczywać, a nazajutrz wypłynąć z wioski o świcie, kiedy panował chłód.

– Po dotarciu do głównego nurtu Indragiri – uprzedzał *tungku* – będziecie

musieli zostawić łodzie i przejść przez przełęcz w górach, aby znaleźć się na

wybrzeżu. Ja nigdy tego nie robiłem, tylko o tym słyszałem. Mówią, że jest

tam bardzo zimno, toteż kupcie ciepłą odzież, kiedy przybędziecie na miejsce.

– Dziękujemy, *tungku*.

Pozostała część dnia minęła jak sen. Leżeli w cieniu palm, drzemali albo obserwowali rybaków wypuszczających się na morze. Kobiety prały swoje

ubrania w strumieniu, przekomarzając się ze śmiechem. Dookoła biegały

dzieci, które się bawiły albo uroczyście niosły kosze ryżu czy jaj, lub rzucały

ziarno kurczakom. W wiosce panował idealny spokój. Singapur wraz ze wszystkimi okropnościami i atak na „Dimestore” wydawały się bardzo odległe.

Kiedy zaczął się zmierzch, Terence zapytał, czy teraz, gdy nic im nie zagrażało, mogliby odbyć małą ceremonię poświęconą pamięci Molly.

Natychmiast się zgodzili. Nikt nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jedyne

RS

553

Tammy, która pamiętała, jak się odmawia poranną modlitwę w szkole, zdołała

wypowiedzieć parę stosownych na tę okazję słów:

„Boże... który dajesz spokój i miłujesz zgodę... Broń nas, tve pokorne sługi, przed wszystkimi atakami naszego nieprzyjaciela... I racz dać wieczny

odpoczynek naszej drogiej przyjaciółce, która zesła z tego świata... " Wszyscy powiedzieli „amen".

– Dobrze się sprawiłaś – powiedziała później Gwen do swojej córki. Tammy wyglądała na zakłopotaną i odwróciła się od matki. Gwen martwiła

się, że Tammy może pójść pocieszać Terence'a, który wpatrywał się samotnie

w rzekę, trzymając ręce w kieszeniach. Zgarbił się i był pogrążony w smutku.

Jednakże Petie zastąpił drogę Tammy i zażądał, by mu pomogła upleść smycz i

obrożę dla jednego ze szceniąt w wiosce. Tymczasem Gwen przysiadła na

zwalonym pniaku. Przyłączył się do niej Sam.

– Ten mały szkrab przypomina Tammy o jej własnym dzieciństwie – stwierdził, kiwając głową na widok dziewczyny i chłopczyka, którzy pochylali

się w skupieniu nad węzłem w słomianym sznurze.

- Tak. Zbyt szybko wkroczyła w dorosłe życie, jak ktoś, kto biegnie przez przeszkody i zmierza do upadku.
- Mam wyrzuty sumienia, że ją w to wszystko wpakowałem.
- Przecież nie mogłeś tego przewidzieć, Sam. Nigdy mi się nie śniło, że oni – wciąż pamiętam, że to rodacy mojego męża – że oni będą strzelali do dzieci w wodzie.
- Straszne jest to, że nawet nie znałem imienia dziecka, które utonęło – powiedział drżącym głosem Sam.
- Beni, nazywał się Beni, jego matka była Malajką, a ojciec chyba Europejczykiem.
- Mógłby żyć, gdybym nie skłonił panny Bedale do wypłynięcia.

RS

554

- Ona tego chciała. Powiedziała, że Bóg zesłał jej sposobność.
- Nie ma co, zrobił jej cholernie zabawny dowcip – powiedział Sam, a na jego pociągłej, znużonej twarzy pojawił się gniewny grymas. – I temu chłopcu też.
- Pomyślałam o nim, kiedy Tammy modliła się za Molly. Właściwie powtarzałam je z myślą o nim.
- „Broń nas przed wszystkimi atakami naszego nieprzyjaciela”. Można byłoby zmówić taką modlitwę i za nas. Bo, prawdę powiedziawszy, Gwen, nie mam pewności, czy Sumatra jest tak bezpieczna, jak myślałem.

Dotknęła jego ramienia.

– Wszystko będzie dobrze, Sam.

– Jasne.

Tej nocy położyli się wcześniej spać, gdyż nazajutrz mieli wyruszyć w podróż o świcie. Ponieważ zamierzali płynąć rzeką pod prąd,

wynajętych

mężczyzn do wiosłowania czekała ciężka praca. Nie mogliby wytrzymać takiego wysiłku w środku dnia, gdy panował największy upał, toteż postanowili wyruszyć wcześniej, potem odpoczywać, a następnie płynąć aż do

zachodu słońca.

Kiedy goście zapytali *tungku*, czy powinni zabrać jakiś prowiant, machnął ręką w przeczącym geście.

– Jeżeli *tuani* są nadal na plantacjach oleju palmowego i kauczuku, zdołacie dostać europejską żywność, a jeżeli ich tam nie będzie, możecie otrzymać ryż i tapiokę z *kampongów*.

Na dowód wdzięczności dali mu małą srebrną ramkę do fotografii.

Wprawdzie było widać, że nie miał pojęcia, do czego służy ten podarunek, ale

przyjął go z uśmiechem i ukłonem.

RS

555

Na błotnistej plaży wzdłuż długiego mola stały sampany. Mieszkańcy wioski przyszli całą gromadą, by pożegnać gości, którzy wgramolili się do

łodzi. Odpłynęli przy akompaniamencie okrzyków życzących im

spokojnej
podróży.

Już po godzinie Gwen zrozumiała, na czym polega trudność bycia pasażerem sampana. Nie mogła wygodnie usiąść. Musiała wyprostować nogi,

ukłęknać albo przykucnąć. Każdą z tych pozycji miało się ochotę zmienić już

po dziesięciu minutach, ale taki manewr sprawiał, że łódź się kołysała, a równomierny rytm wiosłarzy ulegał zakłóceniu. Na rzece roiło się od owadów.

Próbowali w miarę możliwości zakryć odsłonięte partie skóry, ale nie byli w

stanie odpędzić owadów od twarzy i rąk. Gwen, jej córka i Petie płynęli w

jednym sampanie, w drugim zaś usadowili się dwaj mężczyźni. Płynąc pod

prąd, pokonywali w ciągu godziny około dwóch mil. Gwen miała wrażenie, że

szybciej podróżowałoby im się na piechotę, ale po obu brzegach rosły namorzyny, a później gęsta dżungla.

Jeśli chodzi o *tuanów* na plantacjach oleju palmowego, przez cały pierwszy dzień nie zobaczyli ani jednego Europejczyka i spotkali tylko kilku

mieszkańców Sumatry. Nad głowami pasażerów sampanów przelatywały

samoloty, które czasami zniżały się niczym patrol zwiadowczy, ale nigdy nie

atakowały. W środku dnia uciekinierzy przesypiali się w cieniu obfitego listowia na brzegu rzeki, jadali dziko rosnące banany i znowu wyruszyli w

podróż. Późnym popołudniem dotarli do szerokiego, płytkiego zakola i tu

postanowili się zatrzymać. Powiedziano im, że to miejsce nazywa się Keremu.

Kiedy sampany przybiły do brzegu, z domów zaczęli wychodzić ludzie.

Przybyszom zgotowano uprzejme powitanie, zaofiarowano im jedzenie i dach nad głową, ale widać było, że mieszkańcy wioski nie chcieli, by goście zatrzymali się u nich na dłużej. Mówili niezrozumiałym dialektem, lecz Sam

RS

556

wyłapał z ich rozmowy, że o milę dalej, w głębi lądu drogę patrolowały japońskie motocykle.

– Pojmujemy to, *tungku* – powiedział. – Przed nastaniem świtu już nas nie będzie.

Jednakże kiedy wyruszyli nazajutrz i pokonali dwie lub trzy mile, właściciele łodzi zaczęli się niepokoić.

– Proszę pani, nie byłoby dobrze, gdyby Japończycy zobaczyli w łodzi białe kobiety. Musicie się położyć.

Gwen zamierzała się z nim spierać, ale dostrzegła w oczach mężczyzny prawdziwy strach. Wzdłuż brzegu rzeki biegła ścieżka, na której mogła się

pojawić grupa Japończyków.

– Dobrze, Ali – zgodziła się. Właściwie nie było tam miejsca do leżenia dla dwóch rosnących Europejek, a dodatkowy kłopot wiązał się z Petiem.

Wreszcie cała trójka przywarła do dna sampana, czując ciepło swoich ciał i

niewygodę. Usiedli dopiero w momencie, gdy przy samym brzegu pojawiły się

leśne zarośla. W wypadku odsłoniętej linii brzegowej musieli pochylać

się w

łodzi. Południe przyniosło im zbawienną ulgę – mogli przybić do brzegu i dać

wioślarzom czas na odpoczynek. O tej porze odpoczywały nawet groźne patrole japońskiej piechoty. Tej nocy podróżnicy mieli zawinąć do portu w

Tana, lecz kiedy się tam zbliżyli, spostrzegli, że miejscowość została spalona.

W powietrzu panował zupełny bezruch i czuć było swąd zwęglonego drewna.

Wioślarze zatrzymali łodzie pośrodku rzeki. Stanęli i patrzyli na osadę, w

której nie było żadnych oznak życia. Podpłynęli do brzegu i zeszli z sampanów. Nic się nie wydarzyło oprócz tego, że ze zgliszczy wybiegł wychudzony pies, który zaczął im się przyglądać. Sam dźwignął się z miejsca i

zszedł na brzeg.

– Nie, *tuan!*– szepnął Ali.

RS

557

– Ktoś musi się tu rozejrzeć. Czy ty pójdziesz?

– Och, nie, *tuan*.

– W takim razie ja tam pójde. Zostańcie tutaj.

Przekroczył cicho ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu, minął może sześć domów i wkrótce stracili go z oczu. Pojawił się ponownie po mniej więcej

pięciu minutach.

– Wioska jest opuszczona. Chodźcie.

Zeszli na brzeg, a to, co zobaczyli, przyprawiło ich o silniejsze bicie serca.

– Tu byli Japończycy – wyraziła przypuszczenie Tammy.

– Ale po co było palić wioskę? Przecież mieszkańcy nie stawialiby żadnego oporu?

Sam patrzył ze smutkiem i gniewem.

– Wygląda na to, że była tu kiedyś chińska wioska. Zdaje mi się, że usiłowali odeprzeć wojska...

– Odeprzeć? – powtórzył Terence. – Chcesz powiedzieć, że mieli broń?

– Może nie mieli. Ale wiedzieli, co oznacza wzięcie do niewoli przez...

Urwał w pół zdania. Nie chciał mówić, co myśli o japońskim sposobie prowadzenia wojny w obecności Gwen i Tammy.

– Co zrobimy? – zagadnęła Gwen, domyślając się, co zamierzał przed chwilą powiedzieć. – Czy bezpiecznie będzie zostać?

– Chyba tak. Wojska przeszły obok tego miejsca. Wygląda na to, że przeszła tędy jedynie mała grupa: widziałem ślady opon tylko jednej ciężarówki. Prawdopodobnie dołączyli do głównego oddziału.

– Głównego oddziału? Zaczekaj no, Sam. Czy to znaczy, że płyniemy za japońską armią?

RS

558

–Obaj możemy tylko zgadywać, Terence. Nie określałbym tego mianem armii, ale może to być silny oddział zwiadowczy: trzy, cztery kompanie.

– W takim razie powinniśmy zawrócić!

– Zawrócić? I na co by się to zdało?! – wykrzyknęła Tammy. – Oni są również i tam. Tak mówił *tungku* przy ujściu rzeki.

– Zgadza się! O to właśnie chodzi! – zawołał Terence, podnosząc gwałtownym ruchem ręce. – Jesteśmy dokładnie w środku tych wojsk! Rozmowa odbywała się w języku angielskim, a mieszkańcy Sumatry patrzyli na swoich pasażerów z niepokojem.

– *Tuan*, co trzeba zrobić? – zapytał Ali, który z racji starszeństwa miał decydujący głos.

– Mój bracie, ty i Kemal możecie nas opuścić. Sytuacja jest niebezpieczniejsza, niż zakładaliśmy...

– Oni mogą odejść? – przerwał Terence. – Czyś ty oszalał? Wrócą i rozgadają Japończykom...

– Zamknij się, Terence. Wybacz mojemu przyjacielowi – ciągnął Sam, zwracając się ponownie do Alego. – On ma zmartwienia.

– Wszyscy mamy zmartwienia. Ale co do opuszczenia was, tego nie możemy zrobić, ponieważ nasze żony wzięły rzeczy, które daliście jako zapłatę za podróż. Będziemy więc płynęli dalej i z pomocą Allacha pójdzie nam dobrze.

– Z pomocą Allacha – zgodził się Sam.

Po krótkiej dyskusji ustalili, że spędzą w tym miejscu noc, a rankiem, jak zwykle, wyruszą w podróż. Wprawdzie żaden dom nie nadawał się do noclegu, ale zwęglone belki z bambusa zapewniały jakąś osłonę. Po poszukiwaniach znaleźli kosz z suszoną rybą, którą przyrządzili wraz z korzeniami tapioki wyrwanymi z wiejskiego poletka.

RS

559

Tej nocy Petie przysunął się do Gwen i Tammy tak blisko, jak to było możliwe. Chociaż nie do końca rozumiał, jakie niebezpieczeństwo im zagrażało, to jednak udzielił mu się odczuwany przez wszystkich niepokój.

Gwen nie mogła zasnąć. Wkrótce po północy usłyszała, że ktoś wstaje i potajemnie opuszcza zniszczoną wioskę. Nie był to żaden z mieszkańców

Sumatry, lecz tylko Sam lub Terence, gdyż zauważyła białą koszulę i spodnie.

Czyżby Terence ich zostawił i poszedł szukać drogi, by zawrócić albo oddać

się w ręce japońskich wojsk, chcąc być internowany?

Nie, nie, jak możesz coś takiego myśleć? – powiedziała do siebie z przerażeniem. Ale nawet mimo odrzucenia tej myśli uświadomiła sobie, jak

bardzo musiała zmienić swoje zdanie na temat Terence'a, skoro dopuszczała, iż

mógłby zdecydować się na taki czyn. Kiedy minęła godzina i człowiek w białej

koszuli wrócił, Gwen wyswobodziła się z uścisku Petiego, by wyjść na jego

spotkanie w świetle gwiazd. Ujrzała Sama.

– Gdzie byłeś?

– Przyglądałem się drodze. Jest dobra, prowadzi przez plantację oleju

palmowego. Około milę stąd widać światła. To musi być jakaś wioska, może

na tyle duża, że jest tam urząd pocztowy. Nie dostrzegłem ani Japończyków,

ani ludzi z Sumatry.

– Jak myślisz, Sam? Czy powinniśmy płynąć dalej do zachodniego wybrzeża?

– Gwen, to cholernie trudne pytanie! Jeżeli desant wojsk nastąpił tylko na

wschodnim wybrzeżu, to muszą one przedzierać się w głąb kraju i przez góry,

żeby podbić resztę terytorium. W takim wypadku może zdążylibyśmy dostać

się na zachodnie wybrzeże przed nimi: w końcu Japończycy muszą walczyć po

drodze.

– Ale nie słyszeliśmy żadnych odgłosów walk, Sam.

RS

560

– Tylko dlatego – westchnął – że odbywały się daleko, kochanie. Pnie drzew na plantacji mają ślady po kulach karabinów maszynowych, a zatem

prowadzono tu walkę. Widzisz, to może oznaczać, że są tutaj wojska holenderskie. Gdybyśmy tylko zdołali do nich dołączyć...

Usiedli, opierając się o kępę krzewów hibiscusa, a po pewnym czasie zasnęli przytuleni do siebie. Sam objął Gwen ramieniem. Rano, kiedy

szykowali się do wypłynięcia, usłyszeli jakiś szelest w krzakach. Odwrócili się z przerażeniem. Z zarośli wynurzył się może trzynastoletni chłopiec ubrany w charakterystyczny dla mieszkańców Sumatry sarong. Dwaj właściciele sampanów chwycili go i potrząsali nim, gdyż byli rozgniewani tym, iż napędził im strachu. Chłopiec przemówił do nich w sumatrzańskim dialekcie, którego nie rozumieli Europejczycy.

– Co on mówi? – zapytał Terence pełnym przerażenia tonem.

– On mówi, *tuani*, że Japończycy byli tu dwa dni. *Tuani* na plantacjach zostali i walczyli, wszyscy zginęli albo poszli do niewoli. Kobiety wyjechały

jakieś trzy dni temu na zachód. On mówi, że Japończycy bardzo źli, zabili

mnóstwo, mnóstwo, spalili wiele, zabrali wszystkie rzeczy, radio, zegarek, pierścionek, kurczaki, świnie...

– Holenderscy *tuani* – stwierdził Sam. – Holenderskie wojska?

Ali przetłumaczył pytanie na miejscowy dialekt. Powiedział, że większość holenderskich oddziałów na Sumatrze wysłano jako ochronę jednostek stacjonujących wokół głównych portów. W okolicy znajdowała się

jedynie tylna straż, która zresztą opuściła ten teren, by walczyć z Japończykami i maksymalnie opóźnić ich inwazję.

– Dlaczego on tu jest? – zapytał podejrzliwie Terence. – Szpieguje nas i donosi Japońcom?

RS

561

Okazało się, że chłopiec przyszedł zabrać psa, którego widzieli, przybijając do brzegu. Ali i Kemal podziękowali mu za informacje, ostrzegli go, by nie mówił nikomu, że ich widział, i pozwolili odejść.

– Lepiej nie zbliżajmy się już do żadnych wiosek – powiedział Terence, kiedy udali się do łodzi. – Mogą tam już być Japończycy.

– Możliwe – zgodził się Sam.

Zaczęli rozmawiać z wiosłarzami, którzy przyznali im rację.

Postanowili,

że w przyszłości będą przybijać do brzegu w pewnej odległości za wioską, a

któryś z mieszkańców Sumatry pójdzie wy badać sytuację na lądzie.

Tego

południa obmyślony plan uratował ich przed dostaniem się w niewolę.

Kiedy

zbliżyli się do jakiejś osady, usłyszeli krzyki i pojedyncze wystrzały. Ali natychmiast zepchnął łódź do przeciwległego brzegu. To samo uczynił Kemal.

Płynęli ostrożnie pod osłoną zwisających konarów drzew. Po pokonaniu w

ślimaczym tempie około ćwierci mili, ruszyli ze zdwojoną energią.

Przystanęli

w zaroślach przy brzegu. Mniej więcej o wpół do piątej dopłynęli do wioski.

Poznali to po zapachu dymu z ognisk i szczekaniu psów. Zgodnie z planem minęli wioskę, nie zauważeni przez nikogo. Kiedy przybili do brzegu, Kemal, który był młodszy od swojego kolegi, a zatem miał więcej odwagi i ciekawości, pomaszerował niespiesznym krokiem wzdłuż brzegu. Wrócił wstrząśnięty.

- Japończycy w wiosce!

Pozostali podróżni patrzyli na niego z przerażeniem i milczeli.

- Czy trwają tam walki? – zapytał wreszcie Sam.
- Nie, *tuan*, panuje zupełny spokój, tylko Japończycy są bardzo szczęśliwi, śpiewają, krzyczą, wymachują karabinami.
- Szczęśliwi? – powtórzyła Tammy z pogardą. – Że podbili taką małą wioskę.

RS

562

Ta sprawa ich zdumiała. Usiedli na brzegu rzeki, żeby zastanowić się nad planem działania. Noc przyszła nagle. Odczuwali głód, a pora była jeszcze zbyt wczesna, by iść spać.

- Mógłbyś wrócić do wioski i zorientować się, czy można tam kupić jakieś jedzenie? – poprosił Terence Kemala.
- Nie, *tuan* – odparł Kemal, stanowczo potrząsając głową.
- Wobec tego ja tam pójdę – oświadczył Sam.

- Nie bądź głupi: ty, biały człowiek?
- Posłuchaj, Terence, jest ciemno. Przecież nie będę wyskakiwał i specjalnie pokazywał się Japończykom. Zamierzam odszukać jakiegoś uprzejmego, spokojnego staruszka z Sumatry i kupić trochę żarcia.
- Nie rób tego, Sam! – powiedziała Gwen.
- Nie rób tego! – błagał go Pietie. – Mój tatuś też poszedł porozmawiać z ludźmi z wioski i już nie wrócił.
- Posłuchajcie, musimy zdobyć żywność. Wczoraj prawie nic nie jedliśmy, a wioślarze nie mogą pracować o głodnym żołądku. Poza tym chciałbym się dowiedzieć, z jakiego powodu Japończycy są tacy szczęśliwi.
- To głupi pomysł. Nawet gdybyś widział, jak jeden z nich tańczy, to w jaki sposób byś się dowiedział, z czego tak się cieszy? Nie znasz ich mowy.
- Ale ja znam – przerwała Gwen.
- Przez chwilę panowała cisza.
- Mamo, nie – powiedziała Tammy.
- Nie, Gwen – dodał Terence.
- Popatrzyli na Sama w nadziei, że zgodzi się z nimi. Tak się składało, że to on podejmował decyzje.
- Hm, nie wiem... – powiedział, pocierając podbródek.
- Dobry Boże, Sam, chyba nie chcesz...

RS

- Nie zwróciliby na nas uwagi. Gdybyśmy tylko przedostali się do nich i

wybadali, co się szykuje.

– Wujku Samie, musiałeś chyba zwariować!

– On ma rację, Tammy – powiedziała Gwen. – Potrzebujemy jedzenia, a poza tym przydałyby się nam jakiegokolwiek informacje.

Kłótnia trwała prawie godzinę, a potem zrobiło się zupełnie ciemno i wszyscy zaczęli odczuwać potężny głód. Wreszcie Sam i Gwen wyruszyli

wąską ścieżką obok rzeki, kierując się w stronę wioski.

Miejscowa ludność pochowała się w domach. Pozamykano kurczaki i świnie, a ogień wygaszono. Drzwi do największej chaty, która należała do

wodza, były otwarte i sączyło się przez nie światło lampy. Z korytarza dobiegał

czyjś śpiew. Gwen rozpoznała japońską piosenkę. Pamiętała ją z pobytu w

Tokio, gdyż uwielbiał ją ogrodnik Kazuo: „Wieją wiatry, a płatki kwiatów

drżą. Jakże mocny jest wiatr, mocny niczym młodzieniec... ”

– Bez wątpienia wyglądają na szczęśliwych – szepnął jej do ucha Sam.

– A także na niezłe zawianych – zauważyła.

– Zdaje się, że oni świętują.

– Ale co?

– Może urodziny cesarza?

– Nie, były jakiś czas temu.

Podkradli się bliżej. Gwen usłyszała odgłos gardłowej rozmowy, szczęk łyżek lub noży o cynowe talerze oraz gwizd, którego nie potrafiła określić.

– Co to za dźwięk, Sam?

– Słyszę go... Po długiej przerwie Sam dodał: – Już wiem, to odbiornik radiowy. Oni próbują złapać stację!

Uklękli przed chatą w taki sposób, by nie padało na nich światło zza otwartych drzwi.

RS

564

– Co oni mówią? – zapytał cicho Sam.

– Przechwalają się czymś... Jeden z nich mówi, że napisze do żony...

Smakuje im jedzenie, mają ryby z rzeki i bulwy słodkich ziemniaków...

Tak mi

się wydaje... Teraz ktoś wydał komendę!

Usłyszeli czyjś donośny głos. Rozległo się głucho dudnienie – grupa mężczyzn powstała z miejsc. Nie można było zajrzeć do chatki bez wkroczenia

na oświetlony teren, ponieważ w oknach wisiały trzciniowe zasłony. Sam położył się na ziemi i wykręcił ciało w taki sposób, by podnieść głowę i przez

chwilę popatrzeć na korytarz. Następnie odwrócił się do Gwen.

– Stoją na baczność, jest ich około ośmiu. Jeden z nich majstruje przy radiu.

Przez moment radio wyło, a potem rozległ się męski głos, z początku stłumiony wskutek zakłóceń. Później jednak udało się wyregulować jego brzmienie. Jakiś Japończyk odczytywał władczym tonem oświadczenie.

Trwało to około pięciu minut, a na koniec padł rozkaz. Mężczyźni zgromadzeni w chacie krzyknęli:

– *Banzai! Banzai! Banzai!*

– O, do diabła! – jęknął Sam.

Schyliwszy się, przekradli się za krzakami z powrotem na skraj wioski.

– Co mówili w radiu, Gwen?

Nie była w stanie odpowiedzieć od razu. Jej gardło dławił szloch.

– Ten człowiek powiedział... Powiedział... Singapur padł dzisiaj, Malaje Brytyjskie ogłosiły kapitulację.

RS

565

26

Było już 15 lutego. Potrzebowali kolejnych dwudziestu dwóch dni, żeby dotrzeć do głównego nurtu rzeki Indragiri. Właściwiej byłoby powiedzieć:

dwudziestu dwóch nocy.

Po usłyszeniu wiadomości o kapitulacji Gwen i Sam przyczaili się na skraju wioski, dopóki nie zapadła cisza. Wreszcie żołnierze ułożyli się do snu.

Kiedy minęła północ, Sam obudził mieszkańca jednej z mniejszych chat, napawając go śmiertelnym przerażeniem. Po krótkiej i cichej rozmowie dostał

ryż zawinięty w liście, tykwę z pikantną wieprzowiną i słodkimi ziemniakami

oraz garść owoców. Zapłacił za to cygarami. Zabrali jedzenie i wrócili.

Po

posiłku Sam powiedział:

– Wrócę tam, żeby kupić łódź.

– Łódź?

– Z pewnością zauważyliście, że w miarę jak się posuwamy naprzód, rzeka staje się coraz węższa i głębsza. Potrzebujemy łodzi z wiosłami.

Kiedy przetłumaczono te słowa Malajom, kręcili głowami na znak, że

się
zgadzają. Sam i Kemal udali się z powrotem do wioski. Sam ponownie
obudził
starszego człowieka, który sprzedał mu trochę żywności. Malaj musiał
wyjść z
domu i porozmawiać z kimś innym, ale wreszcie przekradli się nad
wodę. We
wspaniałym świetle podzwrotnikowych gwiazd Sam dostrzegł łódź,
którą ktoś
wciągnął na brzeg albo przycumował. Sam poszukiwał dużej łodzi, która
mogłaby pomieścić ich wszystkich. Ta, którą kupił, miała płaskie dno i
dwa
wiosła. Ponadto nabył długie i wąskie czółno z sześcioma wiosłami, a
także
poprosił o cztery dodatkowe. Zapłacił za wszystko złotym łańcuszkiem
od
zegarka Terence'a.

RS

566
Sam i Kemal zepchnęli łódź do wody, a potem ciągnęli za sznur czółno.
Za pomocą rąk sterowali łódkami w taki sposób, by po cichu odpłynąć
od
wioski, a kiedy już uznali, że oddalili się na bezpieczną odległość,
zaczęli
używać wiosła. Ustalili z mieszkańcem wioski, że nazajutrz pojawi się
na

brzegu rzeki i zabierze sampany drogą wodną, by zacumować je gdzieś pośród miejscowych stateczków.

Zależało im na tym, by znajdować się w jak największej odległości od japońskich patroli. Ruszyli w drogę natychmiast – Kemal i dwie kobiety oraz

Petie w czóźnie, Ali zaś i dwaj mężczyźni w łodzi. Wiosłowali wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Petiego, który przespał smacznie całą pierwszą noc.

Podróżowanie nocą okazało się dobrym pomysłem. Z doświadczenia wiedzieli

już, że o tej porze odczuwa się mniejsze wyczerpanie niż podczas upalnego

dnia, a sterowanie łodzią jest łatwiejsze. Niekiedy natrafiali na nieoczekiwane

mielizny i wówczas musieli wysiadać i taszczyć łodzie, ale przekonali się, że

mogą płynąć w ciemnościach przez wiele godzin, o ile pokrzepiają się regularnymi posiłkami. Wymienili trochę igieł i nici do wyszywania na żywność, a potem zdecydowali, że lepiej byłoby kupić prowiant od razu na

kilka dni. Dzięki temu nie musieli zawijać do wiosek przez prawie cały tydzień. Gdy w końcu zmuszeni byli to zrobić, usłyszeli, że mają za plecami

Japończyków, którzy plądrują okolicę po obu stronach drogi. Niemniej jednak,

kiedy dotarli do Taluku w górze rzeki, nadal mieli przewagę nad nieprzyjacielem.

Jak na miejscowości, które dotychczas odwiedzali, Taluk był dość dużym

miastem. Na głównej ulicy znajdowały się sklepiki, restauracja i poczta, która

była akurat nieczynna. Sumatrzanie i Chińczycy zajmowali się swoją pracą.

Ponieważ nie przybywali tu Europejczycy, pojawienie się podróżników

RS

567

wywołało zamieszanie. Za to uzyskali zapewnienie, że droga do Goloku i góry są nadal otwarte.

W Taluku rozstali się z Alim i Kemalem. W dowód wdzięczności podarowali im zegarek Terence'a. Wprawdzie nie chodził od chwili, gdy Terence skoczył do wody z „Dimestore”, ale jego koperta była wykonana ze

złota. Życząc podróżnikom wszystkiego najlepszego, wioślarze z Sumatry

zwrócili swoje łodzie w dół rzeki, w kierunku domu, a ich europejscy pasażerowie mieli odtąd dawać sobie radę sami.

Ponieważ w Taluku nie było komunikacji motorowej, zapłacili za podwiezienie wozem zaprzęgniętym w woły i jadącym do Goloku.

Leżenie

pośród płodów rolnych i jazda tym środkiem lokomocji wydawała się szczytem

luksusu, a kołysanie wozu sprawiło, że wkrótce zasnęli. Odczuwali ogromne

zmęczenie, ale perspektywa dobrej trasy przez góry poprawiła im nastrój.

Od czasu do czasu klękali, żeby popatrzeć na okolice. Widzieli przed sobą góry – wysokie, porośnięte w części ciemnozieloną dżunglą, o szczytach,

które spowijały kłęby chmur. Nieco dalej rozciągało się zachodnie

wybrzeże i
port, w którym mieli szansę złapać parowiec do Kolombo. W Goloku
znajdowało się więcej sklepików, kolejny nieczynny urząd pocztowy,
małe
biuro rządowe – również zamknięte – oraz kawiarnia, co uznali za rzecz
niezwykłą. Podeszli do niej spodziewając się, że zniknie niczym
fatamorgana,
ale na spotkanie im wyszedł właściciel – Eurazjata w średnim wieku,
przepasany fartuchem.
– Kawy? – zapytał.
Kawa! A do tego cukier i ciastka zrobione z ryżu i rosnących na tym
obszarze owoców. Oczy Petiego rozbłysły po raz pierwszy od wielu dni.
Usiedli na drewnianych ławach przed kawiarnią, pili kawę i gawędzili –
czworo wymęczonych Europejczyków w podartej odzieży i dziecko.
Gwen

RS

568
była rozbawiona, wręcz rozradowana. Skoro zawędrowali tak daleko, to
jakoś
zdołają pokonać resztę drogi.
– A więc jedziemy do Kolombo! – zawołał Sam, podnosząc filiżankę
kawy w radosnym geście.
Spędzili noc w Goloku na podłodze biura rządowego. Przedtem jednak
mężczyźni udali się do miejscowego fryzjera, żeby porządnie się ogolić i
ostrzyc. Gwen i Tammy poszły kupić mydło, środek odstraszający
owady,

aspirynę i suszone owoce. Później wybrali się całą grupą w poszukiwaniu ubrań. Potrzebowali kurtek i impregnowanych peleryn dla ochrony przed górkim chłodem, a także spodni, które miały zastąpić podniszczoną spódnice Tammy, i butów na gumowej podeszwie dla Petiego, gdyż jego sandały zupełnie się rozleciały.

Rankiem ruszyli drogą prowadzącą przez góry. Włożyli ciepłą odzież do starej torby wraz z gotowanymi słodyczami i owocami, które dostali w zamian za jeden z grzebyków z kości słoniowej. Gwen czuła się cudownie – wreszcie szła po drodze o dobrej nawierzchni, gawędząc przy tym ze wszystkimi, jakby to był jednodniowy wypad. Beztrioski marsz utrudniało duże nachylenie terenu.

W pierwszym dniu pokonali siedem mil, wspinając się na wysokość tysiąca stóp. Po pewnym czasie Gwen przekonała się, że brakuje jej tchu, by rozmawiać – tyle trudu kosztowało pokonywanie zygzakowatej trasy. Odległość od Goloku do dalszego krańca gór wynosiła około pięćdziesięciu mil, jednakże piesza wędrówka po tarasowatych stromiznach wydłużała ją mniej więcej trzykrotnie. Pierwszego dnia przeszli dwanaście mil, a następnego czternaście. Od czasu do czasu mijał ich na rowerze jakiś mieszkaniec Sumatry. Napotkali także dwie grupy zaprawionych w marszu wędrowców, którzy nieśli na plecach tobołki.

– Ta wyprawa będzie trwała wiecznie – jęczał Terence.

RS

569

– Jeszcze dziesięć dni.

– Nie ma tu żadnych skrótów?

– Prosto przez góry, jeżeli masz ochotę przedzierać się przez dżunglę.

Co

do mnie, nie chcę się tam wybierać bez kompasu.

– W porządku, przepraszam, że o tym wspomniałem!

Na zboczach gór, w miejscach niezalesionych, znajdowały się wioski.

Przeważnie można było tam kupić zimny ryż i przyrządzone pikantnie warzywa. Woleli jednak nie zostawać na noc w tych osadach, gdyż obawiali

się zmotoryzowanych patroli japońskich, które mogły się pojawić po drodze.

Spali pod drzewami, rosnącymi wysoko ponad ich głowami niczym dach

katedry. Jeżeli padał deszcz, chowali się pod impregnowanymi pelerynami. Na

czubkach drzew huśtały się małpy, przywołując się wzajemnie dziwnymi

gwizdami. Ku zdumieniu Gwen widziało się tu mało ptaków – od czasu do

czasu przelatywał jakiś nosoróg, ale większość ładniejszych ptaszków znajdowała się zapewne w górze. Z racji skąpego światła w dżungli nie było tu

również zbyt wielu kwiatów, jeśli nie liczyć orchidei.

Każdego ranka myli się w strumieniu, czyścili zęby za pomocą ułamanych gałązek i spożywali jedzenie, które zostało z poprzedniego dnia. W miarę jak wspinali się coraz wyżej, woda robiła się zimniejsza. Kiedy dotarli do przejścia na przełęczy, musieli włożyć kurtki i swetry. Znajdowali się na wysokości trzech tysięcy stóp. Przez szczeliny utworzone przez bujną roślinność oglądali wspaniałe widoki Sumatry – ciemnozielone doliny skrywane brązowym cieniem, chmury, które żeglowały ponad wąską, lśniąca w dole wstążką rzeki, a także osobliwy szary pasek, w którym rozpoznali linię kolejową. Nieco dalej na wschód dostrzegli mglistą smugę, ślad po samolocie. Później przysłonili oczy i zobaczyli wielkie jezioro na północy oraz ocean, który znajdował się na zachodzie...

RS

570

Oczywiście, schodzenie było znacznie łatwiejsze i zajęło im zaledwie trzy dni, podczas gdy wspinaczka trwała jedenaście dni. Pewnego razu, pod koniec marca, wkroczyli na teren dużej wioski u podnóża góry. Dzięki sprzedaniu okularów w złotej oprawce, które znaleźli w bagażu z szalupy,

zjedli pierwszy od dwóch tygodni gorący i obfity posiłek. Pozwolono im również przemocować w wiejskich chatach. Gwen wyprosiła duży czajnik

gorącej wody oraz cynową wannę, co umożliwiło jej wykąpanie Petiego i

przebranie go w świeżo uprane rzeczy. Chłopiec usiadł przed chatą i z zadowoleniem żuł trzcinę cukrową, a Gwen i Tammy myły się dokładnie.

Powiedziano im, że jakiś holenderski plantator organizuje poza terenem wioski zbrojny opór przeciwko Japończykom. Zaprowadzono ich do jego

posiadłości. Przywitał ich tam serdecznie Freddi van Skuys. Zobaczyli tubylców, którzy ćwiczyli musztrę i czyścili broń.

Van Skuys miał barczystą sylwetkę, ogromne siwe wąsy i wystające zęby. Był ubrany na poły w wojskowy strój.

– Anglicy, tak? Skąd jesteście?

– Hm, żeby nie było wątpliwości, ja jestem Amerykaninem, a O'Keefe pochodzi z Irlandii. Ale przybywamy z Singapuru.

– Ach, z Singapuru... Fatalna sytuacja. Kiedy stamtąd wyjechaliście?

– Wiemy, że Singapur się poddał, jeżeli panu o to chodzi. Słyszeliśmy o tym z czyjejś radiostacji.

– *Ja, ja*, złe wiadomości zawsze do nas docierają, co? Ale to nie wszystko, ponieważ holenderskie wojska kiepsko sobie poczynają, a Bata-wia

padła. No cóż, jeżeli zdobędą Jawę, zostaje jeszcze Sumatra, *ja?*

– Po drodze widzieliśmy wielu Japończyków...

RS

571

– Ach, wiem, że są w Siaku i Jambi. Słyszałem też, że samoloty zwiadowcze patrolowały góry. Jestem gotowy na ich atak – dodał van Skuys,

unosząc i potrząsając w geście oporu strzelbą myśliwską.

– Są jakieś wieści z zachodniego wybrzeża? – zagadnął lękliwie Terence.

– Na razie, dzięki Bogu, nic się tam nie dzieje. A teraz chodźcie się czegoś napić. Whisky, dzin?

Usiedli na krzeselkach z trzciny, a sumatrzański służący w białym sarongu i tunice podał napoje. Dookoła pyszniły się w słońcu zielone drzewa

na plantacji. Wojna wydawała się w tym momencie wymysłem rozgorączkowanej wyobraźni.

– Oczywiście chcecie dotrzeć do wybrzeża ze względu na statek. Jasne. Jutro rano wysłę was moją ciężarówką aż do Petamei. W ten sposób pokonacie

sześćdziesiąt mil i nie będziecie musieli długo jechać do wybrzeża.

Najlepiej

dostać się do Padangu, jeździ tam autobus. Stamtąd odpływają parowce do

Kolombo. Wysłałem tam swoją siostrę.

– Pańska siostra ruszyła w drogę przez Padang? Jak dawno temu? – zapytał Sam.

– Co to mamy dzisiaj? Czwartek? A więc wyjechała tydzień temu. Teraz jest zapewne w połowie drogi do Ceylonu.

Te informacje bardzo ich pokrzepiły. Zgodzili się przenocować u gościnnego van Skuysa. Gwen leżała po raz pierwszy od wielu tygodni w

prawdziwym łóżku. Było jej tak wygodnie, że nie spała pół nocy, rozkoszując

się chłodnym prześcieradłem, moskitierą i poduszką.

Rano podano im obfite, typowe dla holenderskiej kuchni śniadanie: ser, owoce, szynkę domowego wyrobu oraz kawę. Van Skuys serdecznie uściskał

im dłonie i zapraszał do odwiedzenia go za parę miesięcy, kiedy już się

RS

572

załatwią z tymi *verroten Japannes*. Odjechali w radosnym nastroju, a ciężarówkę prowadził mieszkaniec Sumatry w białej drelichowej kurtce.

W Petamei zostali wysadzeni na głównej ulicy. Obok drzwi biura wisiała

tablica, na której podawano godziny odjazdu autobusów do Padangu.

Zeskoczyli na ziemię i podziękowali kierowcy, który obdarzył ich promiennym

uśmiechem i wrócił boczną drogą na posiadłość van Skuysa.

Biuro okazało się puste. Stali i czekali na jakiegoś pracownika firmy autobusowej. Po dziesięciu minutach wyszli na zewnątrz. Na ulicy znajdowała

się niewielka grupa mieszkańców Sumatry, która obserwowała ich z

zaciekawieniem.

– Kiedy odjeżdża autobus do Padangu? – zapytał Sam.

Wprawdzie mówił dość osobliwą dla tubylców odmianą malajskiego, ale wyłowili nazwę Padang. Zaczęli gorliwie mu coś wyjaśniać, ale mówili zbyt

szybko, by można było ich zrozumieć. Sam i jego towarzysze przywykli do

malajskiego pidżinu używanego w Singapurze. Wreszcie z grupy miejscowych

gapiów wystąpiła chińska dziewczyna i przemówiła do podróżników w języku

holenderskim. Potrząsnęli bezradnie głowami, lecz Sam odpowiedział w narzeczu kantonalnym:

– Chcemy pojechać autobusem do Padangu.

Uśmiechnęła się rozpoznając język, ale natychmiast spoważniała.

– Wczoraj autobus nie wrócił z Padangu.

– Dlaczego nie?

– Nie jesteśmy pewni, dlaczego.

– Dzwoniliście, żeby się czegoś dowiedzieć?

– Och, nie, sir, u nas nie ma telefonu. A telegraf nie działa od dwóch dni.

– O Boże! – westchnął Terence.

– Czy ktoś był na wybrzeżu, żeby wybadać, co się tam dzieje?

RS

573

– Sir, boimy się tam iść. Słyszeliśmy pogłoski, że Japończycy zajęli

Padang.

– Przeszli całą drogę z Jambi?! – wykrzyknął zdumiony Sam.

– Podobno... – dziewczyna zawahała się. – Podobno przybyli drogą morską. Myśli pan, że to prawda?

Niestety, było to bardzo prawdopodobne. Biedny Freddi van Skuys przygotowywał się do odparcia najazdu Japończyków z gór na wschodzie, a

tymczasem oni przyплыли okrętami na zachodnie wybrzeże i przysłali desantowic. Zresztą, dlaczego nie mieliby tego zrobić? Kiedy wszyscy mieszkańcy Singapuru spodziewali się ich ataku z morza, z południa, oni

nadeszli z północy przez dżunglę. Chcieli zaskoczyć wrogów i zrealizowali swój plan.

– No i na tym koniec – stwierdził Terence, siadając na drewnianej skrzyni.

– Na czym koniec? – zapytała prowokacyjnie Tammy i aż się zaczerwieniła ze złości.

– Hm, to chyba jasne. Jaki ma sens wyprawa do Padangu? Czy to nie mija się z celem? Oni już tam są, wyprzedzili nas.

– Tylko trochę – zauważyła Gwen, usiłując rozumować logicznie. – Jeżeli rzeczywiście wysadzili desant, nie mogli uzyskać pełnej kontroli nad tym terenem w ciągu paru dni.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy udać się do miasta, które jest w rękach wroga?

– A co ty proponujesz, Terence? – zapytała zaczepnym tonem Tammy. – Mamy siedzieć i czekać, aż się pojawią na drodze?

– Nie ma potrzeby mówić do mnie takim tonem, Tammy. Ja tylko patrzę na to wszystko jak człowiek mający zdrowy rozsądek.

RS

574

– Gwen ma rację – wtrącił się natychmiast Sam. – Pomyślcie o tym, co przeżyliśmy. Wydostaliśmy się z Singapuru, kiedy Japończycy byli już na

przedmieściach. Być może uda nam się opuścić Padang w ten sam sposób.

Wzdłuż linii brzegowej muszą się znajdować doki i mola. Wystarczy tylko do nich dotrzeć...

– I dostać się do niewoli. Czy nie byłoby bardziej sensowne oddać się w ich ręce dobrowolnie...

– Ja na pewno nie! – wykrzyknęła Tammy. Ty, Terence, możesz robić to,

co chcesz, ale ja nie mam zamiaru iść do obozu jenieckiego.

– Ja również – zgodziła się z nią Gwen.

– Myślę, że zostałeś przegłosowany, Terence.

– Przegłosowany, w jakiej sprawie? Co zamierzacie zrobić?

– Udamy się w kierunku Padangu, zobaczymy, czy jest tam jakiś statek, a

jeśli nie...

– A jeśli nie, to co?

– Zastanowimy się dopiero wtedy, gdy dojdzie do takiej sytuacji.

– Wszyscy powariowaliście – stwierdził ze wzburzeniem Terence. – A w

ogóle to w jaki sposób zamierzacie dotrzeć do Padangu?

– Z pewnością nie uszło twojej uwagi, że po drugiej stronie domów
płynie rzeka – oświadczył z ironicznym uśmiechem Sam. –

Wynajmijmy łódź.

– O, nie, znowu łódź! – jęknął Terence. Ale nikt go nie słuchał.

Nurt rzeki, która płynęła z gór na zachód, był bystry, więc poruszali się
w

dobrym tempie. Późnym popołudniem dostrzegli już połyskujące morze
i

poczuł zapach portu – korzenne przyprawy, słoną wodę, dym z węgla,
zielsko

zarastające przystań. Zatrzymali się przy drewnianym pomoście, na
zakręcie,

przy którym stał skład i kilka domów. Wioślarze uśmiechnęli się
niepewnie,

RS

575

wzięli trochę holenderskich pieniędzy dostarczonych przez van Skuysa i
odpłynęli do swoich domów.

Mieszkańcy małej miejscowości wybiegli, żeby powitać przybyszów.

Jak

zwykle, były kłopoty z dogadaniem się, ale po pewnym czasie pojawił się

człowiek, który mówił zrozumiałą dla podróżników odmianą
malajskiego.

– *Tuan*, Japończycy kontrolują port. Byłoby nierozsądne z twojej strony
iść do miasta. Widzieliśmy żołnierzy na głównej drodze i na bocznych

traktach.

– A nie mówiłem! – skomentował Terence.

– Uspokoisz się wreszcie! – wrzasnęła Tammy, odwracając się do niego z

furią. – Jeżeli nie potrafisz powiedzieć czegoś sensownego, to trzymaj język za zębami!

– Młoda damo, w taki sposób nie odzywa się do...

– Och, zamknij się! – odparła i odeszła.

Ta gwałtowna sprzeczka między kochankami była ich ostatnią rozmową na wiele dni. Tammy po prostu się do niego nie odzywała.

Po kilkuminutowej naradzie mężczyzna mówiący po malajsku powiedział, że może ich zaprowadzić do kryjówki, w której część tubylców,

głównie Chińczycy, zorganizowała zbrojny oddział.

– Chyba są z nimi Europejczycy, ale nie jestem pewien. Mam pokazać drogę?

– Jaki będzie z tego pożytek? – spytał Terence, kiedy ruszyli za mężczyzną po ścieżce w dżungli.

– Zobaczymy na miejscu.

Po pewnym czasie Gwen zaczęła odczuwać duże zmęczenie, które wynikało częściowo z fizycznego wyczerpania, a częściowo z doznanego

RS

a

teraz musieli się zatrzymać... Sam zbliżył się do niej i podał rękę.

– Smucisz się? Nigdy nie byłem taki załamany jak wtedy, kiedy ten facet

powiedział, że Japończycy opanowali port.

Skinęła głową. Cały czas stała ze wzrokiem wbitym w ziemię i patrzyła na swoje stopy.

– Coś wymyślimy – przekonywał ją.

Jeszcze raz kiwnęła głową. Nagle poczuła zawstydyzenie. Przecież on również musiał być zmęczony, a jednak próbował ją pocieszać.

Spojrzała na

Sama, próbując się uśmiechnąć.

– Sam, chcę tylko powiedzieć...

– Co?

– Bez względu na to, co się stanie, dziękuję ci.

– Za co? Za to, że cię wpakowałem w tę kabałę? – odparł, a w jego głosie

wyczuwało się rozgoryczenie.

– Za wysiłek, za to, że próbujesz, że się nie poddajesz.

– Ha! – parsknął, ale jego twarz wyraźnie się rozjaśniła.

Kryjówkę stanowiła chatka i jaskinia na stoku ponad rzeką. Kiedy wynurzyli się z zarośli, spostrzegli mężczyznę, który stał na warcie, trzymając

w górze ostry parang. Przewodnik grupy wykrzyknął coś i usłyszał w odpowiedzi aprobujące chrząknięcie. Pojawiła się reszta ludzi: kulisi, którzy

pouciekali z doków, ubrani w szerokie niebieskie spodnie i kurtki; mieszkańcy

Sumatry w tunikach i drelichowych spodniach oraz w mundurach Pułku Holenderskich Indii Wschodnich. Na samym końcu z jaskini wyszła, o dziwo,

jasnowłosa kobieta w bawełnianej spódnicy i zakiecie. Gwen na pierwszy rzut

oka odgadła, iż jest to siostra Freddiego van Skuysa. Ona również miała dość

RS

577

wystające zęby oraz podobnie jak Freddi barczyste ramiona. Uśmiechała się szeroko.

– Panna van Skuys? – odważyła się przemówić Gwen.

– *Ja. Hoe gaat het u?*

– Przepraszam, że nie mówię po holendersku.

– Och, Angielka? Skąd pani zna moje nazwisko?

– Dzisiaj rano opuściliśmy pani brata, panno van Skuys.

– Nazywam się Klar. Ciekawi mnie, co tutaj robią Anglicy.

– Mieliśmy nadzieję złapać parowiec płynący na Cejlon.

– Ja też. Ale dwa dni temu pojawiły się japońskie łodzie patrolowe, a wczoraj trwały walki o doki, musiałam więc opuścić miasto i oto jestem tutaj

wraz z innymi dobrymi przyjaciółmi, którzy walczą od trzech dni. *Kom binnen*

– może chcielibyście się napić herbaty?

Miało się wrażenie, że przejęła rolę gospodyni domowej. Weszli do groty, gdzie w koszach i plecakach kryły się zapasy. Nad małym ogniskiem

wisała blaszanka, w której gotowano wodę. Minęło zaledwie parę minut i

nowo przybyli sączyli gorącą herbatę, próbując porozumieć się z oddziałem w

jednej z odmian malajskiego. Wieści dotyczące Padangu nie były

całkowicie
niepomyślne. Toczyły się tam ostre walki i Japończycy nie zdołali
uzyskać
pełnej kontroli nad terenem. Ale żaden parowiec nie mógł odpłynąć do
Kolombo, chociaż w porcie stały dwa statki. Na pokładzie obydwu z
nich
znajdowała się warta Japończyków, podczas gdy kapitanowie i załogi
przebywały w więzieniu na lądzie. Przywódcą zbrojnego oddziału
okazał się
sierżant z Sumatry.
– Byłoby dobrze, gdybyście mogli stąd odejść – powiedział
bezceremonialnie.
– Pragniemy kontynuować walkę, ale nie jest wskazane
trzymać tu kobiety.

RS

578

– Zgadzam się – skinęła głową Klar. – Mój brat powiedział mi: wracaj
do
domu, bardziej się tam przydasz niż tutaj.
Terence również zgodził się ze słowami przywódcy.
– Myślicie, że chcemy tu zostać? – wtrącił. – Przyszliśmy tu przez góry,
a
przedtem... Czegóż innego moglibyśmy chcieć, jak tylko wsiąść na
pokład
jakiegoś statku i odpłynąć!
– To jest możliwe – stwierdził sierżant Gerak. Wszyscy utkwili w nim

wzrok.

– Jak? – zapytała Gwen.

– Tam stoi jacht. Jest przycumowany do mola przystani w wiosce rybackiej, może o milę od Padangu.

– Jacht. No, to mi się podoba – powiedział Sam. – Co to za jacht?

– Pięciotonowy kecz. Jego właścicielem jest major Maartens, który zginął

podczas szturmu na Padang.

– Chce pan powiedzieć, że możemy, ot tak, pójść i wsiąść na pokład tej łajby?

– Ach, na tym polega trudność – odrzekł sierżant. – Jacht jest pilnowany.

– No, to nic z tego – skomentował Terence.

– Niekoniecznie – zauważył Sam, obserwując sierżanta.

– Rzeczywiście, niekoniecznie. Moglibyśmy przeprowadzić atak nocą.

Zaczęli się kłócić. Część oddziału uznała, że nie należy ryzykować życia ludzi

tylko po to, by zdobyć łódź, z której nawet nie skorzystają. Inni twierdzili, że

gdyby zdołali zabrać jacht, powinni go wykorzystać do własnych celów.

Jednakże sierżant Gerak po prostu przeczekał, aż wszyscy zgłoszą pretensje.

– Kto w naszym oddziale umie pływać keczem?

Żadnej reakcji. Sierżant uśmiechnął się z ponurą satysfakcją, gdyż i tak przewidział, jaka będzie odpowiedź.

RS

– Bardzo dobrze. *Tuan*, czy umiesz pływać keczem?

– Jasne, że tak. Moi nowoangielscy przodkowie wychowywali mnie na żaglach.

– W takim razie wszystko jest chyba w porządku, co? My pomożemy *tuanowi* zdobyć jacht, a on odpłynie z kobietami i z chłopcem. Potem przystąpimy do prawdziwej walki.

Jego główny oponent, młodzieniec z Sumatry, warknął:

– A w jaki sposób mamy według ciebie ją zdobyć, żeby nie utracić połowy ludzi?

– Coś wymyślimy... Na przykład, japońskie mundury. Jeżeli je nałożymy

i pomaszerujemy na molo, może...

– A jeśli zawoła nas wartownik? Powiesz wtedy: „Jesteśmy załogą” w języku sumatrzańskim?

Zapadła cisza. Siedzieli i wpatrywali się w puste kubki po herbacie.

Wreszcie Gwen powiedziała:

– Mogłabym was nauczyć tego zdania po japońsku.

Jej stwierdzenie wywołało wrzawę. Sierżant Gerak zanurzył się w jaskini,

by po chwili wrócić z mundurem. Wyciągnął z jego kieszeni jakieś papiery.

– Co tu jest napisane? – zapytał, a ona otworzyła notatnik.

– Tu piszą o kapitanie Iraki Komatani, podają jego numer poborowy i jednostkę. Nie potrafię przetłumaczyć, co to za jednostka; w każdym razie

chodzi o trzeci batalion coś tam.

Spojrzała na dowódcę.

– Skąd to macie?

– Zabraliśmy to patrolowi, na który zastawiliśmy wczoraj pułapkę. Było w nim siedmiu mężczyzn, toteż mamy siedem mundurów.

– Nigdy nie zdołacie tego dokonać – powiedział Terence.

RS

580

– W każdym razie warto spróbować. Kiedy się ściemni...

– Nie mam zamiaru nakładać żadnego japońskiego munduru i maszerować po moło...

– To nie będzie konieczne. Mógłbym zatrzymać kecz w umówionym miejscu, żeby zabrać ciebie i dziewczęta.

– Wykradlibyśmy jacht, a wówczas *tuan* Prosper mógłby nas wysadzić na

brzeg w jakimś odpowiednim miejscu. Europejczycy weszliby na pokład, a my

wyruszylibyśmy w głąb lądu do Nanagu. Są tam magazyny holenderskiej

armii, do których powinniśmy dotrzeć, zanim zrobi to nieprzyjaciel.

Przyniesiono resztę mundurów. Na ich widok Gwen zadrżała – niektóre były mocno pokrwawione. Przypomniała sobie połyskujące ostrza parangów i

z łatwością wyobraziła, jak powstały te krwawe plamy.

Gerak wezwał do akcji ochotników. Patrzył z nadzieją na młodzieńca z Sumatry, który bez ustanku podważał jego władzę.

– Kerim?

Ale Kerim pokręcił przecząco głową. Za to trzech Chińczyków kiwnęło głowami na znak aprobaty. Tymczasem Sam przeglądał mundury, usiłując

znaleźć coś, co by na niego pasowało. Oczywiście, musiał brać udział w akcji,

ponieważ miał kierować keczem. Po dłuższej dyskusji do akcji zgłosili się dwaj kolejni ochotnicy – mężczyźni z Sumatry. Udali się do ciemnej jaskini, żeby przygotować się do drogi. Kiedy wyszli na zewnątrz, wyglądali prawie jak Japończycy, z wyjątkiem Sama. Jego długie nogi wystawały z każdej pary japońskich spodni. Wyglądało to idiotycznie, więc pozostał w swoich własnych spodniach, które były zrobione z białego drelichu. Żeby były niewidoczne w ciemności, owinał je od kostek do kolan długimi pasami materiału w kolorze khaki. Widywali już japońskich żołnierzy ubranych w podobny sposób. W gruncie rzeczy spora część

RS

581

oddziałów nieprzyjaciela odrzucała przepisowe umundurowanie na rzecz

odzieży, która była wygodniejsza podczas marszu przez dżunglę.

– Nikt nie wzięby cię za Japończyka! – powiedział z pogardą Terence. – Jesteś o wiele za wysoki.

– No to się zgarbię! I nie zapominaj, że będzie wtedy ciemno.

Właściwie już teraz było ciemno. Za dnia zaczął padać ulewny deszcz, a jeśli nawet ustawał na chwilę, to nad głową srożyły się skłębione chmury, które

gwarantowały ciemną noc, chyba że zmieniłby się kierunek wiatru.

- No, dobrze – powiedział Sam. – Co musi powiedzieć wartownikom sierżant Gerak?
- Niech no pomyślę. Będzie maszerować w kierunku mola. Ktoś powinien wykrzykiwać: „prawa, lewa”, nic trudnego. Potem zawoła was wartownik. Sądzę, że powie coś w rodzaju: „Kto tam?”
- Co ma na to odrzec Gerak? To znaczy, jeżeli on zapyta o hasło...
- Musi od samego początku go zakrzyczeć. Japończycy są zazwyczaj bardzo nieuprzejmi w stosunku do swoich podwładnych. Gerak powinien wyciągnąć papiery kapitana, a jak tylko weźmie je wartownik, zacząć wydawać rozkazy. Powiesz – Gwen zwróciła się do Geraka – że polecono ci zabrać łódź...
- On na pewno miałby rozkaz na piśmie – wtrącił się Terence.
- Rozkaz na piśmie... Przypuszczam, że tak – odparł Sam. Ale to, co powie strażnik, nie będzie już miało znaczenia. Kiedy Gerak podejdzie dostatecznie blisko, natychmiast go załatwi. Jasne, Gerak?
- *Tuan?*
- Sam zrobił wymowny gest, przesuwając palcem po gardle.
- Tak, *tuan* – odparł Gerak, szczerząc zęby.

RS

582

Gwen wręczono kawałek papieru i resztkę ołówka. Zapisała fonetycznie słowa, których musieli się nauczyć, a następnie trenowała z nimi poprawną wymowę. Kłopot polegał na tym, że Gerak był beznadziejny. Chociaż

powtarzali wielokrotnie ustaloną formułę, on wypowiadał zdanie, które po

japońsku oznaczało: „Oto twoje rozkazy!”, a nie: „Jestem kapitanem Komatani”. Poza tym nie potrafił się wyzbyć sumatrzeńskiego akcentu.

– Próbuj artykułować słowa bardziej gardłowo – prosiła Gwen. –

Wszystko nieprzerwanym krzykiem. Akcentuj ostatnie słowo i mów bardzo

zniecierpliwionym tonem.

Gerak próbował wypełnić jej wskazówki, ale bez powodzenia.

– Ja wezmę na siebie rolę kapitana – powiedział w końcu Sam. – Chyba wiem, jak to powinno brzmieć. Słyszałem ich dość często, kiedy komenderowali ludźmi w Chinach.

– *Tuan*, to przecież mój obowiązek...

– Wiem, Gerak, ale jeśli to ty zrobisz, akcja się nie uda.

Sam poprawił na sobie kurtkę, wysunął głowę do przodu i zawołał:

– *Oi, kora! Gunso! Kudasai, kudasai!* – Spojrzał na Gwen. – No i jak?

– O wiele lepiej! – odparła Gwen, kiwając głową. – Mów dalej w taki sposób, wysokim, potężnym, rozgniewanym głosem.

– *Uchi no haji!* – warknął Sam. – *Chigau, chigau!* Zaraz, zaraz, co ja właściwie mówię?

– „Przynosisz wstyd swojej matce” – odpowiedziała ze śmiechem Gwen.

– A gdzie słyszałeś zdanie: „Źle, znowu źle”?

– O, jakiś głupek prowadził musztrę szwadronu w Tiencin. Pomyślałem, że gdybym był jednym z tych żołnierzy, kopnąłbym go w zęby.

– Właśnie takim tonem powinieneś mówić – stwierdziła.

RS

Czas mijał. Mieszkańcy Sumatry po raz ostatni naradzali się szeptem. Sam Prosper wyprowadził Gwen z jaskini i poszedł z nią do chaty.

– Chcę ci coś dać – powiedział. Wyjął zza koszuli skórzany woreczek, który nosił na rzemyku od czasu, gdy opuścili Singapur. Zdjął go przez głowę i

zawiesił na szyi Gwen. – To na wszelki wypadek, gdyby mi się nie udało...

– Sam!

– W porządku, wiem, że nam się uda, ale tak na wszelki wypadek. W woreczku jest tyle kamieni, że zdołasz się nimi wykupić chyba z każdej opresji.

– Nie, posłuchaj, Sam...

– Daj mi skończyć. Jeżeli atak się nie powiedzie, wracaj w góry. Sumatrzanie ci pomogą. Po prostu ukryj się i czekaj na wieści o holenderskim

wojsku, a wtedy do niego dołączysz, dobrze?

– Mówisz tak, jakby...

– Mówię tak, ponieważ podejmujemy ryzykowną grę. Myślę, że się nam powiedzie. Tak czy owak, chciałem tylko, żebyś... – Zawahał się. – Chciałem,

żebyś wiedziała, że cię kocham, Gwen. Zawsze cię kochałem.

Gwen wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Dziwi cię to, prawda? – zauważył. – Nigdy nie zamierzałem ci tego powiedzieć. Ale teraz... po prostu wydaje się to...

Gwen zarzuciła mu rękę na szyję.

– Kochanie, na pewno zdobędziesz tę łódź i odtąd będziemy na zawsze razem!

Sam stracił na chwilę oddech. Z okrzykiem „Gwen!” przytulił ją mocno.

– A niech to diabli, żeby dowiedzieć się o tym w takich okolicznościach!

– Nieważne, każda pora jest dobra! Och, kochany, najdroższy, dlaczego zrozumiałam to dopiero teraz?

RS

584

Jej serce waliło jak młot. Czowała, że nagle otwierają się przed nią niebiosy, by słońce mogło oświetlać tylko ją. Nigdy w życiu nie widziała równie pięknej, złocistej smugi.

– Byłaś zbyt zajęta Terence'em – powiedział z żalem, a w jego głosie pobrzmiwała także irytacja.

– Tak, jaka ja byłam głupia! Proszę, kochanie, nie znienawidź mnie za moją głupotę. Wiesz, że zupełnie nie potrafię oceniać ludzi... – Stała na palcach, żeby go pocałować.

Kiedy właśnie złączyli się wargami, u wejścia jaskini ktoś zawołał:

– *Tuan?* Idziemy.

– Chwileczkę, sierzancie!

Sam porwał Gwen w objęcia i wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek.

– A więc jesteś teraz moją dziewczyną, tak?

– Tak, Sam, tak.

– Nie zapominaj o tym. Do zobaczenia wkrótce.

Wypuścił ją z objęć, wykręcił się na pięcie i odszedł, bojąc się, że powstrzymają go jej łzy.

Noc jak zwykle zapadła nagle. Atakujący oddział musiał dotrzeć do mola

w wiosce rybackiej Kampong Selamak. Natomiast grupa uciekinierów

powinna była znaleźć się w nieco dalszym punkcie wybrzeża. Po dostaniu się do tego miejsca mieli czekać na świetlny sygnał z jachtu, następnie odpowiedzieć takim samym sygnałem i dopłynąć w skifie do kecza, by wsiąść na jego pokład. Potem sierżant i jego ludzie wróciliby skifem do brzegu. Gwen, Tammy, Klar i Terence ruszyli w drogę, prowadzeni przez Kerima. Gwen niosła Petiego. Przytulała go do siebie, jakby mogła w ten sposób zatrzymać szczęście, które nagle na nią spłynęło, a nawet przekazać

RS

585
troszeczkę niespokojnemu dziecku. Wraz z grupą szli dwaj pomocnicy z koszami żywności – były tam owoce, gotowany ryż w tykwie, flaszka miejscowej wódki ryżowej. Nie mieli pojęcia, czy znajdują jakieś zapasy na pokładzie kecza. Po półtoragodzinnym uciążliwym marszu przez dżunglę przekroczyli strumień w najwęższym miejscu i znaleźli się na wybrzeżu, na północ od Padangu. Kolejne półtorej godziny zajęła im wędrówka po skalistym brzegu, który zaprowadził ich do Ujong Buru, małego cypla wrzynającego się w zatokę na milę i stanowiącego kolejną miejscowość po Kampong

Selamak.

Kerim zszedł na plażę, żeby się upewnić, iż są tam łodzie do wypożyczenia.

Reszta usiadła pośród skał i czekała. Na szczęście Kerim wrócił niedługo.

– Jest tam wiele łodzi rybackich – szepnęła. – Nie widziałem, żeby ktoś ich pilnował.

Po chwili spadł ulewny deszcz, który przemoczył ich do suchej nitki. Nagle Gwen zaczęła drżeć, lecz nie z zimna. Doznawała ogromnych wątpliwości.

– Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?! – krzyknęła. – Wszystkich ich pozabijają! Nie powinnam była im pomagać...

– Tss! – ostrzegł Kerim, chwytając ją za ramię. – Mogą być tu zwiadowcy.

Gwen zakryła usta dłonią, żeby stłumić szlochanie. Oczyma wyobraźni widziała śmierć Sama z rąk Japończyków. Petie wyczuł jej niepokój i zaczął piszczeć.

– Cicho, kochanie – szepnęła Tammy i zabrała chłopca z rąk matki, żeby go pocieszyć. – Wszystko będzie dobrze.

Klar powiedziała cicho do Gwen:

RS

586

– Myślę, że być może wszystko się uda. Ta okropna ulewa... Podczas burzy żaden żołnierz nie będzie z pewnością przeglądał dokumentów, a potem,

no wiesz, kiedy już się do niego zbliżą, będzie po wszystkim.

– Tak sądzisz, Klar? – zapytała Gwen, starając się zapanować nad niepewnym głosem.

– Tak sędzę. Myślę, że plan się powiedzie.

– W takim razie, gdzie oni są?

Wszyscy popatrzyli na czarną wodę. Nie dostrzegli żadnego światła.

– Wzięto ich do niewoli! – jęczała Gwen.

– Ha! – chrząknął Kerim. – Poczekamy jeszcze godzinę. Potem musimy się ukryć, ponieważ jeśli dostali się do niewoli i są przesłuchiwanie...

– Na pewno nic by nie powiedzieli – oświadczyła Tammy.

– Myślę, że powiedzieliby – odparł Kerim. – Moim zdaniem, nie możemy ryzykować.

Musisz być rozsądna – mówiła sobie w duchu Gwen. – Sam nie chciałby,

żebyś robiła z siebie idiotkę. A poza tym scena, którą sobie wyobraziłam,

działa się za dnia, teraz jest noc i panuje zupełna ciemność, więc może... może... Ale gdzież oni są? – pytało jej serce.

– Tam! – wykrzyknął Terence.

– Co takiego?

– Światło!

Terence pokazywał coś w ciemnościach. Kerim rozejrzał się, a następnie potwierdził:

– Tak, jest sygnał.

– Kto ma latarkę?

– Ja, jest w mojej kieszeni – odparła Klar. Wyciągnęła latarkę i wręczyła ją Kerimowi, który przekazał umówiony sygnał.

RS

587

Zeszli na plażę. Mężczyźni wlekli po piasku płytką łódź, by wreszcie zepchnąć ją na wodę. Kiedy już się usadowili na łodzi, zaczęli płynąć. Wydawało się, że wiosłują bardzo długo, ale po pewnym czasie, mimo całkowitej ciemności, Gwen dostrzegła jaśniejszą plamę. Był to grotzagiel

kecza obniżony do połowy, tak aby jacht płynął powoli, ale gotowy do podniesienia, żeby mogli ruszyć zgodnie z kierunkiem wiatru. Kiedy dotarli do

burty łodzi, czekały na nich pomocne dłonie. Sumatrzanie zawzięcie o czymś

dyskutowali. Gwen wyczuła w ich rozmowie oznaki paniki. Kerim mruknął:

– A nie mówiłem!

– Co takiego? – pytał Terence. – Co się stało? Czy wartownik...

– Z wartownikiem nie było problemu – odpowiedział mu w ciemnościach

głos Geraka. – Ale nie wiedzieliśmy, jak rozwinąć żagle, i jakiś głupiec krzyknął po chińsku...

– I wtedy skierowano na nas reflektor – przerwał mu inny głos. – Na szczęście *tuan* szybko odplłynął spod jego światła.

– Sam? – zawołała Gwen. – Sam, dobrze się czujesz?

– W porządku, w porządku, uspokójcie się wszyscy – odezwał się gdzieś na rufie Sam, a jego ton zdradzał zniecierpliwienie. – Ostrzelano nas z karabinów maszynowych. Część ludzi skoczyła za burtę. Gerak jest zły,

bo ich

zostawiłem, ale ja naprawdę musiałem wydostać się spoza zasięgu tych cholernych karabinów...

– Straciłem dwóch ludzi, *tuan* – odparł zimno Gerak.

– Posłuchajcie, czy to rozsądne siedzieć tutaj i się sprzeczać? – zagadnął Terence. – Oni wiedzą, że zabrano łódź, a więc czy nie wyślą łodzi zwiadowczych?

– No chyba. Zatem zbierajmy się. Kto schodzi na brzeg?

RS

588

Trzech Chińczyków postanowiło zostać na pokładzie z Europejczykami. Reszta wgramoliła się do skifu.

– Żegnaj, *tuan* – powiedział Gerak. – Niech Allah będzie z tobą.

– I z wami też.

W chwilę później skif odpłynął. Po paru sekundach zniknął w ciemnościach

i nie słyhać było nawet pluskania wiosła. Gwen zeszła po omacku do kabiny, a w ślad za nią udała się Tammy wraz z Petiem. Wprawdzie załony

były tu zaciągnięte, ale pomimo zupełnej ciemności znalazły zapałki i lampę.

Dzięki jej światłu obejrzały wnętrze pomieszczenia. Petie usiadł ze skrzyżowanymi nogami na wyściełanej ławie. Był blady i wyczerpany.

– To jest łóżko dla ciebie, młody człowieku – powiedziała Gwen.

Po dłuższych poszukiwaniach znalazły dwie koje i położyły na jednej z nich Petiego.

– Nie odchodźcie – błagał, kiedy Tammy zbierała się do wyjścia.

– Dobrze, Petie, będę tutaj – odrzekła i usiadła na brzegu koi.

Klar oświadczyła, że zajmie się przygotowaniem posiłku. Poszła obejrzyć

kuchnię, a Terence zaofiarował się z pomocą. Gwen została sama i udała się na

poszukiwanie Sama. Stał przy sterze w ciemnościach i obserwował słabe światelko kompasu.

– Dokąd się kierujemy, Sam?

– Na północny zachód, w kierunku Cejlonu.

– To daleka droga, kochanie. Zdołamy ją pokonać w tej łodzi?

– Jasne, że tak, choć może to zająć sporo czasu – odparł.

Wziął głęboki oddech i westchnął. Wyczuła, że jest zmęczony, poirytowany.

Chyba go rozumiała. Misterny plan został zaprzepaszczony, gdyż jakiś głupiec zawołał coś po chińsku w trakcie ucieczki. Otoczyła go ramieniem.

RS

589

– Myślę, że dokonałeś cudu – zaczęła i nagle przerwała. Na koszuli Sama

na plecach znajdowało się coś lepkiego. Cofnęła rękę, która również zaczęła

się lepić. W ciemnościach nie mogła dostrzec, co jest tego przyczyną.

– Sam? – powiedziała.

– Tak, zgadza się, dostałem w czasie ucieczki – odrzekł, a w jego głosie

czuło się nie tylko złość, ale także niepokój. – Więc jeśli możesz, to
sprowadź
tu kogoś, żeby przejął ster, ponieważ... ponieważ...
Nie dokończył zdania. Osunął się na pokład, straciwszy przytomność.

RS

590

27

Lam był najsilniejszym i najmniej inteligentnym z trzech chińskich
dokerów. *Tuan besar* kazał mu ciągnąć jakieś liny, a on wykonał jego
polecenie. Mówił po kantońsku, czyli sumatrzeńskim dialektem języka
malajskiego, i trochę po holendersku. Nie znał angielskiego, ale
rozpaczliwy
okrzyk nie wymagał przekładu. Puścił linę, którą trzymał w rękach, i
pobiegł w
ciemnościach na rufę, kierując się w stronę, z której dochodził głos pani.
Nie
wiedział, co mówiła. Kiedy zapytał ją o to w sumatrzeńskim dialekcie,
ona
zaczęła odpowiadać dziwną odmianą malajskiego. Prawie w ogóle jej
nie
zrozumiał, ale kiedy usłyszał zwrot *tuan berluka*, pojął, że *tuan* jest
ranny.
Ukląkł na pokładzie. Leżał tam nieruchomo *tuan*. Lam obmacał całe
jego
ciało, by znaleźć mokrą plamę na koszuli. Usiłował go podnieść, lecz

tuan był

zbyt ciężki. Wówczas pojawił się Chuen. Wspólnymi siłami chwycili *tuana* i

znieśli go na dół, gdzie w słabym świetle lampy zobaczyli wyraźną dużą plamę krwi.

– Boże drogi! – szlochała pani o miedzianych włosach.

Wokół *tuana* stłoczyli się pozostali Europejczycy. Mały biały chłopiec przebudził się, postrzegł przestraszone twarze dorosłych i cofnął się z przerażeniem. Sytuację opanowała *mem balenda*. Chińczycy z zadowoleniem

przerzucili odpowiedzialność na tę kobietę z plantacji.

– Połóżcie go na ławie – komenderowała.

Kiedy spełniono jej polecenie, rozpięła koszulę Sama. Przemyła rany wodą i szmatką przyniesioną z kuchni. W jego klatce piersiowej znajdowały

się dwa otwory. Nikt nie odezwał się ani słowem.

– Myślę – powiedziała po chwili Klar – że to są rany, które powstają, kiedy kula wychodzi na zewnątrz...

RS

591

– Rany wylotowe? – zasugerowała Gwen zbielełymi wargami.

– Muszę go przewrócić.

Klar wydawała polecenia w dialekcie sumatrzańskim, a Sen Chuen i Kee pomagali jej zdjąć koszulę Sama. Ponownie przemyła rany. Na jego plecach

widniały dwie okrągłe, zaognione dziury.

– A więc kule trafiły w plecy i wyszły przez klatkę piersiową – stwierdziła Klar. – Nie wiadomo, co przebiły po drodze. A poza tym, *luister*,

kiedy to było? Pięć godzin temu? Stracił mnóstwo krwi.

Rozejrzała się po obecnych. W ich oczach dostrzegła przerażenie.

– Trochę się na tym znam – dorzuciła. – Na plantacji zdarzają się wypadki. Czy mam... ?

– Och, proszę – błagała Gwen. – Proszę, pomóż mu!

– Najpierw musimy oczyścić ranę, a potem zatrzymać krwotok.

Potrzebuję więc środka dezynfekcyjnego, opaski uciskowej, dobrego bandaża.

Tammy pootwierała wszystkie szafki w salonie i znalazła zestaw pierwszej pomocy – plastry, bandaże, jodynę, aspirynę – normalną apteczkę. Z

pomocą Gwen Klar przemyła rany jodyną i zrobiła opatrunki z gazy.

Następnie

zabandażowała stanowczymi ruchami swych mocnych dłoni klatkę piersiową

Sama. Kiedy ponownie położono go na ławie, wydał z siebie odgłos, który

chyba wyrażał protest. Klar popatrzyła na niego.

– Brandy? – zapytała. – Whisky?

Terence znalazł butelkę wódki ryżowej, podarowaną przez oddział partyzantów. Klar wlała trochę alkoholu na łyżeczkę i przytknęła ją do ust

Sama, podczas gdy Tammy podpierала jego plecy. Ku ogromnej uldze Gwen

Sam pociągnął dwa łyczki, a potem zakaszłał, a jego powieki zadrgały.

Otworzył oczy i spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, jakby jej nie poznawał.

Wreszcie skoncentrował na niej wzrok.

RS

592

– Cześć, kochanie! – powiedział.

Gwen zaśmiała się, czując ulgę.

– Och, Sam! Bogu dzięki! Myślałam, że ty... Myślałam...

Sam rozejrzał się po pokoju. Przy jego ramieniu stała Tammy, podtrzymując go. Z drugiej strony znajdowały się Klar i Gwen, w głębi było

widać głowę Terence'a, w korytarzu zaś czekali na wieści Chińczycy.

– No to kto steruje statkiem? – zagadnął.

– Psiakrew! – wykrzyknął Terence. – Ktoś powinien stać za sterem!

– A może ty, staruszkule?

– Ja? Przecież nie wiem, jak...

– To żadna sztuka – przerwał znużonym głosem Sam. – Nadal wieje północno-wschodni monsun? Naprowadź statek z powrotem na zachód i północny zachód.

– Ale ja nie potrafię...

– Chcesz, żeby zatoczył koło i zawrócił na Sumatrę?

– Czy tak nie byłoby najlepiej? – brzmiała riposta Terence'a. – W obecnej

sytuacji, kiedy ty nie prowadzisz łodzi, zatoniemy.

Tammy podeszła do niego i spojrzała mu w oczy.

– Trzymaj język za zębami! – powiedziała zniżonym głosem. – Mówisz w taki sposób, jakby on umierał!

– No cóż, popatrz na niego. Po co udawać? On się już wykańcza. W przyćmionym świetle Gwen spostrzegła rumieniec na twarzy Sama.

– Kto tak twierdzi? – zapytał. – Dajcie mi tylko parę godzin i dojdę do siebie. Ale tymczasem ktoś musi pokierować statkiem...

– Ja się tym zajmę – oświadczyła Tammy, ruszając w kierunku drzwi. – Co muszę robić?

RS

593

– Kompas ma podświetloną tarczę. Przesuwaj ster, dopóki wskazówka nie pokaże kierunku zachodnio–północno–zachodniego. Poczujesz opór steru.

Ktoś powinien cię zmienić po godzinie. I podnieś żagle, jeżeli wiatr nie zacznie

wiać za dnia.

Tammy wyszła, zabierając ze sobą jednego z Chińczyków.

– Teraz przyniosę ci trochę zupy – powiedziała Klar. – A potem sobie odpoczniesz, dobrze?

Szybko opuściła pomieszczenie, a Sam sięgnął po dłoń Gwen.

– Spać – wymamrotał i po chwili zasnął.

Przesiedziała przy nim całą noc, trzymając w dłoniach jego rękę. Raz usłyszała cichy warkot samolotów, ale znajdowały się one powyżej skłębionych chmur, toteż ich piloci nie wiedzieli, że na falach ciemnego oceanu kołysze się kecz „Lelie”. Później do jej uszu dobiegło dudnienie silników jakiegoś statku, które obudziło również Sama, ale ominęli go szerokim łukiem. Kiedy przez okna kabiny zaczęły się przedzierać promienie

słońca, Sam powoli ocknął się ze snu i przymrużył oczy.

– Kierujemy się za bardzo na wschód – powiedział.

- Przy sterze jest Kee, powiem mu...
 - Pomóż mi wstać – odrzekł Sam i spróbował usiąść.
 - Nie, Sam!
 - Spokojnie, kochanie, muszę wejść na pokład...
 - Nie, znowu zaczniesz krwawić!
- Zastygł w bezruchu i spojrzał jej w oczy.
- Posłuchaj, Gwen – powiedział. – Nie będzie dobrze, jeśli odpłyniemy za bardzo na wschód. Musimy znaleźć się na trasie rejsu statków, niewykluczone, że ktoś nas weźmie na pokład, może jakaś łajba z Australii.

RS

594

Ale jeśli popłyniemy na wschód, nie natrafimy na nic. Muszę tam pójść i dopilnować, żebyśmy nie zboczyli z kursu.

Ponieważ było jasne, że Sam spróbuje się podnieść o własnych siłach, Gwen poszła po Sen Chuena i Lama, którzy przenieśli go na górny pokład.

Tam zrobili mu legowisko z niepotrzebnego brezentu i ustawili zasłonę chroniącą przed słońcem. Sam obserwował, jak Kee zмага się ze sterem, i

wydawał polecenia, używając krótkich zdań dialektu kantońskiego.

Następnie

przywołał pozostałych mężczyzn i wyjaśnił im, że trzeba ustawić żagiel na

bezanie, by jak najlepiej wykorzystać wiatr. Rozpoczęła się dość nieudolna

krzątanina. Jacht „Lelie” chwiał się niepewnie na wodzie, podczas gdy jego żagle wiatr wydymał w różne strony. Sam wykrzykiwał komendy. Gwen usiłowała go powstrzymać, gdyż widziała jego zmęczenie.

Rozdrażniony

zamknął oczy, żeby nie oglądać niezdarnych wysiłków mężczyzn. Ale żagiel

został wreszcie wciągnięty. Odtąd „Lelie” płynęła znacznie szybciej.

Sam polecił sprawdzenie zapasów na keczu. Rezultaty okazały się niezbyt zachęcające, ponieważ właściciel jachtu nigdy nie zamierzał odbywać

długich rejsów morskich i wyposażył kecz z myślą o krótkich wyprawach w

pobliżu brzegu. Znaleziono szczelnie zamknięte puszki z suchym prowiantem

– fasolą, ryżem, sucharami. Były tam również dwie puszki słodzonego, skondensowanego mleka oraz niewielkie ilości herbaty i kawy. Ponadto odszukano kostki rosółowe, przyprawy, warkocz czosnku i trochę suszonych owoców.

Najwięcej powodów do zmartwienia dawał fakt, iż zbiorniki wody były napełnione tylko do połowy. Natychmiast wprowadzono zasadę, że świeżą

wodę będzie się wykorzystywać wyłącznie do picia, natomiast do prania i

mycia posłuży woda morską. Na szczęście w łazience leżało specjalne mydło

do kąpieli w słonej wodzie.

RS

595

Na prośbę Sama wszyscy uciekinierzy zebrali się wokół niego, kucając lub siadając przy postumencie z kompasem.

– To jest ta droga – powiedział. – Prawdopodobnie zrobiliśmy około osiemdziesięciu, osiemdziesięciu pięciu mil. Wypłynęliśmy daleko poza terytorialne wody Sumatry i jak dotąd nikt nas nie ścigał.

Przetłumaczył te słowa na dialekt kantoński. Kee, który przewodził trójce

Chińczyków, powiedział:

– Kiedy zostaliśmy zaatakowani, skierowaliśmy się od razu na morze.

Sądzę, że teraz płyniemy bardziej na północ, *tuan* – czy tak jest? Myślę, że oni

stracili nas z oczu.

– Ja też tak myślę, Kee – zgodził się Sam i mówił dalej: – Z początku miałem pomysł, żeby dotrzeć do Kolombo o własnych siłach. Jednakże w

obecnej sytuacji nie jest to zbyt praktyczne wyjście. Uważam, że teraz powinniśmy dopłynąć tam, gdzie kursują statki. Od tej pory macie ciągle ich

wypatrywać, rozumiecie? Jeden człowiek przy sterze, jeden w punkcie obserwacyjnym, a jeżeli zobaczycie statek, głośno wołajcie. Jeżeli to będzie

statek handlowy, podpłyniemy w jego stronę. Jeżeli okręt wojenny...

– Okręt wojenny? – powtórzył z przerażeniem Terence.

– No, jasne, nie wiedziałeś, że wojna trwa także na morzu? Jeżeli

zobaczymy okręt wojenny, wycofujemy się: to mógłby być japoński okręt, a

tego byśmy nie chcieli, prawda?

– O, nie, z pewnością nie – odparła z drżeniem Klar.

– Musimy wydzielać racje żywnościowe. Klar, zajmiesz się tą sprawą?

– Oczywiście. Myślę jednak, że moglibyśmy to złagodzić, łowiąc ryby.

– Uważam, że przy tej prędkości istnieje niewielka szansa, iż cokolwiek złapiemy – powiedział Terence.

RS

596

– Nie. Ale czy nie moglibyśmy zmniejszyć prędkości, a może nawet się zatrzymać i zarzucić kotwicę na jakąś godzinę, kiedy robi się ciemno?

Wydaje mi się, że ryby najlepiej biorą w ciemnościach, czy to prawda?

– Moglibyśmy się zatrzymać, Sam? – zapytała Tammy.

– Tak, lecz wolałbym tego nie robić, dopóki nie przestanie wiać ten monsun. Nie zapominajcie, że monsun ustaje pod koniec kwietnia.

Musimy z

niego korzystać, żeby przepłynąć tyle morza, ile się da. – Spojrzał na Klar. –

Czy możesz to przetłumaczyć na dialekt sumatrzański, Klar? Jakoś nie mam

ochoty mówić tego wszystkiego jeszcze raz – oznajmił, kładąc się na poduszki.

– Chyba się trochę zdrzemnę.

To było do niego takie niepodobne, że kiedy przyznał, iż jest zmęczony, Gwen natychmiast poczuła niepokój. W dodatku późnym popołudniem

Sam

zaczął mamrotać przez sen. Gwen próbowała wypytać, co mu jest, ale Sam nie

ocknął się z drzemki. Poszła więc po Klar, która dotknęła jego czoła, a następnie wyjęła z zestawu pierwszej pomocy termometr i włożyła Samowi do

ust.

– Ma wysoką temperaturę – oświadczyła. – To może być zakażenie. Prawdopodobnie w ranie powstały po kulach różne zanieczyszczenia. Nie

jestem takim fachowcem, żeby je powyjmować. Nie mamy odpowiednich narzędzi medycznych...

– Co musimy zrobić, Klar?

– Trzeba mu pomóc w zwalczeniu gorączki, toteż myślę, że weźmiemy go na dół: według mnie ten brezent niedostatecznie chroni go przed słońcem.

Chińczycy znieśli Sama do kajuty na rufie służącej do spania i położyli na jednej z koi. Gwen przydźwigała miskę z wodą morską, moczyła w niej

szmatki i przykładła je do głowy, twarzy i ramion Sama. Jego skóra w zetknięciu z dłonią Gwen zdawała się płonąć.

RS

597

O zmierzchu był już w malignie, przewracał się na łóżku i mamrotał coś ze złością i niepokojem. Gwen i Klar na zmianę przykładaly mu

chłodzące
kompresy i uśmierzały ból. Wreszcie Klar udała się na spoczynek, a
Gwen
usiadła obok Sama i bez ustanku się w niego wpatrywała.
Nikt nie zdecydował się zaproponować, żeby stanęli i złowili trochę ryb.
Nikt nawet nie spróbował postawić żagla bez kontroli Sama. Żadna z
osób na
pokładzie nie miała pojęcia o opuszczaniu i podnoszeniu kotwicy. Bez
niego
byli bezradni, zdani na łaskę nieprzyjaznego oceanu. Gwen słyszała
kroki na
górnym pokładzie. Wiedziała, że to zmiana warty przy sterze. Słyszała
też
szum wiatru dmącego w żagle, skrzypienie lin na kołkach, szepty
Chińczyków
w kajucie na przodzie statku. Na razie „Lelie” pruć fale oceanu, ale
statek był
pozbawiony kapitana, który by nim kierował. Nadszedł świt i pojawiło
się
słońce. Wskutek gorączki Sam dygotał. Gwen owinęła go kocem,
zastanawiając się, ile stracił na wadze od czasu, gdy opuścili Singapur.
Po
sześciu tygodniach odosobnienia, napięcia, nieustannych wysiłków
wszyscy
byli chudzi i wyczerpani. Czy Samowi starczy sił, by zwalczyć chorobę?
Czy
przetrzyma upływ krwi, fizyczny wstrząs? Musiał dojść do siebie.
Gdyby
umarł, Gwen również pragnęła umrzeć. Życie bez niego straciłoby dla
niej
jakąkolwiek wartość. Nieobecność Sama wytworzyłaby pustkę ogromną
niczym morze.
Z koi podniosła się Klar, by wejść do kuchni. Po jakimś czasie zaczęły
stamtąd dochodzić zapachy gotowanego posiłku. Kiedy Klar wróciła,
objęła

Gwen ramieniem.

– Idź na pokład, pooddychaj świeżym powietrzem. Ja z nim posiedzę.

– Nie chcę go zostawiać.

RS

598

– Rozumiem. Ale powinnaś się przewietrzyć. Od Sumatry zjadłaś może ze dwa kęsy, ja? Idź, rozruszaj się trochę, zjedz coś. Sam na pewno by chciał,

żebyś o siebie dbała.

Gwen spojrzała na Sama. Był nieprzytomny, miał dreszcze.

Instynktownie

wyczuwała, że Sam obudzi się nieprędko. Gdyby wracała mu przytomność,

na pewno podpowiedziałyby jej to intuicja. Udała się więc do łazienki, ociężałymi ruchami zdjęła odzież, umyła się cała w zimnej morskiej wodzie i

zaczesała włosy. Ponownie włożyła ubranie i poszła do kuchni. Przy wąskim

stole siedziała Tammy. Jadła skromny posiłek złożony z fasoli i ryżu.

Kiedy

zobaczyła wchodzącą matę, pokręciła głową.

– Wyglądasz jak upiór – powiedziała.

Gwen kiwnęła głową i westchnęła. W czajniczku była słaba herbata, której trochę sobie naląła.

– Spróbuj coś zjeść, mamó. To nie jest złe.

Tammy położyła nieco *pilau* na drugi talerz, ale kiedy Gwen usiłowała

przełknąć potrawę, poczuła, że ma ściśnięte gardło. Siedziały w milczeniu.

Wreszcie Tammy powiedziała:

– Cieszę się, że możemy przez chwilę być razem, tylko we dwie.

Chciałam ci coś powiedzieć... Przepraszam za moje zachowanie.

– Słucham? – zapytała zaskoczona Gwen.

– To było wstrętne z mojej strony... Myślę o Terensie.

– Ach, o to chodzi – odparła matka. Miała wrażenie, że cała ta historia rozegrała się milion lat wcześniej, w innym życiu.

– Właśnie o to. W porównaniu z tym, co przechodzimy teraz, wydaje się to takie trywialne, podłe i niemądre. Musiałam chyba kompletnie zgłupieć,

żeby zachowywać się w ten sposób.

Gwen usiłowała przejawiać zainteresowanie jej słowami.

RS

599

– Może to była moja wina – mruknęła. – Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że on... ten mężczyzna... tyle dla ciebie znaczył.

– Reggie – podpowiedziała jej Tammy. – Zapomniałaś, jak się nazywa. Ja również prawie o nim zapomniałam. Wcale mi tak bardzo na nim nie zależało. Po prostu byłam na ciebie wściekła. Uważałam, że zrobiłaś ze mnie idiotkę.

– Ach! – odparła ze słabym uśmiechem Gwen. – Już ci to mówiłam. Masz w sobie coś z ojca: nie lubisz tracić twarzy.

– Coś japońskiego. Trudno z tym żyć, mamó. Oni są wrogami, co

oznacza, że częściowo jestem sama sobie wrogiem.

Gwen pokręciła głową.

– Kochanie, jestem zbyt zmęczona, żeby to zrozumieć. Wiem tylko, że masz przed sobą całe życie. Chcę zawieźć cię w bezpieczne miejsce, żebyś

mogła cieszyć się życiem.

– Chcę tego również dla ciebie, mamo: dla ciebie i Sama. Wiem, że w końcu to się stanie.

– Tak, kochanie – odrzekła Gwen, niezupełnie wierząc w jej słowa.

Zanim udała się na pokład, zajrzała jeszcze do Sama. Teraz czuwał przy nim

Kee, który rzucał kośćmi na sąsiedniej koi, żeby szybciej mijał mu czas. Powiedziała do niego bardzo powoli w języku malajskim:

– Jeżeli *tuan* się zbudzi, zawołaj mnie.

Kiwnął głową, a ona poszła na pokład. W górze płynęły chmury, które co

pewien czas przesłaniały słońce. Spostrzegła, że rozstawiono naczynia, by

nałapać wody, gdyż wyraźnie zanosilo się na deszcz. Za sterem stał Sen Chuen, który wpatrywał się z wielkim skupieniem w kompas. Klar robiła

pranie w wiadrze z morską wodą. Terence znajdował się w punkcie obserwacyjnym i jadł z talerza *pilau*. Gwen podeszła do Chuena, żeby nauczyć

RS

się podstawowych wiadomości o sterowaniu. Kiedy skończył się jego dwugodzinny dyżur, przejęła koło. Zadanie okazało się cięższe niż przypuszczała. Za pośrednictwem steru czuła, jak porusza się cały statek, i drżała, gdy łopoczące żagle przekazywały jej swoją moc. Po pewnym czasie stanęła przy niej Klar.

– Sam chciałby z tobą porozmawiać.

– Obudził się?

– Tak.

– Jak on się czuje?

– Nie wiem. Chyba lepiej, temperatura spadła, ale ma jeszcze stan podgorączkowy. Potrzebujemy tych nowych, wspaniałych lekarstw, żeby

zwalczyć infekcję...

Gwen zeszła na dół, do kajuty. Sam siedział na koi, był spokojny, ale jego oczy błyszczały wskutek gorączki. Podeszła do niego i pocałowała.

Miał

rozpalone, suche policzki, które aż prosiły się o golenie. Wyglądał mizernie.

– Jak się czujesz?

– Dziwnie. Kiedy oddycham, boli mnie klatka piersiowa.

– Przynieść ci coś do picia? Może...

– Przestań – powiedział rozdrażnionym głosem. – Wszystko przyniosła mi Klar. Może i czuję się dość kiepsko, ale nie jestem znowu dzieckiem.

– Rzeczywiście, jesteś w złym nastroju – przyznała z uśmiechem.

– Dlaczego nie miałbym być w złym nastroju! Klar ciągle każe mi leżeć spokojnie i odpoczywać. Ona chyba nie rozumie, że muszę ustalić pewne

rzeczy.

– Na przykład jakie?

– Na przykład to, gdzie dokładnie się znajdujemy. Muszę określić naszą pozycję za pomocą słońca. Prosiłem Klar, żeby rozejrzała się za instrumentami

RS

601

pokładowymi, ale poklepała mnie po ramieniu i powiedziała, żebym się niczym nie przejmował.

– Gdzie powinnam ich szukać? – zapytała Gwen.

– Są w jakiejś skrzynce czy pudle. Powinien tam być sekstans i...

– Chodzi ci o dziennik okrętowy?

– Dziennik może też, ale miałem na myśli coś innego: przyrząd, który przewleka się po sznurku i w ten sposób ustala, z jaką prędkością płynie łódź.

– Rozejrzę się – obiecała Gwen. Przeszukała wszystkie szafki i szuflady w stołach. Zaglądała wszędzie, aż w końcu wróciła do chorego, który bardzo się niepokoił.

– Nie mogę niczego znaleźć.

– Och, naturalnie! To oznacza, że przyrządy zostały zabrane na brzeg, kiedy jachtu pilnowała straż. Czy jest gdzieś raketnica do wystrzeliwania

sygnałów w razie zagrożenia? Widziałaś flagi sygnalizacyjne?

– Nic z tych rzeczy.

– Pewnie zostały skonfiskowane. Żadnych przyrządów... Będę musiał zrobić przybliżone obliczenia. Powinienem pójść na górę i zerknąć na kompas.

– Nie teraz, Sam.

– Posłuchaj...

– Naprawdę nie chcę mówić tak samo jak Klar, ale przynajmniej dzisiaj

powinieneś dać sobie z tym spokój. Wczoraj byłeś poważnie chory, mój kochany.

Chrząknął z rozdrażnieniem.

– Gdyby nie to, że czuję się słaby jak kociątko, wytargałbym cię za uszy.

– Spokojnie, spokojnie.

– Czy ktoś przynajmniej obserwuje morze, na wypadek gdyby pojawił się jakiś statek?

RS

602

– Teraz czuwa Petie. Uwielbia to robić. Dotychczas zameldował, że widział szkółkę delfinów oraz stary kanister na ropę.

– To dobry dzieciak, ale ja pytam serio, Gwen. Czy na warcie znajduje się jakaś dorosła osoba?

– Tak, oczywiście.

Gwen usiadła i rozmawiała z nim przez mniej więcej pół godziny.

Zauważyła, że Sam robi się śpiący. Kiedy położyła go do łóżka, prawie nie

protestował.

Następnego dnia jego stan właściwie nie uległ zmianie. Upierał się, żeby pomóc mu wejść na pokład. Leżąc obserwował prowadzenie steru. Od czasu

do czasu zapadał w drzemkę, a niekiedy robił wyliczenia i polecał nieco skorygować kurs statku.

Kee został, na własne życzenie, specjalnym opiekunem Sama. Każdego

ranka pomagał mu wejść na pokład, a wieczorem sprowadzał go na dół, oprócz tego zaś stawał przy sterze na zmianę z innymi pasażerami. Prał ubrania Sama, golił go, a nawet próbował go ostrzyc za pomocą nożyczek do obcinania paznokci. Wbrew złym przeczuciom Sama Petie okazał się dobrym obserwatorem. Raz powiedział, że zauważył przedmiot, który, sądząc z jego opisu, mógł być tylko peryskopem. Ta relacja przeraziła wszystkich na pokładzie. Kilka dni później pokazał smużkę dymu na horyzoncie za lewą burtą. Uciekinierzy przyglądali się jej uparcie, ale wkrótce zniknęła. – O, do diabła! – jęknął Sam i zarządził zmianę kursu o jeden stopień. Prześladowała go myśl, że mogliby przegapić jakiś statek handlowy. „Lelie” pruć wody oceanu dzięki silnemu wiatrowi. Deszcz padał dwa, trzy razy dziennie, toteż nie mieli jak dotąd kłopotów z wodą pitną, ale za to wyczerpywały się zapasy żywności.

RS

603

– Czy nie powinniśmy wziąć pod uwagę pomysłu Klar i nałowić ryb? – zagadnęła Gwen.
– Jeszcze nie. Kochanie, wiem, że ostatnio czułem się kiepsko. Od kilku dni

jesteśmy na morzu?

Gwen nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Myślę, że dziewiętnaście, może dwadzieścia – odrzekła po namyśle.

– Załóżmy, że dotarliśmy do Padangu w marcu i byliśmy tam dwa dni, zgadza się? Potem płynęliśmy statkiem. Powiedzmy, że nasz rejs trwa dwadzieścia dni. A więc teraz jest połowa kwietnia, prawda?

– Chyba tak, Sam.

Kiwnął głową i zmienił temat. Nie miała pojęcia, co mu chodziło po głowie, dopóki nie minęło kilka dni. Przestał wówczas wiać wiatr. Kiedy na

górnym pokładzie weszła poranna zmiana, na morzu panowała już martwa cisza.

– Co się stało? – pytali siebie nawzajem wartownicy. Sam uśmiechnął się dość ponuro.

– Słabnie monsun. Nadchodzi kanikuła.

– Myślałem, że kanikuła przypada na środek lata – odparł Terence.

– Hm, na północnej półkuli tak, mniej więcej w lipcu. To tylko takie wyrażenie, które oznacza bezwietrzną pogodę.

Odetchnął kilka razy, jakby bolała go klatka piersiowa.

– Widzicie, żaglowiec nie może płynąć bez wiatru. Spojrzeli z przerażeniem na zwisające bezładnie żagle.

– Teraz jest pora na łowienie ryb – powiedział Sam.

Statek był pozbawiony małej szalupy, którą zabrano na brzeg, kiedy jacht

skonfiskowano. Zrzucili więc wędkę z nadburcia kecza. Odnieśli pewien

sukces, gdyż złowili dużą rybę. Zaczęli piszczeć z radości, ale Petie krzyknął i

pokazał coś na morzu. Obok statku pruća wodą trójkątna płetwa.

RS

604

– Rekin! – wysapał Terence.

– Nic się nie stało – powiedział Sam. – Okrąży nas; zobaczył, że mniejsza

ryba chwytła przynętę i to go zaciekało. Tylko nie wybierajcie się teraz

popływać.

Nikt nie miał takiego zamiaru.

O zmierzchu zerwał się wiatr. Żagle zaczęły łopotać, sternik naprowadził

statek na odpowiedni kurs i znowu popłynęli. W nocy wiatr okazał się bardzo

kapryśny, bawił się z żeglarzami w kotka i myszkę, wiał przez godzinę, a

potem ustawał. Pokonali zaledwie kilka mil morskich. Kolejny dzień był również bezwietrzny. Z pogodnego nieba prażyło niemiłosiernie słońce.

Na

pokładzie „Lelie” panował upał nie do zniesienia.

Mieli teraz świeże ryby, ale kończyły się zapasy wody, a deszcz nie padał. Duszna atmosfera potęgowała ich pragnienie, lecz musieli wydzielić

sobie jeszcze bardziej skąpe racje wody. Odczuwali niepokój, ogólne osłabienie, zwiotczenie mięśni. Ciężko było obserwować morze w porannym

upale, kiedy oślepił ich blask promieni słońca. Statek znosiły nieco fale,

a

północny prąd przeszkadzał w utrzymaniu stałego kursu. Tej nocy spali na

pokładzie, gdyż w kajutach nie było czym oddychać.

Gwen straciła w końcu rachubę tych wszystkich dusznych zmierzchów, które nadchodziły po upalnych dniach. Pewnego razu obudziła się nagle, gdyż

Petie uczeplił się kurczowo jej ramienia.

– Ciociu Gwen! Posłuchaj!

Znieruchomiała na moment i wyteżywszy słuch, dosłyszała warkot silników statku. Gdzieś w ciemnościach słychać było przelewające się fale.

– Okręt wojenny? – zapytał Terence.

– To musi być japoński niszczyciel – odparła z lękiem Tammy.

RS

605

– Nic mnie to nie obchodzi! Nie możemy ciągle tak płynąć! –
wykrzyknął

Terence. – Dam sygnał!

– Nie – protestowała Klar. – Możemy skończyć w obozie dla jeńców!

W ciemnościach rozbłysła na chwilę latarka. Wówczas Tammy rzuciła się na Terence'a z impetem i przewróciła go. Zapalona latarka potoczyła się po

pokładzie.

– O, nie! Nie damy się wziąć do niewoli!

–Dobry Boże, my tutaj zginiemy, Tammy...

– Wolę zginąć! Nie pozwolę ci tego zrobić.

Gwen usłyszała, że Sam dźwiga się ze swojego legowiska. W ciemnościach rozległ się łomot, a potem zamrugało światło latarki w sygnale

SOS.

– Wuju Samie! – wrzasnęła Tammy, chwytając go za ramię. – Jak mogłeś!

Gwen zobaczyła, że jej córka okłada go pięściami. Sam odpychał ją jedną

ręką, a za pomocą drugiej wymachiwał zapaloną latarką. Gwen rzuciła się do

przodu, żeby ich rozdzielić.

– Tammy, Tammy, nie rób...

– Ale on się poddaje!

Usłyszała cichy chichot Sama.

– To zgraja szczurów lądowych! Żaden japoński okręt wojenny nie ma takich silników! Nie potraficie rozpoznać starego frachtowca?

RS

606

28

Kiedy statek „Drago” wypłynął w kierunku Trincomali, na północno-wschodnim wybrzeżu Cejlonu, samoloty RAF-u zaczęły ubezpieczać jego rejs.

Następnie pojawił się kuter straży przybrzeżnej, który sprawdził dokumenty.

Oficer, który dowodził łodzią, spojrzął na Sama tylko raz, po czym nakazał

zabrać go na brzeg szybką motorówką.

Pozostali uciekinierzy nieco wydobrzeli w ciągu sześciu dni podróży dzięki obfitym posiłkom i dostatecznej ilości wody. Natomiast stan zdrowia

Sama stale się pogarszał. Gwen mogła się tylko cieszyć, że tak szybko zawieziono go do szpitala, chociaż pragnęła jechać tam razem z nim. Na to nie

pozwolił jednak porucznik ochrony wybrzeża. Przez kilka godzin trzymał

wszystkich Europejczyków w odosobnieniu i słuchał ich opowieści o ucieczce.

Zadowolony, że byli naprawdę uciekinierami, a nie jakąś piątą kolumną, zabrał

ich do portowej lecznicy.

– Jak się czuje pan Prosper? – było to pierwsze pytanie, jakie zadała Gwen, kiedy znaleźli się w lecznicy.

– Kto? – zapytał ją wojskowy doktor.

– Pan Prosper. Mężczyzna, który został zabrany na brzeg pierwszy.

– Ach, tak. Trudno powiedzieć. Poleciał do Kolombo. Potrzebna mu była

skomplikowana operacja, a tam mają lepsze wyposażenie.

– Czy jego stan jest ciężki?

– Nie czuje się dobrze. To pani mąż?

– Nie. Sam jest...

– Rozumiem – stwierdził doktor. – No cóż, powinien wrócić do zdrowia, dadzą mu odpowiedni sulfonamid. A jeśli chodzi o panią, moja droga...

Wygląda pani tak, jakby dopiero co wróciła pani z Timbuctu...

RS

607

Wszystkich zatrzymano na noc, ale okazało się, że nie cierpią na nic poważnego – nie mieli żadnych chorób zakaźnych, aczkolwiek występowała u

nich anemia i niedobór witamin. Petie czuł się trochę słabo, lecz tak objawił się

stres: od wielu miesięcy nie był w mieście, wśród tłumu ludzi. W lecznicy

uprano i uprasowano ich odzież, ale nic nie mogło ukryć faktu, iż prawie nie

nadawała się do noszenia. Terence utyskiwał, że musi pójść w takim ubraniu

na rozmowę z urzędnikiem Ministerstwa d. s. Kolonii. Kiedy przyszła kolej na

Gwen, udała się do urzędu wraz z Petiem.

– A więc, pani Veetcha, tak? – zagadnął urzędnik, zerkając na listę przez tak grube szkła, że wydawało się, iż ktoś zrobił je z dna butelek od lemoniady.

– Czy to węgierskie nazwisko? Polskie?

– Ani węgierskie, ani polskie, panie Gunter. W ten sposób paryżanie wymawiali moje panięskie nazwisko Whitchurch.

– Paryżanie? Zna pani Paryż? Spędziłem tam cały urlop, kiedy pracowałem w urzędzie w Londynie... Zna pani „Cafe de Garonne” w pobliżu

uniwersytetu?

– Och, bardzo dobrze. Mieszkałam w dzielnicy Montparnasse. Wspominanie ulubionych zakątków zajęło im sporo czasu. Wreszcie pan Gunter powiedział:

– No cóż, *revenons a nos moutons*. Nie bardzo rozumiem... Dlaczego zaakceptowała pani nazwisko, którego używali paryżanie?

– Tylko ze względu na sprawy zawodowe. Jest łatwiejsze niż moje prawdziwe nazwisko po mężu Hayakawa.

Nastąpiła pauza. Pan Gunter wziął głęboki oddech, co sprawiło, że biurko

drgnęło pod naporem jego masywnego ciała.

– To nazwisko pojawia się na mojej liście. Panna Tamara Hayakawa.

– To moja córka.

RS

608

– To jest... japońskie nazwisko?

– Tak. Mój mąż był Japończykiem.

– Pani mąż... Jaka jest teraz państwa sytuacja?

– Mąż zginął podczas trzęsienia ziemi w Tokio w 1923 roku.

– Aha.

Na twarzy pana Guntera widać było wyraźną ulgę. Ostatecznie japoński mąż, który umarł przed tak wieloma laty, nie stanowił żadnego problemu.

– Zachowała pani obywatelstwo brytyjskie?

– Oczywiście.

– Zdaje się, że nie ma pani żadnych dokumentów?

– Zatonęły razem z „Dimestore”.

– „Dimestore?”
– Statek, na którym uciekliśmy z Singapuru.
– Rezydowała pani w Singapurze?
– To był mój dom przez prawie dwadzieścia lat.
– Hm... W Singapurze... Nigdy tam nie pracowałem, ale zawsze mi się wydawało... Brytyjki były zazwyczaj żonami brytyjskich biznesmenów albo urzędników... Chodzi mi o to, czy mieszkała pani tam z jakimiś krewnymi?
Może z bratem?
– Prowadziłam tam firmę.
Pan Gunter wyglądał na bardzo zakłopotanego.
– Jaką firmę?
– Wyrabiałam meble.
– Mój Boże!
Gwen odniosła wrażenie, że pan Gunter uznał ją za odmieńca. Przejrzał jakieś papiery, chrząknął i kontynuował rozmowę.

RS

609

– Czy życzy pani sobie być repatriowana? Oczywiście, przysługuje pani takie prawo, ale powinienem panią ostrzec, że kolejka oczekujących jest długa, gdyż wszelkie statki transportujące osoby cywilne muszą płynąć w konwoju...
– Ma pan na myśli repatriację do Brytanii – odparła Gwen. – Nie życzę sobie tego.

- Naprawdę nie?
 - Nie?
 - Co zamierza pani zrobić?
 - Zostać tutaj.
 - A pani córka?
 - Ona również zostanie. Nie mam zamiaru pozwolić jej na podróż do Anglii, kiedy akurat trwa wojna.
 - Rzeczywiście – przyznał i przerzucił swoje papierzyska. – Rozumiem, że firma, którą prowadziła pani w Singapurze, obecnie w ogóle nie funkcjonuje. Czy dysponuje pani jakimś innym źródłem dochodu?
 - O to proszę się nie martwić, panie Gunter – odrzekła z pewną irytacją Gwen. – Jeżeli zezwoli mi się na wysłanie depeszy, będę mogła otrzymać pieniądze z domu, ponieważ część moich projektów meblarskich jest produkowana w Brytanii. Ani razu nie przyszło jej do głowy, żeby wykorzystać drogocenne kamienie z irchowego woreczka, który zawiesił jej na szyi Sam. To był jej talizman, mogła go przekazać jedynie Samowi.
 - Och, to upraszcza sprawę. Będzie pani utrzymywała pannę Hayakawę?
 - Oczywiście.
- Urzędnik odnotował to w dokumentach.
- Sądzę, że w ciągu najwyżej dwóch dni zostaną wam wydane dowody tożsamości. Obawiam się, że do tego czasu będziecie musiały zostać na terenie

RS

lecznicy. To jest baza marynarki, nie możemy pozwolić na błąkanie się w tym

miejscu osób o nieokreślonej tożsamości.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Nie mam zastrzeżeń, o ile będę mogła skorzystać z telefonu.

– Naprawdę? – zapytał ze zdumieniem. – Ma pani znajomych w Trincomali?

– Chcę zadzwonić do szpitala w Kolombo. Przebywa tam w ciężkim stanie mój najlepszy przyjaciel.

– Rozumiem. Sądzę, że nie powinno być z tym kłopotu.

Odłożył dokument z samego wierzchu, przerzucił jakieś kartki i wyciągnął

kolejny papier. Zerknął przez okulary na Petiego.

– No dobrze, młody człowieku, jak się nazywasz?

– Petie.

– A dalej jak?

Petie spojrzał na Gwen, która powiedziała:

– Nie znamy jego nazwiska. Zabraliśmy go z sierocińca w Singapurze.

– Mamusia była w Singapurze – odważył się powiedzieć Petie. – Zabiły ją bomby.

– Ach, tak – odrzekł Gunter, starając się mówić łagodnym tonem. – A jak

nazywała się mamusia?

Petie spojrzał na niego z pogardą.

– Oczywiście, mamusia.

– Hm... tak... No, a jak nazywał się tatuś?

– Tatuś.

– Ale mnie chodzi o coś innego, Petie: Czy mamusia nie nazywała go czasami inaczej?

– Czasami mówiła do niego „kochanie”.

RS

611

– Nazywała go „kochanie”. Dobrze, jak nazywali go służący?

– *Tuan* – odparł z prostotą Petie.

Pan Gunter wychowywał się w Birmingham, gdzie mali chłopcy znali swoje nazwiska i adresy, toteż nie ustawał w wysiłkach, by wyciągnąć to z

Petiego.

– Ale Petie... Czy mamusia nigdy cię nie uczyła, co powinieneś powiedzieć ludziom na wypadek, gdybyś się zgubił?

– Gdybym się zgubił? To znaczy, jak Hans i Gretel? Ale o n i nie mieli *amah* – zauważył Petie. – Gdyby opiekowała się nimi *amah*, nie zgubiliby się –

dodał drżącymi ustami.

– Ciekawe, gdzie jest Nunah. Nie chciała opuścić wioski. Czy porwali ją źli żołnierze?

– Nieważne, co się stało z Nunah. Przypuśćmy, że jej tam nie było, a ty się gdzieś zabłąkałeś. Potrafiłbyś powiedzieć ludziom, gdzie mieszkasz?

– Ale oni to wiedzą! – zawołał Petie, tracąc cierpliwość. – Wszyscy ludzie z posiadłości znają *tuana kechila*.

– Kto to taki?

– Oczywiście, ja. Nic pan nie wie? To słowo znaczy: „mały tuan”.

Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą!

– Chcesz powiedzieć – wymamrotał pan Gunter, próbując pojąć tę sytuację – że nigdy się nie nauczyłeś swojego nazwiska i adresu, bo nie było

takiej potrzeby... Dopóki, jak sędzę, nie nadeszła pora, żeby posłać cię do szkoły.

– Posłać? – powtórzył za nim Petie i spojrział z przerażeniem na Gwen. – Chcecie mnie gdzieś posłać?

– Naturalnie, że nie! – odparła i szybko objęła go ramieniem.

RS

612

– *Voyons* – oznajmiła chłodnym tonem. – *Ce pauvre enfant a beau-coup souffert. Faut-il souffrir de plus?*

Pan Gunter spiekł raka.

– Ale ja muszę ustalić, pani Veetcha... Kto będzie się nim opiekował?

– Oczywiście, ja.

– No cóż, to... To może być jedynie tymczasowe rozwiązanie.

Powinniśmy odnaleźć jakiegoś krewnego.

– Doskonale rozumiem, że to musi być tymczasowe rozwiązanie – odparła i poklepała delikatnie Petiego po głowie. – Któregoś dnia może odnajdziemy twojego ojca, prawda, Petie?

– Tatuś poszedł pomagać żołnierzom w walce z nieprzyjacielem – powiedział chłopczyk. – Ale nie wrócił.

Gunter potrząsnął głową.

– Pani Veetcha, zanim odzyskamy Malaje, może upłynąć wiele lat...

– Nauczyłam się akceptować to, co jest – odparła Gwen. – Na razie wystarczy mi, że Petie jest tu bezpieczny i zdrowy, oraz to, że mogę się nim

opiekować i zadbać, by jadł trzy porządne posiłki dziennie. Czy to już

wszystko, panie Gunter? – spytała Gwen, podnosząc się z krzesła.
Urzędnik powstał.

– Czuję, że nie ma potrzeby wzywania panny Hayakawy – stwierdził, otwierając drzwi przed Gwen: – A jeśli chodzi o Chińczyków, z którymi pani przyłączyła się, czekamy na tłumacza. Życzę miłego dnia, pani Veetcha. W lecznicy pracownik opieki społecznej połączył się ze szpitalem Royal Victoria w Kolombo. Dowiedział się, że na razie nie ma żadnych informacji o stanie zdrowia pana Prospera, gdyż znajdował się on na sali operacyjnej. Zasugerowano, że lepiej będzie zadzwonić za mniej więcej cztery godziny.

RS

613

Jeszcze tego samego dnia w lecznicy pojawił się pracownik Czerwonego Krzyża z odzieżą zebraną od zamożnych ludzi z Kolombo. Kiedy Tammy, Klar

i Gwen dokonały przeglądu, Gwen zauważyła:

– Po raz drugi zdarza mi się, że muszę nosić ubranie z darów.

– Naprawdę? – zagadnęła panna Dwyer. – Kiedy był ten pierwszy raz?

Gwen wyjaśniła jej, co działo się w Tokio po trzęsieniu ziemi, a tymczasem Tammy i Klar przerzucały rzeczy.

– Nietrudno zrozumieć, dlaczego właściciele ich się pozbyli – powiedziała Tammy. – Są okropne.

– No, no, bądź wdzięczna, że je masz. W każdym razie, jak tylko babcia przyśle trochę pieniędzy, pójdziemy do miasta i kupimy coś, co będzie

na nas

pasowało!

Pracownik Czerwonego Krzyża zaoferował im pewną sumę z funduszu na nagłe potrzeby. Uradowane kobiety udały się całą trójką do sklepu w holu

lecznicy, gdzie kupiły grzebienie, szpilki do włosów i szminki. Ale Gwen

zachowała monety, gdyż chciała skorzystać z telefonu w foyer. Niestety, kiedy

dodzwoniła się na właściwy oddział, siostra zapytała, czy łączy ją z Samem

jakieś pokrewieństwo.

– Nie, niezupełnie...

– Obawiam się, że nie wolno mi udzielać informacji nikomu poza rodziną.

– Ale proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy operacja...

– Pan Prosper opuścił już salę i jego stan odpowiada naszym oczekiwaniom.

– Czy jest przytomny?

– Dochodzi do siebie po narkozie.

RS

614

– Kiedy odzyska przytomność, proszę mu powiedzieć, że Gwen przesyła pozdrowienia.

– Dopilnuję, żeby przekazano tę wiadomość.

Po tych słowach pielęgniarka odłożyła stanowczym ruchem słuchawkę.

I tak było ciągle. Nie udzielano żadnych informacji, gdyż Gwen nie zaliczała się do rodziny Sama. Wypytywała o niego przez cztery dni i w końcu

powiedziano jej, że pan Prosper wyszedł już ze stanu krytycznego.

– Czy przekazała mu pani wiadomość ode mnie? – zapytała Gwen.

– Wiadomość?

– Przesyłałam mu pozdrowienia.

– Och, jestem pewna, że panu Prosperowi powiedziano o tym.

– Czy przekazał jakąś wiadomość dla mnie?

– Nic na ten temat nie wiem. – I znowu odłożyła słuchawkę.

Gwen przeżywała ogromny niepokój. Ale bez dokumentów i bez pieniędzy nie było sposobu, żeby dostać się do Kolombo.

Pod koniec tygodnia wszyscy dostali dowody tożsamości. Dwa dni później nadeszła depesza od matki Gwen: „Kochanie, co za ulga, że wreszcie

się odezwałaś. Pieniądze przelane na twoje nazwisko do filii banku Overseas

Commercial w Kolombo. Pozdrowienia od Waltera i ode mnie”.

Bank jeszcze nie otrzymał potwierdzenia transferu, ale na podstawie depeszy zgodził się wypłacić jej sporą zaliczkę. Gwen natychmiast obwieściła

wszystkim, że jedzie pociągiem do Kolombo, jak tylko uda jej się kupić bilety.

– Chcecie tam pojechać?

Wydawało się to najlepszym rozwiązaniem. Gwen proponowała jazdę trzem Chińczykom, którzy przybyli z nią z Sumatry, ale jedynie Kee chciał

kontynuować podróż – Sen Chuen i Lam dostali oferty pracy w bazie marynarki w Trincomali. Pozostałe osoby wyruszyły wraz z nią, by pokonać

RS

615

trasę stu dwudziestu mil. Było upalnie, czuli, że ich ciała lepią się od potu.

Dawniej skarżyliby się głośno na niewygodę, ale po ostatnich przejściach

odnosili wrażenie, że podróżują niemal w luksusie.

Zjawili się w Kolombo w połowie maja. Miasto było ładne i hałaśliwe, a temperatura wynosiła akurat około czterdziestu stopni. Od czasu gdy wyruszyli

z Singapuru na pokładzie „Dimestore”, upłynęły ponad trzy miesiące.

Zatrzymali się w hotelu niedaleko Fortu, portowej dzielnicy handlowej.

Gwen i

Tammy zamieszkały we wspólnym pokoju, a Petie dostał składane łóżeczko w

sypialni. Obok spała Klar, a Terence znalazł się piętro wyżej. Kee poszedł

sobie niemal od razu. Powiedział, że ma krewnych w chińskiej dzielnicy, u

których może się zatrzymać.

W pierwszym odruchu Gwen kupiła orchidee, żeby je zanieść do szpitala.

Kiedy zjawiła się tam dokładnie w porze odwiedzin, oświadczone jej, że pan

Prosper nie może przyjmować gości.

– Nie może? – powtórzyła z przerażeniem.

- Pan Prosper nie czuje się dość dobrze, by przyjmować gości.
 - Powiedziano mi, że wyszedł już ze stanu krytycznego.
 - Obawiam się, że nastąpiło pogorszenie.
 - Proszę mi powiedzieć, co się stało. Ja muszę wiedzieć!
 - Jest pani krewną?
 - Nie, bliską przyjaciółką. Może o mnie wspominał, nazywam się Veetcha.
 - Przykro mi, pani Veetcha, wolno nam rozmawiać o pacjencie tylko z rodziną.
 - Ale ja przyjechałam aż z Trincomali...
 - Przykro mi, taki jest regulamin szpitala.
- Usiłując powstrzymać płacz, Gwen przekazała doniczkę z orchideami.

RS

616

- Proszę mu to wręczyć i powiedzieć, że to od Gwen, dobrze?
 - Zrobię to – zapewniła flegmatycznie pielęgniarka w wykrochmalonym fartuchu. – Może chciałaby pani napisać kartkę?
 - Och, naprawdę mogę? Czy pożyczysz mi pani pióro? I kawałek papieru?
- Siostra spełniła jej prośbę. Gwen napisała: „Kochanie, stoję tuż przed drzwiami oddziału, ale nie chcą mnie wpuścić. Proszę cię, wyzdrowiej jak najszybciej! Gorące pozdrowienia, Gwen". Przekonała się ze wstydem, że jej łyzy rozmazały niektóre słowa.
- Następnego dnia zadzwoniła z zapytaniem, czy może odwiedzić Sama.

Odpowiedź brzmiała: nie. Przesłała kwiaty z liścikiem przypiętym do opakowania. Wróciła do hotelu z bazaru, na którym kupiła kwiaty. Była przygnębiona, zniechęcona, niespokojna. Na hotelowym tarasie siedziała Tammy z Petiem. Oboje sączyli przez słomki oranżadę z jednej szklanki.

Tammy wystarczyło jedno spojrzenie na twarz matki, by odgadnąć jej uczucia.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Jutro pozwolą ci go zobaczyć.

– Ale, Tammy, on musi być bardzo, bardzo chory...

– Wuj Sam jest silny. Dojdzie do siebie – oświadczyła z przekonaniem Tammy.

– Myślę, że wuj Sam jest strasznym twardzielem – zgodził się Petie i uściśnął mocno dłoń Gwen.

Tammy zamówiła dla matki mrożoną herbatę i stwierdziła:

– Mam ci coś do powiedzenia, mam.

– Tak, kochanie.

– Terence poprosił, żebym za niego wyszła.

– Och!

Jakaś lodowata ręka ścisnęła serce Gwen.

RS

617

Proszę cię, Boże – mówiła w duchu – nie pozwól, żeby zrobiła taką straszną pomyłkę!

– I co mu odrzekłaś?

– Oczywiście, odmówiłam – powiedziała z pogardą Tammy.

–Och, dzięki Bogu! – wysapała Gwen.

– Zaczekaj, aż opowiem ci resztę. Klar oświadczyła, że byłam wobec niego bardzo nieuprzejma, więc wybrali się razem na długą przejażdżkę, podczas której ona ma zamiar go pocieszać.

– Tammy!

– Ciotka Klar nigdy nie była taka zła na Tammy – zauważył Petie. – Ciotka Klar powiedziała, że Tammy jest bardzo nieuprzejmą dziewczyną, ale

ja tak nie myślę. A ty, ciociu Gwen?

– Mój mały bohater! – powiedziała Tammy. Zepchnęła Petiego na deski i

zaczęła go łaskotać. – Zaczekam, aż dorośniesz, i wtedy wyjdę za ciebie.

– O, o! – zawołał, turlając się ze śmiechu. – Powiem ciotce Klar, że jesteś

bardzo niegrzeczną dziewczyną.

– Biedna Klar – stwierdziła Gwen, pociągając z wdzięcznością łyk herbaty. – Zastanawiam się, czy ona wie, co robi.

– Ona lubi matkować. Może potrzebuje właśnie tego: kogoś, kim mogłaby się opiekować.

Tego wieczoru obie strony traktowały się nawzajem z dużym chłodem.

Dla Gwen nie ulegało wątpliwości, że Klar lubi pocieszać Terence'a, a jemu

bardzo to odpowiada. Później okazało się, że Terence ubiegał się o posadę w

Urzędzie Komunikacji i istniała możliwość zatrudnienia go w dokach w Trincomali.

RS

618

– Jeżeli zaoferują mi tę pracę, na pewno się zgodzę – powiedział. – Jestem ci wdzięczny za pożyczenie pieniędzy, Gwen. Klar również jest ci

wdzięczna. Mężczyzna powinien pilnować swoich obowiązków.

– Och, naturalnie – mruknęła Gwen, zauważając, że obecnie jednym z tych obowiązków stała się Klar.

W gruncie rzeczy nie dbała o to, co wyczyniali Terence i Klar. Zależało jej tylko na zobaczeniu się z Samem. Wreszcie pod koniec trzeciego tygodnia

pobytu w Kolombo wprowadzono ją na oddział, który okazał się długą, ocienioną werandą. Wychodziła ona na ogród, który okalały drzewa o szerokich liściach. Na samym końcu werandy, na miękkiej kozetce spoczywał

Sam, ubrany w okropną pasiastą piżamę i wypłowiały bawełniany szlafrok.

Gwen z trudem powstrzymała się, by nie pobiec w jego stronę.

Spokojnie

doszła do łóżka Sama, a on na nią popatrzył i powiedział:

– Cześć, moja słodka. Myślałem, że mnie rzuciłaś.

– Próbuję się z tobą zobaczyć od tygodni! Dlaczego nie odpowiedziałeś na żadną z moich karteczek.

Uśmiechnął się.

– Nie znasz pielęgniarek. Są gorsze niż Klar. Spróbuj tylko z nimi porozmawiać, a one pakują ci tabletkę i zanim się obejrzyysz, już śpisz.

Gwen przyglądała się Samowi uważnie. Był blady i chudy, ale nie dostrzegła na jego twarzy śladu gorączki. Mówił nieco osłabionym głosem, ale

już wyczuwało się w nim żartobliwą nutę.

– Och, kochanie, tak się o ciebie martwiłam! – zawołała. Uklękła przy kozetce i zarzuciła mu ramiona na szyję. Przyłgął do niej z radością.

Pozostali

w tym pierwszym uścisku przez długi czas.

– No, już dość – powiedział po chwili. – Puść mnie, bo zacznę wrzeszczeć jak niemowlę.

RS

619

Rzeczywiście, oddychał z dużym trudem. Gwen niechętnie oderwała się od Sama, ale za to chwyciła jego rękę, by móc ją trzymać w dłoniach.

Inni

pacjenci oglądali tę scenę z niemałym zainteresowaniem.

– Zatem... jak cię potraktowali? – zapytał Sam.

– Nieźle. Urzędnicy w Ministerstwie d. s. Kolonii byli trochę przykrzy, ale w końcu nas zaakceptowali.

– Kto jest z tobą? Tammy? Terence?

– Tak, Tammy i Petie. Terence i Klar być może wróca do Trincomali.

Terence ma zamiar się tam zatrudnić.

– Terence i Klar?

Kiwnęła głową.

– To dopiero nowina! – powiedział z krzywym uśmiechem.

– Na zewnątrz jest Kee, ma nadzieję, że wpuszczą go do ciebie na

minutę.

– Jest tutaj? O rany! Poczciwy stary Kee... Chciałbym go zobaczyć. Wiele mu zawdzięczam. Przez chwilę milczał. – To wszystko wydaje się snem,

prawda? Panuje tu taki spokój, że trudno pamiętać ciągle o tym, przez co przeszliśmy.

– Powinniśmy zapomnieć o tym jak najszybciej – powiedziała Gwen, nauczona własnym doświadczeniem. Musiała przecież zaczynać wszystko od

nowa po śmierci Tamy. – Odtąd będziemy myśleć o naszej przyszłości.

Jak

sądzisz, kiedy staniesz na nogi?

– O, ja już staję na nogi – zachnął się Sam, udając rozdrażnienie. –

Jestem dużym chłopcem, pozwalają mi samodzielnie chodzić do toalety.

– Kiedy zatem będziesz mógł wrócić do domu?

– W tym sęk! Nie wiem na razie, gdzie jest dom?

– Tam, gdzie będę ja, oczywiście – odparła. – Nie zadawaj głupich pytań.

RS

620

– Posłuchaj jednak, Gwen, nie wolno ci o tym mówić tak zwyczajnie. – Szukał właściwych słów, ściągnąwszy brwi. – Powrót do normalnego życia

będzie trwał dość długo. Oni nie bardzo chcą mówić, co mi jest, ale chyba

mam coś, co nazywa się embolią, i to właśnie spowodowało zator w

jednym z
płuc.

– Ale twój stan będzie się poprawiać – twierdziła uparcie Gwen.

– O, z pewnością. Mówią, że po pewnym czasie wytworzy się tkanka, która zastąpi jamę płucną. Tak przynajmniej mi się wydaje.

– Wobec tego wszystko jest w porządku.

– Kochanie, czy ty mnie słuchałaś? To może trwać całymi miesiącami. Nie wyobrażam sobie, żebyś musiała być obciążona inwalidą...

– Och! – wykrzyknęła Gwen, gdyż nagle przejaśniło się jej w głowie. Było to dla niej rzadkie doświadczenie: poczuła, że jest w stanie zrozumieć

zachowanie Sama i motywy, jakimi się kierował. – A więc chodzi tylko o to? –

spytała. – Nie pozwalałeś mi się z tobą zobaczyć, nie odpowiadałeś na liściki.

Sądziłeś, że będziesz dla mnie ciężarem?

– Wiesz, łatwo powiedzieć: „Oczywiście, dam sobie radę”, ale znudziłaby cię, kochanie, opieka nad...

– Nie gadaj bzdur! – odparła, potrząsając lekko jego dłonią. – Pamiętasz tę noc w Padangu? Zapytałeś mnie, czy będę twoją dziewczyną, a ja odpowiedziałam „tak”. I tak między nami jest, chyba że kiedyś spojrzysz mi w

oczy i uczciwie powiesz, że to koniec.

Siedziała wpatrzona w Sama i czekała. Sam oparł się o poduszki i przymknął oczy.

– Wiesz, że nigdy tego nie powiem.

Po takim oświadczeniu niepotrzebne już były żadne słowa. Siedzieli obok

siebie i rozmyślali. Wreszcie Sam zapytał rzeczowym tonem:

RS

621

– Gdzie teraz nocujesz?

– W hotelu Regency. Mały, niedrogi, nie nadaje się dla rekonwalescenta.

– Niedrogi? Po co ta oszczędność? Nie skorzystałaś z kamieni?

– Oczywiście, że nie – odrzekła. – Ale twoje pytanie przypomina mi...

Dotknęła rzemyka przy dekolcie sukienki, gdyż zamierzała zdjąć woreczek z

szyi i wręczyć go Samowi.

– Nie – powiedział, łapiąc ją za nadgarstek. – Nie dawaj mi tego. Tutaj nie mam ich gdzie trzymać. Poza tym przydadzą ci się.

– Mnie?

– Tak, tobie. Kiedy wrócisz do hotelu, zajrzyj do woreczka. Zobacysz, że jeden z kamieni jest wielkości ziarna grochu, taki

brązowawoczerwony, z

wyglądu nic szczególnego. Po oszlifowaniu będzie wart majątek. Chcę, żebyś

go zaniosiła do jakiegoś uczciwego kupca..

– Ależ, Sam, ja nie znam nikogo w Kolombo! A co do uczciwości...

– W porządku, porozmawiam o tym z Kee.

– Ale Kee jest tylko...

– Tylko kulisem, zgadza się. Jego rodzina zarekomenduje odpowiedniego

człowieka, który będzie miał pieniądze i będzie chciał kupić ten kamień.

Dopóki trwa wojna, nie może niczego wysłać do szlifierzy w Amsterdamie, a

kamień jest zbyt wartościowy, by oddać go w ręce miejscowego rzemieślnika.

W grę wchodzi zatem duże pieniądze i on przedstawi dobrą ofertę.

Wtedy

powiesz mu, że musisz się porozumieć ze swoim mocodawcą, i przyjdiesz do mnie.

Oczy Sama nieco się rozjaśniły, a z policzków ustąpiła bladość. Gwen popatrzyła na niego z miłością.

– Ależ ty uwielbiasz tego rodzaju sytuacje! – zauważyła prowokacyjnie.

RS

622

– Hm, to jest lepsze niż leżenie w łóżku z powpychanymi w ciało rurkami.

Gwen odwiedzała Sama codziennie. Wydawało się, że z każdym dniem czuł się coraz lepiej. Powiedział, że, zdaniem lekarzy, będzie mógł opuścić

szpital na początku czerwca.

– Musimy więc mieć jakiś dom, dokąd mógłbym pójść. Kee twierdzi, że wreszcie znalazł odpowiedniego partnera do transakcji.

Kee przyszedł do Gwen następnego dnia. Z poważną miną podał jej kartkę papieru z nazwiskiem i adresem, które ktoś napisał mozolnie łacińskim

alfabetem. Pod tym adresem mieszkał bardzo bogaty człowiek handlujący

jedwabiem. Cała transakcja odbyła się dokładnie tak, jak przewidywał

Sam.

Dobito targu, a pieniądze zostały wpłacone na konto miejscowego oddziału

banku American Maritime. Sam polecił Gwen wyszukanie jakiegoś domku, w

którym mogliby zamieszkać.

– Zostawiam tę sprawę tobie, kochanie. To, co spodoba się tobie, spodoba się i mnie. Musi tam być dostateczna liczba pokoi, żeby

Tammy nie

czuła, że jest pod naszą kontrolą. Ona tego by nie zniosła.

Przypuszczam, że

Petie będzie chciał być blisko ciebie. I jeszcze jedna rzecz: nie może tam być

dużo schodów. Na razie tracę oddech, kiedy muszę się po nich wdrapać

–

dorzucił Sam.

Ich przyszły bungalow znajdował się na zachodnich przedmieściach

Kolombo, w ogrodzie, o który nadal dbała pieczołowicie służba.

Poprzednio

zamieszkiwał go dowódca dywizjonu RAF-u. Czynnikiem obejmował także usługi

służących: kucharza, chłopca na posyłki, *amah* dla *memsahib* i trzech

ogrodników, z których jeden w razie potrzeby bywał też szoferem. Sam i

Gwen

postanowili zatrudnić *amah* dla Petiego.

RS

– Musimy też zatrzymać Kee – oświadczył Sam. – Nie mówię żadnym z tutejszych dialektów, więc gdybym chciał kogoś zwymyślać, należałoby to

zrobić po chińsku.

Przeprowadzili się w pierwszym tygodniu czerwca, zostawiając Klar i Terence'a w hotelu Regency. Podczas pierwszej wizyty w bungalowie Terence

wyglądał na odrobinę przygnębionego.

– No cóż – zauważył – musisz mieć wysoko postawionych przyjaciół, Sam.

– Tylko w banku – odrzekł pogodnie Sam.

– Kiedy pojedziemy do Trincomali, może również znajdziemy dobry bungalow – powiedziała Klar.

– A więc jednak? Dostałeś tę pracę?

– Och, co do tego nie ma żadnych wątpliwości! – krzyknęła Klar. – Wręcz nie mogą się doczekać, kiedy Terence do nich przyjedzie. Dla mnie

także jest praca, bo wiecie, w Trincomali znajduje się kontyngent marynarki

holenderskiej i proponują mi, żebym urządziła dla nich klub, rozumiecie?

Klar promieniała. Trzymała Terence'a pod ramię i przytulała jasne loki do

jego ciemnych włosów.

Ruszyli w drogę dziesięć dni później, obiecując, że będą pisali listy i kontaktowali się z Samem i Gwen. Jednakże Gwen w to nie wierzyła.

Zresztą,

wcale jej to nie martwiło – Terence należał do tej części jej życia, która była

już definitywnie zamknięta. Teraz zabrała się do rządzenia swoim małym

królestwem. Mieszkający w pobliżu lekarz zajął się zdrowiem Sama i przychodził do niego przez następne pół roku. Poza tym Sam chodził regularnie do szpitala na kontrole. Gwen zmuszona była nauczyć się

trochę
języka syngaleskiego, którym posługiwali się tubylcy. Musiała też
znaleźć
jakąś szkołę dla Petiego.

RS

624

- A ja zamierzam gdzieś się zatrudnić – oznajmiła Tammy.
- Co będziesz robiła?
- Jeszcze nie wiem. Rozpytywałam już w okolicy. Istnieje pewna presja, żeby przyłączyć się do WRNS czy WAAF, ale nie sądzę, żebym się do tego nadawała.
- Sam zachichotał.
- Nie sądzisz, że byłoby ci do twarzy w mundurze, dziecinko.
- O to chodzi. A poza tym, trzeba trenować musztrę, okropność! Niemniej jednak... Zbliżam się do osiemnastki. Mogą mnie powołać.
- A to gorszy los niż śmierć? Lepiej znajdź sobie jakieś pożyteczne zajęcie związane z wojną, zanim się do ciebie dobiorą.
- Sam – powiedziała z wyrzutem Gwen. Rozmawiali tego samego dnia, wieczorem, kiedy Tammy poszła na przyjęcie w bazie marynarki. – Nie zachęcaj Tammy do wymigiwania się od odpowiedzialności.
- Sam pił grzane piwo z jajkiem, zgodnie z dietą, która miała przywrócić mu siły. Nie znosił tego napoju, a jego wysączenie zajmowało mu zawsze pół godziny.
- Posłuchaj, moja słodkości, do tej pory Tammy przeżyła wystarczająco

dużo rzeczy i naprawdę nie ma potrzeby, żeby ją upychać w baraku
razem z

pięćdziesięcioma innymi dziewczętami.

– Czy to byłoby takie okropne? Kiedy się je widuje na mieście, wydają
się całkiem miłą gromadą.

– Och, z pewnością są to wspaniałe dziewczyny, ale Tammy... Tammy
jest piękną, ma ogromne poczucie swojej wartości i żelazną
determinację.

Nie sądzę, żeby dobrze zniosła rozkazywanie.

– Naprawdę? – zapytała ze zdumieniem Gwen. – Myślisz, że ona ma
silną wolę?

RS

625

– Och, Gwen. To przecież twoja córka, a ty tego nie wiesz?

Gwen usiadła obok niego na kozetce.

– Znasz mnie – westchnęła. – Nigdy nie nauczyłam się właściwie
oceniać
ludzi.

Mijały kolejne, pełne spokoju i nadziei dni. Ku ogromnemu
zadowoleniu

Gwen stan zdrowia Sama ulegał poprawie. Jednakże dotychczas nigdy
się

jeszcze nie kochali. Czasami zastanawiała się, czy nie zapytać o te
sprawy

doktora Thinaburana, ale poruszanie owego intymnego tematu
wydawało się

zbyt trudne nawet w wypadku tak łagodnego i tolerancyjnego lekarza jak doktor.

Petie przyzwyczał się do szkolnego życia. Okazało się, że uwielbiał babki z piasku i plastelinę, ale nie „literki”.

– Nie lubi szkoły – stwierdził Sam. – Współczuję mu. Ja również nigdy nie przepadałem za „literkami”. Zawsze chodziłem na wagary, żeby popływać łódką.

– A gdzie się to odbywało, Sam? No, wiesz, mówiłeś, że twoi przodkowie wywodzą się z Nowej Anglii.

– Tak, mój ojciec prowadził sklep z artykułami żeglarskimi. Magazyny Prospera „Wszystko Dla Marynarza”. To było w Mystic Harbour. Nie mogłem się doczekać wyjazdu stamtąd!

– Mój ojciec robił meble – odparła Gwen.

Chciałabym coś zrobić... Coś, co pachniałoby tak jak aromat drewna, które można tutaj kupić... – pomyślała.

Kto wie, może za miesiąc lub dwa, kiedy Sam poczuje się zdecydowanie lepiej, a ona będzie miała więcej czasu. Była zajęta, zajęta i szczęśliwa.

Jej

świat wreszcie się ustabilizował. Okazało się jednak, że na krótko.

RS

porze do pokoju Gwen.

– Mamo! – oświadczyła bez żadnych wstępów. – Chcę jechać do Delhi.

RS

627

29

Gwen smarowała akurat kremem twarz. W lustrze dostrzegła poważne spojrzenie swojej córki. Wzięła bawełnianą szmatkę, wytarła policzki i zapytała dość spokojnie:

– Dlaczego do Delhi?

– Ponieważ oni mają robić tam film.

– Jacy oni?

– COI, czyli Centralne Biuro Informacji.

– A dlaczego ty jesteś tam potrzebna?

– Zaproponowano mi rolę w tym filmie.

Gwen była zaskoczona. Wiedziała, że Tammy od czasu przybycia do Kolombo spotykała się z różnymi osobami, ale teraz po raz pierwszy wspomniała o filmowcach.

– Kto zaproponował ci rolę, Tammy?

– Nazywa się Norman Pickering. Jest producentem w sekcji propagandy na potrzeby subkontynentu indyjskiego. James Lovatt może za niego poręczyć

i pani Watts też.

James Lovatt był członkiem władz miasta. Natomiast pani Watts wspierała sztukę i była żoną jednego z zamożnych plantatorów herbaty.

– Rzeczywiście, taka gwarancja sprawia, że można czuć do niego

zaufanie. Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego zaproponowano ci granie w filmie. Nie masz przygotowania aktorskiego.
– Nie sędzę, żeby filmy wymagały wielu przygotowań – odparła zupełnie niewinnie Tammy. – Myślę, że kręci się je po małym kawałku naraz, więc nie trzeba na przykład uczyć się sztuki „Romeo i Julia” na pamięć. A poza tym, im zależy na moim wyglądzie.

RS

628

– Na wyglądzie? Masz na myśli urodę?
– Mam na myśli fakt, iż jestem Eurazjatką.
– Jakie to ma znaczenie w tym wypadku? – zapytała ze zdumieniem Gwen.
– Hm, zdaje się, że to ma być film o tym, jak wszyscy się jednoczą w zmaganiach wojennych. Będzie kawałek o hindusach, kawałek z muzułmanami, a także kawałek ze społecznością biznesmenów. Ja mam reprezentować Eurazjatów. Myślę, że będę w jakimś biurze i wypowiem słowa na temat tego, jak ważna jest moja praca w czasie wojny.
– Ale ty nie zajmujesz się czymś takim.
– Będę się zajmowała – oświadczyła Tammy. – Jeżeli dostanę rolę w tym

filmie.

Był to tak dosadny argument, że Gwen musiała się roześmiać. Tammy opłótła matkę ramieniem i przytuliła policzek do jej twarzy.

– Zgódź się, mamó. Oni mówią, że nie mogą mnie wziąć bez twojej zgody, bo nadal jestem niepełnoletnia.

– To jest dla mnie trochę zaskakujące – odparła Gwen. – Pozwól, że omówię tę sprawę z Samem.

– On powie: nie – Tammy wyduła wargi.

– Dlaczego miałby to robić?

– Ponieważ odgadnie, że ty byś wolała mieć mnie przy sobie. A ja chcę jechać, mamó. To może być początek innych zdarzeń.

Następnego ranka Gwen zatrzymała Kee, który właśnie niósł tacę ze śniadaniem do pokoju Sama. Sam musiał w dalszym ciągu dużo odpoczywać,

jeść śniadanie w łóżku i leżakować na hamaku na werandzie.

– Zapytasz *tuana* Prospera, czy mogę z nim porozmawiać kilka minut, Kee?

RS

629

– Tak, proszę pani.

Nie zamknął drzwi. Usłyszała szybką wymianę zdań w dialekcie kantońskim. Po chwili Kee wyszedł, wprowadził Gwen do pokoju i zamknął za

sobą drzwi. Sam siedział na łóżku z gazetą w ręku. Moskitiera była odsłonięta.

Przez nieco uchylone żaluzje sączyło się światło słoneczne, które padało

na

jego łóżko.

– Hm, to musi być coś poważnego. Petie ma odrę?

– Nie, chodzi o Tammy.

– Jestem pewien, że Tammy już przechodziła odrę – odrzekł Sam, ale zaraz przestał sobie pokpiwać. – Co się stało, Gwen? Wyglądasz na zmartwioną.

Streściła mu rozmowę, którą przeprowadziła zeszłej nocy.

– Nie chodzi o żaden psikus, jak z tym Reggie? – zapytał. – To coś poważnego?

– No cóż, jest jeszcze za wcześnie, żeby zadzwonić do pani Watts, ale zrobię to później. Myślę, że wszystko jest w porządku, bo inaczej z pewnością

nie wymieniłaby tego nazwiska.

– Zgadzam się z tobą. Filmy dla Centralnego Biura Informacji, tak?

– Czuję, że powinnam wyrazić zgodę, ponieważ chodzi o „słuszną sprawę”. Ale Delhi... To tak daleko.

– Jednak jest to miłe i bezpieczne miejsce. Sprzeciwiłbym się, gdyby zaproponowali jej wyjazd do Londynu.

– Tak, masz rację, Delhi jest bezpieczne. Ale tutaj również może czuć się

bezpieczna.

– Za to się nudzi.

– Czyżby? Sądziłam, że bawią ją przyjęcia, wycieczki i tym podobne rozrywki.

RS

Sam spojrział w zamyśleniu na czajniczek z kawą.

– Czy możemy z nią o tym pogadać? Chcę się zorientować, czy dała się ponieść entuzjazmowi, czy też cierpliwie nas wysłucha i wszystko wyjaśni.

– Och, Tammy wydaje się bardzo zrównoważona. Myślę, że upatruje w tym wyjeździe początku swojej kariery.

Wstanie z łóżka i ubieranie się zawsze zajmowało Samowi dłuższą chwilę. Gwen nie wiedziała, czy już wcześniej miał zwyczaj tak się grzebać. W

każdym razie w Kolombo Sam zaczynał dzień bardzo marudząc, podczas gdy

reszta domowników była na nogach już o szóstej rano. Kiedy wreszcie wszedł

o salonu, w którym Gwen i Tammy piły akurat kawę, minęła dziesiąta. Nicco

wcześniej Gwen zadzwoniła do pani Watts i upewniła się co do wiarygodności

Normana Pickeringa. Okazało się, że właśnie ukończył krótki film dokumentalny o syngaleskich żołnierzach w brytyjskiej marynarce wojennej.

– Zaczniemy więc od samej góry – powiedział Sam, opierając się o fotel.

– Norman Pickering proponuje ci rolę w filmie, który ma powstać w Delhi.

Potrzebuje zgody twojej matki. Czy coś ci za to płacą? Dostaniesz jakiś kontrakt? A kiedy skończą kręcić film, czy masz zamiar zostać w Delhi? Opowiedz nam wszystko po kolei.

– Będą mi płacić – odparła spokojnie Tammy. – Dla odtwórców epizodów jest wyznaczona stała stawka. Dostanę kontrakt, ale tylko na ten

jeden film. COI nakręci inne filmy, ale nie powinnam robić sobie nadziei na to,

że w nich wystąpię. Ale w Delhi pracują filmowcy komercyjni...

– Hinduscy filmowcy. Kręcą te niesamowite epepeje, które można obejrzeć w kinie „Sumhali”.

- Nie, jest tam amerykańska ekipa, która robi film o lotniku na podstawie powieści jakiegoś sławnego pisarza.
- Ale czy oni są tam na stałe? To znaczy, czy będą robić kolejne filmy?

RS

631

- Nie wiem – wyznała Tammy. – Miałabym jednak szansę porozmawiać z nimi.
- Tak, gadanie nic nie kosztuje – stwierdził Sam. – A więc rzecz sprowadza się do tego, że nie wiesz, co się stanie po nakręceniu tego filmu propagandowego.
- Tammy rzuciła mu gniewne spojrzenie.
- Nie wyolbrzymiaj złych stron tej sytuacji. Nie mam zamiaru zostać na lodzie w Delhi. Zawsze mogę wrócić do Kolombo, jeżeli nie dostanę żadnej innej roli. – Jej mina złagodniała, a w oczach pojawił się przekorny błysk. –
- Przysłałbyś mi pieniądze na powrót, prawda, wuju Samie?
- Sam i Gwen wymienili spojrzenia.
- Nieźle – powiedział. – To, co mówi, brzmi całkiem rozsądnie.
- Och, wuju Samie, dla mnie to jest życiowa szansa! — wybuchnęła Tammy. – To, że spotkałam u państwa Lovatt pana Pickeringa, było szczęśliwym trafem zesłanym z nieba.
- Dlaczego on chce, żebyś akurat ty zagrała w tym filmie?
- Już ci tłumaczyłam. Dlatego, że jestem Eurazjatką.

– Masz na myśli twój typ urody?

Rok, a nawet kilka miesięcy temu taka uszczypliwa uwaga sprawiłaby ją

w furię. Teraz tylko wzruszyła ramionami i odrzekła:

– Pan Pickering twierdzi, że piękności o migdałowych oczach jest w Delhi na kopy. Ja liczę się ze względu na kolor skóry. Jeżeli ludzie na mnie

spojrzą, być może zwrócą uwagę na to, co będę mówiła o wojnie.

– Nie martwisz się, że będą wykorzystywać twój status mieszańca?

– Pan Pickering twierdzi, że powinnam to wykorzystać. Twierdzi, że teraz modna jest „egzotyczna” uroda. Wojna sprawiła, że ludzie mają mniej uprzedzeń.

RS

632

– Jezu, on robi na mnie wrażenie! – powiedział z ironią Sam.

– Tak, robi. Zajmuje się filmami od prawie dwudziestu lat i nigdy nie stracił pracy.

– To on tak twierdzi.

– Reszta ekipy też. Oni go szanują. Pani Watts go szanuje.

– Dość już o panu Pickeringu – oświadczył Sam, kiwając głową. – A teraz coś innego. Nie masz wyrzutów sumienia, że będziesz zachęcać wszystkich do walki z rodakami twojego ojca?

W oczach Tammy zabłysły gniewne ogniki.

– Oni próbowali mnie zabić – odparła. – Nie sędzę, żebym była im cokolwiek winna.

- Przynajmniej mówisz wprost. Kiedy miałybyś wyjechać?
- W następny wtorek. Pan Pickering i jego ekipa mają zezwolenie na podróż samolotem transportowym RAF-u do Bangalore.

Nastąpiła pauza.

- Myślisz, że powinna się tam udać? – zapytała Gwen.

– Tak, kochanie.

W pewnym sensie Gwen czuła, że taki wynik rozmowy jest nieunikniony. Odnosiła wrażenie, że los wyznaczył jej pięknej córce bardziej

fascynujące zajęcie niż praca biurowa w Kolombo. Kiedy Petie usłyszał, co się

święci, zaczął lamentować z przerażenia.

- Nie możesz jechać, Tammy! Nie możesz!

Gwen zobaczyła, że zielone oczy jej córki napędniają się łzami.

- Chcę tam pojechać, Petie – odparła. – I oczywiście wrócę.

- Zabierz mnie ze sobą! Ja też chcę jechać!

- Nie mogę, kochanie. Będę zbyt zajęta w Delhi, żeby się tobą opiekować.

RS

633

- Powiedz chociaż, co masz zamiar tam robić? – zapytał, zaciskając pięści, jakby chciał ją uderzyć.

- Wystąpię w filmie.

- W filmie?

- W takim jak *Czarodziej z Oz*? – zapytał zaintrygowany.

- Może nie będzie kolorowy, Petie. I nie sądzę, żeby się tam znalazły

jakieś piosenki.

– Będę mógł cię zobaczyć w tym filmie? Wyświetlą go w kinie „Star”?

– Jestem pewna, że tak – wtrąciła się Gwen, widząc, że istnieje sposób, by złagodzić smutek chłopca. – I będziesz mógł opowiedzieć o nim kolegom w

szkole

– Zabiorę ich do kina „Star”, żeby cię zobaczyli. Tammy, czy twoje nazwisko pojawi się na wielkiej tablicy na zewnątrz?

– Może – odrzekła, przytulając go do siebie.

Na razie wydawał się zadowolony, ale wyczuwało się u niego niepokój, zresztą uzasadniony.

Utracił wszystkie osoby, które kochał i których potrzebował: ojca, matkę,

a potem pannę Bedale – pomyślała Gwen.

Panna Bedale... Nie było na jej temat żadnych wieści, chociaż poszukiwali jej przez Czerwony Krzyż. Zniknęła, podobnie jak mnóstwo innych ludzi, przepadła w ośmiornicowym uścisku japońskiego mocarstwa –

gdzieś w Chinach, Birmie, na Malajach, Filipinach czy we Wschodnich Indiach Holenderskich. Zagubiła się wraz z dziećmi, którymi przyrzekła się

opiekować. Nie wiedzieli też nic o losie Pieta Janstry i uciekinierów z jego

łodzi. Nie dawał znaku życia Bertie Hurden, który uciekł na sampanie z Singapuru wraz z kolegą. Co do Marion Targett, Czerwony Krzyż doniósł, iż

RS

634

znajduje się ona w Portugalii. Jednakże Gwen nie mogła uzyskać żadnych informacji o ojcu Petiego, gdyż nie miała pojęcia, jak brzmiało jego nazwisko.

Usiłowała ukryć przed Petiem, jak bardzo przeżywa rozstanie z Tammy. Kiedy rozmawiali o jej wyjeździe, wszyscy udawali wesołość. Sam robił to

najlepiej. Przekomarzał się z Tammy sugerując, że zostanie gwiazdą filmową.

Również on kupił jej na wyjazd zestaw ładnej garderoby. W poniedziałkowy

wieczór odbyło się skromne przyjęcie pożegnalne. Postanowiono, że we wtorkowy poranek Gwen i Petie nie pójną na lotnisko, żeby odprowadzić

Tammy. Obawiano się, że mogłoby to wytrącić z równowagi Petiego. Kiedy goście już wyszli, a wyczerpany Sam położył się spać, Gwen i Tammy siedziały długo w ciemnym ogrodzie.

– Napiszę – obiecywała Tammy. – Spróbuję połączyć się telefonicznie, ale wiesz, jakie to jest trudne.

– Spodziewam się, że będziesz zajęta – powiedziała Gwen. – Jednak znam nazwę tego schroniska w Delhi. To ja napiszę do ciebie.

– Czuję się dziwnie. Teraz jest inaczej niż wtedy, gdy żegnałam się przed powrotem do szkoły w Anglii.

– Rzeczywiście. Tym razem nie wiadomo, co się stanie dalej. Po tym filmie możesz zająć się czymś innym, a niewykluczone, że zrobisz karierę.

– Nie robię sobie żadnych nadziei.

– Lepiej ich nie robić.

Nagle Tammy chwyciła Gwen za rękę.

– Może tak naprawdę wcale nie mam ochoty tam jechać! – zawołała. –

Nie jestem pewna. Mamo, myślisz, że postępuję słusznie?!

To był krzyk z głębi serca... Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Tammy powiedziała, że potrzebuje matki. Gwen poczuła przypływ radości,

choć w duchu ganiła siebie za te emocje. Odnowiła się cenna więź, która tak

RS

635

wiele dla niej znaczyła. Po okresie bólu, ciężkich prób życiowych i zagubienia

znowu zbliżyły się do siebie. Dla Gwen nic innego nie miało takiej wartości –

ani kamienie w szufladzie Sama, ani złoto, za pomocą którego Tama malował

swoje ornamenty. Wzięła córkę w ramiona i gładziła jej miedziane włosy.

– Musisz jechać, kochanie – szepnęła. – Gdybyś nie skorzystała z tej szansy, zawsze czułabyś potem żal. A poza tym, jeśli ci się tam nie spodoba,

zawsze możesz do nas wrócić.

– Do ciebie i do Sama.

– Tak.

Tammy usiadła, wydmuchała nos i otarła łzy. Nawet mimo zaczerwienionych oczu, była ładna.

– Czy ty i Sam zamierzacie się pobrać?

– Ta sprawa przypomina twoją podróż: nie wiadomo, jak się skończy.

– Nie prosił cię o to?

– Nie.

– Ale dlaczego nie? On cię uwielbia, wszyscy to widzą.

– Może należy do mężczyzn, którzy nie lubią żyć w sformalizowanych związkach.

– Mamo, powinnaś przejąć inicjatywę. Powiedz mu na przykład: „Zrób ze mnie przyzwoitą kobietę, bo jak nie, to... ”

– To co?

– To go zostawisz.

– Nie bądź głupiutka, moja droga. Nie mogłabym go zostawić. Ja go kocham.

– Tak – westchnęła Tammy. – Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę kogoś, kogo będę mogła tak kochać. – Pocałowała Gwen delikatnie. –

Muszę

iść spać, gdyż w przeciwnym razie będę miała rano zaczerwienione oczy.

RS

Przez jakiś tydzień po odlocie Tammy Gwen czuła się osierocona i zdezorientowana. Natomiast Petie miał się dobrze przez pierwsze dwa dni i

dopiero, kiedy sobie uświadomił, że nieobecność Tammy potrwa długo, zaczął

objawiać pewien niepokój. Nie chciał jechać do szkoły, dopóki Gwen nie

obiecała, że będzie tam na niego czekać po lekcjach. Często po powrocie wbiegał do bungalowu i wołał: „Ciociu Gwen? Jesteś w domu?”

Czasami

budziła się w nocy, by stwierdzić, że przy jej łóżku stoi Petie i w milczeniu

szuka jej dłoni. Brała go wtedy do siebie, głaskała po główce i uspokajała, aż w

końcu zasypiał. Kiedy doktor Thinaburan zjawił się z kolejną wizytą u Sama,

poprosiła go, żeby obejrzał chłopca.

– Jego rozwój fizyczny jest zadowalający – zawyrokował. – Wprawdzie jest dość chudy, ale to ulegnie poprawie. Problem polega na tym, że to biedne

dziecko ciągle się czegoś boi.

– Rozumiem ten stan. Ma wystarczająco dużo powodów...

Powstrzymała

się jednak od opowiedzenia tego, co przeszedł Petie.

Zdażyła się już zorientować, że ludzie nie mieli ochoty wysłuchiwać smutnych historii.

– Jak można mu pomóc?

– Kochać go – odparł z życzliwym uśmiechem lekarz. – To jest lekarstwo

na wiele rzeczy, pani Veetcha. Proszę spojrzeć na pana Prospera: stan jego

zdrowia poprawił się w stopniu tak znacznym, że przeszło to nasze najśmielsze

oczekiwania. Stało się tak nie za sprawą lekarstw, lecz dzięki miłości.

Gwen była zaskoczona. Nigdy nie słyszała, żeby angielski lekarz

wyrażał
się w tak emocjonalny sposób. Ale Syngalezi byli inni – manifestowali
swoje
uczucia otwarcie, zarówno radość, jak i smutek.
– Naprawdę uważa pan, że Sam Prosper czuje się dużo lepiej?

RS

637

– Z pewnością. By zupełnie dojść do siebie, będzie potrzebował
zapewne
jeszcze około dwóch lat, ale jego stan jest dobry – na tyle dobry, że
może
cieszyć się życiem.

– W takim razie, ciekawi mnie, czy...

– Co takiego, droga pani?

Chciała zapytać, czy cieszenie się życiem obejmuje także rozkosz
fizyczną. Próbowала zadać to pytanie, ale jej skrępowanie, sposób, w
jaki

została wychowana, przeszkodziły w sformułowaniu prostego zdania:

„Czy

Sam może pójść ze mną do łóżka?" Poza tym smutek z powodu odlotu
Tammy

i niepokój związany z Petiem chwilowo odbierały jej siły.

Nie zdradziła się z niczym przed Samem. Zaczęła uprawiać samotne
przejażdżki wysłużonym austinem. Jeździła drogą wzdłuż wybrzeża,
obserwowała,

jak Tamilowie łowią ryby na mieliznach, a ich sieci trzepoczą na

wietrze. Kupiła kilka próbek drewna w składzie. Usiadła pod strzelistymi drzewami i przebierała palcami po ich ziarnistej powierzchni. Narysowała parę linii na kartce, potem zmięła papier i wyrzuciła go do kosza. Któregoś popołudnia wróciła ze spaceru. W domu miał się wkrótce zjawić Petie. Zbierało się na burzę. Chmury przypominały szare jedwabne sari przetykane odcieniem koralowym, beżowym i mandarynkowym. Morze wyglądało jak cynowe naczynie, na którym znajdowała się złocista smuga. Z bungalowu dochodziła rytmiczna muzyka: „Nie mogę patrzeć, jak słońce zachodzi, bo mój kochany wyjechał dzisiaj z miasta”. To był *St Louis Blues*. Gwen przyspieszyła kroku, weszła na werandę i wkroczyła do pokoju przez oszklone drzwi. Sam wystukiwał rytm piosenki odtwarzanej z gramofonu. Objął ją ramieniem i zaczął tańczyć wolnego fokstrota wokół tapczanów i stolika.

– Co to wszystko znaczy? – zapytała ze śmiechem Gwen.

RS

638

– Znalazłem w tamilskiej dzielnicy sklep, który sprzedaje używane płyty.

Czy to nie cudowne? Teraz gra zespół Duke'a Ellingtona. „Jutro będę się czuł

tak, jak dziś" – zaśpiewał.

Gwen kołysała się w takt utworu. Wspaniale było tańczyć w ramionach Sama. Potrzebowała takiej czułości, ale nigdy nie prowokowała Sama do tego,

gdyż zabroniono mu zbędnych wysiłków – musiał się koncentrować na osiągnięciu pełnej sprawności fizycznej. Sam obejmował ją delikatnie, ale

czuła jego opiekuńcze ramię na swoich plecach i zapach mydła, którego używał.

Może nic się nie stanie, jeżeli go tylko pocałuję – pomyślała. Popatrzyła mu w oczy i rozchyliła usta w zachęcającym uśmiechu. On ciepło odwzajemnił

jej spojrzenie. Przed domem zatrzymał się samochód. Do środka wbiegł Petie.

– Ciociu Gwen? Ciociu Gwen?

– Jestem tutaj, kochanie.

Wpadł do salonu z jakimś malowidłem na arkuszu papieru.

– Popatrz, zrobiłem twój portret ! Popatrz, od razu widać, że to ty, po kolorze włosów! Podoba ci się, ciociu Gwen?

– Jest cudowny. Prawda, Sam?

– Wypisz, wymaluj ty! – powiedział Sam, szczerząc zęby na widok cienkiej jak zapalka postaci z szopą rudawobrązowych włosów. – Ale przydałoby ci się strzyżenie.

Petie podniósł głowę, żeby posłuchać muzyki.

– Co to za śmieszny hałas?

– Śmieszny hałas? Uśmiechaj się, kiedy mówisz takie rzeczy, przybyszu!

– zażartował Sam, udając, że strzela do Petiego kciukiem i palcem wskazującym.

– Czy to jest początek nowej kolekcji jazzowej? – zapytała Gwen.

RS

639

– Możliwe, możliwe. Ten facet ze sklepu powiedział, że może będzie miał jakieś płyty Muddy'ego Watersa. Wrócę tam za parę dni. A zatem...

Gdzie

byłaś cały dzień? Piłaś herbatę w Palm Court? Zamawiałaś nowe sukienki?

– Poszłam na spacer do składu drzewnego – odparła Gwen.

– Jezu! Niewątpliwie znasz się na dobrej zabawie.

– Petie, kucharz przyniesie ci mleko i ciasteczka...

– Czy moglibyśmy mieć małego pieska? – zapytał Petie. – W tym miejscu nad rzeką, gdzie Tammy pomogła mi upleść smycz, widziałem ładne

pieski...

Urwał nagle, przerażony faktem, iż wypowiedział imię Tammy. Jego usta

wygięły się w podkówki. Wspomniał Tammy po raz pierwszy od czasu jej

odlotu. Również po raz pierwszy z własnej woli przywołał wspomnienia dotyczące ich ucieczki. Czy był to dobry znak? Gwen nie wiedziała.

Spojrzała

niepewnie na Sama.

– Oczywiście, że możesz mieć pieska – odrzekł Sam i nachylił się, by położyć rękę na ramieniu chłopca. – Popytamy w okolicy, czy ktoś nie chce

sprzedać szczeniaka.

- Jutro? – zapytał Petie, a jego twarz natychmiast się rozjaśniła. – Po szkole?
 - Nie, jutro mam ważne spotkanie. Wyruszymy na poszukiwanie pieska w sobotę.
 - Obiecujesz?
 - Obiecuję.
- Kiedy chłopiec wyszedł, żeby coś zjeść, Sam powiedział:
- Myślę, że to po prostu wymaga czasu.
 - Chyba tak.
 - Ciebie to także dotyczy. Stopniowo przestaniesz za nią tak tęsknić.

RS

640

- Poczuję się lepiej, kiedy dostanę od niej list.
- Przypomniałaś mi o czymś: dzwonił telefon.
- Od Tammy? – zapytała ze zdumieniem. Jej córka nie mogła już dolecieć do Delhi.
- Nie, nie, przepraszam. Chodzi mi o zwyczajny telefon. Jakiś gość z Departamentu Spraw Socjalnych chce z tobą porozmawiać.
- Zapisaleś numer?
- Tak, ale teraz wszyscy są już w domach. Powiedział, że jeśli do niego nie zadzwonisz, to bardzo by się ucieszył, gdybyś wpadła do urzędu jutro między drugą a trzecią. Nazywa się Croyde.
- O co chodzi?
- Nie mam pojęcia.
- Pójdę sprawdzić, czy Petie pije mleko. – Gwen podniosła się z krzesła.

– Mały piesek, co? – zagadnął Sam, szczerząc zęby w uśmiechu. – Jest taki blues pod tytułem *Hound–Dog Blues*.

Przewrócił płytę, żeby wysłuchać drugiej strony. Gwen wyszła do kuchni, uśmiechając się do siebie. Dobry nastrój Sama bardzo ją rozradował.

Następnego dnia potwierdziła spotkanie z sekretarką Departamentu Spraw Socjalnych. Do lunchu zajęła się drobnymi pracami, a potem zjawiała się

punktualnie na Silversmith Street, gdzie niezwłocznie wprowadzono ją do

gabinetu pana Croyde'a, który okazał się mężczyzną w średnim wieku.

Nosił

białe spodnie oraz brodę i wąsy, które zdawały się pochodzić z minionej epoki.

– Pani Veetcha, miło mi panią poznać – powiedział, wyciągnąwszy rękę nad biurkiem. – Herbaty? Kawy?

– Nie, dziękuję. O co chodzi, panie Croyde?

– Hm, o tego małego chłopca.

– Petiego?

RS

641

– Petiego? Zarejestrowaliśmy go jako Petiego Veetcha, ale to nie jest jego prawdziwe nazwisko, prawda?

– Nie, nie znamy jego nazwiska. Wyjaśniłam to, kiedy ubiegaliśmy się o dowody tożsamości.

– Tak, z tego, co zrozumiałem, jego matka zginęła w Singapurze, a

ojciec

figuruje na liście zaginionych.

– Tak.

– I pani podjęła się opieki nad nim.

– Tak.

– Mamy w Kolombo jeszcze inne dzieci ze statków, na których płynęli uchodźcy. Najczęściej przekazujemy je mieszkańcom Kolombo albo znajdujemy im miejsce w domu dziecka.

– Petie nie chce iść do domu dziecka – powiedziała szybko Gwen. – Jest szczęśliwy ze mną.

Pan Croyde wziął pióro i zaczął się nim bawić.

– Pytanie tylko, czy przebywanie z panią jest dla niego najlepsze.

Wyprostowała się na krześle.

– Najlepsze? Co ma pan na myśli, mówiąc „najlepsze”? Jest szczęśliwy, przebywa z ludźmi, których zna i kocha.

– Ale musimy rozważyć dobro moralne tego chłopca...

Gwen wpadła w popłoch.

– Cóż to, u licha, ma znaczyć?

– No cóż, pani Veetcha – zaczął pan Croyde, nieco się rumieniąc. –

Doniesiono naszemu departamentowi, że żyje pani z mężczyzną, obywatelem

amerykańskim, który nazywa się Sam Prosper, oraz że nie jesteście małżeństwem.

RS

642

– To całkowita prawda. Nie jesteśmy małżeństwem. Dlaczego miałyby

to

was interesować?

– Pani Veetcha, interesujemy się wszystkim, co dotyczy dobra dzieci. A poza tym, jeśli się nie mylę, pani prawdziwe nazwisko brzmi Hayakawa, a nie

Veetcha?

Och! –jęknęła w duchu Gwen. – Chyba nie będą znowu tego wyciągali przeciwko mnie.

– Tak, nazywam się Hayakawa. Mój mąż był Japończykiem. Zmarł dwadzieścia lat temu. Używam nazwiska Veetcha ze względu na moją firmę.

– Ze względu na firmę? Pani prowadzi jakiś interes?

– Obecnie nie, ale zamierzam zacząć. Projektuję meble.

Croyde spojrzał na nią w taki sposób, jakby sądził, że postradała rozum.

– Pani Hayakawa, jeżeli zacznie pani pracować w Kolombo, to będzie pani sprawa, chociaż osobiście nie widzę w tym sensu. Ale ten mały chłopiec

Petie jest przedmiotem mojej troski i muszę pani powiedzieć, że departament

nie może pozwolić na to, żeby Petie przebywał w domu, w którym... w którym

mieszka pani z mężczyzną nie będącym pani małżonkiem.

Gwen powstała.

– Jeżeli uważa pan, że żyjemy w grzechu, to lepiej niech się pan dobrze zastanowi. Sam Prosper w dalszym ciągu jest rekonwalescentem.

Pomagając

nam, mojej córce, Petiemu i mnie, uciec z Singapuru, został poważnie ranny. A

moja córka mieszka w domu razem z nami.

– Mam informacje, że pani córka opuściła niedawno Kolombo.

– Czy tylko tym się zajmujecie? Wsadzaniem nosa w cudze sprawy?

– Pani Hayakawa, zlekceważę tę uwagę, bo widzę, że jest pani zdenerwowana. Wyjazd pani córki tworzy sytuację, w której mieszka pani pod

jednym dachem z mężczyzną nie będącym pani mężem.

RS

643

- W porządku, wyprowadzę się i zabiorę ze sobą Petiego.
- Proszę wybaczyć szczerą, ale dla sierot istnieją lepsze domy niż mieszkanie z samotną kobietą, która nie wydaje się mieć żadnego źródła dochodu. W tych okolicznościach nie moglibyśmy pozwolić, by Petie został z panią.
- Chyba powinno najbardziej liczyć się to, że Petie jest ze mną szczęśliwy! – wykrzyknęła Gwen.
- Oczywiście szczęście Petiego jest ważne. Ale musimy wziąć pod uwagę fakt, że jeżeli chłopczyk zostanie z panią, a pani z panem Prosperem, to nie będzie moralne.
- Dobry Boże, czy musicie się martwić tylko o to? – zapytała głośno i gniewnie. – Na całym świecie ludzie giną i zostają kalekami, a wy potraficie tylko zastanawiać się, czy Sam i ja jesteśmy kochankami. Zwariowana biurokracja!
- Wypadła z gabinetu, mijając przerażoną sekretarkę. Wcisnęła się do samochodu i wściekła pojechała do domu. Na szczęście droga nie była szczególnie zatłoczona. Nacisnęła pedał hamulca przed swoim bungalowem i poprosiła Mirana, żeby odstawił samochód. Sam siedział w salonie i właśnie miał się napić herbaty.

- Kretyni! – krzyknęła Gwen, rzucając na stół kapelusz i rękawiczki. – Kompletni imbecyle!
- Sam oparł się o krzesło.
- Słyszałem, że rudowłose kobiety mają gwałtowny temperament – zauważył.
- Och, zamknij się, Sam!
- Może opowiesz, co się stało.
- Ten głupek – zaczęła. – Ten bałwan...

RS

644

W tym momencie wylała z siebie całą złość.

– Kretynscy biurokraci, trzymają się tylko litery prawa! To zakute łby! Czy oni nie potrafią zrozumieć, że jesteśmy teraz jedyną rodziną, jaką ma Petie?

– Zgadza się – odparł Sam. Wstał z krzesła, objął ją ramieniem i poklepał

po plecach. – Uspokój się, kochanie.

– Ale on doprowadził mnie do takiego szału...

– Gwen, przestań się nim przejmować. Szkoda twoich nerwów.

Gwen przytuliła się do Sama, opierając głowę na jego ramieniu.

– Powinnam była go uderzyć, Sam.

– Tobie sprawiłoby to ulgę, ale nie pomogłoby Petiemu.

– Nie pozwolę im zabrać Petiego!

– Nie, kochanie, oczywiście, że nie.

Stali pod wolno obracającym się wentylatorem i obejmowali się.

– Istnieje proste rozwiązanie.

– Jakie?

– Pobierzemy się.

Cofnęła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Sam?

– Co ty na to?

– Tak – odpowiedziała z prostotą.

Zaczął ją całować. Trwało to dłużej i dłużej, aż w końcu poczuła zawrót głowy. Wydostała się z jego objęć i żartobliwie uszczypnęła go w podbródek.

– Więc nagle, ni stąd, ni zowąd, chcesz się żenić? – zapytała.

– Chciałem od dłuższego czasu. Tylko że myślałem, iż do końca życia będę inwalidą i nie chciałem, żebyś się ze mną męczyła.

– Och, ty głuptasie! – szepnęła.

RS

645

Popatrzył na nią z zachmurzoną miną.

– Tak mówisz, ale mężczyzna nie pragnie być ciężarem dla ukochanej osoby.

– Ty nigdy nie byłbyś dla mnie ciężarem, kochanie! Nigdy!

– Chyba nie, sądząc z tego, jak układają się sprawy. Doktor daje mi nadzieję na prawie normalne życie.

– Mnie też to powiedział.

– Przez ostatnie dwa, trzy tygodnie czułem się całkiem nieźle.

Nawiązałem parę kontaktów handlowych, wymyśliłem trochę rzeczy.

– Wczoraj przeszedłeś się po bazarach, kupiłeś tę płytę...

– Tak, pokonałem jakieś dwie mile. Nie twierdzę, że mogę podróżować w interesach tak jak dawniej, ale jestem w stanie prowadzić je z biura.

– To wspaniale! Och, teraz sobie przypominam, mówiłeś, że masz jakieś spotkanie. Wybacz, że nie zwróciłam na to uwagi.

– Miałaś dość innych spraw na głowie – pocieszył ją Sam. – A teraz już wiesz, więc wszystko zaczyna się układać dobrze, prawda? To rozwiązuje problem Petiego.

– Pozwolą nam go zatrzymać, jak myślisz? – zagadnęła Sama, czując pewne wątpliwości.

– Niech no tylko spróbują nam go zabrać! – powiedział z groźną miną. – Wezwę na pomoc amerykańskich *marines*!

Nazajutrz złożyli podanie o specjalne zezwolenie. Następnego dnia wypadła sobota. Petie odczuwał podniecenie na myśl o poszukiwaniu szczeniaka. Dzięki dobrej radzie Jamesa Lovatta zawitali do tamilskiej rodziny, gdzie znajdowało się całe „plemię” grubiutkich żółtawych psów z zakręconymi ogonkami.

RS

646

– Ten! – zawołał Petie, uganiając się za ruchliwym pieskiem z białą łatką.

– Proszę, chcę właśnie tego!

Szczenie przestało baraszkować i podeszło, by obwąchać rękę Petiego.

– On chce być moim przyjacielem! – upierał się Petie. – Będzie się

nazywał Spot.

Mały pies wydawał się zadowolony ze swojego imienia. Bez żadnych oporów pojechał samochodem do domu w towarzystwie chłopca i stajennego.

– Nie pozwól mu obgryzać moich trzewików! – krzyknął za nimi Sam. Gwen i Sam po raz kolejny zatrzymali się przed sklepem jubilerskim, żeby

wybrać pierścionek ślubny. Gwen zawsze nosiła prostą obrączkę z jadeitu,

którą dał jej Tama, ale teraz zdjęła ją z palca, owinęła w chusteczkę i włożyła

do torebki. Czuła, że tym gestem zamyka pewien rozdział swego życia. Wymawiając słowo „mąż”, będzie teraz miała na myśli Sama, nie Tame. Sam kupił jej zwyczajną, szeroką obrączkę ze złota.

To jest ten złocisty promień, blask miłości, który będzie mi towarzyszył do końca życia – pomyślała.

Trzy dni później wzięli ślub. Petie nie poszedł do szkoły, żeby uczestniczyć w ceremonii. Nie bardzo wiedział, o co w niej chodzi, i nie przejął się tym, że kazano mu włożyć białe spodnie i marynarkę. Cieszył się z

wolnego dnia. Był jedyną osobą, która знаła nowożeńców. Na świadków

wyznaczono dwóch pracowników z urzędu stanu cywilnego. Gwen przyszła do

głowy myśl, że matka bardzo by się zmartwiła na wieść o tym, iż jej jedyna

córka wzięła udział w tak prozaicznej ceremonii: bez sukni ślubnej, bez konfetti, bez płatków z kwiatów pomarańczy. Ich ślub wydawał się zwyczajny,

przyziemny... Jednakże Gwen w swojej niebieskiej sukni czuła się jak panna

młoda w tiulach – była ożywiona, szczęśliwa, rozradowana. Serce Gwen biło

mocno, a oczy błyszczały radością, kiedy Sam nakładał na palec obrączkę.

RS

647

Teraz należała do niego, a on do niej. Zresztą, należeli do siebie już od dawna,
a ślub stanowił jedynie formalną ceremonię. Ich prawdziwe małżeństwo rozpoczęło się od tamtego wieczoru w Padangu, kiedy Sam poszedł zdobyć

jacht. Powiedział wówczas: „Kocham się, Gwen. Zawsze cię kochałem”.

A ona

odrzekła: „Jestem twoją dziewczyną”.

– Dokąd się wybieramy teraz? – zapytał Petie w samochodzie, kiedy wracali z urzędu stanu cywilnego.

– Na uroczystość, kurczaczku.

– Co to jest uroczystość?

– Uroczystość jest wtedy, kiedy świetnie się bawisz i dobrze się czujesz.

– Ja też będę miał uroczystość?

– Jasne, że tak.

– Mogę ją mieć na boisku do krykieta? Są tam John i Peter Lovattowie, żeby patrzeć, jak ich tata gra w krykieta. Mogę tam iść na uroczystość?

– Krykiet? – jęknął Sam. Jak przystało na Amerykanina, nie potrafił pojąć

tej gry. Ale odwiózł Petiego do klubu, gdzie zaopiekowali się nim Lovattowie.

— Mam psa – powiedział dumnie Petie starszemu Lovattowi. – Nazywa się Spot, jeśli chcesz, możesz potem przyjść i go zobaczyć.

– Dopilnujemy, żeby po meczu wrócił do domu – przyrzekła pani

Lovatt.

– I jeszcze jedno – dodała, spostrzegłszy nową obrączkę Gwen. – Zdaje się, że

wypada złożyć wam gratulacje.

Gwen uśmiechnęła się, a Sam tylko kiwnął głową. Nie zamierzał wdawać

się w rozmowę na ten temat. Wyprowadził Gwen do samochodu, który był

zaparkowany w cieniu płam. Pomógł jej wsiąść, sam usiadł za kierownicą i

zerknął przez szybę.

– No, nareszcie sami – oświadczył. – Wracajmy do domu i chodźmy do łóżka.

RS

648

– Sam!

– Uważasz, że istnieje lepszy sposób uczczenia ślubu?

– Ale, zaczekaj, jesteś pewien, że czujesz się na siłach, kochanie?

Odwrócił się do niej z takim uśmiechem, od którego czuła, że topnieje jak

wosk.

– Jedźmy do domu, żeby się o tym przekonać – powiedział.

RS